

George R. R. Martin

Tuf Wędrowiec

Przełożył Arkadiusz Nakonieczny

Data wydania oryginalnego: 1986

Data wydania polskiego: 1997

Prolog

KATALOG SZÓSTY

NUMER ZNALEZISKA: 37433-800912-5442894

OŚRODEK BADAŃ NAD HISTORIĄ ROZWOJU KULTURY I WIEDZY
SHANDELLOR, WYDZIAŁ KSENOANTROPOLOGII

opis znaleziska: kryształ z zapisem dźwiękowym

miejsce odkrycia: H'ro Brana (wsp.: SQ19, Y7715, 121)

wiek znaleziska: ok. 276 lat standardowych

sklasyfikowane pod:

rasy podległe, Hrangan

legendy i mity, Hruun

inf. medyczne -

choroby, nie zidentyfikowane

ośrodki handlowe, opuszczone

Halo? Halo?

Widzę, że działa. To dobrze.

Nazywam się Rarik Hortvenzy, jestem początkującym kupcem i nagrywam to ostrzeżenie dla tych, którzy być może znajdą ten kryształ.

Zapada zmierzch, dla mnie już ostatni. Słońce skryło się za zachodnim urwiskiem, ziemię zalała czerwona poświata i pomału, ale niepowstrzymanie zbliża się do mnie ciemność. Na niebie kolejno zapalają się gwiazdy, ale ta najważniejsza płonie bez przerwy w dzień i w nocy, w nocy i w dzień. Jest zawsze ze mną, najjaśniejszy obiekt na niebie, zaraz po słońcu. Gwiazda śmierci.

Dzisiaj pochowałem Janeel. Od świtu kopałem grób w kamienistej ziemi, a kiedy wreszcie późnym popołudniem uporałem się z tym, kiedy złożyłem ją w mogile i przysypałem ohydny, wstrętny, obcy piachem, kiedy przytoczyłem ostatni kamień, wyprostowałem się i splunąłem pod nogi.

To wszystko jej wina. Powtarzałem jej to wiele razy, kiedy umierała, aż wreszcie, tuż przed śmiercią, przyznała mi rację. To jej wina, że tu przybyliśmy i że nie odlecieliśmy, kiedy jeszcze istniała taka możliwość. To jej wina, że nie żyje - tak, bez wątpienia - i jej wina, że kiedy ja umrę, moje ciało stanie się pokarmem dla dzikich bestii, drapieżnych latających stworzeń oraz nocnych łowców, z którymi zamierzaliśmy robić interesy.

Gwiazda śmierci świeci jasnym spokojnym blaskiem, który jakby nigdy nie spływa na ziemię. „To nie w porządku”, powiedziałem kiedyś Janeel; „gwiazda śmierci powinna świecić na czerwono, powinna żarzyć się złowieszczo, spowita szkarłatną poświatą, powinna wypełniać noc szeptanymi zapowiedziami ognia i krwi. Co ten czysty biały blask ma wspólnego ze śmiercią?” Na początku, kiedy wyczarterowany statek wysadził nas tutaj i od razu poleciał dalej, gwiazda śmierci była zaledwie jedną z około pięćdziesięciu gwiazd pierwszej wielkości, jakie mogliśmy podziwiać na obcym niebie, wcale nie najłatwiejszą do odnalezienia. Wtedy jeszcze śmiałyśmy się z przesądów tych prymitywnych, zacofanych barbarzyńców, którzy wierzyli, że choroba przychodzi z nieba.

Wkrótce potem gwiazda śmierci zaczęła rosnąć. Co noc świeciła jaśniej, aż wreszcie można ją było oglądać nawet w dzień. Zanim to nastąpiło, wybuchła zaraza.

Po ciemniejącym niebie suną latawce. Nie poruszając skrzydłami, szybują w powietrzu na prądach wstępujących; z daleka wyglądają prawie pięknie i przywodzą mi na myśl milczące jak cienie mewaki z mojej ojczyzny, Budakharu, położonego nad żywym morzem na planecie Razyar. Tutaj jednak nie ma morza, są tylko góry, wzgórza i pustynie, z bliska zaś latawce wcale nie są piękne, tylko przerażające: połowy wysokości człowieka, z cienką skórą opiętą na przedziwnym szkielecie z pustych kości. Ich skrzydła są twarde jak arkusze blachy, szpony ostre jak sztylety, oczy czerwone jak rozżarzone węgle, wielkie kościane grzebienie wyrastające pośrodku wąskich czaszek przypominają zakrzywione noże.

Janeel twierdziła, że latawce są inteligentne i że nawet mają własny język. Słyszałem ich głosy - przeraźliwie świdrujące skrzeczenie, od którego dostaje się gęsiej skórki - ale ani ja, ani Janeel nie zdołaliśmy opanować ich języka. „Inteligentne”, mówiła. Będziemy z nimi handlować. Niestety, nie chciały ani nas, ani naszego handlu. Inteligencji wystarczyło im akurat na tyle, żeby nauczyć się kraść, ale w końcu okazało się, że jednak coś je z nami łączy: śmierć.

Latawce umierają. Umierają też nocni łowcy o silnych, poskręcanych kończynach i zdeformowanych rękach z dwoma kciukami, o oczach płonących w wysoko sklepionych czaszkach niczym węgle w dogasającym ognisku. Łowcy dysponują przerażającą siłą, a ich oczy doskonale widzą w ciemności, również wtedy, kiedy ciężkie burzowe chmury zasnują niebo, przesłaniając nawet gwiazdę śmierci. Ukryci w jaskiniach, łowcy opowiadają sobie szeptem o wielkich Mózgach, którym niegdyś służyli, a które kiedyś powrócą i dadzą im sygnał do rozpoczęcia kolejnej wojny. Mózgi jednak nie wracają, łowców natomiast robi się coraz mniej - podobnie dzieje się z latawcami oraz innymi gatunkami zwierząt i roślin. Umierają wszyscy, a my razem z nimi.

Janeel zapowiadała, że ta planeta da nam niezmierzone bogactwo, a tymczasem dała nam tylko śmierć. W starych atlasach nosi nazwę H'ro Brana, ale ja nie będę jej tak nazywał. Janeel знаła wiele innych nazw, ja jednak zapamiętałem tylko jedną: Hruun. Tak również zwa się nocni łowcy. Kiedyś, jeśli wierzyć Janeel, byli niewolnikami, największymi nieprzyjaciółmi Hrangan, którzy wymarli przed wiekami, pozostawiając swoich wrogów - i zarazem poddanych - ich własnemu losowi. Kiedyś (tego także dowiedziałem się od Janeel) miała tu być kwitnąca kolonia, założona przez garstkę zapaleńców, którzy pragnęli wzbogacić się na handlu. Wiedziała tak wiele, a ja tak niedużo, teraz jednak, kiedy ją pochowałem i splunąłem na jej grób, wiele rzeczy stało się dla mnie jasnych. Jeśli naprawdę byli niewolnikami, to chyba bardzo leniwymi i krnąbrnymi, skoro panowie ukarali runnów, wtrącając ich do piekła rozjaśnionego bezlitosnym blaskiem gwiazdy śmierci.

Ostatni statek z zaopatrzeniem dotarł do nas pół roku temu. Mogliśmy nim odlecieć. Zaraza już szalała. Latawce bezradnie pelzały po zboczach, spadały z urwisk. Coraz częściej znajdowałem je u podnóża skalnych ścian, z poszarpanymi skrzydłami i głębokimi ranami, z których sączyła się bezbarwna ciecz. Nocni łowcy zjawiali się pokryci ropiejącymi wrzodami i kupowali od nas parasole, aby uchronić się przed promieniami gwiazdy śmierci. Kiedy statek wylądował, mogliśmy wejść na jego pokład i odlecieć, ale Janeel uparła się, żeby zostać. Znała nazwy chorób, które zabijały latawce i nocnych łowców. Znała nazwy leków, które miały uratować te stwory. Myślała, że jeśli coś zostanie nazwane, to od razu przestanie być groźne. Liczyła na to, że będziemy uzdrowicielami, zdobędziemy ich zaufanie, a potem bez trudu zbijemy ogromny majątek. Wykupiła cały zapas leków ze statku, zamówiła kolejny transport, po czym przystąpiliśmy do walki z chorobami.

Znała również nazwę następnej zarazy, a także wszystkich, które nadeszły później. Było ich tak wiele, że w końcu straciliśmy rachubę. Najpierw skończyły się nam leki, wkrótce potem zabrakło nazw, dziś o świecie zaś zacząłem kopać jej grób. Była wysportowaną kobietą prowadzącą bardzo aktywny tryb życia, jednak po śmierci zrobiła się całkiem sztywne, a jej ciało potwornie spuchło. Grób musiał być bardzo duży, żeby pomieścić sztywne, opuchnięte zwłoki. Mnie dopadła inna, bezimienna choroba. Przy każdym ruchu pali mnie od środka żywy płomień, a moja skóra zszarzała i stała się bardzo krucha. Codziennie rano znajduję w pościeli mnóstwo jej fragmentów; otwarte rany, które pozostały w miejscach, gdzie odpadła, nie chcą się goić.

Gwiazda śmierci wisi niemal dokładnie nad moją głową, ogromna i oślepiająco jasna. Teraz już wiem, dlaczego świeci białym światłem. Biel jest kolorem czystości, a ona oczyszcza tę planetę, nawet jeśli chwilowo każde jej dotknięcie kończy się cierpieniem i

rozkładem. Ironia losu, prawda?

Przywieźliśmy mnóstwo broni, sprzedaliśmy niewiele. Broń nie mogła pomóc nocnym łowcom i latawcom w walce z tym przeciwnikiem, więc niemal od początku parasole cieszyły się znacznie większym wzięciem niż lasery. Zabrałem z magazynu miotacz i nalałem sobie kieliszek czerwonego wina.

Posiedzę tutaj, w chłodzie, opowiem o wszystkim temu kryształowi, wypiję wino i jeszcze trochę popatrzę na nieliczne ocalałe latawce, szybujące na tle mroczniejącego nieba. Z daleka naprawdę wyglądają jak mewaki. Dopiję wino do końca, spróbuję sobie przypomnieć szum morza na Razyarze, w który kiedyś się wsłuchiwałem, marząc o gwiazdach, a kiedy kieliszek będzie pusty, sięgnę po miotacz.

(długie milczenie)

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Janeel znała wiele słów i nazw, ale dzisiaj ją pochowałem.

(długie milczenie)

Jeśli ktoś to znajdzie...

(krótka przerwa)

Jeśli ktoś znajdzie to nagranie już po tym, jak gwiazda śmierci zgaśnie (a nocni łowcy twierdzą, że w końcu to nastąpi), niech nie da się zwieść: to nie jest przyjazna planeta. Tutaj rządzą śmierć, niezliczone choroby i cierpienie. Prędzej czy później, gwiazda śmierci zabłyśnie ponownie.

(długie milczenie)

Wina już nie ma.

(koniec nagrania)

GWIAZDA ŚMIERCI

- Nie - stwierdził stanowczo Kaj Nevis. - Wykluczone. Musielibyśmy być idiotami, żeby wybrać właśnie któryś z tych ogromnych transportowców.

- Niby czemu? - prychnęła Celise Waan. - Przecież musimy się tam jakoś dostać, prawda? Wiele razy wynajmowałam statki w Starslipie i wiem, że są bardzo wygodne. Załoga zawsze jest uprzejma, a jedzenie co najmniej przyzwoite.

Nevis posłał jej miażdżące spojrzenie. Miał twarz jakby stworzoną do wyrażania mało przyjaznych uczuć: o wyjątkowo ostrych rysach, z ogromnym zakrzywionym nosem i maleńkimi czarnymi oczami ukrytymi pod krzaczastymi brwiami.

- Po co je wynajmowałaś?

- W celu przeprowadzenia wypraw badawczych, ma się rozumieć - odparła Celise Waan, po czym wzięła z talerza kolejną kremową kulkę i wsunęła ją do ust. - Nadzorowałam wiele ważnych programów naukowych. Pieniądze przychodziły z Centrum.

- Jeśli pozwolisz, zwrócę ci uwagę na kilka oczywistych faktów - powiedział Nevis lodowatym tonem. - To nie jest wyprawa badawcza. Nie zamierzamy analizować seksualnych obyczajów ras prymitywnych. Nie będziemy grzebać w poszukiwaniu zapomnianej wiedzy, która teraz nikomu się na nic nie przyda. Zawiązaliśmy nasz mały spisek w celu zdobycia skarbu nieoszacowanej wartości. Jeżeli uda nam się go znaleźć, z pewnością nie oddamy go władzom. Potrzebujecie mnie, bo tylko ja będę wiedział, w jaki sposób upłynnić go, wykorzystując nie do końca legalne sposoby, co nie przeszkadza wam darzyć mnie tak nikłym zaufaniem, że nie chcecie mi powiedzieć, dokąd właściwie polecimy, a obecny tu Lion wynajął sobie nawet osobistą ochronę. Proszę bardzo, mnie to nie przeszkadza, ale zrozumcie jedno: tutaj, na ShanDellor, nie jestem jedynym człowiekiem niegodnym zaufania. Ktoś taki jak ja może tutaj w każdej chwili zarobić całkiem duże pieniądze, więc jeśli zamierzacie w dalszym ciągu trzymać mnie z opaską na oczach i wygadywać głupoty o jedzeniu na statkach, to ja rezygnuję. Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Celise Waan ponownie prychnęła pogardliwie. Była potężną, bynajmniej nie szczupłą kobietą o wielkiej czerwonej twarzy i donośnym wilgotnym prychnięciu.

- Starslip ma dobrą reputację, a poza tym przepisy regulujące prawa własności do znalezionych obiektów...

- ...nie mają najmniejszego znaczenia - wpadł jej w słowo Nevis. - Inne przepisy obowiązują tutaj, na ShanDellor, inne na Kleronomasie, jeszcze inne na Mai, a i tak wszystkie nie są warte funta kłaków. Gdyby potraktowano nas według prawa ShanDi, dostalibyśmy

zaledwie jedną czwartą wartości. Zakładając, że Lion ma rację i że ta wasza gwiazda śmierci jest właśnie tym, za co ją uważacie, i że jeszcze działa, ten, kto dostanie ją w swoje ręce, zdobędzie niekwestionowaną przewagę militarną w naszym sektorze. Starslip oraz wszystkie pozostałe korporacje transportowe są co najmniej równie chciwe i zaborcze jak ja; różnica polega na tym, że są również cholernie potężne, do tego stopnia, że większość planetarnych rządów z niepokojem śledzi ich poczynania. Nie wiem, czy zwróciliście uwagę na ten drobny fakt, ale jest nas tylko czworo... Pięcioro, jeśli liczyć również najemników. - Spojrzał na Rikę Dawnstar, która obdarzyła go lodowatym uśmiechem. - Mniej, niż jest kucharzy na dużym liniowcu, a nawet na małym statku kurierskim zostalibyśmy w okamgnieniu zdeptani przez załogę. Czy wyobrażacie sobie, że pozwolą nam zachować naszą zdobycz, kiedy już się zorientują, ile jest warta?

- Jeśli nas oszukają, podamy ich do sądu - odparła niezbyt pewnym tonem gruba antropolog i zgarnęła z talerza ostatnią kulkę.

Kaj Nevis wybuchnął gromkim śmiechem.

- Do jakiego sądu? Na jakiej planecie? Żeby to zrobić, musielibyśmy przede wszystkim pozostać przy życiu, a na to bym zanadto nie liczył. Słowo daję, jesteś nie tylko koszmarnie brzydka, ale i wręcz niewyobrażalnie głupia!

Jefri Lion przysłuchiwał się kłótni z niewyraźną miną.

- Dajcie spokój - przemówił wreszcie. - Nie powinniśmy tracić zimnej krwi. Bądź co bądź, to nasza wspólna sprawa.

Lion był niskim barczystym mężczyzną w wojskowej bluzie maskującej, udekorowanej baretkami z jakiejś zapomnianej kampanii. W mrocznym wnętrzu małej restauracji bluza przybrała szaroburą barwę, niemal identyczną jak starannie przystrzyżona broda jej właściciela. Wysokie czoło mężczyzny pokryte było błyszczącą warstewką potu. Wiedząc, jaką reputacją cieszy się Kaj Nevis, niezbyt pewnie czuł się

w jego towarzystwie. Spojrzał na pozostałych, jakby oczekiwał od nich wsparcia.

Celise Waan wydeła usta i wbiła wzrok w talerz, jakby liczyła na to, że w ten sposób ponownie napełni go śmietankowymi kulkami. Rica Dawnstar - „najemnik”, jak nazwał ją Nevis - z kpiącym błyskiem w zielonych oczach rozparła się w fotelu. Jej długie, kościste ciało okryte nieforemnym jednoczęściowym kombinezonem i elastyczną zbroją uplecioną z supercienkiej stalowej przędzy, było zupełnie rozluźnione. To nie jej problem, jeśli pracodawcy uznali za stosowne tracić czas na bezproduktywne dyskusje.

- Obelgami niczego nie załatwimy - odezwał się Anittas. Nie sposób było stwierdzić, o czym myśli wysoki cybertech. Jego twarz, składająca się w równych proporcjach z lśniącego

metal, przezroczystego plastiku i ciała, nie wyrażała żadnych uczuć. Splótszy błyszczące stalowe palce prawej ręki z brązowymi końcówkami czuciowymi lewej, przyglądał się Nevisowi srebrzystymi oczami osadzonymi w czarnych plastikowych oczodołach. - Kaj Nevis zwrócił nam uwagę na kilka istotnych szczegółów. W przeciwieństwie do nas, jest specjalistą w tych sprawach. Skoro już zaprosiliśmy go do naszego grona, powinniśmy uwzględnić jego rady.

- Słusznie - poparł cybertecha Jefri Lion. - W takim razie, co proponujesz, Nevis? W jaki sposób możemy dotrzeć do gwiazdy śmierci, skoro nie wolno nam korzystać z usług korporacji transportowych?

- Potrzebujemy statku - stwierdziła Celise Waan. Kaj Nevis uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Korporacje transportowe nie mają monopolu na statki kosmiczne. Właśnie dlatego zaproponowałem, żebyśmy spotkali się nie w biurze Liona, tylko tutaj. Knajpa jest w pobliżu portu, więc jestem prawie pewien, że znajdziemy tu naszego człowieka.

- Czy to jakiś wolny strzelec? - zapytał Jefri Lion z powątpiewaniem w głosie. - Większość z nich, jak by to powiedzieć... nie cieszy się najlepszą opinią.

- Ja też - zwrócił mu uwagę Nevis.

- Podobno trafiają się wśród nich przemytnicy, a nawet piraci. Czy naprawdę musimy ryzykować?

- Nie musimy i nie ryzykujemy - odparł Kaj Nevis. - Dowcip polega na tym, żeby znaleźć właściwego człowieka, a ja znam mnóstwo ludzi, tych właściwych i niewłaściwych. Widzicie tę ciemnoskórą kobietę obwieszoną czarną biżuterią? - Wskazał ją lekkim ruchem głowy. - To Jessamyn Caige, właścicielka i kapitan „Wolnego Handlu”. Z pewnością przyjąłaby naszą propozycję, nawet zbytnio nie targując się o cenę.

Celise Waan dyskretnie zerknęła we wskazanym kierunku.

- A więc to ona? Mam nadzieję, że na jej statku działa sztuczna grawitacja, bo w stanie nieważkości robi mi się niedobrze.

- Kiedy zamierzasz złożyć jej propozycję? - zapytał Jefri Lion.

- Nie zamierzam - odparł Nevis. - Parę razy zlecałem jej przewiezienie towaru, ale na pewno nie zaryzykowałbym podróży tym wrakiem, nie mówiąc już o wtajemniczeniu jej w tak poważną sprawę. Załoga „Wolnego Handlu” składa się z dziewięciu osób; wystarczy, żeby rozprawić się ze mną i moją obstawą. Bez obrazy, Lion, ale w takich sprawach wy zupełnie się nie liczycie.

- Myślałem, że wiesz, iż jestem żołnierzem - powiedział Jefri Lion urażonym tonem. -

Uczestniczyłem w wielu bitwach.

- Sto lat temu. Jessamyn załatwiłaby nas bez drgnienia powieki. - Uważnie przyjrzał się otaczającym go twarzom.- Właśnie dlatego mnie potrzebujecie. Jesteście tak naiwni, że gdyby nie ja, zaangażowalibyście Jessamyn albo wynajęlibyście statek od którejś z korporacji.

- Moja siostrzenica pracuje dla dość znanego niezależnego kupca - odezwała się Celise Waan.

- Kto to taki?

- Noah Wackerfuss, ze „Świata Wyprzedaży”. Nevis skinął głową.

- Gruby Noah. Znam, znam. Z pewnością wszyscy świetnie byśmy się bawili, bo na jego statku zawsze panuje zerowa grawitacja. Ciężenie zabiłoby starego degenerata. Trzeba przyznać, że Wackerfuss nie jest szczególnie okrutny. Szansę na to, żeby nas nie zabił, oceniam na pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. Niestety, jest za to nieprawdopodobnie chciwy i przebiegły. W najlepszym razie wymógłby dopuszczenie go do spółki, w najgorszym sam zgarnąłby całą pulę. Dwudziestoosobowa załoga „Świata Wyprzedaży” składa się wyłącznie z kobiet. Zapytałaś może kiedyś swoją siostrzenicę, co konkretnie należy do jej obowiązków?

Na okrągłej twarzy Celise Waan wykwitł szkarłatny rumieniec.

- Czy naprawdę muszę wysłuchiwać insynuacji tego typka? -zapytała Liona. - Przecież to moje odkrycie! Słowo daję, nie zniosę więcej zniewag!

- Słowne utarczki do niczego nie doprowadzą - powiedział Jefri Lion pojednawczym tonem. - Nevis, nie musisz na każdym kroku podkreślać swojej fachowości. Nie bez powodu zwróciliśmy się właśnie do ciebie. Z pewnością masz jakiś pomysł, kogo powinniśmy zaangażować?

- Oczywiście - przyznał Nevis.

- Więc mów - ponaglił go Anittas.

- Mój kandydat też jest niezależnym kupcem, choć skłamałbym, twierdząc, że powodzi mu się znakomicie. Od pół roku standardowego czeka na jakiegokolwiek zlecenie, więc przypuszczam, że skorzysta z pierwszej okazji, jaka mu się nadarzy. Ma niewielki obdrapany statek o idiotycznej, długiej nazwie, na pewno nie luksusowy, ale sprawny i niezawodny, co ma znacznie większe znaczenie. Nie musimy zaprzętać sobie głowy załogą, bo jej nie zatrudnia, a na dodatek on sam jest trochę... nazwijmy to, dziwny. Wątpię, żeby z jego strony groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. To wielkie chłopsko, ale miękkie, dosłownie i w przenośni. Hoduje koty, nie przepada za ludźmi, żłopie mnóstwo piwa i je stanowczo za dużo. Chyba nawet nie nosi broni. Według informacji, jakie udało mi się

zebrać, ledwo wiąże koniec z końcem, tłukąc się od planety do planety i sprzedając rozmaite głupstwa. Wackerfuss uważa go za kompletnego niedojopa, ale nawet jeśli się myli, to co może przeciwko nam działać jeden człowiek? W najgorszym razie, gdyby do czegokolwiek doszło, ja i wasz najemnik pozbedziemy się go i nakarmimy nim jego koty.

- Nie zgadzam się! - zaprotestował Jefri Lion. - Nie chcę żadnych trupów!

- Doprawdy? - zdziwił się Nevis, po czym wskazał Rikę Dawns-tar. - Skoro tak, to po co ją zatrudniasz? - Uśmiechnął się obleśnie do kobiety, a ona zrewanżowała mu się okrutnym skrzywieniem ust. - Oho! - powiedział przyciszonym głosem. - Wiedziałem, że tu przyjdzie. Oto on, we własnej osobie.

Nikt z nich, może z wyjątkiem Riki Dawnstar, nie miał wielkiego doświadczenia w tajnych operacjach, wszyscy bowiem jak na komendę odwrócili się do drzwi i wytrzeszczyli oczy na człowieka, który właśnie wszedł do lokalu. Był bardzo wysoki - prawie dwa i pół metra - i dźwigał przed sobą ogromne, szeroko rozlane brzuszysko. Trzymał się bardzo prosto, miał duże dłonie, pozbawioną wyrazu pociągłą twarz, cerę białą jak kreda i skórę zupełnie pozbawioną włosów. Ubrany był w jaskrawoniebieskie spodnie i kasztanową koszulę o bufiastych rękawach z wytartymi, lekko postrzępionymi mankietami.

Chyba poczuł na sobie ich wzrok, odwrócił bowiem ku nim doskonale obojętną twarz i zrewanżował się pustym spojrzeniem. Pierwsza opuściła oczy Celise Waan, potem uczynił to Jefri Lion, a na końcu Anittas.

- Kto to jest? - zapytał cyborg.

- Wackerfuss mówi na niego Tuffy - powiedział Nevis. - Naprawdę nazywa się Haviland Tuf.

Haviland Tuf z delikatnością zupełnie nie pasującą do jego rozmiarów usunął z pola gry ostatni zielony pion, wyprostował się i z satysfakcją przyjrzał się planszy. Było na niej czerwono: czerwone krążowniki, czerwone niszczyce, czerwone warownie i czerwone forty planetarne.

- Wygląda na to, że będę zmuszony ogłosić swoje zwycięstwo.

- Znowu! - westchnęła Rica Dawnstar, po czym przeciągnęła się, by rozprostować zdrętwiałe mięśnie. Skulona w fotelu, spędziła przy planszy kilka godzin. Poruszała się płynnie jak lwica i ani na chwilę nie rozstawała się z igłaczem. Teraz miała go w kaburze pod pachą.

- A gdybym zdobył się na śmiałość i zaproponował jeszcze jedną partię? - zapytał Tuf.

- Wielkie dzięki - odparła Dawnstar i roześmiała się głośno. - Jesteś w tym zbyt dobry.

Co prawda mam we krwi zamiłowanie do hazardu, ale z tobą to żaden hazard, bo z góry można przewidzieć wynik. Znudziło mi się przegrywanie.

- Przyznam, że do tej pory sprzyjało mi nadzwyczajne szczęście - powiedział Haviland Tuf. - Bez wątplenia wyczerpałem już cały jego zapas, w związku z czym podczas najbliższego starcia pokona mnie pani bez trudu.

- Och, ja też w to nie wątpię, ale jeśli pozwolisz, zaczekam do chwili, kiedy dojdę do wniosku, że umieram z nudów. Na pocieszenie pozostaje mi świadomość, że przynajmniej jestem lepsza od Liona. Zgadza się, Jefri?

Jefri Lion siedział w kącie sterowni, wertując stosy starych wojskowych czasopism. Maskująca bluza upodobniła się do głębokiego brązu syntetycznego drewna, którym obito grodz.

- W tej grze nie sprawdzają się podstawowe zasady sztuki wojennej - odparł z irytacją.
- Zastosowałem identyczną taktykę co Stephen Cobalt Northstar, kiedy dowodził 13. Flotą w wojnie o Hrakkean.

Odpowiedź Tufa była pozbawiona najmniejszego sensu. Na prawdziwym polu walki przegrałby z kretelem.

- Zaiste - rzekł Haviland Tuf. - Ma pan nade mną ogromną przewagę. Bądź co bądź, jest pan znakomitym znawcą historii wojskowości, ja zaś tylko skromnym kupcem. Nie dysponuję nawet częstką pańskiej ogromnej wiedzy dotyczącej wielkich bitew historii. Nie wątpię, iż swoje zwycięstwa mogę zawdzięczać wyłącznie niedoskonałości zasad rządzących grą oraz własnej niewybaczalnej ignorancji, tym bardziej więc pragnąłbym uzupełnić rażące luki w moim wykształceniu. Gdyby zechciał pan raz jeszcze zasiąść do gry, mógłbym starannie przeanalizować pańską mistrzowską strategię i wzbogacić skromny arsenał środków, jakimi jestem zmuszony się posługiwać, nieudolnie dążąc do zwycięstwa.

Jefri Lion, którego srebrzysta flota nieodmiennie pierwsza znikwała z planszy podczas wszystkich dotychczasowych rozgrywek, odchrząknął i podrapał się po głowie.

- Widzisz, Tuf...

Z niezręcznej sytuacji wybawiły go przeraźliwy wrzask oraz stek przekleństw, które dobiegły z sąsiedniego pomieszczenia. Haviland Tuf z zaskakującą zwinnością poderwał się na nogi i ruszył do wyjścia ze sterowni. Rica Dawnstar deptała mu po piętach.

W chwili, kiedy wyszli na korytarz, z kajuty mieszkalnej wypadła Celise Waan, ścigając małe czarno-białe stworzenie, które przecisnęło się między ich nogami i umknęło do sterowni.

- Łapać go! - wrzasnęła Celise. Miała czerwoną, nabrzmiałą twarz, a jej oczy miały

wściekle błyski.

Drzwi były wąskie, Haviland Tuf wysoki i szeroki.

- W jakim celu, jeśli można wiedzieć? - zapytał, zastępując jej drogę.

Antropolog pokazała mu lewe przedramię. Widniały na nim trzy krótkie, ale dość głębokie zadrapania, z których sączyła się krew.

- Zobacz, co ten drań mi zrobił!

- Zaiste - odparł Tuf. - A co pani jemu zrobiła? Z kajuty wyszedł uśmiechnięty złośliwie Kaj Nevis.

- Wzięła go za kark, żeby rzucić nim o ścianę - wyjaśnił.

- Leżał na moim łóżku! - zaskrzeczała Celise. - Chciałam uciąć sobie drzemkę, przychodzę, patrzę, a ten drań leży na moim łóżku! - Gwałtownie odwróciła się do Nevisa. - A ty przestań głupio szczyrzyć zęby! Wystarczy, że w piątkę musimy tłoczyć się na tym zasmarkanym dziadowskim statku. Nie zgadzam się, żeby przez cały czas pętały mi się pod nogami jakieś obrzydliwe zwierzęta! To wszystko twoja wina, Nevis. Ty nas w to wpakowałaś, więc teraz zrób coś. Żądam, żeby Tuf natychmiast pozbył się tych szkodników, rozumiesz? Natychmiast!

- Przepraszam...

Tuf obejrzał się przez ramię, po czym odsunął się na bok.

- Czy właśnie tego szkodnika masz na myśli? - zapytała Dawnstar, wyłaniając się ze sterowni. Lewą ręką tuliła do piersi kota, prawą głaskała go po futrze. Było to ogromne kocisko o długiej szarej sierści i żółtych, arogancko patrzących ślepiach. Z pewnością ważył co najmniej dziesięć kilogramów, jednak Rica trzymała go bez najmniejszego wysiłku, jakby był maleńkim kociakiem. - Co, twoim zdaniem, Tuf powinien zrobić z Muchomorem?

Kot zaczął mruzczyć.

- Ten, który mnie skaleczył, był mniejszy i czarno-biały, ale z tego też jest kawał drania. Spójrzcie na moją twarz! Zobaczcie, co ze mną zrobiły! Ledwo oddycham, ciągle się pocę, a jak tylko położę się spać, zaraz któryś z nich ładuje mi się na pierś! Wczoraj przygotowałam sobie małą przekąskę, ale musiałam na chwilę wyjść, a kiedy wróciłam, ten czarno-biały bawił się na podłodze moimi ciastkami! Nic nie da się ukryć przed tymi potworami. Straciłam już dwa pióra świetlne i ulubiony pierścionek, a teraz to... ta... ten niesłychany akt agresji! Mam tego dosyć. Domagam się stanowczo, żeby te zwierzęta natychmiast zostały zamknięte w ładowni. Natychmiast, słyszysz mnie?

- Dziękuję, wciąż cieszę się dość dobrym słuchem - odparł Haviland Tuf. - Jeśli do końca naszej podróży nie odzyska pani swojej własności, z przyjemnością wynagrodzę pani

wszelkie straty, jeżeli jednak chodzi o pani prośbę dotyczącą Muchomora i Furi, to co prawda z przykrością, jednak będę zmuszony odmówić.

- Jestem pasażerem tej kupy złomu, która nie wiadomo czemu udaje statek kosmiczny!
- zawyła Celise.

- Widzę, że z niewiadomych powodów wątpi pani nie tylko w sprawność mojego sluchu, ale także w inteligencję. To oczywiste, że jest pani tutaj pasażerem. Nie musi pani o tym nikomu przypominać. Pozwolę sobie jednak zwrócić pani uwagę, że statek, który tak beztrudnie pani obraża, choć może skromny i nie najnowocześniejszy, stanowi jednak cały mój dobytek i jest moim domem. Co więcej, choć jako pasażer z pewnością cieszy się pani pewnymi przywilejami, logika nakazuje, aby Muchomorowi i Furi przysługiwały przywileje jeszcze rozleglejsze, a to z tej prostej przyczyny, że oboje są stałymi mieszkańcami tego lokalu, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Nie mam zwyczaju brać pasażerów na pokład „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”. Jak z pewnością zauważyliście, z trudem sam mieszczę się w jego ciasnych pomieszczeniach; niestety, ostatnio poniosłem dość bolesne straty finansowe i nie będę ukrywał faktu, że w chwili, kiedy Kaj Nevis złożył mi swoją propozycję, bliski byłem wyczerpania zapasu kredytek. Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić wam jak największe wygody na pokładzie mego statku, który pani darzy trudną do wytłumaczenia pogardą, do tego stopnia, że udostępniłem wam część mieszkalną, sam zaś umościłem sobie legowisko w sterowni. Przeczuję, że coraz szybszymi krokami zbliża się chwila, kiedy mimo wszystko zacznę żałować, że uległem głupiemu altruistycznemu impulsowi, który kazał mi zabrać was na pokład, tym bardziej że moje wynagrodzenie z trudem wystarczyło na uzupełnienie zapasów paliwa i żywności oraz uiszczenie opłat portowych. Zaczynam podejrzewać, iż z zimną krwią wykorzystaliście moją ciężką sytuację finansową, niemniej jednak jestem człowiekiem honoru i uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby bezpiecznie dostarczyć was do tajemniczego celu waszej podróży. W zamian oczekuję, że będziecie przynajmniej tolerować obecność Muchomora i Furi, tak samo jak ja toleruję waszą.

- Niesłychane! - parsknęła z wściekłością Celise Waan.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf.

- Nie zamierzam ani chwili dłużej znosić takiego traktowania - oświadczyła antropolog. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy tłoczyć się tu jak żołnierze w koszarach. Z zewnątrz ten statek nie wyglądał na aż tak mały! - Wyciągnęła pulchną rękę. - Dokąd prowadzą te drzwi?

- Do luków, szanowna pani - wyjaśnił spokojnie Tuf. - Jest ich szesnaście i nawet

najmniejszy ma objętość dwukrotnie większą od mojej skromnej kwatery.

- Aha! - wykrzyknęła triumfalnie Waan. - Wiesz jakiś ładunek?

- Luk numer szesnaście jest wypełniony po brzegi plastikowymi kopiami masek używanych przez mieszkańców planety Coogli podczas orgiastycznych obrzędów. Niestety, nie udało mi się sprzedać masek na ShanDellor, co zawdzięczam wyłącznie nieuczciwej konkurencji ze strony Noaha Wackerfussa, który podstępnie obniżył cenę, w ten sposób pozbawiając mnie nadziei na choćby najskromniejszy zysk. W luku numer dwanaście zgromadziłem rzeczy osobiste, rozmaite pamiątki, drobiazgi i bibeloty. Pozostałe luki są puste.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Celise Waan. - Wobec tego urządzimy sobie z nich jednoosobowe kajuty. Myślę, że nie będzie problemu z przeniesieniem posłań?

- Najmniejszego - potwierdził Haviland Tuf.

- W takim razie na co czekasz? - parsknęła antropolog.

- Jak sobie pani życzy - odparł Tuf. - Czy zechce pani również wypożyczyć skafander próżniowy?

- A po co, do jasnej cholery?

- W lukach nie ma systemu podtrzymywania życia - poinformowała ją Rica Dawnstar, zanim Tuf zdążył otworzyć usta. - Nie ma też powietrza. Ani ogrzewania. Ani ciśnienia. Ani nawet grawitacji.

- Powinno być ci tam całkiem wygodnie - wtrącił się Kaj Nevis.

- Zaiste - podsumował Haviland Tuf.

Na statku kosmicznym pojęcia „dzień” i „noc” nie mają żadnego znaczenia, niemniej jednak cykl funkcjonowania ludzkich organizmów narzuca pewien rytm, do którego musi dostosować się technologia. Z tego właśnie powodu co kilkanaście godzin na pokładzie „Rogu Obfitości” - tak jak na wszystkich statkach kosmicznych, z wyjątkiem okrętów bojowych i gigantycznych transportowców, gdzie obowiązuje system trzywachtowy - zapadały ciemność i cisza. Nadchodziła pora snu.

Rica Dawnstar podniosła się z koi i odruchowo sprawdziła igłacz. Celise Waan chrapała głośno, Jefri Lion poruszał się niespokojnie, tocząc we śnie zażarte bitwy, Kaj Nevis śnił o bogactwie i władzy. Cybertech również spał, choć był to zupełnie inny, znacznie głębszy sen. Aby uciec przed nudą długiej podróży, Anittas ułożył się na koi, podłączył do głównego komputera statku i przeszedł w stan spoczynku. Jego cybernetyczna połowa nadzorowała funkcjonowanie organicznej. Oddychał niezmiernie powoli i regularnie,

znacznie obniżył temperaturę ciała i prawie nie zużywał energii, ale jego pozbawione powiek, srebrzyste sensory pełniące funkcję oczu od czasu do czasu poruszały się nieznacznie, jakby śledziły rozgrywające się przed nimi, niewidoczne dla innych, sceny.

Rica bezszelestnie wyślizgnęła się z pomieszczenia i stanęła w otwartych drzwiach sterowni. Haviland Tuf siedział przy głównym pulpicie z ogromnym szarym kocurem na kolanach i dużymi białymi rękami nad klawiaturą komputera. Furia, mała czarno-biała kotka, bawiła się u jego stóp, turlając po podłodze pióro świetlne. Tuf nie usłyszał Riki; nikt jej nigdy nie słyszał, chyba że sama tego chciała. Oparta o futrynę, przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Nie śpisz - powiedziała wreszcie.

Tuf odwrócił się razem z fotelem i spojrzał na nią z kamienną twarzą.

- Cóż za zdumiewająco logiczny wniosek - odparł. - Siedzę oto przed panią, przytomny i pogrążony w pracy, pani zaś, opierając się wyłącznie na powierzchniowej obserwacji, stwierdza bezbłędnie, że nie śpię. Doprawdy, jestem pełen podziwu.

Rica weszła do sterowni i usiadła na koi Tufa. Równiutko złożona pościel była nietknięta od poprzedniego okresu spoczynku.

- Ja też nie śpię - oznajmiła z uśmiechem.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Lepiej uwierz, Tuf. Nie potrzebuję wiele snu, najwyżej dwie albo trzy godziny na dobę. W moim fachu to zaleta.

- Nie wątpię.

- Ale podczas długiej podróży to raczej poważna wada. Cholernie się nudzę.

- Może więc zechciałaby pani rozegrać ze mną jedną albo dwie partyjki?

- Chętnie, tyle że myślę o zupełnie innej grze.

- Wprost uwielbiam poznawać nowe gry.

- Znakomicie. W takim razie zagramy w Konspirację.

- Obawiam się, że nie znam jej reguł.

- Och, są dziecinnie proste.

- Zaiste. - Na bladej pociągłej twarzy Tufa nie drgnął żaden mięsień. - Czy mogłaby pani wyrażać się nieco jaśniej?

- Nie zwyciężyłbyś w ostatniej rozgrywce, gdyby Waan połączyła ze mną swoje siły, kiedy jej to zaproponowałam. Sojusze przynoszą korzyści wszystkim uczestniczącym w nich stronom. Ty i ja zupełnie nie pasujemy do tego towarzystwa. Zostaliśmy wynajęci. Jeśli informacje Liona na temat gwiazdy śmierci okażą się prawdziwe, tamta czwórka podzieli

między siebie wręcz niewyobrażalną fortunę, a ty i ja dostaniemy tylko nędzną jałmużnę. Moim zdaniem, to nie jest sprawiedliwe.

- Trudno jest zdefiniować sprawiedliwość, jeszcze trudniej zaś ją osiągnąć - odparł Haviland Tuf. - Naturalnie, mógłbym sobie życzyć, żeby moje wynagrodzenie było wyższe, ale podobne pragnienia żywi z pewnością wiele osób. Takie właśnie honorarium wynegocjowałem i nic na to nie poradzę.

- Można zażądać wznowienia negocjacji - stwierdziła Rica Dawnstar. - Oni nas potrzebują, Tuf. Obojga. Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy połączyli siły, moglibyśmy... eee... moglibyśmy uzyskać lepsze warunki. Na przykład równy udział w zyskach. Co o tym myślisz?

- Interesująca propozycja - przyznał kupiec. - Co prawda niektórzy mogliby zarzucać jej nieetyczność, ale z drugiej strony, bez wątpienia urzeka ona szczególną moralną elastycznością.

Rica Dawnstar długo wpatrywała się w nieruchomą twarz Tufa, po czym uśmiechnęła się kwaśno.

- Nie zgadzasz się, prawda? W głębi duszy uważasz, że zawsze i wszędzie należy przestrzegać reguł.

- Reguły stanowią istotę gier, są ich sercem, jeśli zgodzi się pani na tak górnolotne określenie. Nadają naszym nieistotnym zmaganiom sens i znaczenie.

- Czasem znacznie większą przyjemność daje zwalenie figur z planszy - zauważyła Rica. - I szybciej prowadzi do celu.

Tuf splótł długie białe palce.

- Chociaż istotnie nie jestem usatysfakcjonowany moim skromnym wynagrodzeniem, to jednak wywiążę się z umowy, jaką zawarłem z Kajem Nevisem, nie pozwolę natomiast, żeby wyrażał się pogardliwie ani o mnie, ani o „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”.

Kobieta roześmiała się głośno.

- Możesz się nie obawiać. Wątpię, żeby powiedział coś niemilego na twój temat. Wątpię nawet, żeby o tobie pomyślał, kiedy już da ci kopa w tyłek.

Z zadowoleniem stwierdziła, że jej słowa chyba wywarły na Tufie spore wrażenie, ponieważ mrugnął - co prawda tylko raz, ale powoli i z zastanowieniem.

- Zaiste.

- Naprawdę nic cię to nie obchodzi? Nie interesuje cię, dokąd lecimy ani dlaczego Waan i Lion ujawnili cel podróży dopiero wtedy, kiedy wszyscy znaleźliśmy się na

pokładzie? Ani dlaczego Lion wynajął ochroniarza?

Nie odwracając wzroku od Riki Dawnstar, Tuf zaczął głaskać gęste szare futro Muchomora.

- Przyznaję ze wstydem, iż ciekawość należy do moich największych wad. Obawiam się, że przejrzała mnie pani na wylot i teraz zamierza bezwzględnie wykorzystać moją słabość.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Zaiste - mruknął Tuf.

- Ale przecież nikt nie powiedział, że w piekle naprawdę jest nieprzyjemnie - dodała Rica. - Lion wie, że chodzi o coś ogromnego i potwornie niebezpiecznego. Właśnie dlatego potrzebowali kogoś takiego jak Nevis. Teraz jest ich czworo do podziału, ale biorąc pod uwagę opinię, jaką cieszy się Kaj, należy wątpić, czy będzie chciał dotrzymać umowy. Ja mam za zadanie dopilnować, żeby jej dotrzymał. - Wzruszyła ramionami i poklepała broń w kaburze pod pachą. - Oprócz tego stanowią coś w rodzaju ubezpieczenia na wypadek innych, nieprzewidzianych okoliczności.

- Pozwolę sobie zauważyć, że pani obecność również może stać się przyczyną rozmaitych komplikacji.

Obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- Tylko nie mów o tym Lionowi - odparła, po czym wstała i przeciągnęła się. - Przemyśl sobie tę sprawę, Tuf. Moim zdaniem, Nevis cię nie docenił. Nie popełnij tego samego błędu, szczególnie jeśli chodzi o mnie. Nigdy. Może nadejść chwila, kiedy przyda ci się sojusznik. Może nawet prędzej niż przypuszczasz.

Trzy dni przed końcem podróży Celise Waan przestało podobać się jedzenie. Tuf po raz szósty podał na obiad pikantną warzywną brouhaę, przyrządzoną na sposób halagreenński. Antropolog przez jakiś czas grzebała widelcem w potrawie, po czym odsunęła talerz, skrzywiła się i zapytała:

- Czy naprawdę nie moglibyśmy dostać czegoś prawdziwego do jedzenia?

Tuf nabrał na widelec trochę apetycznie pachnącej papki, podniósł ją do oczu, obejrzał uważnie z lewej, z prawej, następnie z góry i z dołu, powąchał, na koniec zaś ostrożnie dotknął palcem.

- Zaiste, nie pojmuję przyczyny pani niezadowolenia - oznajmił wreszcie. - Co prawda moje niedoskonałe zmysły mogą być zawodne, niemniej jednak, jeślibym miał wierzyć ich świadectwu, to musiałbym stwierdzić, że potrawa ta jest stuprocentowo prawdziwa. Rzecz

jasna, wypowiadam się na temat porcji, która trafiła na mój talerz. Można wyobrazić sobie sytuację, że tylko ona jedna istnieje naprawdę, reszta zaś to tylko niematerialne złudzenia, ja jednak nie przypuszczam, aby rzeczy miały się właśnie w ten sposób.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi! - parsknęła Waan. - Chcę mięsa!

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Ja natomiast pragnę ogromnego bogactwa. Takie fantazje, choć bez wątpienia przyjemne, niestety, mają to do siebie, że nadzwyczaj trudno je zrealizować.

- Mam dość tych cholernych warzyw! - zaskrzeczała Celise Waan. - Chcesz powiedzieć, że na całym tym przeklętym statku nie ma ani grama prawdziwego mięsa?

Tuf splótł palce pod brodą.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru wprowadzać pani w błąd - oświadczył spokojnie.

- Ja co prawda nie jadam mięsa, przyznaję jednak ochoczo, iż na pokładzie „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” znajduje się jego niewielki zapas.

Na wykrzywionej grymasem wściekłości twarzy kobiety pojawił się triumfalny uśmiech. Przyjrzała się kolejno pozostałym osobom siedzącym przy stole. Rica Dawnstar na próżno usiłowała zachować powagę, Kaj Nevis nawet nie udawał, że stara się to uczynić, Jefri Lion natomiast sprawiał wrażenie czymś zaniepokojonego.

- A widzicie? - zapytała z mściwą satysfakcją. - Mówiłam, że najlepsze kawałki chowa dla siebie! - Chwyciła swój talerz i rzuciła nim z całej siły. Talerz doleciał do przeciwległej ściany, odbił się i wylądował na nie zasłanej koi Riki Dawnstar, która uśmiechnęła się słodko.

- Nie wiem, czy pamiętasz, Waan, ale właśnie zamieniłyśmy się miejscami.

- Nieważne. - Celise Waan machnęła ręką. - Wreszcie się porządnie najem. Pewnie teraz wszyscy będziecie chcieli się przyłączyć?

- Skądże znowu, moja droga - zapewniła ją Rica, wycierając swój talerz kawałkiem cebulowego chleba.

Lion podrapał się nerwowo po nosie.

- Jeśli zdołasz wyrwać to mięso Tufowi, jest twoje - zapewnił ją pospiesznie Kaj Nevis.

- Wyśmienicie. Tuf, dawaj żarcie na stół! Kupcowi nawet nie drgnęła powieka.

- Rzeczywiście, według umowy, którą zawarłem z Kajem Nevisem, jestem zobowiązany żywić was podczas podróży. Co prawda nie określiliśmy rodzaju pożywienia, niemniej jednak jestem gotów pogodzić się z losem i zastosować się do waszych życzeń. Cóż, zawsze wykorzystywano moją dobroduszość i naiwność i chyba już nie uda mi się tego

zmienić. Tak się jednak składa, że ja również mam pewną zachciankę. Jeśli zgodzę się spełnić pani kaprys, czy pani zgodzi się spełnić mój?

- Co masz na myśli? - zapytała podejrzliwie antropolog.

Tuf rozłożył ręce.

- Doprawdy, nic wielkiego. W zamian za mięso, którego tak pani pożąda, pragnę odrobiny wyrozumiałości. Ostatnio stałem się okropnie dociekliwy i pragnąłbym, aby zaspokoila pani moją ciekawość, mimo iż Rica Dawnstar ostrzegła mnie niedawno, że folgowanie takim zgubnym zachciankom może doprowadzić mnie do mitycznego miejsca zwanego przez niektórych piekłem.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - mruknęła otyła kobieta.

- Zaiste. Mimo to jestem gotów zaryzykować. Proponuję pani transakcję wymienną: pożywienie, którego tak stanowczo się pani domaga, w zamian za maleńki okruh informacji. Wkrótce dotrzemy do układu Hro B'rana, dokąd zażyczyliście sobie, abym was dowiozł. Pragnę wiedzieć, dlaczego postanowiliście tu przybyć oraz czym jest owa tajemnicza gwiazda śmierci, o której tak często rozmawiacie.

Celise Waan ponownie rozejrzała się po twarzach współbiedniaków.

- Domagam się tylko tego, co mi się należy, a on stawia dodatkowe warunki. Jefri, powiedz mu, co o tym myślisz!

- Ehm... - odchrząknął Jefri Lion. - Moim zdaniem, nic się nie stanie, jeśli mu powiesz. I tak już niedługo sam się dowie.

- A ty, Nevis? Ty też się zgadzasz?

- Czemu nie? Przecież teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Powiedz mu, jeśli tak bardzo zależy ci na tym mięsie, albo nie mów, jeśli nie chcesz. Mnie jest wszystko jedno.

Waan jeszcze przez chwilę piorunowała wzrokiem Kaja Nevisa, po czym przeniosła palące spojrzenie na nieruchomą twarz Havalanda Tufa, skrzyżowała ramiona i powiedziała:

- W porządku, skoro tego chcecie. Wyśpiemam wszystko, żeby dostać porządny obiad.

- Wystarczy, jeśli pani zwyczajnie opowie - zapewnił ją Tuf. Kobieta zignorowała jego uwagę.

- Będę się streszczać. Odkrycie gwiazdy śmierci to mój największy sukces i uwieńczenie zawodowej kariery, ale nikt z was nie dysponuje wystarczającą wiedzą ani kulturą osobistą, żeby ocenić i docenić ogrom pracy, jaki w to włożyłam. Pracuję na ShanDellor w Ośrodku Badań nad Historią Rozwoju Kultury i Wiedzy. Specjalizuję się w prymitywnych kulturach, które rozwinęły się na skolonizowanych planetach pozbawionych w wyniku Wielkiej Wojny kontaktu z resztą Wszechświata i ulegających w odosobnieniu

powolnemu rozkładowi. Taki los spotkał wiele zamieszkaných przez ludzi planet i większość z nich została już dokładnie zbadana, ja jednak największą uwagę poświęcałam planetom podbitym przez inne rasy. Jedną z nich była Hro B'rana, niegdyś kwitnąca kolonia i wymarzone miejsce rozrodcze dla Hruun, daktyloidów oraz pomniejszych ras podbitych przez Hrangan, obecnie niemal zupełnie zapomniana i wręcz niewyobrażalnie zacofana. Pozostała na niej zaledwie garstka inteligentnych istot, te zaś, które ocalały, wiodą trudne, krótkie i niebezpieczne życie, chociaż, jak u większości ginących kultur, tam także przetrwały przekazy o dawno minionym złotym wieku. Spośród nich najbardziej interesująca jest legenda o gwiazdzie śmierci.

Warto zaznaczyć, że rozmiary zniszczeń na Hro B'rana są ogromne, a wyludnienie niemal całkowite, pomimo nieszczególnie ciężkich warunków. Dlaczego? Zarówno zdegenerowani potomkowie Hruunów, jak i daktyloidalnych kolonistów, chociaż traktują się z trudną do zrozumienia wrogością i nie utrzymują ze sobą żadnych kontaktów, tłumaczą to w identyczny sposób: gwiazda śmierci. W co trzecim pokoleniu, kiedy już, już wydaje się, że najgorsze minęło, kiedy populacja zaczyna się odbudowywać, gwiazda śmierci zaczyna nagle rosnać dosłownie z tygodnia na tydzień, a kiedy staje się największym i najjaśniejszym obiektem na nocnym niebie, na planetę spadają straszliwe zarazy, każda kolejna gorsza od poprzedniej. Znachorzy i szamani są bezsilni. Zboża gniją albo usychają, zwierzęta giną, trzy czwarte populacji umiera, a ci, co ocaleli, muszą zaczynać wszystko od początku.

Zaraz potem gwiazda śmierci przygasa i maleje, i przez kolejne dwa pokolenia na Hro B'rana panuje spokój. Tak głosi legenda. Haviland Tuf słuchał opowieści z kamienną twarzą.

- Interesujące - powiedział. - Przypuszczam jednak, iż nasza ekspedycja została zorganizowana nie po to, a przynajmniej nie tylko po to, by umożliwić pani kontynuowanie badań?

- Nie - przyznała Celise Waan - chociaż kiedyś miałam taki zamiar, bo uważałam, i nadal uważam, że ta legenda stanowi znakomity materiał na obszerną monografię. Usiłowałam uzyskać od Ośrodka stypendium, które pozwoliłoby mi prowadzić prace badawcze tam, na miejscu, ale moja prośba została załatwiona odmownie. Byłam wściekła na tych krótkowzrocznych głupców. Jedną z osób, którym opowiedziałam o tej sprawie, był mój kolega Jefri Lion.

- Zgadza się - potwierdził Lion. - Jak wiecie, ja z kolei pasjonuję się historią wojskowości. Od razu wyczułem, że może chodzić o coś ważnego i zacząłem grzebać w bazie danych Ośrodka. Co prawda nasze archiwa nie są tak obszerne jak na Avalonie albo Newholme, ale nie miałem czasu na dokładne śledztwo. Należało działać jak najprędzej,

ponieważ moja teoria... a właściwie dużo więcej niż tylko teoria... Krótko mówiąc, uważam, a raczej jestem pewien, że wiem, czym jest owa tajemnicza gwiazda śmierci. To nie legenda, Tuf, tylko prawda! Gwiazda śmierci jest bardzo stara, ale nadal działa i wykonuje polecenia, które wydano jej ponad tysiąc lat temu, przed Upadkiem. Nadal nie wiesz? Naprawdę niczego się nie domyślasz?

- Przyznaję ze wstydem, że nie. Być może dlatego, że brakuje mi pańskiej wiedzy i orientacji w tych sprawach.

- To okręt wojenny, kupcze! Okręt wojenny krążący wokół Hro B'rana po bardzo wydłużonej orbicie eliptycznej. Jedna z najstraszliwszych broni, jakie Stara Ziemia wytworzyła podczas wojny z Hranganami, dysponująca co najmniej równie niszczycielską siłą jak cała mityczna Diabelska Flota, którą rzekomo wysłano w kosmos na krótko przed Upadkiem. Różnica polega na tym, że nasza gwiazda może być wykorzystana z oszałamiającym skutkiem także do pokojowych celów. To skarbnica najbardziej zaawansowanych biogenetycznych osiągnięć Imperium, w pełni sprawne narzędzie zdolne realizować zadania nieosiągalne, wydawałoby się, już dla nikogo!

- Zaiste - bąknął Haviland Tuf.

- To biowojenna jednostka operacyjna Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego! - oznajmił triumfalnie Jefri Lion.

- I jest nasza - dodał z ponurym uśmiechem Kaj Nevis. - Tylko nasza.

Tuf przez parę sekund mierzył Nevisa beznamiętnym spojrzeniem, po czym ledwo dostrzegalnie skinął głową i podniósł się z fotela.

- Moja ciekawość została zaspokojona - oznajmił. - Nie pozostaje mi nic innego, jak wywiązać się z umowy.

- Ach! - westchnęła Celise Waan. - Moje mięsko!

- Jest tego pokaźna ilość, choć przyznaję, że trudno mówić o jakimś urozmaiceniu - dodał Tuf, wyciągając ze schowka spory karton, który następnie wziął pod pachę i przyniósł do stołu. - To cały zapas mięsa, jaki mam na statku. Ufam, iż zdoła przyrządzić je pani w sposób, który będzie pani najbardziej odpowiadał. Niestety, nie mogę ręczyć ani za smak, ani za jakość, ale zapewniam, że do tej pory do moich uszu nie dotarły żadne skargi.

Rica Dawnstar wybuchnęła dzikim śmiechem, Kaj Nevis zarechotał głośno, Haviland Tuf natomiast zaczął metodycznie wyjmować z pudła puszki z karmą dla kotów i ustawiać je przed Celise Waan w szybko rosnącą piramidę. Furia bezszelestnie wskoczyła na stół i zaczęła cichutko mruzczyć.

- Jest mniejszy, niż myślałam - stwierdziła Celise, jak zwykle rozdrażnionym tonem.

- Szanowna pani, wzrok potrafi płać rozmaite figle - odparł Haviland Tuf. - Główny ekran mojego statku ma zaledwie metr średnicy, w związku z czym każdy obiekt, jaki możemy na nim podziwiać, będzie nam się wydawał znacznie mniejszy, niż jest w rzeczywistości. Zapewniam panią, że statek, który teraz widzimy, jest imponujących rozmiarów.

- Jak bardzo imponujących? - zapytał Kaj Nevis.

Tuf splótł palce i położył dłonie na pokaźnej wypukłości brzucha.

- Trudno mi je precyzyjnie określić, ponieważ „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” jest tylko skromną jednostką handlową, wyposażoną w aparaturę nie najnowszej generacji, w związku z czym...

- W takim razie w przybliżeniu - przerwał mu Nevis.

- W przybliżeniu - powtórzył Tuf. - Bardzo proszę. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim się zbliżamy, jestem skłonny ocenić długość tej jednostki na prawie trzydzieści kilometrów, szerokość na pięć, wysokość zaś na trzy, przy czym śródkręcie oraz przednia wieżyczka wznoszą się na niemal kilometr ponad główny pokład.

Wszyscy - nawet Anittas, który obudził się z komputerowego snu zaraz po tym, jak Haviland Tuf wyłączył napęd gwiazdny - zgromadzili się w sterowni i z zapartym tchem wpatrywali się w ekran. Nawet Celise Waan wydawała się do głębi poruszona. W milczeniu pożerali wzrokiem ciemny, wydłużony kształt unoszący się wśród gwiazd. Chociaż przy tym powiększeniu można było dostrzec zaledwie kilka przyćmionych światełek, kolos zdawał się emanować groźną, trudną do zdefiniowania energią, świadczącą o tym, że z pewnością nie jest martwym wrakiem.

- A więc miałem rację... - wyszeptał wreszcie Jefri Lion głosem drżącym ze wzruszenia. - To okręt bojowy Korpusu! Nic innego nie może być aż tak wielkie.

- A niech mnie! - wykrztusił uśmiechnięty od ucha do ucha Kaj Nevis.

- Wątpię, żeby sterowały nim zwykłe komputery - przemówił Anittas. - Stare Imperium dysponowało wiedzą, której teraz nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Czymś tak ogromnym może kierować tylko Sztuczna Inteligencja.

- Jesteśmy bogaci! - wykrzyknęła Celise Waan, przynajmniej na chwilę zapomniawszy o licznych pretensjach. Złapała Jefriego Liona za ręce i puściła się z nim w dziki taniec po sterowni. - Wszyscy jesteśmy bogaci! I sławni!

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią - oświadczył Tuf. - Nie wątpię, że w przyszłości istotnie możecie stać się bogaci, chwilowo jednak nie wzbogaciliście się nawet o

jedną kredytkę, co zaś się tyczy użytego przez panią słowa „wszyscy”, to również nie ma ono odniesienia do rzeczywistości, ponieważ ani Rica Dawnstar, ani ja nie możemy, w przeciwieństwie do was, liczyć na szybką poprawę naszej sytuacji materialnej.

- Masz jakieś zastrzeżenia, Tuf? - zapytał Nevis, mierząc go groźnym spojrzeniem.

- Skądże znowu - odparł kupiec doskonale obojętnym tonem. - Po prostu uściśliłem nieprecyzyjną wypowiedź Celise Waan.

Kaj Nevis skinął głową.

- To dobrze. A teraz, zanim naprawdę się wzbogacimy, musimy wejść na pokład tego olbrzyma i sprawdzić, w jakim jest stanie. Nawet za martwy wrak dostalibyśmy kupę szmalu, ale jeżeli tam jeszcze coś działa...

- Oczywiście, że działa! - wpadł mu w słowo Jefri Lion. - Przecież od tysiąca lat standardowych sprowadza na Hro B'rana śmierć i choroby.

- Słusznie, ale to jeszcze nie wszystko - odparł Nevis. - Nie wiemy, w jakim stanie są silniki, magazyn tkanek i komputery. Czeka nas mnóstwo pracy. Lion, w jaki sposób dostaniemy się na pokład?

- Być może uda się przycumować. Tuf, widzisz tę kopułę?

- Mój wzrok działa bez zarzutu.

- Przypuszczam, że pod nią znajduje się lądowisko. Jest wielkie jak cały port kosmiczny. Gdyby udało nam się ją otworzyć, mógłbyś posadzić tam swój statek.

- Gdyby... - powtórzył z namysłem Haviland Tuf. - Cóż za niezwykle słowo: takie krótkie, a jakże często przesycone rozpaczą i zwątpieniem. - Jakby na potwierdzenie jego słów, pod ekranem zamigotało czerwone światełko. Tuf wycelował w nie długi palec. - Spójrzcie, proszę.

- Co to znaczy? - zapytał Nevis.

- Że ktoś pragnie nawiązać z nami łączność - wyjaśnił kupiec, po czym pochylił się nad konsolą i dotknął mocno już wytartego przycisku.

Gwiazda śmierci znikła z ekranu, jej miejsce zajął zaś mężczyzna w średnim wieku, siedzący w obszernym pomieszczeniu będącym chyba centralą łączności. Miał zmęczoną, poorly głębokimi bruzdami twarz, gęste czarne włosy i błękitnoszare oczy o znużonym spojrzeniu. Ubrany był w mundur jak z historycznego filmu, na głowie zaś miał czapkę z długim daszkiem, opatrzoną złocistą literą teta.

- Tu „Arka” - oznajmił. - Weszliście w naszą strefę obronną. Natychmiast podajcie tożsamość albo zostanieie zniszczeni. To pierwsze ostrzeżenie.

Haviland Tuf wcisnął przycisk nadawania.

- Tu „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” - powiedział głośno i wyraźnie. - Mówi Haviland Tuf, dowódca statku. Jesteśmy pokojowo nastawionymi, nieuzbrojonymi kupcami z ShanDellor. Prosimy o zgodę na przycumowanie.

- Tam są ludzie! - wykrztusiła ze zdumieniem Celise Waan. - Nie wierzę własnym oczom!

- Rzeczywiście, fascynujące - mruknął Jefri Lion, skubiąc broję. - Albo mamy do czynienia z potomkami pierwszej załogi, albo zastosowano pętlę czasową! Tak, oni byli do tego zdolni. Wyobraźcie sobie tylko: pętla czasowa!

- Chcesz mi powiedzieć, że oni żyją już ponad tysiąc lat? - zapytał z niedowierzaniem Kaj Nevis. - I co my pocniemy z tym fantem?

Obraz na ekranie zamigotał, po czym mężczyzna w mundurze Sił Zbrojnych Imperium i czapce z emblematem Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego powiedział:

- Tu „Arka”. Nadajecie niewłaściwym kodem. Znajdujecie się wewnątrz naszej strefy obronnej. Natychmiast podajcie tożsamość albo zostaniecie zniszczeni. To drugie ostrzeżenie.

- Szanowny panie, jestem zmuszony stanowczo zaprotestować! - odparł Tuf. - Nie mamy broni ani żadnych systemów obronnych. Nie mamy także złych zamiarów. Jesteśmy pokojowo nastawionymi kupcami, uczonymi i podróżnikami. Przybywamy w pokoju, a nawet gdyby było inaczej, i tak w żaden sposób nie zdołalibyśmy zagrozić okrętowi tak potężnemu jak „Arka”. Czym zasłużyliśmy sobie na tak wrogie przyjęcie?

Obraz ponownie zamigotał.

- Tu „Arka”. Naruszyliście naszą strefę obronną. Natychmiast podajcie tożsamość albo zostaniecie zniszczeni. To trzecie i ostatnie ostrzeżenie.

- Nagranie! - zawołał Kaj Nevis. - Oczywiście! Żadna hibernacja, żadna pętla czasowa! Tam nikogo nie ma. Jakiś przeklęty komputer odtwarza stare nagranie.

- Obawiam się, że ma pan rację - powiedział Haviland Tuf. - W związku z tym musimy sobie odpowiedzieć na następujące pytanie: jeżeli ów komputer został zaprogramowany, żeby witać zbliżające się statki takim nagraniem, to co jeszcze może on uczynić?

- Kody! - wykrzyknął Jefri Lion i palnął się w czoło otwartą dłonią. - Oczywiście. Kody Sił Zbrojnych Imperium! Mam je wszystkie w kryształach pamięci w moim bagażu. Zaraz je przyniosę.

- Doskonały pomysł - zgodził się Tuf. - Niestety, nie jest pozbawiony pewnych wad. Obawiam się mianowicie, że może nam zabraknąć czasu na odszukanie i zastosowanie właściwego szyfru. - Spojrzał na boczne ekrany. - Nawet na pewno nam go zabraknie,

ponieważ „Arka” właśnie otworzyła do nas ogień. - Wyciągnął rękę ku różnobarwnym przyciskom. - Włączam napęd gwiazdny - oznajmił, ale w chwili, kiedy musnął klawisze czubkami palców, statek zatrzęsł się gwałtownie. Celise Waan wrzasnęła przeraźliwie i runęła na podłogę, Jefri Lion zatoczył się na Anittasa, nawet Rica Dawnstar straciła na chwilę równowagę i musiała chwycić się oparcia fotela. Zaraz potem zgasły wszystkie światła. - Chyba pospieszyłem się z zapowiedzią - rozległ się w kompletnej ciemności głos Havilanda Tufa - albo, co chyba jest bliższe prawdy, spóźniłem się z działaniem.

Długo, bardzo długo czekali w ciszy i ciemności na drugie uderzenie, które miało oznaczać ich koniec. Mijały jednak minuty, a nic się nie działo. Wreszcie ekrany wypełniły się bladym blaskiem, a różnokolorowe światełka i przyciski zaczęły niepewnie migotać, budząc się do życia.

- Trafienie nie uszkodziło wszystkich systemów - oznajmił Haviland Tuf. Siedział wyprostowany w fotelu i przesuwiał długimi palcami po konsolce. - Niebawem otrzymam szczegółowy raport. Być może jednak uda nam się uciec.

Z gardła Celise Waan wydobywało się przejmujące, histeryczne zawodzenie. Antropolog wciąż leżała na podłodze, milkła na chwilę dla nabrania oddechu, po czym znowu zaczynała jęczeć.

- Zamknij się, cholerna krowo! - wrzasnął Kaj Nevis i kopnął ją w bok. Jęk zamienił się w płaczący bełkot. - Tkwimy tu jak kaczki na strzelnicy. Następny strzał rozwali nas na kawałki. Tuf, do stu diabłów, rusz wreszcie tę przeklętą skorupę!

- Poruszamy się przez cały czas - odparł kupiec. - Trafienie, które otrzymaliśmy, nie wpłynęło na zmniejszenie naszej prędkości, zmieniło za to nieco trajektorię lotu. Być może właśnie dlatego systemy obronne „Arki” wstrzymały ostrzał. - Przez chwilę wpatrywał się w rząd jasnozielonych liczb i liter przesuwających się przez jeden z mniejszych ekranów. - Obawiam się jednak, iż mój statek doznał na tyle poważnych uszkodzeń, że nie będzie możliwe włączenie napędu gwiazdnego. Uszkodzeniu uległ również system podtrzymywania życia. Według najnowszych obliczeń za około dziewięć godzin standardowych zabraknie nam tlenu.

Kaj Nevis zaklął soczyście, Celise Waan zaczęła łomotać pięściami w podłogę.

- Mogę się wyłączyć - zaproponował Anittas. - W ten sposób zaoszczędzimy trochę powietrza.

- Powinniśmy jak najprędzej pozabijać koty! - wykrzyknęła Celise histerycznym tonem.

- Czy utraciliśmy sterowność? - zapytała Rica Dawnstar.

- Silniki manewrowe są w pełni sprawne, ale bez napędu gwiazdowego potrzebowalibyśmy około dwóch lat na dotarcie do Hro B'rana. Czworo z nas ma szansę na ocalenie w skafandrach próżniowych; powietrze krąży tam w obiegu zamkniętym, wzbogacane w tlen przez kolonie zmutowanych wirusów.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tkwić przez dwa lata w skafandrze próżniowym! - stwierdziła stanowczo Celise Waan.

- To nawet dobrze się składa - odparł Tuf - ponieważ jest nas sześcioro, skafandry zaś tylko cztery. Pani szlachetne poświęcenie budzi mój najszczerzy podziw, zanim jednak wprowadzimy ten plan w życie, powinniśmy chyba rozważyć jeszcze jedną możliwość.

- Jaką? - zapytał Nevis.

Tuf odwrócił się razem z fotelem i przyjrzał się kolejno pięciorgu pasażerom.

- Gdyby okazało się, że kryształ pamięci, o którym był uprzejmy wspomnieć Jefri Lion, zawiera właściwe kody, być może udałoby nam się połączyć z „Arką”, nie narażając się na dalszy ostrzał.

- Kryształ! - wykrzyknął Lion. W półmroku panującym w sterowni był prawie niewidoczny, ponieważ jego maskująca bluza przybrała głęboki szarobury odcień. - Zaraz go przyniosę!

Co sił w nogach popędził do mieszkalnej części statku.

Muchomor wyłonił się z ukrycia, bezszelestnie przeszedł przez pomieszczenie i z zadziwiającą lekkością wskoczył Tufowi na kolana. Kiedy ten przesunął ręką po długim szarym futrze, kocur zaczął głośno mruczeć. Przyjemny, niski dźwięk podziałał na wszystkich uspokajająco. Może jednak uda się znaleźć wyjście z pozornie beznadziejnej sytuacji?

Jednak Jefri Lion długo nie wracał, kiedy zaś wreszcie w korytarzu rozległy się jego kroki, od razu stało się jasne, że zwiastują nieszczęście.

- Masz go? - zapytał Kaj Nevis.

Lion pokręcił głową i bezradnie rozłożył ramiona.

- Zniknął. Szukałem wszędzie, ale bez rezultatu. Dałbym sobie głowę uciąć, że go zabrałem, bo pozostałe dane... Kaj, naprawdę byłem pewien, że go mam. Oczywiście nie mogłem wziąć wszystkiego, ale skopiowałem wszystkie najważniejsze informacje, a w każdym razie te, które mogły się przydać: szczegółowe kalendarium wojny, historię Korpusu, najistotniejsze wydarzenia, jakie rozgrywały się w tym sektorze... Wszystko było w tej niedużej szarej walizce: komputer i ponad trzydzieści kryształów pamięci. Jeszcze wczoraj przeglądałem je w łóżku, pamiętacie? Szukałem informacji na temat jednostek biowojennych, ale wy zaczęliście narzekać, że nie możecie spać. Wśród kryształów był jeden z kodami,

jestem tego pewien. Zamierzałem go zabrać, ale wygląda na to, że tego nie zrobiłem. - Podszedł bliżej. Dopiero teraz zobaczyli, że trzyma przed sobą w wyciągniętych rękach swój komputer, jakby zamierzał złożyć go w ofierze. - Cztery razy przeszukałem walizkę, sprawdziłem na stole, pod stołem, w koi, pod nią, wszędzie... Nie ma go. Bardzo mi przykro. A może ktoś z was go zabrał? -Rozejrzał się z nadzieją, ale nie doczekał się odpowiedzi. - Cóż, wygląda na to, że zostawiłem go na ShanDellor - powiedział głuchym głosem. - Tak bardzo się spieszyliśmy, że...

- Ty przeklęty stary głupcze! - wycedził Kaj Nevis. - Powiniennem cię teraz zabić. Przynajmniej nie zużywałbyś nam cennego powietrza.

- Już po nas! - załkała Celise Waan. - Jesteśmy martwi, martwi, martwi...

- Szanowna pani - przerwał jej Tuf, wciąż głaszcząc Muchomora - jak zwykle zbyt pochopnie wyciąga pani wnioski. W tej chwili jest pani tak samo martwa, jak jeszcze kilka minut temu była pani bogata.

Nevis szybko odwrócił się w jego stronę.

- Naprawdę? Czyżbyś miał jakiś pomysł?

- Zaiste - odparł Haviland Tuf.

- W takim razie gadaj, do cholery!

- „Arka” jest naszą jedyną nadzieją na ocalenie. Musimy za wszelką cenę dostać się na jej pokład, lecz bez kryształu z kodami nie możemy skierować „Rogu Obfitości” w jej stronę, ponieważ od razu ściągniemy na siebie zabójczy ogień. To oczywiste. Całkiem niedawno zaświtał mi jednak interesujący pomysł... - Uniósł długi palec. - Być może starożytne systemy obronne „Arki” potraktują nieco łagodniej znacznie mniejszy obiekt, na przykład człowieka w skafandrze próżniowym z przytroczonymi silniczkami na sprężone powietrze?

Kaj Nevis zastanowił się głęboko.

- Co nam to da, nawet jeśli uda mu się dotrzeć do „Arki”? Jak wejdzie do środka? Zastuka w kadłub?

- To mało praktyczne rozwiązanie. Wydaje mi się, że moja propozycja jest znacznie lepsza.

Milczenie przedłużało się. Tuf siedział z przymkniętymi powiekami i głaszał mruczącego bez przerwy Muchomora. Pierwszy nie wytrzymał Kaj Nevis.

- I co dalej? Kupiec otworzył oczy.

- Co dalej? Zaiste. Wybaczcie, proszę, ale opadły mnie czarne myśli. Mój nieszczęsny statek, który jest dla mnie równocześnie domem i warsztatem pracy, doznał poważnych uszkodzeń. Kto pokryje koszty niezbędnych napraw? Czy Kaj Nevis, który już wkrótce stanie

się bogatym człowiekiem, ochoczo sięgnie do portfela? Obawiam się, że nie. Czy Jefri Lion i Anittas kupią mi nowy statek? Mało prawdopodobne. Czy czcigodna Celise Waan da mi suty napiwek, który z nadwyżką pokryje bolesne straty? Raczej nie, szczególnie jeśli brać pod uwagę jej zapowiedzi, że postawi mnie przed sądem i uczyni wszystko, by skonfiskowano mój statek, mnie zaś na zawsze pozbawiono licencji. Jaka więc czeka mnie przyszłość? Kto mnie wspomże?

- Nie zwracaj sobie teraz tym głowy - warknął Nevis. - Jak dostaniemy się do wnętrza „Arki”? Powiedziałeś, że masz jakiś pomysł.

- Doprawdy? Zapewne ma pan rację, obawiam się jednak, iż ciężar trosk i zmartwień sprawił, że mój nieszczęsny umysł obecnie jest w stanie zajmować się wyłącznie tragiczną sytuacją finansową, w jakiej znalazłem się bynajmniej nie ze swojej winy.

Rica Dawnstar parsknęła śmiechem i z rozmachem walnęła Tufa w szerokie plecy. Kupiec skierował na nią nieruchome spojrzenie.

- W dodatku, jakby tego jeszcze było mało, jestem poniewierany przez groźną Rikę Dawnstar. Będę pani niezmiernie wdzięczny, jeśli zechce pani powstrzymać się przed nawiązywaniem fizycznego kontaktu z moją osobą.

- To szantaż! - zaskrzeczała Celise Waan. - Wsadzimy cię za to do pudła!

- Muszę również znosić zniewagi i upokorzenia, a niektóre osoby zasypują mnie pogroźkami. Nic dziwnego, że nie mogę się skupić, prawda, Muchomorze?

- W porządku, Tuf - warknął Kaj Nevis. - Wygrałeś. - Rozejrzał się dokoła. - Czy ktoś sprzeciwi się temu, żeby dopuścić go do spółki?

- Jeżeli naprawdę zdoła nas wyciągnąć z tego bagna, zasłuży sobie nawet na więcej niż jedną piątą zysku - powiedział cicho Jefri Lion.

Nevis skinął głową.

- Zostałeś przyjęty, Tuf.

Haviland Tuf podniósł się dostojnie z fotela i zrzucił Muchomora na podłogę.

- Wraca mi pamięć - oświadczył. - W schowku za waszymi plecami znajdują się cztery skafandry próżniowe. Jeśli ktoś z was okaże się na tyle uprzejmy, żeby przywdziać jeden z nich i służyć mi pomocą, udamy się do luku numer dwanaście po coś, co już całkiem niedługo może się okazać nadzwyczaj przydatne.

- A niech mnie! - wykrzyknęła Rica Dawnstar, kiedy wrócili ze zdobyczą, i roześmiała się głośno.

- Co to jest, do cholery? - zapytała Celise Waan.

Haviland Tuf, jeszcze większy niż normalnie w srebrzystobłękitnym skafandrze, opuścił trofeum na podłogę, pomógł Nevisowi postawić je pionowo, a następnie zdjął hełm i z satysfakcją przyjrzał się łupowi.

- Skafander próżniowy, szanowna pani - powiedział. - Wydawało mi się, że to oczywiste.

Istotnie, był to skafander, taki jednak, jakiego nikt z nich jeszcze nie widział; ponad wszelką wątpliwość nie został skonstruowany z myślą o ludziach. Górował nad wszystkimi, nawet nad Tufem. Ozdobny grzebień wieńczący ogromny hełm wznosił się dobre trzy metry nad podłogą, prawie ocierając się o sufit. Skafander miał czworo ramion o podwójnych zgięciach, przy czym oba dolne kończyły się lśniącymi zębatymi kleszczami. Nogawki były wystarczająco obszerne, żeby pomieścić pnie dorodnych drzew, buty zaś przypominały gigantyczne półmiski. Na szerokich plecach skafandra zainstalowano cztery pękate zbiorniki, znad prawego ramienia wychylała się czasza radaru, a czarny metal, z którego go skonstruowano, był pokryty zawiłym czerwono--żółtym wzorem. Na pierwszy rzut oka skafander przypominał zbroję z pradawnych czasów.

- A co nam to da, jeśli można wiedzieć? - zapytał Nevis, po czym pokręcił głową. - Na mój gust to tylko kupa złomu.

- Proszę powstrzymać się z pochopnymi ocenami - odparł Tuf. - Strój, który traktuje pan z takim lekceważeniem, uczestniczył w wielu historycznych wydarzeniach. Nabyłem go na planecie Unquin za dość wygórowaną cenę, ale wcale tego nie żałuję, ponieważ jest to oryginalny skafander bojowy Unquian, wykonany w okresie panowania dynastii Hameriin, której zmierzch nastąpił około półtora tysiąca lat standardowych temu, a więc długo przed pojawieniem się w tamtym rejonie kosmosu pierwszych statków z ludzką załogą. Został starannie odrestaurowany i obecnie jest w pełni sprawny.

- Jak działa? - zapytała Rica Dawnstar, jak zwykle zмирzając prosto do celu.

Tuf na chwilę przymknął oczy.

- Ma wiele nadzwyczaj użytecznych funkcji, ale w naszej obecnej sytuacji dwie z nich wydają mi się najbardziej godne uwagi. Wyposażony w mechanizmy wspomagające szkielet zewnętrzny pozwala dziesięciokrotnie zwiększyć siłę użytkownika tego stroju, oprócz tego zaś do wyposażenia skafandra należy laser zdumiewająco wielkiej mocy, którego promień jest w stanie przebić półmetrowy pancerz z duraluminium albo stalową płytę jeszcze większej grubości. Krótko mówiąc, to arcydzieło starożytnych konstruktorów pozwoli nam dostać się do wnętrza równie starego okrętu bojowego, który stawszy się przyczyną naszego nieszczęścia, jest także naszą ostatnią deską ratunku.

- Wspaniale! - ucieszył się Jefri Lion i klasnął w dłonie.

- To rzeczywiście może się udać - przyznał Kaj Nevis. - Masz konkretny plan?

- Sprawa byłaby znacznie prostsza, gdyby nie dość istotne braki w wyposażeniu - przyznał kupiec. - Co prawda dysponujemy czterema standardowymi skafandrami próżniowymi, ale tylko dwoma zestawami przyczepnych silniczków na sprężone powietrze. Na szczęście unquiński skafander ma własne źródło napędu. Oto, co proponuję: przywdzieję ten wspaniały strój bojowy i opuszczę „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” w towarzystwie Riki Dawnstar i Anittasa, którzy zabiorą oba zestawy silniczków. Spróbujemy dotrzeć najkrótszą drogą do „Arki”. Jeśli nam się uda, wykorzystamy zdumiewające możliwości mego skafandra w celu sforsowania śluzy powietrznej. Podobno Anittas jest wysokiej klasy specjalistą od zabytkowych układów cybernetycznych i prastarych komputerów; to bardzo dobrze. Wdarłszy się do wnętrza, z pewnością zdołamy w krótkim czasie uzyskać kontrolę nad „Arką” i dokonać niezbędnych zmian w jej systemach obronnych. Jak tylko to nastąpi, Kaj Nevis zacumuje mój okaleczony statek przy „Arce” i w ten sposób niebezpieczeństwo zostanie zażegnane.

Na policzki Celise Waan wystąpiły krwistoczerwone rumieńce.

- Zostawiasz nas tutaj na pewną śmierć! - zaskrzeczała. - Nevis, Lion, musimy ich powstrzymać! Jak tylko dotrą na „Arkę”, rozwalą nas na kawałki! Nie możemy im ufać!

Haviland Tuf wzniosł oczy ku sufitowi.

- Dlaczego musze niemal bez przerwy cierpieć zniewagi ze strony osób wątpiących w moje zasady moralne? Jestem człowiekiem honoru. Nigdy nie zdobyłbym się na taki postępek.

- To dobry plan - stwierdził Kaj Nevis i zaczął ściągać skafander. - Anittas, Rica! Ubierać się.

- Zamierzasz beczynnie stać i patrzeć, jak nas tu zostawiają? - zapytała Celise Jefriego Liona.

- Jestem pewien, że nie mają złych zamiarów - odparł Lion, skubiąc brodę. - Poza tym, nawet gdybym im nie ufał, jak, twoim zdaniem, miałbym ich powstrzymać?

- Przenieśmy unquiński skafander do śluzy - zwrócił się Tuf do Nevisa.

Kaj skinął głową i wraz z kupcem wziął się do roboty. W tym czasie Dawnstar i cybertech zakładali standardowe stroje próżniowe stanowiące wyposażenie „Rogu Obfitości”. Sapiąc i stękając, dowlekli wreszcie ogromną zbroję do głównej śluzy statku; Tuf natychmiast przysunął sobie stołek i zaczął pakować się do środka.

- Chwileczkę, Tuffy - powiedział Nevis, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Szanowny panie, nie lubię być dotykany, jeśli nie jest to konieczne - oznajmił kupiec. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan cofnąć rękę.

Odwrócił się i zamrugał ze zdziwienia, nie dalej jak centymetr od twarzy ujrzał bowiem drżące ostrze wibronoża, zdolne przeciąć nawet najtwardszą stal.

- To rzeczywiście znakomity plan - powiedział Kaj Nevis - ale wprowadzimy do niego drobną zmianę. Ja założę ten superskafander i polecę na „Arkę” w towarzystwie Anittasa i Riki, a ty zostaniesz tutaj żeby umrzeć.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odparł Tuf. - Poza tym napawa mnie smutkiem fakt, iż pan także podejrzewa mnie o nieczne zamiary. Zapewniam pana, że myśl o zdradzie ani przez chwilę zagościła w mojej głowie.

- Za to zagościła w mojej, spryciarzu - poinformował go z uśmiechem Nevis. - I w dodatku wydała mi się całkiem sensowna. Haviland Tuf wyglądał jak uosobienie urażonej niewinności.

- Pański podstępny plan spełził na niczym - oznajmił. - Za pańskimi plecami stoją Rica Dawnstar i Anittas. Jak wiadomo, Rica została zatrudniona właśnie po to, by zawczasu udaremnić wszelkie działania podobne do tych, które pochopnie pan podjął. Będzie lepiej, jeśli od razu się pan podda.

Kaj Nevis dalej uśmiechał się lekceważąco.

Rica trzymała hełm pod pachą. Popatrzyła na Nevisa, przeniosła wzrok na Tufa, potrząsnęła ładną główką o krótko ostrzyżonych włosach i westchnęła głęboko.

- Widzisz, Tuf? Powinieneś być przyjąć moją propozycję. Uprzedzałam cię, że być może już niedługo nadejdzie pora, kiedy będziesz żałował, iż nie masz sojusznika. - Założyła hełm, sprawdziła szczelność skafandra i przypięła silniczki. - Idziemy, Nevis.

Przez szeroką twarz Celise Waan przemknął błysk zrozumienia. Tym razem otyła antropolog nie poddała się hysterii, tylko błyskawicznie rozejrzała się w poszukiwaniu broni, a że nie znalazła niczego, co mogłoby odegrać taką rolę, więc niewiele myśląc, chwyciła siedzącego nieopodal Muchomora, który z zainteresowaniem śledził rozwój wydarzeń, i uniosła go oburącz nad głowę.

- Ty... ty... ty!!! - wrzasnęła, po czym cisnęła kotem w Nevisa, który jednak zdążył się uchylić. Kocur miauknął głośno i odbił się od Anittasa.

- Uprzejmie proszę, by zechciała pani powstrzymać się od rzucania moimi kotami - zwrócił się do niej Tuf.

Kaj Nevis doskoczył do Tufa i w nie wróżący nic dobrego sposób machnął mu przed oczami nożem wibracyjnym, w związku z czym kupcowi nie pozostało nic innego, jak się

cofnąć. Nevis zaczekał, aż Haviland Tuf odsunie się na bezpieczną odległość, pochylił się, metodycznie pociął na strzępy jego skafander, potem zaś wskoczył do wnętrza unquińskiego skafandra bojowego. Rica Dawnstar zajęła się hermetyzowaniem stroju, Kaj Nevis natomiast pospiesznie zapoznawał się z przyrządami kontrolnymi. Po pięciu minutach błablasty wizjer zapłonął złowróżbną czerwienią, potężne górne kończyny drgnęły, wyprostowały się i podkurczyły, zaraz potem zaś to samo uczyniły mniejsze, zakończone szczypcami. Anittas otworzył wewnętrzne drzwi śluzy Kaj Nevis ruszył pierwszy, za nim do śluzy wszedł cybertech, na końcu zaś Rica Dawnstar.

- Wybaczcie - powiedziała, przystanąwszy w progu. - Osobiści nic do was nie mam. Po prostu umiem liczyć, i tyle.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Odnoszę wrażenie, że najlepiej opanowała pani odejmowanie.

Haviland Tuf siedział w obszernym fotelu przed główną konsolą. z wciąż obrażonym Muchomoreem na kolanach, i obserwował wskazania przyrządów.

- Jak na razie, „Arka” nie ostrzelała naszych niedawnych towarzyszy - poinformował Jefriego Liona i Celise Waan.

- To wszystko moja wina! - jęknął po raz kolejny Lion.

- Nieprawda - warknęła Celise. - To jego wina! - Wskazała kciukiem Tufa.

- Nie potrafi pani docenić pozytywnych aspektów sytuacji - stwierdził z wyrzutem kupiec.

- Tak? A jakie one są, jeśli wolno spytać? Tuf splótł długie białe palce.

- Po pierwsze, Kaj Nevis zostawił nam jeden w pełni sprawny skafander próżniowy...

- Ale zabrał wszystkie przyczepne silniczki.

- Teraz, kiedy nasz stan zmniejszył się o połowę, powietrza wy starczy nam na dwa razy dłużej...

- Ale w końcu i tak go zabraknie.

- Nasi zdradzieccy towarzysze nie posłużyli się unquińskim skafandrem bojowym, żeby zniszczyć „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, chociaż mogli to uczynić.

- To dlatego, że Nevis skazał nas na powolną śmierć w męczarniach.

- Nie sądzę. Moim zdaniem, raczej pragnął zachować mój statek jako ostatnią deskę ratunku na wypadek, gdyby z jakichś powodów nie zdołał dostać się na pokład „Arki” - odparł Tuf. - Dzięki temu mamy dach nad głową, prowiant oraz możemy się poruszać, co

prawda niezbyt szybko i na niewielkie odległości.

- Krótko mówiąc, mamy poważnie uszkodzony statek z nieodnawialnym, szybko kurczącym się zapasem powietrza - stwierdziła z goryczą kobieta. Zamierzała dodać coś jeszcze, ale nie zdążyła, ponieważ do sterowni jak futrzasty czarno-biały pocisk wpadła Furia; kotka gnała na łeb na szyję za jakimś okrągłym błyszczącym przedmiotem, który toczył się po podłodze. Przedmiot ów na chwilę znieruchomiał u stóp Celise Waan, zaraz potem jednak kotka z impetem uderzyła w niego przednimi łapkami, w związku z czym zawirował jak bak.

- Mój pierścionek! - wykrzyknęła antropolog. - Wszędzie go szukałam. Och, ty obrzydliwa złodziejko!

Schyliła się, żeby go podnieść, ale Furia nie zamierzała rezygnować ze zdobyczy. Kobieta uderzyła na odlew, lecz chybiła, Furia natomiast zrewanżowała się znacznie celniejszym ciosem. W sterowni rozległ się przeraźliwy wrzask.

Haviland Tuf z zadziwiającą, jak na niego, prędkością poderwał się z fotela, zgarnął kota pod pachę, a następnie podał pierścionek miotającej przekleństwa, ściskającej zranioną dłoń właścicielce.

- Wydaje mi się, że to należy do pani.

- Przysięgam, że zanim umrę, rozwałę łeb temu potworowi i rozmażę jego mózg po ścianach, oczywiście jeżeli to cholerne stworzenie w ogóle ma jakiś mózg!

- Obawiam się, że nie docenia pani kociej inteligencji - powiedział Tuf, sadowiąc się z powrotem w fotelu. Położył sobie Furię na kolanach i łagodnie gładził zjeżoną sierść. - To naprawdę są bardzo mądre zwierzęta, a na dodatek, jak powszechnie wiadomo, dysponują naturalnymi zdolnościami parapsychofizycznymi. Prymitywni mieszkańcy Starej Ziemi otaczali je czcią boską.

- Nie zaimponujesz mi, bo już parę razy zdarzało mi się zetknąć z prymitywnymi rasami, które otaczają czcią boską własne odchody - odparła pogardliwym tonem antropolog.

- Co za odrażające zwierzę!

- Nie wiem, dlaczego koty budzą w pani odrazę, ponieważ nikt tak jak one nie dba o czystość i higienę. Szczególna żywotność oraz ruchliwość Furii wynikają z faktu, iż jest ona bardzo młoda, co czyni ją jeszcze bardziej uroczą. Dziwne, ale mimo młodego wieku zdążyła już nabrać pewnych zwyczajów. Komu nie sprawia przyjemności obserwowanie jej beztroskich igraszek ze wszystkimi drobnymi, leżącymi wolno przedmiotami? Kogo nie rozczula beztroska, z jaką porzuca swoje zabawki pod konoletami? Właśnie, kogo? Tylko skwaśniałych malkontentów o sercach z kamienia. - Tuf umilkł raptownie i zamrugał raz... drugi... trzeci. Co prawda jego pociągła twarz pozostała nieruchoma jak zawsze, ale i tak

można było uznać to za prawdziwą burzę emocji. - Zejdź, Furio - powiedział łagodnie, delikatnie postawił kotkę na podłodze, dźwignął się z fotela, z godnością ukląkł przed główną konsolą, po czym zaczął wędrować na czworakach po sterowni, metodycznie zaglądając we wszystkie zakamarki.

- Co robisz? - zapytała podejrzliwie Celise Waan.

- Szukam zabawek porzuconych przez Furie.

- Ja krwawię, poraniona przez twojego cholernego kota, kończy nam się powietrze, a ty szukasz kocich zabawek?!

- Odnoszę wrażenie, że właśnie to powiedziałem - odparł Tuf, wygarniając spod konsoli stertę rozmaitych małych przedmiotów. Wpełzł jeszcze głębiej, szukał przez chwilę, po czym dał za wygraną, wycofał się, podniósł z podłogi, starannie otrzepał ubranie, po czym przystąpił do sortowania znalezisk. - Interesujące.

- Co znowu?

- To chyba pani własność. - Wręczył jej jeszcze jeden pierścienek i dwa pióra świetlne. - To moje - oznajmił, odkładając na bok kolejne dwa pióra, trzy czerwone pionki w kształcie krążowników, dwa żółte niszczyce i srebrzysty fort gwiazdny. - To zaś, jak przypuszczam, należy do pana.

Podał Lionowi półprzezroczysty, błyszczący przedmiot wielkości paznokcia.

Jefri Lion zerwał się na równe nogi.

- Kryształ pamięci!

- Zaiste - powiedział Haviland Tuf.

Pełne napięcia oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Wreszcie, kilkanaście sekund po tym, jak Tuf nadał prośbę o pozwolenie na cumowanie, w ogromnej czarnej kopule pojawiła się wąziutka szczelina, zaraz potem druga, przecinająca ją pod kątem prostym, później zaś kolejne. Kopuła podzieliła się na mnóstwo wąskich łupin, które następnie znikły w kadłubie „Arki”.

Jefri Lion głośno wypuścił powietrze.

- Udało się - stwierdził z radością, ale i z niedowierzaniem.

- Doszedłem do tego wniosku już jakiś czas temu, zaraz po tym, jak ponownie weszliśmy do strefy obronnej „Arki”, nie ściągając na siebie ognia - poinformował go Haviland Tuf. - Teraz uzyskałem potwierdzenie słuszności mego rozumowania.

Nie odrywali wzroku od głównego ekranu. Po zniknięciu kopuły ich oczom ukazało się lądowisko przewyższające rozmiarami niejeden port kosmiczny na niezbyt

zaawansowanych technologicznie planetach. Znajdowało się na nim mnóstwo okrągłych stanowisk, w tym sporo zajętych. Niebawem wokół jednego z nich pojawiła się jasnoniebieska migająca obwódka.

- Jestem jak najdalszy od tego, żeby wam cokolwiek narzucać - powiedział Tuf, kładąc ręce na przyrządach - niemniej jednak sugerowałbym, żebyście zapięli pasy. Właśnie wysunąłem podpory i rozpoczynam manewr lądowania, nie wiem jednak, jak rozległe są uszkodzenia zewnętrznych elementów wyposażenia mojego statku, ani nawet czy wszystkie trzy podpory funkcjonują jak należy, w związku z czym zalecam daleko posuniętą ostrożność.

Przeznaczone dla nich stanowisko rosło w błyskawicznym tempie. Oświetlał je już nie tylko blask jasnoniebieskich lamp, ale także przybierająca coraz bardziej na sile luna bijąca z dysz silników grawitacyjnych „Rogu Obfitości”. Jak tylko zeszli wystarczająco nisko, gigantyczna kopuła zamknęła się nad ich głowami, niczym ogromna zębata paszcza.

Zetknięcie z powierzchnią lądowiska było zaskakująco łagodne: poczuli niewielki wstrząs, a zaraz potem delikatne kołysanie, któremu towarzyszył szmer amortyzatorów. Tuf wyłączył silniki, dość długo przyglądał się w milczeniu wskaźnikom i ekranom, po czym zwrócił się do pasażerów:

- Dotarliśmy na miejsce, nadeszła więc pora, żebyśmy zastanowili się, co począć dalej.

Celise Waan już rozpinęła pasy.

- Jeżeli o mnie chodzi, to chcę się jak najprędzej stąd wydostać, odszukać Nevisa i tę dziwkę Rikę i przeprowadzić z nimi poważną rozmowę.

- Domyślam się, że sformułowania „poważna rozmowa” użyła pani w charakterze przenośni - odparł Haviland Tuf - i że w rzeczywistości nie ma pani najmniejszego zamiaru oddawać się konwersacji. Mimo to, moim zdaniem, powinna pani jeszcze raz zastanowić się nad swoimi planami. Naszych niedawnych towarzyszy musimy teraz traktować jak bezwzględnych rywali; zważywszy na fakt, iż całkiem niedawno bez żadnych skrupułów skazali nas na niemal pewną śmierć, z pewnością nie uradują się na nasz widok. Mam poważne podstawy, aby przypuszczać, że uczynią wszystko, by uniemożliwić pani przeprowadzenie jakiegokolwiek rozmowy, obojętnie, poważnej czy nie.

- Tuf ma rację - poparł go Jefri Lion. Wędrował od ekranu do ekranu, wpatrując się w nie z podziwem i zdumieniem. Dotarcie do wiekowego, niemal bajkowego megastatku podniosło go na duchu, pobudziło jego wyobraźnię i nappełniło go energią. - To wojna, Celise: oni przeciwko nam. Zabiją nas, jeśli tylko będą mogli, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Musimy być równie bezwzględni. Trzeba obmyślić niezawodny, genialny plan!

- Całkowicie zdaję się na pańskie doświadczenie w tych sprawach - oświadczył Haviland Tuf. - Co pan proponuje?

Jefri Lion z namysłem skubał brodę.

- Zastanówmy się... Przede wszystkim należy dokonać oceny sytuacji. Mają Anittasa, który jest w połowie komputerem. Jak tylko podłączy się do systemu informacyjnego „Arki”, będzie mógł stwierdzić, co działa, a co nie, i być może nawet zdoła częściowo przejąć kontrolę nad niektórymi funkcjami. To dla nas bardzo niebezpieczne. Przypuszczalnie właśnie teraz nad tym pracuje. Co prawda zjawili się na „Arce” sporo przed nami, ale wcale nie jest powiedziane, że wiedzą o naszym przylocie, a więc na naszą korzyść będzie przemawiał element zaskoczenia.

- Z kolei na ich korzyść przemawia fakt, że mają naszą broń - zwrócił mu uwagę Tuf.

- To akurat jest najmniejszy problem - odparł Lion i z zapalem zatarł ręce. - Znajdujemy się przecież na okręcie wojennym. Co prawda Inżynierski Korpus Ekologiczny specjalizował się w prowadzeniu wojen biologicznych, ale załoga dysponowała również tradycyjną bronią osobistą. Gdzieś tu na pewno jest zbrojownia albo coś w tym rodzaju. Musimy tylko ją znaleźć.

- Zaiste - mruknął Haviland Tuf, ale Lion rozgadał się na dobre.

- Odrzucając na bok fałszywą skromność, muszę stwierdzić, że nasze szansę przedstawiają się znacznie lepiej niż ich również dzięki mojej osobie. Oni mogą polegać wyłącznie na tym, co Anittas wyciągnie z komputerów; poza tym będą się poruszać po omacku. Ja natomiast poświęciłem wiele lat na badania nad okrętami bojowymi Starego Imperium i wiem o nich wszystko. - Zmarszczył brwi. - To znaczy wszystko, co nie było ściśle tajne i dotrwało do naszych czasów. Między innymi zdołałem poznać standardowy rozkład pomieszczeń na okrętach bojowych Imperium. Zaczniemy od odszukania zbrojowni, co nie powinno być szczególnie trudne, ponieważ zazwyczaj znajdowała się w pobliżu lądowiska. Jak tylko zdobędziemy broń, zajmiemy się... hm, niech się zastanowię... tak, zaraz potem przyjdzie kolej na magazyn tkanek. Na okrętach biowojennych tworzono ogromne magazyny tkanek pobranych istotom z tysięcy planet. Próbkę przechowywano w polu statycznym z myślą o przyszłych klonowaniach. Musimy koniecznie sprawdzić, co się stało z tymi zapasami. Jeśli okaże się, że generatory pola statycznego zawiodły i próbki zgniły, będziemy właścicielami ogromnego, bardzo cennego statku, ale jeśli tkanki ocalały, wówczas „Arka” stanie się po prostu bezcenna!

- Zgadzam się, że odnalezienie magazynu tkanek ma pierwszorzędne znaczenie, wydaje mi się jednak, że jeszcze istotniejsze jest jak najszybsze dotarcie na mostek - odparł

Haviland Tuf. - Jeśli założymy, że na „Arce” nie ma żywej załogi (a hipotezę taką można postawić bez większego ryzyka, zważywszy na fakt, iż najmłodszy z jej członków musiałby liczyć sporo ponad tysiąc lat standardowych), musimy zdać sobie sprawę, że oprócz nas są tutaj tylko nasi śmiertelni i bezwzględni wrogowie. Ten, kto pierwszy opanuje centrum dyspozycyjne statku, zyska znaczącą i trudną do zniwelowania przewagę.

- Racja! - wykrzyknął Jefri Lion. - W takim razie bierzmy się do roboty!

- Słusznie - zawtórowała mu Celise Waan. - Mam już dosyć tkwienia w tej puszczy z żarciem dla kotów.

Haviland Tuf uniósł długi palec.

- Jedną chwileczkę, jeśli można. Czuję się zmuszony zwrócić państwa uwagę na fakt, iż jest nas troje, ale dysponujemy tylko jednym sprawnym skafandrem próżniowym.

- Nie zauważyłeś, że jesteśmy na statku? - wycedziła z przekąsem Celise. - Na co nam skafandry?

- Być może na nic - zgodził się Tuf. - Być może, tak jak pani uważa, to przykryte rozsuwaną kopułą lądowisko pełni funkcję ogromnej śluzy. Wskazania przyrządów świadczą o tym, że obecnie otacza nas nadająca się do oddychania mieszanina tlenu i azotu, która została wpompowana natychmiast po zamknięciu kopuły.

- W takim razie, w czym problem?

- Przypuszczalnie przemawia przeze mnie nadmierna ostrożność, niemniej jednak nie mogę uwolnić się od dręczących mnie obaw. „Arka”, choć tak stara i najprawdopodobniej dawno temu pozostawiona samej sobie, nie utraciła nic lub prawie nic ze swej niszczycielskiej siły, czego dowodem chociażby zabójcze epidemie wybuchające cyklicznie na Hro B’rana oraz sprawność, z jaką broniła się przed niepożądanymi gośćmi. Wciąż nie wiemy, jaki koniec spotkał jej załogę, nie ulega jednak wątpliwości, iż poprzedni właściciele okrętu uczynili wszystko, żeby przetrwał w jak najlepszym stanie, gotów w każdej chwili podjąć na nowo działania, do których został stworzony. Być może zewnętrzna strefa obronna stanowiła zaledwie pierwszą z licznych niespodzianek, czyhających na nieostrożnych bądź wścibskich gości?

- Interesująca koncepcja - przyznał Lion. - Obawiasz się pułapek?

- I to szczególnego rodzaju. Kto wie, czy w atmosferze otaczającej nasz statek nie roi się od zabójczych mikroorganizmów? Powiadam, być może jestem nadmiernie ostrożny, ale kto odważy się to sprawdzić? Ja osobiście znacznie pewniej czułbym się w szczelnie zamkniętym skafandrze, ale wy, rzecz jasna, możecie robić to, co uznacie za stosowne.

Celise Waan podrapała się po głowie.

- Masz rację, ale to ja powinnam włożyć skafander. Jesteś mi to winien jako zadośćuczynienie po bestialskim traktowaniu, z jakim tu się spotkałam.

- Pani wybaczy, lecz nie widzę sensu wracania do tej dyskusji - odparł Tuf. - W tej chwili znajdujemy się na lądowisku, na którym, oprócz „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, stoi dziewięć pojazdów kosmicznych: myśliwiec z Hruun, rhianneński statek handlowy, dwie nie znane mi jednostki oraz pięć identycznych promów krótkiego zasięgu, z których każdy przewyższa rozmiarami mój skromny stateczek, bez wątpienia stanowiących wyposażenie „Arki”. Z moich dotychczasowych doświadczeń wynika, że do rzadkości należą pojazdy kosmiczne, na których nie znalazłoby się przynajmniej kilku skafandrów. W związku z tym zamierzam przywdziać nasz jedyny strój próżniowy, wyjść na zewnątrz i przetrząsnąć sąsiednie statki w poszukiwaniu skafandrów dla was.

- To mi się zupełnie nie podoba! - parsknęła Celise Waan. - Ty wyjdiesz, a my zostaniemy tu jak głupki.

- Cóż, takie jest życie - stwierdził Haviland Tuf z kamienną twarzą. - Niekiedy nie pozostaje nam nic innego, jak pogodzić się z czymś, co budzi w nas co najmniej sprzeczne uczucia.

Sforsowanie niewielkiej śluzy awaryjnej, wyposażonej w ręczne sterowanie, nastreczyło im sporo problemów. Zewnętrzne drzwi otworzyły się bez oporu, a kiedy weszli do środka, natychmiast zamknęły się za nimi; zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z wewnętrznymi.

Co prawda pomieszczenie natychmiast napełniło się powietrzem, lecz mimo to drzwi wiodące do wnętrza statku nie chciały się otworzyć. Pierwsza zmierzyła się z nimi Rica Dawnstar - bezskutecznie; duże metalowe koło ani drgnęło, stalowa dźwignia nie przesunęła się nawet o centymetr.

- Z DROGI - wychrypiał Kaj Nevis nie swoim głosem, zmienionym przez interkom dostosowany do innej niż ludzka mowy i przesadnie wzmocnionym przez zewnętrzne głośniki unquińskiego skafandra bojowego. Stawiając z łoskotem ogromne stopy, podszedł do drzwi i zacisnął na kole monstrualne rękawice. Koło przez chwilę stawiało opór, po czym zgięło się, jakby było wykonane z cienkiego drutu, a następnie pękło na dwie części.

- Dobra robota - stwierdziła z przekąsem Rica.

Kaj Nevis wymamrotał coś dudniącego i całkowicie niezrozumiałego, a następnie napał na dźwignię. Złamała się zaledwie po dwóch sekundach. Milczący do tej pory Anittas

zbliżył się do grodzi.

- Elektroniczny zamek szyfrowy - powiedział, wskazując zainstalowaną w futrynie tablicę z przyciskami. - Gdybyśmy znali kod, bez trudu dostalibyśmy się do środka. Widzę też komputerowy interfejs; gdybym się podłączył, być może udałoby mi się poznać nie tylko ten kod, ale i wszystkie pozostałe, jakich możemy potrzebować.

- WIĘC CZEMU TEGO NIE ZROBISZ? - zagrział Nevis. Wizjer jego skafandra płonął groźną czerwienią.

Anittas bezradnie rozłożył ramiona. Ponieważ organiczne części jego ciała były ukryte pod srebrzystoniebieskim skafandrem, za przezroczystym wizjerem zaś zamiast ludzkich oczu lśniły srebrzyste sensory, bardziej niż kiedykolwiek przypominał robota. Górujący nad nim Kaj Nevis także wyglądał jak robot, tyle że znacznie większy i groźniejszy.

- Mój skafander nie ma niezbędnych połączeń zewnętrznych. Musiałbym go zdjąć.

- WIĘC GO ZDEJMIJ.

- Nie jestem pewien, czy to bezpieczne.

- Przecież będziesz miał czym oddychać - zauważyła Rica Dawnstar.

- Żadne z was nie zdjęło skafandra - zwrócił im uwagę cyborg. - Gdybym przez pomyłkę zamiast wewnętrznych drzwi otworzył zewnętrzne, z pewnością zginąłbym, zanim zdołałbym ponownie włożyć skafander.

- WOBEC TEGO ZRÓB WSZYSTKO, ŻEBY SIĘ NIE POMYLIĆ zahuczał Kaj Nevis.

Anittas skrzyżował ramiona na piersi.

- Powietrze, chociaż pozornie zdatne do oddychania, może być niezdrowe. Nie zapominajcie, że ten statek od tysiąca lat funkcjonuje bez żadnego dozoru. Nawet najbardziej niezawodny sprzęt może niekiedy zawieść, a ja nie mam najmniejszego zamiaru ryzykować swoją głowę, żeby sprawdzić, jak jest naprawdę.

- CZYŻBY?

Jedno z dolnych ramion unquińskiego skafandra wysunęło się naprzód, zębate szczytce rozwarły się i przyspiliły cybertecha do grodzi. Zanim Anittas zdążył zaprotestować, wielka rękawica zacisnęła się na kołnierzu jego skafandra i szarpnęła z potworną siłą. Superwytrzymały materiał został rozdarty z taką łatwością, jakby to było zetlałe płótno, a hełm potoczył się z łoskotem po podłodze śluzy. Niewiele brakowało, a taki sam los spotkałby głowę cyborga.

- CORAZ BARDZIEJ LUBIĘ TEN FRAK - oznajmił Kaj Nevis, po czym zacisnął szczytce. Po metalowych zębach zaczęły ściekać krople krwi. - I CO, ODDYCHASZ?

Anittas łączywie chwycił powietrze ustami, lecz najwyraźniej nie był w stanie wykrztusić ani słowa, więc tylko skinął głową. Nevis postawił go z powrotem na podłodze.

- W TAKIM RAZIE BIERZ SIĘ DO ROBOTY.

Rikę Dawnstar nagle ogarnęły niedobre przeczucia. Zaczęła się powoli cofać, aż wreszcie oparła się plecami o zewnętrzne drzwi śluzy i stamtąd obserwowała, jak Anittas ściąga rękawice oraz resztki skafandra, a następnie wsuwa stalowe palce prawej ręki do umieszczonego w ścianie komputerowego interfejsu. Co prawda, kaburę z igłaczem włożyła na wierzch, dzięki czemu w każdej chwili mogła sięgnąć po broń, jednak świadomość tego nie działała już na nią tak uspokajająco jak jeszcze minutę temu. Uważnie przyglądała się potężnej unquińskiej zbroi, starając się oszacować jej grubość i zastanawiając się, czy aby nie popełniła poważnego błędu przy doborze sojusznika. Nie ulegało wątpliwości, że jedna trzecia udziału w zyskach to znacznie więcej niż skromne wynagrodzenie, jakie miała otrzymać od Jefriego Liona, co jednak będzie, jeśli Nevis uzna, że taki układ wcale go nie zadowala?

Rozległo się donośne syknięcie i drzwi rozsunęły się na boki. Za nimi zaczynał się wąski korytarz, nie wiadomo jak długi, ponieważ był pogrążony w ciemności. Kaj Nevis stanął w progu i przez jakiś czas spoglądał w mrok; rozjarzony wizjer rzucał czerwone refleksy na ściany.

- TERAZ TWOJA KOLEJ - zagrzmiął wzmocniony, chrapliwy głos i potężne ramię wyciągnęło się w stronę Riki. - PÓJDZIESZ PRZODEM. Rica Dawnstar błyskawicznie podjęła decyzję.

- Tak jest, szefie.

Wydobyła igłacz z kabury, wyslizgnęła się ze śluzy, przemknęła przy ścianie i zatrzymała się dopiero po mniej więcej dziesięciu metrach, przy skrzyżowaniu z następnym korytarzem. Spojrzała do tyłu. Ogromna sylwetka Nevisa wypełniała niemal cały otwór drzwiowy, ale zostało jeszcze w sam raz tyle miejsca, żeby dostrzegła, że Anittas, zazwyczaj doskonale spokojny i opanowany, drży jak w febrze.

- Zostańcie tam! - zawołała. - Tu jest niebezpiecznie!

Zaraz potem odwróciła się i co sił w nogach pomknęła na oślep przed siebie.

Odszukanie skafandrow zajęło Tufowi znacznie więcej czasu, niż przypuszczał. Najbliższym sąsiadem „Rogu Obfitości” był myśliwiec z Hruun, nieforemny zielony kęs metalu najeżony bronią. Mimo iż Tuf obszedł go kilka razy i pociągał, szarpał, naciskał oraz popychał wszystko, co wyglądało jak urządzenia sterujące drzwiami śluzy, jego wysiłki

spelzły na niczym; drzwi ani drgnęły, wobec czego w końcu zrezygnował i ruszył dalej.

Drużyna z kolei maszyna (jedna z tych, których nie zdołał zidentyfikować) stała otworem, dzięki czemu mógł ją dokładnie zwiedzić, czując, jak z każdym krokiem ogarnia go coraz większa fascynacja. Wędrował labiryntem krętych korytarzy o ścianach i sklepieniach tak szorstkich i nierównych, jakby zostały wykute w kamieniu, ale leciutko uginających się pod dotknięciem. Instrumenty kontrolne nie przypominały niczego, co widział do tej pory, skafandry zaś, chociaż prawie na pewno w pełni sprawne, mogły przydać się wyłącznie komuś o wzroście poniżej stu centymetrów i zadziwiająco niesymetrycznej budowie ciała.

We wnętrzu rhianneńskiego statku handlowego zostały tylko gołe ściany. Tuf nie natrafił na nic, co mogłoby się do czegośkolwiek przydać, w związku z czym nie pozostało mu nic innego, jak pofatygować się do jednego z pięciu zaparkowanych rzędem promów. Były zaskakująco duże, większe od „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, miały osmalone pękate kadłuby i szczątkowe skrzydła, a także, co najważniejsze, ponad wszelką wątpliwość zostały skonstruowane przez ludzi i, przynajmniej na pierwszy rzut oka, znajdowały się w nienaruszonym stanie. Po kilku nieudanych próbach Tufowi wreszcie udało się dostać do wnętrza pojazdu, którego kadłub ozdobiono tabliczką z wygrawerowanym wizerunkiem jakiegoś fantastycznego stworzenia oraz nazwą „Gryf”. Skafandry próżniowe były tam, gdzie powinny; biorąc pod uwagę, że liczyły sobie ponad tysiąc lat, prezentowały się znakomicie, a nawet wręcz elegancko: ciemnozielone, ze złocistymi hełmami, rękawicami i butami oraz takim samym emblematem w kształcie litery teta na piersi. Tuf wybrał dwa z nich, po czym wyruszył w długą drogę powrotną przez pograżone w półmroku lądowisko.

Dotarli do rampy wiodącej do śluzy, omal nie potknął się o Muchomora. Kocur siedział na płycie lądowiska, ale na widok Tufa wstał, przeciągnął się i mrucząc żałośnie, zaczął ocierać mu się o nogi.

Haviland Tuf zatrzymał się, przez chwilę spoglądał z góry na zwierzę, po czym schylił się, wziął je na ręce i pogłaskał po zjeżonej sierści. Kiedy ruszył w stronę śluzy, kot podążył za nim, musiał więc odepchnąć go nogą.

- No, najwyższa pora - powitała go Celise Waan, kiedy wkroczył do sterowni ze skafandrami pod pachą.

- Mówiłem ci, że nas tu nie zostawi! - powiedział z satysfakcją Jefri Lion.

Tuf pozwolił skafandrom upaść na podłogę, gdzie utworzyły malowniczy, zielonozłocisty stos.

- Na zewnątrz spotkałem Muchomora - oznajmił pozbawionym emocji głosem.

- Zgadza się. - Celise schyliła się, złapała pierwszy z brzegu skafander i zaczęła go pospiesznie zakładać. Sądząc po tym, jak ciasno opiął okolice jej brzucha i bioder, członkowie Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego byli znacznie mniej obfitych kształtów. - Nie mogłeś poszukać większego rozmiaru? - zapytała rozdrażnionym tonem. - Poza tym, czy te skafandry na pewno działają?

- Wydają się nie uszkodzone - odparł Tuf. - Trzeba tylko wprowadzić do regeneratorów powietrza zmodyfikowane genetycznie wirusy, które zajmą się wytwarzaniem tlenu. Czy mogę wiedzieć, w jaki sposób Muchomor znalazł się na zewnątrz?

Jefri Lion odchrząknął z zakłopotaniem.

- Widzisz... Celise zaczęła się trochę niepokoić, że tak długo nie wracasz. Naprawdę zajęło ci to mnóstwo czasu. Pomyślała sobie, że wystawiłeś nas do wiatru.

- To krzywdzące i niczym nie uzasadnione podejrzenie.

- Tak, oczywiście.

Lion pospiesznie odwrócił wzrok i sięgnął po swój skafander. Celise już wciągała pierwszy but.

- To twoja wina - zwróciła się do Tufa. - Gdybyś wcześniej wrócił, nie poczułabym się zagrożona.

- Zaiste. Czy wolno spytać, jaki związek z Muchomorek ma pani poczucie zagrożenia?

- Byłam pewna, że już nie wrócisz i że będziemy musieli zaryzykować wyjście na zewnątrz bez skafandrów - wyjaśniła antropolog, zakładając drugi but. - Po twojej gadaninie o chorobach i zarazach nie wiedziałam, co tam nas czeka, więc wysłałam kota na zwiady. Prawdę mówiąc, zamierzałam wykorzystać tę łaciatą wiedźmę, ale nie pozwoliła mi zbliżyć się do siebie, więc złapałam szarego. Wepchnęłam go do śluzy, a potem obserwowaliśmy na ekranach, co się z nim dzieje. Jeśli nic by mu się nie stało, znaczyłoby to, że my też możemy bezpiecznie wyjść na, zewnątrz.

- Pojmuję - odparł lakonicznie Haviland Tuf.

Do sterowni wbiegła rozbawiona Furia, ale na widok Tufa natychmiast spoważniała i podeszła do niego z wysoko uniesionym ogonem.

- Czy zechce pan pojmać Furię, zanieść do części mieszkalnej statku i zamknąć ją tam? - zwrócił się Tuf do Liona.

- Jasne. - Jefri schylił się i zgarnął kotkę z podłogi. - Ale dlaczego?

- Widzę, że po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo, muszę trzymać ją z dala od pańskiej towarzyski.

Celise Waan wstała, wzięła hełm pod pachę i wydeła wargi.

- Bzdura. I tak już tu nie wrócę. Spójrz na ekran: szary jest zdrow jak ryba.

- Mam poważne podstawy, by przypuszczać, że nie wzięła pani pod uwagę dość istotnego czynnika - oświadczył Haviland Tuf z nieruchomą twarzą. - Chodzi o okres wylęgania.

- ZABIJĘ TĘ SUKĘ! - grzmiał Kaj Nevis, krocząc z Anittasem pogrążonym w mroku korytarzem. - NIECH JĄ SZLAG TRAFI! NIE MA JUŻ LOJALNYCH NAJEMNIKÓW. - Płonący czerwienią wizjer odwrócił się w stronę cybertecha. - POSPIESZ SIĘ!

- Nie dam rady!

Cybernetyczna połowa Anittasa nie odczuwała żadnego zmęczenia, jego ludzkie organy natomiast funkcjonowały na granicy wydolności, poobijane i poranione mocarnymi kleszczami. Cyborg odczuwał silne zawroty głowy, a na dodatek wydawało mu się, że jest okropnie gorąco.

- Już niedaleko - wysapał. - Prosto tym korytarzem, trzecie drzwi po lewej. Centrala zawiadująca tym subpoziomem. Będę mógł znowu podłączyć się do głównego systemu.

I odpocząć, dodał w myślach. Jeszcze nigdy nie był tak potwornie zmęczony.

- MASZ WŁĄCZYĆ TE PRZEKŁĘTE ŚWIATŁA! - zadudnił Nevis. - A POTEM ZNALEŹĆ JĄ, I TO JAK NAJPRĘDZEJ! ROZUMIESZ?

Cybertech skinął głową i, ku swemu zaskoczeniu, jednak zdołał nieco przyspieszyć kroku. Nagle na jego policzkach pojawiły się dwie krwistoczerwone plamy, wzrok mu zmętniał, a w uszach rozległo się głośnie bzyczenie. Zatrzymał się raptownie.

- CO ZNOWU? - warknął Kaj Nevis.

- Jakieś zaburzenia nadrzędnych funkcji - powiedział Anittas słabym głosem. - Muszę jak najprędzej podłączyć się do sieci i sprawdzić wszystkie systemy.

Ponownie ruszył naprzód, ale już po pierwszym kroku zachwiał się, zatoczył, a następnie runął na podłogę.

Rica Dawnstar była pewna, że zdołała ujść pogoni. Co prawda Kaj Nevis w swoim małym stroju przedstawiał nieliczne zagrożenie, ale na szczęście poruszał się tak głośno, że słysząc go było na kilometr. Oprócz tego Rica miała wzrok niemal równie dobry jak koty Tufa; tam gdzie mogła cokolwiek dostrzec, biegła, a w korytarzach pogrążonych w całkowitej ciemności posuwała się naprzód po omacku, starając się czynić jak najmniej hałasu. Zagłębiała się coraz bardziej w labirynt sal, pokoiów, komór i magazynów, wielokrotnie

wracała w to samo miejsce, po czym skręcała w przeciwną niż poprzednim razem stronę; przez cały czas pilnie nasłuchiwała grzmiących kroków Nevisa, te jednak stawały się coraz słabiej słyszalne, aż wreszcie zupełnie umilkły w oddali.

Dopiero wtedy, kiedy nabrała pewności, że jest bezpieczna, zaczęła poświęcać więcej uwagi miejscu, w którym się znalazła. Szybko odkryła w ścianach lekko fosforyzujące płytki; wystarczyło ich dotknąć, żeby włączyć oświetlenie na sporym odcinku korytarza albo w większej części pomieszczenia. Niektóre działały, inne nie, ale ona dotykała wszystkich, jakie zdołała znaleźć. Przez pewien czas wędrowała po części mieszkalnej statku: wąskie korytarze, a przy nich nieduże pokoiki, wyposażone w łóżko, biurko, konsolę komputerową oraz ekran. Większość była pusta i nienagannie uporządkowana, znalazła jednak i takie z nie zasłanymi łózkami oraz ubraniami porozrzucanymi po podłodze. Jednak nawet tam nie dostrzegła ani brudu, ani kurzu. Albo załoga „Arki” opuściła ją zaledwie wczoraj, albo statek sam dbał przez wieki o czystość i porządek, utrzymując w tej jego części niemal całkowitą próżnię. Dopiero teraz, kiedy znowu zjawili się ludzie, napełnił ją powietrzem.

Sąsiednia sekcja wyglądała zupełnie inaczej. W pokojach piętrzyły się stosy rupieci pokrytych grubą warstwą kurzu, w jednym zaś znalazła szkielet leżący w łóżku, które już dawno rozpadło się ze starości.

Stopniowo korytarze stawały się coraz szersze. Rica zagłębiała do magazynów wypełnionych trudnym do zidentyfikowania ekwipunkiem oraz pustymi klatkami, do nieskazitelnie czystych, ciągnących się bez końca laboratoriów, aż wreszcie dotarła do miejsca, w którym „jej” korytarz przecinał pod kątem prostym inny, jeszcze szerszy. Przez chwilę stała, niezdecydowana, po czym wyciągnęła broń. Założę się, że tędy idzie się do sterowni albo do jakiegoś innego ważnego miejsca, pomyślała. Ostrożnie przemknęła na drugą stronę szerokiego korytarza, po czym przywarła plecami do ściany, ponieważ nieco dalej, w półmroku, dostrzegła jakieś nieruchome kształty.

Przyglądała im się ze wstrzymanym oddechem, ale nie poruszyły się, więc powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła się do nich zbliżać. Kędy znalazła się w odległości kilku metrów, parsknęła śmiechem i schowała igłacz do kabury. Tajemnicze kształty okazały się trójkołowymi pojazdami na wielkich baloniastych oponach, zaparkowanymi w płytkich niszach i podłączonymi przewodami do gniazdek w ścianie. Wyciągnęła jeden z nich na środek korytarza, wskoczyła na siodełko i pstryknęła głównym przełącznikiem. Wskaźnik gotowości zapłonął zielonym światłem. Skuter był nawet wyposażony w reflektor, którego blask wydobywał z ciemności kilkunastometrowy odcinek korytarza. Wspaniale. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, po czym wcisnęła pedał gazu. Może niezbyt szybko, ale

jednak zmierzała do celu.

Jefri Lion zaprowadził ich do zbrojowni. Tam właśnie Haviland Tuf zabił Muchomora.

Lion omiatał pomieszczenie snopem światła latarki, wydając okrzyki zachwytu na widok stojaków z laserami, bronią palną, ogłuszaczami, paralizatorami oraz skrzyń z granatami oślepiającymi. Celise Waan narzekała głośno, że nie potrafi posługiwać się żadną bronią, a poza tym i tak przypuszczalnie nie potrafiłaby nikogo zabić. Bądź co bądź, jest uczoną, a nie żołnierzem.

Haviland Tuf trzymał oburącz Muchomora. Kiedy opuścili „Róg Obfitości”, kocur powitał go radosnym mručeniem, szybko jednak umilkł, teraz zaś wydawał żalosne odgłosy, jakby się krztusił, usiłując jednocześnie rozpaczliwie miauczeć. Szara, gęsta sierść wychodziła mu kłakami. W blasku latarki Liona Tuf zobaczył, że kotu coś wyrasta z pyszczka: jakby płatanina długich czarnych włosów połączonych również czarną galaretowatą substancją. Muchomor skarżył się coraz głośniejszym, bezskutecznie drapiąc pazurami skafander Tufa. Jego wielkie żółte oczy zaszyły mleczną mgłą.

Pozostali nie zwracali na niego uwagi. Żadne z nich nie miało czasu ani ochoty zwracać sobie głowy kotem, który od urodzenia towarzyszył kupcowi w jego podróżach. Sprzecali się głośno, pochłonięci snuciem planów na najbliższą i nieco dalszą przyszłość. Tuf jeszcze mocniej przycisnął kocura do piersi, pogłaskał go po raz ostatni, szepnął mu coś do ucha, po czym zdecydowanym, błyskawicznym ruchem skręcił mu kark.

- Nevis już raz próbował nas zabić - mówił Jefri Lion. - Nie obchodzi mnie twoje narzekania; musisz wziąć się w garść, i już. Chyba nie oczekujesz, że Tuf i ja będziemy twoimi ochroniarzami? - Zmarszczył brwi. - Szkoda, że prawie nic nie wiem o tym bojowym skafandrze, który zabrał nam Nevis. Tuf, czy uda się go przebić promieniem lasera? A może lepsza będzie broń palna? Moim zdaniem, chyba jednak laser... Co o tym myślisz, Tuf? - Odwrócił się i zatoczył koło latarką. Zniekształcone cienie zatańczyły dziko na ścianach zbrojowni. - Tuf? Tuf, gdzie jesteś?

Haviland Tuf zniknął.

Drzwi podstacji komputerowej nie chciały się otworzyć, więc Kaj Nevis kopnął w nie z całej siły. W metalowej płycie pozostało głębokie wgniecenie, a górna krawędź drzwi wyskoczyła z futryny. Nevis kopnął drugi raz, trzeci i czwarty. Opancerzony buciór bojowego skafandra z łoskotem uderzał w cienki metal, aż wreszcie drzwi runęły do środka. Ostatnim

kopnięciem Nevis odsunął je na bok, po czym wkroczył do pomieszczenia, niosąc w dolnych ramionach nieprzytomnego Anittasa.

- CHOLERA, PODOBA MI SIĘ TEN SKAFANDER! - zagrział.

Cybertech jęknął cicho.

Podstacę wypełniało ledwo słyszalne brzęczenie. Małeńkie różnokolorowe światełka zapalały się i gasły jak robaczki świętojańskie.

- ...do obwodu... - wyszeptał Anittas. Jego ręka poruszyła się słabo w czymś, co mogło być nie dokończonym gestem albo tylko skurczem. - Podłącz mnie do obwodu - powtórzył. Organiczne części jego ciała wyglądały okropnie. Na skórę wystąpiły mu krople czarnego potu, które mieszały się z innym, lśniącem płynem, sączącym się z naturalnych otworów ciała oraz ran zadanych szczypcami przez Nevisa. Nie był w stanie iść ani nawet stać o własnych siłach, z każdą chwilą miał coraz większe problemy z mówieniem. Czerwony blask bijący od wizjera unquińskiego skafandra nadawał jego twarzy upiorną siną barwę. - Pospiesz się... - wycharczał. - Błagam, podłącz mnie do obwodu.

- ZAMKNIJ SIĘ ALBO ZROBIĘ Z TOBĄ TO, CO Z TYMI DRZWIAMI! Ciałem cyborga wstrząsnął dreszcz, jakby wzmocniony, zniekształcony głos Nevisa sprawił mu fizyczny ból. Kaj Nevis rozejrzał się po pokoju, a kiedy dostrzegł wolny interfejs, postąpił trzy grzmiące kroki w jego kierunku i cisnął Anittasa na biały fotel, stanowiący całość z biurkiem i konsolą. Cybertech krzyknął z bólu.

- ZAMKNIJ SIĘ!

Niezgrabnie pociągnął cyborga za ramię, prawie wyrywając mu je ze stawu. Bojowy skafander nie bardzo nadawał się do przeprowadzania działań wymagających nie tyle siły, co precyzji i delikatności, on jednak nie zamierzał go zdejmować. Zbyt dobrze się w nim czuł. Polubił go. Szarpnął jeszcze raz, po czym, nie zważając na jęki Anittasa, wyprostował mu stalowe palce i wepchnął je w interfejs.

- ZADOWOLONY? - zapytał, po czym cofnął się o krok. Cybertech osunął się w przód, uderzył czołem w konsolę i znieruchomiał z przekreśloną na bok głową. Z szeroko otwartych ust wypłynęła krew zmieszana z czarną oleistą cieczą. Nevis skrzywił się z odrazą.

Czyżby dotarli tu zbyt późno? Czyżby ten cholerny cyborg wykręcił mu paskudny numer?

W tej samej chwili brzęczenie przybrało na sile, a małeńkie kolorowe światełka zaczęły migotać w szaleńczym tempie. Anittas wszedł do obwodu.

Rica Dawnstar jechała głównym korytarzem, odczuwając niemal coś w rodzaju

radosnego uniesienia, kiedy nagle rozpościerająca się przed nią ciemność rozbłysła jaskrawym światłem. W górze sufitowe lampy kolejno budziły się z długiego snu, zamieniając ciągnącą się kilometrami noc w dzień tak jasny, że aż bolały oczy.

Zahamowała gwałtownie i spod półprzymkniętych powiek obserwowała, jak fala światła biegnie, wydawać by się mogło, w nieskończoność. Obejrzawszy się, stwierdziła, że tam, skąd przybyła, wciąż panuje ciemność.

Teraz, w pełnym blasku, dostrzegła coś, co umknęło jej uwadze w mroku rozproszonym jedynie światłem samotnego reflektora: sześć równoległych pasów różnobarwnego plastyku, wtopionych w podłogę korytarza. Czerwony, niebieski, żółty, zielony, srebrny, fioletowy. Z pewnością każdy dokądś prowadził - szkoda, że nie miała najmniejszego pojęcia dokąd.

Wciąż jeszcze przyglądała im się z namysłem, kiedy jeden, ten srebrzysty, rozjarzył się wewnętrznym blaskiem i niemal jednocześnie lampa nad jej głową wyraźnie przygasła. Rica zmarszczyła brwi, po czym przesunęła skuter kilka metrów do przodu, z mroku w światło. Chwilę potem przygasła kolejna lampa, srebrny pas zaś począł intensywnie pulsować.

- W porządku - powiedziała głośno. - Niech będzie po twojemu.

Wcisnęła pedał gazu i podążyła wzdłuż srebrzystej linii, a nad jej głową kolejno gasły lampy.

- Wrócił! - wrzasnęła Celise Waan, kiedy w korytarzu zrobiło się jasno, i podskoczyła co najmniej metr w górę.

Jefri Lion stanął w szerokim rozkroku i zmrużył oczy. W rękach trzymał laserową strzelbę, do lewego biodra miał przytroczoną kaburę z pistoletem pneumatycznym miotającym eksplodujące pociski, do prawego futerał z igłaczem, przez plecy przewiesił ukosem przenośne działko plazmowe, przez prawe ramię przerzucił pas z bombami paraliżującymi, przez lewe pas z granatami oślepiającymi, do uda zaś miał przywiązaną pochwę z ogromnym nożem wibracyjnym. Uśmiechał się, a w uszach czuł radosne pulsowanie krwi. Był gotowy na wszystko. Poprzednio czuł się tak wspaniale przed ponad stu laty, kiedy po raz ostatni walczył w szeregach Ochotników Skaeglaya z Czarnymi Aniołami. Do diabła z uczonymi dyrdymałami. Jefri Lion był człowiekiem czynu i teraz znowu czuł się młody.

- Spokojnie, Celise - powiedział, nie podnosząc głosu. - Oprócz nas nikogo tu nie ma. Po prostu włączyło się oświetlenie, nic więcej.

Tłusta antropolog nie wyglądała na przekonaną. Ona także była uzbrojona, ale zamiast nieść jak należy strzelbę laserową, ciągnęła ją za sobą po podłodze, twierdząc, że jest za ciężka. Lion z niepokojem zastanawiał się, co będzie, jeśli jego towarzyszka spróbuje uzbroić i cisnąć granat oślepiający.

- Spójrz! - Wyciągnęła rękę. - Co to?

Środkiem korytarza biegły dwa pasy: czerwony i pomarańczowy. Pomarańczowy pulsował łagodnym, ale wyraźnym blaskiem.

- Coś jakby drogowskaz. Idziemy za nim.

- Nie! - oświadczyła stanowczo kobieta.

Jefri Lion skrzywił się z niesmakiem.

- Posłuchaj: ja tutaj dowodzę, więc będziesz robiła to, co każę. Damy sobie radę z każdym, kto stanie nam na drodze. Przestań marudzić i chodź ze mną.

- Nie! - powtórzyła z uporem Celise. - Jestem zmęczona! Tam może być niebezpiecznie. Zostaję tutaj.

- Idziemy! To rozkaz.

- Przestań się wygłupiać. Nie masz prawa mi rozkazywać. Mam wyższy stopień naukowy.

- Nie jesteśmy w Ośrodku - zwrócił jej uwagę Lion. - Więc jak: idziesz czy nie?

- Nie!

Z założonymi rękami usiadła na środku korytarza.

- Jak chcesz. W takim razie powodzenia.

Jefri Lion odwrócił się i równym krokiem pomaszerował wzdłuż pomarańczowej linii. Jego zbuntowana armia odprowadziła go ponurym, nieruchomym spojrzeniem.

Haviland Tuf dotarł do bardzo niezwykłego miejsca.

Długo wędrował bez celu pogrążonymi w ciemnościach korytarzami, przyciskając do piersi martwe ciało Muchomora. Nie wiedział, dokąd ani po co idzie, i nawet się nad tym nie zastanawiał. Po trudnym do określenia czasie dotarł do czegoś w rodzaju obszernej pieczary; ściany oraz sufit uciekły na boki i w górę, jego zaś połknęła wypełniona pustką ciemność. Kroki Tufa wywoływały słabe, odległe echo, bez trudu zagłuszające inne, ledwo słyszalne odgłosy: niskie nieprzerwane buczenie oraz chlupoczące mlaskanie, przywodzące na myśl ogromny podziemny ocean. Nie mógł to jednak być ocean, bo przecież Tuf znajdował się nie na planecie, tylko w trzewiach gigantycznego okrętu biwojennego, otoczony nieprzyjaciółmi, z martwym Muchomorem w objęciach, którego zabił własnymi rękami.

Szedł dalej, trudno powiedzieć jak długo. Przez cały czas towarzyszyło mu echo jego kroków. Metalowa podłoga była doskonale gładka, tym bardziej więc zaskoczyło go zderzenie z jakimś dużym, niewidocznym w ciemności przedmiotem. Na szczęście szedł na tyle wolno, że nie doznał żadnego uszczerbku w wyniku zderzenia, ale wypuścił z objęć kocie zwłoki. Ostrożnie wyciągnął obie ręce i zaczął obmacywać przeszkodę, zdołał jednak stwierdzić tylko tyle, że jest całkiem spora i pozbawiona kantów.

Chwilę potem zrobiło się jasno.

Światło było szare i przyćmione, więc Tuf nie został oślepiiony ani nawet nie musiał zmrużyć oczu. Błada poświata spływała z sufitu; wszędzie tam, gdzie wygrywała walkę z plamami czarnego cienia, podłoga i sprzęty zdawały się leciutko jarzyć, jakby były pokryte cienką warstwą jakiegoś fosforyzującego mchu.

Haviland Tuf rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie, w którym się znajdował, przypominało raczej tunel niż jaskinię; w ciemnościach pokonał prawie całą jego szerokość, wynoszącą około kilometra, ale była ona niczym w porównaniu z długością. Całkiem możliwe, iż tunel ciągnął się przez cały statek, od dziobu do rufy, ponieważ nie sposób było dostrzec żadnego z jego końców. W górze rozproszone trupie światło mieszało się z zielonkawymi cieniami, wzdłuż ścian zaś ciągnęły się maszyny, terminale komputerowe oraz stanowiska wyposażone w urządzenia, które Tuf widział po raz pierwszy w życiu. Najwięcej jednak było zbiorników służących hodowli tkanek.

Choćby chciał, nie zdołałby ich zliczyć. Wyrastały ze ścian i z podłogi, niektóre zaś zwieszały się z sufitu. Były najrozmaitszych rozmiarów: trafiały się tak wielkie, że bez trudu pomieściłyby „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, ale tu i ówdzie można było dostrzec maleńkie, długości i szerokości ludzkiej dłoni, zgrupowane w zespoły po kilkadziesiąt albo nawet kilkaset sztuk. Komputery i skomplikowane stanowiska wyglądały przy nich jak mało istotny dodatek. Tuf dość szybko zlokalizował źródło tajemniczego, mlaszcząco-chlupoczącego odgłosu; większość zbiorników była pusta, gdzieś jednak jego wzrok napotykał wypełnione różnobarwnymi bulgoczącymi cieczami, w których trwały zawieszane - niektóre nieruchomo, inne wykonując słabe, nieskoordynowane ruchy - zagadkowe kształty.

Haviland Tuf długo chłonał ten widok. Skala pomieszczenia oraz wypełniających je przedmiotów sprawiła, że poczuł się bardzo mały. Wreszcie jednak ocknął się i pochylił, żeby podnieść z podłogi nieruchome ciało Muchomora. Jego wzrok przypadkowo spoczął na obiekcie, z którym zderzył się po ciemku; był to zbiornik średniej wielkości, o łagodnie zaokrąglonych ścianach. Wypełniała go mętna żółtawa ciecz poprzecinana nieregularnymi

smugami czerwieni. Do uszu Tufa doszedł cichy bulgot i jednocześnie kupiec wyczuł wyraźne drzenie, jakby coś poruszyło się w zbiorniku. Zaintrygowany, zbliżył twarz do szyby, a potem, wiedziony trudnym do wytłumaczenia impulsem, skierował wzrok w górę.

Jeszcze nie wykluty, a jednak już żywy tyranozaur wpatrywał się w niego nieruchomym spojrzeniem.

W systemie komputerowym statku nie istniał ból. W systemie Anittas nie miał ciała. Był samym umysłem, czystym i nieskalanym, jednocześnie zaś stanowił część składową czegoś ogromnego, potężnego i znacznie doskonalszego niż on, niż oni wszyscy. W systemie stał się więcej niż człowiekiem, więcej niż cyborgiem, więcej niż maszyną. W systemie był prawie bogiem. Mógł ignorować czas, był bowiem szybki jak myśl, jak komendy i informacje mknące nadprzewodzącymi kanałami, jak błyski mikrolaserów pracowicie tkających niewidzialne sieci we wnętrzu głównej macierzy. Dzięki systemowi dysponował tysiącem oczu, tysiącem uszu i tysiącem rąk, które mógł zacisnąć w pięści i puścić w ruch. Dzięki systemowi mógł być wszędzie naraz.

Był Anittasem. Był „Arką”. Był ponad pięciuset satelitami obserwacyjnymi. Był dwudziestoma imperialnymi komputerami serii 7400, zawiadującymi z dwudziestu podstacji dwudziestoma sekcjami gigantycznego okrętu. Był Ogniomistrzem, Kryptografem, Astrogatorem, Głównym Technikiem, Medykiem, Archiwistą, Bibliotekarzem, Biomagazynierem, Mikrochirurgiem, Szefem Klonowania, Łącznościowcem i Szefem Kontrwywiadu. Był całym sprzętem i oprogramowaniem, wszystkimi podwójnymi, potrójnymi i poczwórnymi układami zabezpieczającymi. Miał tysiąc dwieście lat i trzydzieści kilometrów długości, jego serce zaś stanowiła główna macierz o zewnętrznej średnicy zaledwie dwóch metrów i prawie nieskończona wewnątrz. Dotykał tego i tamtego, po czym ruszał dalej, a jego świadomość z cudowną lekkością przepływała od ośrodka do ośrodka, z rdzenia na rdzeń, od terminalu do terminalu. Wiedza kipiała w nim niczym krystalicznie czysta źródłana woda, podgrzana znacznie bardziej niż do temperatury wrzenia. Był „Arką”. Był Anittasem. Umierał.

Głęboko w swoich trzewiach, w najdalszym zakamarku wnętrzości, poruszył srebrzystymi sensorami i skierował je na Kaja Nevisa. Uśmiechnął się, odsłaniając zęby z chromowej stali. Uśmiech na jego tylko w połowie ludzkiej twarzy wyglądał groteskowo.

- Ty głupcze - powiedział.

Monstrualna kosmiczna zbroja zbliżyła się o krok, szczypce zamknęły się i otworzyły z metalicznym szczęknięciem.

- UWAŻAJ, CO MÓWISZ.

- Chętnie to powtórzę: jesteś głupcem. - Roześmiał się, ale odgłos, który wydobył się z jego rozbitych, zakrwawionych ust wcale nie przypominał śmiechu. - Zabiłeś mnie, Nevis. Zabrakło ci cierpliwości i zabiłeś mnie, a przecież mogłem dać ci to wszystko. Statek jest pusty. Załoga od dawna nie żyje. System też jest pusty. Nie ma w nim nikogo oprócz mnie. Mamy do czynienia z idiotą. „Arka” przypomina teraz zidiociałego olbrzymia. Ci z Imperium za bardzo się bali. Skonstruowali prawdziwe Sztuczne Inteligencje, umieścili je na statkach i okrętach wojennych, oddali im we władanie zrobotyzowane floty i eskadry, ale potem zaczęło dochodzić do niepokojących wydarzeń. Wszystkiego można się dowiedzieć z historii: Kandabaer, Lear, bunty „Alecto” i „Golema”... Jak tylko zbudowali pierwsze okręty biowojenne, uświadomili sobie, jak ogromne potencjalne zagrożenie przedstawiają sobą te jednostki. Załogę „Arki” stanowiło dwustu ludzi - strategów, uczonych, inżynierów ekologów i oficerów - oprócz tego zaś mogła zabrać na pokład ponad tysiąc żołnierzy, wyżywić ich, dotrzeć w dowolne miejsce i zniszczyć dowolną planetę, a wszystkim rządził system. To bardzo bezpieczny system, Nevis. Wyrafinowany. Potrafi sam się naprawić, potrafi się obronić, potrafi robić jednocześnie tysiąc rzeczy, ale tylko wtedy, jeśli wydasz mu polecenie. Obsługiwany przez dwustu ludzi, działał z pełną mocą, ale w razie potrzeby może nim kierować nawet jeden człowiek. Oczywiście nie tak sprawnie i szybko, ale jednak. Sam nie zadziała, bo nie ma mózgu. Nie wyposażono go w Sztuczną Inteligencję. Czeka na polecenia, a te może wydawać nawet jeden człowiek. Jeden człowiek, wyobrażasz sobie? Bez trudu dałbym sobie radę, gdyby nie to, że zabił mnie Kaj Nevis, bo zabrakło mu cierpliwości. Nevis postąpił kolejny krok naprzód.

- NIE WYGLĄDASZ NA NIEBOSZCZYKA - zagrzmiał, poruszając szczypcami.

- Ale nim jestem - odparł Anittas. - Czerpię moc z systemu, wspomagam cybernetyczną część organizmu, ale i tak umieram. To zaraza, Nevis. W końcowym okresie funkcjonowania „Arki” załoga liczyła zaledwie trzydziestu dwóch ludzi. Właśnie wtedy nastąpił atak Hruunów. Złamali szyfry, otworzyli kopułę i wylądowali. Ponad stu wojowników dokonało desantu. Zdobywali poziom za poziomem, sekcję za sekcją, wszystko wskazywało na to, że niebawem opanują okręt. obrońcy dokonywali cudów odwagi, robili wszystko, co w ich mocy, urządzali zasadzki, walczyli o każdy metr korytarzy. Jeśli dobrze poszukasz, znajdziesz sporo miejsc, gdzie toczyły się zażarte walki. Zniszczenia są tam tak duże, że „Arka” nie zdołała ich sama naprawić. Wreszcie, zrozpaczeni, sięgnęli po ostatnią deskę ratunku: wypuścili bakterie, wirusy i pasożyty, uwolnili hodowane w zbiornikach potwory i zwyciężyli. Hruunowie zostali wybici do nogi, ale ocalało tylko czterech obrońców.

Jeden z nich był ciężko ranny, dwaj poważnie chorzy, jeden postradał zmysły. Chcesz wiedzieć, jak się nazywali? Chyba nie. Ty nie wiesz, co to ciekawość. Zresztą, to bez znaczenia; Tuf na pewno będzie chciał się dowiedzieć, podobnie jak Lion.

- TUF? LION? CO TY WYGADUJESZ? PRZECIEŻ OBAJ NIE ŻYJĄ!

- Mylisz się. Są cali i zdrowi i dostali się na pokład „Arki”. Lion znalazł zbrojownię. Przypomina teraz chodzący arsenał. Szuka cię. Tuf znalazł coś jeszcze ważniejszego. Rica Dawnstar podąża za srebrzystą linią na mostek kapitański. Wszyscy są tutaj. Obudziłem „Arkę” z uśpienia i prowadzę ich za rękę.

- ZATRZYMAJ ICH! - rozkazał Nevis. Nie wahał się ani chwili: wysunął naprzód zębate kleszcze i zacisnął je na biometalowym gardle Anittasa. Czarny pot spływał kropelkami na lśniąca stal. - ZATRZYMAJ ICH NATYCHMIAST!

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział cyborg, prawie nie poruszając zmasakrowanymi wargami. - Ostatni słudzy Imperium zrozumieli, że to koniec. Wyłączyli większość funkcji statku, po czym zostawili go we władaniu próżni, ciszy i kosmicznej pustki. Uczynili z niego martwą skorupę, ale nie do końca, ponieważ obawiali się, że kiedyś, w trudnej do przewidzenia przyszłości, nastąpi kolejny atak. Przykazali „Arce”, żeby się broniła. Uzbroili działa plazmowe oraz zewnętrzne lasery i uaktywnili strefę obronną, o czym niedawno mieliśmy okazję przekonać się na własnej skórze. Zaprogramowali również statek, żeby w straszliwy sposób pomścił ich śmierć, pojawiając się okresowo nad Hro B’rana, gdzie zamieszkali Hruunowie, i siejąc śmierć oraz zniszczenie. Po to, żeby mieszkańcy planety nie zdołali uodpornić się na zsyłane z nieba plagi, wystawili zbiorniki z wirusami i bakteriami na działanie promieniowania, co wymusiło przyspieszoną mutację, a także uruchomili działający automatycznie program inżynierii genetycznej, który powoływał do życia coraz bardziej zabójcze mikroby.

- NIC MNIE TO NIE OBCHODZI - zagrzmiał Kaj Nevis. - CZY POWSTRZYMAŁEŚ TAMTYCH? MOŻESZ ICH ZABIĆ? ZRÓB TO, BO W PRZECIWNYM RAZIE JA ZABIJE CIEBIE!

- Ty już mnie zabiłeś - odparł cybertech. - Przecież ci powiedziałem. Zaraza. Druga, wewnętrzna strefa obronna. Gdyby komuś mimo wszystko udało się wdrzeć na pokład, „Arka” miała obudzić się ze snu i wypełnić korytarze atmosferą, tyle że z obfitą domieszką najróżniejszych nośników chorób. W zbiornikach od tysiąca lat następowała mutacja za mutacją. Choroba, która mnie dopadła, nawet nie ma nazwy. Wydaje mi się, że przenoszą ją jakies zarodniki. Naturalnie istnieją wszelkie niezbędne lekarstwa i szczepionki, ponieważ „Arka” wytwarzała je równolegle z nowymi chorobami, ale dla mnie jest już za późno. Dużo

za późno. Zaraza zżera od środka moją biologiczną połowę. Mogłem dać ci ten statek na talerzu. Razem mogliśmy rozporządzać niemal boską siłą, a zamiast tego umieramy.

- TY UMIERASZ - sprostował Nevis. - STATEK I TAK JEST MÓJ.

- Wątpię. Dałem mu mocnego kopa. Zidiociały olbrzym obudził się na dobre. Co prawda nie zmańdrał, ale jest przytomny i czeka na rozkazy, których ty nie potrafisz wydać, a nawet gdybyś potrafił, to i tak nie wiedziałbyś, jak mu je przekazać. Prowadzę tu Jefriego Liona. Rica Dawnstar coraz szybciej zbliża się do mostku. Co więcej...

- ŻADNYCH „WIĘCEJ”! - ryknął Kaj Nevis.

Stalowe kleszcze zacisnęły się i bez najmniejszego trudu odcięły głowę Anittasa od reszty ciała. Głowa odbiła się od piersi cyborga, spadła na podłogę, z karku chlusnęła fontanna krwi, a ze sterczącego grubego kabla trysnęły iskry. Chwilę potem bezgłowe ciało opadło z łoskotem na konsolę. Kaj Nevis puścił w ruch większe, górne ramiona; ciosy spadały w szaleńczym tempie, w powietrze strzelały fragmenty obudowy, elektroniczne części, przyciski i poszarpane przewody, aż wreszcie konsola zamieniła się w bezkształtne rumowisko.

Gdzieś z tyłu rozległ się wysoki, przenikliwy dźwięk. Nevis odwrócił się gwałtownie, by zlokalizować jego źródło.

Leżąca na podłodze głowa wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, srebrzystymi oczami. Na pokiereszowanych ustach trwał pogardliwy uśmiech.

- Jeszcze jedno - powiedziała głowa. - Uruchomiłem ostatnią procedurę ochronną przygotowaną przez poddanych Imperium. Wyłączyłem pole statyczne. Kosmary budzą się do życia. Wkrótce zjawią się bezwzględni strażnicy, żeby cię zniszczyć.

- NIECH CIĘ SZLAG TRAFI!

Kaj Nevis jednym susem znalazł się przy głowie, podniósł potężną nogę i z całej siły opuścił stopę osłoniętą ogromnym stalowym buciorem. Kości oraz metalowe elementy konstrukcyjne czaszki pękły z głośnym trzaskiem, ale jemu to nie wystarczyło; uderzał stopą raz po raz, aż wreszcie na podłodze została tylko cienka warstwa niemożliwej do zidentyfikowania, szarawej mazi, poznaczonej tu i ówdzie srebrnymi i różowymi smugami.

A potem, nareszcie, zapadła cisza.

Co najmniej przez dwa kilometry sześć linii biegło obok siebie, przy czym tylko srebrzysta pulsowała wewnętrznym światłem. Pierwsza odbiła w bok czerwona, kilometr dalej zaś to samo uczyniła fioletowa, która znikła za szerokimi podwójnymi drzwiami wiodącymi, jak się okazało, do ogromnej i nienagannie czystej automatycznej kuchni. Rica

odczuwała wielką pokusę, żeby dokładniej rozejrzeć się po tym i sąsiednich pomieszczeniach, ale srebrzysta linia wciąż pulsowała nagłaco, a sufitowe lampy kolejno gasły nad jej głową, poganiając ją, żeby prędzej szła naprzód.

Wreszcie dotarła do końca. Szeroki korytarz, którym przez cały czas podążała, łagodnie skręcił w lewo, by nieco dalej połączyć się ze swoim bliźniaczym odpowiednikiem. Miejsce ich spotkania miało kształt wysoko sklepionej okrągłej hali, z której, na podobieństwo szprych gigantycznego koła łączących piastę z obręczą, rozbiegało się kilka znacznie mniejszych korytarzy. W górze Rica dostrzegła co najmniej trzy identyczne poziomy, oplatane pajęczyną pomostów, schodów i balkonów, pośrodku hali zaś znajdowała się pionowa, podobna do rury konstrukcja, sięgająca od podłogi do sufitu - najprawdopodobniej szyb windy.

Różnobarwne linie rozbiegały się we wszystkich kierunkach; tylko srebrzysta wiodła prosto do drzwi windy. Drzwi otworzyły się przed nią, ale Rica najpierw zatrzymała skuter przy szybie, zsiadła i zawahała się. Winda najwyraźniej na nią czekała. Powinna wejść do środka, ale wtedy zostałaby zamknięta w ciasnej przestrzeni, a instynkt ostrzegał ją, że nie należy tego czynić.

Wahała się zbyt długo.

Światła zgasły.

Pozostała samotna srebrzysta kreska, niczym stanowczo wyciągnięty palec. Oświetlona była jedynie kabina windy.

Rica Dawnstar zmarszczyła brwi, wydobyła igłacz z kabury i weszła do środka.

- Proszę na ostatnie piętro - powiedziała.

Drzwi zamknęły się za nią, po czym winda bezszelestnie ruszyła w górę.

Pomimo ciężaru broni, którą był obwieszony, Jefri Lion maszerował sprężystym krokiem. Jak tylko rozstał się z Celise Waan, od razu poczuł się lepiej; irytowały go jej bezustanne narzekania, a poza tym wątpił, czy miałby z niej jakikolwiek pożytek, gdyby doszło co do czego. Rozwahał wariant przeprowadzenia „cichej” operacji, ale odrzucił ten pomysł. Nie obawiał się ani Kaja Nevisa, ani jego skafandra bojowego. To prawda, że wiekowa zbroja wielokrotnie wzmocniła siły przeciwnika, ale stanowiła produkt obcej technologii, on zaś, Lion, dysponował arsenałem najbardziej śmiertcionośnej broni, jaką stworzyła technologiczna i militarna potęga Federalnego Imperium Starej Ziemi; czy mogli się z nią równać konstruktorzy z jakiejś nędznej planetki, o której niedawno usłyszał po raz pierwszy w życiu? Kim oni w ogóle byli? Zapewne niewolnikami Hrangan. Jak tylko odszuka

Nevisa, rozprawi się z nim bez trudu, podobnie jak z tą zdrajczynią Riką Dawnstar i jej żalonym igłaczem. Bardzo chciałby zobaczyć, co igłacz zdoła zdziałać w konfrontacji z działkiem plazmowym. Tak, to może być nadzwyczaj interesujący widok.

Ciekawe, jakie plany względem „Arki” mieli Kaj Nevis i jego banda. Z pewnością uknuli coś nielegalnego i odrażającego, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ statek dostanie się nie w ich, lecz w jego ręce - Jefriego Liona, podwykładowcy historii wojskowości w Ośrodku na ShanDellor, niegdyś zastępcy głównego taktyka przy Trzecim Skrzydle Ochotników Skaeglaya. Zdobędzie kontrolę nad „Arką” - być może przy pomocy Tufa, jeśli zdoła go odszukać, a może bez niej - i nie dopuści do tego, żeby ta skarbnica wiedzy została wykorzystana dla czyjejś prywatnej korzyści. Odprowadzi zdobycz na Avalon i ofiaruje tamtejszej Akademii Wiedzy, w zamian za dożywotnie stanowisko kustosa. Będzie miał fascynujące zajęcie do końca życia, a kiedy wreszcie dobiegnie ono końca, Jefri Lion, uczony i wojownik, dorówna sławą samemu Kleronomasowi, który uczynił Akademię tym, czym jest ona teraz.

Lion dziarskim krokiem maszerował środkiem korytarza za pomarańczową linią, pogwizdując rytmiczną melodię, której nauczył się ponad czterdzieści lat temu w szeregach Ochotników. Gwizdał i maszerował, maszerował i gwizdał...

Aż nagle linia zgasła.

Celise Waan długo siedziała z założonymi rękami i obrażoną miną na podłodze korytarza. Nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy kroki Liona ucichły w oddali. Rozpamiętywała obelgi i upokorzenia, jakie musiała znieść. Każde z nich stanowiło kamień obrazy, razem były wprost nie do wytrzymania. Popełniła poważny błąd, przystając do tej podejrzanej kompanii. Anittas był bardziej maszyną niż człowiekiem, Rica Dawnstar zachowywała się jak bezczelna kanalia, Kaj Nevis niczym nie różnił się od pospolitego przestępcy, a o Tufie w ogóle szkoda było mówić. Nawet Jefri Lion, jej kolega, okazał się zupełnie nieodpowiedzialny. To ona odkryła gwiazdę śmierci, to ona dopuściła ich do tajemnicy, i co otrzymała w zamian za to? Niewygody, grubiańskie traktowanie, wreszcie zdradę. Cóż, jak tak, to tak. Celise Waan ma już tego dosyć. Nie podzieli się z nikim swoją zdobyczą. Odprowadzi statek na ShanDellor i tam zarekwiruje go zgodnie z prawem. Jeśli jej byli wspólnicy będą mieli jakieś zastrzeżenia, proszę bardzo - niech oddadzą sprawę do sądu. Tymczasem nie zamierza mieć z nimi do czynienia.

Rozbolały ją pośladki, powoli zaczęły drętwieć nogi. Zbyt długo siedziała w jednej pozycji. Bolały ją także plecy i była głodna. Ciekawe, czy na tym wraku można dostać

porządny posiłek, pomyślała. Przypuszczalnie tak, bo przecież działały systemy obronne, komputery i nawet oświetlenie, więc może uda jej się znaleźć funkcjonującą kuchnię.

Podniosła się z podłogi i ruszyła na poszukiwania.

Nie ulegało wątpliwości, że coś się dzieje.

Ciche do tej pory brzęczenie wyraźnie narastało, coraz głośniejsze stawały się też bulgoczące odgłosy, natomiast mętna żółtawa ciecz w zbiorniku z tyranozaurom wydawała się klarować, jednocześnie zmieniając kolor. Różowe smugi szybko bladły i kurczyły się, aż wreszcie nie pozostał po nich żaden ślad. Z wewnętrznej ścianki zbiornika wyrosła macka, która zbliżyła się do dinozaura i jakby na chwilę przyssała się do niego, ale z powodu słabego oświetlenia Tuf nie był pewien, czy w istocie tak się stało.

Na wszelki wypadek postanowił wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Nie spuszczać wzroku ze zbiornika, oddalił się na kilka metrów, po czym majestatycznie wykonał „w tył zwrot” i podążył przed siebie. Zaledwie po kilkunastu krokach natknął się na komputerową konsolę połączoną z doskonale wyposażonym w mikromanipulatory, mikroskopy i precyzyjne narzędzia stanowiskiem roboczym.

Nie musiał wiele myśleć, by odgadnąć, czym zajmowano się w tym gigantycznym pomieszczeniu. Jeśli wierzyć Jefriemu Lionowi, największym skarbem „Arki” był magazyn tkanek, w którym zgromadzono mniejsze lub większe fragmenty milionów roślin i zwierząt, a także bakterie i wirusy z niezliczonych planet. Każdy z tych organizmów mógł zostać w dowolnej chwili sklonowany, w związku z czym „Arka” oraz bliźniacze jednostki były zdolne zesłać na dowolną planetę nieuleczalną chorobę, żeby zdziesiątkować jej ludność, żarłoczne owady, żeby zniszczyć zbiory, szybko rozmnażające się wszystkożerne zwierzęta, żeby wprowadzić chaos do ekosystemu i zakłócić funkcjonowanie łańcucha pokarmowego, albo nawet przerażające drapieżniki z drugiego końca wszechświata, które miały siał śmierć i zniszczenie w przeludnionych miastach. Jednak podstawę stanowiło klonowanie.

Haviland Tuf przypadkiem odnalazł miejsce, w którym się tym zajmowano. Połączone z komputerami stanowiska robocze służyły przeprowadzaniu skomplikowanych zabiegów mikrochirurgicznych, w przezroczystych zbiornikach zaś hodowano sklonowane organizmy aż do chwili, kiedy osiągnęły pożądany stopień rozwoju. Lion wspomniał też o przyspieszonym polu czasowym, jednej z zaginionych tajemnic Imperium; co prawda można było wytworzyć je tylko na niewielkim obszarze, w dodatku kosztem ogromnego wydatku energii, ale umieszczone w nim organizmy w ciągu zaledwie kilku godzin przeistaczały się z ledwo ukształtowanego zarodka w dorosłego osobnika albo, po odwróceniu potencjałów pola,

które zamieniało się wtedy w pole statyczne, przez tysiąclecia trwały w nie zmienionym stanie.

Haviland Tuf z namysłem spoglądał na stanowisko robocze, konsolę komputerową i na martwego Muchomora, którego zwłoki wciąż tulił do piersi.

Do klonowania wystarczy jedna komórka.

W pamięci centralnego komputera z pewnością są zapisane wszystkie procedury. Kto wie, może nawet umieszczono tam program instruktażowy?

- Zaiste - powiedział z namysłem Haviland Tuf.

Właściwie, dlaczego nie? Co prawda nie był cybertechem, ale nie był też idiotą, a na dodatek niemal przez całe życie miał do czynienia z najróżniejszymi systemami komputerowymi, w tym również takimi o bardzo wysokim stopniu komplikacji.

Podszedł do stanowiska, delikatnie położył kocie zwłoki na stole operacyjnym, opuścił czaszę naszpikowaną sensorami i włączył zasilanie. Początkowo nie rozumiał prawie nic z tego, co pojawiło się na ekranie, ale na szczęście nie należał do ludzi, którzy łatwo się zniechęcają.

Zaledwie kilka minut później był już pochłonięty pracą, i to tak bardzo, że nie zwrócił uwagi na dobiegający zza jego pleców donośny bulgot. Gdyby go usłyszał i gdyby się odwrócił, z pewnością zauważyłby, że poziom już prawie całkiem przezroczystego płynu w zbiorniku z tyranozaurom zaczął wyraźnie spadać.

Kaj Nevis wypadł z podstacji komputerowej, rozglądając się za kimś albo za czymś, co mógłby zabić.

Rozpierała go wściekłość - przede wszystkim był wściekły na siebie za to, że nie potrafił nad sobą zapanować i że nie okazał się wystarczająco przewidujący. Nie przyszło mu do głowy, że w atmosferze mogą znajdować się zabójcze mikroorganizmy. Anittas mógł mu się jeszcze przydać; oczywiście prędzej czy później musiałby zlikwidować zarozumiałego cybertecha, ale z tym nie miałyby najmniejszych kłopotów. Teraz sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Co prawda w unquińskim skafandrze Nevis czuł się całkiem bezpiecznie, niemniej jednak w jego sercu szybko kiełkowało ziarno niepokoju. Wcale nie ucieszyła go wiadomość, że Tuf i cała reszta dostali się na pokład. Tuf znacznie lepiej znał ten przeklęty skafander, przypuszczalnie wiedział więc również o jego słabych punktach.

Kaj Nevis sam niedawno odkrył jeden z nich: kończył się zapas powietrza. Nowoczesne skafandry, na przykład takie, jaki miał teraz na sobie Tuf, były wyposażone w zbiorniki ze zmodyfikowanymi genetycznie wirusami, które przetwarzały dwutlenek węgla w

tlen w takim samym tempie, w jakim człowiek dokonywał odwrotnego procesu. Dzięki temu zlikwidowano ryzyko wyczerpania się zapasu powietrza - chyba że cholerne wirusy szlag trafił. Skafander Nevisa, choć zapewniał mu solidną ochronę i dawał ogromną siłę, był mocno przestarzały: cały zapas powietrza, co prawda spory, ale jednak nieodnawialny, mieścił się w czterech ogromnych butlach na plecach. Jeżeli prawidłowo odczytywał wskazania instrumentów wewnątrz hełmu, jedna z nich była już prawie pusta; pozostały jeszcze trzy, co teoretycznie dawało mu aż nadto czasu na odszukanie i zlikwidowanie wszystkich przeciwników... jednak pod warunkiem, że zdoła ich odnaleźć. Kaj Nevis poczuł się trochę nieswojo. Po tym, co przydarzyło się Anittasowi, powziął stanowcze postanowienie, że za nic nie zdejmie hełmu, dopóki nie upewni się, że niebezpieczeństwo minęło. Już prędzej udusi się w skafandrze. Tajemnicza choroba przeżarła biologiczną połowę ciała cyborga w zastraszającym tempie; widok błotnistej czarnej mazi oblepiającej nienaruszone metalowe części należał do najokropniejszych, jakie Nevis widział w życiu, a widział już wiele mało przyjemnych rzeczy.

Jednak ryzyko, że zginie z braku tlenu, było niewielkie. Jeśli udało się zainfekować powietrze wypełniające wnętrze „Arki”, z pewnością istnieje też sposób na jego oczyszczenie. Odszuka sterownię, mostek, główną dyspozytornię czy jak to się nazywa i zrobi to. Na początek wystarczy jeden sektor. Co prawda Anittas powiedział, że Rica Dawnstar zbliża się do mostku, ale Nevis zupełnie się tym nie przejął. Wręcz przeciwnie: cieszył się na to spotkanie.

Ruszył w wybranym na chybił trafił kierunku. Echo jego kroków niesło się daleko pograżonymi w ciszy korytarzami. Nie szkodzi, niech go usłyszą. Mało go to obchodziło. Naprawdę polubił ten skafander.

Rozparta w kapitańskim fotelu Rica Dawnstar uważnie wczytywała się w informacje wyświetlone na głównym ekranie. W rozłożystym, mięciutkim, obitym wspaniałym starym plastykiem fotelu siedziała się jak na tronie. Człowieka od razu ogarniała ochota, żeby zamknąć oczy i uciąć sobie drzemkę - problem polegał na tym, że to miejsce z pewnością nie było przeznaczone do odpoczynku. Najwyraźniej zaprojektowano je w taki sposób, żeby kapitan mógł siedzieć przy głównym ekranie i wydawać polecenia oficerom pracującym przy dziewięciu mniejszych stanowiskach na głównym mostku oraz dwunastu umieszczonych pół piętra niżej. To oni wprowadzali dane do systemu i naciskali właściwe guziki. Ponieważ Rica nie miała dziewięcio- ani tym bardziej dwudziestojednosobowej świty, musiała jak szalona biegać od konsoly do konsoly. Uruchomienie wszystkich systemów gigantycznego statku

zajęło jej sporo czasu, a potem i tak przeżyła chwilę rozczarowania, zaczęła bowiem wydawać komendy z niewłaściwego pulpitu, w związku z czym nie uzyskała żadnej reakcji. Jednak stopniowo, pomału, zaczynała się w tym wszystkim orientować. Czyniła stałe postępy.

Najważniejsze, że była bezpieczna. Jak tylko dostała się na mostek, zablokowała windę, żeby nikt nie mógł dotrzeć tu tą drogą. Dopóki ona była tu, na górze, a oni tam, na dole, miała w ręku atutową kartę. Co prawda każda sekcja statku miała swoją podstację komputerową, a każdą wyspecjalizowaną funkcją - od obrony przez klonowanie do gromadzenia danych - dało się sterować z punktów dowodzenia rozrzuconych po całej „Arce”, ale stąd mogła kontrolować wszystko, co się dzieje, a co najważniejsze, zablokować każdy rozkaz, jaki z takiego lub innego względu nie zyskałby jej akceptacji. Oczywiście pod warunkiem, że go przechwyci i że będzie wiedziała, jak go zablokować. Na tym polegał największy problem. Mogła być tylko w jednym miejscu naraz i musiała poznać właściwe komendy. Co prawda cały czas posuwała się naprzód, jednak czyniła to metodą prób i błędów, a więc taką, która nie zapewnia natychmiastowych rezultatów.

Mimo wszystko dumna z siebie, oparła głowę na miękkiej plastikowej poduszce i obserwowała zmieniające się komunikaty. Wyglądało na to, iż zdołała wywołać pełną informację o statku. „Arka” przedstawiła już wyczerpujący raport na temat tych obszarów i funkcji, które przestały działać ponad tysiąc lat temu i nie zostały przez ten czas naprawione, teraz zaś wyświetlała dane dotyczące realizowanych programów.

Szczególnie imponująco wyglądała lista chorób przygotowanych z myślą o nieproszonych gościach, którzy wdarliby się na pokład „Arki”. Rica nie знаła przynajmniej siedemdziesięciu pięciu procent z nich, wszystkie nazwy jednak brzmiały nadzwyczaj złowroźnie. Anittas z pewnością szybko opanuje sterowanie procesami produkcyjnymi nowych bakterii i wirusów, powinna więc jak najprędzej szczelnie odgrodzić mostek od reszty statku, wypompować zakażone powietrze, zdezynfekować pomieszczenia i napełnić je czystym powietrzem. Alternatywę stanowiło pozostanie w skafandrze, ale najdalej za dzień lub dwa mogło to się okazać trudne do zniesienia.

Na ekranie wciąż pojawiały się nowe informacje.

FAZA BIODEFENSYWNA JEDEN(MIKRO)

KONIEC RAPORTU

FAZA BIODEFENSYWNA DWA(MAKRO)

POCZĄTEK RAPORTU

Zmarszczyła brwi. Makro? Co to może oznaczać, do wszystkich diabłów? Wielkie epidemie?

LICZBA JEDNOSTEK BRONI BIOLOGICZNEJ GOTOWYCH DO UŻYCIA:

Po tym enigmatycznym komunikacie przez ekran przesunęło się kilkadziesiąt wielocyfrowych oznaczeń. Rica niecierpliwie czekała na kolejne, bardziej zrozumiałe informacje.

WSZYSTKIE PROCEDURY KLONOWANIA ZAKOŃCZONE

USTERKI STWIERDZONO W ZBIORNIKACH: 671, 3312, 3379

KLONOWANIE W TYCH ZBIORNIKACH PRZERWANE

POLA STATYCZNE WYŁĄCZONE

ROZPOCZĘTY CYKL UWALNIANIA

Rica Dawnstar nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć. Cykl uwalniania... Kto uwalnia? I co albo kogo? Z drugiej strony, Kaj Nevis wciąż jest tam, w głębi statku. Jeśli owa tajemnicza druga makrofaza doprowadzi do jego śmierci, albo przynajmniej przysporzy mu jakichś problemów, tym lepiej. Chociaż, jeśli się zastanowić, to już czekało ją kłopotliwe zadanie pozbycia się pozostałości po fazie pierwszej; wcale nie marzyła o kolejnych utrudnieniach.

Komunikaty pojawiały się i znikwały coraz szybciej.

OKAZ NR 22-743-88639-04090

MIEJSCE POCHODZENIA: YILKAKIS

NAZWA ZWYCZAJOWA: DRAKULA KAPTURZASTY

Rica wyprostowała się gwałtownie. Słyszała o Yilkakis i żyjących tam kapturzastych drakulach. Paskudne stworzenia, chyba coś w rodzaju skrzydlatych wampirów prowadzących nocny tryb życia. Niezbyt inteligentne, za to obdarzone zdumiewająco czułym słuchem. Trzywierszową informację na sekundę lub dwie zastąpiła krótsza:

UWALNIANIE EGZEMPLARZA W TOKU

Potem i ta znikła, w jej miejscu zaś zamigotała jeszcze bardziej lakoniczna, bo zaledwie dwuwyzrazowa:

EGZEMPLARZ UWOLNIONY

Czy jeden wygłodniały drakula kapturzasty da radę zjeść na obiad całego Kaja Nevisa? Wątpliwe, przynajmniej dopóty, dopóki ten będzie miał na sobie ten przekłety skafander bojowy.

- Ładne rzeczy - powiedziała głośno.

W przeciwieństwie do Kaja, nie dysponowała skafandrem bojowym, z czego wynikało, że na razie „Arka” rzuca kłody pod nogi jej, nie Nevisowi.

OKAZ NR 13-612-71425-88812

MIEJSCE POCHODZENIA: ABBATOIR

NAZWA ZWYCZAJOWA: DIABELSKI KOCIAK

Rica nie miała pojęcia, jak wygląda diabelski kociak i, szczerze mówiąc, wcale nie zależało jej na tym, żeby się dowiedzieć. Słyszała natomiast o Abbatoirze: była to zakazana mała planetka, na której przepadły bez wieści trzy wyprawy kolonizacyjne. Podobno zamieszkiwały ją wyjątkowo drapieżne formy życia, czy jednak aż tak drapieżne, żeby przegryźć się przez bojowy skafander Nevisa? Mocno wątpliwe.

UWALNIANIE EGZEMPLARZY W TOKU

Ile stworów miało wyjść z trzewi statku? Zdaje się, że czterdzieści kilka.

- Wspaniale - wycedziła przez zęby.

Statek, po którym grasuje kilkadziesiąt wygłodniałych potworów, z których każdy z rozkoszą i bez najmniejszych problemów pożarłby ukochaną córeczkę jej matki? Nie, dziękuję bardzo. Rica wstała z fotela i rozejrzała się po mostku. Co powinna zrobić, żeby powstrzymać to szaleństwo?

EGZEMPLARZE UWOLNIONE

Podbiegła do konsoly, z której, jak wcześniej ustaliła, sterowano działaniem funkcji obronnych „Arki”, i wydała polecenie przerwania programu.

OKAZ NR 76-102-95994-12965

MIEJSCE POCHODZENIA: JAYDEN DWA

NAZWA ZWYCZAJOWA: ŻYWA PAJĘCZYNA

Zamigotały światełka, a na bocznym ekranie pojawiła się informacja, że zewnętrzne systemy obronne przestały działać. Niestety, przez główny ekran wciąż maszerowały te same komunikaty:

UWALNIANIE EGZEMPLARZA W TOKU

Rica zakląła siarczyście. Jej palce biegały z oszalamiającą prędkością po klawiaturze, usiłując wyjaśnić komputerom, że nastąpiła pomyłka, że chodziło jej o przerwanie drugiej fazy biodefensywnej. Bez rezultatu.

EGZEMPLARZ UWOLNIONY

Wreszcie zdołała nawiązać kontakt z komputerem, tylko po to jednak, by dowiedzieć się, że wybrała niewłaściwą konsolę. No tak, oczywiście. Stąd sterowało się tylko zewnętrzną strefą obroną.

OKAZ NR 54-749-37377-84921

MIEJSCE POCHODZENIA: PSC93, TSC749

NAZWA ZWYCZAJOWA: TOCZAK

Podbiegła do sąsiedniego stanowiska.

UWALNIANIE EGZEMPLARZA W TOKU

Na polecenie zatrzymania programu komputer odpowiedział, że akurat w tym subsystemie chwilowo żaden program nie jest realizowany.

EGZEMPLARZ UWOLNIONY

To już cztery, przemknęło jej przez głowę.

- Wystarczy - powiedziała głośno.

Przemykała od konsoly do konsoly, naciskała klawisz PRZERWIJ i nie czekając na rezultat, biegła dalej.

OKAZ NR 67-001-00342-10078

MIEJSCE POCHODZENIA: ZIEMIA (WYMARŁY)

NAZWA ZWYCZAJOWA: TYRANNOSAURUS REX

Bieg, klepięcie w przycisk, bieg, klepięcie w przycisk, bieg...

UWALNIANIE EGZEMPLARZA W TOKU

Co sił w nogach obiegła cały mostek. Kiedy, zdrowo zasapana, wróciła na fotel, nie miała pojęcia, która konsola wreszcie przyjęła i wykonała polecenie. Nawet jej to zbytnio nie obchodziło. Najważniejsze, że na głównym ekranie widniał upragniony komunikat:

CYKL UWALNIANIA PRZERWANY

JEDNOSTKI BOWOJENNE NIE UWOLNIONE: 3

JEDNOSTKI BOWOJENNE UWOLNIONE: 5

JEDNOSTKI BOWOJENNE GOTOWE DO UWOLNIENIA: 39

FAZA BIODEFENSYWNA DWA(MAKRO)

KONIEC RAPORTU

Rica Dawnstar zmarszczyła brwi. Pięć potworów na wolności... Do wytrzymania. Co prawda wydawało jej się, że przerwała cykl po czwartym, ale widocznie spóźniła się o ułamek sekundy. Trudno. Zresztą, co to takiego ten „tyrannosaurus rex”?

Na razie i tak wszystkie zajmą się Nevisem.

Pozostawiony sam sobie Jefri Lion błyskawicznie stracił orientację w plątaniu przecinających się pod różnymi kątami, rozdzielających się i łączących korytarzy. Zapanowawszy nad niepokojem, postanowił stosować następującą metodę: wybierać najszersze korytarze, w miarę możliwości skręcać zawsze w prawo i ciągle kierować się w dół. Metoda okazała się skuteczna, ponieważ już wkrótce usłyszał jakiś hałas.

Przywarł plecami do ściany, chociaż niewiele mu to dało ze względu na potężne

działko plazmowe, które miał przytroczone do grzbietu, i nadstawił uszu. Hałas dobiegał z przodu. Kroki. Bardzo głośne kroki, jeszcze dość oddalone, ale zbliżające się z każdą chwilą. Kaj Nevis w skafandrze bojowym.

Jefri Lion uśmiechnął się, po czym zdjął z pleców działko i zaczął niespiesznie montować trójnog.

Tyranozaur zaryczał donośnie.

Haviland Tuf musiał przyznać, że był to przerażający odgłos. Zacisnąwszy z irytacją usta, wpełzł jeszcze głębiej do niszy pod stanowiskiem roboczym. Nie było mu tu wygodnie, przede wszystkim ze względu na rażącą dysproporcję między jego rozmiarami a wymiarami miejsca, w którym obecnie przebywał. Miał podkulone nogi i boleśnie zgięty grzbiet, szczytem czaszki opierał się o spód blatu, a jednak w sumie był nawet zadowolony, że się tu znalazł. Chwilowo czuł się prawie bezpieczny. Na szczęście okazało się, że podstawowym elementem konstrukcyjnym stanowiska roboczego jest solidny metalowy stół połączony na stałe z podłogą i ścianami, dodatkowo obciążony terminalem komputerowym, manipulatorami, mikroskopami i różnymi urządzeniami laboratoryjnymi. Z pewnością nawet tak potężnemu zwierzęciu nie będzie łatwo się tu dostać.

Mimo to Haviland Tuf nie był do końca zadowolony z siebie. Czuł się trochę głupio i odnosił graniczące z pewnością wrażenie, iż jego godność osobista doznała poważnego uszczerbku. Umiejętność koncentracji na wykonywanym zadaniu jest oczywiście godna pochwały, niemniej jednak można się zastanawiać, czy człowiek, który nie jest w stanie zauważyć ani usłyszeć zbliżającego się mięsożernego gada siedmiometrowej wysokości, w pełni zasługuje na szacunek własny oraz bliźnich.

Tyranozaur zaryczał ponownie, wprawiając w drżenie sufit, ściany i podłogę kryjówek Tufa, a chwilę potem, jakieś dwa metry od twarzy kupca, pojawiła się ogromna, wypełniona zębiskami paszcza. Dinozaur pochylił się, przykucnął podparty potężnym ogonem i energicznie próbował dobrać się do zdobyczy. Na szczęście dla Tufa łeb potwora okazał się za duży, nisza zaś za mała. Rozczarowany gad cofnął głowę, wyprostował się i ryknął z wściekłością, wzbudzając gromkie echo, które jeszcze długo błąkało się po ogromnej hali. Chwilę potem potężny ogon uderzył z rozmachem w stanowisko robocze; po precyzyjnych przyrządach zostało tylko wspomnienie, stół zatrzęsł się, Tuf natomiast zamrugał dwa razy.

- Odejdź, proszę - przemówił najbardziej stanowczym tonem, na jaki było go stać. Dla dodania powagi swoim słowom wygiął ramię pod zdumiewającym kątem i położył rękę na częściowo zgniecionym brzuchu.

Tyranozaur ani myślał go słuchać.

- Twoje wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie - zwrócił mu uwagę Tuf. - Jesteś za duży, a ten stół jest zbyt solidny. Od razu byś to zauważył, gdyby nie to, że masz mózg wielkości orzecha. Poza tym jesteś klonem, stworzonym na podstawie informacji genetycznej uzyskanej ze skamieliny. W związku z tym można się zastanawiać, czy w ogóle masz prawo do życia, będąc przedstawicielem dawno wymarłego i prawie całkiem zapomnianego gatunku. Odejdź natychmiast!

W odpowiedzi dinozaur zaatakował ze zdwojoną wściekłością. Przez chwilę znowu usiłował wepchnąć łeb do kryjówki, co jednak skończyło się tylko obryzaniem Tufa kropelkami śliny, potem zaś zaczął raz po raz uderzać ogonem.

Kiedy Celise Waan kątem oka dostrzegła poruszenie, aż pisnęła ze strachu.

Błyskawicznie odwróciła się na pięcie, żeby stanąć twarzą w twarz... Właśnie, z czym? Niczego tam nie było, ona jednak mogła przysiąc, że przed chwilą widziała coś przy tych otwartych drzwiach. Ale co to mogło być? Drżącą ręką wydobyła z kabury pneumatyczny pistolet miotający strzałki nafaszerowane materiałem wybuchowym. Już dość dawno porzuciła strzelbę laserową; była zbyt nieporęczna i ciężka, a poza tym Celise miała poważne wątpliwości, czy zdoła w cokolwiek z niej trafić. Pistolet budził znacznie większe zaufanie. Jeśli wierzyć Jefriemu Lionowi, siła wybuchu strzałek była tak duża, że wystarczyło trafić w pobliżu celu, niekoniecznie w sam jego środek.

Ostrożnie podkrađła się do drzwi, uniosła pistolet, odbezpieczyła go, po czym stanęła w progu i szybko rozejrzała się po pomieszczeniu.

Nic.

Był to chyba jakiś magazyn, wszędzie bowiem piętrzyły się paki poustawiane na samobieżnych paletach. Czyżby więc padła ofiarą złudzenia? Jednak nie. Miała już odejść, kiedy ponownie to zobaczyła: niewielki kształt przemykający ukradkiem na skraju jej pola widzenia. Także tym razem zdołał zniknąć, zanim zdążyła mu się przyjrzeć.

Zauważyła przynajmniej, gdzie zniknął. Ponieważ był taki mały, od razu poczuła się pewniej i trzymając przed sobą broń gotową do strzału, skierowała się w tamtą stronę.

Kot.

Wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Koniuszek ogona kołysał się powoli w lewo i w prawo. Kot, ale jakiś dziwny; tak mały, że chyba jeszcze kociak. Biały w szkarłatne pasy, ze zbyt dużą głową i wyjątkowo błyszczącymi szkarłatnymi oczami.

Jeszcze jeden kot, pomyślała Celise. Tylko tego było jej trzeba: jeszcze jednego kota.

Syknął na nią.

Cofnęła się, trochę przestraszona. Koty Tufa też syczały na nią od czasu do czasu (szczególnie ta mała czarno-biała paskuda), ale nie w taki sposób. Ten dźwięk przypominał syczenie gada, tym bardziej że jednocześnie kot wysunął ruchliwy język. Wyjątkowo ruchliwy. I wyjątkowo długi.

Jeszcze jedno syknięcie.

- Kici, kici, koteczku! - zawołała niezbyt głośno. - Kici, kici! Jeszcze przez chwilę mierzył ją lodowatym spojrzeniem płonących szkarłatnych oczu, po czym odchylił głowę do tyłu i splunął. Gęsta ciemnozielona ślina trafiła w środek wizjera; Celise musiała zetrzeć ją wierzchem ręki, żeby cokolwiek widzieć. Nawet jeśli do tej pory miała jakieś wątpliwości, to teraz była już na sto procent pewna, że nienawidzi kotów.

- Miły kotek - przemówiła słodziutkim tonem. - Dobry miły koteczek. Chodź tutaj, maleńki. Mam coś dla ciebie.

Kot zasyczał ponownie. Wyglądało na to, że szykuje się do kolejnego splunięcia, ale nic nie zdążył zrobić, ponieważ Celise Waan nacisnęła spust i z kota zostały tylko strzępy.

Jefri Lion nie wątpił, że działko plazmowe doskonale da sobie radę z Kajem Nevisem i jego skafandrem bojowym. Co prawda nie znał właściwości zabytkowej kosmicznej zbroi, jeśli jednak odpowiadały one choć w przybliżeniu specyfikacjom skafandrów używanych przez oddziały szturmowe Imperium podczas Wojny Tysiącletniej, to zbroja mogła uchronić Nevisa przed ostrzałem z lasera, skutkami eksplozji oraz następstwami ataków sonicznych, i przed niczym więcej. Działko plazmowe było w stanie wypalić otwór w pięciometrowym pancerzu z dur-aluminium. Jeden celny strzał powinien zamienić nawet najodporniejszą zbroję w kałużę płonącego metalu. Kaj Nevis wyparuje, nie wiedząc nawet, co go trafiło.

Jedyny problem wiązał się z rozmiarami działka. Nie dość, że nawet jego tak zwana „wersja przenośna” była potwornie nieporęczna, to na dodatek, ze względu na niewielką wydajność baterii, maksymalna szybkostrzelność wynosiła zaledwie jeden strzał na minutę standardową. Lion doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli chybi za pierwszym razem, prawie na pewno nie zdąży oddać drugiego strzału. Co więcej, nawet po zainstalowaniu na trójnogu działko niechętnie poddawało się woli strzelającego. Należało też wziąć pod uwagę, iż minęło już wiele lat od chwili, kiedy on, Jefri Lion, po raz ostatni uczestniczył w operacji bojowej, a przecież wykorzystywano go wtedy nie ze względu na sprawność fizyczną i szybkość reakcji, tylko zmysł taktyczny i umiejętność praktycznego wykorzystania zgromadzonej wiedzy. Teraz, po kilku dziesięcioleciach spędzonych w Ośrodku, nie mógł nadmiernie ufać swojemu

oku i ręce.

W związku z tym Jefri Lion obmyślił pewien plan.

Na szczęście większość działek wyposażano w układ umożliwiający prowadzenie ognia w strefie, ten egzemplarz zaś dysponował dodatkowo także możliwością strzelania automatycznego. Jefri ustawił trójnóg pośrodku szerokiego korytarza, jakieś dwadzieścia metrów od głównego skrzyżowania, zaprogramował bardzo wąskie pole ostrzału, a następnie z maksymalną precyzją wytyczył jego głębokość, uruchomił automat strzelniczy i, w pełni usatysfakcjonowany, cofnął się o krok, by obserwować, jak w częściowo przezroczystym magazynku formuje się kula plazmy. Po mniej więcej minucie broń była gotowa do strzału, sterował nią zaś automat nieporównanie szybszy i dokładniejszy od mózgu oraz rąk Liona. Pole ostrzału obejmowało środek skrzyżowania, jednak zniszczeniu miały ulec tylko obiekty przekraczające ściśle określone rozmiary. Dzięki temu Jefri Lion mógł przejść tamtędy zupełnie bezpiecznie, ale już na Kaja Nevisa, kroczącego w ogromnym skafandrze, czekała przykra niespodzianka. Pozostało tylko zwabić go w zasadzkę.

Tego fortelu nie powstydziliby się Napoleon, Chin Wu ani Stephan Cobalt Northstar. Jefri Lion nie posiadał się z zadowolenia.

Przez cały czas, kiedy pracował przy działku, kroki stawały się coraz głośniejsze, teraz jednak zaczęły cichnąć. Najwyraźniej Nevis skręcił w niewłaściwą stronę i zamiast się zbliżać, oddalał się od pułapki. Nie szkodzi, pomyślał Jefri Lion. Zaraz go tu sprowadzę.

Bez wahania wszedł w pole ostrzału, przystanął, uśmiechnął się z dumą, po czym ruszył na poszukiwanie niczego nie podejrzewającej ofiary.

Na ogromnym wklęsłym ekranie powoli obracał się trójwymiarowy przekrój „Arki”.

Rica Dawnstar zrezygnowała z kapitańskiego tronu na rzecz może mniej wygodnego, za to oferującego łatwiejszy dostęp do urządzeń, miejsca przy jednym z bocznych pulpityw. Z grymasem zniecierpliwienia spoglądała na przekrój i migające poniżej informacje. Wszystko wskazywało na to, że miała znacznie liczniejsze towarzystwo, niżby sobie życzyła.

Każda czerwona kropka oznaczała jedną żywą istotę. Kropek było sześć, w tym jedna na mostku. Ponieważ Rica nikogo tu nie spotkała, mogła bez ryzyka popełnienia błędu uznać, że ta kropka to ona. Ale skąd się wzięło pięć pozostałych? Nawet gdyby Anittas pozostał przy życiu, powinny być tylko dwie. Coś tu się nie zgadzało.

A może „Arka” wcale nie była bezludnym wrakiem? Może jednak na pokładzie został ktoś żywy? Przeciwno tej teorii przemawiał fakt, że z legendy w prawym dolnym rogu ekranu wynikało, iż członkowie załogi statku powinni być oznaczeni kolorem zielonym. Na

przekroju nie świeciła ani jedna zielona kropka.

Inni szabrownicy? Mało prawdopodobne.

Obecność nadmiaru czerwonych punkcików musiała świadczyć o tym, że Tuf, Lion i Waan w jakiś sposób jednak zdołali wejść na pokład. Istotnie, system donosił o obecności intruza także na lądowisku, w jednym ze stojących tam statków. Tak więc sześć czerwonych kropek oznaczało ją, Nevisa i Anittasa (jakim cudem udało mu się przeżyć?) oraz Tufa, Waan i Liona. Ktoś z tamtych został na pokładzie „Rogu Obfitości”, reszta natomiast...

Nie miała najmniejszych problemów ze zidentyfikowaniem Kaja Nevisa. System pokazywał również usytuowanie silnych źródeł energii w postaci małych żółtych płomyków. Tylko jedna czerwona kropka była otoczona takim płomykiem. Co jednak mógł oznaczać taki sam płomyk świecący samotnie w pustym korytarzu na szóstym poziomie? Oczywiście źródło energii, i to bardzo silne, ale jakie? Przez pewien czas w jego pobliżu kręciła się czerwona kropka, potem jednak oddaliła się, a teraz podążała za Nevisem, powoli, ale stale zbliżając się do niego.

Na przekroju roilo się też od czarnych kropek, oznaczających biowojenne jednostki „Arki”. Najwięcej zgromadziło się ich w obszernym korytarzu biegnącym niemal przez całą długość statku, ale trwały w bezruchu; poruszały się tylko te, które statek rzucił do walki z intruzami. Problem polegał na tym, że było ich znacznie więcej niż pięć. Na przykład ta gromada kilkunastu kropek, wędrująca powoli korytarzem i wypuszczająca jakby macki. Jedna z takich macek zbliżyła się do którejś z kropek i nagle przestała istnieć.

Nieco dalej, wśród mnóstwa nieruchomych czarnych punkcików, świecił jeden czerwony, wokół niego zaś uwijała się samotna czarna plamka. Rica zażądała powiększenia tego fragmentu statku, potem zaś poprosiła o identyfikację jednostki biowojennej. Okazało się, że to okaz numer 67-001-00342-10078: *tyrannosaurus rex*.

Stwierdziła z zainteresowaniem, iż do Nevisa zbliża się nie tylko czerwona kropka, ale i jeden z wędrujących czarnych punkcików. Niedługo mogło się zrobić naprawdę ciekawie. Wyglądało na to, że ominą ją spore atrakcje. Tam, w labiryncie korytarzy „Arki”, lada chwila powinno rozpętać się piekło.

A ona siedzi tutaj, bezpieczna i z ręką na pulsie.

Kaj Nevis maszerował korytarzem, coraz bardziej wściekły na siebie i wszystko dookoła, kiedy nagle eksplodująca strzałka trafiła go w tył głowy. Huk był potworny, uderzenie zaś tak silne, że runął twarzą na podłogę, nawet nie zdążywszy podeprzeć się rękami. Jednak skafander zamortyzował wstrząs na tyle skutecznie, że Nevisowi nic się nie

stało. Leżąc bez ruchu, rzucił okiem na wskazania przyrządów wewnątrz hełmu, po czym uśmiechnął się drapieźnie; skafander również nie doznał żadnych uszkodzeń. Zaraz potem Nevis odepchnął się rękami od podłogi, podniósł się, odwrócił i wyprostował na całą wysokość.

Dwadzieścia metrów przed nim, na skrzyżowaniu korytarzy, stała postać w zielonożółtym skafandrze, obwieszona mnóstwem broni, jakby przed chwilą okradła muzeum sztuki wojennej. W okrytej rękawicą dłoni ścisnęła pistolet.

- Znowu się spotykamy, niezdaro! - zawołała przez zewnętrzne głośniki.

- ZGADZA SIĘ, LION - odparł Nevis. - BARDZO SIĘ CIESZĘ. PODEJDŹ, ŻEBYŚMY MOGLI WYMIENIĆ UŚCISK DŁONI.

Złowieszczo zazgrzytał kleszczami. Na prawej parze zostało nieco zaschniętej krwi cybertecha; miał nadzieję, że nie uszło to uwagi Jefriego Liona. Wielka szkoda, że laser ma tak niewielki zasięg, ale trudno; po prostu złapie Liona, odbierze mu jego zabawki, a następnie trochę z nim poigra - urwie ręce i nogi, rozszarpie skafander, po czym pozwoli, żeby cholerne mikroby dokończyły dzieła.

Niespiesznie ruszył naprzód.

Jefri Lion stanął w rozkroku, podniósł oburącz pistolet, starannie wycelował i nacisnął spust.

Strzałka trafiła Nevisa w pierś. Znowu nastąpiła ogłuszająca eksplozja, tym razem jednak był przygotowany na uderzenie, więc choć aż zahuczało mu w uszach, nawet się nie zachwiał. Jedynym widocznym skutkiem wybuchu był lekko osmalony pancerz unquińskiego skafandra.

- NIE MASZ SZANS, STARUSZKU - oznajmił Nevis grmiącym głosem. - TO NAPRAWDĘ DOBRY SKAFANDER.

Jefri Lion działał spokojnie i metodycznie. Schował pistolet do kabury, zdjął strzelbę laserową, przyłożył ją do ramienia, wymierzył i strzelił.

Promień ześlizgnął się po naramienniku i uderzył w ścianę, wypalając w niej małą dziurę.

- Pancerz refleksyjny - zauważył z uznaniem Lion, opuszczając strzelbę.

Dopiero kiedy Kaj Nevis przebył ponad trzy czwarte dzielącej ich odległości, Jefri Lion jakby nagle zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa: cisnął strzelbę na podłogę, odwrócił się i zniknął za rogiem.

Nevis przyspieszył kroku.

Havilandowi Tufowi nie brakowało cierpliwości.

Siedział spokojnie z dłońmi splecionymi na wystającym brzuchu i pochyloną głową, w której aż huczało od ciosów, jakich tyranozaur nie szczędził metalowemu stołowi. Tuf starał się nie zwracać uwagi na uderzenia, po których w blacie zostawały głębokie wklęsnięcia, czyniące jego pozycję jeszcze bardziej niewygodną; starał się ignorować mrozące krew w żyłach ryki oraz tyleż spektakularne, co nieefektywne demonstracje gadziego apetytu polegające na trzaskaniu paszczką najeżoną przeraźliwie ostrymi zębiskami. Usiłował przypomnieć sobie smak rodelyiańskich malisienek w maselku miodowym, toczył w duchu zażarte dyskusje ze sobą, aby raz na zawsze ustalić, na jakiej planecie wytwarza się najlepsze piwo, w wolnych chwilach zaś obmyślał błyskotliwą strategię, która pozwoliłaby mu jeszcze szybciej zwyciężyć Jeffiego Liona, gdyby kiedykolwiek mieli okazję ponownie zasiąść do gry.

Wreszcie jego metoda odniosła skutek. Ogromnemu gadowi znudziły się bezskuteczne ataki, więc w końcu zaryczał jeszcze raz, głośniejszym niż zwykle, odwrócił się i odszedł, zamiatając ogonem.

Haviland Tuf zaczekał, aż na zewnątrz zrobi się zupełnie cicho i spokojnie, po czym z trudem położył się na brzuchu, wciąż jednak nie opuszczając kryjówki. Zaczekał, aż w zdrętwiałych nogach wróci mu normalne krążenie, i dopiero wtedy ostrożnie wystawił głowę spod stołu.

Przyćmione zielonkawe światło. Niskie buczenie i dobiegający z daleka bulgot. Żadnego ruchu.

Powoli wypelzł na zewnątrz.

Ciosy monstrialnego ogona dosięgły również smutnych szczątków Muchomora. Widok tego, co pozostało z jego ukochanego kota, nappełnił serce kupca głębokim smutkiem. Również wyposażenie stanowiska roboczego właściwie przestało istnieć.

Jednak dokoła były inne stanowiska, on zaś potrzebował tylko jednej komórki.

Haviland Tuf pobrał fragment tkanki, a następnie majestatycznie skierował się ku najbliższemu nie uszkodzonemu stanowisku. Tym razem pamiętał, żeby nasłuchiwać, czy z tyłu nie podkrada się siedmiometrowy dinozaur.

Celise Waan była z siebie bardzo zadowolona. Całkiem nieźle dała sobie radę. Ten odrażający niby-kot już nigdy nie wejdzie jej w drogę. Co prawda w miejscu, gdzie w wizjer uderzyła ślina zagadkowego stworzenia, na szybko została jakby lekka mgiełka, ale poza tym Celise nie doznała żadnego uszczerbku. Energicznym ruchem wetknęła pistolet do kabury i

wyszła z magazynu.

Mgiełka jednak trochę przeszkadzała, ponieważ znajdowała się dokładnie na wysokości oczu. Usiłowała przetrzeć wizjer rękawicą, ale to tylko pogorszyło sytuację. Potrzebowała wody. Nie ma sprawy; i tak szuka żywności, a tam, gdzie jest jedzenie, zazwyczaj jest również woda.

Ruszyła przed siebie dziarskim krokiem, skręciła za najbliższy róg... i stanęła jak wryta.

Zaledwie metr przed nią, jakby nigdy nic, sterczał niby-kot identyczny jak ten, z którym przed chwilą się rozprawiła, i gapił się na nią beczelnie.

Tym razem Celise Waan nie wahała się ani chwili. Od razu sięgnęła po pistolet, ale miała trudności z wydobyciem go z kabury, a kiedy wreszcie zdołała wycelować i nacisnąć spust, sromotnie chybiła; strzałka trafiła w drzwi pobliskiego pomieszczenia, a te z ogłuszającym hukiem rozpadły się na kawałki. Niby-kot zasyczał, odchylił głowę do tyłu, splunął, po czym rzucił się do ucieczki.

Ślina trafiła Celise w lewe ramię. Usiłowała strzelić powtórnie, jednak mgła rozprzestrzeniła się już niemal na cały wizjer, tak że nie widziała, gdzie celuje.

- Niech to szlag trafi!

Widoczność pogarszała się z każdą chwilą. Plastikowa szyba mętniała coraz bardziej, przybierając niemal mleczną barwę. Przy krawędziach była jeszcze całkiem przezroczysta, ale kiedy Celise patrzyła wprost przed siebie, prawie nic nie widziała. Potrzeba zdjęcia hełmu, albo przynajmniej dokładnego oczyszczenia wizjera, stawała się coraz bardziej nagląca.

Powoli, ostrożnie stawiając stopy, podążyła w kierunku, w którym, jak jej się wydawało, uciekł niby-kot. Przez cały czas wytyżała słuch; w pewnej chwili usłyszała niewyraźne skrobanie, jakby stworzenie przemknęło całkiem blisko, ale niczego nie zauważyła.

Nic dziwnego, bo większa część wizjera niemal całkowicie utraciła przejrzystość. Wszystko było białawe i zamglone. Nie dam rady, przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl. Przecież to bez sensu. Jak ma tropić te cholerne niby-koty, jeśli prawie nic nie widzi? Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, dokąd idzie. Trudno, będzie musiała zdjąć ten cholerny hełm.

Nie uczyniła tego jednak, przypomniała sobie bowiem słowa Tufa ostrzegającego ich przed chorobami, od których rzekomo mogło aż się roić w atmosferze statku. Czy jednak można było wierzyć słowom tego żalosego grubasa? Czy zaobserwowała cokolwiek, co mogłoby potwierdzić jego obawy? Nie! Przecież wyrzuciła na zewnątrz tego paskudnego

szarego kocura i jakoś nic mu się nie stało. Kiedy po raz ostatni widziała futrzastego zwierzaka, urzędował jakby nigdy nic w objęciach swego właściciela. Jasne, Tuf natychmiast wyjechał z historyjką o okresie wylęgania, ale zrobił to wyłącznie po to, żeby ją przestraszyć. Uwziął się na nią, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Najlepszym przykładem ten odrażający podstęp z żarciem dla kotów. Z pewnością nie posiadałby się z zadowolenia, gdyby swoimi opowiastkami zmusił ją do spędzenia kilku tygodni w niewygodnym cuchnącym skafandrze.

Nagle przyszło jej do głowy, że kupiec na pewno ma coś wspólnego z prześladowającymi ją zagadkowymi, podobnymi do kotów stworzeniami. Ogarnęła ją wściekłość. Co za podstępny drań!

Już prawie nic nie widziała. Wizjer jej hełmu stał się całkiem matowy.

Celise Waan podjęła decyzję: odpięła hełm, zdjęła go i cisnęła najdalej, jak mogła. Wzięła głęboki wdech. Powietrze było chłodne, odrobinę stęchłe, ale i tak o niebo świeższe od tego, którym musiała do tej pory oddychać. Wspaniale! Uśmiechnęła się. A więc z powietrzem wszystko w porządku. Nie mogła się doczekać, kiedy spotka Tufa i powie mu prosto w twarz, co myśli o jego niewczesnych ostrzeżeniach.

Przypadkowo zerknęła w dół... i aż ją zatkało.

Rękawica! Niedawno otarła jej wierzchem wizjer, usiłując zetrzeć kocią ślinę, a teraz w złocistym utwardzonym tworzywie ziała spora dziura! Nawet metalowa plecionka pod spodem sprawiała wrażenie skorodowanej.

Przeklęty kot! Gdyby ślina zetknęła się z odkrytą skórą... Nagle przypomniała sobie, że już nie ma hełmu.

Kilka metrów od niej, zza uchylonych drzwi bezszelestnie wyskoczyła mała pręgowana istota o płonących czerwieni ślepiach. Celise wrzasnęła przeraźliwie, wyszarpnęła z kabury pistolet i prawie nie celując, trzykrotnie nacisnęła spust. Kiedy dym się rozwiął, ujrzała kocią sylwetkę niknącą za zakrętem korytarza.

Nie ulegało wątpliwości, że bezpiecznie poczuje się dopiero wtedy, kiedy wreszcie uda jej się pozbyć tego paskudztwa. Gdyby pozostawiła niby-kota przy życiu, mógłby w najmniej oczekiwanym momencie rzucić się na nią z jakiegoś zakamarka, tak jak wielokrotnie czyniła ta obrzydliwa czarno-biała ulubienica Tufa. Celise Waan załadowała nowy magazynek, mocniej zacisnęła palce na rękojeści pistoletu i ruszyła w pogoń.

Jefri Lion nie pamiętał, żeby kiedykolwiek serce waliło mu tak mocno jak teraz. Bolały go nogi, łapał powietrze płytkimi łykami, adrenalina lała się strumieniami do jego

krwiobiegu. Jeszcze trochę, jeszcze szybciej! Kilkanaście metrów prosto, potem w bok, a potem jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, do następnego skrzyżowania.

Pod krokami Kaja Nevisa trząsał się pokład. Parę razy niewiele brakowało, żeby Jefri potknął się i rozciągnął jak długi na podłodze korytarza, ale świadomość zagrożenia dodała mu niemal nadludzkich sił. Pędził jak za najlepszych lat młodości, tak że nawet sadzący ogromnymi susami Nevis doganiał go z ogromnym trudem.

Nie zmniejszając tempa, odpiął od pasa granat oślepiający, wyciągnął zawleczkę, a kiedy usłyszał, jak najdalej metr za nim ze złowieszczym szczękiem zamykają się stalowe kleszcze, cisnął granat do tyłu, ostatkiem sił jeszcze bardziej przyspieszył kroku i skręcił za róg.

Błysk jaskrawobiałego światła był tak silny, że Liona oślepił nawet odbity od ścian poblask. Jefri zaczekał, aż sprzed oczu znikną mu czerwone plamy, odwrócił się twarzą w kierunku, z którego przybiegł i krok za krokiem począł wycofywać się w kierunku zastawionej przez siebie pułapki. Gdyby Nevis nie miał na sobie kombinezonu, świetlna eksplozja wypaliłaby mu siatkówkę, a promieniowanie zabiłoby go w ciągu kilku sekund.

Na razie widać było tylko jego czarny, ogromny cień.

Zasapany Jefri Lion nieco przyspieszył kroku, ale wciąż poruszał się tyłem, nie spuszczać wzroku z zakrętu korytarza.

Chwilę później pojawił się tam Kaj Nevis. Wizjer jego wiekowego hełmu był zupełnie czarny, ale stopniowo zaczynała powracać groźna krwistoczerwona poświata.

- NIECH SZLAG TRAFI CIEBIE I TWOJE CHOLERNE ZABAWKI! - zadudnił.

Trudno, pomyślał Lion. Świetlny granat nie spełnił zadania, w takim razie wykona je działko plazmowe. Od precyzyjnie wyznaczonej strefy ostrzału dzieliło go jeszcze jakieś dziesięć metrów.

- Czyżbyś miał już dosyć? - zapytał szyderczym tonem. - Nie dasz rady dogonić starego żołnierza?

Kaj Nevis stał nieruchomo jak posąg.

Jefri nie wiedział, co o tym myśleć. Czyżby promieniowanie zdołało jednak przedrzeć się przez unquińską zbroję? To niemożliwe. Mało prawdopodobne było również, żeby Nevis zaprzestał pościgu. Byłby to straszliwy pech; właśnie teraz, kiedy już prawie udało się go zwabić w zasadzkę!

Ku zdumieniu Liona, Kaj Nevis wybuchnął gromkim śmiechem. Sądząc po pozycji hełmu, spoglądał w górę, nad głowę Jefriego.

Jefri Lion również tam spojrział, w samą porę, żeby dostrzec, jak jakiś smoliście

czarny kształt odrywa się od sufitu i spada na niego, łopocząc szeroko rozpostartymi skrzydłami. Mignęły mu jeszcze wąskie jak szparki, żółte oczy o czerwonych źrenicach, a potem spowiła go skórzasta, ciepła ciemność. Nawet nie zdążył krzyknąć.

Bardzo interesujące, pomyślała Rica Dawnstar.

Nawet zaznajomiwszy się tylko pobieżnie z systemem, można było dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Na przykład poznać przybliżoną masę i kształt każdej istoty przedstawionej na przekroju w postaci kolorowej kropki. Komputer, jeśli go ładnie poprosić, mógł nawet sporządzić trójwymiarową symulację.

Rica poprosiła go ładnie i od razu wszystko nabrało sensu.

Anittas jednak umarł. Szósty intruz, ten na pokładzie „Rogu Obfitości”, okazał się jednym z kotów Tufa.

Odziany w superskafander Kaj Nevis gonił Jeffiego Liona. Przypuszczalnie dogoniłby go, gdyby nie to, że Liona wcześniej zdążyła dopaść jedna z czarnych kropek, a konkretnie drakula kapturzasty.

Celise Waan znieruchomiała w jednym z korytarzy. Gromada czarnych kropek była coraz bliżej.

Haviland Tuf został sam w długim pomieszczeniu biegnącym wzdłuż osi statku. Właśnie wkładał coś do jednego ze zbiorników i usiłował włączyć pole czasowe. Rica zezwoliła systemowi na wykonanie polecenia.

Wszystkie uwolnione jednostki biwojenne grasowały po korytarzach. Rica postanowiła, że poczeka trochę, aż sytuacja sama się wyjaśni, na tyle, na ile będzie to możliwe, i dopiero wtedy wkroczy do akcji. Tymczasem zagłębiła się w program, szukając sposobu na pozbycie się z atmosfery groźnych mikroorganizmów. Najpierw będzie musiała pozamykać wszystkie grodzie między sektorami, a dopiero potem rozpocznie się skomplikowana operacja: wypompowywanie zakażonego powietrza, filtrowanie i odkażanie, następnie zaś wypełnianie pomieszczeń powietrzem z antygenami. Skomplikowana i długotrwała, ale niezbędna.

Na szczęście Rice nigdzie się nie spieszyło.

Najpierw odmówiły jej posłuszeństwa nogi.

Celise Waan osunęła się na podłogę korytarza. Gardło miała ściśnięte strachem. To wydarzyło się tak nagle! Jeszcze przed chwilą szła szybkim krokiem, uważnie rozglądając się na boki, a potem nagle zrobiło jej się słabo i nie była w stanie zrobić ani kroku dalej.

Postanowiła trochę odpocząć, licząc na to, że odzyska siły, ale nic takiego nie nastąpiło. Czowała się coraz gorzej, a kiedy mimo wszystko spróbowała zrobić krok naprzód, nogi ugięły się pod nią i upadła na twarz.

Nie dość, że nie mogła poruszyć nogami, to po pewnym czasie przestała je czuć. Właściwie straciła czucie w całej dolnej połowie ciała, a paraliż powoli wędrował w górę. Zachowała jeszcze władzę w rękach, ale każdy ruch był okupiony ogromnym wysiłkiem i bólem.

Leżała z policzkiem przyciśniętym do podłogi. Spróbowała podnieść głowę - bez skutku. Od pasa w górę dostała się we władanie obojętności bólu.

Nie dalej jak dwa metry od niej zza zakrętu korytarza wyłonił się niby-kot. Przystanął i długo przyglądał się jej czerwonymi oczami, a potem zasyczał przeraźliwie.

Gdyby mogła, Celise Waan na pewno wrzasnęłaby ze strachu. Przypomniała sobie, że w ręce wciąż ściska pistolet. Powoli, centymetr po centymetrze, wysunęła ją naprzód. Każde napięcie mięśni wiązało się z nasileniem i tak już trudno do wytrzymania bólu. Wycelowała, najlepiej jak mogła, po czym nacisnęła spust.

O dziwo, strzałka trafiła w cel.

Na kobietę posypał się grad rozszarpanych szczątków. Jeden z nich, ciepły, ociekający krwią i ohydny, wylądował na jej policzku.

Od razu poczuła się trochę lepiej. Przynajmniej zabiła prześladowcę.

Z jego strony już nic jej nie grozi. W niczym jednak nie zmieniło to faktu, że była słaba i chora. Powinna odpocząć. Tak, krótka drzemka z pewnością pozwoli jej odzyskać siły.

Zza zakrętu wyszedł kolejny niby-kot.

Celise jęknęła głośno, spróbowała się poruszyć, niemal natychmiast dała za wygraną. Ramiona i ręce robiły się coraz cięższe.

Chwilę potem w jej polu widzenia pojawił się jeszcze jeden. Przesunęła rękę z pistoletem, spróbowała wycelować... Rozproszyło ją nadejście trzeciego kota. Pocisk chybił celu i eksplodował na zakręcie korytarza, nie czyniąc nikomu szkody.

Jeden z niby-kotów splunął w jej kierunku. Ślina trafiła ją między oczy.

Ból był straszliwy. Gdyby mogła się poruszyć, ani chybi wydrapałaby sobie oczy, tarzała się po podłodze, próbowała zderzyć z siebie skórę... Jednak nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu, więc tylko wrzasnęła.

Zaraz potem straciła wzrok.

Tuż obok niej rozległy się... kroki? Tak, bardzo delikatne, mięciutkie. Kocie kroki. Mnóstwo kocich kroków.

Ile ich mogło być?

Coś wlaźło jej na plecy, potem jeszcze jedno i jeszcze. Coś otarło się o bezużyteczną prawą nogę. Coś pociągnęło ją za lewą.

Rozległo się syknięcie, kolejna porcja śliny trafiła ją w policzek, nastąpiła jeszcze jedna eksplozja bólu.

Były wszędzie: na niej, obok niej, usiłowały wpełznąć pod nią. Czuła ich sztywną sierść, czuła ostre zęby, które najpierw wbiły się w jej kark, potem w ramię, potem prawie wszędzie, także w palec. Wraz z kolejną falą bólu jakimś cudem odzyskała część sił; machnęła ręką, odtrącając napastnika, po czym spróbowała przekręcić się na bok. Wokół niej rozległy się syczące protesty, chwilę potem drobne, ale niezwykle ostre kły rozorały jej twarz, gardło, ręce. Coś usiłowało wcisnąć się do skafandra.

Nie zważając na potworne cierpienia, powoli, ale wytrwale przesuwiała rękę, aż wreszcie zahaczyła palcami o pas. Teraz było łatwiej. Niebawem jej tracące czucie i siłę palce zacisnęły się na niewielkim okrągłym przedmiocie. Odczepiła go od pasa, zbliżyła do twarzy.

Gdzie ta cholerna zawleczka? Jest. Przekręciła wystający bolec i wepchnęła go, tak jak nauczył ją Lion.

Pięć, liczyła w myślach. Cztery, trzy, dwa, jeden.

W swojej ostatniej chwili Celise Waan zobaczyła światło.

Kaj Nevis doskonale się bawił, obserwując spektakl, który rozgrywał się na jego oczach.

Nie miał pojęcia, co zaatakowało Liona, ale cokolwiek to było, bez trudu dało sobie z nim radę. Owinięty czarnymi skrzydłami Jefri Lion co najmniej przez minutę miotał się jak szalony od ściany do ściany, krzycząc co sił w płucach. Wyglądał naprawdę komicznie - jak człowiek bezskutecznie walczący z parasolem szarpanym podmuchami porywistego wiatru.

Wreszcie ucichł, znieruchomiał na podłodze, spod czarnego przykrycia dobiegły zaś odgłosy ssania i mlaskania.

Nevis nie posiadał się z zadowolenia, uznał jednak, że nie należy niczego pozostawiać przypadkowi. Najciszej jak potrafił (a więc niezbyt cicho), podszedł do posilającego się zwycięzcy, chwycił go oburącz i jednym szarpnięciem oderwał od tego, co jeszcze niedawno było Jefrim Lionem.

Cholera, pomyślał. Nieźle go urządził. Skrzydlate stworzenie dysponowało czymś w rodzaju ostrego dzioba zakończzonego ssawką; przebiło nim wizjer hełmu i dosłownie wyssało twarz Liona. To, co zostało we wnętrzu hełmu, przypominało czerwonoróżową maź, z której

tu i ówdzie sterczały białe odłamki kości.

Potwór rozpaczliwie próbował uwolnić się z uścisku mocarnych rękawic. Wydawał przy tym ohydny wysoki ni to krzyk, ni skowyt. Kaj Nevis odsunął go na odległość wyprostowanych rąk i przyjrzał mu się uważnie. Najbardziej podobały mu się oczy stworzenia, złowróżbne i przerażające. Miła istotka, pomyślał, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby któreś nocy wypuścił kilkaset takich stworzeń na pogrążone we śnie Shandicity. Mieszkańcy szybko zgodziliby się spełnić wszystkie jego żądania; dostałby pieniądze, kobiety i władzę, ba, nawet całą planetę na własność, gdyby tylko sobie tego zażyczył. Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że warto się trochę potrudzić, żeby mieć dla siebie ten statek. Tymczasem jednak ta krwiożercza istota mogła mu bardziej przeszkadzać, niż pomóc.

Bez trudu rozdarł ją na dwie części, cisnął resztki na podłogę, po czym, szeroko uśmiechnięty, odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego niedawno przybył.

Haviland Tuf ponownie skontrolował wskazania przyrządów, odrobinę zmienił tempo przepływu cieczy, następnie, zadowolony z siebie, cofnął się o krok, stanął przy zbiorniku i splótł dłonie na potężnym brzuchu. Za szybą bulgotała i pieniała się mętna ciemnoczerwona ciecz. Tuf poczuł lekki zawrót głowy; wiedział, że w taki właśnie sposób objawiają się skutki uboczne przebywania w pobliżu funkcjonujących pól czasowych. W tym małym zbiorniku, który bez trudu mógłby objąć, ścierały się potężne energie, a czas płynął w tempie, które nie kto inny, tylko właśnie on, Haviland Tuf, mu narzucił. Odczuwał z tego powodu dumę połączoną z lekkim niepokojem.

Ciecz powoli stawała się coraz bardziej przejrzysta. Tuf przyglądał się w napięciu, wyobrażając sobie, że dostrzega ciemną plamę przybierającą coraz bardziej sprecyzowany kształt: cztery łapy... ogon... Tak, to na pewno ogon.

Wrócił do stanowiska roboczego. Jego dzieło powinno być odporne na choroby, które zabiły Muchomora. Przypomniawszy sobie szczepienie tyranozaura, którego był świadkiem na krótko przed „narodzinami” monstrualnego gada. Bez wątpienia istniał sposób podania rozwijającemu się w przyspieszonym tempie organizmowi dowolnych specyfików, w tym także szczepionek i środków uodparniających. Należało tylko go odkryć.

„Arka” była prawie czysta. Rica pozamykała ponad trzy czwarte grodzi, program sterylizacyjny funkcjonował zgodnie z nieubłaganą logiką wszystkich procesów automatycznych. Lądowisko, komory silnikowe, wieża kontrolna, mostek oraz jeszcze dziewięć sektorów świeciło na ekranie kojącą błękitną poświatą. Na czerwono było

oznaczone jeszcze tylko długie pomieszczenie biegnące wzdłuż osi statku, a także sąsiadujący z nim główny korytarz i znaczna część jego odgałęzień. Tam nadal królowali niewidoczni gołym okiem, bezwzględni zabójcy.

Właśnie tego życzyła sobie Rica Dawnstar. W tamtych rejonach przebiegał inny, podlegający prawom równie bezwzględnej logiki, proces. W chwili, kiedy dobiegnie końca, ona, Rica Dawnstar, stanie się jedynym właścicielem gigantycznego biowojennego okrętu Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego, wraz z całą jego potęgą, wszystkimi bogactwami i zgromadzoną wiedzą.

Z ulgą zdjęła hełm, a zaraz potem zamówiła posiłek - grubą białą pajdę protein wykrojoną z mięsozwierza, nie znanego jej stworzenia, które „Arka” od tysiąca lat przechowywała w statycznym polu czasowym. Popiła go szklanką schłodzonej słodkowody, trochę przypominającej smakiem miód z Milidianu. Czując, jak wstępują w nią nowe siły, obserwowała wyświetlane na ekranie komunikaty.

Sprawy przedstawiały się znacznie prościej niż jakiś czas temu. Jefri Lion zginął, czego nawet trochę żałowała, ponieważ w gruncie rzeczy był nieszkodliwy, chociaż wkurzające naiwny. Celise Waan również wypadła z gry, przy okazji - i to było prawdziwe zaskoczenie - zabierając ze sobą wszystkie diabelskie kociaki. Kaj Nevis rozprawił się z drakulą kapturzastym.

Zostali więc tylko Nevis, Tuf... i ona.

Uśmiechnęła się drapieźnie.

Tuf nie stanowił problemu. Był pochłonięty klonowaniem kota. Prędzej czy później, łatwo da sobie z nim radę. Jediną przeszkodą uniemożliwiającą jej zapanowanie nad „Arką” był Kaj Nevis w unquińskim skafandrze bojowym. Do tej pory nie napotkał godnego siebie przeciwnika, więc na pewno czuje się bardzo pewny siebie. I dobrze.

Rica Dawnstar przełknęła ostatni kęs i starannie oblizała palce. Nadeszła pora na lekcję zoologii. Zażądała szczegółowych informacji o trzech jednostkach biowojennych, które jeszcze hasały po statku. Nawet jeśli żadna z nich się nie przyda, ma w zapasie trzydzieści dziewięć innych. Będzie mogła starannie wybrać tę, która wykona wyrok.

Skafander bojowy? Z tym arsenałem nie poradziłoby sobie nawet stu Nevisów w starożytnych zbrojach.

Pogrążyła się w lekturze; kilka minut później na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie będzie musiała sięgać do rezerw. Już teraz dysponuje wszystkim, czego jej trzeba. Jedinym problemem polega na doprowadzeniu do spotkania we właściwym czasie i miejscu. Z natężeniem wpatrywała się w trójwymiarowy przekrój statku, zastanawiając się

jednocześnie, jak bardzo podejrzliwy może być Kaj Nevis.

Chociaż, w gruncie rzeczy, nie miało to większego znaczenia.

Przekłete korytarze ciągnęły się bez końca. Najgorsze było to, że nie prowadziły w żadne konkretne miejsce, tylko wciąż łączyły się z innymi korytarzami. Wskaźniki informowały go, że zaczął już czerpać powietrze z trzeciego zbiornika; Kaj Nevis zdawał sobie sprawę, że musi jak najprędzej odszukać resztę niedawnych współników i pozbyć się ich, pośrodku pajęczyny misternie utkanej z włókien tak cienkich, że prawie niewidocznych. Jej krawędzie naprawdę były niewidoczne. Nevis widział tylko centralną część, otaczającą nieruchomą kulistą istotę, domyślał się jednak, iż pajęczyna sięga znacznie dalej, do sufitu, ścian i podłogi; problem polegał na tym, że choć wyteżał wzrok, za nic nie mógł jej dojrzeć.

A więc to pająk, tyle że dość dziwaczny. Sądząc po wyglądzie, mógłby być formą życia opartego na związkach krzemu. Nevis słyszał o takich istotach wystarczająco wiele, aby wiedzieć, że należą do rzadkości. I co z tego? Pająk to pająk, wszystko jedno, krzemowy czy nie.

Kaj Nevis podszedł jeszcze bliżej i wyteżył wzrok. A niech to szlag trafi! Pajęczyna... a raczej to, co do tej pory uważał za pajęczynę... Ten pająk wcale na niej nie siedział, tylko stanowił jej część! Delikatne nitki wyrastały z jego ciała. Całe mnóstwo nitek: setki, może nawet tysiące, do tego zaś należało dodać te niewidoczne gołym okiem, o których istnieniu świadczyło jedynie delikatne falowanie powietrza oraz ledwo dostrzegalne załamania światła tam, gdzie pozornie nie było żadnej przeszkody.

Pomimo wiary w możliwości unquińskiej zbroi, Nevis poczuł się trochę nieswojo i na wszelki wypadek cofnął się o krok. Na końcu wąskiego korytarza znajdował się prostokątny otwór, przez który sączyła się szarawa poświata. Na pewno było tam coś ważnego - coś, co Rica Dawnstar pragnęła ukryć przed nim za wszelką cenę.

Nagle spłynęło na niego olśnienie. Oczywiście! Krzemowy pająk z pewnością znalazł się tutaj, żeby zagrozić mu drogę do mostku, centralnej dyspozytorni albo sterowni statku czy jak to się nazywało! Rica zapewne kuli się w jakimś kącie, drżąc ze strachu, i liczy na to, że ten paskudny stwór powstrzyma jego, Kaja Nevisa, przed wtargnięciem do pomieszczenia! To prawda, na widok pająka dostał gęsiej skórki, ale ta idiotka chyba nie sądziła, że dorosły mężczyzna przestraszy się zębatej kulki?

Wysunął naprzód dolne, uzbrojone w szczytce ramiona. Dopiero kiedy fragmenty ostrzy z supertwardego stopu spadły z brzękiem na podłogę, spojrzał w dół i uświadomił sobie, co się stało. Cieniutkie nici bez najmniejszego trudu przecięły wiekowy, pokryty

zaschniętą krwią metal. Zamiast zębatych kleszczy miał teraz dwa bezużyteczne kikuty. Przez pajęczynę przebiegło delikatne drzenie.

Kaj Nevis poczuł, że do gardła podchodzi mu suchy kłęb strachu. Z trudem przełknął ślinę, po czym zaczął się powoli wycofywać. Jeden krok... drugi... trzeci... Byle dalej od tego cholerstwa.

Tysiące włókien cieńszych od najcieńszych nici zamieniło się w tysiące odnóży. Oderwały się od ścian, sufitu i podłogi, zostawiając po sobie tysiące mikroskopijnych otworków, a następnie ruszyły za oddalającą się zdobyczą. Tam, gdzie choć na chwilę zetknęły się z materiałem konstrukcyjnym korytarza, zostawały drobniutkie, ale wyraźne ślady.

Nevis odwrócił się i popędził co sił w nogach. Utrzymywał dystans aż do przewężenia korytarza, ale ruchoma pajęczyna dopadła go w chwili, kiedy zatrzymał się i pochylił, żeby precyzyjnie się przez wąskie miejsce. Tysiąc supercieńkich silikonowych włókien oplotło go w okamgnieniu. Nevis rozpaczliwie wymachiwał potężnymi ramionami, usiłując schwytać małą główkę istoty i zgnieść ją na miążgę, ale bez rezultatu. Włókna zaciskały się coraz bardziej, przecinały metal, ciało i kości. Wnętrze skafandra wypełniło się gorącą krwią, która natychmiast zaczęła wyciekać na zewnątrz przez niezliczone otwory i szczeliny. Zanim się zacisnęła do końca, Kaj Nevis zdążył wydać tylko jeden stłumiony okrzyk.

Na przezroczystej ścianie zbiornika pojawiła się cienka rysa. Kociak zaciekle skrobał łapami, rysa zamieniła się w szczelinę, chwilę potem zaś Haviland Tuf sięgnął do zbiornika, wydobył kotka i zbliżył go do twarzy. Zwierzę było drobniutkie i wykonywało niezbyt skoordynowane ruchy; być może za wcześnie przerwał proces przyspieszonego dorastania. Przyrzekł sobie, że następnym razem będzie ostrożniejszy. Na jego usprawiedliwienie przemawiał tylko fakt, że nie mógł należycie skoncentrować się na pracy, po pierwsze, ze względu na, delikatnie mówiąc, nieustabilizowaną sytuację ogólną, po drugie zaś, w związku z dużym prawdopodobieństwem pojawienia się rozwścieczonego, żądnego krwi tyranozaura.

Mimo to można było uznać, iż próba zakończyła się sukcesem. Kociak zamiauczał głośno. Haviland Tuf doszedł do wniosku, że nie obędzie się bez karmienia za pomocą kroplomierza, lecz był pewien, iż sprosta zadaniu. Kotek miał jeszcze nie do końca otwarte oczy, a długa szara sierść była mokra i pozlepiana. Czy to możliwe, żeby Muchomor kiedykolwiek był taki mały?

- Nie mogę nazwać cię Muchomorem - poinformował z powagą swego nowego towarzysza. - Co prawda pod względem genetycznym niczym się nie różnicie, jednak

Muchomor był Muchomore, a ty jesteś sobą i nie chciałbym, żebyście mi się mylili. Będziesz się nazywał Chaos. Furia i Chaos... Tak, te imiona doskonale pasują do siebie.

Kociak poruszył się niezdarnie na jego dłoni i mrugnął, jakby przyznawał mu rację. Dla Tufa nie stanowiło to zaskoczenia, od dawna bowiem wiedział, że wszystkie koty są po trosze telepatami.

Rozejrzył się dookoła. Nie miał tu już nic do roboty. Chyba nadeszła pora, żeby odszukać niedawnych towarzyszy i podjąć próbę znalezienia satysfakcjonującego wszystkich wyjścia z patowej sytuacji. Tuląc Chaosa do piersi, Haviland Tuf wyruszył na poszukiwania.

Kiedy na trójwymiarowym przekroju statku zgasło czerwone światelko oznaczające Kaja Nevisa, Rica Dawnstar zatarła ręce. Teraz zostali już tylko ona i Tuf, co właściwie oznaczało, że mogła już uważać się za jedyną właścicielkę „Arki”.

Tylko co ja z nią zrobię, do jasnej cholery?, pomyślała. Trudno powiedzieć. Może powinna sprzedać ją jakiemuś konsorcjum zbrojeniowemu albo planetarnemu rządowi, który zaproponuje najwyższą sumę? Raczej nie. Nikomu nie ufała aż na tyle, żeby oddać mu w ręce tak potężne narzędzie sprawowania władzy. Bądź co bądź, władza deprawuje. W takim razie może zatrzyma ją dla siebie? Jest już tak zdeprawowana, że nic jej nie zaszkodzi. Jednak samotne życie w tej trupiarni wcale jej się nie uśmiechało. Musiałaby mieć załogę; ściągnęłaby przyjaciół, byłych i aktualnych kochanków, kumpli... Tylko czy mogłaby im zaufać? Zmarszczyła brwi. Tak, problem nie należał do najłatwiejszych, ale na szczęście będzie miała mnóstwo czasu, żeby go rozwiązać. Zajmie się nim później, teraz bowiem czekało ją inne zadanie. Tuf właśnie opuścił główną komorę klonowania i wędrował korytarzami. Co z nim począć?

Uważnie przyjrzała się przekrojowi. Ruchoma pajęczyna tkwiła bez ruchu, przypuszczalnie zajęta pożeraniem Kaja Nevisa. Ważący cztery tony toczak turlał się po głównym korytarzu na szóstym poziomie, niczym ogarnięta szaleństwem kula armatnia niewyobrażalnie wielkiego kalibru. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej niespokojny i coraz intensywniej szukał czegoś zbudowanego z materii organicznej, co można by zmiażdżyć, rozpląszczyć i wchłonąć. We właściwym sektorze znajdował się tylko tyranozaur, ale co porabiał? Nacisnęła kilka klawiszy, spojrzała na ekran i uśmiechnęła się z satysfakcją. Jadł. Wspaniale, ale co? Dopiero po dłuższej chwili znalazła odpowiedź: przypuszczalnie pożerał resztki Jeffiego Liona i drakuli. Wskazywałoby na to miejsce, w którym przebywał.

Było to całkiem niedaleko Tufa. Niestety, kiedy dinozaur skończył ucztę, ruszył w niewłaściwym kierunku. Chyba będzie musiała zaaranżować spotkanie.

Nie mogła jednak nie docenić inteligencji Tufa; już raz wyszedł cało ze spotkania z gadem, więc może mu się to udać powtórnie. Nawet gdyby jakimś cudem zdołała zapędzić go na poziom szósty, gdzie grasował toczak, również nie mogła być pewna sukcesu. Tuf był sprytny, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Nie uda jej się wodzić go za nos jak Nevisa. Przypomniała sobie podróż na pokładzie „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”; Tuf zwyciężał we wszystkich, nawet najbardziej skomplikowanych grach strategicznych.

Może sięgnąć do biowojennego arsenału „Arki”? Nic łatwiejszego. Mogła to uczynić, nie ruszając się z miejsca.

Zawahała się jednak. A co tam, pomyślała wreszcie. Jest przecież prostszy sposób. Nadeszła pora, żeby wziąć sprawy we własne ręce.

Na podłokietniku kapitańskiego fotela leżała cienka obręcz z opalizującego metalu, którą Rica znalazła w jednej z szafek. Podsunęła ją pod skaner, sprawdziła funkcjonowanie obwodów, a następnie wsadziła sobie na głowę, założyła hełm, zahermetyzowała skafander i wyjęła igłacz z kabury.

Znowu na pierwszej linii.

Wędrując korytarzami „Arki”, Haviland Tuf natrafił na niezwykle pojazd - nieduży, odkryty, trójkołowy wózek. Ponieważ od dłuższego czasu przebywał w pozycji stojącej, wcześniej zaś był zmuszony kulić się pod stołem, z ulgą zajął miejsce w miękko wyściełanym fotelu kierowcy. Utrzymywał stałą, niezbyt dużą prędkość. Chaos podróżował zwinięty w kłębek na jego podolku.

Tuf był bardzo ostrożnym kierowcą. Na każdym skrzyżowaniu zatrzymywał pojazd, spoglądał w prawo, potem w lewo, zastanawiał się nad wyborem drogi i dopiero po dłuższym namyśle ruszał dalej. Skręcił dwukrotnie (decyzja była podyktowana częściowo logicznym rozumowaniem, częściowo zaś pozbawionym konkretnej przyczyny kaprysem), przez cały czas jednak starał się trzymać najszerszych korytarzy. Raz nawet opuścił fotel, by zajrzeć do pomieszczenia, które go zainteresowało. Niczego nie znalazł, nikogo nie spotkał. Od czasu do czasu Chaos poruszał się przez sen na jego kolanach.

A potem, całkiem niespodziewanie, zjawiała się Rica Dawnstar.

Tuf zatrzymał pojazd na środku obszernego skrzyżowania. Spojrzał w prawo, zamrugał kilka razy, spojrzął w lewo, potem zaś skierował wzrok przed siebie i, z dłońmi splecionymi na brzuchu, obserwował zbliżającą się powoli kobietę.

Zatrzymała się w odległości około pięciu metrów.

- Wybrałeś się na przejażdżkę?

W prawej ręce trzymała igłacz, w lewej sięgającą podłogi płataninę jakichś pasków albo tasiemek.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Wcześniej byłem odrobinę zajęty. Gdzie pozostali?

- Nie żyją - poinformowała go Rica Dawnstar. - Zginęli. Wykitowali. Odpadli z gry. Zostaliśmy tylko we dwoje, Tuf.

- To dla nas nic nowego - zauważył spokojnie kupiec.

- Ale sytuacja jest zupełnie inna. To ostateczna rozgrywka. Tym razem nie będzie rewanżu i tym razem to ja wygram!

Haviland Tuf w milczeniu głaskał pogrążonego we śnie kociaka.

- Nic do ciebie nie mam, Tuf - powiedziała Rica zaskakująco łagodnym tonem. - Możesz wsiąść do swojego statku i odlecieć. Nie zrobię ci nic złego.

- Jeśli ma pani na myśli „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, to pozwolę sobie pani przypomnieć, iż ów nieszczęsny pojazd doznał poważnych uszkodzeń, które, o ile mi wiadomo, nie zostały jeszcze naprawione.

- W takim razie weź sobie inny statek.

- Chyba nie skorzystam z tej propozycji - odparł Tuf. - Co prawda moje roszczenia względem „Arki” opierają się na mniej solidnych podstawach niż wysuwane przez Celise Waan, Jefriego Liona, Kaja Nevisa i Anittasa, niemniej jednak dowiedziałem się przed chwilą, że oni wszyscy nie żyją. Mam dokładnie takie samo prawo do „Arki” jak pani.

- Niezupełnie - stwierdziła niemal ze smutkiem Rica i wycelowała w niego igłacz. - Ten drobny szczegół przesądza spór na moją korzyść.

Haviland Tuf opuścił wzrok na szarego kotka.

- Niech to będzie dla ciebie pierwsza lekcja brutalnych praw rządzących wszechświatem - powiedział beznamiętnym tonem. - Co znaczy uczciwość, kiedy jedna strona ma broń, druga zaś jest pozbawiona oręża? Intelkt i dobre intencje muszą ustąpić przed brutalną siłą. - Ponownie spojrzął na Rikę Dawnstar. - Uznaję pani przewagę, niemniej jednak czuję się zmuszony stanowczo zaprotestować. Zanim weszliśmy na pokład „Arki”, członkowie naszego małego zespołu zgodzili się, bym został ich pełnoprawnym współnikiem. O ile mi wiadomo, pani nigdy nie otrzymała takiej propozycji. W związku z tym staje się oczywiste, że z prawnego punktu widzenia moje roszczenia są znacznie lepiej umotywowane niż pani. - Podniósł palec. - Co więcej, byłbym skłonny przychylić się do opinii, iż prawa własności do jakiegoś przedmiotu nabiera w pierwszej kolejności ten, kto z niego korzysta albo przynajmniej wie, jak korzystać. „Arka” powinna trafić w ręce osoby, która wykazała się

talentem, intelektem i chęcią efektywnego spożytkowania jej niezliczonych możliwości. Pozwolę sobie nieskromnie stwierdzić, iż właśnie ja jestem taką osobą.

Rica Dawnstar parsknęła śmiechem.

- Doprawdy?

- Zaiste. - Haviland Tuf zgarnął pograżonego we śnie kociaka na dłoń i pokazał kobiecie. - Oto dowód. W trakcie zwiedzania statku odkryłem i opanowałem techniki klonowania stosowane przez uczonych Imperium Ziemi. Było to fascynujące doświadczenie, w związku z czym zamierzam je jak najprędzej powtórzyć. Szczerze powiedziawszy, postanowiłem zrezygnować z mało rozwijającej profesji kupca na rzecz znacznie szlachetniejszej kariery inżyniera ekologa. Ufam, iż nie będzie pani próbowała mi w tym przeszkodzić. Daję pani słowo, że zapewnię pani wygodny transport na ShanDellor oraz osobiście dopilnuję, żeby otrzymała pani całą zapłatę obiecaną przez Jefriego Liona i pozostałych.

Rica z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Jesteś niesamowity, Tuf. - Zakręciła młynka igłaczem i zrobiła krok naprzód. - Uważasz więc, że powinienes zatrzymać dla siebie statek, ponieważ wiesz, jak z niego korzystać, a ja nie wiem?

- Trafiła pani w samo sedno - stwierdził Tuf z uznaniem.

Rica ponownie wybuchnęła śmiechem i niespodziewanie rzuciła mu igłacz.

- Masz, nie potrzebuję tego.

Tuf z zadziwiającą łatwością złapał broń.

- Wygląda na to, że moja pozycja uległa całkowicie nieoczekiwanemu wzmocnieniu. Teraz to ja mogę panią zastrzelić.

- Ale tego nie zrobisz - stwierdziła spokojnie Rica Dawnstar. - Reguły, Tuf. Ty zawsze przestrzegasz reguł gry. - Potrząsnęła płataniną pasków. - Wiesz, co robiłam, kiedy ty byłeś pochłonięty klonowaniem kociaka?

- Zaiste, nie - odparł Haviland Tuf.

- Zaiste - powtórzyła Rica z przekąsem. - Otóż siedziałam na mostku, szperałam w pamięci komputera i uczyłam się wszystkiego, co może mi się przydać do samodzielnego kierowania „Arką”.

Tuf mrugnął dwa razy.

- Tam, na mostku, jest ogromny ekran - ciągnęła kobieta. - Można powiedzieć, że to wielka plansza do gry. Obserwowałam każdy ruch. Ty i cała reszta byliście czerwonymi pionkami. Ja też, ma się rozumieć. Czarne pionki to jednostki biwojenne. Tak nazywa je

system, ale mnie znacznie bardziej podoba się słowo „potwory”. Jest krótsze i nie tak napuszone.

- Lecz wywołuje określone, niezbyt przyjemne skojarzenia - zwrócił jej uwagę Tuf.

- Oczywiście, ale do rzeczy. Przedarliśmy się przez zewnętrzną strefę obronną, poradziłyśmy sobie nawet z choróbskami, jednak Anittas tuż przed śmiercią splątał nam psikus i uruchomił procedurę uwalniania potworów. Siedziałam sobie wygodnie i obserwowałam, jak na ekranie uganiają się czarne i czerwone pionki. Czegoś mi jednak brakowało. Wiesz czego, Tuf?

- Przypuszczam, że to pytanie retoryczne.

- Zaiste - sparodiowała go Rica z szyderczym uśmieszkiem. - Brakowało mi zielonych. System został zaprogramowany w taki sposób, żeby pokazywać intruzów na czerwono, potwory na czarno, a załogę „Arki” na zielono. Zielonych nie było, co początkowo wydało mi się oczywiste, ale potem zaczęłam się zastanawiać. Potwory tworzyły ostatnią linię obrony, to jasne. Czy jednak na pewno miały zostać wykorzystane tylko wtedy, jeśli „Arka” będzie opuszczona?

Tuf splótł długie białe palce.

- Nie wydaje mi się - powiedział. - Istnienie ekranu, o którym była pani uprzejma wspomnieć, oraz fakt, że na bieżąco prezentował on rozwój sytuacji, każą się domyślać, iż system zakładał, że istnieje ktoś, kto może to obserwować. Co więcej, ponieważ przewidziano trzy kolory dla oznaczenia trzech grup, zakładano chyba, że wszystkie trzy mogą zostać wykorzystane w tym samym czasie.

- Zgadza się - przyznała mu rację Rica. - W takim razie nadeszła pora, żeby zadać najważniejsze pytanie.

Za jej plecami Haviland Tuf dostrzegł jakieś poruszenie.

- Proszę mi wybaczyć, ale...

Uciszyła go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Skoro byli gotowi wypuścić potwory, żeby rozprawiły się z napastnikami, w jaki sposób sami zabezpieczali się przed ich atakiem?

- Interesujący problem - zgodził się Tuf. - Z chęcią poznałbym jego rozwiązanie, obawiam się jednak, iż moja ciekawość jeszcze dość długo pozostanie nie zaspokojona. - Odchrząknął z zakłopotaniem. - Z autentyczną przyjemnością kontynuowałbym naszą dyskusję, czuję się jednak zmuszony zwrócić pani uwagę...

Podłoga korytarza zatrzęsała się pod ciężkimi krokami.

- Tak?

- Czuję się zmuszony zwrócić pani uwagę - powtórzył Haviland Tuf- iż w korytarzu za pani plecami pojawił się drapieżny dinozaur dość okazałych rozmiarów, który teraz usiłuje się do nas niepostrzeżenie podkraść. Obawiam się, że może mieć z tym pewne problemy.

Tyranozaur zaryczał przeraźliwie. Rica Dawnstar nawet nie drgnęła.

- Co ty powiesz? - zapytała z przekąsem. - Myślisz, że dam się nabrać na tak prymitywną sztuczkę? Słowo daję, spodziewałam się po tobie czegoś więcej!

- Protestuję! - odparł z godnością Tuf, jednocześnie uruchamiając silnik trójkołowca. - Nie próbuję pani oszukać. Dowodem niech będzie niesłyszany pośpiech, z jakim uaktywniłem jednostkę napędową mego pojazdu. Jak może mi pani nie wierzyć? Czyżby nie słyszała pani odgłosów ciężkich stąpaniec ani straszliwego ryku rozjuszonej bestii?

- To ma być ryk? - Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Bądźmy poważni, Tuf. Zadałam pytanie, teraz udzielę na nie odpowiedzi. Jest bardzo prosta. Przeoczyliśmy mały, ale dość istotny fragment układanki.

- Zaiste - bąknął Haviland Tuf.

Tyranozaur zbliżał się coraz prędzej. Ponad wszelką wątpliwość znajdował się w paskudnym nastroju, a jego ogłuszające ryki sprawiały, że kupiec z trudem słyszał słowa kobiety.

- Ludzie z Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego byli kimś więcej niż technikami od klonowania. Byli uczonymi, wojskowymi, a przede wszystkim znakomitymi genetykami. Potrafili odtworzyć niezliczone formy życia z setek planet i umieścić je w zbiornikach, ale potrafili też coś jeszcze: nauczyli się manipulować DNA, zmieniać te formy życia i dostosowywać je do swoich potrzeb!

- Bez wątpienia - odparł Tuf. - Zechce mi pani wybaczyć, ale obawiam się, że muszę czym prędzej oddalić się z tego miejsca.

Tyranozaur był już zaledwie dziesięć metrów od Riki Dawnstar. Zwolnił kroku, przystanął, zaryczał jeszcze głośniejsze i rąbnął ogonem w ścianę. Siła uderzenia była tak wielka, że pojazd Tufa zakołysał się wyraźnie. Z obnażonych zębów drapieżnika kapłała ślina, krótkie przednie łapy, zakończone budzącymi respekt pazurami, poruszały się energicznie.

- Nie spodziewałam się po tobie takiego braku wychowania - stwierdziła z dezaprobatą Rica Dawnstar. - To właśnie jest odpowiedź, Tuf. Wszystkie te stworzenia, te potwory, przez setki albo nawet tysiące lat trzymano w polach statycznych, ale one wcale nie są zwykłymi potworami. Zostały sklonowane w konkretnym celu: żeby bronić statku przed intruzami. Zmodyfikowano ich kod genetyczny, by jak najlepiej wywiązały się z zadania.

Tyranozaur zrobił krok naprzód, potem drugi i trzeci, aż wreszcie zatrzymał się tuż za

Riką Dawnstar.

- Na czym polegała modyfikacja?

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Tyranozaur pochylił się, otworzył paszczę i zaczął ją osuwać na głowę kobiety.

- Telepatia - powiedziała Rica spomiędzy jego zębów, po czym wyciągnęła rękę, chwyciła jakiś przedmiot, który utkwiał między kłami, i wyszarpnęła go. - Niektórym z nich, tym prawie zupełnie pozbawionym inteligencji, „wszczepiono” instynktowną odrazę do członków załogi, natomiast te bystrzejsze otrzymały ograniczone zdolności telepatyczne, tyle że działające w jedną stronę: jako odbiorniki. Narzędziami kontroli były wzmacniacze fal psychicznych. Bardzo zgrabne, lekkie urządzone, przypominające korony. Mam jedną z nich na głowie. Dzięki niej część zwierzyńca unika mnie jak ognia, część zaś jest mi posłuszna. - Zgrabnie wyslizgnęła się spomiędzy szczęk dinozaura i poklepała go po pysku. - Siad!

Tyranozaur ryknął, po czym zgiął potężne tylne łapy, jednocześnie niemal dotykając podłogi klatką piersiową. Rica zarzuciła mu na grzbiet płytkie siodło i zajęła się zapinaniem popręgów.

- Podczas naszej rozmowy przez cały czas miałam go pod kontrolą - poinformowała Tufa. - Prawdę powiedziawszy, to ja go tu wezwałam. Jest głodny. Co prawda zeżarł Liona, ale Jefri był kościsty, a ten zwierzak przecież nie jadł od prawie tysiąca lat.

Haviland Tuf z namysłem spojrział na igłacz; maleńka broń nagle wydawała mu się zupełnie bezużyteczna, tym bardziej że był dość kiepskim strzelcem.

- Z największą ochotą sklonuję mu smakowitego stegozaura.

- Dzięki, ale nie trzeba - odparła Rica Dawnstar, dopinając uprząż. - Za późno, żeby się wycofać. Wszedłeś do gry na własne życzenie, Tuf. Cóż, wygląda na to, że przegrałeś z kretesem. Trzeba było wycofać się wtedy, kiedy dałam ci szansę. Rozpatrzmy jeszcze raz twoje roszczenia, dobrze? Lion, Nevis i pozostali zaproponowali ci pełny udział, zgadza się? Obawiam się, że go zaraz otrzymasz: spotka cię dokładnie to samo co ich. Jeśli natomiast chodzi o twoje rzekome prawa moralne, opierające się na kryterium umiejętności wykorzystania potencjału „Arki”... - Ponownie poklepała dinozaura po pysku i uśmiechnęła się drapieźnie. - Cóż, chyba udowodniłam ponad wszelką wątpliwość, że lepiej od ciebie poznałam jej możliwości. Niżej! - Tyranozaur pochylił się jeszcze bardziej, a Rica jednym susem zajęła miejsce w siodle. - Wstawaj!

Podniósł się posłusznie.

- Rozumiem więc, że odsuwamy na bok aspekty prawne i moralne, by wrócić do brutalnej przemocy - powiedział ze smutkiem Haviland Tuf.

- Na to wygląda - odparła Rica z grzbietu monstrualnego jaszczura, po czym zmusiła go do zrobienia kilku ostrożnych kroków, jakby chciała stopniowo przekonać się o jego możliwościach. - Tylko nie mów, że grałam nie fair! Co prawda mam dinozaura, ale ty masz mój igłacz. Może jakimś cudem uda ci się trafić. Oboje jesteśmy uzbrojeni, Tuf. - Parsknęła dzikim śmiechem. - Tyle że ja jestem uzbrojona po zęby!

Haviland Tuf bez słowa cisnął igłacz w jej stronę. Był to bardzo celny rzut; wydawało się, że broń sama wpadła Rice do ręki.

- Co to ma znaczyć? Poddajesz się?

- Pani wykład na temat uczciwości wywarł na mnie wielkie wrażenie - poinformował ją Tuf. - Nie zamierzam wykorzystywać przewagi. Pani ma zwierzę i ja mam zwierzę. - Poglaskał szarego kociaka. - Teraz pani ma broń.

Wrzucił wsteczny bieg, ostro ruszył z miejsca i z maksymalną prędkością odjechał w kierunku pobliskiego skrzyżowania.

- Cóż, jak chcesz... - mruknęła Rica Dawnstar.

Znudziła ją ta zabawa. Zrobiło się jej trochę smutno. Tuf właśnie wykonywał 180-stopniowy skręt, żeby ustawić się przodem do kierunku jazdy. Tyranozaur szeroko otworzył paszczę i z potwornym rykiem głodu i nienawiści, takim samym jak przed milionami lat, puścił się w pogoń.

Wciąż przeraźliwie rycząc, wpadł na skrzyżowanie korytarzy.

Elektroniczny mikromóźdzek ustawionego dwadzieścia metrów dalej działka plazmowego zarejestrował fakt, że w polu ostrzału znalazł się obiekt znacznie przekraczający minimalne rozmiary ustalone dla potencjalnego celu. Ułamek sekundy później rozległo się ledwo słyszalne cyknięcie.

Haviland Tuf odwrócił się plecami do eksplozji i własnym ciałem zasłonił kotka przed oślepiającym blaskiem, gorącym podmuchem i ogłuszającym hukiem plazmowego wybuchu. Na skrzyżowaniu korytarzy rozpętało się prawdziwe piekło; na szczęście ognista kula szybko zgasła, choć jeszcze przez wiele lat w tym miejscu miał się unosić smród spalonego mięsa, część podłogowych i ściennych paneli trzeba było wymienić, wiele innych zaś zostało trwale osmalonych.

- Jak widzisz, ja także miałem broń - powiedział Haviland Tuf do kota.

Dużo później, kiedy atmosfera „Arki” nadawała się do oddychania, Furia i Chaos zadomowiły się w kajucie kapitańskiej, Tuf zaś przeniósł z „Rogu Obfitości” wszystkie przedmioty osobistego użytku, zajął się zwłokami, przeprowadził niezbędne naprawy oraz

zdołał nieco uspokoić nadzwyczaj hałaśliwą istotę mieszkającą na szóstym poziomie, rozpoczął metodyczne zwiedzanie statku. Drugiego dnia natrafił na magazyn ubrań, ale mężczyźni i kobiety służący w Inżynierskim Korpusie Ekologicznym byli znacznie niżsi i szczuplejsi od niego, w związku z czym nie zdołał znaleźć dla siebie munduru.

Znalazł natomiast nakrycie głowy, które ogromnie mu się spodobało.

Była to zielona czapeczka z wielkim daszkiem, doskonale dopasowana do kształtu jego łysej mlecznobiałej czaszki. Czapeczkę zdobiła wyszyta złotą nicią teta, symbol Korpusu.

Długo wpatrywał się w lustro.

- Haviland Tuf, inżynier ekolog - powiedział wreszcie do swego odbicia.

Brzmiało to całkiem niezłe.

CHLEB I RYBY

Nazywała się Tolly Mune, ale mówiąc o niej, używano wielu różnych określeń.

Ci, którzy po raz pierwszy wkraczali na teren jej włości, wyrażali się ze sporym szacunkiem. Od ponad czterdziestu lat standardowych była kapitanem portu, a przedtem zastępcą kapitana, stanowiąc najbarwniejszą postać orbitalnej społeczności znanej oficjalnie pod nazwą Port S'uthlam. W dole, na planecie, jej funkcja mogła się wydawać tylko jedną z wielu, ale na orbicie kapitan portu był jednocześnie mistrzem, przewodniczącym zarządu, sędzią, burmistrzem, rozjemcą, prawodawcą, głównym mechanikiem i naczelnikiem policji. Mówiąc krótko, był po prostu najważniejszy. Port rozrastał się z biegiem stuleci, w miarę jak szybko powiększająca się populacja planety czyniła z niej coraz bardziej atrakcyjny rynek zbytu i kluczowe ogniwo w handlowej sieci w tym sektorze Galaktyki. Centralny punkt portu stanowiła stacja orbitalna - wydrążony asteroid o średnicy szesnastu kilometrów, z parkami, sklepami, hotelami, magazynami i laboratoriami. Sześć wybudowanych wcześniej stacji, każda większa od swojej poprzedniczki, a teraz wszystkie przestarzałe i niewystarczające, przylgnęły do powierzchni asteroidu, przypominając stalowe narośla na kamiennym ziemniaku. Najstarsza liczyła sobie trzysta lat i ledwo dorównywała wielkością porządному statkowi kosmicznemu.

Ten centralny punkt portu nazywano Pajęcznikiem, jako że znajdował się w środku misternej, srebrzystometalowej pajęczyny rozpiętej na tle czarnego kosmosu. Ze stacji wybiegało we wszystkich kierunkach szesnaście potężnych odnóg; najnowsza liczyła sobie cztery kilometry długości i rosła niemal z każdym dniem, z pozostałych zaś siedem mierzyło aż po dwanaście kilometrów (kiedyś była jeszcze ósma, ale została zniszczona w wyniku eksplozji). Wewnątrz tych ogromnych rur umieszczono wszystko, co było niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania portu: magazyny, fabryki, stocznie, składy celne, pasażerskie terminale, a także urządzenia dokujące umożliwiające przycumowanie i przeprowadzenie remontu każdego typu statku, używanego w tym sektorze Galaktyki. Środkiem każdej odnogi pędziły w tę i z powrotem długie, superszybkie pociągi pneumatyczne, wożąc ładunki i pasażerów od i do zatłoczonego, kipiącego ruchem Pajęcznika, gdzie znajdowała się końcowa stacja gigantycznej windy, łączącej stację z powierzchnią S'uthlam.

Od głównych odnóg oddzielały się inne, mniejsze, a od tych z kolei jeszcze mniejsze, biegnąc przez pustkę we wszystkich kierunkach i tworząc misterny, zawiliwy wzór. Z każdym rokiem stawał się bardziej skomplikowany, w miarę jak dobudowywano coraz to nowe odgałęzienia.

Między niemi pajęczyny uwijały się muchy - promy transportujące na planetę ładunki zbyt duże lub zbyt niebezpieczne, żeby powierzyć je windzie, drobnicowce przylatujące z rudami metali albo lodem, statki załadowane żywnością z krążących bliżej słońca asteroidów, przekształconych dzięki osiągnięciom inżynierii planetarnej w żyzne i urodzajne tereny rolnicze, a wreszcie cała masa innego, włóczęgo się po Galaktyce żelastwa: luksusowe liniowce Transcorp, statki handlarzy z planet tak bliskich jak Yandeen lub tak odległych jak Caissa i Newholme, całe floty przewoźników z Kimdiss, bojowe jednostki Bastionu i Cytadeli, a nawet pojazdy kosmiczne Obcych, w tym Wolnych Hruun, Raheemai i wielu innych, jeszcze bardziej niezwykłych gatunków. Wszyscy przybywali do Portu S'uthlam, gdzie oczekiwano na nich z otwartymi ramionami.

Ci, którzy mieszkali w Pajęczniku, pracowali w barach i restauracjach, zajmowali się przeładunkiem towarów, kupowali i sprzedawali, naprawiali statki i uzupełniali im paliwo, nazywali się z dumą pajęczarzami. Dla nich, a także dla tych much, które bywały tu wystarczająco często, żeby uznać je za swoje, Tolly Mune nazywała się Mama Pająk - wybuchowa, pyskata, rubaszna, zastraszająco kompetentna, wszechobecna, niezniszczalna, potężna niczym siły natury, tyle że dwa razy bardziej groźna. Ci, którzy jej nie kochali, bo narazili się w jakiś sposób, ściągając na siebie jej gniew, nie mówili o niej inaczej jak tylko Stalowa Wdowa.

Była grubokościstą, dobrze umięśnioną, prostą kobietą, chudą jak każdy porządny S'uthlamańczyk, ale jednocześnie tak wysoką (prawie dwa metry) i potężną (te bary!), że na dole uważano ją niemal za wybryk natury. Jej twarz była pomarszczona i wyprawiona jak stara skóra; Tolly liczyła sobie czterdzieści trzy lata miejscowe, czyli prawie dziewięćdziesiąt standardowych, lecz wyglądała tak, jakby dopiero co dobiegła sześćdziesiątki. Przypisywała to życiu na orbicie.

- Nic tak nie postarza, jak siła przyciągania - mawiała często. Z wyjątkiem kilku luksusowych uzdrowisk, szpitali i hoteli, a także wielkich liniowców wyposażonych w generatory grawitacji, w całym porcie nie było ani odrobiny ciężenia. Tolly Mune czuła się w stanie nieważkości jak ryba w wodzie.

Miała stalowoszare włosy, w czasie pracy związane w ciasny węzeł, ale po skończeniu służby natychmiast je rozpuszczała, tak że ciągnęły się za nią jak ogon komety, towarzysząc każdemu jej poruszeniu. A trzeba było przyznać, że poruszała się dosyć intensywnie. To duże, kościste ciało nabierało niezwykłego wdzięku, kiedy płynęła korytarzami Pajęcznika i przemykała przez hale, parki i hangary, odpychając się długimi ramionami i szczupłymi, umięśnionymi nogami. Nigdy nie nosiła butów, bo jej stopy były niemal równie chwytne jak

ręce.

Nawet w otwartej przestrzeni, gdzie najbardziej doświadczeni pajęczarze korzystali z niezgrabnych skafandrów i poruszali się ostrożnie wzdłuż asekuracyjnych lin, Tolly Mune wolała swobodę ruchów i dopasowany, przylegający do ciała kombinezon. Strój ten nie zapewniał prawie żadnej ochrony przed twardym promieniowaniem S'ulstar, lecz Tolly była dumna z ciemnoniebieskiego odcienia swojej skóry i wolała codziennie rano łykać pełną garść pastylek przeciwnowotworowych, niż zrezygnować ze swojej niezależności na rzecz powolnego, nudnego bezpieczeństwa. Tam, w roziskrzanej czerni między segmentami pajęczyny, była panią samej siebie. Do przegubów dłoni i kostek miała przytroczone miniaturowe rakiety manewrowe, którymi posługiwała się z niedoścignioną wprawą. Przemykała błyskawicznie od jednej muchy do drugiej, zaglądając to tu, to tam, uczestnicząc we wszystkich zebraniach, nadzorując przebieg prac, witając co ważniejsze muchy, zatrudniając ludzi, wyrzucając ich z pracy i rozwiązując wszystkie problemy, jakie jej przedstawiono.

Kapitan portu Tolly Mune, Mama Pająk, Stalowa Wdowa, była w swojej pajęczynie tym, kim zawsze chciała być, gotowa stawić czoło każdemu wyzwaniu i bardziej niż zadowolona z losu, jaki jej przypadł w udziale.

Aż wreszcie nadeszła „noc”, kiedy została obudzona przez swojego zastępcę.

- Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego - wycedziła, spoglądając na widoczną na ekranie twarz.

- Chyba powinnaś zawiadomić Kontrolę - powiedział.

- Dlaczego?

- Nadlatuje mucha - odparł. - Duża mucha. Tolly Mune skrzywiła się paskudnie.

- Nie odważyłbyś się mnie obudzić, gdyby chodziło tylko o to. Mów dalej.

- To naprawdę duża mucha - powtórzył z naciskiem jej zastępca. - Zaczekaj, aż sama ją zobaczysz. Słowo daję, w życiu nie widziałem nic tak wielkiego. To bydlę ma trzydzieści kilometrów długości.

- Niech to jasny szlag! - zakląła Tolly Mune w ostatniej nieskomplikowanej chwili życia, zanim na jej drodze pojawił się Haviland Tuf.

Połknąwszy garść jasnoblękitnych pastylek antyrakowych, splukała je potężnym haustem piwa, po czym skoncentrowała uwagę na stojącej przed nią, holograficznej projekcji.

- Masz spory statek - zauważyła od niechcienia. - Co to jest, do diabła?

- „Arka” jest biowojenną jednostką operacyjną Inżynierskiego Korpusu

Ekologicznego - odparł Haviland Tuf.

- IKE? - zapytała z niedowierzaniem. - Nie opowiadaj bzdur!

- Czy mam powtórzyć to, co powiedziałem, kapitanie Mune?

- Mówisz o Inżynierskim Korpusie Ekologicznym starego Imperium? Z bazą na Prometeuszu? O specjalistach od klonowania i wojny biologicznej, potrafiących sprowadzić każdy rodzaj katastrofy ekologicznej?

Mówiąc to, nie spuszczała wzroku z twarzy Tufa. Jego holograficzna postać dominowała nad zagraconym wnętrzem jej małego, zbyt rzadko odwiedzanego biura, unosząc się w powietrzu jak ogromny, biały duch. Od czasu do czasu przepływała przez niego jakaś niesiona podmuchem powietrza kartka papieru.

Tuf był bardzo duży. Tolly Mune spotykała już nieraz muchy, które lubiły powiększać się w przekazie holograficznym, żeby wywrzeć większe wrażenie, więc może ten robił to samo?... Jednak jakiś wewnętrzny głos szeptał jej, że tak nie jest, a poza tym Haviland Tuf nie wyglądał na takiego człowieka. Oznaczało to, że również w rzeczywistości miał około dwóch i pół metra wzrostu, czyli o przeszło pięćdziesiąt centymetrów więcej od najwyższego pajęczarza, jakiego w życiu widziała. Nie trzeba dodawać, że tamten także, podobnie jak ona, był uważany za wybryk natury. S'uthlamańczyków charakteryzował dość niski wzrost, co miało związek nie tylko z genetycznymi cechami, ale i sposobem odżywiania.

Twarz Tufa nie zdradzała żadnych uczuć.

- O tym samym - odpowiedział spokojnie, splótłszy długie palce i położywszy dłonie na potężnym, wystającym brzuchu. - Pani historyczna erudycja budzi mój głęboki podziw, kapitanie Mune.

- Pięknie dziękuję - odparła uprzejmie. - Możesz mnie poprawić, jeśli się mylę, ale mam niejasne wrażenie, że Imperium rozpadło się co najmniej tysiąc lat temu, a wraz z nim Inżynierski Korpus Ekologiczny - rozproszony, zniszczony podczas bitew, zmuszony do ucieczki na Prometeusza i Starą Ziemię, wymazany z kosmosu. Co prawda ludzie gadają, że ci z Prometeusza dysponują znaczną częścią dawnych biotechnologii, ale tutaj żaden z nich się nie pojawił, więc nikt nie wie tego na pewno. Słyszałam jednak, że strzegą zazdrośnie swoich tajemnic. Pozwól więc, że powtórzę to, czego się od Ciebie dowiedziałam, a ty mi powiesz, czy nic mi się nie poplątało. Przyleciałeś tu tysiącletnim, nadal funkcjonującym statkiem IKE, który przypadkiem znalazłeś pewnego dnia podczas spaceru, jesteś sam na pokładzie i statek należy do Ciebie.

- Wszystko się zgadza. - odparł Haviland Tuf.

Tolly uśmiechnęła się szeroko.

- A ja jestem cesarżową z Mgławicy Kraba. Na twarzy Tufa nie drgnął ani jeden mięsień.

- Skoro tak, to obawiam się, że połączono mnie z niewłaściwą osobą. Chciałem rozmawiać z kapitanem Portu S'uthlam.

Tolly pociągnęła kolejny łyk piwa.

- To ja nim jestem - prychnęła. - Dobra, Tuf, starczy tych głupot! Przylatujesz tu czymś podejrzanie przypominającym jednostkę bojową, w dodatku trzydziestokrotnie większą od naszego największego tak zwanego krążownika naszej tak zwanej Flotylii Planetarnej, i wytrącasz z równowagi cholernie wielu ludzi. Połowa dżdżownic w hotelach myśli, że jesteś jakimś Obcym, który zjawił się po to, żeby zeżreć nam powietrze i ukraść dzieci, a druga połowa jest święcie przekonana, że stanowisz tylko efekt specjalny, przygotowany przez nas, żeby ich zabawić. Już ustawili się w kolejkach do wypożyczalni skafandrów i skuterów próżniowych i za parę godzin rozpelzną ci się po całym kadłubie. Co do moich ludzi, to po prostu nie wiedzą, co o tobie myśleć. Dlatego będzie lepiej, Tuf, jeśli od razu przejdziesz do rzeczy i powiesz, czego właściwie chcesz.

- Jestem okrutnie rozczarowany - oznajmił Tuf. - Zadałem sobie wiele trudu, żeby przybyć tutaj i zasięgnąć porady pajęczarzy i cybertechów Portu S'uthlam, słynących z ogromnej fachowości i nadzwyczajnej uczciwości. Nie spodziewałem się natrafić na agresję i bezzasadną podejrzliwość. Chciałem prosić o dokonanie pewnych napraw i modyfikacji, o nic więcej.

Tolly Mune słuchała go jednym uchem, wpatrując się w dolną część holograficznego obrazu, gdzie pojawił się niewielki, porośnięty sierścią, czarno-biały przedmiot.

- Przepraszam, Tuf - wykrztusiła przez ściśnięte gardło - ale jakiś przekłety szkodnik ociera ci się o nogę.

Ponownie przyłożyła do ust tubę z piwem.

Haviland Tuf schylił się i podniósł zwierzę z podłogi.

- Nie wydaje mi się, kapitanie Mune, aby nazywanie kotów szkodnikami miało jakiegokolwiek uzasadnienie - powiedział. - Wręcz przeciwnie, kot jest nieustraszonym wrogiem wielu pasożytów i mało użytecznych stworzeń, co zresztą stanowi zaledwie jedną z wielu fascynujących, pozytywnych cech tego wspaniałego gatunku. Czy wie pani o tym, że niegdyś ludzie oddawali kotom cześć boską? Ten, którego pani widzi, nazywa się Furia.

Kot ułożył się w zagięciu potężnego ramienia i zaczął wydawać z siebie głośne pomruki, kiedy Tuf gładził jego czarno-białe futro.

- Hm... - chrząknęła Tolly. - Zwierzę... domowe, tak się na to mówi, prawda? U nas

wszystkie zwierzęta są hodowane na mięso, ale niektórzy goście przywożą swoje, podobne do tego. Tylko nie pozwól, żeby twój... kot, zgadza się?

- Zaiste - potwierdził Tuf.

- No wiec, nie pozwól, żeby ten kot wydostał się poza statek. Pamiętam, jak dawno temu, kiedy jeszcze byłam zastępcą kapitana portu, mieliśmy tu niesamowity raban... Jakaś cholerna mucha zgubiła swojego zwierzaka akurat wtedy, kiedy zjawił się z wizytą wysłannik Obcych, i nasi strażnicy pomylili jednego z drugim. Nawet nie masz pojęcia, jaka potem wybuchła chryja.

- Ludzie często reagują z nadmierną pobudliwością - zauważył Haviland Tuf.

- Jakie naprawy i modyfikacje miałeś na myśli?

Tuf majestatycznie wzruszył ramionami.

- Doprawdy, same drobiazgi, bez wątpienia nie stanowiące żadnego problemu dla tak znakomitych fachowców. Jak sama słusznie pani zauważyła, kapitanie Mune, „Arka” jest istotnie bardzo starym statkiem, a wojenne tułaczki i stulecia zaniedbań pozostawiły wyraźne ślady. Całe pokłady i sektory są pozbawione energii lub uszkodzone w stopniu uniemożliwiającym dokonanie samonaprawy, choć statek posiada wcale niemałe możliwości w tym zakresie. Chciałbym, aby te części naprawiono i przywrócono je do użytku.

Załoga „Arki”, jak zapewne pani wie dzięki swoim rozległym, historycznym studiom, liczyła niegdyś dwustu ludzi. Co prawda statek jest wystarczająco zautomatyzowany, żebym mógł nim samodzielnie kierować, ale muszę przyznać, że odbywa się to kosztem pewnych niewygód. Centrum sterownicze, usytuowane na głównym mostku, dzieli od mojej kwatery szmat drogi, sam mostek zaś nie jest w wystarczającym stopniu dostosowany do moich potrzeb, w związku z czym jestem zmuszony pokonywać pieszo znaczne odległości, przemieszczając się od jednego pulpitu do drugiego i wykonując skomplikowane czynności, niezbędne dla prowadzenia „Arki”. Często zdarza się nawet, że w celu dokonania niektórych z nich muszę opuścić mostek i udać się do którejś z najodleglejszych części statku. W związku z tą niedogodnością byłem zmuszony zrezygnować z tych wszystkich zamierzeń, które wymagały mojej jednoczesnej obecności w dwóch lub więcej miejscach, często oddalonych od siebie o wiele kilometrów. W pobliżu mojej kwatery znajduje się niewielka, ale bardzo wygodna zapasowa centrala łączności, sprawiająca wrażenie działającej bez zarzutu. Pragnąłbym, aby wasi technicy przeprogramowali cały system komputerowy, tak żebym w przyszłości mógł zawiadywać wszystkim stamtąd, bez konieczności odbywania codziennej męczącej podróży na mostek, a nawet bez potrzeby opuszczania fotela.

Poza tym mam na myśli zaledwie kilka dodatkowych zmian, czy może raczej

poprawek. Zależałoby mi na nowoczesnej kuchni z pełnym zestawem przypraw i obszerną biblioteką przepisów kulinarnych, abym mógł posilać się potrawami nieco bardziej urozmaiconymi i bardziej interesującymi dla mego podniebienia niż obrzydliwe wojskowe racje, jakich w chwili obecnej dostarcza mi „Arka”. Przydałby się również pokaźny zapas wina i piwa, a także urządzenia niezbędne do wytwarzania tychże, abym mógł samodzielnie uzupełniać ubytki podczas długich, międzygwiazdnych podróży. Nie od rzeczy byłoby również uaktualnienie oferty moich rozrywek przez dostarczenie książek, holofilmów i nagrań muzycznych pochodzących z ostatniego tysiąclecia. Poza tym być może znalazłbym użytek dla kilku nowych programów sterujących urządzeniami obronnymi, a także paru innych drobnostek. Jestem gotów dostarczyć szczegółową listę.

Tolly Mune słuchała go ze zdumieniem.

- Do licha! - wykrzyknęła, kiedy skończył. - Ty naprawdę masz tam stary, zrujnowany statek Korpusu Ekologicznego, prawda?

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. Nieco wyniośle, jej zdaniem.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie przepraszam. Zaraz zmontuję ekipę pajęczarzy i cybertechów i poślę ją do ciebie, żeby oszacowała zakres robót. Lepiej nie wstrzymuj oddechu, bo to duży statek i minie trochę czasu, zanim się we wszystkim zorientują. Chyba wyślę też paru ochroniarzy, bo w przeciwnym razie zaczną ci się pętać pod nogami tłumy wycieczkowiczów, wynoszących wszystko, co da się zabrać jako pamiątkę. - Zmierzyła spojrzeniem pełnym zastanowienia jego holograficzną postać. - Byłoby dobrze, gdybyś spotkał się z moimi ludźmi i powiedział im, gdzie czego mają szukać, a potem zniknął im z pola widzenia, żeby cię nie pobili, kiedy przekonają się, że nie ma mowy o wprowadzeniu tej skorupy do pajęczyny. Jest za wielka. Możesz się stamtąd jakoś wydostać?

- Na pokładzie „Arki” znajduje się cała flotylla promów orbitalnych - odparł Haviland Tuf - ale, jeśli mam być szczerzy, nie mam zbyt wielkiej ochoty porzucać wygod, jakie otaczają mnie w mojej kwaterze. Nie wątpię, że mój statek jest wystarczająco duży, aby moja obecność nie przeszkadzała w istotny sposób waszym ekipom.

- Do licha, ty o tym wiesz i ja o tym wiem, ale oni pracują najlepiej wtedy, kiedy wiedzą, że nikt nad nimi nie stoi i nie zagląda im przez ramię. Poza tym wydawało mi się, że będziesz chciał wyleżeć na jakiś czas z tej puszki. Jak długo w niej siedziałeś?

- Kilkanaście miesięcy standardowych - przyznał Tuf - aczkolwiek nie mogę powiedzieć, że bym był sam w ścisłym znaczeniu tego słowa. Cieszyłem się towarzystwem moich kotów, pogłębiałem wiedzę na temat inżynierii ekologicznej, a także poznawałem

możliwości „Arki”. Mimo to zgadzam się z pani opinią, iż przydałoby mi się nieco rozrywki. Nigdy nie należy rezygnować z możliwości skosztowania specjałów nowej, nie znanej do tej pory kuchni.

- Zaczekaj, aż spróbujesz naszego piwa! Poza tym w porcie jest cała masa interesujących rzeczy: hotele, rozgrywki sportowe, sensoria, dystrybutornie środków odurzających, żywy teatr, sale seksoszałowe, kasyna...

- Mam pewne niewielkie uzdolnienia, jeśli chodzi o kilka gier - przyznał Tuf.

- Nie wspominając o turystyce - ciągnęła Tolly. - Możesz wsiąść w kapsułę i zjechać windą aż na sam dół, a tam cały S’uthlam stanie przed tobą otworem!

- Zaiste, zaintrygowała mnie pani, kapitanie Mune - powiedział Tuf. - Obawiam się, że jestem nadzwyczaj ciekawski z natury. To moja największa słabość. Niestety, mam podstawy przypuszczać, iż skromność moich środków finansowych wyklucza dłuższy pobyt.

- Nic się nie bój - odparła z uśmiechem Tolly Mune. - Wszystko włączymy do rachunku za naprawę statku. No to wskakuj do tego cholernego promu i cumuj w... Zaczekaj chwilę... W doku 911, jest pusty. Najpierw obejrzyj sobie Pajęcznik, a potem zjedź na dół. Wywołasz niezłą sensację. Już teraz gadają o tobie w wiadomościach. Dżdżownice i muchy obleżą cię w ciągu paru sekund.

- Być może gniący kawałek mięsa uradowałby się taką perspektywą - odrzekł Haviland Tuf. - Ja, niestety, nie mogę tego o sobie powiedzieć.

- W takim razie przyleć incognito.

Wkrótce po tym, jak Haviland Tuf zajął miejsce w kapsule, którą miał odbyć podróż na powierzchnię planety, obok niego pojawił się steward z wózkiem zastawionym przeróżnymi trunkami. Tuf zdążył już skosztować w Pajęczniku miejscowego piwa i przekonał się, że jest cienkie, wodniste i prawie zupełnie pozbawione smaku.

- Może w waszej ofercie znajdują się także produkty pochodzące spoza tej planety - zwrócił się uprzejmie do stewarda. - Jeżeli tak, chętnie nabyłbym jeden z nich.

- Oczywiście - odparł steward, podając mu tubę wypełnioną ciemnobrązowym płynem. Napis na etykietce był sporządzony pismem ShanDelor. Zaraz potem podsunął mu także kartę rachunkową, na której Tuf wystukał swój numer. Na S’uthlam rolę pieniędzy pełniły kalorie, należność zaś za tubę przekraczała niemal pięciokrotnie rzeczywistą wartość kaloryczną znajdującego się w niej piwa.

- Koszty importowe - wyjaśnił steward.

Kapsuła runęła w dół szybu sięgającego aż do powierzchni planety, a Tuf majestatycznie podniósł do ust tubę i pociągnął spory łyk. Podróż nie należała do najbardziej

komfortowych. Tuf uznał, że cena za miejsce w kabinie klasy lux jest zdecydowanie zawyżona, w związku z czym wybrał pierwszą klasę, teoretycznie niewiele mniej komfortową; okazało się jednak, że był zmuszony wbić się w fotel zaprojektowany bez wątplenia z myślą o bardzo małym, s'uthlamańskim dziecku, ustawiony wraz z siedmioma innymi w rzędzie przedzielonym pośrodku wąskim przejściem.

Na całe szczęście ślepy traf zrzucił, że przypadło mu miejsce przy samym przejściu. Gdyby nie to, należało mieć poważne wątpliwości, czy podróż w ogóle byłaby możliwa. Jednak nawet tutaj przy każdym ruchu ocierał się o chude, obnażone ramię siedzącej przy nim kobiety, co napawało go olbrzymim niesmakiem. Siedząc tak, jak to zwykł zawsze czynić, dotykał głową sufitu, w związku z czym musiał się przygarbić i pochylić, co z kolei zaowocowało dokuczliwym napięciem mięśni karku. W tylnej części kapsuły znajdowały się przedziały drugiej i trzeciej klasy; Tuf wzdragał się przed samą myślą o warunkach, jakie zapewniano tam podróżującym, i postanowił za wszelką cenę uniknąć konieczności przekonania się o tym na własnej skórze.

Kiedy kapsuła ruszyła, większość pasażerów naciągnęła na głowy kaptury izolujące ich od otoczenia i po naciśnięciu odpowiedniego przycisku oddała się ulubionemu rodzajowi rozrywki. Mogli wybierać spośród trzech programów muzycznych, dramatu historycznego, dwóch fantastyczno-erotycznych przygodowców, kanału przeznaczonego dla biznesu, czegoś określonego jako „pawana geometryczna”, a także bezpośredniej stymulacji ośrodków przyjemności w mózgu. Tuf miał ochotę zapoznać się z pawana, lecz okazało się, że kaptur nie chce wejść na jego zbyt dużą, według standardów obowiązujących na S'uthlam, głowę.

- To ty jesteś ta wielka mucha? - zapytał ktoś z drugiej strony przejścia.

Tuf spojrzał w tamtym kierunku. S'uthlamańczycy siedzieli w milczeniu na swoich miejscach, z naciągniętymi na głowy czarnymi, zasłaniającymi oczy kapturami. Jediną przytomną osobą w przedziale, oprócz Tufa i stewardów, był mężczyzna siedzący jeden rząd dalej. Długie, splecione w warkocz włosy, skóra koloru miedzi i pełne, tłuste policzki już na pierwszy rzut oka zdradzały jego nietutejsze pochodzenie.

- Ta wielka mucha to ty, no nie?

- Jestem Haviland Tuf, inżynier ekolog.

- Od razu wiedziałem, żeś mucha - odparł mężczyzna. - Tak samo, jak ja. Ratch Norren, z Yandeen. - Wyciągnął rękę.

Haviland Tuf spojrzał na nią.

- Szanowny panie, znany jest mi starożytny rytuał wymieniania uścisków dłoni. Zdążyłem już zauważyć, że nie ma pan przy sobie żadnej broni. Z tego, co wiem, obyczaj ów

miał początkowo na celu podkreślenie tego faktu. Ja także jestem nieuzbrojony. Może pan już cofnąć dłoń, jeśli ma pan na to ochotę.

Ratch Norren zrobił to z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Śmieszna z ciebie kaczka - powiedział.

- Szanowny panie - odparł z godnością Tuf. - Nie jestem ani śmieszna kaczka, ani wielką muchą. Wydaje mi się, że powinno to być jasne dla każdego człowieka o choćby przeciętnej inteligencji, chyba że standardy obowiązujące na Yandeen odbiegają w drastyczny sposób od tych, do których jestem przyzwyczajony.

Ratch Norren uszczypnął się w policzek. Policzek był tłusty, pokryty grubą warstwą czerwonego pudru, a uszczyknięcie zdrowe i bynajmniej nie udawane. Tuf doszedł do wniosku, iż jest to albo szczególnie perwersyjny tik, albo jakiś gest charakterystyczny wyłącznie dla Vandeenan, którego znaczenie musiało na razie pozostać dla niego zagadką.

- Te muchy to gadanie pajęczarzy - wyjaśnił długowłosa mężczyzna. - Oni nas wszystkich nazywają muchami.

- Zaiste - odparł Tuf.

- To ty przyleciałeś tym ogromnym okrętem wojennym, zgadza się? Tym, co go pokazywali w wiadomościach? - Norren nie czekał na odpowiedź. - Dlaczego nosisz perukę?

- Podróżuję incognito - wyjaśnił Haviland Tuf - choć wszystko wskazuje na to, że mimo przebrania udało się panu mnie rozpoznać.

Norren ponownie uszczypnął się w policzek.

- Mów mi Ratch - powiedział, po czym zmierzył Tufa krytycznym spojrzeniem. - Marniutkie to twoje przebranie. W peruce czy bez, zawsze będziesz ogromnym grubasem o gębie jak muchomor-albinos.

- W przyszłości zastosuję także makijaż - oznajmił Tuf. - Na szczęście, żaden z tubylców nie dorównuje panu przenikliwością.

- Są zbyt uprzejmi, żeby to okazać. Tak to już u nich wygląda. Po prostu za dużo ich jest, rozumiesz? Większość nie może sobie pozwolić na prawdziwe odosobnienie, więc udają, że się nie widzą. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi, jeśli nie dasz wyraźnie do zrozumienia, że sobie tego życzysz.

- Mieszkańcy Portu S'uthlam, których miałem okazję spotkać, nie wydawali się szczególnie dyskretni ani nie grzeszyli przesadną etykietą - zauważył Tuf.

- Pajęczarze to zupełnie co innego - wyjaśnił Ratch Norren. - Tam, na górze, mają trochę więcej luzu. Dam ci radę, koleś: nie sprzedawaj im swojego statku, tylko zaprowadź go na Yandeen. Zapłacimy ci dużo więcej niż oni.

- Nie mam najmniejszego zamiaru sprzedawać „Arki” - odparł Tuf.

- Nie musisz mi mydlić oczu, i tak nie mam pełnomocnictw, żeby ją kupić. Ani tylu kredytek. Cholernie żałuję. - Parsknął głośnym śmiechem. - Jak polecisz na Yandeen, skontaktuj się bezpośrednio z naszą Radą Koordynatorów. Mówię ci, nie pożałujesz tego. -Norren rozejrzał się ukradkiem, upewniając się, czy stewardzi są daleko, a pasażerowie mają głowy skryte w kapturach, po czym zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Poza tym nawet jeśli nie chodzi o cenę, to doszły mnie słuchy, że ten twój statek ma niesamowicie silne uzbrojenie, zgadza, się? Chyba nie chcesz dać tego wszystkiego S’uthlamańczykom? Ja ich bardzo lubię, słowo daję, przylatuję tu często w interesach i wiem, że to porządni ludzie, kiedy spotka się jednego albo dwóch, ale ich jest tak cholernie dużo, Tuffer, a w dodatku mnożą się bez przerwy, jak jakieś przekłete gryzonie! Sam zobaczysz. Kilkaset lat temu tylko z tego powodu wybuchła tu duża, lokalna wojna. Suthki zakładali kolonie, gdzie się tylko dało, i rozmnażali się tak szybko, że po prostu wyduszali tych, którzy tam byli przed nimi. Na szczęście, udało nam się wybić im to z głowy.

- Nam? - zapytał Haviland Tuf.

- Oficjalnie w koalicji były Yandeen, Skrymir, Planeta Henry’ego i Jazbo, ale dostaliśmy dużą pomoc jeszcze od paru innych, rozumiesz? Traktat pokojowy nakazał S’uthlamańczykom nie wychylać nosa poza ich układ planetarny. Jeśli dasz im ten swój diabelski statek, Tuf, może im przyjść ochota znowu zacząć hasać.

- Z tego, co wiem, S’uthlamańczycy są nadzwyczaj honorowymi i uczciwymi ludźmi.

Ratch Norren po raz kolejny uszczypnął się w policzek.

- Honorowi, uczciwi... Jasne, jasne. Świetnie się z nimi handluje i są znakomici w łóżku. Mówię ci, znam ich chyba z tysiąc i wszyscy są moimi przyjaciółmi, ale problem polega na tym, że ten tysiąc moich s’uthlamańskich przyjaciół ma co najmniej dziesięć tysięcy dzieci. Ci ludzie się rozmnażają, Tuf, oto cały kłopot! Posłuchaj Ratcha, dobrze ci radzę. Oni wszyscy to życioszajbusy, rozumiesz?

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Czy wolno mi zapytać, co to są życioszajbusy?

- Życioszajbusy to życioszajbusy - wyjaśnił niecierpliwie Norren. - Antyentropiści, czciciele bachorów, wielbiciele płodności, po prostu religijni fanatycy, Tuffer, kompletne świry...

Może powiedziałby coś więcej, ale właśnie w tej chwili w ich stronę ruszył jeden ze stewardów, pchając przed sobą wózek z napojami. Norren umilkł i oparł się jakby nigdy nic w swoim fotelu.

Haviland Tuf uniósł długi, biały palec, by zwrócić na siebie uwagę stewarda.

- Poproszę jeszcze jedną tubę, jeśli można - powiedział.

Pozostałą część podróży spędził pogrążony w myślach, od czasu do czasu pociągając w milczeniu łyk piwa.

Tolly Mune unosiła się w powietrzu w swojej zagraconej kwaterze, popijając piwo i myśląc intensywnie. Jedną ze ścian pokoju stanowił ogromny ekran o wymiarach sześć metrów na trzy; zwykle wypełniały go rozległe panoramy, gdyż Tolly lubiła oddawać się złudzeniu, że jest to okno wychodzące na niebotyczne, zimne góry Skrymiru, przepastne kaniony Yandeen wypełnione bystrymi, spienionymi rzekami lub na nieprzeliczone światła miasta S'uthlam ze smukłą, srebrzystą wieżą windy wznoszącą się wysoko w górę aż do czarnego, bezksiężycowego nieba, ponad dachy najbardziej luksusowych, czterokilometrowych drapaczy chmur.

Dziś jednak na ekranie widniał obraz usianego gwiazdami kosmosu, na którego tle wisiał w bezruchu gigantyczny statek o nazwie „Arka”. Nawet tak duży ekran - jeden z przywilejów związanych z pełnieniem funkcji kapitana portu - nie był w stanie oddać jego prawdziwych rozmiarów.

Tolly Mune zdawała sobie doskonale sprawę, że niebezpieczeństwo i nadzieja, związane z pojawieniem się statku, były od niego nieporównywalnie większe.

Rozległ się brzęczyk wzywający ją do konsoly. Komputer nie niepokoiłby jej, gdyby nie była to rozmowa, na którą czekała.

- Przełącz na główny ekran - poleciła Tolly.

Gwiazdy zgasły, „Arka” rozplynęła się w nicość, a na ekranie pojawiła się twarz Przewodniczącego Josena Raela, przywódcy ugrupowania dysponującego aktualnie większością w Radzie Planety.

- Kapitanie Mune... - powiedział. Bezlitosne powiększenie ujawniało napięcie mięśni karku, ściągnięte usta i twardy błysk ciemnobrązowych oczu. Mimo pudru, pokrywającego łysinę na czubku głowy, zaczęły się tam formować krople potu.

- Panie Przewodniczący... - odparła. - Dobrze, że pan dzwoni. Zapoznał się pan z raportem?

- Tak. Czy ten kanał jest zabezpieczony przed podsłuchem?

- Oczywiście. Może pan swobodnie mówić.

Josen Rael westchnął głęboko. Niedawno minęło już dziesięć lat od chwili, kiedy po raz pierwszy wystąpił na politycznej scenie. Najpierw dał się poznać za pośrednictwem programów informacyjnych jako minister wojny, potem awansował na ministra rolnictwa, a

cztery lata temu został przywódcą większościowej frakcji technokratów w Radzie Planety, stając się tym samym najpotężniejszym człowiekiem S'uthlamu. Władza postarzyła go i zmęczyła, ale Tolly jeszcze nigdy nie widziała go w tak złej formie jak dzisiaj.

- Czy jest pani pewna wszystkich danych? - zapytał. - Nie popełniliście żadnego błędu? Chyba nie muszę mówić, że nie możemy sobie pozwolić na najmniejszą pomyłkę. Czy to na pewno jest jednostka operacyjna Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego?

- Na pewno - odparła Tolly Mune. - Uszkodzona i w kiepskim stanie, ale nadająca się do użytku, a co ważniejsze, z nienaruszonymi magazynami tkanek. Wszystko dokładnie sprawdziliśmy.

Rael przyglądał długimi palcami swoje siwe, mocno przerzedzone włosy.

- Przypuszczam, że powinienem stanowić uosobienie radości i zadowolenia - powiedział. - Spróbuję tak wyglądać, kiedy będzie już po wszystkim i zaczną ze mną przeprowadzać wywiady, ale na razie potrafię myśleć wyłącznie o niebezpieczeństwach. Przed chwilą skończyło się zamknięte posiedzenie Rady. Nie możemy ryzykować nadmiernego rozgłosu, dopóki sprawa się ostatecznie nie wyjaśni. Rada była niemal jednomyślna - technokraci, ekspansjoniści, zeroiści, partia kościelna, wszystkie odłamy. - Roześmiał się. - Jeszcze nigdy, przez tyle lat, nie widziałem takiej zgodności. Kapitanie Mune, ten statek musi być nasz.

Tolly Mune spodziewała się, że to usłyszy. Pełniąc tak długo funkcję kapitana Portu S'uthlam, zdążyła dokładnie poznać polityczne zasady rządzące społeczeństwem jej planety. S'uthlam niemal od początku istnienia był uwikłany w nie kończący się kryzys.

- Spróbuję go dla was kupić - powiedziała. - Ten Haviland Tuf był kiedyś niezależnym kupcem, dopóki nie natrafił na „Arkę”. Moi ludzie znaleźli na lądowisku jego stary statek, zresztą w okropnym stanie. Wszyscy kupcy to chciwe bestie, co do jednego. Chyba uda nam się to wykorzystać.

- Proszę mu zapłacić, ile będzie chciał - polecił Josen Rael. - Rozumie pani, kapitanie? Ma pani nieograniczone pełnomocnictwa finansowe.

- Rozumiem - odparła Tolly Mune. Pozostało jedno pytanie, które koniecznie musiała zadać. - A jeśli nie zechce go sprzedać?

Josen Rael zawahał się przez chwilę.

- Musi - powiedział wreszcie. - Odmowa oznaczałaby prawdziwą tragedię. Może nie dla niego, ale na pewno dla nas.

- Co mam zrobić, jeżeli nie będzie chciał go sprzedać? - powtórzyła Tolly Mune. - Powinnam chyba wiedzieć, jaką mam możliwość manewru.

- Musimy zdobyć ten statek - oświadczył Rael. - Jeżeli Tuf okaże się głuchy na rozsądne argumenty, nie pozostawi nam wyboru. Rada Planety skorzysta ze swoich uprawnień i skonfiskuje „Arkę”. Oczywiście, damy mu odpowiednią rekompensatę.

- Do licha! Czyli po prostu zajmiecie statek siłą.

- Wcale nie - odparł Josen Rael. - Wszystko będzie w porządku, już to sprawdziłem. W chwilach najwyższego zagrożenia prawo jednostki do indywidualnej własności musi ustąpić przed interesami ogółu.

- Niech cię drzwi ścisną, to tylko nieudolne usprawiedliwienia, Josen - powiedziała Tolly. - Kiedy byłeś tu, na górze, gadałeś bardziej do rzeczy. Co oni tam z tobą zrobili?

Przewodniczący Rady Planety skrzywił się paskudnie i przez chwilę przypominał znowu młodego człowieka, który pracował z nią przez rok, kiedy ona była jeszcze zastępcą kapitana portu, a on trzecim zastępcą kierownika działu zajmującego się handlem międzyplanetarnym. Jednak zaraz potem potrząsnął głową i na ekranie znowu pojawiła się twarz starego, zmęczonego polityka.

- Mnie to też wcale się nie podoba, Mamo - powiedział - ale czy mamy jakiś wybór? Widziałem najnowsze prognozy: najdalej za dwadzieścia siedem lat grozi nam masowy głód, jeśli nie nastąpi jakiś przełom, a jak na razie na żaden się nie zanoszą. Jednak zanim do tego dojdzie, ekspansjoniści najprawdopodobniej odzyskają władzę i będziemy mieli kolejną wojnę. Tak czy inaczej, umrą miliony, może nawet miliardy ludzi. W porównaniu z tym, jakie znaczenie mają prawa jednego człowieka?

- Nie będę dyskutowała na ten temat, Josen, choć dobrze wiesz, że są tacy, którzy nie przepuściliby okazji. Mniejsza o to. Skoro starasz się być taki praktyczny, to podsunę ci parę cholernie praktycznych spraw do przemyślenia. Nawet jeśli uda nam się legalnie odkupić ten statek od Tufa, czeka nas przeprawa z Yandeen, Skrymirem i ich sojusznikami, choć bardzo wątpię, czy zdecydowaliby się na podjęcie jakichś konkretnych działań. Jeżeli jednak zabierzemy mu go siłą, wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej. Mogą nas oskarżyć o piractwo, mogą uznać „Arkę” za okręt wojenny - którym zresztą jest, nawiasem mówiąc, i to najpotężniejszym, jaki kiedykolwiek zbudowano - i zarzucić nam naruszenie postanowień traktatu pokojowego.

- Porozmawiam osobiście z ich ambasadorami - powiedział ze znużeniem Josen Rael.

- Zapewnię ich, że dopóki władzę sprawują technokraci, program kolonizacji nie zostanie wznowiony.

- A oni uwierzą ci na słowo, tak? Już widzę, jak to zrobią. A może uda ci się także ich przekonać, że technokraci nigdy nie utracą władzy i że do głosu nie dojdą znowu

ekspansjoniści? Jak chcesz to zrobić, jeśli łaska? A może masz zamiar za pomocą „Arki” sięgnąć po pozycję dobrotliwego dyktatora?

Przewodniczący zacisnął wargi w wąską kreskę, a na jego twarzy pojawił się wyraźny rumieniec.

- Przecież mnie znasz. Nic takiego nawet mi nie przeszło przez myśl. Zgoda, istnieją pewne niebezpieczeństwa, ale nie można zapominać, że statek znacznie wzmocniłby naszą zdolność obronną. Gdyby tamci zdecydowali się nas zaatakować, mielibyśmy w dłoni kartę nie do przebiccia.

- Nonsens - odparowała Tolly Mune. - Najpierw musimy go naprawić, a potem dokładnie poznać. Technologie, które tam zastosowano, zostały zapomniane ponad tysiąc lat temu. Zanim naprawdę nauczymy się korzystać z tej cholерnej skorupy, minie wiele miesięcy, a może nawet lat. Nikt nie da nam tyle czasu. Armada z Yandeen zjawi się najdalej po kilku tygodniach, żeby nam go odebrać, a reszta nie pozostanie daleko z tyłu.

- To już nie pani zmartwienie, kapitanie - odparł lodowatym tonem Josen Rael. - Rada Planety dokładnie rozważyła ten problem.

- Nie próbuj naskakiwać na mnie z góry, Josen. Pamiętasz, jak kiedyś naszprycowałeś się jakimś prochami i uparłeś się, że wyjdiesz w przestrzeń, żeby sprawdzić, jak szybko powstają w próżni kryształki moczu? Tylko dzięki mnie nie odmroziłeś sobie wtedy węża, szanowny panie Przewodniczący. Wyczyść swoje cholerne uszy i posłuchaj mnie uważnie: może wojna rzeczywiście nie jest moją sprawą, ale handel na pewno tak. Ten port stanowi dla nas jedyną szansę na przeżycie. Importujemy trzydzieści procent niezbędnych kalorii...

- Trzydzieści cztery procent - poprawił ją Rael.

- Właśnie, trzydzieści cztery - zgodziła się Tolly Mune. - I obydwójce wiemy, że ten udział nie będzie malał, tylko rósł. Płacimy za żywność naszą technologiczną wiedzę i umiejętności. Remontujemy, naprawiamy i budujemy więcej statków kosmicznych niż jakakolwiek planeta w tym sektorze, a wiesz, dzięki czemu? Dzięki temu, że ja stoję na mojej cholерnej głowie i robię wszystko, żebyśmy byli najlepsi! Sam Tuf to powiedział. Przyleciał do nas dlatego, że mamy dobrą reputację - jesteśmy uczciwi, kompetentni, przestrzegamy zasad etyki i znamy się na robocie. Jak sądzisz, co zostanie z naszej reputacji, jeśli skonfiskujemy mu ten jego skubany statek? Ilu jeszcze kupców i handlarzy powierzy nam swoje jednostki, jeżeli rozejdzie się fama, że zabieramy te, które nam się spodobają? Co się stanie z moim cholernym portem, do stu diabłów?

- Rzeczywiście, mogłoby to odnieść niepożądany skutek - przyznał Josen Rael.

Tolly prychnęła pogardliwie.

- Nasza ekonomia zostałaby całkowicie zniszczona! - stwierdziła bez ogródek.

Po wysoko sklepionym, łysym czole Raela płynęły strużki potu. Otarł je wydobytą z kieszeni chusteczką.

- W takim razie musi pani zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło, kapitanie Mune. Musi pani się postarać, żeby nic takiego nie nastąpiło.

- Jak?

- Kupując „Arkę”. Udzielam pani wszelkich pełnomocnictw, bo wygląda na to, że doskonale pani rozumie złożoność sytuacji. Proszę postarać się przekonać tego Tufa. Ponosi pani całkowitą odpowiedzialność za rezultaty swoich działań.

Przewodniczący Rady Planety skinął głową i ekran ściemniał.

Haviland Tuf odgrywał rolę turysty.

Z pewnością nie można było zaprzeczyć, że na swój sposób S'uthlam robił ogromne wrażenie. Podczas wielu lat, jakie Haviland Tuf spędził jako kupiec na pokładzie „Rogu Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, podróżując od gwiazdy do gwiazdy, odwiedził więcej planet, niż był w stanie pamiętać, ale wydawało się mało prawdopodobne, żeby mógł szybko zapomnieć to, co zobaczył tym razem.

Miał już okazję podziwiać wiele widoków zapierających dech w piersi: kryształowe wieże Avalonu, podniebne pajęczyny Arachne, spienione morza Starego Posejdonu, czarne, bazaltowe góry Clegg... Miasto S'uthlam - stare nazwy oznaczały teraz jedynie dzielnice i rejony, bo rozrastające się nieopohamowanie ośrodki miejskie już wiele stuleci temu połączyły się w jedno ogromne megalopolis - mogło równać się z każdym z nich.

Tuf żywił znaczne upodobanie do wysokich budynków, w związku z czym zarówno w dzień, jak i w nocy podziwiał często panoramę miasta z platform obserwacyjnych umieszczonych na wysokości kilometra, dwóch, pięciu, czy nawet dziewięciu. Niezależnie od tego, jak wysoko się znalazł, światła ciągnęły się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Kwadratowe, pozbawione wyrazu czterdzieste- i pięć-dziesięciopiętrowe budynki tłoczyły się jeden przy drugim w nie kończących się rzędach, ukryte w wiecznym cieniu pokrytych błyszczącymi zwierciadłami wież wystrzelających wysoko w niebo, by przechwycić jak najwięcej promieni słońca. Kolejne poziomy wznosiły się niemal w nieskończoność, a ruchome chodniki mijały się i krzyżowały mnóstwo razy, tworząc nieprawdopodobnie skomplikowane, pogmatwane wzory. Pod powierzchnią ziemi znajdowała się gęsta sieć tuneli, którymi mknęły z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę kapsuły zaopatrzeniowe, jeszcze niżej zaś zaczynała się płatanina drążonych coraz głębiej piwnic, korytarzy i

najróżniejszych pomieszczeń, tworząc drugie miasto, sięgające w dół równie daleko, jak wysoko pięło się w niebo to na górze.

Z orbity, skąd Tuf widział światła metropolii, miasto wydawało się obejmować pół kontynentu; oglądane z powierzchni planety sprawiało wrażenie, jakby rozciągało się poza granice Galaktyki. Na S'uthlam znajdowały się również inne kontynenty i one także lśniły w nocy blaskiem cywilizacji. W morzu światła nie było żadnych wysp cienia, gdyż S'uthlamańczycy nie mieli dość miejsca, żeby pozwolić sobie na luksus w rodzaju parków. Tuf nie miał im tego za złe, zawsze uważał parki za perwersyjny pomysł, mający głównie na celu bezustanne przypomnianie cywilizowanej ludzkości, jak niewygodne, niebezpieczne i okrutne było życie wtedy, kiedy wszyscy mieszkali jeszcze na łonie natury.

Podczas swoich rozlicznych wędrówek Haviland Tuf zetknął się z wieloma różnymi kulturami i musiał przyznać, że ta, którą zastał na S'uthlam, nie ustępowała żadnej z wcześniej poznanych. Był to świat pełen oszałamiających możliwości, różnorodny i bogaty, jednocześnie kipiący życiową energią i nurzający się w dekadencji, całkowicie kosmopolityczny, utrzymujący ożywione kontakty z wieloma odległymi planetami, korzystający obficie z produktów kultury obcych ludów, lecz zarazem nie zapominający o rozwoju własnej. Samo miasto oferowało więcej możliwości wypoczynku i rozrywek, niż Tuf kiedykolwiek widział w jednym miejscu; turysta, który zechciałby ze wszystkich skorzystać, bez wątpienia musiałby na to poświęcić kilka lat standardowych.

W ciągu wielu lat spędzonych na bezustannych podróżach Haviland Tuf miał okazję podziwiać wysoko rozwiniętą naukę i techniczną maestrię Avalonu, Newholme, ToberVeil, Starego Posejdonu, Balduru, Arachne i dziesiątków innych planet, kroczących w awangardzie rozwoju ludzkości. S'uthlam dorównywał pod tym względem najbardziej rozwiniętym spośród nich. Już sama orbitalna winda stanowiła nie lada osiągnięcie - podobno w dawnych czasach, jeszcze przed Upadkiem, takie konstrukcje wznoszono na Starej Ziemi, a raz pokuszono się o to na Newholme, gdzie niebotyczna wieża runęła wkrótce podczas wojny. Tuf jeszcze nigdy nie widział na własne oczy równie ogromnej konstrukcji, nawet na Avalonie, gdzie z przyczyn ekonomicznych zrezygnowano z budowy takiej windy. Ruchome chodniki, linie przesyłowe kapsuł zaopatrzeniowych, fabryki - wszystko było nowoczesne i wydajne. Nawet rząd zdawał się funkcjonować bez zarzutu.

S'uthlam był zadziwiającą planetą.

Haviland Tuf przemieszczał się z miejsca na miejsce przez trzy dni i upajał się wszystkimi cudownościami, po czym wrócił do swojego maleńkiego pokoiku pierwszej klasy na siedemdziesiątym dziewiątym piętrze gigantycznego hotelu i wezwał właściciela.

- Pragnę w możliwie krótkim czasie powrócić na mój statek - oświadczył z dłońmi splecionymi na wystającym brzuchu, siedząc na krawędzi wąskiego, wysuwanego ze ściany łóżka.

Właściciel, mały człowieczek sięgający mu za ledwie do pasa, wydawał się bardzo zakłopotany.

- Wydawało mi się, że zamierzasz u nas pozostać jeszcze przez dziesięć dni - powiedział.

- Zgadza się - odparł Tuf. - Jednak plany mają to do siebie, że często ulegają zmianom. Pragnę wrócić na orbitę tak szybko, jak tylko możliwe. Będę panu niezmiernie zobowiązany, jeśli zechce się pan zająć wszystkimi koniecznymi przygotowaniami.

- Nie widziałeś jeszcze tylu rzeczy!

- Zaiste. A jednak wydaje mi się, że to, co widziałem, choćby stanowiło tylko niewielką część całości, w zupełności mi wystarczy.

- Nie podoba ci się S'uthlam?

- Żyje na nim zbyt wielu S'uthlamańczyków - odparł Tuf. - Mogę się pokusić o wymienienie jeszcze kilku wad - dodał, unosząc długi palec. - Jedzenie jest wstrętne, pochodzące niemal całkowicie z chemicznego odzysku, pozbawione jakiegokolwiek smaku, często o niemiłej konsystencji, zabarwione na niezwykle, budzące niemiłe skojarzenia kolory. Muszę także wspomnieć o ciągłej, natrętnej obecności gromady reporterów i dziennikarzy. Nauczyłem się ich rozpoznawać po obiektywach kamer zainstalowanych na ich czołach w charakterze trzeciego oka. Być może pan również ich zauważył, kłębiących się w głównym holu, sensorium i restauracji. Według moich szacunkowych obliczeń jest ich co najmniej dwudziestu.

- Jesteś osobą publiczną, prawdziwą sensacją - wyjaśnił człowieczek. - Cały S'uthlam chciałby jak najwięcej się o tobie dowiedzieć. Mam nadzieję, że reporterzy nie narzucali się, skoro nie wyraziłeś chęci udzielenia wywiadu? Etyka zawodowa...

- Była skrupulatnie przestrzegana - dokończył za niego Haviland Tuf - a także muszę przyznać, że trzymali się ode mnie w pewnym oddaleniu. Niemniej jednak co wieczór, kiedy powracałem do tego zdecydowanie niewystarczająco obszernego pomieszczenia i włączałem wiadomości, miałem okazję oglądać siebie podziwiającego miasto, jedzącego niesmaczne, gumiate potrawy, odwiedzającego przeróżne atrakcje turystyczne, a także wchodzącego do lokali mieszczących urządzenia sanitarne. Nie da się ukryć, iż próżność jest jedną z moich największych wad, lecz mimo to zadowolenie z tak szybko zdobytej popularności szybko

zgasło. W dodatku większość ujęć przedstawiała mnie w nadzwyczaj niekorzystny sposób, poczucie humoru komentatorów łatwo zaś mógłbym uznać za obraźliwe.

- To żaden problem - odparł właściciel. - Powinieneś przyjść do mnie wcześniej. Wypożyczylibyśmy ci emiter sygnałów zwierających im obwody w kamerach. Przypina się go do paska; jak któryś z reporterów się zbliży, kamera przestaje działać, a jego natychmiast zaczyna potwornie boleć głowa.

- Zdecydowanie większy problem stanowi całkowity brak życia zwierzęcego - ciągnął z niewzruszoną miną Tuf.

- Szkodniki?! - wykrzyknął z przerażeniem człowieczek. - Jesteś niezadowolony, że nie mamy żadnych szkodników?

- Nie wszystkie zwierzęta są szkodnikami - wyjaśnił Haviland Tuf. - Na wielu planetach ptaki, psy, a także inne gatunki, cieszą się powszechną sympatią i są trzymane w domach. Ja osobiście bardzo lubię koty. W każdym naprawdę cywilizowanym społeczeństwie jest dla nich odpowiednie miejsce, ale odniosłem wrażenie, iż mieszkańcy S'uthlam nie potrafią dostrzec żadnej różnicy między nimi, a, powiedzmy, wszami i pijawkami. Kiedy zdecydowałem się odwiedzić tę planetę, kapitan Tolly Mune zapewniła mnie, że jej pracownicy zaopiekują się moimi kotami, a ja przyjąłem te zapewnienia za dobrą monetę, lecz teraz, przekonawszy się naocznie o tym, że właściwie żaden S'uthlamańczyk nie miał nigdy do czynienia z przedstawicielem innego gatunku niż ludzki, powziąłem pewne obawy co do jakości tej opieki.

- Oczywiście, że mamy zwierzęta! - zaprotestował właściciel. - W strefach rolniczo-hodowlanych. Całe masy zwierząt, sam widziałem filmy.

- Nie wątpię w to - odparł Tuf. - Chyba jednak zgodzi się pan ze mną, że film przedstawiający kota i żywy kot to dwie całkowicie różne rzeczy, i jako takie wymagają odmiennego traktowania. Filmy można przechowywać na półce. Kotów, niestety, nie. - Wycelował długi palec w małego człowieczka. - To wszystko są jednak drobiazgi. Sedno sprawy, jak już uprzednio wspominałem, leży nie tyle w obyczajach S'uthlamańczyków, co w ich liczbie. Tutaj po prostu jest zbyt dużo ludzi, łaskawy panie. Niemal co chwile byłem przez kogoś potrącany. W pomieszczeniach jadalnych stoły są ustawione zbyt blisko siebie, krzesła są dla mnie za małe, a siedzący obok mnie nieznanymi osobnikami dźgają mnie łokciami. Miejsca w teatrach i sensoriach są wąskie i niewygodne, chodniki zaś wiecznie zatłoczone, podobnie jak korytarze i kapsuły transportowe. Wszędzie dokoła kłębi się masa ludzi, dotykających mnie wbrew mojej woli i przyzwyczajeniom. Na twarzy właściciela pojawił się profesjonalny uśmiech.

- Ach, ludzkość!- wykrzyknął w uniesieniu.- Chwała S'uthlam! Rozkołysane masy, ocean twarzy, nie kończący się korowód, spektakl życia! Czyż może istnieć coś bardziej inspirującego niż otarcie się grzbietem o grzbiet innego człowieka?

- Być może nie - odparł spokojnie Haviland Tuf - ale jeśli chodzi o mnie, to czuję się już wystarczająco zainspirowany. Poza tym pozwolę sobie zauważyć, iż przeciętny S'uthlamańczyk jest zbyt niski, żeby otrzeć się o mój grzbiet, w związku z czym jest zmuszony zadowolić się kontaktem z moimi rękoma, nogami i brzuchem.

Uśmiech zniknął z twarzy człowieka.

- Oceniasz nas z niewłaściwej perspektywy. Żeby w pełni zrozumieć, na czym polega wspaniałość naszej planety, trzeba na nią spojrzeć oczami S'uthlamańczyka.

- Przykro mi, ale nie mam zamiaru pełzać na kolanach - odparł Tuf.

- Chyba nie występujesz przeciwko życiu, prawda?

- Zaiste nie - powiedział Haviland Tuf. - W porównaniu z tym, co stanowi jego przeciwność, życie wydaje mi się znacznie bardziej atrakcyjne. Jednakże z moich doświadczeń wynika jasno, że wszystkie dobre rzeczy, kiedy występują w nadmiarze, stają się nie do zniesienia. Wydaje mi się, że w tym przypadku mam do czynienia właśnie z taką sytuacją. - Uniósł białą dłoń, nakazując właścicielowi milczenie. - W dodatku - mówił dalej - odczułem coś w rodzaju gwałtownej antypatii, bez wątpienia pochopnej i niewystarczająco usprawiedliwionej, wobec kilku osobników, spotkanych podczas mego pobytu na tej planecie, którzy zareagowali na mój widok z otwartą wrogością, obrzucając mnie obraźliwymi epitetami dotyczącymi moich rozmiarów i masy.

- Cóż... - wybąkał człowieczek, rumieniąc się po uszy. - Bardzo mi przykro, ale jesteś, hm, dosyć pokaźnej postury, a na S'uthlam, że tak powiem, nadwaga jest uważana za wykroczenie przeciwko społecznym normom...

- Waga, łaskawy panie, zależy bezpośrednio od siły ciężenia i jako taka może ulegać daleko idącym zmianom. Poza tym nie uważam za stosowne przyznawać panu prawa do oceny mojej wagi, gdyż jest to kwestia bardzo subiektywna i wymykająca się precyzyjnej klasyfikacji. Upodobania estetyczne różnie wyglądają na różnych planetach, podobnie jak genotypy i dziedziczne predyspozycje. Wracając do najważniejszej sprawy: pragnę natychmiast zakończyć mój pobyt na tej planecie.

- Jak sobie życzysz - odparł właściciel. - Zarezerwuję ci miejsce na jutro rano, w pierwszej kapsule.

- To mnie nie zadowala. Chcę wyruszyć jak najprędzej. Zapoznałem się z rozkładem jazdy i znalazłem tam kapsułę wyruszającą w drogę za trzy godziny standardowe.

- Pełna - parsknął właściciel. - Zostały tylko miejsca drugiej i trzeciej klasy.

- Mimo to jestem zdecydowany z niej skorzystać - odparł Haviland Tuf. - Bez wątplenia tak bliski kontakt ze współpasażerami zainspiruje mnie i sprawi, że stanę się lepszym człowiekiem.

Tolly Mune unosiła się w powietrzu w pozycji lotosu i spoglądała z góry na Havilanda Tufa.

W swoim biurze miała specjalne krzesło przeznaczone dla much i dżdżownic nie przyzwyczajonych do nieważkości. Było dość niewygodne, ale miało tę zaletę, że było mocno przykręcone do podłogi i wyposażone w uprzęż przytrzymującą tego, kto zechciał na nim usiąść. Tuf pozełgował do niego z niezgrabnym dostojeństwem i natychmiast przypiął się mocno, Tolly zaś usiadła wygodnie w powietrzu, mniej więcej na wysokości jego głowy. Człowiek tego wzrostu z pewnością nie był przyzwyczajony patrzeć na nikogo z dołu; Tolly Mune doszła do wniosku, że w ten sposób uzyska pewną przewagę psychologiczną.

- Kapitanie Mune - przemówił Tuf, nie okazując niepokoju ani niepewności. - Jestem zmuszony kategorycznie zaprotestować. Rozumiem, że bezustanne określanie mojej osoby mianem „muchy” wynika z barwności miejscowego slangu i nie niesie ze sobą żadnych obraźliwych treści, ale żeby podchwycić tę niezbyt lotną przenośnię, nie mogę nie zareagować na brutalną próbę oderwania mi skrzydełek.

Tolly Mune uśmiechnęła się do niego.

- Przykro mi, Tuf. To ostateczna cena.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Ostateczna. Cóż za interesujące słowo. Gdyby nie to, że jestem onieśmielony faktem przebywania w towarzystwie tak znakomitej osoby, oraz gdyby nie fakt, że żywię głęboką niechęć do obrażania kogokolwiek, odważyłbym się zasugerować, iż ostateczność tej oferty do złudzenia upodabnia ją do ultimatum. Zwykła uprzejmość nakazuje mi powstrzymać się przed użyciem takich określeń, jak chciwość, skąpstwo i kosmiczne piractwo. Nie zawaham się jednak wskazać, że wymieniona kwota pięćdziesięciu milionów kredytek wielokrotnie przewyższa roczny całkowity dochód brutto niejednej planety.

- Małej planety - wpadła mu w słowo Tolly. - A to jest duża robota. Masz cholernie wielki statek.

Tuf zachował kamienny spokój.

- Przyznaję, iż „Arka” jest rzeczywiście dużym statkiem, lecz obawiam się, że w sprawie stanowiącej przedmiot naszego zainteresowania nie ma to większego znaczenia,

chyba że ustalacie swoje honorarium w zależności od powierzchni, nie od liczby przepracowanych godzin.

Tolly parsknęła śmiechem.

- To nie to samo, co wyposażyć jakiś stary frachtowiec w nowe pulsatory albo przeprogramować komputer nawigacyjny. Mówisz o tysiącach roboczogodzin, nawet przy trzech pełnych zespołach pracujących na trzy zmiany, o potwornym wysiłku naszych najlepszych cybertechów i o wyprodukowaniu części nie wytwarzanych od setek lat, a to wszystko dopiero początek. Zanim zacniemy rozbierać to twoje wielgachne muzeum, musimy je najpierw dokładnie poznać, bo jak nie, to nigdy w życiu nie uda nam się go z powrotem złożyć do kupy. Trzeba będzie ściągnąć z powierzchni kilkudziesięciu specjalistów, a kto wie, czy nawet nie spoza naszego systemu. Pomyśl tylko, ile na to trzeba czasu, energii i kalorii! Sama opłata za cumowanie... Przecież to bydlę ma trzydzieści kilometrów długości! Nie można wprowadzić go do sieci. Będziemy musieli obudować go specjalnym dokiem, a nawet wtedy zajmie nam tyle miejsca, ile trzeba by dla trzystu normalnych statków. Nawet nie masz pojęcia, Tuf, jakie to są koszty. - Policzyła coś szybko na kalkulatorze i potrząsnęła głową. - Zakładając optymistycznie, że będziesz tu tylko jeden lokalny miesiąc, samo postojowe wyniesie prawie milion kalorii, czyli ponad trzysta tysięcy kredytek.

- Zaiste - powiedział Haviland Tuf. Tolly Mune rozłożyła bezradnie ręce.

- Jeżeli nie podoba ci się nasza cena, oczywiście możesz zwrócić się do kogoś innego.

- Ta sugestia jest w najwyższym stopniu niepraktyczna - odparł Tuf. - Muszę z żalem stwierdzić, że choć moje wymagania nie są zbyt wielkie, tylko kilka planet dysponuje wystarczającymi możliwościami, żeby im sprostać. Jest to nadzwyczaj smutny fakt, świadczący o obecnym technologicznym ubóstwie ludzkości.

- Tylko kilka planet? - powtórzyła Tolly Mune, unosząc wysoko brwi. - Więc może zbyt nisko wyceniliśmy nasze umiejętności?

- Mam nadzieję, że nie zechce pani wykorzystać mojej naiwnej prostolinijności.

- Nie - odparła krótko. - Jak powiedziałam, to ostateczna cena.

- Wygląda na to, że utknęliśmy w nieprzyjemnym, zagmatwanym impasie. Wystawiliście rachunek, którego ja, obawiam się, nie będę w stanie uiścić.

- Nigdy bym nie przypuszczała. Wydawało mi się, że jak ktoś ma taki statek, to parę kalorii nie stanowi dla niego problemu.

- Bez wątplenia już wkrótce rozpocznę lukratywną karierę inżyniera ekologa, ale na razie jeszcze to nie nastąpiło, co zaś do mojej poprzedniej profesji, to w niedawnym czasie

poniosłem o tyle niespodziewane, co poważne straty finansowe. Może zamiast zapłaty w gotówce zechcielibyście przyjąć znakomite plastikowe kopie cooglijskich masek orgiastycznych? Mogą stanowić niezwykle, inspirujący element ściennych dekoracji, a niektórzy twierdzą, że mają działanie zbliżone do najlepszych afrodyzjaków, które...

- Obawiam się, że nie - przerwała mu Tolly Mune. - Ale wiesz co, Tuf? Masz dzisiaj szczęśliwy dzień.

- Żywię niejasne podejrzenia, że raczy pani. sobie ze mnie żartować, kapitanie Mune - odparł Haviland Tuf. - Nawet jeżeli za chwilę poinformuje mnie pani o nadzwyczajnej, pięćdziesięcioprocentowej bonifikacie albo udzieli mi pani szalenie korzystnego rabatu, to obawiam się, że nie będę mógł z tego skorzystać. Będę z panią brutalnie szczery, kapitanie Mune, i powiem wprost, że w chwili obecnej doskwiera mi dość poważny niedobór środków finansowych.

- Mam na to sposób - oznajmiła Tolly Mune.

- Zaiste.

- Jesteś handlarzem, Tuf. W gruncie rzeczy nie potrzebujesz tak wielkiego statku jak „Arka”, prawda? Poza tym nie masz najmniejszego pojęcia o inżynierii ekologicznej. Ten zabytek do niczego ci się nie przyda, choć, oczywiście, sam w sobie przedstawia pewną wartość. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Pogadałam z paroma ludźmi z dołu. Rada Planety uważa, że byłoby dla ciebie korzystne, gdybyś zechciał sprzedać nam „Arkę”.

- Ich troskliwość jest doprawdy wzruszająca.

- Zapłacimy ci uczciwą cenę - ciągnęła Tolly. - Trzydzieści procent szacunkowej wartości statku.

- Którą sami ustalicie, ma się rozumieć - zauważył Tuf głosem pozbawionym śladu jakichkolwiek emocji.

- Tak, ale to nie wszystko. Oprócz tego dorzucimy jeszcze milion kredytek, a także damy ci nowy statek. Nowiutki jak spod igły Longhaul Dziewięć, największy frachtowiec, jaki produkujemy, z całkowicie zautomatyzowaną kuchnią, kabinami dla sześciu osób, generatorem grawitacji, dwoma promami orbitalnymi, ładowniami wystarczająco dużymi, żeby stanęły koło siebie dwa największe transportowce z Avalonu i Kimdis, potrójnym systemem podtrzymywania życia, najszybszym komputerem serii Smartalec z procesorem mowy, a nawet możliwością zainstalowania uzbrojenia, gdybyś sobie tego życzył. Byłbyś najlepiej wyposażonym niezależnym kupcem w całym sektorze.

- Jestem jak najdalszy od niedoceniań tak wielkiej hojności - odparł Haviland Tuf. - Sama myśl o waszej wielkodusznej ofercie sprawia, że kręci mi się w głowie. Jednak, choć

bez wątpienia na pokładzie tego znakomitego nowego statku, który mi proponujecie, czekałyby na mnie wszystkie możliwe wygody, muszę wyznać, iż zdążyłem już zapalać do „Arki” głupim, irracjonalnym sentymentem. Choć zniszczona i bezużyteczna, jest przecież ostatnią jednostką operacyjną pozostałą po nie istniejącym już Inżynierskim Korpusie Ekologicznym, a tym samym obiektem o nadzwyczajnej wartości historycznej, pomnikiem rozmachu i geniuszu ludzkości, w dalszym ciągu mogącym znaleźć pewne drobne zastosowania. Jakiś czas temu, kiedy przemierzałem samotnie niezmierzone przestrzenie kosmosu, powziąłem postanowienie, żeby porzucić niepewne życie kupca na rzecz profesji inżyniera ekologa. Mimo że była to decyzja pozbawiona wszelkiej logiki i nie opierająca się na żadnych konkretnych przesłankach, zdążyłem się już jednak z nią nieco oswoić, a obawiam się, iż upór stanowi jedną z największych wad mego charakteru. Właśnie dlatego, kapitanie Mune, z najwyższą przykrością muszę odrzucić pani propozycję. Zatrzymam „Arkę” dla siebie.

Tolly Mune rozplatała się z pozycji lotosu, odepchnęła się lekko od sufitu i zawisła głową w dół w ten sposób, że jej twarz znalazła się dokładnie naprzeciwko twarzy Tufa.

- Niech to nagły szlag trafi! - zakłęła, mierząc w niego palcem wskazującym. - Nie mam cierpliwości wyklócać się o każdą cholerną kalorię! Jestem ciężko pracującą kobietą i nie mam czasu ani energii na wasze kupieckie zabawy. Obydwoje wiemy, że prędzej czy później i tak musisz nam go sprzedać, więc załatwmy wszystko od razu. Powiedz, ile chcesz dostać. - Zbliżyła palec do jego twarzy i powtórzyła ostatnie zdanie, po każdym wyrazie dotykając lekko czubka jego nosa. - Powiedz... ile... chcesz... dostać.

Haviland Tuf rozpiął uprząż przytrzymującą go na krześle i odbił się od podłogi. Był tak wielki, że Tolly czuła się przy nim jak karlica - ona, którą przez całe życie nazywano olbrzymką.

- Uprzejmie proszę, aby zechciała pani zaprzestać tej czynnej napaści na moją osobę - powiedział. - Z pewnością nie wywrze ona pozytywnego wpływu na moją decyzję. Obawiam się, że źle mnie pani zrozumiała, kapitanie Mune. Istotnie, byłem kupcem, ale bardzo ubogim, być może dlatego, że nigdy nie opanowałem sztuki targowania się, o co mnie pani mylnie posądza. Moje stanowisko jest ostateczne i nieodwołalne: „Arka” nie jest na sprzedaż.

- Mam dla ciebie sporo szacunku po tych latach spędzonych na górze, a w dodatku nie można zaprzeczyć, że cieszysz się znakomitą opinią - powiedział sucho Josen Raen do specjalnego, zabezpieczonego przed podsłuchem i podglądem nadajnika. - Gdyby nie to, odwołałbym cię bez chwili namysłu. Pozwoliłaś mu wrócić na statek? Jak mogłaś zrobić coś

takiego? Wydawało mi się, że masz więcej oleju w głowie!

- A mnie się wydawało, że jesteś politykiem, Josen - odparła z przekąsem Tolly Mune.

- Pomyśl o wszystkich cholernych konsekwencjach, jakie musielibyśmy ponieść, gdybym kazała ochronie zgarnąć go w środku Pajęcznika! Tuf nie jest trudny do zauważenia, nawet kiedy wsadzi sobie na głowę tę idiotyczną perukę i podróżuje incognito. Wszędzie wokół aż roi się od ludzi z Yandeen, Jazbo, Planety Henry'ego i pięćdziesięciu innych światów, nie spuszcających z oka Tufa i „Arki” i czekających na to, co zrobimy. Jakiś przeklęty agent z Yandeen zdążył się już do niego dobrać w drodze na powierzchnię. Widziano ich w kapsule, pogrążonych w rozmowie.

Przewodniczący Rady Planety skinął markotnie głową.

- Wiem o tym. Mimo to coś powinno... Powinnaś była zatrzymać go w sposób nie wzbudzający podejrzeń...

- A co miałabym z nim potem zrobić, jeśli łaska? - zapytała Tolly Mune. - Zabić i wypchnąć na zewnątrz przez śluzę? Nie zrobię tego, Josen, i niech ci nawet przez myśl nie przejdzie wysłać tu kogoś, kto zrobiłby to za mnie. Jeśli tylko spróbujesz, natychmiast roztrąbię całą sprawę i nie zawaham się wskazać palcem w twoją stronę.

Josen Rael otarł pot z czoła.

- Nie ty jedna masz zasady - powiedział takim tonem, jakby próbował się usprawiedliwić. - Nie miałem zamiaru proponować niczego w tym rodzaju. Mimo to musimy zdobyć ten statek, a teraz, kiedy Tuf wrócił na pokład, nasze zadanie stało się jeszcze trudniejsze. „Arka” w dalszym ciągu dysponuje potężnym uzbrojeniem. Nasi ludzie dokonali kilku obliczeń, z których wyszło czarno na białym, że mogłaby nawet odeprzeć zmasowany atak całej Flotyli Planetarnej.

- Do jasnej cholery, Josen! Przecież on wisi ledwie pięć kilometrów od piątego terminalu! Każdy zmasowany atak, wszystko jedno, przez kogo przeprowadzony, najprawdopodobniej zniszczyłby cały port i zwałił wieżę windy na twoją głupią głowę. Lepiej wstrzymaj siusiu i pozwól mi nad tym popracować. Doprowadzę do tego, że zdecyduje się sprzedać „Arkę”, a w dodatku załatwię to legalnie.

- W porządku - odparł Przewodniczący. - Dam ci jeszcze trochę czasu. Ale ostrzegam cię: Rada śledzi uważnie całe przedsięwzięcie, a jej członkowie stają się coraz bardziej niecierpliwi. Masz trzy dni. Jeżeli do ego czasu Tuf nie podpisze umowy sprzedaży, wyśle oddziały szturmowe.

- Nie obawiaj się - powiedziała Tolly Mune. - Mam pewien plan.

Centrala łączności „Arki” mieściła się w długim, wąskim pomieszczeniu o ścianach pokrytych szeregami pustych, ciemnych ekranów. Haviland Tuf zasiadł tu do pracy w towarzystwie swoich ulubieńców. Furia, niesforna czarno-biała kotka, spała na jego kolanach zwinięta w kłębek, podczas gdy długowłosa, szary Chaos, jeszcze raczej kociak niż dorosły kot, wędrował w tę i z powrotem po szerokich ramionach Tufa, ocierając się za każdym nawrotem o jego kark i mruczając donośnie. Tuf położył splecione dłonie na potężnym brzuchu i czekał cierpliwie na rezultat działań komputerów, wykonujących jego polecenia. Czekał tak już od dłuższego czasu. Kiedy wreszcie na usytuowanym przed nim ekranie ustał taniec geometrycznych kształtów, pojawiła się tam szczupła, sucha twarz dość zaawansowanej wiekiem obywatelki S’uthlam.

- Kurator Planetarnego Banku Informacji - przedstawiła się.

- Jestem Haviland Tuf z „Arki”...

- Widziałam cię w wiadomościach - przerwała mu z uśmiechem. - Czym mogę służyć? - Nagle zamrugła raptownie powiekami. - Uhm... Przepraszam, ale coś łązi ci po karku...

- To kociak, szanowna pani - wyjaśnił Tuf. - Bardzo miły - dodał, wyciągając rękę i drapiąc Chaosa pod brodą. - Chciałbym uzyskać pani pomoc w pewnej drobnej sprawie. Z racji tego, iż jestem bezradnym niewolnikiem własnej ciekawości, zawsze chętnie poszerzającym swoją szczupłą i niewystarczającą wiedzę, zajmowałem się ostatnio studiami nad waszą planetą - jej historią, zwyczajami, folklorem, polityką, strukturą społeczną i innymi podobnymi zagadnieniami. W trakcie tych badań korzystałem ze wszystkich powszechnie dostępnych dzieł i popularnych źródeł informacji, lecz nigdzie nie udało mi się natrafić na jeden dość istotny szczegół. W gruncie rzeczy to prawdziwy drobiazg, który bez wątpienia można odnaleźć w bardzo łatwy sposób, pod warunkiem jednak, że się wie, gdzie należy szukać. Mnie, niestety, nie dane było osiągnąć tej wiedzy. W pogoni za tym okruczem informacji zwróciłem się do Centrum Edukacyjnego S’uthlam i do głównej biblioteki waszej planety, lecz obie te instytucje skierowały mnie do was. Tak więc, oto jestem.

Na twarzy Kuratora pojawił się wyraz głębokiej rezerwy.

- Rozumiem... Zwykle nie udostępniamy naszego banku danych prywatnym osobom, ale może będę mogła zrobić wyjątek. Czego konkretnie szukasz?

Tuf uniósł długi biały palec.

- Zaledwie maleńkiego okruszka informacji, jak już wspomniałem ale byłbym pani niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciała pani łaskawie zaspokoić moją nieposkromioną ciekawość. Dokładnie ile ludności liczy sobie w chwili obecnej S’uthlam?

Twarz kobiety ścięła się w lodowatą maskę.

- To zastrzeżona informacja - oświadczyła krótko. Zaraz potem ekran ściemniał.

Haviland Tuf siedział przez chwilę bez ruchu, a następnie połączył się ponownie z siecią informacyjną, z której usług korzystał.

- Interesuje mnie ogólny przegląd religii planety - oznajmił programowi poszukującemu - a szczególnie opis doktryny i systemu etycznego Kościoła Życia Rozkwitającego.

Kilka godzin później, kiedy Tuf był głęboko pogrążony w lekturze, jedną ręką głaszczący machinalnie Furię, która obudziła się głodna i tryskająca energią, otrzymał od komputera informację, że chce z nim rozmawiać Tolly Mune. Wprowadziwszy do pamięci pokładowego mózgu całość tekstu, wcisnął przycisk i na sąsiednim ekranie pojawiła się jej twarz.

- Kapitanie - powitał ją.

- Właśnie się dowiedziałam, Tuf, że wtykasz nos w nasze najpilniej strzeżone tajemnice - powiedziała z uśmiechem.

- Zapewniam panią, iż nie miałem takiego zamiaru - odparł - ale nawet gdybym miał, to okazałem się bardzo nieudolnym szpiegiem, gdyż moja próba zakończyła się całkowitym niepowodzeniem.

- Zjedzmy razem kolację, a może przy okazji uda mi się zaspokoić twoją ciekawość - zaproponowała Tolly.

- W takim razie, kapitanie, zapraszam panią na pokład „Arki”. Potrawy serwowane z mojej kuchni, choć z pewnością niewymyślne, mają bez wątpienia lepszy smak i bogatszy aromat niż te, które można spożywać w waszym porcie.

- Chyba nie dam rady, Tuf - odparła Tolly Mune. - Mam tyle spraw na głowie, że nie mogę się ani na chwilę stąd ruszyć. Co do jedzenia, możesz się nie niepokoić. Właśnie przyleciał duży frachtowiec z Larderu - jeden z naszych rolniczych asteroidów, położony trochę bliżej słońca od nas, żyzny i wydajny jak cholera. Kapitan portu zawsze załapie się na kilka smakołyków. Świeża sałatka z neotrawy, steki w sosie z brązowego cukru, przyprawy korzenne, chleb grzybowy, galaretka owocowa ze śmietanką z mleka strzykacza, i piwo. - Uśmiechnęła się. - Importowane piwo.

- Chleb grzybowy? - powtórzył Haviland Tuf. - Nie jadam zwierzęcego mięsa, lecz pozostałe składniki wymienionego przez panią menu wydają się nadzwyczaj atrakcyjne. Z chęcią przyjmę pani łaskawe zaproszenie, kapitanie. Gdyby zechciała pani przygotować wolny dok na moje przybycie, niebawem wyruszę moim promem „Mantykora”.

- Zacumuj w doku numer cztery - powiedziała. - To bardzo blisko Pajęcznika. Czy ten kot to Furia czy Chaos?

- Furia - odparł Tuf. - Chaos oddalił się w jakimś tajemniczym, znanym tylko sobie celu, jak to zwykły czynić wszystkie koty.

- Jeszcze nigdy nie widziałam z bliska żywego zwierzęcia - przyznała Tolly.

- Wezmę ze sobą Furię, aby mogła pani nadrobić ten brak.

- W takim razie do zobaczenia - zakończyła rozmowę Tolly Mune.

Jedli przy 1/4 g.

Kryształowa Sala wisiała przyczepiona do spodniej strony Pajęcznika, mieszcząc się we wnętrzu idealnie przejrzystej kopuły z przezroczystej plastostali. Ucztujących gości otaczała głęboka czerń kosmosu usiana niezliczonymi zimnymi gwiazdami oraz biegnące we wszystkie strony, grubsze i cieńsze nici sieci. W dole widać było skalistą powierzchnię asteroidu, poprzecinaną trasami kapsuł transportowych i naznaczoną w wielu miejscach zgrupowaniami kopuł mieszkalnych i strzelistych, luksusowych hoteli, sięgających daleko w lodowatą pustkę. W górze wisiała ogromna, błękitnobrązowa kula S'uthlam, częściowo przesłonięta wirującymi powoli chmurami, na jej tle zaś widać było smukłą wieżę windy orbitalnej, zwężającą się do grubości ledwie dostrzegalnej nici, a wreszcie zupełnie niknącą w oddali. Skala widoku roztaczającego się z wnętrza kopuły była oszałamiająca, a niektórych mogła nawet przyprawić o lekki niepokój.

Salę wykorzystywano głównie podczas ważnych uroczystości państwowych. Została otwarta przed trzema laty, kiedy Josen Rael przybył do Pajęcznika, żeby osobiście powitać jakiegoś dygnitarza. Jednak dla Tolly Mune nie było rzeczy niemożliwych; potrawy przygotował szef kuchni, którego wypożyczyła na ten wieczór z liniowca Transcorpu, piwo pochodziło z ładowni statku lecącego na Planetę Henry'ego, zastawa była na co dzień eksponowana w gablotach Muzeum Historii Planety, przy wielkim mahoniowym stole mogło się swobodnie zmieścić dwanaście osób, obsługę zaś stanowili milczący, dyskretni kelnerzy w czarno-złocistych strojach.

Tuf wkroczył do sali, trzymając w ramionach kota, popatrzył na bogato zastawiony stół, a następnie przeniósł spojrzenie na otaczający ich kosmos.

- Możesz stąd zobaczyć „Arkę” - poinformowała go Tolly Mune. - To ta jasna kropka na górze po lewej stronie, zaraz obok sieci.

Tuf zerknął we wskazanym kierunku.

- Czy to trójwymiarowa projekcja? - zapytał, głaszcząc futro kota.

- Ależ skąd. Wszystko jest prawdziwe. - Uśmiechnęła się. - Nie bój się, nic ci nie grozi. To potrójna warstwa plastostali. Nie zanosi się, żeby spadła na nas wieża windy albo planeta, a szansę na to, żeby w kopułę rąbnął meteor, są astronomicznie małe.

- Widzę, że w porcie panuje dość intensywny ruch - zauważył Haviland Tuf. - Jakie są szansę na to, że w kopułę uderzy jakieś zagubione narzędzie, wypalony pierścień pulsacyjny albo turysta pilotujący wypożyczony skuter próżniowy?

- Większe - przyznała Tolly. - Ale gdyby coś takiego się stało, zaraz pozamykałyby się grodzie, rozdzwoniły dzwonki alarmowe i otworzyły się szafki ze sprzętem ratunkowym. Muszą być w każdym pomieszczeniu graniczącym bezpośrednio z próżnią, takie są przepisy.

Tak więc, nawet gdyby coś takiego się stało, co jest prawie niemożliwe, mielibyśmy kombinezony, butle z tlenem, a nawet palniki laserowe, gdyby przyszła nam ochota wziąć się od razu za naprawę. Przez te wszystkie lata były tylko dwa albo trzy takie wypadki, więc nie się nie bój, tylko podziwiał widok.

- Szanowna pani - odparł z godnością Haviland Tuf. - Ja się nie boję, tylko po prostu jestem ciekaw.

- Oczywiście - zgodziła się natychmiast i zaprosiła go gestem do zajęcia miejsca.

Uczynił to dostojnie i siedział w milczeniu, gładząc czarno-białą sierść Furii, podczas gdy kelnerzy rozstawiali tace z zakąskami i koszyki z gorącym grzybowym chlebem. Były dwa rodzaje zakąsek: drobne ciasteczka z serowo-grzybowym nadzieniem i małe węże, albo też duże robaki, gotowane w aromatycznym pomarańczowym sosie. Tuf dał dwa kotu, który zjadł je ze smakiem, a następnie sam wziął delikatnie w palce ciasteczko, powąchał je i ugryzł kawałek. Połknąwszy pierwszy kęs, skinął głową.

- Wyśmienite - oznajmił.

- A więc to jest kot... - mruknęła Tolly Mune.

- Zaiste - odparł Tuf, odrywając kawałek chleba (kiedy to uczynił, z bochenka buchnęły kłęby gorącej pary) i smarując go grubą warstwą masła.

Tolly również oderwała niewielką porcję, parząc sobie przy tym palce, ale nie cofnęła ręki; postanowiła nie okazywać przed Tufem żadnej słabości.

- Dobre - powiedziała z pełnymi ustami. - Wiesz, Tuf - dodała, przełknąwszy na raz cały kęs - ta kolacja, którą nam podadzą... Większość S'uthlamańczyków nie jada tak dobrze.

- Ten fakt nie uszedł mojej uwagi - odparł Tuf, biorąc z półmiska następnego węża i podając go Furii, która wspięła się prawie do połowy jego ramienia, żeby dosięgnąć przysmaku.

- W gruncie rzeczy - ciągnęła Tolly Mune - wartość kaloryczna tego posiłku równa się

dokładnie temu, co przeciętny obywatel zjada przez cały tydzień.

- Skosztowawszy zaledwie przystawek i chleba, jestem gotów zaryzykować stwierdzenie, iż zaznaliście już więcej smakowych rozkoszy, niż przeciętny S'uthlamańczyk doświadcza przez całe życie - zauważył bezbarwnym głosem Tuf.

Na stole pojawiła się sałatka; Tuf wziął odrobinę do ust i oznajmił, że jest dobra. Tolly Mune grzebała widelcem w swojej porcji, czekając, aż kelnerzy oddalą się na wystarczającą odległość.

- Zdaje się, że chciałeś mnie o coś zapytać - powiedziała wreszcie.

Haviland Tuf podniósł wzrok znad talerza i przyglądał się jej przez chwilę; jego długa, blada twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Słusznie - przyznał po pewnym czasie. Furia również się jej przyglądała zmrużonymi oczami koloru świeżej neotrawy.

- Trzydzieści dziewięć miliardów - powiedziała cicho Tolly suchym, szorstkim głosem.

Tuf mrugnął powiekami.

- Zaiste.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - zapytała go z uśmiechem.

Haviland Tuf spojrzał na wiszącą nad ich głowami kulę S'uthlam.

- Skoro życzy sobie pani ułyszeć moją opinię, kapitanie, to pozwolę sobie zauważyć, że choć widoczna nad nami planeta wydaje się bardzo duża, to nie mogę nie zacząć się zastanawiać, czy jest wystarczająco duża. Daleki jestem od krytykowania waszych zwyczajów, wierzeń i przekonań, muszę jednak wyrazić opinię, iż populacja licząca sobie trzydzieści dziewięć miliardów osób może, po wzięciu pod uwagę wszystkich okoliczności, okazać się nieco zbyt liczna.

Tolly Mune uśmiechnęła się szeroko.

- Co ty powiesz? - Rozparła się wygodnie w fotelu, wezwała kelnera i poleciła przynieść napoje. Piwo było brązowe, z gęstą, aromatyczną pianą. Podawano je w dużych kufiach z rżniętego szkła. Uniosła niezgrabnie swój, obserwując kołyszący się płyn. - Jedyna rzecz, z którą nigdy nie mogę sobie poradzić przy ciążeniu - mruknęła. - Wszystkie płyny powinny być w tubach, do cholery! Te naczynia są takie... niepewne. To jak prowokowanie nieszczęścia. - Pociągnęła łyk, a kiedy odsunęła kufel od ust, na jej wargach pozostał pienisty zarost. - Niezłe - przyznała, ocierając usta wierzchem dłoni. - Pora skończyć te podchody, Tuf - ciągnęła tym samym tonem, odstawiając kufel na stół z przesadną ostrożnością osoby nie przyzwyczajonej nawet do tak małej, symbolicznej grawitacji. - Na pewno podejrzewałeś, że

mamy jakieś kłopoty z przeludnieniem, bo inaczej nie przyszłoby ci do głowy o to pytać. Oprócz tego wchłonąłeś całą masę innych informacji. Po co ci to?

- Ciekawość stanowi moją ogromną wadę, szanowna pani - odparł Tuf. - Pragnąłem jedynie rozwiązać zagadkę, jaką stanowił dla mnie S'uthlam, kierując się jednocześnie ledwie uświadomianą nadzieją, że przy okazji uda mi się natrafić na coś, co pomogłoby nam rozwiązać chwilowy impas, w jakim się znaleźliśmy.

- I co?

- Przed chwilą była pani uprzejma potwierdzić domysły, jakie narodziły się w mojej głowie w związku z liczbą ludności zamieszkującej tę wspaniałą planetę. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Wasze miasta pną się coraz wyżej, gdyż musicie gdzieś pomieścić nowych mieszkańców, jednocześnie rozpaczliwie starając się zachować w nienaruszonym stanie tereny rolnicze. W waszym ogromnym porcie panuje bezustanny ruch, a orbitalna winda pracuje bez chwili przerwy, gdyż nie jesteście w stanie samodzielnie nakarmić całej ludności i musicie importować żywność z odległych światów. Wasi sąsiedzi boją się was, a może nawet nienawidzą, bo kilka wieków temu usiłowaliście rozwiązać swój problem poprzez masową emigrację i aneksję okolicznych planet, i dokonalibyście tego, gdyby nie okrutna wojna. Nie trzymacie domowych zwierząt, gdyż na S'uthlam po prostu nie ma miejsca na żadne inne stworzenia oprócz ludzi, które nie stanowiłyby niezbędnego i zarazem wydajnego ogniwa łańcucha pokarmowego. Ze względu na trwające od wielu stuleci chroniczne niedożywienie jesteście znacznie mniejsi od ludzi zamieszkujących inne planety, a każde następne pokolenie jest drobniejsze i chudsze, będąc zmuszone zaspokoić swój apetyt jeszcze mniejszą ilością kalorii. Bezpośrednią przyczyną tych wszystkich nieszczęść jest nie co innego, jak właśnie przeludnienie.

- Nie wydajesz się nami zachwycony, Tuf - zauważyła Tolly Mune.

- Jestem jak najdalszy od wszelkiego krytycyzmu. Ponad wszelką wątpliwość macie wiele zalet. Jesteście zaradną, zdolną, cywilizowaną, chętną do współpracy i pomysłową rasą, a struktura waszego społeczeństwa, poziom technologii, a przede wszystkim tempo intelektualnego rozwoju są godne najwyższego podziwu.

- Tylko dzięki technologii udało się nam do tej pory ocalić nasze cholerne tyłki - stwierdziła sucho Tolly. - Importujemy trzydzieści cztery procent niezbędnych kalorii, jakieś dwadzieścia uzyskujemy ze skrawków terenów rolniczych, jakie nam jeszcze zostały, a całą resztę produkujemy w fabrykach, z każdym rokiem coraz więcej. Nic dziwnego, bo tylko fabryki przetwarzające ropę na żywność mogą zwiększać produkcję wystarczająco szybko, żebyśmy nadążyli za krzywą wzrostu liczby ludności. Ale i tak mamy z tym cholerny

problem.

- Kończą się wam zapasy ropy naftowej - podsunął Haviland Tuf. - Żebyś wiedział. - Tolly skinęła głową. - Sam wiesz, jak to jest: nieodnawialny surowiec, i w ogóle...

- Bez wątplenia kierownicze gremia planety wiedzą w przybliżeniu, kiedy może wam grozić klęska głodu?

- Za dwadzieścia siedem lat standardowych - odparła. - Mniej więcej, ma się rozumieć. Dane zmieniają się bez przerwy, wraz z różnymi czynnikami. Zanim dopadnie nas głód, możemy mieć wojnę, tak w każdym razie przypuszczają niektórzy eksperci. Albo będziemy mieli jednocześnie głód i wojnę. Tak czy inaczej, zginie masa ludzi. A my jesteśmy cywilizowani, Tuf, sam to powiedziałaś. Tak cholernie cywilizowani, że nigdy byś w to nie uwierzył. Chętni do współpracy, uczciwi, kochający życie, co tylko sobie życzysz. Ale teraz nawet to zaczyna pękać. Warunki w podziemnych miastach stają się coraz gorsze, choć nigdy nie były dobre, a niektórzy z naszych przywódców twierdzą nawet, że zaczęła się tam już wsteczna ewolucja, robiąca z ludzi jakieś przeklęte szkodniki. Wskaźniki morderstw, gwałtów i innych przestępstw rosną z roku na rok. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy zarejestrowano dwa przypadki kanibalizmu. A to dopiero początek. Będzie jeszcze gorzej, w miarę wzrostu tej przeklętej krzywej. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Tuf?

- Zaiste - odparł beznamiętnym tonem.

Kelnerzy wnieśli główne dania. Na półmiskach piętrzyły się gorące plastry mięsa, a w salaterkach leżały cztery rodzaje jarzyn. Haviland Tuf pozwolił, by nałożono mu na talerz obfitą porcję każdego z nich, po czym poprosił, żeby kelner ukroił dla Furii cztery cienkie plasterki szynki. Tolly Mune wzięła sobie najgrubszy kawałek i poliała go brązowym sosem, ale po przełknięciu pierwszego kęsa przekonała się, że właściwie nie ma apetytu, więc ograniczyła się do obserwowania jedzącego Tufa.

- No więc? - ponagliła go.

- Być może mógłbym wam oddać drobną przysługę - rzucił niezobowiązująco Tuf, zręcznie przenosząc do ust widelec ze smakowitą zawartością.

- Mógłbyś nam oddać ogromną przysługę - poprawiła go Tolly Mune. - Sprzedaj nam „Arkę”. To jedyne wyjście, Tuf. Ty o tym wiesz i ja o tym wiem. Powiedz, ile chcesz za nią dostać. Odwołuję się do twojego cholernego poczucia moralności. Sprzedaj, a ocalisz miliony, może nawet miliardy istnień ludzkich. Staniesz się nie tylko bogaty, ale zostaniesz bohaterem. Powiedz jedno słowo, a nazwiemy tę głupią planetę twoim imieniem.

- Interesująca propozycja - zauważył Tuf. - Mimo to, odkładając na bok moją próżność, obawiam się, że znacznie pani przecenia możliwości starożytnego Inżynierskiego

Korpusu Ekologicznego. Tak czy inaczej, „Arka” nie jest na sprzedaż, o czym zdążyłem już panią poinformować. Czy wolno mi jednak zaproponować oczywisty sposób rozwiązania waszych problemów? Jeśli okazałby się skuteczny, byłbym zachwycony i w pełni usatysfakcjonowany, gdyby moje imię zostało nadane jakiemuś miastu lub niewielkiemu asteroidowi.

Tolly parsknęła śmiechem i pociągnęła spory łyk piwa. Potrzebowała tego jak jeszcze nigdy w życiu.

- Dawaj, Tuf. Oświeć mnie, jaki to oczywisty, prosty sposób.

- W tym momencie przychodzi mi na myśl cała plejada najróżniejszych nazw i określeń. Najbliższe sedna sprawy jest „ograniczenie przyrostu ludności”, osiągnięte dzięki mechanicznej lub biochemicznej kontroli urodzeń, abstynencji seksualnej, odpowiedniej propagandzie albo zakazom prawnym. Mechanizmy mogą być różnorodne, lecz skutek ten sam: S’uthlamańczycy muszą się rozmnażać w cokolwiek wolniejszym tempie.

- To niemożliwe - odparła krótko Tolly Mune.

- Nie wydaje mi się - zaproponował Haviland Tuf. - Wielu innym planetom, nawet znacznie starszym od waszej, udało się osiągnąć ten rezultat.

- To o niczym nie świadczy, do cholery! - Wykonała gwałtowny ruch ręką, w której trzymała kufel, wylewając na stół część jego zawartości, ale nie zwróciła na to uwagi. - Nie wymyśliłeś nic nowego, Tuf. To nie jest żaden odkrywczy pomysł. Mamy na dole partię, która optuje za takim rozwiązaniem już od dobrych paruset lat. Nazywamy ich zeroistami, bo chcą wyzerować krzywą przyrostu ludności. Wydaje mi się, że popiera ich siedem, może osiem procent społeczeństwa.

- Powszechny głód z pewnością spowoduje gwałtowne zwiększenie liczby ich zwolenników - zauważył Tuf, przenosząc do ust kolejny załadowany widelec. Furia miauknęła z aprobatą.

- Wtedy będzie już za późno i ty o tym doskonale wiesz. Problem polega na tym, że masy kłębiące się tam, w dole, nie wierzą w istnienie żadnego niebezpieczeństwa, bez względu na to, co mówią politycy i jak dużo ponurych przepowiedni nadaje się codziennie w wiadomościach. „Słyszeliśmy to już wcześniej”, mówią, i niech mnie szlag trafi, jeśli nie mają racji. Ich babki i pradziadkowie bez przerwy musieli słuchać o tym, że głód jest tuż-tuż za rogiem, ale do tej pory zawsze jakoś udawało się uniknąć katastrofy. Technokraci od kilkuset lat utrzymują się u władzy wyłącznie dzięki temu, że ciągle udaje im się odsuwać nieszczęście w przyszłość. Za każdym razem znajdowali jakieś rozwiązanie i większość ludzi jest święcie przekonana, że tak będzie zawsze.

- Rozwiązania, o których pani wspomniała, z samej swojej natury jedynie odraczały termin egzekucji, ale jej nie anulowały - powiedział Haviland Tuf. - Mam wrażenie, że jest to oczywiste. Jedynym prawdziwym rozwiązaniem jest wprowadzenie kontroli przyrostu naturalnego.

- Nic nie rozumiesz, Tuf. Kontrola urodzeń to dla większości S'uthlamańczyków prawdziwa anatema. Nigdy nie uda się do tego przekonać wystarczającej liczby ludzi, a już na pewno nie po to, żeby uchronić ich przed jakąś cholerną katastrofą, w którą i tak nikt z nich nie wierzy. Próbowano już tego paru wyjątkowo głupich polityków-idealistów. Zniszczono ich niemal z dnia na dzień, ogłaszając niemoralnymi, występującymi przeciwko życiu zbirami.

- Rozumiem - odparł Haviland Tuf. - Czy jest pani osobą o głębokich przekonaniach religijnych, kapitanie Mune? Tolly skrzywiła się i pociągnęła kolejny łyk piwa.

- Do licha, nie. Wydaje mi się, że jestem agnostyczką. Zresztą, nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale jestem też zeroistką, choć tam, na dole, nigdy bym się do tego nie przyznała. Cała masa pajęczarzy jest zeroistami. W takim małym, zamkniętym systemie, jakim jest port, rezultaty nieograniczonego rozmnażania nie każą na siebie długo czekać. Widać je gołym okiem, a od tego, co widać, włosy jeżą się na głowie. Na dole wcale nie jest to takie cholernie oczywiste. W dodatku Kościół... Słyszałeś o Kościele Życia Rozkwitającego?

- W ostatnim czasie udało mi się pobieżnie zaznajomić z głoszonymi przez niego naukami - odparł Tuf.

- S'uthlam został skolonizowany przez wyznawców Kościoła - wyjaśniła Tolly Mune.
- Uciekali przed prześladowaniami na Tarze, a byli tam prześladowani, bo rozmnażali się tak cholernie szybko, że w krótkim czasie mogli opanować całą planetę, co nie podobało się pozostałym jej mieszkańcom.

- Jestem w stanie ich zrozumieć - oznajmił Tuf.

- Dokładnie to samo doprowadziło kilkaset lat temu do klęski programu kolonizacyjnego rozpoczętego przez ekspansjonistów. Kościół uważa, że przeznaczeniem rozumnego życia jest rozprzestrzeniać się po całym wszechświecie i że życie jako takie stanowi ostateczne dobro, antyżycie zaś, czyli entropia, jest złem. Życie i antyżycie bez przerwy ścigają się ze sobą. Musimy się bezustannie rozwijać, twierdzi Kościół, żeby wspinając się na coraz wyższe poziomy intelektu, osiągnąć wreszcie boskość, a musimy to zrobić wystarczająco prędko, by zdążyć przed ciepłą śmiercią wszechświata. Ponieważ podstawowym narzędziem działania ewolucji jest biologiczny mechanizm rozmnażania, musimy się wciąż rozmnażać, wzbogacając garnitur genowy i niosąc nasze nasienie do coraz

to nowych gwiazd. Wprowadzając kontrolę urodzeń, moglibyśmy uniemożliwić ludzkości osiągnięcie kolejnego stopnia rozwoju, nie dopuszczając do przyjścia na świat tego jednego, jedyne go nosiciela nowego, zmutowanego genu, dzięki któremu cały gatunek dokonałby następnego kroku na drodze ku doskonałości.

- Odnoszę wrażenie, że pojmuję już podstawowe zasady tego credo - powiedział Haviland Tuf.

- Jesteśmy wolnymi ludźmi, Tuf - ciągnęła Tolly. - Wolność wyznania, swoboda wyboru i tak dalej... Mamy Erikanerów, Starych Chrystów, Dzieci Snu, obozy Stalowych Aniołów i komuny Melderów - wszystko, czego tylko chcesz. Mimo to w dalszym ciągu ponad osiemdziesiąt procent ludności należy do Kościoła Życia Rozkwitającego i wierzy w jego nauki chyba jeszcze mocniej niż kiedykolwiek do tej pory. Wystarczy, że rozejrzą się dookoła i widzą oczywiste dowody słuszności nauk ich Kościoła. Tam, gdzie są miliardy ludzi, muszą być miliony geniuszy, a tym samym istnieje potrzeba rywalizacji i dążenia do osiągnięcia jak najlepszych wyników. Nic dziwnego, że S'uthlam osiągnął tak wysoki poziom rozwoju technologicznego. Ludzie widzą miasta, orbitalną windę, widzą gości przylatujących z dziesiątków planet, żeby nas podziwiać, widzą, jak przyćmiewamy wszystkich sąsiadów, ale za cholerę nie mogą zauważyć zbliżającej się katastrofy. Na dodatek zwierzchnicy Kościoła zapewniają ich, że wszystko jest w porządku, więc niby dlaczego, do stu tysięcy piorunów, mieliby przestać się rozmnażać? - Rąbnęła pięścią w stół. - Ej, ty! - zawołała na kelnera. - Przynieś jeszcze piwa. Tylko szybko! - Odwróciła się z powrotem do Tufa. - Więc lepiej daruj sobie te naiwne propozycje. W naszej sytuacji nie ma nawet mowy o wprowadzeniu kontroli przyrostu naturalnego. To niemożliwe, Tuf, rozumiesz? Po prostu niemożliwe.

- Nie ma potrzeby, żeby podawała pani w wątpliwość moją inteligencję, kapitanie - odparł Haviland Tuf, głaszcząc delikatnie Furię, która ułożyła się w jego objęciach, nasyciwszy się szynką. - Rozpaczliwa sytuacja S'uthlam poruszyła moje serce. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby oddalić od waszej planety widmo zagłady.

- A więc sprzedasz nam „Arkę”? - zapytała ostro Tolly.

- To przypuszczenie nie opiera się na żadnych realnych podstawach - poinformował ją Tuf - niemniej jednak z pewnością postaram się zrobić maksymalny użytek z moich umiejętności inżyniera ekologa, zanim udam się w dalszą wędrowkę.

Kelnerzy przynieśli deser - błękitnozieloną galaretkę z gęstą, białą śmietaną z mleka strzykacza. Zwiertrzywszy smakowity zapach, Furia wskoczyła miękko na stół w celu przeprowadzenia dokładnego rekonesansu, natomiast Haviland Tuf uniósł długą srebrną łyżeczkę.

Tolly potrząsnęła głową.

- Zabierzcie to! - prychnęła. - Za dużo tego dla mnie. Tylko piwo. Tuf podniósł mały palec.

- Chwileczkę! Nie ma potrzeby, żeby pani porcja tych specjalów została zmarnowana. Furia z pewnością doceni jej zalety smakowe.

Kapitan Portu S'uthlam skrzywiła się, pociągawszy łyk piwa z nowego kufła.

- Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia, Tuf. Mamy tu poważny kryzys i musimy dostać ten statek. To twoja ostatnia szansa. Sprzedasz go?

Haviland Tuf długo wpatrywał się w nią w milczeniu, podczas gdy Furia pałaszowała ze smakiem deser.

- Moja decyzja pozostanie nie zmieniona - oświadczył wreszcie.

- W takim razie bardzo mi przykro - odparła Tolly Mune. - Nie chciałam do tego doprowadzić. - Strzeliła palcami.

W całkowitej ciszy, wypełnionej jedynie mlaskaniem Furii pochłoniętej zlizywaniem śmietany, suchy odgłos zabrzmiał jak huk wystrzału. Stojący pod kryształowo przejrzystymi ścianami kelnerzy sięgnęli pod swoje czarno-złociste marynarki i wyciągnęli paralizatory.

Tuf zamrugał raptownie, po czym odwrócił głowę najpierw w lewą, a potem w prawą stronę, przypatrując się otaczającym go mężczyznom. Furia dotarła już do galaretki.

- Zdrada - oznajmił głuchym tonem. - Jestem niemile zaskoczony. W perfidny sposób nadużyto mego zaufania i naiwności.

- Sam mnie do tego zmusiłeś, przeklęty głupcze!

- Ta potwarz jedynie podkreśla rozmiary zdrady, ale jej nie usprawiedliwia - odparł Tuf, w dalszym ciągu trzymając w uniesionej dłoni srebrną łyżeczkę. - Czy zostanę podstępnie i w okrutny sposób zgładzony?

- Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, do cholery! - warknęła Tolly, wściekła na Tufa, na Josena Raela, na przekłety Kościół Życia Rozkwitającego, a przede wszystkim na siebie, za to, że do tego dopuściła. - Nikt cię nie zabije. Nawet nie ukradniemy ci tej cholernej muzealnej skorupy, na której ci tak bardzo zależy. To wszystko jest legalne, Tuf. Zostałeś aresztowany.

- Zaiste - odrzekł Tuf. - Skoro tak, to się poddam. Zawsze staram się ze wszystkich sił podporządkowywać wszelkim miejscowym prawom. Pod jakim zarzutem będę sądzony?

Tolly Mune uśmiechnęła się bez cienia wesołości, zdając sobie doskonale sprawę, że tego wieczoru w Pajęczniku znowu wszyscy będą ją nazywać Stalową Wdową. Wskazała ruchem głowy na przeciwny koniec stołu, gdzie siedziała Furia, wylizując sobie starannie

wąsy.

- Za nielegalne sprowadzenie szkodnika do Portu S'uthlam - oznajmiła.

Tuf odłożył starannie łyżeczkę i splótł dłonie na brzuchu.

- Wydaje mi się, że przywiozłem ze sobą Furię na pani osobiste życzenie.

Potrząsnęła głową.

- To nie przejdzie, Tuf. Mam nagraną naszą rozmowę. To prawda, powiedziałam, że jeszcze nigdy nie widziałam z bliska żywego zwierzęcia, ale to tylko zwykłe stwierdzenie faktu. Żaden sąd nie uzna tego za zachętę do naruszenia przepisów obowiązujących w Porcie. W każdym razie na pewno żaden nasz sąd. - Jej uśmiech stał się niemal przepraszający.

- Rozumiem - mruknął Haviland Tuf. - Wobec tego proponuję, abyśmy zrezygnowali z czasochłonnych czynności prawnych. Jestem gotów uznać się za winnego i uiścić pieniężną karę przewidzianą w przepisach za tego typu wykroczenie.

- Znakomicie - odparła Tolly. - Kara wynosi pięćdziesiąt kredytek. - Dała znak ręką i jeden z kelnerów zdjął ze stołu oblizującą się Furię. - Ma się rozumieć - dodała - nielegalnie przywieziony szkodnik musi ulec zniszczeniu.

- Nienawidzę ciężenia - powiedziała Tolly Mune do uśmiechniętego, wypełniającego cały ekran oblicza Josena Raela, kiedy już zdała mu szczegółową relację z przebiegu kolacji. - Męczy mnie, a poza tym boję się myśleć, co wyrabia z moimi mięśniami i organami wewnętrznymi. Jak wy, dżdżownice, możecie żyć w takich warunkach? A do tego to cholerne żarcie! Mówię ci, jak to wyglądało, kiedy zostawiał nie dokończone porcje... A te zapachy!..

- Wydaje mi się, że mamy ważniejsze sprawy do omówienia - przerwał jej Rael. - Więc jak w końcu, udało się? Mamy go?

- Mam jego kota - odparła ponuro. - To znaczy ja mam jego cholernego kota.

Jakby rozumiejąc, że o niej mowa, Furia miauknęła donośnie, przyciskając pyszczek do prętów klatki z plastostali, zmontowanej w kącie pomieszczenia. Miauczała głośno i często; wyglądało na to, że nie czuje się dobrze w stanie nieważkości, bo przy każdym ruchu kręciła się bezradnie w powietrzu, nie mogąc zapanować nad swoim ciałem. Za każdym razem, kiedy kot wpadał na pręty, Tolly Mune krzywiła się boleśnie.

- Byłam pewna, że sprzeda „Arkę”, żeby ocalić to przekłete zwierzę.

Uśmiech zniknął z twarzy Raela, ustępując miejsca wyrazowi niepokoju.

- Nie jestem pewien, czy mogę pochwalić twój plan. Dlaczego ktokolwiek miałby poświęcać statek tej wartości co „Arka”, żeby ocalić pojedynczy egzemplarz jakiegoś zwierzęcia? Tym bardziej jeśli, jak mówisz, ma jeszcze kilka sztuk tego samego gatunku?

- Dlatego że jest emocjonalnie związany właśnie z tym egzemplarzem - odparła z głębokim westchnieniem Tolly Mune. - Tyle, że Tuf okazał się sprytniejszy, niż myślałam. Domyślił się, że blefuję.

- W takim razie zniszcz tego szkodnika! Udowodnij mu, że nie rzucamy słów na wiatr!

- Daj spokój, Josen! - prychnęła niecierpliwie. - I co nam to da, twoim zdaniem? Jeżeli utrupię tego cholernego kota, zostaniemy z pustymi rękoma. Tuf doskonale o tym wie i wie, że ja o tym wiem, a także wie, że ja wiem, że on wie. W tej chwili przynajmniej mamy coś, na czym mu zależy. Doprowadziliśmy do sytuacji patowej.

- Może zmienimy prawo - zaproponował Rael. - Zaczekaj, niech no chwilę pomyślę... Tak, karą za nielegalne sprowadzenie szkodnika do Portu będzie natychmiastowa konfiskata narzędzia przestępstwa, czyli statku, na którym dokonano przemytu!

- Znakomite posunięcie - mruknęła z przekąsem Tolly Mune. - Jaka szkoda, że prawo nie może działać wstecz.

- Proszę bardzo, możesz zaproponować coś lepszego.

- Na razie nic nie wymyśliłam, Josen. Ale wymyślę, możesz być pewien. Przekonam go albo wykiwam, musi się udać. Znamy jego słabości: jedzenie, koty... Może odkryjemy coś jeszcze, coś, co będziemy mogli wykorzystać. Jakies poczucie winy, libido, skłonność do alkoholu albo hazardu... - Umilkła na chwilę, pogrążona w myślach. - Hazard - powtórzyła. - Racja. Sam powiedział, że lubi gry. - Wycelowała palec w ekran. - Trzymaj się od tego z daleka, Josen. Dałeś mi trzy dni, więc czas jeszcze nie minął. Wstrzymaj siusiu i czekaj cierpliwie.

Przyciśnięciem guzika usunęła z ekranu jego twarz, zastępując ją widokiem kosmosu, z „Arką” unoszącą się nieruchomo na tle świecących stałym blaskiem gwiazd.

Kot chyba rozpoznał kształt widoczny na ekranie, bo wydał płaczący, żalony odgłos. Tolly Mune spojrzała na niego, zmarszczyła brwi, po czym połączyła się z Centrum Bezpieczeństwa Portu.

- Gdzie jest Tuf? - warknęła.

- W salonie gier Hotelu Widokowego, Mamo - odparła kobieta pełniąca służbę.

- Hotel Widokowy? - jęknęła Tolly. - Jakże inaczej, oczywiście wybrał ten cholerny pałac dla dżdżownic... Ile tam jest, l g? Zresztą, nieważne. Dopilnujcie tylko, żeby się stamtąd nie ruszył. Już tam jadę.

Zastała go grającego w trójwymiarowe domino w towarzystwie kilku podstarzałych

dżdżownic, cybertecha, którego kilka tygodni temu osobiście przesłuchiwała w sprawie tajemniczych włamań do systemu komputerowego, oraz tłustego agenta handlowego z Jazbo, o twarzy jak księżyc w pełni. Sądząc z ilości piętrzących się przed nim żetonów, Tuf zdecydowanie wygrał. Tolly pstryknęła palcami i jedna z hostess przyniosła jej krzesło. Tolly Mune usiadła obok Tufa i dotknęła lekko jego ramienia.

- Tuf... - powiedziała.

Spojrzał na nią, po czym odsunął się o kilka centymetrów.

- Uprzejmie panią proszę, kapitanie Mune, aby zechciała pani powstrzymać się od dotykania mojej osoby.

Cofnęła rękę.

- Co robisz? - zapytała.

- W chwili obecnej realizuję w rozgrywce z agentem Dezem interesujący strategem mego pomysłu. Obawiam się, iż może okazać się nieskuteczny, ale zobaczymy. W bardziej ogólnym sensie natomiast usiłuję zyskać kilka nędznych kredytek, korzystając z osiągnięć analizy statystycznej i psychologii stosowanej. S'uthlam z całą pewnością nie należy do najtańszych planet, kapitanie Mune.

Długowłosy Jazbota o twarzy pokrytej gęstą siecią blizn świadczących o jego wysokiej pozycji społecznej roześmiał się chrapliwie, prezentując garnitur czarnych, lśniących zębów inkrustowanych małymi rubinami.

- Dostawiam, Tuf- oznajmił, wciskając przycisk zapalający wydłużony sześcian w polu gry.

Tuf nachylił się nad stołem.

- Zaiste - powiedział, po czym wykonał oszczędny ruch długim, białym palcem. - Obawiam się, że pan przegrał. Mój eksperyment zakończył się sukcesem, aczkolwiek nie wątpię, iż stało się tak wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

- Niech szlag trafi ciebie i twoje szczęście! - ryknął Jazbota, podnosząc się niepewnie z krzesła. Kolejne żetony uzupełniły stos piętrzący się na stole przed Tufem.

- Dobrze grasz, Tuf - stwierdziła Tolly Mune. - Ale to nic ci nie da. Jedynym, który naprawdę wygrywa, jest zawsze właściciel kasyna. Nigdy nie uda ci się w ten sposób zdobyć potrzebnych pieniędzy.

- Nie jestem nieświadom tego faktu - odparł Haviland Tuf.

- Może byśmy trochę porozmawiali?

- Wydaje mi się, że właśnie w tej chwili jesteśmy pogrążeni w rozmowie.

- Chodzi mi o rozmowę na osobności.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy na osobności zostałem osaczony przez ludzi uzbrojonych w paralizatory, kilkakrotnie werbalnie znieważony, okrutnie oszukany, pozbawiony towarzystwa ulubionego kompana, a także możliwości spokojnego spożycia deseru. Jeśli mam być szczery, nie pałam zbyt dużą chęcią przyjęcia kolejnego zaproszenia.

- Postawię ci drinka - zaproponowała Tolly Mune.

- Bardzo proszę.

Tuf podniósł się dostojnie z miejsca, zgarnął swoje żetony i pożegnał się z pozostałymi graczami. We dwójkę skierowali się do przytulnego boksu po drugiej stronie sali; Tolly sapała nieco, uginając się pod ciężarem swego ciała. Dotarłszy do maleńkiego pomieszczenia, zamówiła dwa mrożone narkodrinki i zasunęła nieprzejrzystą zasłonę.

- Konsumpcja trunków zawierających środki narkotyczne nie wpłynie w najmniejszym stopniu na moją zdolność podejmowania decyzji, kapitanie Mune - poinformował ją Tuf. - Choć jestem gotów przyjąć pani zaproszenie jako chęć przynajmniej częściowego zadośćuczynienia za wcześniejsze barbarzyńskie naruszenie ogólnie przyjętych zasad gościnności, moje stanowisko pozostaje nie zmienione.

- Czego ty właściwie chcesz, Tuf? - zapytała go ze znużeniem, kiedy przyniesiono im napoje. W wysokich, oszronionych szklankach znajdowała się kobaltowa ciecz.

- Jak większość przedstawicieli naszego gatunku, mam wiele pragnień. Obecnie najsilniejszym z nich jest chęć możliwie szybkiego odzyskania Furii.

- Już ci mówiłam: wymienię kota za statek.

- Omawialiśmy tę propozycję, a ja odrzuciłem ją jako niemożliwą do przyjęcia. Czy musimy do tego wracać?

- Mam nowy argument.

- Zaiste. - Tuf podniósł szklankę do ust.

- Zastanów się nad prawem własności, Tuf. Z jakiej racji jesteś właścicielem „Arki”? Zbudowałeś ją? Odegrałeś jakąś rolę przy jej powstawaniu? Za cholerę, nie!

- Znalazłem ją - odparł Haviland Tuf. - Co prawda dokonałem tego odkrycia w towarzystwie jeszcze pięciu osób i nie mogę zaprzeczyć, że niektóre z nich miały w tym nieco większy udział ode mnie, ale teraz wszystkie one są już martwe, ja natomiast żyję. Chyba przyzna pani, kapitanie, że stawia mnie to w uprzywilejowanej sytuacji. Co więcej, w obecnej chwili obiekt mogący być przedmiotem ewentualnego sporu znajduje się w moim posiadaniu. W wielu systemach etycznych posiadanie stanowi klucz do własności.

- Ale są też planety, gdzie wszystko, co posiada jakąkolwiek wartość, należy do państwa. Tam zabraliby ci twój statek, zanim zdążyłbyś mrugnąć okiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę i dlatego właśnie unikałem tych planet, wybierając cel podróży - poinformował ją Tuf.

- Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zająć go siłą. Siła też czasem decyduje o własności, nie uważasz?

- To prawda, że dysponujecie kohortą lojalnych i groźnych sług uzbrojonych w paralizatory i lasery, podczas gdy ja jestem zaledwie samotnym, skromnym kupcem i początkującym inżynierem ekologiem, któremu towarzyszą tylko łagodne koty, ale i ja mam w zanadrzu pewne środki. Teoretycznie jest całkiem możliwe, żebym zaprogramował system obronny „Arki” w taki sposób, że atak, o którym była pani łaskawa wspomnieć, okazałby się znacznie trudniejszy do przeprowadzenia, niżby to się mogło wydawać. Ma się rozumieć, iż taka ewentualność jest czysto hipotetyczna, lecz na pani miejscu wolałbym jednak starannie ją rozważyć. Zresztą, w świetle prawa obowiązującego na S’uthlam tego typu brutalna militarna akcja byłaby całkowicie nielegalna.

Tolly Mune westchnęła ciężko.

- W niektórych cywilizacjach uważa się, że właścicielem przedmiotu powinien być ten, kto umie znaleźć dla niego jakiś użytek. W jeszcze innych, że ten, kto go najbardziej potrzebuje.

- Żadna z tych doktryn nie jest mi zupełnie obca.

- To dobrze. S’uthlam potrzebuje „Arki” bardziej od ciebie, Tuf.

- Myli się pani, kapitanie. Ja potrzebuję „Arki”, by uprawiać nowo wybrany zawód i zarabiać w ten sposób na życie. Wasza planeta nie potrzebuje jej jako takiej, tylko porady, a być może także działań inżyniera ekologa. Właśnie dlatego zaproponowałem wam moje usługi, lecz moja hojna oferta została odrzucona i uznana za niewystarczającą.

- Chodzi o możliwości wykorzystania - wtrąciła się Tolly. - Mamy na pęczki genialnych naukowców, a ty sam przyznałeś, że jesteś tylko zwyczajnym kupcem. My potrafimy lepiej ją wykorzystać.

- Wasi genialni naukowcy są w większości specjalistami w dziedzinie fizyki, chemii, cybernetyki i innych, pokrewnych gałęziach wiedzy. Jeżeli chodzi o biologię, genetykę czy ekologię, to S’uthlam pozostaje dość daleko w tyle za innymi planetami. To oczywiste, bo gdyby tak nie było, to po pierwsze, nie potrzebowalibyście tak pilnie usług „Arki”, a po drugie, nie pozwolilibyście, aby wasze problemy osiągnęły obecne, monstrialne rozmiary. Z tych właśnie względów pozwalam sobie wątpić w pani zapewnienia, że wasi ludzie będą potrafili wykorzystać statek bardziej efektywnie ode mnie. Od pierwszej chwili, kiedy postawiłem stopę na pokładzie „Arki” i wyruszyłem w podróż na S’uthlam, pogrzyłem się w

intensywnych studiach i teraz mogę sobie pozwolić na pozornie śmiało stwierdzenie, iż jestem obecnie najlepiej przygotowanym inżynierem ekologiem w znanym ludzkości kosmosie, może z wyłączeniem Prometeusza.

Na długiej, bladej twarzy Havilanda Tufa nie malowały się żadne uczucia. Starannie formułował stwierdzenia i odpalał je z zimną krwią kolejnymi salwami, ale Tolly wyczuwała instynktownie, że pod tą nieprzeniknioną fasadą kryje się jakaś słabość - zarozumiałość, duma lub próżność - którą powinno jej się udać wykorzystać na swoją korzyść. Raptownie wycelowała palec w jego twarz.

- To tylko słowa, Tuf, cholerne, puste słowa. Możesz twierdzić, że jesteś inżynierem ekologiem, ale to nic nie znaczy. Możesz nawet nazwać się galaretką owocową, ale będziesz cholernie głupio wyglądał z wiadrem śmietany na głowie.

- Zaiste - przyznał bez większych oporów.

- Jestem gotowa się założyć - ciągnęła, zmierzając szybko do celu - że nie masz najmniejszego pojęcia, jak wykorzystać ten twój przeklęty statek.

Haviland Tuf zamrugnął powiekami i położył na stole splecione dłonie.

- To bardzo interesująca propozycja - powiedział. - Proszę kontynuować, kapitanie.

Tolly uśmiechnęła się przebiegle.

- Kot przeciwko statkowi - oświadczyła. - Wytłumaczyłam ci, na czym polega nasz problem. Jeśli go rozwiązesz, dostaniesz Furię z powrotem, całą i zdrową. Jeśli ci się nie uda, oddasz nam „Arkę”.

Tuf uniósł palec na znak protestu.

- Pozwolę sobie zwrócić pani uwagę na wady tej koncepcji. Choć zadanie jest nadzwyczaj trudne, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się go podjąć, gdyby niejedno małe „ale”. Otóż zarówno „Arka”, jak i Furia należą do mnie, choć pani osobiście zechciała bezwzględnie, aczkolwiek podobno zgodnie z prawem, odebrać mi tę drugą. Tym samym wszystko wskazuje na to, że wygrywając zakład, odzyskam jedynie to, co i tak prawnie mi się należy, podczas gdy wy możecie w razie zwycięstwa zdobyć nadzwyczaj cenną nagrodę. Z przykrością muszę stwierdzić, że jest to nie do przyjęcia. Mam natomiast kontrofertę: jak pani wiadomo, kapitanie, przybyłem na S’uthlam w celu dokonania pewnych napraw i modyfikacji. Proponuję, aby w przypadku mego zwycięstwa wszystkie te prace zostały wykonane bez obciążania mnie jakimikolwiek kosztami.

Tolly Mune podniosła do ust szklankę z napojem, chcąc zyskać kilka sekund na zastanowienie. Lód już się częściowo stopił, ale narkodrink w dalszym ciągu miał przyjemny, ostry smak.

- Prace wartości pięćdziesięciu milionów kredytek za darmo? To za dużo.
- O ile sobie pani przypomina, w swoim czasie ja także wyraziłem taką opinię.

Uśmiechnęła się.

- Co do kota, to rzeczywiście na początku był twój, ale teraz jest nasz. Jeżeli chodzi o naprawy... Wiesz co, Tuf? Dam ci kredyt.

- Na jaki okres i na jakich warunkach? - zapytał Haviland Tuf.

- Zrobimy wszystko, co trzeba - ciągnęła, nie przestając się uśmiechać. - Zaczniemy od zaraz. Jeżeli wygrasz, co jest kompletnie niemożliwe, dostaniesz swojego cholernego kota, a my dorzucimy ci

szprocentowy kredyt na pokrycie wszystkich kosztów. Będiesz mógł as spłacić z forsy, którą zarobisz gdzieś tam... - wykonała ręką nieokreślony ruch, mający oznaczać pozostałą część kosmosu - jako inżynier ekolog. Ale gdyby w ciągu pięciu lat standardowych nie udało ci się zebrać połowy sumy albo całej w ciągu dziesięciu, statek jest nasz.

- Kwota pięćdziesięciu milionów kredytek była ponad wszelką wątpliwość zawyżona, wyłącznie po to, żeby zmusić mnie, bym sprzedał wam mój statek - oświadczył Tuf. - Proponuję, żeby suma stanowiąca przedmiot naszego porozumienia wynosiła dwadzieścia milionów standardów.

- Chyba sobie kpisz! - prychnęła. - Za dwadzieścia milionów nawet byśmy nie pomalowali tej przeklętej skorupy. Ale pójdę ci na rękę: czterdzieści pięć.

- Trzydzieści pięć milionów - odparł Tuf. - Biorąc pod uwagę, że jestem jedynym pasażerem „Arki”, nie wydaje się konieczne przywracanie do stanu pełnej sprawności wszystkich systemów i urządzeń statku. Odległe, rzadko uczęszczane pokłady nie będą miały dla mnie żadnego znaczenia. Przeformułuję moje zamówienie w taki sposób, aby dotyczyło jedynie tych miejsc i instalacji, które są niezbędne dla mojego bezpieczeństwa, wygody i działalności zawodowej. Tolly skinęła głową.

W porządku. Czterdzieści milionów.

- Uważam, że trzydzieści to i tak więcej, niż można uznać za stosowne.

- Nie kłómy się o parę nędznych milionów - zaproponowała Tolly lunę. - I tak przegrasz, więc to nie ma żadnego znaczenia.

Pozwolę sobie mieć w tej sprawie nieco odmienne zdanie. Trzydzieści milionów.

- Trzydzieści siedem.

- Trzydzieści dwa.

- Wygląda na to, że spotkamy się przy trzydziestu pięciu, prawda? zgoda! - Wyciągnęła rękę.

Tuf spojrział na nią obojętnie.

- Trzydzieści cztery - powiedział z niewzruszonym spokojem. Tolly Mune roześmiała się i cofnęła rękę.

- Co za różnica? Niech będzie trzydzieści cztery. Tuf podniósł się z miejsca.

- Napij się jeszcze - zaproponowała, wskazując na szklanki. - Za nasz mały zakład.

- Obawiam się, że muszę pani odmówić, kapitanie - odparł Haviland Tuf. - Będę świętował dopiero wtedy, kiedy zwyciężę. Na razie czeka mnie dużo pracy.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! - oświadczył podniesionym głosem Josen Rael. Tolly ustawiła poziom dźwięku prawie na maksimum, żeby zagłuszyć protesty uwięzionego kota.

- Nie wygłupiaj się, Josen, tylko przyznaj, że mam głowę na karku. To mi się naprawdę udało!

- Założyłaś się o przyszłość naszej planety! O miliardy ludzkich istnień! Czy ty naprawdę spodziewasz się, że będę honorował ten niesłychany układ?

Tolly Mune pociągnęła z tuby łyk piwa i westchnęła ciężko, po czym powiedziała takim tonem, jakby rozmawiała z poważnie opóźnionym w rozwoju dzieckiem:

- My nie możemy przegrać tego zakładu, Josen. Pomyśl trochę, jeśli ta biaława substancja w twojej czaszce jeszcze nie uwsteczniła się zupełnie pod wpływem grawitacji. Po co potrzebujemy „Arki”? Oczywiście po to, żeby się wyżywić. Żeby uniknąć masowego głodu, rozwiązać raz na zawsze ten problem, zmajstrować jakiś cholerny biologiczny cud. Żeby dokonać rozmnożenia chleba i ryb.

- Chleba i ryb? - powtórzył ze zdziwieniem Przewodniczący Rady Planety.

- W nieskończoność. To klasyczna aluzja, Josen. Zdaje się, że chrześcijańska. Tuf spróbuje nakarmić trzydzieści miliardów ludzi kanapkami z rybą. Przypuszczam, że udławi się jakąś ością, ale to i tak nie ma znaczenia. Jeżeli mu się nie uda, zabieramy mu statek, zgodnie z prawem i całkowicie legalnie. Jeżeli mu się uda, „Arka” nie będzie już nam potrzebna. Tak czy inaczej, nasze jest na wierzchu. A ja w dodatku tak wszystko obmyśliłam, że nawet jeśli Tuf wygra, to będzie nam winien trzydzieści cztery miliony kredytek. Prędej czy później, statek i tak wpadnie nam w ręce. - Pociągnęła kolejny łyk piwa i uśmiechnęła się do twarzy na ekranie. - Josen, masz cholerne szczęście, że nie zależy mi na twojej posiadzie. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że jestem znacznie mądrzejsza od ciebie?

- Owszem, a także to, że w ogóle nie znasz się na polityce, Mamo - odparł. - Wątpię, czy przetrwałabyś choć jeden dzień na tym urzędzie. Jednak nie przeczę, że to, co robisz

teraz, robisz znakomicie. Przypuszczam, że twój plan da się wprowadzić w życie.

- Przypuszczasz?

- Nie należy zapominać o politycznych realiach. Miej na uwadze, że ekspansjoniści chcą za wszelką cenę zdobyć statek, myśląc już o chwili, kiedy przejmą władzę. Na szczęście, nadal są w mniejszości. Po prostu będziemy musieli ich jeszcze raz przegłosować.

- Dopilnuj, żeby tak się na pewno stało, Josen - powiedziała Tolly Mune i przerwała połączenie.

Na ekranie znowu pojawiła się „Arka”. Tolly siedziała w milczeniu w powietrzu, przyglądając się, jak wokół ogromnego kadłuba uwijają się zespoły pajęczarzy, budując prowizoryczny dok. Później będzie jeszcze dość czasu, żeby zmontować coś bardziej solidnego. Tolly przypuszczała, że statek pozostanie na orbicie przez kilkaset najbliższych lat, a nawet gdyby, gdyby Tufowi udało się jakimś cudem odlecieć, to w zwolnionym w ten sposób miejscu będzie można zainstalować urządzenia cumownicze dla setek tradycyjnych jednostek. Port S’uthalm pękał już w szwach i od dawna czekał na rozbudowę. Teraz, kiedy wszystkie wydatki i tak miały być zapłacone z kieszeni Tufa, Tolly Mune nie widziała powodu, dla którego miałyby odwlekać decyzję o rozpoczęciu prac. W celu ułatwienia transportu ludzi i sprzętu montowano segment po segmencie długą rurę z plastostali, łączącą „Arkę” z krańcowym terminalem najbliższej odnogi. Technicy byli już we wnętrzu statku, przeprogramując jego system komputerowy zgodnie z życzeniami Tufa i, przy okazji, unieszkodliwiając wszelkie programy obronne, jakie ten zdążył tam wprowadzić. Takie otrzymali polecenie od Stalowej Wdowy; Tuf nie miał o niczym pojęcia. Tolly uznała, że lepiej zabezpieczyć się na wypadek, gdyby miało się okazać, iż partner nie potrafi łatwo pogodzić się z porażką. Wolą, żeby z puszek z nagrodą, jaką odbierze, nie wysypały się epidemie, potwory ani żadne inne paskudztwa.

Co do samego Tufa, to jej informatorzy donosili, że od chwili powrotu z Pajęcznika prawie nie opuszcza swojej małej centrali komputerowej. Korzystając z uprawnień przysługujących kapitanowi portu, wydała polecenie, żeby zapewniono mu dostęp do wszystkich istniejących na planecie banków danych; sądząc z raportów, jakie do niej docierały, korzystał z nich pełnymi garściami, karmiąc zdobytymi informacjami komputery „Arki” i każąc im dokonywać karkołomnych projekcji i ekstrapolacji. Jedno trzeba mu było przyznać: starał się, jak mógł.

Ze stojącej w kącie klatki dobiegł kolejny odgłos miękkiego uderzenia i jeszcze jedno bolesne miauknięcie. Tolly było bardzo żal kota. W gruncie rzeczy było jej także żal Tufa. Kiedy przegra, może jednak uda się jej załatwić mu ten Longhaul Dziewięć.

Minęło czterdzieści siedem dni.

Minęło czterdzieści siedem dni, podczas których ekipy remontowe pracowały na trzy zmiany, w związku z czym ruch wokół „Arki” był ogromny, nieprzerwany i szalony. Pajęczyna wyciągnęła ramiona w kierunku gigantycznego statku, po czym całkowicie go wchłonęła. Kable oploty jego kadłub jak pnącza winorośli; przewody tłoczące sprężone powietrze wsunęły się we wszystkie śluzy, tak że olbrzymi korpus przypominał umierającego człowieka leżącego w szpitalnym łóżku; przenośne kopuły z plastostali powyrastały na kadłubie niczym wypukłe, tłuste piegi, połączone żyłami ze stali i duraluminium; skutery próżniowe uwijały się wokół statku jak kąśliwe owady, ciągnące za sobą ogniste ogony, a wśród tego całego chaosu kręciły się niezliczone oddziały pajęczarzy. Minęło czterdzieści siedem dni, podczas których „Arka” była naprawiana, przebudowywana, modernizowana i wyposażana.

W tym czasie Haviland Tuf nie opuścił swego statku nawet na minutę. Początkowo, jak donosili pajęczarze, mieszkał w centrali komputerowej i śledził rezultaty przeprowadzanych bez przerwy symulacji, siedząc w samym środku wiru napływających zewsząd danych. Jeżeli go wtedy widywano, to tylko w małym, trójkołowym wózku, przemierzającego główny pokład komunikacyjny statku liczący sobie trzydzieści kilometrów długości, w zielonej, opadającej na uszy czapce na głowie i z małym, długowłosym kotem na kolanach. Z reguły w ogóle nie zwracał uwagi na robotników, ale od czasu do czasu podjeżdżał do jakiegoś urządzenia lub zatrzymywał się przy jednym z niezliczonych zbiorników przeznaczonych do hodowli żywych organizmów, które mieściły się wzdłuż ogromnych ścian. Technicy stwierdzili bez trudu, że są w nich realizowane programy klonowania z użyciem przyspieszonego pola czasowego, zużywającego wręcz nieprawdopodobne ilości energii. Minęło czterdzieści siedem dni, które Haviland Tuf spędził w niemal całkowitym odosobnieniu, jedynie w towarzystwie Chaos, pogrążony w pracy.

Minęło czterdzieści siedem dni, podczas których Tolly Mune nie rozmawiała ani z Tufem, ani z Josenem Raelem. Obowiązki wynikające ze sprawowanej przez nią funkcji, zaniedbane w początkowej fazie afery z „Arką”, były wystarczająco absorbujące, żeby nie pozostawić jej czasu na nic innego. Musiała rozstrzygać spory, awansować i degradować pracowników, nadzorować prace konstrukcyjne, zabawiać przybywających z wizytą dyplomatów tak długo, dopóki nie udało jej się wepchnąć ich do windy, kontrolować wydatki i zatwierdzać wypłaty. Poza tym musiała także zajmować się kotem.

Początkowo obawiała się najgorszego. Furia nie chciała jeść, nie potrafiła

przyzwyczajając się do stanu nieważkości, zanieczyszczała powietrze swymi odchodami i niemal bez przerwy wydawała najbardziej żalosne odgłosy, jakie Tolly miała nieszczęście kiedykolwiek słyszeć. Stan kota zaniepokoił ją do tego stopnia, że sprowadziła najlepszego specjalistę od szkodników, który jednak zapewnił ją, że klatka jest wystarczająco obszerna, a porcje pasty proteinowej nawet bardziej niż wystarczające. Kotka zdawała się mieć na ten temat odmienne zdanie i w dalszym ciągu miauczała, syczała i zawodziła, tak że Tolly nabrała graniczącego z pewnością przekonania, że któreś z nich, ona albo kot, na pewno już wkrótce zwariuje.

Wreszcie zdecydowała się na podjęcie konkretnych działań. Przede wszystkim odstawiła pastę proteinową i zaczęła karmić stworzenie mięsnymi pałeczkami, które Tuf przysłał z „Arki”. Żarłoczność, z jaką Furia zaatakowała pożywienie wsuwane przez pręty klatki, natychmiast natchnęła ją otuchą. Pewnego razu, po skonsumowaniu w rekordowym czasie całej porcji, kot polizał Tolly po palcach; było to bardzo dziwne uczucie, ale wcale nie nieprzyjemne. Wkrótce potem, kiedy Furia ocierała się o kraty swego więzienia, Tolly Mune pogłaskała ją delikatnie po grzbiecie i usłyszała w odpowiedzi odgłos o niebo przyjemniejszy od tych, jakie kotka wydawała do tej pory. Dotknięcie czarno-białej, gęstej sierści było niemal zmysłowe.

Po ośmiu dniach Tolly wypuściła Furię z klatki, doszedłszy do wniosku, że nieco większe więzienie, wyznaczone ścianami jej biura, będzie całkowicie wystarczające. Ledwo zdążyła otworzyć drzwi klatki, a już kotka dała nura na zewnątrz; nie mogąc znaleźć oparcia w powietrzu, machała wściekle łapami, sycząc ze zdenerwowania. Tolly usiłowała ją złapać, ale zwierzę walczyło zaciekle, pozostawiając na jej rękach długie, głębokie zadrapania.

Kiedy technik medyczny już wyszedł, opatrzywszy rany, Tolly połączyła się z Centralą Bezpieczeństwa Portu.

- Zarekwirujcie pokój z grawitacją w Hotelu Widokowym - poleciła. - Powiedzcie im, żeby ustawili przyciąganie na 1/4 g.

- Kto tam będzie mieszkał?

- Więzień - warknęła. - Uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Zaglądała do hotelu codziennie po pracy, początkowo tylko po to, żeby nakarmić jeńca i upewnić się, czy niczego mu nie brakuje. Jednak piętnastego dnia została dłużej, spożyła tam posiłek, a także zapewniła kotu kontakt z człowiekiem, którego zwierzę bardzo pragnęło. Zachowanie Furii zmieniło się tymczasem nie do poznania. Kiedy Tolly otwierała drzwi, kotka miauczała radośnie (co jednak nie oznaczało, że zaprzestała prób ucieczki), ocierała się o jej nogi i zachęcała do zabawy, nie wysuwając pazurów. Wszystko wskazywało na to, że nawet

przybrała nieco na wadze. Wystarczyło, żeby Tolly usiadła w fotelu, a Furia natychmiast wskakiwała jej na kolana. Dwudziestego dnia Mama Pająk została w hotelu na noc, a dwudziestego szóstego przeprowadziła się tam tymczasowo.

Kiedy minęło czterdzieści siedem dni, Furia przyzwyczała się spać zwinięta w kłębek na jej poduszce, dotykając miękkim, czarno-białym futerkiem policzka kapitana Portu S'uthlam.

Czterdziestego ósmego dnia na ekranie pojawiła się twarz Havalanda Tufa. Nawet jeśli zdumiał go widok kotki leżącej na kolanach Tolly, nie dał tego po sobie poznać.

- Kapitanie Mune...

- I co, poddajesz się? - zapytała.

- Wręcz przeciwnie - odparł Tuf. - Jestem gotów ogłosić moje zwycięstwo.

Josen Rael uznał, że spotkanie ma zbyt wielką wagę, aby odbywało się za pomocą telepołączeń, nawet specjalnie chronionych przed podglądem. Yandeen mogli znać sposoby pokonania zabezpieczeń. Ponieważ Tolly Mune osobiście prowadziła negocjacje z Tufem i z pewnością rozumiała go lepiej niż ktokolwiek z członków Rady, jej obecność była nieodzowna, bez względu na awersję do pełnej grawitacji. Zjechała windą na powierzchnię planety po raz pierwszy od tak wielu lat, że wołała o tym nie myśleć, i została natychmiast przewieziona powietrzną taksówką do sali posiedzeń znajdującej się na szczycie siedziby Rady Planety.

Pomieszczenie było duże, urządzone skromnie, ale ze smakiem. Jego środek zajmował wielki stół konferencyjny z minicentralą łączności. Josen Rael siedział u jego szczytu w czarnym fotelu o wysokim oparciu i z trójwymiarowym wizerunkiem S'uthlam nad głową.

- Kapitanie Mune... - powitał ją, skinąwszy głową, kiedy weszła do sali i czym prędzej zajęła wolne miejsce przy drugim końcu długiego stołu.

Oprócz niej i Raela w pomieszczeniu znajdowali się najpotężniejsi z potężnych - najważniejsi urzędnicy planety, elita frakcji technokratów. Minęło bardzo dużo czasu od chwili, kiedy ostatnio została wezwana do tej sali, ale Tolly Mune regularnie oglądała wiadomości i nie miała kłopotów z rozpoznaniem większości zebranych. Byli wśród nich: młody minister rolnictwa w otoczeniu zastępców do spraw badań biologicznych, oceanicznych i przetwarzania żywności; minister wojny w towarzystwie cybernetycznego szefa sztabu; minister transportu; dyrektor banku danych Rady i jej główny analityk; ministrowie bezpieczeństwa wewnętrznego, stosunków międzyplanetarnych i przemysłu; dowódca Flotylli Planetarnej; zastępca szefa policji. Wszyscy skinęli zdawkowo głowami.

- Mielście tydzień na zapoznanie się z wynikami prac Tufa i przebadanie próbek, które nam przysłał - zwrócił się do zebranych Josen Rael, rezygnując z wszelkich formalności. -Co macie do powiedzenia?

- Bardzo trudno byłoby pokusić się na tym etapie o jednoznaczne stwierdzenia - odparł analityk. - Jego projekcje mogą być stuprocentowo trafne, ale mogą też okazać się całkowicie błędne, oparte na fałszywych przesłankach. Będę mógł to jednoznacznie stwierdzić nie wcześniej niż za kilka lat. To, co Tuf dla nas wyhodował, te nowe rośliny i zwierzęta, będą czymś zupełnie nowym. O tym, jak dalece mogą się okazać przydatne w naszych warunkach, przekonamy się po długotrwałych próbach polowych, a kto wie, czy nie dopiero po zastosowaniu.

- Jeżeli w ogóle okażą się przydatne - dorzucił minister bezpieczeństwa wewnętrznego, niska, barczysta kobieta.

- Jeśli w ogóle okażą się przydatne - zgodził się analityk.

- Jesteście zbyt ostrożni - wtrącił się minister rolnictwa. Był najmłodszy ze wszystkich, zuchowaty i szczerzy; wydawało się, że widniejący na jego szczupłej twarzy szeroki uśmiech rozetnie ją na dwie części. - Raporty, które dostałem, są wręcz entuzjastyczne. - Na stole przed nim leżał stos przezroczystych kryształów pamięci. Wyłowił jeden z nich i wsunął do czytnika; niemal natychmiast na ekranach pojawiły się kolorowe linie wykresów. - Oto nasza analiza tego, co Tuf nazwał omnizbożem. Wspaniałe, po prostu wspaniałe! Specjalnie uformowana genetycznie krzyżówka, całkowicie jadalna. Całkowicie, szanowni państwo! Łodygi sięgają mniej więcej do pasa, tak jak neotrawa, są kruche i obfitujące w węglowodany, dość smaczne po odpowiednim przyprawieniu, ale przede wszystkim stanowią wyśmienitą paszę dla zwierząt. W źdźbłach znajduje się niezwykle ziarno, bardziej wydajne i pożywne nawet od ryżu. Jest łatwe w transporcie, przechowuje się dowolnie długo bez żadnych ubytków, zawiera ogromnie dużo protein. A teraz uwaga: omnizboże ma bulwiaste, jadalne korzenie! W dodatku rośnie tak szybko, że daje dwa zbiory w roku. Na razie to oczywiście tylko teoretyczne obliczenia, ale jesteśmy zdania, że jeśli zasiejemy je wszędzie tam, gdzie do tej pory uprawiamy neotrawę, ryż i nanopszenicę, uzyskamy z tej samej powierzchni zasiewów trzy do czterech razy więcej kalorii!

- Musi mieć też jakieś wady - zaprotestował Josen Rael. - To wszystko brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Skoro to omnizboże jest takie wspaniałe, dlaczego do tej pory nigdy o nim nie słyszeliśmy? Wątpię, żeby Tuf wyprodukował je w ciągu tych kilkudziesięciu dni.

- Oczywiście, że nie. Omnizboże istnieje już od wielu stuleci. Możecie mi wierzyć lub

nie, ale znalazłem o nim kilka wzmianek w naszych bankach danych. Zostało wyhodowane przez Inżynierski Korpus Ekologiczny w czasie wojny, w celu zaprowiantowania wojsk. Rośnie tak szybko, że jest wręcz idealne w sytuacji, kiedy nie wiadomo, jak długo będzie można czekać na plony. Cywile nie przejawili większego nim zainteresowania, bo uznano, że pod względem wartości smakowych ustępuje tradycyjnym zbożom. Zwracam uwagę na to sformułowanie: „ustępuje pod względem wartości smakowych”, czyli nie jest wstrętne ani odrażające. Poza tym doprowadza do szybkiego wyjałowienia gleby.

- Aha! - wykrzyknęła kobieta sprawująca urząd ministra bezpieczeństwa wewnętrznego. - Więc jednak jest jakaś pułapka!

- Tylko pozornie. Rzeczywiście, po pięciu latach wspaniałych zbiorów nastąpiłoby nieszczęście, ale Tuf przysłał też trochę najróżniejszych pasożytów - superdżdżownice i inne stworzenia spolchniające ziemię - a także coś w rodzaju ślimaka żyjącego w omnizbożu i odżywiającego się- uwaga!- zanieczyszczeniami powietrza! Jego produkty przemiany materii użyżnią glebę, powstrzymując ją przed wyjałowieniem. - Młody minister uniósł obie ręce. - To nieprawdopodobny przełom! Gdyby naszym zespołom badawczym udało się opracować coś takiego, ogłosilibyśmy na całym S'uthlam nadzwyczajne święto!

- A jak wyglądają pozostałe propozycje? - zapytał sucho Josen Rael. Na twarzy Przewodniczącego Rady nie odbijała się nawet drobna część radości przejawianej przez jego podwładnego.

- Prawie równie wspaniale - padła odpowiedź. - Na przykład oceany... Do tej pory nigdy nie udało się nam uzyskać z nich znaczącej ilości kalorii, biorąc pod uwagę ich powierzchnię, a poprzednia administracja prawie pozbawiła je wszelkiego życia swoimi zamiataczkami wody. Tuf daje nam kilka gatunków szybko rozmnażających się ryb i plankton, który... - Wyłowił kolejny kryształ i wsunął go do czytnika. - Proszę, oto on. To prawda, że uniemożliwi żeglugę, ale i tak dziewięćdziesiąt procent naszych przewozów odbywa się drogą lotniczą lub podwodną, więc to nie ma większego znaczenia. Będzie stanowił pożywienie dla ryb, a w odpowiednich warunkach rozrośnie się tak bardzo, że pokryje powierzchnie morza trzymetrowym kożuchem.

- Niepokojąca perspektywa - zauważył minister wojny. - Czy jest jadalny? Dla ludzi, ma się rozumieć.

Minister rolnictwa uśmiechnął się radośnie.

- Nie. Ale po obumarciu będzie się znakomicie nadawał jako surowiec do naszych fabryk żywności. W zastępstwie ropy, której nie starczy nam już na długo.

Siedząca przy przeciwnym końcu stołu Tolly Mune wybuchnęła głośnym śmiechem.

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

- Niech mnie piorun trzaśnie! - prychnęła. - A więc jednak dał nam chleb i ryby!

- Plankton to nie są ryby - poprawił ją minister rolnictwa.

- Jeżeli pływa w wodzie, to dla mnie jest rybą, do nagłej cholery!

- Chleb i ryby?... - zapytał minister przemysłu.

- Proszę kontynuować swoją relację - wtrącił się niecierpliwie Josen Rael. - Czy jest coś jeszcze?

Było. Zawierający mnóstwo odżywczych składników porost, mogący rosnąć nawet na szczytach najwyższych gór, i inny, potrafiący przetrwać w beztlenowej atmosferze i pod działaniem twardego promieniowania.

- To oznacza, że będziemy w stanie wykorzystać więcej asteroidów, nie marnując dziesiątków lat i milionów kalorii na ich przeformowanie.

Pasożytnicze, całkowicie jadalne pnącza, mające opanować w krótkim czasie bagniste równikowe niziny i zastąpić tam miejscowe odmiany, pięknie pachnące, trujące i kompletnie bezużyteczne. Śnieżny owies rosnący w zamrożonej tundrze i nadzwyczaj odporne na niskie temperatury bulwy, zdolne wdrzeć się i rosnąć nawet w jałowej glebie pod lodowcami. Genetycznie udoskonalone bydło, trzoda chlewna, drób i ryby. Nowy gatunek ptaków, według zapewnień Tufa będący w stanie rozprawić się w krótkim czasie z gnębiącymi rolnictwo szkodnikami. Wreszcie siedemdziesiąt dziewięć odmian jadalnych grzybów mogących rosnąć wyłącznie w nieprzeniknionej ciemności i wilgoci panujących pod najniższym poziomem podziemnych miast i przetwarzających ludzkie produkty przemiany materii.

Kiedy młody człowiek skończył mówić, w sali zapadła cisza. Przerwała ją dopiero Tolly Mune.

- Tuf wygrał - oznajmiła z szerokim uśmiechem na ustach. Pozostali czekali na reakcję Josena Raela, ale ona nie miała najmniejszego zamiaru bawić się w dyplomację. - Do stu tysięcy piorunów! Udało mu się!

- W tej chwili jeszcze nie można tego stwierdzić z całą pewnością - odparł szef banku danych.

- Minie wiele lat, zanim będziemy mogli sporządzić wiarygodne raporty statystyczne - uzupełnił analityk.

- To może być pułapka - ostrzegł minister wojny. - Musimy zachować daleko idącą ostrożność.

- Do diabła z wami! - wykrzyknęła Tolly. - Przecież Tuf udowodnił, że...

- Kapitanie Mune! - przerwał jej ostro Przewodniczący.

Tolly raptownie zamknęła usta; jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się odezwać do niej takim tonem. Wraz z innymi zawisła spojrzeniem na jego twarzy. Josen Rael wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

- Jedno, czego Haviland Tuf dowiódł ponad wszelką wątpliwość, to że „Arka” jest dla nas zdecydowanie zbyt cenna, żebyśmy mogli brać pod uwagę możliwość jej utracenia. Teraz zajmiemy się obmyśleniem najlepszego sposobu, w jaki można by ją zagarnąć, mając na uwadze przede wszystkim ograniczenie do minimum strat w ludziach i dyplomatycznych reperkusji takiego czynu. Udzielam głosu ministrowi bezpieczeństwa wewnętrznego.

Tolly Mune wysłuchiwała w milczeniu raportu barczystej kobiety, a następnie przez ponad godzinę siedziała bez ruchu, przysłuchując się dyskusji, która wywiązała się po tym wystąpieniu. Ministrowie i ich doradcy sprzeczali się o najwłaściwszą taktykę, treść dyplomatycznych komunikatów, sposób najbardziej efektywnego wykorzystania statku, o to, który resort powinien nim zarządzać, a także, co powiedzieć na ten temat dziennikarzom. Zanosilo się na to, że dyskusja przeciągnie się do późnej nocy, ponieważ Josen Rael oświadczył stanowczo, że spotkanie zakończy się dopiero wtedy, kiedy zostaną ustalone wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły. Przyniesiono posiłek, posłano ludzi po dodatkowe, tajne dokumenty, pojawiali się i znikali kolejni specjaliści i doradcy. Przewodniczący wydał polecenie, żeby nie łączono żadnych rozmów z zewnątrz, mogących zakłócić skupienie obradujących. Tolly Mune słuchała wszystkiego, nie odzywając się ani słowem. Po godzinie dźwignęła się z trudem z fotela.

- Przepraszam, ale to ta cholerna grawitacja - wystękała. - Zupełnie się odzwyczyłam. Gdzie tu jest najbliższa toa... toa... eep!

- Oczywiście, kapitanie - odparł Josen Rael. - Korytarzem w lewo, czwarte drzwi po prawej stronie.

- Dziękuję - bąknęła.

Dyskusję wznowiono, jeszcze zanim chwiejąc się na nogach, wyszła z sali. Zamykając za sobą drzwi, słyszała podniesione, wzburzone głosy. Na zewnątrz stał umundurowany strażnik. Mijając go szybkim krokiem, skinęła głową, po czym skręciła w prawo.

Kiedy znikła mu z oczu, zaczęła biec ile sił w nogach.

Znalazłszy się na dachu, wezwała powietrzną taksówkę.

- Do windy - poleciała pilotowi. - Tylko szybko! - dodała, pokazując mu kartę priorytetową.

Wypełniona do ostatniego miejsca kapsuła miała właśnie wyruszyć w drogę. Tolly

wypchnęła jednego z pasażerów pierwszej klasy.

- Awaria w pajęczynie - wyjaśniła zdumionemu nieszczęśliwemu. Muszę się tam jak najszybciej dostać.

Podróż trwała rekordowo krótko, bo przecież na pokładzie była Mama Pająk. W Pajęczniku czekał już na nią mniejszy pojazd, którym błyskawicznie dotarła do biura.

Wpłynęła do środka, zamknęła drzwi, zablokowała mechanizm otwierający, włączyła interkom i zaprogramowała go w ten sposób, żeby wszystkim dzwoniącym pokazywał zarejestrowany obraz twarzy jej zastępcy, po czym spróbowała połączyć się z Josenem Raelem.

- Przykro mi - usłyszała w odpowiedzi przepelniony cybernetycznym współczuciem głos komputera. - Ma teraz ważne zebranie i nie wolno mu przeszkadzać. Może zechce pani zostawić wiadomość?

- Nie - odparła, a następnie wcisnęła kod szefa zespołów naprawczych pracujących na „Arce”. - Jak wam idzie, Frakker?

Sprawił wrażenie bardzo zmęczonego, ale mimo to zdołał się uśmiechnąć.

- Wspaniale, Mamo - powiedział. - Wygląda na to, że odwaliliśmy już dziewięćdziesiąt jeden procent roboty. Skończymy za jakieś sześć, siedem dni, a potem zostanie już tylko sprzątanie.

- Już skończyliście - poinformowała go Tolly Mune.

- Słucham? - wykrztusił ze zdumieniem.

- Tuf nas oszukał - skłamała bez zająknięcia. - Zrobił nas w trzy balony, więc wycofuję wszystkie ekipy.

- Nie rozumiem...

- Przykro mi, Frakker, ale szczegóły są ściśle tajne. Sam wiesz, jak to wygląda. Ewakuujcie się jak najszybciej z „Arki”. Wszyscy - pajęczarze, technicy, ochroniarze. Daję wam na to godzinę, a potem osobiście przylecę sprawdzić i jak znajdę na tym cholernym wraku choć jednego człowieka oprócz Tufa i jego przeklętych kotów, wyślę cię na asteroidy szybciej, niż zdążysz powiedzieć „Stalowa Wdowa”, rozumiesz?

- Hę?... Tak, oczywiście.

- No to ruszaj się, Frakker! - ryknęła Tolly Mune. Rozłączyła się, wstukała kod wywołujący program maksymalnej ochrony przed podglądem, po czym wezwała „Arkę”. O mało nie oszalała z wściekłości, kiedy okazało się, że Haviland Tuf zażywa właśnie drzemki i wydał komputerowi polecenie nagrywania wszystkich rozmów. Dopiero po piętnastu bezcennych minutach udało się jej trafić na odpowiednią sekwencję słów, która wreszcie

przekonała ograniczoną umysłowo maszynę, że chodzi o sprawę najwyższej wagi.

- Kapitanie Mune - powitał ją Haviland Tuf, kiedy nareszcie zmaterializował się przed nią w powietrzu, odziany w nieprawdopodobnie puszysty szlafrok, ciasno opięty na wystającym brzuchu. - Czemu mogę zawdzięczać niezrównaną przyjemność prowadzenia z panią rozmowy?

- Dziewięćdziesiąt procent prac jest już wykonanych - powiedziała Tolly Mune. - W tym wszystkie najważniejsze. Będziesz musiał jakoś sobie poradzić bez tego, czego nie skończyliśmy. Moi pajęczarze uciekają co sił w nogach na pajęczynę. Ostatni powinien zniknąć za czterdzieści parę minut. Kiedy to się stanie, musisz jak najprędzej odlecieć.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf.

- Uzupełniliśmy paliwo i zapasy - ciągnęła Tolly. - Co prawda rozwalisz nam dok, ale nie ma czasu, żeby go zdemontować, a poza tym to i tak niewielka cena za to, co dla nas zrobiłeś. Zaraz potem włącz pełen ciąg i zmykaj stąd najszybciej, jak możesz. Nie oglądaj się za siebie, jeśli nie masz ochoty zamienić się w jakiś cholerny słup soli.

- Obawiam się, że nie rozumiem - poinformował ją Tuf.

Tolly westchnęła ciężko.

- Ani ja, Tuf, ani ja. Proszę, nie dyskutuj ze mną, tylko szykuj się do odlotu.

- Czyżbym mógł przypuszczać, że Rada Planety uznała moje skromne propozycje za dające szansę rozwiązania waszych problemów, tym samym uznając mnie zwycięzcą naszego małego zakładu?

Z piersi Tolly Mune wyrwał się rozpaczliwy jęk.

- Tak, jeśli koniecznie chcesz to usłyszeć! Pokochali od pierwszego wejrzenia twoje szkodniki, zachwycili się omnizbożem, oszaleli ze szczęścia na widok bulw! Jesteś wspaniałą, cudowną, najmądrzejszą we wszechświecie! A teraz zmykaj stąd, Tuf, zanim któremuś z nich przyjdzie do głowy zapytać o coś starego, schorowanego kapitana portu i zorientują się, że mnie tam nie ma.

- Pani pośpiech wprawia mnie w najwyższe zakłopotanie - powiedział flegmatycznie Haviland Tuf, splatając na brzuchu dłonie i wpatrując się w nią bez zmrużenia oka.

- Posłuchaj mnie, Tuf - wycedziła Tolly przez zaciśnięte zęby. - Wygrałeś ten cholerny zakład, ale zaraz możesz stracić swój statek, jeżeli natychmiast się nie obudzisz i nie nauczysz się tańczyć. Znikaj stąd! Czy muszę ci to przeliterować, do diabła? Zdrada, Tuf. Oszustwo. Nieuczciwość. Właśnie w tej chwili Rada Planety ustala szczegółowy plan opanowania „Arki” i pozbycia się ciebie, kłócąc się przy okazji o to, jakich użyć perfum, żeby nikt nie poczuł smrodu. Teraz rozumiesz? Jak tylko skończą gadać, a niedługo skończą,

wydadzą rozkazy i ruszy na ciebie cała Flotylla Planetarna. Mają teraz tu, w sieci, dwa niszczyciele i dwa krążowniki, i jeśli dobrze się spiszą, to nie zdążysz nawet kiwnąć palcem, jak będziesz je miał na karku. Nie mam najmniejszej ochoty oglądać tu jakiejś cholernej bitwy kosmicznej, w której rozwalicie mi port i pozabijacie moich ludzi!

- Wydaje mi się, że jestem w stanie panią zrozumieć - odparł Tuf. - Bezzwłocznie uruchomię działanie programu przygotowującego statek do startu. Pozostaje jednak do rozwiązania pewien drobny problem.

- Jaki? - zapytała. Nerwy miała napięte jak stalowe druty.

- Furia pozostaje w dalszym ciągu w pani niewoli, kapitanie. Nie mogę opuścić S'uthlamu, dopóki ona nie znajdzie się ponownie pod moją opieką.

- Zapomnij o tym cholernym kocie!

- Obawiam się, iż nie posiadam umiejętności selektywnego zapamiętywania i zapominania - powiedział Haviland Tuf. - Ze swojej strony wypełniłem wszystkie postanowienia naszej umowy. Teraz pani musi mi zwrócić Furię, tak jak zostało postanowione w kontrakcie.

- Nie mogę, do cholery! Każda mucha, dżdżownica i pajęczarz na stacji wie, że ten przeklęty kot jest naszym zakładnikiem. Jeżeli wejdę do kapsuły z Furią pod pachą, wszyscy na pewno zwrócą na to uwagę, a prędzej czy później ktoś zacznie zadawać pytania. Ryzykujesz życie, nie rozumiesz tego?

- Mimo to obawiam się, że muszę nalegać.

- Niech cię szlag trafi! - zaklęła z głębi serca Tolly i przerwała połączenie wściekłym uderzeniem w przycisk.

Kiedy wkroczyła do przestronnego holu Hotelu Widokowego, powitał ją szeroko uśmiechnięty właściciel.

- Cieszę się, że panią widzę, kapitanie! - oznajmił radośnie. - Szukają pani w jakiejś pilnej sprawie. Jeśli pani chce, może pani skorzystać z mego prywatnego gabinetu...

- Przykro mi, ale to ściśle tajne - wpadła mu w słowo. - Połączę się z pokoju.

Minęła go, kierując się szybkim krokiem do windy.

Przy drzwiach pokoju stali dwaj strażnicy, których sama tam ustawiła.

- Kapitanie Mune, dostaliśmy rozkaz, żeby panią odszukać - odezwał się ten z lewej. - Ma pani natychmiast skontaktować się z Centralą Bezpieczeństwa Portu.

- Wiem o tym. Pędźcie szybko na dół, do głównego holu.

- Jakież kłopoty?

- I to spore. Cholerna bijatyka. Obsługa chyba nie da sobie rady.

- Zajmiemy się tym, Mamo.

Nie zwlekając, popędzili korytarzem.

Tolly Mune weszła do pokoju. Natychmiast odczuła ogromną ulgę, bo przyciąganie było tu czterokrotnie mniejsze niż w holu i korytarzach. Za trójwarstwowym oknem z przezroczystej plastostali roztaczał się widok na ogromną kulę planety, skalistą powierzchnię Pajęcznika i lśniąca srebrzyście pajęczynę. Mogła nawet dostrzec jasną kreskę „Arki”, błyszczącą w żółtych promieniach S’ulstar.

Furia spała pod oknem zwinięta w kłębek na nadmuchiwaną poduszkę, ale zeskoczyła natychmiast, jak tylko Tolly weszła do apartamentu i przybiegła, żeby się z nią przywitać.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - powiedziała Tolly Mune, podnosząc kotkę z podłogi.

- Ale teraz przede wszystkim muszę cię stąd jakoś wydostać.

Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś wystarczająco dużego, żeby zmieścić w tym czworonogiego więźnia.

Odezwał się natarczywy brzęczyk interkomu. Nie zwracała na niego uwagi, kontynuując poszukiwania.

- Niech to szlag trafi! - parsknęła wściekle. Musiała gdzieś schować tego przekłętego kota, ale gdzie? Spróbowała zawinąć go w ręcznik, ale Furia dała jej jednoznacznie do zrozumienia, że nie podoba się jej ten pomysł.

Ekran interkomu ożył, włączony awaryjnym sygnałem, omijającym wszystkie blokady. Pojawiła się na nim twarz Szefa Bezpieczeństwa Portu.

- Nareszcie, kapitanie Mune! - powiedział z pełnym szacunkiem, choć Tolly nie miała złudzeń, że jego nastawienie zmieni się natychmiast, jak tylko zorientuje się w sytuacji. - Przewodniczący Rady Planety obawia się, że ma pani jakieś kłopoty. Czy to prawda?

- Skądże znowu - odparła. - Stało się coś ważnego, że dobijasz się do mnie w ten sposób?

Mężczyzna wydawał się zbity z tropu.

- Przepraszam, Mamo. Dostałem takie rozkazy. Kazano nam jak najszybciej zlokalizować miejsce pani pobytu i zameldować o tym Radzie.

- Więc to zrób.

Przeprosił ją jeszcze raz, po czym zniknął z ekranu. Widocznie jeszcze nikt nie poinformował go o ewakuacji ekip remontowych z „Arki”. To dobrze, dzięki temu miała trochę więcej czasu. Po raz kolejny wzięła się za metodyczne przeszukiwanie pokoju, usiłując przez dobre dziesięć minut znaleźć coś, w co mogłaby upchnąć Furie, ale wreszcie musiała uznać się za pokonaną. Nie ma innej rady, jak wsadzić zwierzę pod pachę, przemknąć się do

któregoś z doków i zarekwirować kombinezon, skuter próżniowy i ciśnieniowy pojemnik dla kota. Ruszyła do drzwi, otworzyła je, przekroczyła próg...

...i zobaczyła strażników pędzących w jej kierunku.

Cofnęła się raptownie, wywołując wrzask protestu ze strony Furii, po czym błyskawicznie zamknęła drzwi na wszystkie zamki i uruchomiła blokadę. Mimo to zaraz potem rozległ się łomot pięści.

- Kapitanie Mune! - zawołał jeden ze strażników. - Nie było żadnej bijatyki. Proszę nam otworzyć, musimy porozmawiać!

- Idźcie stąd! - parsknęła wściekle. - Rozkazuję wam, rozumiecie?!

- Przykro nam, Mamo, ale musimy odstawić tego kota na dół. Podobno to polecenie Rady.

Za jej plecami ekran interkomu ożył ponownie. Tym razem pojawiła się na nim twarz samego ministra bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Tolly Mune, został wydany nakaz doprowadzenia pani na przesłuchanie - powiedziała kobieta. - Proszę się natychmiast poddać!

- Przecież widać mnie, prawda? - parsknęła wściekle Tolly. - Możecie zaczynać to swoje cholerne przesłuchanie!

Strażnicy w dalszym ciągu dobijali się do drzwi.

- Dlaczego wróciła pani do portu?

- Bo tu pracuję - poinformowała ją Tolly Mune słodkim głosem.

- Pani poczynania szkodzą ogólnym interesom i nie zostały zaaprobowane przez Radę Planety.

- A poczynania Rady Planety nie zostały zaaprobowane przeze mnie - odparowała Tolly. Furia syknęła groźnie w stronę ekranu.

- Proszę uznać się za aresztowaną!

- Nawet nie mam zamiaru.

Podniosła jedną ręką mały, solidny stolik - nie było to wielką sztuką przy 1/4 normalnego ciężenia - i cisnęła nim w ekran. Kanciasta twarz ministra wojny rozprysnęła się na tysiące odłamków i iskier.

Strażnikom udało się zlikwidować blokadę za pomocą tajnego awaryjnego kodu, ale Tolly natychmiast włączyła ją na nowo, korzystając ze swoich specjalnych uprawnień. Jeden z nich zaklął donośnie.

- To nic nie da, Mamo - powiedział drugi. - Proszę otworzyć. Nie uda ci się nas ominąć, a najdalej za dziesięć minut Szef Bezpieczeństwa anuluje wszystkie twoje polecenia.

Tolly zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że strażnik ma rację. Znalazła się w pułapce. Kiedy uda im się sforsować drzwi, będzie po wszystkim. Rozejrzała się rozpaczliwie dookoła w poszukiwaniu jakiejś broni, drogi ucieczki, czegokolwiek... Nic takiego nie zobaczyła.

Daleko na skraju pajęczyny „Arka” świeciła odbitymi promieniami słońca. Powinna już być pusta. Tolly miała nadzieję, że Tuf wykazał choć tyle zdrowego rozsądku, żeby pozamykać szczelnie wszystkie śluzy po zniknięciu ostatniego pajęczarza. Czy jednak odleci bez Furii? Spojrzała na kota i pogładziła go po futerku.

- Całe to zamieszanie z twojego powodu - powiedziała. Kotka mruknęła w odpowiedzi; Tolly spojrzała w kierunku „Arki”, a potem na drzwi.

- Możemy wpompować gaz - usiłował ją nastraszyć jeden ze strażników. - Ten pokój nie jest zupełnie szczelny.

Tolly Mune uśmiechnęła się do siebie.

Ułożywszy Furię z powrotem na pneumatycznej poduszce, wspięła się na krzesło i zdjęła pokrywę z umieszczonej pod sufitem puszką z czujnikami alarmowymi. Minęło sporo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni zajmowała się tego typu pracą, więc straciła kilka cennych sekund na znalezienie właściwych obwodów, a potem jeszcze kilkanaście na obmyślenie sposobu, w jaki mogłaby oszukać czujniki i upozorować rozhermetyzowanie pomieszczenia.

Kiedy jej się wreszcie udało, w uszy uderzył ją przeraźliwy ryk sygnału ostrzegawczego, któremu zawtórował donośny syk błyskawicznie twardniejącej piany uszczelniającej krawędzie drzwi. Ciężenie zmalało do zera, ustał obieg powietrza, a w jednej ze ścian automatycznie otworzyły się drzwi szafki z próżniowym sprzętem ratunkowym.

Tolly, nie zwlekając, popłynęła w tamtą stronę. W szafce znajdowały się butle z tlenem, minirakietki i kilka kombinezonów. Założyła szybko jeden z nich, sprawdziła szczelność hełmu i wzięła Furię na ręce. Kot był wyraźnie podenerwowany całym tym hałasem i zamieszaniem.

- Ostrożnie, tylko niczego nie podrzyj... - mruknęła, wkładając kotkę do pustego hełmu. Doczepiła do niego pusty kombinezon z przymocowanymi butlami i odkręciła zawór do maksimum. Kombinezon błyskawicznie nadał się niczym balon. Furia, miaucząc przeraźliwie, drapała pazurami szybkę hełmu.

- Bardzo mi przykro - mruknęła Tolly. Pozwoliła przez chwilę unosić się w powietrzu nadmuchanemu kombinezonowi, a sama sięgnęła po laserowy palnik, umocowany klamrami do tylnej ściany szafki.

- Czy ktoś mówił, że to fałszywy alarm? - zapytała, płynąc w kierunku okna z włączonym palnikiem w ręce.

- Może miałyby pani ochotę na nieco grzanego wina grzybowego, kapitanie? - zapytał Haviland Tuf. Furia łąsiła mu się do nóg, a Chaos siedział na ramieniu, poruszając niepewnie ogonem i spoglądając ze zdziwieniem w dół, na czarno-białą kotkę, jakby próbował sobie przypomnieć, kto to właściwie jest. - Wydaje się pani zmęczona.

- Zmęczona? - Tolly Mune parsknęła śmiechem. - Właśnie uciekłam przez okno z hotelu i pokonałam kilkadziesiąt kilometrów otwartej przestrzeni tylko za pomocą minirakietek, cały czas trzymając nogami nadmuchany kombinezon z kotem w środku. Musiałam przechytrzyć pierwszy oddział pościgowy, który wysłali za mną, i unieszkodliwić palnikiem skuter drugiego, który zjawił się w chwilę potem, a wszystko to robiłam, ciągnąc za sobą twojego cholernego kota. Potem przez prawie pół godziny pełzałam po „Arce”, stukając w kadłub jak wariatka, widząc jednocześnie, jak w porcie zaczyna kipieć od zamieszania. Dwa razy gubiłam kota i musiałam gonić za nim, żeby nie poleciał na S`uthlam, a w pewnej chwili zaatakował mnie krążownik Flotylli Planetarnej. Przez kilka minut zastanawiałam się, kiedy wreszcie włączysz ekrany obronne, a potem podziwiałam darmowy pokaz fajerwerków, kiedy nasi piloci postanowili przetestować ich wytrzymałość. Mogłam również zastanawiać się do woli, czy zobaczą mnie, łązącą po kadłubie jak jakiś przekłety pasożyt po skórze wielkiego zwierzęcia, oraz wymieniłam z Furią poglądy na temat, co zrobimy, kiedy to się stanie i chłopcy wyślą po nas patrol na skuterach próżniowych. Uzgodniłyśmy, że ja zajmę ich rozmową, a ona w tym czasie wydrapie im oczy. Wreszcie, kiedy Flotylla odpaliła pierwszą serię torped plazmowych, raczyłeś nas wreszcie zauważyć i wciągnąłeś do środka. Po tym wszystkim, co przesłam, pytasz mnie, czy jestem zmęczona?

- Nie sędzę, żeby pani sarkazm był stuprocentowo uzasadniony, kapitanie.

Tolly zbyła tę uwagę gniewnym prychnięciem.

- Masz skuter próżniowy?

- Wasi ludzie zostawili cztery, opuszczając w pośpiechu „Arkę”.

- To dobrze. Wezmę sobie jeden. - Szybkie spojrzenie rzucone na przyrządy powiedziało jej, że statek wreszcie wyruszył w drogę. - Jak wygląda sytuacja?

- Flotylla Planetarna ściga mnie niczym sfora psów gończych - odparł Haviland Tuf. - Na czele znajdują się krążowniki „Podwójna Spirala” i „Darwin”, a ich piloci bez ustanku obrzucają mnie wulgarnymi wyzwiskami, wojowniczymi oświadczeniami i nieszczerymi propozycjami. Te szaleńcze wysiłki nie mają najmniejszego sensu. Ekrany obronne,

wspaniale i fachowo naprawione przez pani pajęczarzy, w zupełności wystarczają, by uchronić „Arkę” przed skutkami ewentualnego ostrzału.

- Lepiej nie bądź tego taki pewien - poradziła mu ponuro Tolly Mune. - Jak tylko odleczę, wchodź w nadszybkłość i zwiewaj, gdzie popadnie.

- Uważam, że to rozsądna propozycja - zgodził się Tuf.

Tolly obrzuciła spojrzeniem szereg ekranów ciągnących się wzdłuż wąskiego pomieszczenia centrali łączności, stanowiącej teraz także punkt dowodzenia całym statkiem. Siedząc w fotelu, przygarbiona pod ciężarem pełnej grawitacji, po raz pierwszy od bardzo dawna wyglądała na swój wiek i czuła się dokładnie tak, jak wyglądała.

- Co się z panią teraz stanie, kapitanie Mune? - zapytał Tuf.

Spojrzała na niego.

- Och, to proste. Hańba. Aresztowanie. Pozbawienie urzędu. Może nawet oskarżenie o zdradę stanu. Nie obawiaj się, nie skazą mnie na śmierć. Przypuszczam, że wyląduję w jakiejś karnej kolonii na jednym z asteroidów. - Westchnęła ciężko.

- Rozumiem - powiedział Haviland Tuf. - W takim razie może zechciałaby pani ponownie rozważyć moją propozycję i pozostać na pokładzie „Arki”? Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybym mógł odwiedzić panią na Skrymir lub Planetę Henry’ego. Jeżeli miałaby pani życzenie oddalić się jeszcze bardziej od miejsca, gdzie została pani otoczona niesławą, to doszły mnie słuchy, że Yagabond ze swoimi Długimi Wiosnami jest bardzo atrakcyjną planetą.

- Musiałabym spędzić resztę życia w pełnym ciężeniu - odparła. - Nie, piękne dzięki, Tuf. To jest mój świat i moi ludzie. Wrócę do tego, co mnie tam czeka. Poza tym nie myśl, że uda ci się tak łatwo wykręcić - dodała, grożąc mu palcem. - Jesteś mi jeszcze co nieco winien.

- Trzydzieści cztery miliony kredytek, jeśli mnie pamięć nie myli - powiedział Haviland Tuf.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani moją śmiałość, ale chciałbym zapytać...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie.

Tuf zamrugał kilka razy.

- Przepraszam, jeżeli jestem zbyt natrętny, ale obawiam się, iż moja niespożyta ciekawość doprowadzi mnie pewnego dnia do zguby. W takim razie, dlaczego pani to zrobiła?

Tolly wzruszyła ramionami.

- Możesz mi uwierzyć albo nie, ale zrobiłam to dla Josena Raela.

- Dla Przewodniczącego Rady Planety? - upewnił się Tuf.

- Dla niego, a także dla pozostałych. Znam Josena od chwili, kiedy zaczynał karierę. To naprawdę nie jest zły człowiek. Oni w ogóle nie są złymi ludźmi. Po prostu starają się, jak mogą, żeby nakarmić swoje dzieci.

- Przyznam się, że nie jestem w stanie pojąć tej logiki.

- Byłam na tym posiedzeniu, Tuf. Siedziałam, słuchałam, co mówią, i widziałam, co zrobiła z nimi „Arka”. Znałam ich jako uczciwych, porządných ludzi, a ten cholerny statek zmienił ich w kłamców i oszustów. Wszyscy co do jednego kochają pokój, a mimo to byli gotowi wywołać wojnę, żeby zabrać ci tę skorupę. Wszystko, w co do tej pory wierzyli, obracało się wokół świętości ludzkiego życia, a teraz jakby nigdy nic dyskutowali o tym, ilu ludzi trzeba będzie zabić, żeby osiągnąć cel - zaczynając od ciebie, ma się rozumieć. Zajmowałeś się kiedyś historią, Tuf?

- Jestem daleki od tego, by uważać się za eksperta, ale z całą pewnością nie mógłbym także nazwać się ignorantem w tej dziedzinie.

- Jest takie stare powiedzenie, chyba jeszcze ze Starej Ziemi. Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie.

Tuf nic nie odpowiedział. Furia wskoczyła mu na kolana i ułożyła się do snu. Zaczęła ją gładzić dużą, białą dłonią.

- Sen o „Arce” zaczął już deprawować moją planetę - ciągnęła Tolly. - Jak sądzisz, co by się stało, gdyby sen zamienił się w rzeczywistość? Wolałam tego nie sprawdzać.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - W związku z tym ciśnie mi się na usta kolejne pytanie...

- Jakie?

- „Arka” należy do mnie, a tym samym w moim posiadaniu znalazła się absolutna władza.

- O, tak - przyznała Tolly Mune.

Tuf czekał w milczeniu. Tolly potrząsnęła głową.

- Nie wiem - przyznała wreszcie. - Może nie zdążyłam wszystkiego do końca przemyśleć. Może poszłam na żywioł. Może jestem największą idiotką w całym kosmosie.

- Z pewnością nie wierzy pani w to, co mówi.

- A może po prostu doszłam do wniosku, że lepiej pozwolić zdeprawować się tobie niż moim ludziom. Może uważam, że jesteś naiwny i nieszkodliwy, albo zdałam się na przecucie. - Westchnęła głęboko. - Nie wiem, czy istnieje człowiek, którego nie można

zdeprawować, ale jeżeli istnieje, to właśnie ty nim jesteś. Ostatni niewinny we wszechświecie. Byłeś gotów stracić to wszystko dla niej. - Wskazała ruchem głowy Furię. - Dla kota. Dla cholernego, przeklętego szkodnika. - Ale kiedy to mówiła, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Rozumiem - odparł Haviland Tuf.

Tolly dźwignęła się z wysiłkiem z fotela.

- Cóż, pora wracać i wygłosić tę samą przemowę przed znacznie mniej przyjazną widownią. Powiedz mi, gdzie są te skutery, i zawiadom moich przyjaciół, że do nich lecę.

- Bardzo proszę. - Tuf uniósł długi, biały palec. - Pozostaje jednak do wyjaśnienia jeszcze jeden drobny szczegół. Ponieważ wasi ludzie nie wykonali wszystkich ustalonych prac, nie wydaje mi się słuszne, abym musiał uiścić pełną opłatę w wysokości trzydziestu czterech milionów kredytek. Proponuję małą poprawkę. Czy byłaby pani skłonna zgodzić się na kwotę trzydziestu trzech milionów i pięciuset tysięcy?

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- A jaka to różnica? - zapytała wreszcie. - Przecież i tak tu nie wrócisz.

- Mimo to pozwalam sobie nalegać.

- Próbowaliśmy ukraść ci statek.

- To prawda. W takim razie może obniżymy należność do trzydziestu trzech milionów kredytek, traktując resztę jako swego rodzaju karę?

- Naprawdę chcesz wrócić? - zapytała Tolly Mune.

- Za pięć lat będę musiał uregulować pierwszą ratę - odparł Tuf. - W tym czasie będzie już można stwierdzić, czy i jaki efekt wywarły moje skromne udoskonalenia, które pozwoliłem sobie wam przedstawić. Niewykluczone, że uznacie za stosowne skorzystać po raz wtóry z moich usług.

- Nie wierzę ci - wykrztusiła ze zdumieniem Tolly.

Haviland Tuf uniósł rękę i podrapał za uchem siedzącego mu na ramieniu kota.

- Dlaczego wszyscy wątpią w nasze szczerze intencje? - zapytał z wyrzutem.

Kot nie odpowiedział.

STRAŻNICY

Haviland Tuf był głęboko rozczarowany Biorolniczą Wystawą Sześciu Planet.

Spędził na Brazelournie długi męczący dzień, przemierzając gigantyczne hale wystawiennicze. Od czasu do czasu przystawał na chwilę, by przyjrzeć się jakiejś nowej odmianie zboża albo usprawnionemu genetycznie owadowi. Chociaż w magazynach „Arki” znajdowały się próbki tkanek milionów gatunków zwierząt i roślin z trudnych do zliczenia planet, Haviland Tuf nigdy nie rezygnował ze sposobności wzbogacenia asortymentu.

Niestety, tylko nieliczne spośród wystawionych eksponatów wyglądały choć trochę obiecująco, a w miarę upływu czasu Tufowi coraz bardziej dawał się we znaki wypełniający hale tłum. Zwiedzający tłoczyli się wszędzie: tunelowi farmerzy z Yagabonda w ciemnokasztanowatych futrach, wyperfumowani właściciele ziemscy z Areeni w bujnych pióropuszkach, skromnie przyodziani ciemniacy i jaskrawo wystrojeni południowcy z Nowego Janusa, do tego zaś nieprzeliczone gromady tubylców. Wszyscy czynili ogromny hałas, wszyscy też bez skrępowania gapili się na Tufa. Niektórzy nawet ocierali się o niego, kiedy ich mijał, wywołując grymas niezadowolenia na jego bladej pociągłej twarzy.

Wreszcie, aby uciec ze ścisku, Tuf postanowił coś zjeść. Dostojnie przepchał się przez cizbę w kierunku wyjścia z hali. Na zewnątrz, na obszernym placu między budynkami ekspozycyjnymi, stało około setki budek z najróżniejszymi smakołykami. Stosunkowo najmniejszy tłok panował przy stoisku z prażonymi gruszkami cebulowymi; Tuf uznał, że prażona gruszka cebulowa jest tym, czego w tej chwili najbardziej pragnie.

- Szanowny panie - zwrócił się do sprzedawcy - czy zechciałby pan podać mi jedną sztukę?

Sprzedawca był okrągłutki, różowutki i miał na sobie brudny, zatłuszczony fartuch. Otworzył kuchenkę, sięgnął do środka ręką w ochronnej rękawicy, wyjął gorącą gruszkę i położył ją na ladzie przed Tufem.

- Spory jesteś - zauważył, spoglądając z podziwem na swego chwilowo jedyne go klienta.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf z kamienną twarzą, po czym zatopił zęby w aromatycznie pachnącym owocu.

- I do tego nietutejszy - dodał sprzedawca. - Założę się, że przyleciałeś z daleka.

Tuf błyskawicznie uporał się z gruszką, a następnie wytarł palce w serwetkę.

- Stwierdza pan oczywiste fakty - odparł, po czym uniósł długi biały palec. - Proszę jeszcze jedną.

Nieco urażony sprzedawca spełnił jego życzenie bez żadnych komentarzy. Tuf jadł w milczeniu, rozkoszując się niezrównanym, słodkim, a jednocześnie cierpkim smakiem. Beznamiętnie obserwował ruch na obszernym placu, publiczność tłoczącą się przed wejściami do hal oraz same hale. Skończywszy posiłek, z nieruchomą twarzą zwrócił się do sprzedawcy:

- Czy zechciałby pan odpowiedzieć na jedno pytanie?

- O co chodzi? - warknął nadąsany tłusciuch.

- Mam przed sobą pięć hal wystawowych. Odwiedziłem każdą z nich. - Zaczął wyliczać, wskazując palcem: - Brazelourn, Yale Areen, Nowy Janus, Yagabond oraz Ptoła. - Splótł długie białe palce i położył je na okazałym brzuchu. - Pięć, szanowny panie. Pięć hal, pięć planet. Jako cudzoziemiec doskonale zdaję sobie sprawę, że z pewnością nie orientuję się w większości miejscowych obyczajów, niemniej jednak ta zagadka wprowadziła mnie w niejakie zdumienie i wciąż nie daje mi spokoju. W zdecydowanej większości miejsc, które do tej pory odwiedziłem, na Biorolniczej Wystawie Sześciu Planet prezentowano by eksponaty właśnie z sześciu, nie z pięciu globów. Tutaj jednak jest inaczej. Czy mógłby pan poinformować mnie, dlaczego tak się dzieje?

- Nikt nie przyjechał z Namoru - odparł lakonicznie sprzedawca.

- Zaiste.

- Mają tam nieliczne kłopoty - rozszerzył swoją wypowiedź właściciel brudnego fartucha i budki z prażonymi gruszkami cebulowymi.

- W takim razie wszystko jasne - stwierdził Tuf. - A jeśli nie wszystko, to przynajmniej jakaś część. Zastanawiam się, czy zechciałby pan podać mi jeszcze jeden owoc, a przy okazji oświecić co do natury owych problemów? Obawiam się, że ciekawość jest moją największą wadą.

Sprzedawca ponownie założył rękawicę i sięgnął do kuchenki.

- Jest nawet takie powiedzenie: kto ciekawy, ten głodny.

- Zaiste - rzekł Tuf. - Przyznam, że nigdy do tej pory go nie słyszałem.

Grubas zmarszczył brwi.

- Chyba coś pokręciłem... O, już mam: kto głodny, ten ciekawy. Tak to idzie. Zresztą, nieważne. Po moich gruszkach prędko nie zgłodniejesz.

- Mam nadzieję - odparł Tuf, biorąc owoc do ręki. - Proszę mówić dalej.

Sprzedawca w dużym skrócie przedstawił mu problemy gnębiące mieszkańców planety Namor.

- Teraz sam rozumiesz, dlaczego nie biorą udziału w wystawie - zakończył. - Nie bardzo mieliby co pokazywać.

- Zgadzam się z panem - powiedział Tuf, wycierając usta serwetką. - Morskie potwory bywają ogromnie dokuczliwe.

Namor był ciemnozieloną, samotną planetą otoczoną postrzępionymi złocistymi chmurami. „Arka” majestatycznie weszła na orbitę. W długiej, wąskiej centrali łączności Haviland Tuf wędrował od fotela do fotela, studiując obrazy i dane przedstawiane na dziesiątkach ekranów. Towarzystwa dotrzymywały mu trzy małe szare kociaki. Skakały jak szalone po sprzętach, zatrzymując się od czasu do czasu tylko po to, żeby stoczyć krótką bitwę. Tuf nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

Wodna planeta. Z orbity gołym okiem widać było tylko jedną, niezbyt rozległą zwartą masę lądową, za pomocą kamer natomiast dało się dostrzec mnóstwo wysepek skupionych w długich, wygiętych łukowato archipelagach. Na tle szmaragdowej wody wyglądały jak naszyjniki z półszlachetnych kamieni rozrzucone na pokrytym delikatnymi zmarszczkami, ciemnozielonym atlasie. Niektóre ekrany pokazywały liczne punkciki światła na nocnej stronie planety, większe skupiska ludności na stronie dziennej były natomiast oznaczone pulsującymi kropkami.

Tuf uważnie obejrzał to wszystko, po czym zasiadł przy nieczynnej do tej pory konsolce, włączył ekran i rozpoczął grę wojenną z komputerem „Arki”. Jeden z kotów wskoczył mu na kolana i ułożył się do snu; Tuf bardzo się starał, żeby go nie obudzić, ale jego wysiłki nie na wiele się zdały, ponieważ zaledwie kilka minut później inny kociak wytropił pogrążonego we śnie towarzysza i napadł na niego zniemacka, co oczywiście skończyło się wielkim wrzaskiem i zamieszaniem. Tuf delikatnie zepchnął zaciętrzewionych wojowników na podłogę.

Co prawda później niż przypuszczał, ale jednak jego pojawienie się zbudziło czyjeś zainteresowanie.

- Statek na orbicie, statek na orbicie, tu kontrola lotów na Namorze. Podaj swoją nazwę i cel przybycia. Powtarzam: podaj nazwę i cel przybycia. Zespół przechwytyjący jest już w drodze.

Sygnal dochodził z jedynej masy lądowej. „Arka” natychmiast skierowała tam anteny nadawcze. Chwilę później Tuf ujrzał na ekranie samotną jednostkę zbliżającą się do jego okrętu.

- Tu „Arka” - powiedział głośno i wyraźnie. - Dziękuję za powitanie.

Na głównym ekranie pojawiła się okrągła twarz kobiety o krótko obciętych włosach. Kobieta, ubrana w ciemnozielony mundur ze złoceniami, siedziała przy pulpicie łączności.

Ujrawszy Tufa, zmarszczyła brwi i szybko zerknęła w bok, przypuszczalnie na zwierzchnika albo inny ekran.

- Podaj miejsce pochodzenia. Powtarzam: podaj miejsce pochodzenia i cel przybycia.

Komputer poinformował Tufa, że zbliżający się statek również nawiązał łączność z planetą. Ożyły dwa sąsiednie ekrany; jeden pokazywał młodą szczupłą kobietę o sporym zakrzywionym nosie, stojącą na mostku, drugi sporo od niej starszego mężczyznę siedzącego przy konsolce. Oni również mieli na sobie ciemnozielone mundury i z ożywieniem o czymś rozmawiali. Co prawda posługiwali się szyfrem, ale złamanie go zajęło komputerowi „Arki” zaledwie niespełna minutę.

- ...trafi, jeśli wiem, co to jest - powiedziała kobieta. - W życiu nie widziałam czegoś tak wielkiego. Boże, tylko spójrzcie na to! Widzicie to samo co ja? Odpowiedzieli na nasze wezwania?

- Namor do „Arki”, Namor do „Arki”! Podaj miejsce pochodzenia i cel przybycia. Powtarzam: podaj miejsce pochodzenia i cel przybycia.

- Tu „Arka” - powiedział Haviland Tuf, zwracając się jednocześnie do całej trójki. - Z przykrością muszę stwierdzić, że nie mam czegoś, co mógłbym uznać za miejsce pochodzenia, pragnę jednak państwa zapewnić o moich jak najbardziej pokojowych intencjach. Przybywam jako kupiec i doradca. Dowiedziawszy się o waszych kłopotach, czym prędzej pospieszyłem z pomocą. Zjawiłem się, żeby zaoferować wam moje usługi.

Kobieta ze statku wytrzeszczyła oczy.

- Co ty... - wykrztusiła, po czym umilkła.

Mężczyzna nic nie powiedział, tylko z otwartymi ustami wpatrywał się w niewzruszone, blade oblicze Tufa. Rezonu nie straciła tylko kobieta z kontroli lotów.

- Namor do „Arki”, Namor do „Arki”. Na planecie obowiązuje stan wojenny. Chwilowo nie prowadzimy żadnej wymiany handlowej. Powtarzam: nie prowadzimy wymiany handlowej.

Szczupła kobieta na pokładzie zbliżającego się statku odzyskała mowę:

- Tu Strażniczka Kefira Qay, dowódca NGS „Słoneczna Brzytwa”. Jesteśmy uzbrojeni. Natychmiast podajcie dokładne dane na swój temat. Jesteście tysiąc razy więksi od największego statku handlowego, jaki widziałam. Jeżeli natychmiast nie uzyskamy szczegółowych informacji, otworzymy do was ogień.

- Zaiste - westchnął Haviland Tuf. - Groźbami niewiele pani wskóra, Strażniczko. Proszę mi wierzyć, jestem ogromnie wzburzony. Przybyłem tu z Brazelournu, pokonując szmat drogi, żeby służyć wam pomocą i dobrą radą, wy zaś witacie mnie z nieufnością

niewiele różniącą się od wrogości. - Na kolana wskoczył mu jeden z kotków. Tuf zgarnął go wielką ręką i postawił na konsolocie, w zasięgu kamery. - Wierz mi, niewiele przyjaznych uczuć pozostało w ludzkich duszach - zwrócił się do niego z wyrzutem.

- „Słoneczna Brzytwa”, wstrzymajcie się z otwarciem ognia - odezwał się starszy mężczyzna. - Wy, tam na „Arce”: jeśli rzeczywiście macie pokojowe zamiary, udowodnijcie to, przekazując nam więcej wiadomości na swój temat. Kim jesteście? Mamy tu naprawdę ciężką sytuację, a Namor to niewielka, słabo rozwinięta planeta. Nigdy nie widzieliśmy takiego statku jak wasz. Żądamy wyjaśnień.

Haviland Tuf pogłaskał kota.

- Jak widzisz, tutaj także muszę walczyć z przesądami i uprzedzeniami - powiedział ze smutkiem. - Na szczęście dla tych ludzi, jestem gołębiego serca, w przeciwnym bowiem razie natychmiast odleciałbym stąd, pozostawiając ich własnemu losowi. - Spojrzał w ekran. - Szanowny panie, jestem Haviland Tuf, właściciel, dowódca i zarazem cała załoga „Arki”. Dowiedziałem się, że gnębią was potwory zamieszkujące głębiny mórz. Jestem gotów pomóc wam się ich pozbyć.

- Tu „Słoneczna Brzytwa”. Jak zamierzasz to zrobić?

- „Arka” jest biowojenną jednostką Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego - wyjaśnił Tuf formalnym tonem - ja natomiast jestem inżynierem ekologiem, specjalistą w zakresie wojen biologicznych.

- Niemożliwe - stwierdził stanowczo mężczyzna. - Korpus przestał istnieć ponad tysiąc lat temu, w tym samym czasie, kiedy upadło Imperium Federalne. Nie ocalał żaden z ich okrętów.

- Jakie to smutne - westchnął Tuf. - Jestem więc tylko złudzeniem. Skoro mój statek jest iluzją, bez wątpienia lada chwila przebiję jego nie istniejący pancierz i runę ku waszej planecie, aby spłonąć w jej atmosferze.

- Lordzie Strażniku, może te okręty nie istnieją, ale według wskazań naszych przyrządów mamy przed sobą statek długości prawie trzydziestu kilometrów - odezwała się Kefira Qay ze „Słonecznej Brzytwy”. - To nie złudzenie.

- A ja wciąż nie spadam - pospieszył jej w sukurs Haviland Tiif.

- Czy naprawdę możesz nam pomóc? - zapytała kobieta z ośrodka kontroli lotów.

- Dlaczego wszyscy wątpią w moje zdolności? - spytał Tuf kota.

- Lordzie Strażniku, chyba powinniśmy dać mu szansę udowodnienia, że mówi prawdę - powiedziała kobieta o okrągłej twarzy.

Tuf zamrugał dwa razy.

- Choć pod moim adresem kierowano nieuzasadnione groźby, obrażano mnie i zarzucano kłamstwo, nie cofam mojej propozycji. Proponuję, żeby „Słoneczna Brzytwa” przycumowała do „Arki”. Strażniczka Qay może przejść na pokład mojego statku i spożyć ze mną wieczorny posiłek, a przy okazji porozmawiać. Chyba nie jesteście aż tak podejrzliwi, żeby obawiać się zwykłej rozmowy, ulubionej rozrywki wszystkich ludzkich istot?

Troje Strażników pograżyło się w gorącej dyskusji, w której uczestniczyła również osoba albo osoby spoza ekranów. Haviland Tuf czekał cierpliwie, głaszcząc kotka.

- Nazwę cię Podejrzliwość - poinformował go - dla upamiętnienia przyjęcia, jakie mnie tu spotkało. Twoi bracia i siostry będą nosić imiona: Żal, Wrogość, Niewdzięczność i Głupota.

- Przyjmujemy twoją propozycję - oświadczyła wreszcie Strażniczka Kefira Qay. - Przygotuj się do operacji cumowania.

- Zaiste - odparł Tuf. - Czy lubi pani grzyby?

Lądowisko „Arki” dorównywało rozmiarami sporemu portowi planetarnemu, wyglądało natomiast jak złomowisko, na którym zgromadzono sporą kolekcję wiekowych pojazdów kosmicznych. Stosunkowo najlepiej prezentowały się stojące w równym szeregu promy orbitalne „Arki”: czarne statki o pękatych kadłubach i krótkich trójkątnych skrzydłach, przystosowane do lotów w atmosferze i, mimo upływu lat, ciągle sprawne. Pozostałe jednostki przedstawiały sobą znacznie gorszy widok: przypominający kształtem łzę avaloński frachtowiec przysiadł nisko na trzech podporach, nieco dalej przycupnął stateczek kurierski o mocno powgniatanym i w wielu miejscach podejrzanie osmalonym pancerzu, tuż obok zaś stał prom z Karaleo, zbudowany na podobieństwo lwa, ale prawie całkiem pozbawiony zdobiących go niegdyś ornamentów. Dalej, na okrągłych stanowiskach, trwały w bezruchu pojazdy jeszcze bardziej niezwykłych kształtów.

Ogromna kopuła podzieliła się na sto sierpowatych segmentów, które majestatycznie rozsunęły się na boki, odsłaniając niewielkie żółte słońce otoczone gwiazdami oraz ciemnozielony płaski statek mniej więcej wielkości promów orbitalnych „Arki”. Jak tylko „Słoneczna Brzytwa” łagodnie osiadła na lądowisku, kopuła zamknęła się nad nią, a pompy wtłoczyły powietrze do gigantycznej hali. Wkrótce potem zjawił się tam również Haviland Tuf.

Co prawda Kefira Qay zacisnęła usta w wąską kreskę i starała się zbytnio nie rozglądać, to jednak w jej oczach bez trudu można było dostrzec podziw i zdumienie. Towarzyszyli jej dwaj uzbrojeni mężczyźni w złocistych kombinezonach z zielonymi

zdobieniami.

Haviland Tuf czekał na nich w otwartym trójkołowym pojeździe.

- Wydaje mi się, Strażniczko Qay, że moje zaproszenie dotyczyło tylko jednej osoby - powiedział na widok jej eskorty. - Przykro mi, jeśli zaszło nieporozumienie, ale nic nie mogę na to poradzić.

- W porządku. - Odwróciła się do obstawy. - Zaczekajcie z pozostałymi. Wiecie, co macie w razie czego robić. - Zajęła miejsce obok Tufa. - Jeśli za dwie godziny nie wrócę cała i zdrowa na pokład, „Słoneczna Brzytwa” wypruje flaki z twojej „Arki”.

Tuf zamrugał powoli.

- To przerażające - stwierdził beznamiętnym tonem. - Gdziekolwiek się ruszę, spotykają mnie groźby i pomówienia.

Jechali w milczeniu przez labirynt korytarzy i pomieszczeń, aż wreszcie dotarli do hali o wysokim łukowatym sklepieniu, ciągnącej się chyba przez całą długość statku. Jak okiem sięgnąć, tłoczyły się w niej przezroczyste zbiorniki najróżniejszych rozmiarów; większość była pusta i zakurzona, niektóre natomiast były wypełnione różnobarwnymi cieczami, w których poruszały się lekko albo tkwiły nieruchomo przedmioty o trudnych do zidentyfikowania kształtach. Kefira Qay przyglądała się uważnie, ale nic nie mówiła. Przejechali jeszcze około trzech kilometrów, a potem Tuf nagle skręcił ku ścianie, która otworzyła się przed nimi. Wkrótce potem zatrzymał pojazd.

W niewielkiej, spartańsko urządzonej mesie czekał nadzwyczaj obfity posiłek. Zaczęli od mrożonej zupy, słodko-pikantnej i czarnej jak smoła, potem była sałatka z neotrawy, główne danie zaś stanowiły pieczone kapelusze grzybów wielkości dużego talerza z dodatkiem kilku gatunków warzyw podanych na osobnych salaterkach. Strażniczka pałaszowała z apetytem.

- Odnoszę wrażenie, że ten skromny poczęstunek przypadł pani do gustu - zauważył Haviland Tuf.

- Nie pamiętam już, kiedy ostatnio jadłam posiłek z prawdziwego zdarzenia - odparła Kefira Qay. - Odżywiamy się głównie tym, co da nam morze. Kiedyś było tego pod dostatkiem, ale ostatnio... - Nadziała na widelec kilka ciemnych poskręcanych łydzynek, ociekających żółtobrazowym sosem. - Co to jest? Smakuje wyśmienicie.

- Grzeszniczak z Rhiannon w sosie musztardowym.

Qay wsadziła porcję do ust, przeżuła, po czym przełknęła z błogim uśmiechem.

- Ale przecież Rhiannon jest kawał drogi stąd! W jaki sposób... Nie dokończyła pytania, lecz Tuf ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- Zgadła pani - powiedział, a następnie splótł dłonie i oparł na nich brodę, nie spuszczać nieruchomego spojrzenia z twarzy kobiety. - Wszystko, co pani je, zostało wyhodowane na „Arce”, choć produkty te wywodzą się co najmniej z dziesięciu planet. Może jeszcze trochę pikantnego mleka?

- Nie, dziękuję. - Rozejrzała się po stole zastawionym niemal całkowicie opróżnionymi naczyniami. - A więc nie kłamałeś. „Arka” to rzeczywiście okręt... Czyj?

- Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego dawnego Imperium. Jednostek takich jak ta było zaledwie kilka. Niemal wszystkie uległy zniszczeniu w trakcie działań wojennych. Ocalała jedynie „Arka” i przez ponad tysiąc lat czekała w częściowym uśpieniu na nowego właściciela. Nie będę zanudzał pani szczegółami; wystarczy, jeśli powiem, że znalazłem ją i uruchomiłem.

- Znalazłeś?

- O ile się nie mylę, przed chwilą to powiedziałem, używając zresztą tego samego słowa. Uprzejmie proszę, by zechciała pani słuchać mnie z większą uwagą, ponieważ nie lubię się powtarzać. Zanim znalazłem „Arkę”, wiodłem skromny żywot drobnego kupca. Mój poprzedni statek stoi na lądowisku. Możliwe, że zwróciła pani na niego uwagę.

- A więc tak naprawdę jesteś zwykłym kupcem!

- Ależ proszę pani! - odparł Tuf z urazą w głosie. - Jestem inżynierem ekologiem. „Arka” potrafi zmieniać los całych planet. To prawda, że samotnie kieruję olbrzymem, na którym niegdyś było pod dostatkiem zajęć dla dwuosobowej załogi, oraz że brakuje mi wykształcenia i doświadczenia, jakimi setki lat temu dysponowali członkowie Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego, niemniej jednak, na miarę moich skromnych możliwości, dam sobie jakąś radę. Jeśli Namor zwróci się do mnie z prośbą o pomoc, chętnie mu jej udzielę.

- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie Strażniczka. - Czemu tak ci się spieszy, żeby nam pomagać?

Haviland Tuf bezradnie rozłożył duże białe ręce.

- Wiem, że być może uzna mnie pani za głupca, ale nic na to nie poradzę. Natura wyposażyła mnie w głęboko współczującą duszę, wrażliwą na cudze nieszczęścia. Nie mogę opuścić was w potrzebie, tak samo jak nie mógłbym świadomie skrzywdzić żadnego z moich kotów. Przypuszczam, że dawni właściciele „Arki” mieli twardsze serca, ja jednak, choćbym chciał, nie jestem w stanie zmienić swojej sentymentalnej natury. Dlatego właśnie siedzę teraz tutaj przed panią, gotów w każdej chwili przystąpić do dzieła.

- I nie chcesz niczego w zamian?

- W zupełności wystarczy mi zwrot kosztów. Ponieważ będą dość znaczne, przydałaby

mi się mała zaliczka, powiedzmy, w wysokości trzech milionów kredytek. Czy sądzi pani, że to uczciwa propozycja?

- A jakże! - parsknęła z przekąsem. - Za takie pieniądze można oczekiwać przynajmniej uczciwości, ale my już nie damy się tak łatwo nabrać. Nie jesteś pierwszy, Tuf. Byli tu przed tobą inni, którzy też chcieli szybko wzbogacić się kosztem naszego nieszczęścia.

- Wyrządza mi pani wielką krzywdę - odparł ze smutkiem Tuf. - Nie dbam o siebie, tylko o „Arkę”; jest ogromna, a jej utrzymanie nadzwyczaj kosztowne. Może więc dwa miliony byłyby łatwiejsze do zaakceptowania? Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że wasza planeta jest warta mniej niż nędzne dwa miliony kredytek?

Kefira Qay westchnęła głęboko.

- Nie - odparła z bolesnym grymasem na wąskiej twarzy. - Nie chcę ci tego powiedzieć. Jest tyle warta, ale pod warunkiem, że dotrzymasz słowa. Naturalnie zdajesz sobie sprawę, że dysponujemy ograniczonymi środkami, więc najpierw będę musiała porozumieć się z przełożonymi. Nie mogę sama podjąć takiej decyzji. - Niespodziewanie podniosła się z fotela. - Gdzie masz centralę łączności?

- Zaraz po wyjściu z jadalni proszę skrócić w lewo i iść wzdłuż błękitnej linii w podłódze. Piąte drzwi po prawej stronie.

Tuf zaczekał, aż Strażniczka wyjdzie, po czym wstał z godnością i przystąpił do sprzątnięcia ze stołu.

Kiedy kobieta wróciła, czekał na nią z otwartym pojemnikiem zawierającym szkarłatny trunek, głaszcząc czarno-białego kota, który rozłożył się przed nim na stole.

- Dostałeś tę robotę, Tuf - oznajmiła Kefira Qay i usiadła naprzeciwko. - Dwa miliony kredytek, ale dopiero po wykonaniu zadania.

- Zgoda. Proponuję, byśmy omówili szczegóły, racząc się tym wysmienitym napojem.

- Alkohol?

- Łagodny narkotyk.

- Strażnikowi nie wolno korzystać z żadnych środków pobudzających ani odurzających. Jesteśmy żołnierzami, a takie substancje zatruwają organizm i powodują spowolnienie reakcji. Strażnik musi być zawsze gotów do działania.

- Postawa godna najwyższej pochwały - stwierdził z uznaniem Tuf, po czym napełnił swój kielich.

- „Słoneczna Brzytwa” musi jak najprędzej wracać na planetę. Potrzebujemy jej siły ognia.

- W takim razie przygotuję wszystko do jej odlotu. A co z panią?
- Zostałam oddelegowana - odparła z niechętnym grymasem na twarzy. - Mam dostarczać ci wszelkich informacji i pełnić funkcję łącznika między tobą a naszymi ludźmi.

Woda rozciągała się od horyzontu po horyzont niczym doskonale gładkie zielone lustro.

Dzień był gorący. Jaskrawożółty słoneczny blask bez trudu przenikał przez cienką warstwę złocistych obłoków. Statek unosił się nieruchomo na wodzie; wysokie burty lśniły metalicznie w promieniach słońca, na odkrytym pokładzie trwała gorączkowa krzątanina - oaza ruchu na bezkresnym oceanie spokoju. Małeńcy jak owady, obnażeni do pasa mężczyźni i kobiety, w pocie czoła pracowali przy włókach i sieciach. Z wody wynurzyła się ogromna metalowa łapa wypełniona ociekającymi wodą roślinami, przesunęła się nad otwartą ładownię i zrzuciła tam ładunek. Nieco dalej stały skrzynie pełne dużych mlecznych meduz.

Nagle na pokładzie wybuchło zamieszanie. Z niewiadomego powodu część ludzi porzuciła pracę i zaczęła biegać w tę i z powrotem, inni natomiast znieruchomieli na swoich stanowiskach i rozglądali się dokoła ze zdziwieniem. Tylko nieliczni jakby nigdy nic dalej wykonywali swoje obowiązki. Wielka metalowa łapa opadła z pluskiem do wody; niemal w tej samej chwili przy drugiej burcie wyłoniła się taka sama. Zamieszanie wzmagало się z każdą chwilą. Dwaj mężczyźni zderzyli się i runęli na pokład.

A potem spod kadłuba wystrzeliła pierwsza macka.

Przy końcu miała średnicę męskiego ramienia, ale w miejscu, gdzie wyłaniała się z wody, dorównywała grubością pniu potężnego drzewa. Była biała i śliska, od spodu zaś pokrywały ją jaskrawopomarańczowe spodkowate narośla, poruszające się i pulsujące niezależnie od niej. W pewnej chwili z koniuszka macki wyrosło kilkanaście mniejszych, znacznie ciemniejszych i bardziej ruchliwych.

Wznosiła się coraz wyżej, a potem spadła i owinęła się wokół kadłuba statku. Kilka sekund później z wody wyłoniła się druga macka, następnie trzecia i czwarta. Jedna z nich zaatakowała metalową łyżkę, inna bez najmniejszego trudu rozdarła na strzępy solidną sieć. Teraz już wszyscy ludzie biegali jak szaleni - wszyscy z wyjątkiem tych, których dosięgły macki. Kobieta, którą biały twór oplótł w pasie, walczyła za pomocą siekiery, ale niewiele jej to dało; w pewnej chwili wyprężyła się gwałtownie i znieruchomiła, siekiera wypadła jej z rąk, macka natomiast, brocząc lepką białawą cieczą z płytkich ran, porzuciła zwłoki i chwyciła kolejną ofiarę.

Kiedy z morza wyłoniła się dwudziesta macka, statek raptownie przechylił się na

prawą burtę. Nieliczni członkowie załogi, którzy jeszcze pozostali przy życiu, zaczęli zsuwać się po pokładzie. Przechył powiększał się w błyskawicznym tempie, a jednocześnie kadłub wyraźnie się zanurzał, jakby jakaś potworna siła ciągnęła go w głąb oceanu. Woda runęła do ładowni spienionym strumieniem i niemal w tej samej chwili statek rozpadł się na dwie części.

Haviland Tuf zatrzymał projekcję. Rozgrywająca się na ekranie tragedia zamieniła się w nieruchomy obraz przedstawiający intensywnie zielone morze, złociste słońce, roztrzaskany statek i opasujące go białe macki.

- Czy to był pierwszy atak? - zapytał.

- Tak i nie - odpowiedziała Kefira Qay. - Wcześniej zaginęły bez wieści dwie jednostki pasażerskie i jeden kombajn taki sam jak ten. Oczywiście przeprowadziliśmy szczegółowe dochodzenie, ale niczego nie zdołaliśmy ustalić. Ten atak został sfilmowany przez ekipę realizującą w pobliżu program edukacyjny. Przypadkiem trafiło im się coś znacznie ciekawszego.

- Zaiste - mruknął Tuf.

- Wszystko jedno. W każdym razie z mnóstwem, a nie z jednym zabłąkanym egzemplarzem. Natychmiast wysunięto teorię, że tam, w głębinach, doszło do trudnej do wyobrażenia katastrofy, w wyniku której cały gatunek musiał zmienić miejsce zamieszkania.

- Pani jednak w nią nie wierzy, prawda? - domyślił się Haviland Tuf.

- Nikt już w nią nie wierzy, bo została obalona. Okazało się, że pancerniki nie wytrzymałyby ciśnienia panującego na większych głębokościach. Tak więc wciąż nie wiemy, skąd się wzięły. - Skrzywiła się z odrazą. - Tylko tyle, że są.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Z pewnością nie czekacie z założonymi rękami, tylko stawiacie czynny opór?

- Oczywiście, ale na dłuższą metę nie mamy szans. Namor to młoda planeta; brakuje nam ludzi i środków na prowadzenie wyniszczającej wojny. Na ponad siedemnastu tysiącach wysp i wysepek mieszka zaledwie około trzech milionów kolonistów plus niecały milion na Nowej Atlantydzie, naszym jedynym kontynencie. Większość tych ludzi to rybacy i morscy farmerzy. Na początku konfliktu nas, Strażników, było tylko pięćdziesiąt tysięcy. Jesteśmy potomkami załóg, które przywiozły kolonistów ze Starego Posejdona i Aquariususa. Od początku zapewnialiśmy im spokój, ale przed pojawieniem się pancerników nasze zadanie było dziecinnie proste, ponieważ właściwie nie zdarzały się poważniejsze konflikty. Owszem, od czasu do czasu dochodziło do waśni między Posejdonianami i Aquarianami, ale nigdy nie było to nic poważnego. Strażnicy troszczyli się o bezpieczeństwo całej planety, choć

najwięcej pracy mieli przy okazji rozmaitych katastrof, klęsk żywiołowych albo bardzo rzadkich zamieszek. Oprócz „Słonecznej Brzytwy” i jeszcze dwóch bliźniaczych jednostek, dysponujemy prawie setką szybkich łodzi patrolowych. Wykorzystujemy je do ratowania tych, którzy przeżyli atak pancerników, a niekiedy staramy się też przeprowadzać działania zaczepne - niestety, bez powodzenia. Niedawno zresztą przekonaliśmy się ponad wszelką wątpliwość, że pancerników jest więcej niż naszych łodzi.

- A na dodatek, jak przypuszczam, wasze łodzie nie rozmnażają się, w przeciwieństwie do pancerników.

- Właśnie. Mimo to robiliśmy, co w naszej mocy. Niszczyliśmy je bombami głębinowymi i torpedami. Ginęły setkami, ale zaraz zjawiały się nowe, a nasze straty, chociaż nieporównanie mniejsze, były znacznie bardziej dotkliwe, bo nieodwracalne. Nasze możliwości techniczne są mocno ograniczone. Za lepszych czasów importowaliśmy wszystko, czego nam trzeba, z Brazelournu i Yale Areen. Nie było tego wiele, bo nie mamy dużych wymagań. Poza tym, nawet gdybyśmy chcieli, i tak nie zdołalibyśmy rozwinąć przemysłu, bo Namor prawie nie ma złóż rud metali i jest zupełnie pozbawiony surowców energetycznych.

- Ile łodzi patrolowych wam jeszcze zostało? - zapytał Tuf. Głupota i Żal toczyły zażartą bitwę na jego kolanach.

- Około trzydziestu. Już prawie ich nie używamy. W ciągu roku po pierwszym ataku pancerniki przejęły kontrolę nad wszystkimi szlakami morskimi. Nie ocalał ani jeden kombajn, setki farm zostało zniszczonych albo opuszczonych, zginęła połowa indywidualnych rybaków, pozostali zaś bali się wychylić nos z portu. Pancerniki niepodzielnie zawładnęły morzami Namoru.

- Domyślam się, że doprowadziło to do przerwania komunikacji między wyspami?

- Niezupełnie. Strażnicy mieli dwadzieścia uzbrojonych śmigaczy, a oprócz tego w rękach prywatnych było około setki cywilnych śmigaczy i chyzolotów. Zarekwirowaliśmy je wszystkie i przygotowaliśmy do walki, ale w naszych warunkach z tych maszyn jest niewiele pożytku, bo są kosztowne w eksploatacji, a na dodatek ciągle brakuje nam części zamiennych. W związku z tym od początku osadnictwa do transportu powietrznego używano głównie wielkich, wypełnionych helem i napędzanych silnikami na baterie słoneczne sterowców. Było ich w sumie około tysiąca sztuk. Podczas kryzysu to one zaopatrywały w żywność mieszkańców wysp, którym zagrażał głód, natomiast pozostałe statki powietrzne wzięły na siebie ciężar walki. Wrzucaliśmy do wody trucizny, bomby, miny i torpedy, zabijając tysiące pancerników, ale koszty prowadzenia wojny były przerażające, ponieważ toksyny zabijały nie

tylko naszych wrogów, ale i całe życie biologiczne na najbardziej żyznych terenach. Niestety, nie mieliśmy wyboru. Przez pewien czas wydawało nam się nawet, że uzyskaliśmy przewagę. Kilka kutrów eskortowanych przez śmigacze wypłynęło na łowiska, nappełniło ładownie i bezpiecznie wróciło do portu.

- Najwyraźniej jednak nie był to koniec konfliktu, bo przecież nie siedzielibyśmy tutaj i nie rozmawiali na ten temat - zauważył Tuf. Żal tak mocno uderzył na odlew Głupotę w ucho, że mniejszy kociak aż spadł na podłogę. Tuf schylił się i zgarnął go wielką ręką. - Proszę go potrzymać - powiedział, wręczając kota Strażniczce. - Ich mała wojna nie pozwala mi skupić się na waszej, znacznie większej.

- Ja... To znaczy, oczywiście. - Kobieta ostrożnie wzięła do ręki puchatą czarno-białą kulkę. Była tak mała, że bez trudu zmieściła jej się na dłoni. - Co to jest?

- Kot - wyjaśnił Haviland Tuf. - Lada chwila zeskoczy na podłogę, jeśli nadal będzie pani trzymała go tak, jakby był nadpsutym owocem. Proszę go przygarnąć. Zapewniam panią, że jest całkowicie nieszkodliwy.

Kefira Qay bez przekonania położyła sobie kota na kolanach. Głupota zachwiała się i, żeby odzyskać równowagę, wbiła pazurki w ciemnozielony materiał.

- Au! - pisnęła zaskoczona Strażniczka. - To ma szpony!

- Pazury - sprostował Tuf. - Na razie bardzo małe i niegroźne.

- Chyba nie są zatrute?

- Na pewno nie. Proszę go pogłaskać, najlepiej od przodu ku tyłowi. Na pewno od razu się uspokoi.

Kefira Qay niepewnie dotknęła kociego łebka.

- Powiedziałem: pogłaskać, nie poklepać.

Strażniczka przesunęła ręką po zjeżonej sierści. Głupota niemal natychmiast zaczęła głośno mruścić. Kobieta cofnęła rękę i z przerażeniem spojrzała na Tufa.

- To całe drży i wydaje groźne odgłosy!

- Taka reakcja świadczy o głębokim zadowoleniu - zapewnił ją Haviland Tuf. - Proszę kontynuować pieszczoty oraz wykład.

- Tak, oczywiście. - Ponownie zaczęła głaskać kota, który natychmiast odprężył się i wygodnie ułożył na jej kolanach. - Włącz następny zapis.

Tuf jednym naciśnięciem klawisza oczyścił główny ekran, po czym wywołał zupełnie inną scenę. Sądząc po kolorze nieba i wyglądzie wzburzonego morza, był wietrzny zimowy dzień. Na falach, niczym ogromny kwiat o dwudziestu smukłych płatkach, unosił się wielki pancernik. Kiedy maszyna, na której pokładzie zainstalowano urządzenie rejestrujące,

przelatywała nad nim, wyciągnął ku niej dwie białe macki; była jednak za wysoko, żeby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Plan zmienił się, dzięki czemu Tuf stwierdził, że obserwuje rozwój wypadków z przeszklonej gondoli ogromnego srebrzystego sterowca, majestatycznie sunącego nad falami w towarzystwie dwóch bliźniaczych jednostek.

- „Duch Aquarius”, „Lyle D.” i „Cień na Niebie”, w drodze na jeden z północnych archipelagów, gdzie zapanowała klęska głodu. Miały odszukać tych, co przeżyli, i ewakuować ich na Nową Atlantyde - wyjaśniła Kefira ponurym tonem. - Nagrania dokonał reporter podróżujący „Cieniem na Niebie”, jedynym sterowcem, który ocalał. Patrz uważnie.

Potężne statki powietrzne spokojnie sunęły naprzód. Nagle pod srebrzystobłękitnym „Duchem Aquarius” zakotłowała się woda. Jakiś ciemny kształt z ogromną prędkością pędził ku powierzchni. Kilka sekund później kipiel rozstała się i z głębin wyprysnął gigantyczny czarny bąbel, przypominający rozmiarami sporą wyspę. Dostojnie wzniósł się w powietrze, bez trudu dogonił sterowiec, a kiedy znalazł się przy nim, chwycił go zwisającymi do tej pory bezwładnie mackami. Dalej wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie: powłoka sterowca została rozdarta z taką łatwością, jakby była wykonana z cienkiego papieru, metalowy szkielet uległ zmiążdżeniu, gondola rozprysła się niczym szklana bańka. Czarny stwór jeszcze przez chwilę zgniatał i ścisnął resztki statku powietrznego, a następnie pozwolił im runąć do oceanu. Tuf zatrzymał obraz, po czym bez słowa wpatrzył się w maleńkie sylwetki unoszące się na wzburzonej wodzie wśród pogruchotanych szczątków.

- Ten sam los, tyle że w drodze powrotnej, spotkał „Lyle D.” - powiedziała Kefira Qay. - „Cień na Niebie” ocalał, ale nie na długo, bo zaginął bez wieści podczas kolejnej misji. W ciągu tygodnia po pojawieniu się ognistych balonów straciliśmy ponad sto sterowców i dwanaście śmigaczy.

- Ogniste balony? - zdziwił się Tuf, po czym pogłaskał Żalę, który tymczasem wdrapał się na konsolę. - Przyznam ze wstydem, że nie zauważyłem żadnego ognia.

- Nazwa powstała po tym, jak udało nam się zniszczyć pierwszy balon. Po trafieniu pociskiem eksplodował z ogromnym hukiem i stanął w płomieniach. Są cholernie łatwopalne. Wystarczy raz musnąć je promieniem lasera.

- Wodór - domyślił się Haviland Tuf.

- Zgadza się - potwierdziła Strażniczka. - Co prawda nigdy nie zdołaliśmy żadnego schwytać, ale ustaliliśmy to na podstawie oględzin szczątków. Te stworzenia potrafią przeprowadzić coś w rodzaju elektrolizy; tlen jest wydalany na zewnątrz, umożliwiając im poruszanie się w wodzie albo w powietrzu, natomiast wodór napęnia gumiącą powłokę, dzięki czemu stwór może wznieść się na całkiem sporą wysokość. Wystarczy otwarcie klapki

na samym szczycie, żeby gaz uciekł, i wtedy pusty balon spada do wody. Są powolne, ale przebiegłe. Potrafią na przykład zacząć się w chmurach i atakują z góry. Najgorsze jest to, że rozmnażają się równie szybko jak pancerniki.

- Nadzwyczaj interesujące - stwierdził Tuf. - Nie popełnię chyba wielkiego błędu, jeśli wyrażę przypuszczenie, że w chwili pojawienia się ognistych balonów utraciliście kontrolę również nad przestrzenią powietrzną waszej planety?

- Mniej więcej - przyznała niechętnie kobieta. - Sterowce są po prostu za wolne, żeby przed nimi uciec. Przez pewien czas organizowaliśmy konwoje eskortowane przez uzbrojone śmigacze i chyzoloty, ale to też nie dało rezultatu. Kiedy nastał Ognisty Świt... Widziałam to na własne oczy, bo dowodziłam śmigaczem eskorty. Okropność.

- Proszę mówić dalej - zachęcił ją Tuf.

- Tak, oczywiście... A więc, Ognisty Świt. Konwój składał się z trzydziestu sterowców i dziesięciu śmigaczy osłony. Trasa była wyjątkowo długa: z Nowej Atlantydy na Złamaną Rękę, jeden z większych archipelagów. Tuż przed świtem drugiego dnia, kiedy na wschodzie pojawiła się zorza, ocean pod nami zaczął... kipieć. Powiadam ci, zupełnie jak zupa w garnku. Zaraz potem w powietrze wzbily się dziesiątki, setki czarnych balonów. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie szybowały ohydne wzdęte potwory ze zwisającymi bezwładnie mackami. Użyliśmy laserów, broni palnej, ładunków wybuchowych - wszystkiego, czym dysponowaliśmy. Rozpętało się prawdziwe piekło. Wszystkie balony były wypełnione wodorem, a w powietrzu znalazło się dużo więcej tlenu niż zwykle, bo przecież bez przerwy go wydalały. Tak, to był prawdziwy Ognisty Świt. Coś potwornego. Krzyki ludzi płonących żywcem, nieustający huk eksplozji, nasze sterowce spadające do morza... W dole czekały pancerniki. Widziałam, jak ich ohydne białe macki owijają się wokół rozbitków i duszą ich albo wciągają pod wodę. Z całego konwoju ocalały cztery śmigacze. Cztery, rozumiesz? Straciliśmy osiem uzbrojonych śmigaczy, trzydzieści sterowców i wszystkich ludzi, którzy byli na ich pokładach.

- Ponura historia - powiedział Tuf. Na jego bladej pociągłej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Kefira Qay zacisnęła usta i nerwowo głaskała Głupotę, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym ognisty balon wisiał nieruchomo nad szczątkami „Ducha Aquariususa”. Milczenie przeciągało się, aż wreszcie Strażniczka podjęła opowieść:

- Od tamtej pory nasze życie zamieniło się w koszmar. Ocean jest dla nas prawie niedostępny, a trzy czwarte ludności cierpi głód, ponieważ tylko na Nowej Atlantydzie istnieją warunki do rozwoju tradycyjnego rolnictwa. Musieliśmy rzucić do walki „Słoneczną

Brzytwę” oraz dwa pozostałe statki kosmiczne. Używamy ich do bombardowań, rozrzucania trucizny i do ewakuowania ludzi z mniejszych wysepek. Dzięki ocalałym chyżolotom i śmigaczom udaje nam się utrzymywać łączność między osiedlami. Mamy też radio, ale i tak z trudem dajemy sobie radę. W ciągu minionego roku zamilkło ponad dwadzieścia nadajników. Prawie za każdym razem wysyłaliśmy śmigacze, żeby sprawdzić, co się stało. Załogi tych, które wróciły, przedstawiały identycznie brzmiące raporty: wszędzie trupy rozkładające się w promieniach słońca, zrujnowane budowle, martwa cisza. Tylko na jednej wyspie znaleźliśmy coś szczególnego... i przerażającego. Zresztą, sam zobacz.

Tuf dotknął kilku przycisków.

Na błękitnej plaży leżało ogromne gnijące cielsko. W przeciwieństwie do poprzednich nagrań, tym razem mieli do czynienia z pojedynczym zdjęciem. Tuf i Kefira długo przyglądali się w milczeniu gigantycznej padlinie otoczonej wianuszkami ludzkich zwłok, dzięki czemu łatwiej było oszacować jej rozmiary. Martwy okaz przypominał kształtem odwróconą do góry dnem miskę i dorównywał wielkością sporemu domowi. Jego gruba skóra, w wielu miejscach popękana i pokryta bąblami, miała szarozieloną barwę. Od korpusu promieniście rozbiegały się kończyny: dziesięć poskręcanych zielonych macek z wyraźnie widocznymi, białoróżowymi ssawkami oraz dziesięć znacznie grubszych, niemal czarnych, ze stawami.

- Nogi - wycodziła z odrazą Strażniczka. - To cholera poruszało się na nogach. Znaleźliśmy tylko ten jeden okaz, ale w zupełności nam to wystarczy. Teraz już wiemy, dlaczego milkną nadajniki na wyspach. Potwory wychodzą z morza. Takie jak ten, większe i mniejsze, chodzą jak pająki i chwytają ludzi mackami. Ich skóra jest tak gruba, że przypomina pancerz; jeden celny strzał to za mało, żeby pozbyć się przybysza. Sam widzisz, co się dzieje: najpierw woda, potem powietrze, teraz ląd. Wyłażą z morza tysiącami i prą naprzód jak przypływ, którego nic nie może zatrzymać. W zeszłym tygodniu straciliśmy dwie kolejne wyspy. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce zabraknie dla nas miejsca na planecie. Być może nieliczni ocaleją na Nowej Atlantydzie, w najtrudniej dostępnych górskich rejonach, ale na jak długo? - Zawiesiła głos, po czym sama odpowiedziała na swoje pytanie: - Tylko do chwili, kiedy Namor wypuści na nas kolejną koszmarną zjawę.

Jej głos balansował blisko krawędzi hysterii. Haviland Tuf wyłączył wszystkie ekrany.

- Proszę się uspokoić, Strażniczko - powiedział, odwróciwszy się do kobiety. - Pani obawy są zrozumiałe, choć stanowczo przedwczesne. Teraz, kiedy już dokładnie poznałem waszą sytuację, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że choć istotnie poważna, to jednak na pewno nie jest beznadziejna.

- Wciąż uważasz, że możesz nam pomóc? - zapytała z niedowierzaniem. - Zupełnie sam na tym ogromnym statku? Oczywiście nie chciałabym cię zniechęcić, bo jesteśmy gotowi chwycić się każdej szansy, ale...

- Ale nie wierzy mi pani - dokończył za nią Tuf, po czym westchnął cicho. - Zaiste - zwrócił się do szarego kotka, głaszcząc go dużą białą ręką - gdyby było was sześcioro, nazwałbym jednego z was Niedowiarkiem. - Przeniósł wzrok z powrotem na Strażniczkę. - Jestem jednak człowiekiem, który nie potrafi długo nosić urazy w sercu, a poza tym zdaję sobie sprawę, że ostatnio przeżyła pani wiele ciężkich chwil, w związku z czym przymknę oczy na lekceważenie, z jakim, jeśli się nie mylę, traktuje pani mnie i moje umiejętności. Wybacz pani, ale muszę niezwłocznie wziąć się do pracy. Po to, aby obmyślić ratunek, należy przede wszystkim zapoznać się z naturą nieszczęścia. Natychmiast zagłębię się w lekturze waszych raportów oraz zapoznam się z informacjami wizualnymi. Dziękuję, że zechciała pani osobiście wprowadzić mnie w problem.

Keflra Qay zmarszczyła brwi, zdjęła Głupotę z kolan, postawiła ją na podłodze i podniosła się z fotela.

- W porządku - powiedziała. - Kiedy będziesz gotowy?

- Przybliżony termin będę mógł podać nie wcześniej niż po przeprowadzeniu pierwszych symulacji - odparł Tuf. - Być może przystąpimy do działania już jutro, może za miesiąc, a może jeszcze później.

- Jeśli się nie pośpieszysz, będziesz miał problemy z odebraniem zapłaty - zauważyła z przekąsem. - Trudno wyciągnąć forszę od nieboszczyka.

- Zaiste. Zapewniam panią, iż uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby sprawy nie przybrały takiego obrotu. Teraz proszę mi wybaczyć, ale udaję się do pracy. Spotkamy się przy kolacji. Zapraszam panią na zupę warzywną według przepisu z Arion oraz pieczone grzyby w kwaśnym sosie śmietankowym.

- Znowu grzyby? - jęknęła kobieta. - Przecież były już na śniadanie i obiad!

- Lubię grzyby - wyjaśnił Tuf bez drgnięcia powieki.

- A ja mam ich już dosyć. - Spojrzała w dół na Głupotę, która otarła się o jej łydkę. - Może zjedlibyśmy coś z mięs? Albo owoce morza? Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam w ustach małe błotne. Czasem śnię mi się po nocach. Bierzesz takiego małżyka, gotujesz, otwierasz skorupkę, kładziesz do środka maselko i wybierasz mięsko łyżeczką... Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to pyszne! Albo płaskopłetwę! Ach, oddałabym wszystko za płaskopłetwę z sałatką z wodorostów!

- Z przykrością muszę panią poinformować, że na pokładzie „Arki” nie jada się

zwierząt - oznajmił Haviland Tuf oficjalnym tonem, odwrócił się i pogрузzył w pracy.

Strażniczce nie pozostało nic innego, jak opuścić pomieszczenie. Uczyniła to, za nią zaś, podskakując wesoło, pogoniła Głupota.

- Zaiste - mruknął Tuf - trudno o trafniejszy komentarz.

Cztery dni i wiele grzybów później Kefira Qay zaczęła się domagać wyników.

- Co ty właściwie robisz? - zapytała przy obiedzie. - Kiedy zamierzasz przystąpić do działania? Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Godzinę temu, kiedy ty znowu śleczaleś przy komputerach, rozmawiałam z Głównym Strażnikiem Harvanem. Podczas naszych przyjacielskich pogawędek straciliśmy Małego Aquariususa i Roztańczone Siostry.

- Przyjacielskich pogawędek? - powtórzył Haviland Tuf głosem pozbawionym emocji.

- Szanowna pani, z całym szacunkiem pragnę stwierdzić, że choć pani obecność na pokładzie „Arki” sprawia mi dużą, choć niezasłużoną przyjemność, to jednak nigdy nie pozwoliłbym sobie określić naszych dyskusji mianem „przyjacielskich pogawędek”, tym bardziej że w ich trakcie ani na chwilę nie przerywałem pracy, dokonując wielu istotnych przemyśleń.

- Chciałeś chyba powiedzieć: trawiąc wiele smakowitych grzybów - powiedziała z przekąsem Kefira Qay, strząsnęła Głupotę na podłogę i podniosła się z fotela. Od jakiegoś czasu ona i czarno-biała kotka stanowili nierozłączną parę. - Na Małym Aquariusie mieszkało dwanaście tysięcy ludzi, prawie tyle samo na Roztańczonych Siostrach. Pomyśl o tym, kiedy będziesz trawił.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z jadalni.

- Zaiste - mruknął flegmatycznie Haviland Tuf, po czym skupił uwagę na deserze.

Minął tydzień, zanim spotkali się ponownie.

- No i co? - zapytała Strażniczka, zastępując drogę Tufowi, który właśnie zmierzał majestatycznym krokiem do swego miejsca pracy.

- Cóż... Chyba dzień dobry, szanowna pani.

- Wcale nie dobry! - parsknęła. - Właśnie dowiedziałam się, że straciliśmy Wyspy Wschodzącego Słońca, a razem z nimi dwanaście broniących je śmigaczy i wszystkie jednostki pływające zacumowane w portach. I co ty na to?

- Ogromnie mi przykro - odparł Tuf. - Jestem do głębi wstrząśnięty.

- A kiedy będziesz gotowy?

Dostojnie wzruszył ramionami.

- Tego nie potrafię powiedzieć. Zleciła mi pani niełatwe zadanie. Już pobieżne badanie pozwoliło mi stwierdzić, że problem jest złożony. Złożony... Tak, to właściwe słowo. Można by chyba nawet rzec: złożony i skomplikowany. Zapewniam panią, iż nieszczęście

mieszkańców Namoru poruszyło moje serce, natomiast poszukiwanie dróg wyjścia z trudnej sytuacji bez reszty zaprzętnęło mój umysł.

- A więc to dla ciebie tylko „złożony i skomplikowany problem”, nic więcej?

Haviland Tuf lekko zmarszczył brwi, po czym splótł dłonie i położył je na imponującym brzuchu.

- Zaiste.

- Mylisz się, Tuf. To nie problem ani nie gra strategiczna. Tam, w dole, umierają prawdziwi ludzie. Giną dlatego, że Strażnicy nie są w stanie ich obronić, i dlatego, że ty nic nie robisz!

- Proszę się uspokoić. Zapewniam panią, że nieprzerwanie pracuję nad tą sprawą. Proszę wziąć pod uwagę, że moje zadanie jest znacznie trudniejsze od tego, jakiego podjęła się pani i pozostali Strażnicy. Zrzucanie bomb na pancerniki albo strzelanie z laserów do ognistych balonów nie wymaga szczególnego wysiłku umysłowego, chociaż przyzna pani chyba, że nie daje też zamierzonych efektów. Inżynieria ekologiczna wiąże się z koniecznością brania pod uwagę nieporównanie większej liczby danych. Skrupulatnie studiuję wszystkie raporty, meldunki i doniesienia, zastanawiam się i analizuję, tworzę robocze teorie i przeprowadzam symulacje na komputerach „Arki”. Prędzej czy później z pewnością znajdę odpowiedź.

- Prędzej! - zażądała stanowczo Strażniczka. - Członkowie Rady Naczelnej domagają się konkretnych wyników, a ja całkowicie się z nimi zgadzam. Musimy otrzymać odpowiedź prędzej, nie później. Później nas nie interesuje. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

Pozwoliła mu przejść.

Kolejne półtora tygodnia zajęło jej unikanie Tufa. Jadała nieregularnie, o dziwnych porach, a w korytarzach starannie schodziła mu z drogi. Codziennie natomiast odwiedzała centralę łączności, skąd prowadziła długie rozmowy z przełożonymi i gdzie odbierała najświeższe wiadomości.

Wszystkie były fatalne.

Wreszcie miarka się przebrała. Błada i wściekła, wtargnęła do pogrążonego w mroku pomieszczenia, które Tuf nazwał swoim „pokojem dowodzenia”, i zastała go siedzącego przed rzędem ekranów pokrytych wykresami, na tle których ganiały się falujące czerwone i błękitne linie.

- Tuf! - ryknęła.

Wyłączył ekrany, odwrócił się w jej stronę, zrzucił z kolan Niewdzięczność i, spowity półmrokiem, skierował na Strażniczkę nieruchome spojrzenie.

- Rada Naczelna wydała mi rozkaz.

- Cieszę się razem z panią - odparł Haviland Tuf. - Domyślam się, że przeciągająca się przymusowa bezczynność dawała się pani mocno we znaki.

- Rada domaga się podjęcia natychmiastowych działań. Natychmiastowych! Rozumiesz, co to oznacza?

Tuf złączył długie białe palce w niemal modlitewnym geście i oparł na nich brodę.

- Czy oprócz wrogości i niecierpliwości muszę tolerować także i uwagi podające w wątpliwość moją inteligencję? - zapytał absolutnie i obojętnym tonem. - Doskonale rozumiem, co oznacza słowo „natychmiastowy”, wiem też dokładnie, czego należy się spodziewać po pani zwierzchnikach. Nie pojmuję tylko jedynych w swoim rodzaju, niespotykanych nigdzie indziej praw, które rządzą ekologią waszej planety. Dopóki ich nie poznam, nie mogę działać.

- Będziesz działał, Tuf. - W ręce Strażniczki nie wiadomo skąd znalazł się pistolet laserowy wycelowany prosto w głowę Tufa. - I to zaraz.

- Przemoc - stwierdził Haviland Tuf z ledwo wyczuwalną odrazą w głosie. - Może jednak, zanim wypali pani we mnie otwór, pozbawiając mnie życia, a siebie i swoich rodaków wszelkich szans na ocalenie, zechce pani wysłuchać moich wyjaśnień?

- Gadaj! - warknęła. - Tylko nie rozwódź się za bardzo, bo nie mam wiele czasu.

- Doskonale. - Haviland Tuf położył splecione dłonie na wydatnym brzuchu. - Szanowna pani, czuję się zmuszony stwierdzić, że na Namorze dzieje się coś bardzo dziwnego.

- Coś takiego! - parsknęła. - Ty też to zauważyłeś? Pistolet w jej ręce nawet nie drgnął.

- Zaiste. Nęka was plaga stworzeń, które, z braku lepszego określenia, musimy nazwać potworami morskimi. W ciągu pięciu lat standardowych pojawiły się trzy gatunki, wszystkie zupełnie nowe, albo przynajmniej całkowicie nieznanne. Doprawdy zdumiewające zjawisko. Kolonizacja Namoru trwa już blisko sto lat, a jednak aż do tej pory nikt nie natrafił na najmniejszy ślad istot nazwanych przez was pancernikami, ognistymi balonami i kroczarzami. Można by odnieść wrażenie, iż jakiś mroczny odpowiednik mojej „Arki” rzucił wam biwojenne wyzwanie. Na szczęście, nic takiego się nie zdarzyło. Nowe czy stare, te morskie potwory stanowią produkt tutejszej ewolucji. W waszym oceanie żyją ich bliscy krewniacy. Co z tego wynika?

- Nie mam pojęcia - warknęła Kefira Qay.

- Ani ja, szanowna pani. W związku z tym idźmy dalej. Te morskie potwory mnożą

się bez opamiętania. W oceanie jest od nich aż gęsto, tłoczą się w powietrzu, tratuja kolejne wyspy, sieją śmierć i zniszczenie. Nie stwierdzono jednak, żeby walczyły między sobą ani żeby miały naturalnych wrogów. W ich przypadku nie zadziałały okrutne prawa normalnego ekosystemu. Z ogromnym zainteresowaniem przestudiowałem raporty waszych uczonych. Wiele cech potworów budzi moje zdumienie, najbardziej niezwykle jednak wydaje mi się fakt, że pokazują się wyłącznie jako dorosłe, w pełni ukształtowane osobniki. Ogromne pancerniki grasują po morzu i zatapiają statki, monstrialne ogniste balony wiszą na niebie... Gdzie, jeśli wolno zapytać, są młode pancerniki i dorastające balony?

- Głęboko pod wodą.

- Być może, Strażniczko. Być może. Ani pani, ani ja nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić. Te monstra rzeczywiście budzą przerażenie, ja jednak widywałem na innych planetach jeszcze groźniejsze stwory, choć nigdzie ich liczba nie była równie oszałamiająca. Dlaczego? Ano dlatego, że ich młode, albo jaja, albo pisklęta, albo cokolwiek, są znacznie mniej przerażające niż rodzice, w związku z czym większość ginie, zanim zdąży osiągnąć wiek dorosły. Tutaj, na Namorze, ta reguła zdaje się nie mieć zastosowania. Co to może oznaczać? - Tuf wzruszył ramionami. - Jeszcze nie wiem, ale intensywnie pracuję nad rozwiązaniem tego problemu. Jestem głęboko przekonany, że już w niedługim czasie znajdę wyjaśnienie zagadki.

Kefira Qay skrzywiła się z niesmakiem.

- A tymczasem my wszyscy zginiemy. Już ginimy, ale ciebie to nic nie obchodzi!

- Ośmielę się zaprotestować przeciwko... Strażniczka nie pozwoliła mu dokończyć.

- Cisza! - wrzasnęła, wymachując laserem. - Ty już powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Teraz moja kolej. Dziś utraciliśmy łączność ze Złamaną Ręką. To czterdzieści trzy wyspy, Tuf. Boję się myśleć, ilu ludzi. Wszyscy zginęli w ciągu jednego dnia. Kilka niezrozumiałych sygnałów, histeria, potem cisza. A ty siedzisz tu sobie i jakby nigdy nic opowiadasz o zagadkach i tajemnicach. Dość tego! Żądam, żebyś natychmiast przystąpił do działania. Później zastanowimy się co i dlaczego, ale na razie musimy pozabijać te... te potwory, nie tracąc czasu na jakieś bajdurzenia!

- Była sobie kiedyś rajska planeta - odparł jakby nigdy nic Haviland Tuf. - Byłaby doskonała pod każdym względem, gdyby nie pewien maleńki owad wielkości drobin kurzu. Był całkowicie nieszkodliwy, ale wciskał się wszędzie, w każdy zakamarek. Żywił się mikroskopijnymi zarodnikami grzybka żyjącego w powietrzu. Mieszkańcy cudownej planety nienawidzili maleńkich owadów, które niekiedy nadlatywały tak wielkimi i gęstymi chmarami, że zasłaniały słońce. Obsiadały każdego, kto wyszedł na dwór, okrywając jego

ciało żywym, ruchomym ubraniem. Pewien niedouczony inżynier ekolog zaproponował drastyczne rozwiązanie: z odległej planety sprowadził innego, znacznie większego owada, który miał za zadanie pożreć małego utrapieńca. Początkowo wszystko wskazywało na to, że plan się powiedzie: przybysze, którzy w nowym ekosystemie nie mieli żadnych naturalnych wrogów, rozmnażali się w szaleńczym tempie, aż w końcu wytępilli znieawidzonego owada. Niestety, radość tubylców trwała krótko, ponieważ niebawem dały się odczuć nieoczekiwane skutki uboczne kuracji. Importowane owady, rozprawiwszy się z jedną formą życia, przystąpiły do eksterminacji kolejnych, mniej szkodliwych, a niekiedy wręcz pożytecznych. Coraz więcej gatunków miejscowych owadów ulegało zagładzie, co doprowadziło do masowego wymierania tamtejszych odpowiedników ptaków, nagle pozbawionych naturalnego pożywienia. Spadły plony, nie było bowiem komu zapylać roślin, poważnie ucierpiały lasy, natomiast zarodniki grzybka, stanowiące pokarm wytępionego owada, rozprzestrzeniły się bez najmniejszych problemów. W krótkim czasie grzybek rósł niemal wszędzie: na budynkach, żywności, nawet na zwierzętach. Krótko mówiąc, funkcjonowanie ekosystemu zostało poważnie zakłócone. Dzisiaj planeta ta stanowi ponurą pustynię pokrytą grubym kozuchem odrażającego grzybka. Takie są rezultaty pochopnego działania, nie poprzedzonego wystarczającym namysłem. Tego, kto przedkłada czyny nad rozum, spotykają niekiedy przykre niespodzianki.

- Albo pewna śmierć, jeśli będzie się tylko zastanawiał - odparła Strażniczka. - Nic z tego, Tuf. Opowiadasz przerażające historie, ale my naprawdę mamy nóż na gardle. Strażnicy są gotowi zaryzykować, a ja bez wahania wypełnię rozkaz. - Ponownie wycelowała pistolet w głowę Tufa. - Jeśli mnie nie posłuchasz, naciśnę spust.

Haviland Tuf skrzyżował ramiona na piersi.

- Postąpiłaby pani nadzwyczaj nierozważnie. Co prawda z pewnością nauczylibyście się korzystać z „Arki”, ale nauka zajęłaby wam wiele lat, a przecież właśnie na czasie, jeśli wierzyć pani słowom, najbardziej wam zależy. Wybaczę to zasługujące na potępienie zachowanie i nadal będę pracował nad rozwiązaniem waszych problemów, lecz do działania przystąpię dopiero wtedy, kiedy uznam to za stosowne. Jestem inżynierem ekologiem, szanowna pani, i muszę dbać o swoje dobre imię oraz opinię wysokiej klasy specjalisty. Czuję się zmuszony zwrócić pani uwagę, że bez mojej pomocy będziecie zupełnie bezradni. Zupełnie. Tak więc, skoro wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy, proponuję, byśmy rozeszli się każde do swoich zadań. Nie użyje pani tego lasera.

Przez chwilę wydawało się, że Kefira Qay nie ma pojęcia, co robić.

- Ty... - Ręka, w której ścisnęła pistolet, wyraźnie zadrżała, ale zaraz potem

Strażniczka odzyskała pewność siebie i ciemny wylot lufy znowu spojrzał Tufowi prosto w oczy. - Mylisz się - powiedziała spokojnie. - Użyję go.

Haviland Tuf nie odpowiedział.

- Ale nie przeciwko tobie, tylko przeciwko twoim kotom - ciągnęła lodowatym tonem. - Codziennie będę zabijała jednego, aż wreszcie zdecydujesz się coś zrobić. - Przesunęła broń, celując już nie w głowę Tufa, ale w Niewdzięczność, która wałęsała się bez celu po pomieszczeniu, nieufnie zaglądając w zacienione kąty. - Zacznę od tego - powiedziała Strażniczka. - Liczę do trzech.

Tuf siedział nieruchomo, z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć.

- Jeden.

Wciąż żadnej reakcji.

- Dwa.

Zmarszczył brwi, a na jego wysokim bladym czole pojawiły się dwie głębokie zmarszczki.

- Trzy - wycedziła kobieta przez zaciśnięte zęby.

- Proszę nie strzelać - odezwał się Haviland Tuf. - Postąpię zgodnie z pani życzeniem.

Za godzinę rozpocznę klonowanie.

Strażniczka schowała pistolet do kabury.

Tak więc, choć niechętnie, Haviland Tuf poszedł na wojnę.

Cały pierwszy dzień spędził w pokoju dowodzenia przed głównym terminalem komputera, poruszając pokrętłami, wciskając podświetlone klawisze i dotykając holograficznych przycisków. Daleko od niego, w trzewiach „Arki”, mętne ciecze z bulgotem wlewały się do zbiorników ustawionych w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu ciągnącym się wzdłuż całego statku, a ultraprecyzyjne manipulatory przenosiły z magazynu mikroskopijne fragmenty tkanek, niekiedy zaś nawet pojedyncze komórki. Tuf nie oglądał tego na własne oczy, bo nie musiał; niezmordowanie trwał na posterunku i uruchamiał kolejne procesy klonowania.

Drugiego dnia wykonywał te same czynności.

Trzeciego dnia dźwignął się z fotela i wyruszył na przechadzkę od zbiornika do zbiornika, w których błyskawicznie rosły wyselekcjonowane przez niego organizmy. Niektóre były już całkiem dobrze widoczne, obecności innych można było się tylko domyślać na podstawie poruszeń wypełniającej je cieczy. Kilka zbiorników niemal dorównywało rozmiarami lądowisku „Arki”, ale trafiały się i takie wielkości paznokcia. Haviland Tuf przystawał przy każdym, studiował wskazania przyrządów pomiarowych i niekiedy

wprowadzał drobne korekty. U schyłku dnia miał za sobą dopiero połowę inspekcji.

Czwartego dnia dokończył przegląd.

Piątego włączył pole czasowe.

- Dzięki niemu dysponujemy władzą nad czasem - wyjaśnił Strażniczce, kiedy zapytała go, co to takiego. - Możemy wstrzymywać lub przyspieszać jego upływ. Tym razem sprawimy, żeby biegł jak najprędzej, aby żołnierze, których powołałem do mojej armii, mogli szybciej wkroczyć do akcji.

Szóstego dnia prawie nie opuszczał lądowiska, na którym modernizował dwa promy orbitalne, dostosowując je do potrzeb istot, które zamierzał przetransportować na planetę. Najpoważniejsze przeróbki polegały na zainstalowaniu wielkich, średnich oraz całkiem małych zbiorników i na napełnieniu ich wodą.

Rankiem siódmego dnia Haviland Tuf oświadczył przy śniadaniu:

- Szanowna pani, możemy ruszać.

- Już? - zdziwiła się Strażniczka.

- Co prawda nie wszystkie stworzenia osiągnęły pełną dojrzałość, ale tak właśnie jest lepiej, choćby z tego względu, że łatwiej będzie je nam przetransportować. Rzecz jasna, klonowanie nie zostanie przerwane ani na chwilę. Musimy wytworzyć wystarczającą liczbę osobników, żeby mogły utworzyć w miarę stabilną populację, lecz nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy już teraz zaczęli przenosiny.

- Jaki masz plan? - zapytała Kefira Qay.

Tuf odsunął talerz, zacisnął usta i przez chwilę przyglądał się jej z dezaprobatą.

- Z pewnością niedoskonały, Strażniczko, ponieważ musiałem przygotowywać go w pośpiechu, nie dysponując wystarczającą wiedzą. W związku z tym nie biorę żadnej odpowiedzialności za rezultaty podjętych działań. Proszę pamiętać, że przystąpiłem do akcji pod presją natarczywych ponagleń, a nawet niewybrednych gróźb, które ktoś mniej wyrozumiały ode mnie z pewnością nazwałby ordynarnym szantażem.

Kobieta lekceważąco machnęła ręką.

- Nieważne - prychnęła. - Powiedz lepiej, co zamierzasz zrobić. Tuf położył na brzuchu splecione dłonie.

- Broń biologiczna, podobnie jak inne rodzaje uzbrojenia, występuje w wielu postaciach. W walce bezpośredniej najpewniejszym sposobem uśmiercenia przeciwnika jest oddanie celnego strzału z lasera w środek jego czoła. Odpowiednikiem tej metody na gruncie wojny biologicznej jest stworzenie naturalnego nieprzyjaciela-drapieżcy albo pasożyta atakującego tylko jeden, wybrany gatunek istot. Niestety, z braku czasu nie miałem szans na

zastosowanie tego najprostszego, ale zarazem wymagającego najwięcej cierpliwości, rozwiązania.

Inne sposoby nie dają równie dobrej gwarancji osiągnięcia pożądanego rezultatu. Mógłbym na przykład wypuścić z „Arki” chorobę, która uwolniłaby waszą planetę od pancerników, ognistych balonów i kroczarzy, ale przy okazji z pewnością ucierpiałyby również pożyteczne gatunki, będące bliskimi krewniakami znieawidzonych potworów. Według przeprowadzonych przeze mnie symulacji, poważne niebezpieczeństwo zawisłoby nad trzema czwartymi istot, które obecnie żyją w oceanie Namoru. Mógłbym także zasypać waszą planetę zarodnikami błyskawicznie rozmnażających się grzybów oraz mikroskopijnymi zwierzętami, które w krótkim czasie rozpleniłyby się tak bardzo, że w morzu nie zostałyby miejsca dla innych stworzeń, ale takie rozwiązanie również jest nie do zaakceptowania, ponieważ ostatecznie doprowadziłoby do całkowitego wyjałowienia globu, który stałby się niezdatny do zamieszkania. Jeśli miałbym rozwinąć porównanie, do którego uciekłem się przed chwilą, metoda ta równałaby się zabiciu pojedynczego człowieka za pomocą kilkumegatonowej bomby jądrowej, zdetonowanej w mieście, w którym mieszkała upatrzona ofiara.

Zrezygnowawszy z powyższych planów, wybrałem coś, co chyba można nazwać „strategią mieszaną”; zakłada ona wprowadzenie do planetarnego ekosystemu kilkudziesięciu nowych gatunków, w nadziei, że przynajmniej niektóre z nich okażą się naturalnymi nieprzyjaciółmi morskich potworów i wydatnie przyczynią się do zmniejszenia ich liczebności. Wśród moich żołnierzy są gigantyczne bestie, zdolne w okamgnieniu rozprawić się nawet z największym pancernikiem, niewielcy myśliwi polujący dużymi grupami oraz stworzenia wręcz mikroskopijnych rozmiarów. Liczę na to, że będą w stanie atakować potwory w ich wcześniejszych stadiach rozwoju albo, być może, wpłynąć na osłabienie ich zdolności prokreacyjnych. Zamiast postawić wszystko na jedną kartę, staram się wykorzystać jednocześnie wszystkie atuty. Biorąc pod uwagę okoliczności, a szczególnie ultimatum, które mi pani przedstawiła przed kilku dniami, jest to jedyny sensowny sposób. - Lekko skłonił głowę w jej kierunku. - Mam nadzieję, że będzie pani usatysfakcjonowana.

Zmarszczyła brwi i nie odpowiedziała.

- Możemy od razu przystąpić do dzieła, naturalnie jeśli uporała się już pani z deserem - dodał Tuf. - Nie chciałbym ściągnąć na siebie podejrzeń, że się ociągam. Przypuszczam, że posiada pani licencję pilota?

- Oczywiście! - parsknęła.

- Znakomicie. W takim razie niezwłocznie zapoznam panią z niuansami sterowania

moimi promami orbitalnymi. Są już gotowe do startu. Będziemy wykonywać loty nad oceanem i wrzucać do niego ładunek stanowiący rezultat moich eksperymentów genetycznych. Ja usiądę za sterami „Bazyliszka” i udam się nad półkulę północną, pani wsiądzie do „Mantykory” i zajmie się półkulą południową. Jeżeli nie ma pani żadnych zastrzeżeń, proponuję, abyśmy bezzwłocznie wzięli się do pracy.

Majestatycznie podniósł się z fotela.

Przez kolejne dwadzieścia dni Haviland Tuf i Kefira Qay przemierzali niebezpieczne niebo nad Namorem i zrzucali do morza żywy ładunek. Strażniczka ochoczo wykonywała swoją pracę; świadomość, że nie siedzi beczynnie, tylko znowu coś robi, napełniała ją nadzieją. Pancerniki, ogniste balony i kroczarze wreszcie spotkają godnych przeciwników z kilkudziesięciu planet rozrzuconych po galaktyce.

Ze Starego Posejdona przybyły krwiożercze węgorze, nessie oraz pajęcze wodorosty, prawie niewidoczne, za to śmiertelnie niebezpieczne, bo o niewiarygodnie ostrych włóknach.

Tuf wskrzesił żyjące niegdyś na Aquariusie czarne i jeszcze szybsze szkarłatne krukoty, trujące pufki i aromatyczną mięsożerną przewłoczkę.

Z planety Jamisona pochodziły piaskowe smoki, dreerhanty oraz kilkanaście rodzajów dużych i małych wodnych węży.

Dzięki magazynowi tkanek „Arki” udało się także odtworzyć legendarne stworzenia żyjące niegdyś na Starej Ziemi: żarłacze olbrzymie, barakudy, ośmiornice, a nawet rozumne orki.

W oceanie Namoru pojawił się monstrualny szary kraken z Lissadoru i nieco mniejszy, błękitny, z Ance. Towarzystwa dotrzymywały im parzące meduzy z Nobornu, wirobicze z Drannon, pijawki z Cathaday, ryby-fortece z Dam Tullian, pseudowieloryby z Guliwera, ghrin’da z Hruun 2, błyszczoskrzypy z Avalonu, pasożytujące caesni z Anandy oraz śmiertelnie groźne morskie osy z Deirdry. Do walki z ognistymi balonami wyruszyły zastępy niezrównanych lotników: szybujące płaszczyki, jaskrawoczerwone brzytwoskrzydła, chmary krzyrlików, powietrzne wyjce, a także najbardziej przerażający, bezimienny twór, pół roślina i pół zwierzę, prawie nieważki, czający się w obłokach jak nieuchronna śmierć. Tuf nazwał go cieniem zagłady i surowo przykazał Strażniczce, żeby pod żadnym pozorem nie przelatowała przez chmury.

Z ładowni „Bazyliszka” i „Mantykory” sypały się rośliny i zwierzęta, a także twory, które trudno było zaliczyć do jakiegokolwiek kategorii, drapieźniki i pasożyty, istoty czarne jak noc i pyszniące się feerią najwspanialszych barw, piękne jak marzenie i tak ohydne, że sama myśl o nich mogła doprowadzić do szaleństwa. Pochodziły zarówno z planet, których nazwy

często przewijały się przez karty historii, jak i takich, o których nikt nigdy nie słyszał, a nawet z bezimiennych globów gdzieś na samym skraju wszechświata. Dzień w dzień dwa promy śmigały nad oceanem, za szybkie i zbyt potężne, żeby obawiać się ponawianych co jakiś czas ataków ognistych balonów.

Po wykonaniu zadania wracały na „Arkę”, gdzie Haviland Tuf natychmiast udawał się na odpoczynek, Kefira Qay natomiast, zawsze w towarzystwie Głupoty, zasiadała w centrali łączności, by zapoznać się z najświeższymi doniesieniami.

- Strażnik Smitt donosi o spotkaniu z niezwykle istotą w Cieśninie Pomarańczowej. Nie stwierdzono obecności pancerników.

- W pobliżu Batthernu widziano pancernika walczącego z jakimś dwukrotnie większym od niego stworem. Szary kraken, powiadasz? Znakomicie. Wygląda na to, że będziemy musieli szybko nauczyć się tych nazw!

- Z Cieśniny Mullidor donoszą, że na przybrzeżnych skałach osiedliła się kolonia szybujących płaszczyk. Strażniczka Horn twierdzi, że bez trudu dają sobie radę z balonami. Wspaniale!

- Dzisiaj dotarł do nas raport z Błękitnej Plaży. Wydarzyła się tam dziwna historia. Na brzeg wyszły trzy kroczarze, ale to nie był atak. Szły z trudem, zataczały się i były oblepione jakąś dziwną półprzeźroczystą substancją. Wszystkie trzy zdechły po dziesięciu minutach.

- Dzisiaj na Nowej Atlantydzie morze wyrzuciło na brzeg martwego pancernika. Załoga „Słonecznej Brzytwy” zauważyła jeszcze jedno ciało, unoszące się na falach. Zdaje się, że jakieś niezwykle ryby izszarpywały je na strzępy.

- W drodze na Płomieniste Wyspy „Gwiezdny Miecz” napotkał tylko pięć balonów. Rada Naczelna rozważa możliwość wznowienia regularnych lotów na Ostrygową Perłę. Co o tym myślisz, Strażniczko Qay? Sądzisz, że powinniśmy spróbować, czy uważasz, że jeszcze na to za wcześnie?

Codziennie napływały nowe raporty i codziennie Kefira Qay uśmiechała się coraz szerzej, siadając za sterami „Mantykozy”. Haviland Tuf, jak zwykle, żadnym gestem ani słowem nie dał poznać, co myśli.

Trzydziestego czwartego dnia wojny Główny Strażnik Lysan powiedział:

- Dzisiaj znaleźliśmy jeszcze jednego martwego pancernika. Sądząc po jego wyglądzie, przed śmiercią stoczył niechląbitwą. Nasi uczeni zbadali zawartość jego żołądków; wszystko wskazuje na to, że co najmniej od kilku dni żywił się wyłącznie orkami i błękitnymi krakenami.

Kefira Qay zmarszczyła brwi, ale po chwili rozpogodziła się i machnęła ręką.

- Na plażę Boreen fale przyniosły szarego krakena - poinformował ją kilka dni później Strażnik Moen. - Mieszkańcy uskarżają się na straszliwy odór. Według ich relacji, na ciele są ślady po kilkudziesięciu ukąszeniach. Przypuszczalnie to robota pancernika, tyle że znacznie większego niż te, z którymi mieliśmy do czynienia do tej pory.

Strażniczka Qay poruszyła się niepewnie w fotelu.

- Z Morza Bursztynowego znikły wszystkie rekiny. Nasi biologowie nie potrafią wyjaśnić tego zjawiska. Co o tym myślicie, Strażniczko? Proszę zapytać Tufa.

Słuchała w milczeniu, czując, jak jej ciało powoli pokrywa się gęsią skórką.

- Otrzymaliśmy niepokojące informacje. Na Głębinie Coherin zauważono jakiś dziwny obiekt poruszający się ze zmienną prędkością. Doniesienie potwierdzają załogi „Słonecznej Brzytwy” i „Noża w Chmurach” oraz patrole na śmigaczach. Obiekt jest tak ogromny, że właściwie można uznać go za żywą wyspę, i niszczy wszystko, co napotka na swej drodze. Czy to wasze dzieło? Jeśli tak, to trochę przesadziliście. Podobno pożera przede wszystkim barakudy i błyszczoskrzypy.

Kefira Qay skrzywiła się boleśnie.

- Nad Cieśniną Mullidor znowu pojawiły się ogniste balony. Latają całymi setkami. Nie chce mi się wierzyć, ale naoczni świadkowie twierdzą, że szybujące płaszczki nie są w stanie przebić ich powłok i odbijają się jak od ściany. Czy...

- Pancerniki wróciły, wyobrażacie sobie? Byliśmy już prawie pewni, że całkiem znikły. Jest ich mnóstwo i jakby nigdy nic pożerają ryby Tufa. Musicie natychmiast...

- Pancerniki ponownie zaczęły zestrzeliwać obiekty latające nad...

- Mamy coś zupełnie nowego, Strażniczko. Coś w rodzaju szybowca, który startuje z balonu, wykonuje zadanie i zaraz wraca. Straciliśmy już trzy śmigacze. Płaszczki nie potrafią sobie z nimi poradzić.

- ...do niczego. Balony nic sobie z nich nie robią; przelatują przez chmury, kiedy i jak chcą.

- ...martwych os morskich. Nie wiem ile dokładnie, ale na pewno parę tysięcy. Skąd...

- ...kroczarze. Utraciliśmy łączność z Zamkiem Świtu. Nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć; przecież wyspę otaczały kolonie pijawek i meduz! Mieszkańcom nie powinno nic zagrażać, chyba że...

- Błękitna Plaża milczy już od tygodnia.

- ...o trzydziestu, może nawet czterdziestu balonach nad Cabben. Rada obawia się, że...

- ...ani słowa z Lobbadoon...

- ...martwa ryba-forteca prawie tak wielka jak wyspa...

- ...pancerniki jakby nigdy nie wpłynęły do portu i...

- ...kroczarze...

- Strażniczko Qay, mam tragiczną wiadomość: przed kilkoma minutami straciliśmy „Gwiezdny Miecz”. Ostatni meldunek był mocno zniekształcony, ale wydaje nam się, że...

Kefira Qay zerwała się z fotela i odwróciła gwałtownie, żeby czym prędzej wybiec z centrali łączności, gdzie ze wszystkich stron docierały do niej wieści o porażkach, nieszczęściach, śmierci i zniszczeniu. Nie zrobiła jednak nawet jednego kroku, ponieważ tuż przed sobą ujrzała stojącego nieruchomo Tufa z Niewdzięcznością przycupniętą na jego lewym ramieniu.

- Co się dzieje, do cholery?! - wrzasnęła.

- Wydaje mi się, że nawet osoba o inteligencji odrobinę niższej od przeciętnej bez trudu znalazłaby odpowiedź na to pytanie - odparł spokojnie Tuf. - Przegrywamy, proszę pani. Kto wie, czy już nie ponieśliśmy ostatecznej klęski.

- A ty zamierzasz przyglądać się z założonymi rękami? Nie przejdziesz do kontrataku? To wszystko twoja wina! Nie jesteś żadnym inżynierem ekologiem, tylko zwykłym kupcem, który nie zna się na tym, co robi. To dlatego...

Tuf uciszył ją majestatycznym ruchem ręki o długich białych palcach.

- Sprawiała mi pani już wystarczająco dużo przykrości, więc proszę, by zechciała pani powstrzymać się przed dalszymi zniewagami. Jestem pokojowo usposobionym człowiekiem o łagodnym charakterze, ale nawet mnie można niekiedy wyprowadzić z równowagi. Pani już się prawie to udało. W żadnym wypadku nie poczuwam się do odpowiedzialności za niepomyślny bieg wydarzeń. Nie ja wpadłem na pomysł rozpoczęcia nie przemyślanej i nie do końca przygotowanej wojny biologicznej; zostałem zmuszony do wzięcia w niej czynnego udziału wbrew swojej woli. Na szczęście, podczas gdy pani spędzała wieczory, upajając się wątpliwymi zwycięstwami, ja nadal ciężko pracowałem. Uważnie śledziłem przebieg działań wojennych, a w jednym z największych zbiorników skopiowałem całą biosferę Namoru, wzbogacając ją organizmami sklonowanymi z próbek pobieranych z martwych okazów. Obserwowałem i analizowałem, aż wreszcie mogłem wyciągnąć wnioski. Nie twierdzę, że uważam je za ostateczne, ale przebieg wydarzeń zdaje się potwierdzać ich słusność i dostarczać mi podstaw do wysunięcia konkretnej hipotezy. Dlatego byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby przestała pani mnie obrażać. Teraz udam się na spoczynek, by podreperować nadwątlone siły, jutro zaś z samego rana polecę na planetę i położę kres nieszczęściom.

Kefira Qay wytrzeszczyła oczy. Nie wierzyła mu, ale mimo to w jej sercu na nowo zapłonął płomyk nadziei.

- A więc jednak masz rozwiązanie?

- Zaiste. Wydaje mi się, że już to powiedziałem.

- Jakie? Pewnie wyhodowałeś coś nowego, prawda? Co to jest? Jakiś potwór? A może choroba?

Haviland Tuf uniósł rękę.

powtarzania najbardziej oczywistych stwierdzeń, które jakoś nie mogą utarować sobie drogi do pani świadomości. Dałem wam krakeny, szybujące płaszczki i osy morskie. Niestety, nie spełniły pokładanych w nich nadziei, więc poświęciłem sprawie jeszcze więcej namysłu i sklonowałem Daxa.

- Przecież to kociak - wymamrotała bezradnie. - Wystawiasz kociaka do walki z pancernikami, ognistymi balonami i kroczarzami. Jednego. Małego. Słabiutkiego. Kociaka.

- Zaiste - odparł z niewzruszonym spokojem Haviland Tuf, po czym schował puszystą czarną kulkę do przepastnej kieszeni, odwrócił się i majestatycznie oddalił się w kierunku „Feniksa”.

Kefirę Qay ogarniał coraz większy niepokój. Dwudziestu pięciu Lordów Strażników, tworzących Radę Naczelną odpowiedzialną za spokój i porządek na planecie, z rosnącym zniecierpliwieniem czekało w pomieszczeniu na szczycie Wieży Wododziałowej na Nowej Atlantydzie. Czekali od wielu godzin, niektórzy już niemal cały dzień. Na długim stole konferencyjnym wały się osobiste komunikatory, mikro-konsolety i wydruki komputerowe, tu i ówdzie stały całkowicie lub częściowo opróżnione szklanki. Do tej pory podano dwa posiłki. Przy ogromnym wygiętym oknie stali pogrążeni w rozmowie Strażnicy Alis i Lysan; obaj co chwila posyłali ciężkie znaczące spojrzenia w kierunku Kefiry. Za ich plecami właśnie zachodziło słońce, a rozległa zatoka przybierała uroczy szkarłatny odcień. Widok byłby jeszcze piękniejszy, gdyby nie szpeciły go ruchliwe czarne punkciki śmigaczy, strzegących bezpieczeństwa zebranych.

Szybko zapadał zmierzch, członkowie Rady niecierpliwie wiercili się w miękkich rozłożystych fotelach, a Haviland Tuf wciąż się nie zjawiał. - Na którą się zapowiadał? - zapytał po raz piąty Lord Strażnik Khem.

- Nie określił precyzyjnie czasu - odparła po raz piąty Kefira Qay. Khem zmarszczył brwi i wymamrotał coś pod nosem.

Chwilę potem ożył jeden z leżących na stole komunikatorów. Lord Lysan podszedł

szybkim krokiem, wyłączył natarczywy sygnał i podniósł urządzenie do ust.

- Tak?... Rozumiem. Znakomicie. Eskortujcie go na lądowisko, a potem od razu przyprowadźcie tutaj. - Zastukał komunikatorem w blat stołu. Członkowie Rady umilkli i odwrócili się w jego stronę. W pomieszczeniu zapadła cisza. - Jeden z patroli zauważył prom Tufa. - Zerknął z ukosa na Kefirę Qay. - Nareszcie.

Strażniczka najchętniej znalazłaby się zupełnie gdzie indziej, byle jak najdalej stąd. Nie dość, że Tuf kazał na siebie tak długo czekać, to za chwilę wkroczy majestatycznie do sali z małym kotkiem wychylającym łebek z którejś z jego kieszeni. Próbowwała kilka razy, ale nie zdobyła się na odwagę, by powiedzieć zwierzchnikom, że Haviland Tuf zamierza ocalić Namor, korzystając z pomocy małego czarnego kotka. Wcisnęła się głębiej w fotel, pochyliła głowę i bezwiednie przesuwiała palcem po orlim nosie. Miała przeczucie, że będzie niedobrze.

Było jeszcze gorzej.

Lordowie czekali w milczeniu. Wreszcie drzwi otworzyły się i do sali posiedzeń wmaszerował Haviland Tuf w asyście czterech uzbrojonych wartowników. Przedstawiał sobą tragiczny widok: przesiąknięte wodą buty wydawały mlaskające odgłosy, długi szary płaszcz był powalany błotem. Tak jak się spodziewała, z lewej kieszeni wystawały łebek i górne łapki Daxa. Jednak Strażnicy nie patrzyli na kota, tylko na zabłocony, oblepiony zielonkawym szlamem kamień wielkości ludzkiej głowy, który Tuf taszczył pod pachą. Z kamienia, płaszcza i butów kapąca brudna woda.

Tuf bez słowa podszedł do długiego stołu i położył na nim kamień, dopiero wtedy Kefira dostrzegła wystające z prawie niewidocznej szczeliny końcówki białych wiotkich macek i zorientowała się, że to wcale nie kamień.

- Małż błotny! - powiedziała głośno ze zdumieniem.

Nic dziwnego, że zorientowała się dopiero po pewnym czasie. Do tej pory widywała te stworzenia wyłącznie na talerzu, ugotowane, z usuniętymi mackami. Zazwyczaj podawano do nich młotek i dłuto, ponieważ tylko za pomocą tych narzędzi można było rozbić twardą skorupę, obok zaś stawiano talerzyki z masłem i przyprawami.

Pozostali Strażnicy jeszcze przez chwilę przyglądali się ociekającemu wodą i szlamem obiektowi, a potem zaczęli mówić prawie jednocześnie:

- Przecież to małż błotny! Nic nie rozumiem...

- Co to ma znaczyć?

- Najpierw każe nam czekać cały dzień, a potem zjawia się umorusany od stóp do głów. Moim zdaniem doszło do poważnego naruszenia...

- ...nie jadłem czegoś takiego już od...

- ...człowiek, który ma ocalić...

- Szaleństwo! Po prostu czyste szaleństwo!

- A co on ma w kieszeni? Słuchajcie, to się rusza! Słowo daję, widziałem, jak się rusza!

- Cisza! - ryknął Lysan. Gwar natychmiast ucichł, a Strażnicy jak jeden mąż spojrzeli w jego kierunku. - Zebraliśmy się tutaj, tak jak sobie życzyłeś - zwrócił się lodowatym tonem do Tufa. - Obiecałeś przedstawić nam rozwiązanie naszych problemów, a tymczasem wygląda na to, że przyniosłeś nam kolację.

Ktoś parsknął śmiechem, ale szybko umilkł.

Haviland Tuf zmarszczył brwi, spojrzął na brudne ręce, wytarł je w płaszcz, po czym wyjął Daxa z kieszeni i postawił go na stole. Kociak przeciągnął się, ziewnął rozdzierająco, a następnie leniwie skierował ku siedzącej w pobliżu Strażniczce, która wybałuszyła z przerażeniem oczy i pospiesznie cofnęła się z fotelem. Tymczasem Tuf zdjął przemoczony płaszcz, rozejrzał się za wieszakiem, a nie znalazłszy go, przewiesił płaszcz przez lufę laserowej strzelby jednego z eskortujących go żołnierzy.

- Szacowni Lordowie Strażnicy - zwrócił się do zebranych. - Mylicie się. To, co przed sobą widzicie, bynajmniej nie jest waszą kolacją. W tym właśnie tkwią korzenie wszystkich waszych problemów. Istota, którą wam dostarczyłem, jest ambasadorem wysoce rozumnej rasy zamieszkującej wraz z wami planetę Namor. Niestety, nie udało mi się jeszcze poznać nazwy tego gatunku, niemniej jednak zapewniam was, iż jego pobratymcy nie byłiby zachwyceni, gdybyście go zjedli.

Minęło sporo czasu, zanim ktoś wreszcie przyniósł Lysanowi młotek, a i tak Lord Strażnik musiał długo łomotać w stół, zanim wrzawa nieco ucichła, a uczestnicy posiedzenia przynajmniej częściowo ochłonęli z wrażenia po nieoczekiwanym oświadczeniu. Tuf czekał cierpliwie z kamienną twarzą i rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Wydaje mi się, że jestem państwu winien trochę bardziej szczegółowe wyjaśnienia - powiedział, kiedy w sali zapadł jaki taki spokój.

- Ty oszalałeś - stwierdził bezbarwnym głosem Lord Harvan, przenosząc spojrzenie z małża na Tufa i z powrotem. - Zupełnie oszalałeś.

Haviland Tuf zgarnął Daxa ze stołu, ułożył go sobie w zagięciu ramienia i począł głaskać po czarnym futrze.

- Nawet teraz, w chwili zwycięstwa, jesteśmy wykpiwani i obrażani - powiedział do niego z powagą.

- To niemożliwe - oświadczył stanowczo Lysan. - Przed rozpoczęciem kolonizacji, a

także w jej trakcie, przeprowadziliśmy dokładne badania planety i stwierdziliśmy z całą pewnością, że nie zamieszkuje jej żadna inteligentna rasa. Nie znaleźliśmy miast, dróg, ruin, żadnych produktów technologii... Nigdzie, ani na powierzchni, ani w głębi morza.

- A nawet gdyby żyły tu inteligentne istoty - odezwała się przysadzista Strażniczka o czerwonej twarzy - to na pewno nie byłyby nimi małże błotne. To prawda, mają mózgi zbliżone rozmiarami do ludzkich, ale nic poza tym. Nie mają oczu, uszu ani nosów, ani prawie żadnych organów czuciowych. Wszystko, czym dysponują, to te cieniutkie macki, zbyt słabe, żeby poruszyć średnio ciężki kamień, w związku z czym służą niemal wyłącznie do zakotwiczenia ich na dnie morza. Są obojnakami o bajecznie prostej budowie ciała, a przemieszczają się tylko w pierwszym miesiącu życia, bo potem, kiedy skorupa stwardnieje, stają się zbyt ciężkie. Przyrastają do dna i trwają tam bez ruchu setkami lat.

- Tysiącami, szanowna pani - poprawił ją Haviland Tuf. - To nadzwyczaj długowieczne stworzenia. Fakty, które byliście uprzejmi przedstawić, oczywiście są prawdziwe, ale wyciągnęliście z nich państwo błędne wnioski. Zaślepiły was wojenny zapal i lęk. Gdybyście spróbowali spojrzeć na problem z większej perspektywy, tak jak ja to uczyniłem, bez wątpienia nawet najbardziej zacierzewieni spośród was zrozumieliby, że wasze problemy nie są i nie mogą być spowodowane naturalnymi przyczynami. Tylko celowe działania umysłów dysponujących godną podziwu inteligencją mogły doprowadzić do aż tak tragicznych następstw.

- Chyba nie chcesz, żebyśmy uwierzyli, że... - odezwał się jeden ze Strażników, ale Tuf nie pozwolił mu dokończyć.

- Proszę mi wybaczyć, ale teraz ja mówię. Jeśli nikt nie będzie mi przerywał, postaram się wszystko wyjaśnić. Potem odbiorę należną zapłatę i wyruszę w drogę, wy zaś zdecydujecie, czy chcecie mi wierzyć. - Spojrzał kociakowi w oczy. - Idioci, Dax - stwierdził ze smutkiem. - Gdziekolwiek się ruszymy, wszędzie spotykamy idiotów. - Przeniósł wzrok z powrotem na zgromadzonych wokół stołu Strażników Namoru. - Jak już wspomniałem, nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż mamy do czynienia z celowym, przemyślanym działaniem wysoce inteligentnej formy życia. Problem polegał na jej znalezieniu. Prześledziłem dokonania waszych biologów, zapoznałem się z dziełami systematyzującymi waszą florę i faunę, odtworzyłem wiele endemicznych gatunków na pokładzie „Arki”. Niestety, bez rezultatu. Zgodnie z powszechnie przyjętą opinią, inteligentne formy życia charakteryzują się dużym mózgiem, ruchliwością, zdolnością odbierania wielorakich bodźców ze środowiska oraz chwytnymi narządami stanowiącymi odpowiednik naszego przeciwstawnego kciuka. W trakcie moich badań stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że na Namorze nie istnieje

stworzenie dysponujące tymi wszystkimi atrybutami; ponieważ jednak nadal byłem przekonany o słuszności mojej teorii, nie pozostało mi nic innego jak, z braku oczywistych kandydatów, zająć się tymi mniej obiecującymi.

Zacząłem od szczegółowego zapoznania się z historią konfliktu i od razu zwróciłem uwagę na kilka dość oczywistych luk w waszym rozumowaniu. Wszyscy zgodnym chórem twierdzicie, że gnębiące was potwory wynurzyły się z morskich głębin, ale czy ktoś zadał sobie trud, by sprawdzić, gdzie pojawiły się po raz pierwszy? Otóż nie gdzie indziej, jak na przybrzeżnych płycznach, gdzie łowicie najwięcej ryb i zakładacie morskie farmy. Jaka wspólną cechę mają te rejony? Oczywiście obfitość form życia, tyle że nie tych samych form. Na przykład gatunki, od których aż roi się wokół Nowej Atlantydy, w ogóle nie pokazują się w okolicy Złamanej Ręki. Odkryłem tylko dwa wyjątki od tej reguły, dwa gatunki, których przedstawiciele można spotkać we wszystkich akwenach: małże błotne, setkami lat tkwiące bez ruchu w morskim dnie, oraz istoty, które pierwsi osadnicy ochrzczili mianem krążowników. Odwieczni władcy tej planety nazywają je... strażnikami.

Później wystarczyło już tylko dopracować szczegóły teorii, która całkowicie potwierdziła moje podejrzenia. Z pewnością doszedłbym do tych wniosków znacznie prędzej, gdyby nie brutalna interwencja oficera łącznikowego Qay, która najpierw z uporem godnym lepszej sprawy uniemożliwiła mi należytą koncentrację, potem zaś uciekła się do ordynarnego szantażu, zmuszając mnie do masowej produkcji szarych krakenów, szybujących płaszczyk oraz mnóstwa innych, równie mało sympatycznych stworzeń. W przyszłości jak ognia będę się wystrzegał oficerów łącznikowych w ogóle, a takich jak ona w szczególności.

Jednak, w pewnym sensie, te niefortunne eksperymenty okazały się nie całkiem bezużyteczne, utwierdziły mnie bowiem w przekonaniu o trafności mojego rozumowania. Podniesiony na duchu, kontynuowałem pracę. Szczegółowe badania pozwoliły mi stwierdzić, iż najwięcej potworów spotykano właśnie w pobliżu stanowisk małży błotnych, tam również dochodziło do najczęstszych i najbardziej krwawych starć. Wszystko wskazywało na to, że właśnie te istoty, traktowane jako najłatwiej dostępne źródło pożywienia, są waszymi prawdziwymi wrogami, ale jak to było możliwe? Istotnie, dysponowały okazałymi mózgiem, jednak Natura pozbawiła je wszelkich innych atrybutów, które przywykliśmy kojarzyć ze stworzeniami obdarzonymi inteligencją. I o to właśnie chodzi, czcigodne panie i panowie! Najwyraźniej ich intelekt objawiał się w sposób zupełnie inny od tego, do jakiego zdążyliśmy się przyzwyczaić. Jakie rozumne stworzenie może żyć pod powierzchnią morza, nieruchome, ślepe, głuche, pozbawione kontaktu z otaczającym go środowiskiem? Długo rozmyślałem nad tym pytaniem, aż wreszcie znalazłem odpowiedź. Jest zaskakująco prosta. Otóż takie

stworzenie musi korzystać z nie znanego nam sposobu komunikowania się z otoczeniem i odbierania bodźców. Sposobem tym jest telepatia. Zaiste, im dłużej zastanawiałem się nad problemem, tym bardziej oczywiste wydawało mi się znalezione przeze mnie rozwiązanie.

Później nie pozostało mi nic innego, jak tylko przeprowadzić eksperyment, który jednoznacznie rozstrzygnie moje i państwa wątpliwości. W tym celu powołałem do życia Daxa. Musicie państwo wiedzieć, że wszystkie koty są początkującymi telepatami; dawno temu, podczas Wielkiej Wojny siły Imperium starły się z istotami dysponującymi przerażającymi zdolnościami parapsychoicznymi - Umysłami z Hranganu oraz odduszaczami githyanki. Szukając sposobu rozprawienia się z groźnymi przeciwnikami, genetycy rozpoczęli eksperymenty z kotami i doprowadzili do znacznego wzmocnienia ich zdolności telepatycznych.

Zmodyfikowane genetycznie koty, takie jak obecny tu Dax, bez trudu mogą nawiązać myślową łączność z człowiekiem.

- Chcesz powiedzieć, że ten zwierzak czyta w naszych umysłach? - zapytał podejrzliwie Lysan.

Tufowi nawet nie drgnęła powieka.

- Obawiam się, że miałby poważne kłopoty z ich odnalezieniem, ale w tej chwili to najmniej istotna sprawa. Znacznie ważniejsze jest to, że za pośrednictwem Daxa zdołałem nawiązać kontakt z prastarymi istotami określanymi przez was mianem małży błotnych.

Od niezliczonych tysiącleci w ciszy i spokoju żyły w ciepłym oceanie, który pokrywa większą część tej planety. Są rasą powolną, o filozoficznym nastawieniu do życia; wszyscy jej członkowie mają ze sobą stały kontakt, w związku z czym każdy jest równocześnie niezależną jednostką i częścią składową ogromnego kolektywnego umysłu. W pewnym sensie są nieśmiertelni, doświadczenie jednego z nich staje się bowiem od razu własnością wszystkich, natomiast śmierć jednego elementu nie wpływa w żaden sposób na funkcjonowanie całości. Jednak życie na morskim dnie nie obfituje w dramatyczne wydarzenia, w związku z czym mogli spokojnie oddawać się filozoficznym rozmyśleniom oraz śnić trwające latami, przedziwne zielone sny, których ani wy, ani ja nigdy nie zdołamy zrozumieć. Trochę przypominają muzyków grających na bezgłośnych instrumentach. Wspólnie tkają nie mające początku ani końca monumentalne symfonie snów.

Od milionów lat - aż do pojawienia się ludzi - nie musieli z nikim walczyć, ale w zamierzchłej przeszłości było zupełnie inaczej. W tamtej odległej epoce w oceanie aż roiło się od stworzeń, którym co najmniej tak samo jak wam przypadły do gustu walory smakowe flegmatycznych filozofów. Ponieważ już wtedy doskonale znali tajemnice genetyki i

ewolucji, wspólnym wysiłkiem sprzęgniętych umysłów zdołali wpłynąć na materię życia i nadać jej pożądany kształt. W ten sposób stworzyli sobie strażników, groźnych drapieżców, dla których jedynym celem istnienia jest obrona ich twórców. Strażnikami tymi są istoty zwane przez was krążownikami. Od tamtej pory aż do niedawna krążowniki strzegły spokoju myślicieli, ci zaś bez przeszkód mogli oddawać się swym ulubionym zajęciom.

Potem zjawiliście się wy. Przybyliście z Aquariususa i Starego Posejdona i od razu wzięliście się ostro do roboty. Łowiliście ryby, zakładaliście morskie farmy, bardzo prędko odkryliście walory smakowe błotnych małży. Minęło wiele lat, zanim pogrążeni w rozmyślaniach prawowici władcy planety zorientowali się, że dzieje się coś niedobrego, i doświadczyli nie lada szoku. Wyobraźcie sobie tylko: za każdym razem, kiedy wrzucaliście któregoś z nich do wrzątku, wszyscy współuczestniczyli w jego agonii. Z pewnością doszli do wniosku, że na lądzie, którym do tej pory w ogóle się nie interesowali, zamieszkał jakiś przerażający drapieżnik. Nawet nie zaświtało im podejrzenie, że możecie być myślącymi istotami, im bowiem koncepcja inteligentnego gatunku pozbawionego zdolności telepatycznych wydaje się równie obca jak nam myśl o rozumnych stworzeniach pozbawionych wzroku, węchu i słuchu, nieruchomych, a do tego jadalnych. W ich pojęciu wszystko, co się porusza, dokonuje przemieszczeń obiektów i zjada inne istoty, jest zwierzęciem, niczym więcej.

Resztę wiecie, albo przynajmniej możecie się domyślać. Myśliciele nigdy nie spieszą się z działaniem. Początkowo po prostu was ignorowali, przekonani, że ekosystem sam upora się z dokuczliwym wynaturzeniem. Tak się jednak nie stało. Z ich punktu widzenia nie mieliście żadnych naturalnych wrogów. Rozmnażaliście się w szybkim tempie, rozprzestrzeniaлиście się coraz bardziej, coraz więcej umysłów milkło na zawsze. W końcu nie pozostało im nic innego, jak tylko sięgnąć po wypróbowane sposoby z zamierzchłej przeszłości. Przyspieszyli tempo rozwoju i rozmnażania swoich strażników, ale nawet te groźne istoty, które ongiś bez trudu dawały sobie radę z każdym zagrożeniem, nie mogły wam sprostać. W związku z tym myśliciele musieli zmienić strategię. Ich umysły przerwały tkanie kolejnej monumentalnej symfonii, zaczęły badać i analizować, a potem przystąpiły do tworzenia nowych strażników - takich, którzy byliby w stanie uchronić ich przed niebezpieczeństwem. Początkowo odnosili znaczne sukcesy, ale kiedy zjawiłem się tu na „Arce” i Kefira Qay wymusiła na mnie rozpoczęcie masowej produkcji przerażających biologicznych narzędzi zabijania, zostali zepchnięci do defensywy. Jednak dotychczasowa walka zahartowała ich na tyle, że coraz łatwiej przychodziło im znajdować odpowiedzi na moje posunięcia. Nawet teraz, kiedy dyskutujemy w tej potężnej wieży, w morskiej toni

powstają kolejne okrutne potwory, które już niebawem zaczną was gnębić, chyba że wcześniej zawrzecie pokój. Decyzja należy do was. Ja, skromny inżynier ekolog, nigdy nie ośmieliłbym się dyktować wam, co macie robić; pozwolę sobie jedynie podpowiedzieć, że moim zdaniem, pokój jest dla was jedyną nadzieją. Dlatego właśnie, zadając sobie sporo trudu, wydobyłem z morskiego dna tego oto ambasadora i przyniosłem go tutaj. Wśród marzycieli panuje teraz nie lada zamęt, kiedy bowiem po raz pierwszy nawiązali kontakt z umysłem Daxa, ich świat uległ raptownemu rozszerzeniu. Dzisiaj po raz pierwszy dowiedzieli się o istnieniu gwiazd, dzisiaj też przekonali się, że nie są jedynymi rozumnymi mieszkańcami kosmosu. Przypuszczam, że będą rozsądnymi negocjatorami, jako że obszary lądowe są im zupełnie niepotrzebne, ryb zaś, zamieszkujących razem z nimi ocean, nie traktują jako pożywienia. Oddaję wam do dyspozycji Daxa, jak również moją skromną osobę. Czy możemy od razu przystąpić do rozmów?

Kiedy Haviland Tuf umilkł, w sali posiedzeń zapadła głucha cisza. Milczenie trwało minutę, dwie, pięć... Cześć członków Rady wpatrywała się w nieruchomą twarz Tufa, inni gapili się z niedowierzaniem na wilgotną, pokrytą szlamem skorupę.

Pierwsza odzyskała głos Kefira Qay.

- Czego... Czego chcą? - zapytała schrypniętym głosem.

- Chodzi im głównie o to, żebyście przestali je zjadać - odparł Haviland Tuf. - Wydaje mi się, że to rozsądna propozycja. Jak brzmi wasza odpowiedź?

- Dwa miliony kredytów to stanowczo za mało - oświadczył Tuf jakiś czas później w centrali łączności „Arki”. Dax rozłożył się na jego kolanach, nie wykazując nawet setnej części energii, którą kipiały pozostałe koty. Podejrzliwość i Wrogość dokazywały jak szalone, ganiając się między konsolami i ekranami.

Na twarzy widocznej na głównym ekranie Kefiry Qay pojawił się nieprzyjemny grymas.

- O co ci chodzi? - zapytała podejrzliwie. - Przecież na taką kwotę opiewała nasza umowa. Jeśli chcesz nas wykiwać, to...

- Wykiwać! - westchnął Haviland Tuf. - Słyszałeś, Dax? Po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, na nasze głowy wciąż sypią się obelgi i oskarżenia! Zaiste. - Przeniósł wzrok z powrotem na ekran. - Strażniczko Qay, doskonale pamiętam, jaką cenę ustaliliśmy. Za dwa miliony kredytów dogłębnie przeanalizowałem sytuację, rozwiązałem wasze problemy i dostarczyłem wam tłumaczy, dzięki którym będziecie mogli bez trudu porozumiewać się ze współmieszkańcami Namoru. Dysponujecie teraz dwudziestoma pięcioma telepatycznymi

kotami, po jednym dla każdego-członka Rady Naczelnej. Już niedługo, naturalnym biegiem rzeczy, będzie ich więcej. Ponieważ w głębi serca jestem bardziej filantropem niż biznesmenem, dodatkowo pozwoliłem pani zatrzymać Głupotę, która, z bliżej nie znanych mi przyczyn, poczuła do pani przedziwny sentyment. Za to również nie domagam się zapłaty.

- W takim razie, dlaczego żądasz dodatkowych trzech milionów?

- Jest to rekompensata za całkowicie zbędne wydatki, do których poniesienia zostałem podstępnie zmuszony - odparł spokojnie Tuf. - Życzy sobie pani szczegółowego wykazu?

- Oczywiście! - parsknęła.

- Bardzo proszę, oto on: Rekiny. Barakudy. Olbrzymie ośmiornice. Orki. Szare krakeny. Błękitne krakeny. Pijawki. Meduzy. Za te okazy życzę sobie po dwadzieścia tysięcy za sztukę. Ryby-fortece, pięćdziesiąt tysięcy za sztukę. Cienie zagłady, po osiemdziesiąt tysięcy...

Wyliczanie trwało bardzo długo. Kiedy Tuf wreszcie skończył, Kefira Qay wycedziła lodowatym tonem:

- Przedstawię twoje żądania Radzie Naczelnej, ale od razu powiem ci, że moim zdaniem są nieuzasadnione i wygórowane, a poza tym nasz budżet nie zniósłby takiego wydatku. Możesz sobie wisieć na orbicie nawet sto lat, a i tak nie dostaniesz pięciu milionów kredytek.

Haviland Tuf bezradnie rozłożył ręce.

- Wygląda więc na to, że przez moją naiwność poniosę kolejną stratę. Twierdzi pani stanowczo, że mi nie zapłacicie?

- Zapłacimy dwa miliony. Tyle, na ile się umówiliśmy.

- Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się z tą okrutną i niesprawiedliwą decyzją i potraktować ją jako jeszcze jeden dowód na okrucieństwo praw rządzących życiem. Niech i tak będzie. - Poglaskał drzemiącego Daxa. - Powiada się, że ci, co nie potrafią wyciągać wniosków z historii, są zmuszeni powtarzać jej błędy. To wszystko moja wina. Przecież nie dalej jak kilka miesięcy standardowych temu oglądałem historyczny dramat, w którym przedstawiono niemal identyczną sytuację: biwojenna jednostka bardzo podobna do „Arki” uwolniła pewną małą planetkę od dokuczliwego szkodnika, jednak nieuczciwy rząd odmówił uiszczenia pełnej zapłaty. Gdybym był sprytniejszy, zażądałbym całej należności z góry. - Westchnął głęboko. - Niestety, nie byłem wystarczająco sprytny, w związku z czym teraz muszę ponieść konsekwencje. - Przeniósł wzrok na ekran i spojrzał Strażniczce prosto w oczy. - Być może wasza Rada Naczelna zechciałaby obejrzeć to interesujące dzieło, naturalnie wyłącznie w celach rozrywkowych. Jest sprawnie zrealizowane z udziałem

utalentowanych aktorów, a co najważniejsze, prezentuje pełnię destrukcyjnych możliwości biowojennych jednostek operacyjnych Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Tytuł brzmi: „Zagłada Hamelin”.

Jasne, że mu zapłacili.

REPETA

Było to bardziej przyzwyczajenie niż hobby i z pewnością nie stanowiło wyniku celowego, planowanego z zimną krwią działania, ale fakt pozostawał faktem: Haviland Tuf kolekcjonował statki kosmiczne.

Lepiej byłoby chyba powiedzieć, że je po prostu gromadził. Bez wątpienia miał na to wystarczająco wiele miejsca. Kiedy po raz pierwszy postawił stopę na pokładzie „Arki”, znalazł tam pięć pękatych promów orbitalnych o skrzydłach w układzie delta, rhianneński frachtowiec oraz trzy statki kosmiczne Obcych: silnie uzbrojony niszczyciel Hruun i dwa niezwykle wyglądające pojazdy, których dzieje i budowniczoie stanowili nieprzeniknioną tajemnicę. Tę zbieraninę uzupełniła uszkodzona handlowa jednostka Tufa, „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”.

Był to jednak tylko początek. Podczas licznych podróży Tufa różnorakie statki kosmiczne zaczęły gromadzić się na lądowisku „Arki” niczym kłębki kurzu, jakie zbierają się pod konsolętą komputera lub papiery zalegające biurko urzędnika.

Na Freehaven jednoosobowy skuter atmosferyczny głównego negocjatora został tak poważnie uszkodzony podczas udanej próby przedarcia się przez blokadę, że Tuf czuł się zobowiązany udostępnić negocjatorowi prom „Mantykora” - po podpisaniu kontraktu, ma się rozumieć. W ten sposób jego kolekcja wzbogaciła się o jednoosobowy skuter atmosferyczny.

Na Ganesi kapłani czczący słonie nigdy w życiu nie widzieli ich na oczy, w związku z czym Tuf wyklonował im spore stadko, dorzuciwszy dla urozmaicenia kilka mastodontów, włochatego mamuta i trygijskiego trąbokłacza. Kapłani, którzy nie życzyli sobie utrzymywać kontaktów z pozostałą częścią ludzkości, zapłacili mu w naturze, ofiarowując flotę zabytkowych statków kosmicznych, którymi podróżowali ich przodkowie. Tuf zdołał sprzedać dwie jednostki do muzeum, pozostałe zaś oddał na złom, ale zatrzymał sobie na pamiątkę jeden egzemplarz.

Na Karaleo pokonał w pijackich zawodach Księcia Złotodumnego i otrzymał w nagrodę luksusową szalupę kosmiczną w kształcie złotego lwa, choć pokonany dostojnik w zdradziecki sposób zdążył usunąć z niej większość ozdób wykonanych z lanego złota.

Rękodzielnicy z Mhure, szcżycący się ponad miarę swymi zdolnościami manualnymi, byli tak zachwyceni sprytnymi smokami, które Tuf wyprodukował, by uporały się z gnębiącą planetę plagą latających szczurów, że nagrodzili go posrebrzonym promem w kształcie skrzydlatego smoka.

Rycerze św. Krzysztofa, których planeta straciła znacznie na atrakcyjności w związku

z nieodpowiedzialnymi wybrykami wielkich latających jaszczurów zwanych tam smokami (częściowo dla osiągnięcia większego efektu, a częściowo z braku wyobraźni), z radością przyjęli stworzone przez Tufa niewielkie bezwłose małpki, żywiące się niemal wyłącznie smoczymi jajami. Również oni w dowód wdzięczności ofiarowali mu statek. Wyglądał jak jajko z kamieni i drewna. Wewnątrz znajdowały się miękkie fotele obite natłuszczoną smoczą skórą, setki fantastycznych dźwigni i przyrządów wykonanych z mosiądzu, zamiast ekranów zaś zainstalowano wspaniałe witraże. Na drewnianych ścianach wisiały ręcznie tkane kobierce przedstawiające czyny dzielnych rycerzy. Rzecz jasna, statek nie mógł latać - ekrany nic nie pokazywały, dźwignie i pokręta niczego nie uruchamiały, system podtrzymywania życia zaś nie był w stanie podtrzymać niczyjego życia. Mimo to Tuf przyjął podarunek.

Tak to się właśnie odbywało - statek tu, statek tam - aż wreszcie lądowisko „Arki” przypominało wielki galaktyczny śmietnik. Kiedy Tuf postanowił wrócić na S’uthlam, dysponował ogromną liczbą najróżniejszych statków kosmicznych.

Już dawno temu doszedł do wniosku, że postąpiłby nadzwyczaj nieroztropnie, wracając do systemu Sulstar na pokładzie „Arki”. Kiedy ostatnio opuszczał ten rejon kosmosu, ścigała go cała Flotylla Planetarna, by zmusić go do oddania ostatniej ocalałej jednostki należącej do Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Mieszkańcy S’uthlam osiągnęli wysoki stopień technologicznego rozwoju i podczas pięciu lat standardowych, które minęły od ostatniej wizyty Tufa, z pewnością udoskonaliли swoje krążowniki i niszczyliciele. W związku z tym należało najpierw przeprowadzić ostrożny rekonesans. Na szczęście Haviland Tuf uważał się za mistrza w tej dziedzinie.

Wyłączył silniki „Arki” w lodowatej, pustej czerni przestrzeni między galaktycznej, w odległości jednego roku świetlnego od Sulstar, i pojechał na lądowisko, by dokonać inspekcji swojej floty. Po namyśle zdecydował się na szalupę w kształcie lwa. Była stosunkowo obszerna i szybka, miała sprawny napęd gwiazdny i układ podtrzymujący życie, Karaleo zaś leżał tak daleko od S’uthlam, że było zupełnie nieprawdopodobne, by te dwie planety prowadziły ze sobą wymianę handlową. Dzięki temu ewentualne niedoskonałości jego przebrania mogły ujść nie zauważone. Przed wyruszeniem w drogę Haviland Tuf zabarwił swą mlecznobiałą skórę na ciemnobrązowy kolor, okrył łysą czaszkę obfitą peruką, przykleił rudozłotą brodę i krzaczaste brwi, a wreszcie przyoblekł swe obfite kształty w mnóstwo różnokolorowych futer (sztucznych) i obwiesił się złotymi łańcuchami (fałszywymi, ma się rozumieć), dzięki czemu niczym się nie różnił od karaleońskiego szlachcica. Większość kotów pozostawił na pokładzie „Arki”, ale zabrał ze sobą Daxa, czarnego kociaka o

błyszczących złotych ślepiach, obdarzonego zdolnościami telepatycznymi. Nadał statkowi odpowiednie imię, załadował spory zapas zupy grzybowej w puszkach i dwie beczułki piwa z planety św. Krzysztofa, wprowadził do pamięci komputera kilka ulubionych gier, po czym wyruszył w drogę.

Dostrzeżono go natychmiast, jak tylko pojawił się znowu w normalnej przestrzeni, w pobliżu planety S'uthlam i jej rozległego portu kosmicznego. Na głównym ekranie - któremu fantazja konstruktorów nadała kształt dużego oka - pojawiła się szczupła twarz drobnego mężczyzny o zmęczonym spojrzeniu.

- Tu Kontrola Ruchu Portu S'uthlam - przedstawił się. - Mamy cię, mucho. Czekam na identyfikację.

Haviland Tuf wyciągnął rękę i włączył mikrofon.

- Tu „Straszliwy Yeldt Zabójca” - powiedział spokojnym, pozbawionym emocji głosem. - Uprzejmie proszę o zezwolenie na dokowanie.

- Nigdy bym się nie domyślił - odparł kontroler ze znużonym sarkazmem. - Dok cztery-trzy-siedem. Koniec.

Jego twarz zastąpił schemat pokazujący położenie wyznaczonego doku, a następnie połączenie zostało przerwane.

Zaraz po cumowaniu na pokład weszło dwoje celników. Kobieta sprawdziła puste luki, upewniła się, czy ten dziwnie skonstruowany pojazd nie może wybuchnąć, stopić się lub w jakiś inny sposób uszkodzić pajęczyny, po czym skontrolowała, czy na pokładzie nie ma żadnych szkodników. W tym czasie jej towarzysz poddał Tufa drobiazgowemu przesłuchaniu dotyczącemu miejsca pochodzenia, celu podróży, powodów, dla których zjawiał się na S'uthlam, oraz innych szczegółów, wstukując wszystkie odpowiedzi do przenośnego komputerka.

Już prawie skończył, kiedy z kieszeni Tufa wygramolił się Dax i spojrzał na celnika zaspanymi ślepiami. Mężczyzna zerwał się z miejsca.

- Co to?!... - wykrztusił ze zdumieniem i niewiele brakowało, by wypuścił komputer.

Kociak - no, już prawie kot, ale na pewno najmłodszy z gromadki podróżującej na pokładzie „Arki” - miał długą jedwabistą sierść, czarną jak najczarniejsze otchłanie kosmosu, jaskrawozłote ślepia i zdumiewająco leniwe ruchy. Tuf wziął go na rękę i pogłaskał delikatnie.

- To jest Dax, proszę pana- wyjaśnił.

S'uthlamańczycy mieli nieprzyjemny zwyczaj traktowania wszystkich zwierząt jako szkodników, w związku z czym pragnął zapobiec jakiejś gwałtownej a trudnej do

przewidzenia reakcji ze strony przedstawiciela władz. - Jest małym domowym zwierzątkiem, całkowicie nieszkodliwym.

- Wiem, wiem - odpowiedział nerwowo urzędnik. - Lepiej trzymaj go ode mnie z daleka, mucho. Jeśli rzuci mi się do gardła, narobisz sobie kłopotów.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Uczynię, co w mojej mocy, by okiełznać jego drapieżność.

Celnik trochę się odprężył.

- To tylko mały kot, prawda? Jak to się mówi, kotlak?

- Pańska znajomość zoologii budzi we mnie zdumienie.

- Nie mam pojęcia o zoologii, ale od czasu do czasu oglądam filmy w telewizji - odparł urzędnik, siadając z powrotem w fotelu.

- Wnoszę więc, iż są wśród nich również materiały dokumentalne - powiedział Tuf.

- Coś ty! - obruszył się mężczyzna. - Wolę romanse i przygodówki.

Haviland Tuf skinął głową.

- Rozumiem. Zapewne w jednym z tych filmów występował przedstawiciel kotowatych.

Celnik skinął głową. W tej samej chwili do kabiny weszła jego koleżanka.

- Wszystko w porządku - oznajmiła. Na widok Daxa spoczywającego w objęciach Tufa uśmiechnęła się szeroko. - Koci szkodnik! - wykrzyknęła z zachwytem. - Bardzo ciekawe.

- Uwważaj - ostrzegł ją mężczyzna. - One wydają się łagodne i miłe, ale mogą w okamgnieniu wyszarpać ci płuca!

- Chyba jest na to za mały.

- Ha! Przypomnij sobie tego z *Tufa i Mune*!

- *Tuf i Mune* - powtórzył Haviland Tuf głosem zupełnie pozbawionym emocji.

Celniczka usiadła obok swojego kolegi.

- Właściwie to miało tytuł Pirat i kapitan portu - wyjaśniła.

- On był niespokojnym panem życia i śmierci, podróżującym statkiem wielkości słońca, ona zaś królową Pajęcznika, rozdartą między poczuciem lojalności a miłością. Wspólnie zmienili świat - powiedział celnik.

- Możesz to sobie obejrzyć w Pajęczniku, jeśli lubisz takie rzeczy - poinformowała Tufa kobieta. - Tam właśnie występuje kot.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf i zamrugał powiekami. Dax zaczął cichutko mrużyć.

Jego dok znajdował się w odległości pięciu kilometrów od centrum portu, Tuf wszedł

więc do pociągu pneumatycznego, który zawiózł go do Pajęcznika.

W pociągu objano go ze wszystkich stron. Nie było tu miejsc siedzących, w związku z czym musiał odbyć podróż na stojąco, z jakimś łokciem wbitym pod żebra, z wykonaną z zimnej plastostali twarzą cybertechna oddaloną zaledwie kilka milimetrów od jego własnej, oraz oślizgłym pancerzem jakiejś obcej istoty ocierającym się o jego grzbiet przy każdym hamowaniu wagonika. Wysiadając, odniósł wrażenie, że pociąg po prostu zwymiotował kłębiącą się w jego trzewiach tłuszczę. Na peronie panowały niepodzielnie chaos, zgiełk i zamieszanie. Niska młoda kobieta o niesamowicie ostrych rysach twarzy dotknęła obcesowo jego sztucznej grzywy i zaproponowała odwiedziny w salonie przeżyć erotycznych. Ledwo Tuf zdołał się od niej uwolnić, a już stanął twarzą w twarz z telereporterem wyposażonym we wszczepioną w środek czoła kamerę i przymilny uśmiech; reporter poinformował go, że przygotowuje program o interesujących muchach i chciałby przeprowadzić z nim wywiad.

Tuf przepchnął się obok niego do najbliższego straganu, kupił Tarczę Prywatności i przypiął ją sobie do paska. Od razu poczuł się lepiej; na widok Tarczy S'uthlamczycy uprzejmie odwracali spojrzenia, szanując jego wolę i pozwalając w miarę spokojnie dotrzeć tam, gdzie akurat miał zamiar się udać.

Najpierw skierował się do wizjosalonu. Wynajął indywidualną kabinę wyposażoną w wygodną kanapę, zamówił tubę miejscowego wodnistego piwa i wypożyczył kopię Tufa i Mune.

Po obejrzeniu filmu udał się do biura kapitana portu.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pragnąłbym zadać mu jedno pytanie - zwrócił się do mężczyzny siedzącego za konsolą w głównym holu biura. - Czy Tolly Mune pełni jeszcze obowiązki kapitana Portu S'uthlam?

Urzędnik zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

- Ech, te muchy!... - westchnął głęboko. - Oczywiście. A któżby inny?

- Zaiste, któżby inny - zgodził się Tuf. - Jest sprawą niezmiernej wagi, abym natychmiast się z nią spotkał.

- Nie ty jeden tak myślisz. Nazwisko?

- Weemowet, wędrowiec z dalekiego Karaleo, właściciel „Straszliwego Yeldta Zabójcy”.

Urzędnik skrzywił się, wprowadził dane do komputera, po czym odchylił się do tyłu na fotelu, czekając na odpowiedź.

- Przykro mi, Weemowet - odezwał się po dłuższej chwili. - Mama jest zajęta, a jej komputer nigdy nie słyszał o tobie, twoim statku ani twojej planecie. Mogę cię umówić na

przyszły tydzień, pod warunkiem, że powiesz, o co ci chodzi.

- Takie rozwiązanie absolutnie mnie nie zadowala. Sprawa, z którą przybywam, jest natury osobistej i dlatego chciałbym niezwłocznie zobaczyć się z kapitanem portu.

Urzędnik wzruszył ramionami.

- Wybieraj: defekacja albo ewakuacja. Nic ci nie poradzę.

Po namyśle Haviland Tuf sięgnął ręką do peruki, ściągnął ją z czaszki, a następnie odkleił sztuczną brodę i rzucił dwie sterty włosów na konsolę.

- Zechce pan spojrzeć: nie jestem Weemowet, tylko Haviland Tuf. Przybywam w przebraniu.

- Haviland Tuf? - powtórzył mężczyzna.

- Tak jest.

Urzędnik parsknął śmiechem.

- Widziałem ten film, mucho. Jeśli ty jesteś Tuf, to ja jestem Stephan Kobaltowa Gwiazda Północy.

- Stephan Kobaltowa Gwiazda Północy nie żyje już od ponad tysiąca lat, ale ja naprawdę jestem Haviland Tuf.

- W ogóle go nie przypominasz - stwierdził urzędnik.

- Przybywam incognito, w przebraniu leońskiego szlachcica.

- A, prawda. Zapomniałem.

- Ma pan niezwykle krótką pamięć. Czy zechce pan poinformować Tolly Mune, że Haviland Tuf powrócił na Suthlam i pragnie natychmiast z nią rozmawiać?

- Nie - odparł bez ogródek urzędnik. - Ale na pewno opowiem o tym przyjaciółom podczas wieczornej orgii.

- Mam zamiar przekazać jej kwotę szesnastu milionów pięciuset tysięcy kredytek.

- Szesnaście milionów pięćset tysięcy? - powtórzył z podziwem mężczyzna. - To kupa forsy.

- Dysponuje pan zadziwiającą umiejętnością stwierdzania oczywistych faktów - powiedział Tuf z niewzruszoną miną. - Przekonałem się, że zawód inżyniera ekologa może przynosić znaczne profity.

- Bardzo się cieszę. - Urzędnik pochylił się do przodu w fotelu. - Słuchaj no, Tuf, Weemowet czy jak tam się nazywasz. Miło mi się z tobą gawędzi, ale mam mnóstwo pracy. Jeśli w ciągu paru sekund nie zabierzesz z pulpitu swojej sierści i nie znikniesz mi z oczu, wezwę ochroniarzy. - Miał chyba zamiar dodać coś jeszcze, ale przerwał mu brzęczyk, który rozległ się z konsoli. - Słucham? - zapytał, spoglądając na ekran. - Ach, tak. Jasne, Mamo.

Cóż... duży, nawet bardzo duży, jakieś dwa i pół metra wzrostu, i potworne brzuszysko, wręcz nieprzyzwoite. Hmm... Nie, mnóstwo włosów, przynajmniej do chwili, kiedy ściągnął je sobie z głowy i rzucił mi na konsoletę. Nie. Twierdzi, że podróżuje w przebraniu. Tak. Podobno ma dla ciebie jakieś niesamowite miliony kredytek.

- Szesnaście milionów pięćset tysięcy - uściślił Tuf. Urzędnik przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Oczywiście, Mamo. Natychmiast. - Przerwał połączenie i spojrzał ze zdumieniem na Tufa. - Chce cię widzieć. Te drzwi. - Wskazał palcem. - Tylko uważaj, w jej gabinecie nie ma grawitacji.

- Nie jest mi obca awersja kapitana portu do siły ciężkości - odparł Haviland Tuf, po czym zgarnął z pulpitu perukę i brodę, wetknął je pod pachę i skierował się z godnością w stronę wskazanych drzwi, które rozsunęły się przed nim.

Czekała na niego w gabinecie, unosząc się w powietrzu wśród zmiętych papierów. Miała skrzyżowane nogi, a jej długie, stalowosrebrne włosy falowały wokół otwartej, szczerej, pospolitej twarzy niczym smuga dymu.

- Więc jednak wróciłeś - powiedziała, gdy do pokoju wpłynął Haviland Tuf.

Tuf nie czuł się dobrze w zerowej grawitacji. Dotarłszy do fotela przeznaczonego dla gości, starannie przymocowanego do tego, co powinno być podłogą, przypiął się pasami i złożył ręce na imponującej wypukłości brzucha. Zapomniana peruka unosiła się samotnie w powietrzu, przesuwana prądami powietrza.

- Pani sekretarz odmówił przekazania informacji, których mi udzieliłem - powiedział. - W jaki sposób domyśliła się pani, że to ja?

Uśmiechnęła się.

- A kto inny mógłby nazwać swój statek „Straszliwym Yeldtem Zabójcą”? Poza tym lada dzień minie dokładnie pięć lat. Miałam przeczucie, że jesteś z tych punktualnych, Tuf.

- Rozumiem. - Dostojnym ruchem sięgnął pod obfite fałdy swych sztucznych futer, otworzył wewnętrzną kieszeń i wydobyl z niej winylowy portfel z wieloma małymi przegródkami, z których każda zawierała jeden kryształ pamięci. - Niniejszym mam przyjemność przekazać pani sumę szesnastu milionów pięćset tysięcy kredytek, stanowiącą połowę należności, jaką jestem dłużny Portowi S'uthlam za wyremontowanie mi wyposażenie „Arki”. Kwota ta została zdeponowana w bankach na Ozyrysie, ShanDellor, Starym Posejdonie, Ptoii, Lyss i Nowym Budapeszcie. Te kryształy zapewnią swobodny dostęp do niej.

- Dzięki - odparła Tolly Mune. Wzięła od Tufa portfel, zajrzała do niego bez

większego zainteresowania, po czym wypuściła go z ręki. Natychmiast popłynął w kierunku peruki. - Byłam pewna, że zdobędziesz tę forszę.

- Pani wiara w mój zmysł do robienia interesów napełnia mnie dumą i radością - powiedział Haviland Tuf. - A teraz przejdźmy do filmu...

- *Tuf i Mune* Widziałeś go?

- Zaiste.

- A niech mnie! - wykrzyknęła Tolly, uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją. - I co o tym myślisz?

- Jestem zmuszony przyznać, iż z oczywistych powodów wywołał we mnie coś w rodzaju perwersyjnej fascynacji. Sam pomysł zrealizowania takiego dzieła mile łechce moją próżność, lecz jego wykonanie pozostawia wiele do życzenia.

- A co najbardziej ci się nie podobało? Tuf uniósł długi, biały palec.

- Ujmując to jednym słowem: nieściskość.

Skinęła głową.

- Rzeczywiście, Tuf z filmu waży mniej więcej połowę tego co ty, ma znacznie bardziej ruchliwą twarz, nie wyraża się nawet w jednej trzeciej tak wyszukanie, ma mięśnie pajęczarza i koordynację ruchową akrobata, ale przynajmniej ogolili mu głowę, żeby zachować zgodność z faktami.

- Ma wąsy - zauważył Haviland Tuf. - Ja ich nie posiadam.

- Widocznie uznali, że doda mu to charakteru. Zwróć jednak uwagę, co zrobili ze mną. Nie mam pretensji o to, że odjęli mi pięćdziesiąt lat, ani o to, że dali twarz księżniczki z Yandeen, ale te przeklęte piersi!...

- Bez wątpienia pragnęli w ten sposób podkreślić pani ssacze pochodzenie - odparł Tuf. - To wszystko można uznać za drobne korekty wprowadzone z myślą o podniesieniu walorów estetycznych dzieła. Znacznie większy sprzeciw budzi we mnie beztroska swoboda, z jaką potraktowano moje przekonania i filozofię życiową. Czuję się zmuszony stanowczo zaprotestować przeciwko mojej finałowej przemowie, w której dowodzę, jakoby rozkwitająca ludzkość mogła rozwiązać wszystkie problemy, jakie pojawią się na jej drodze rozwoju, oraz jakoby inżynieria ekologiczna uwolniła S'uthlamczyków od wszelkich obaw, pozwalając im rozmnażać się bez żadnych ograniczeń, a tym samym zbliżyć się szybko do celu, jakim jest wielkość i osiągnięcie boskości. Stanowi to dokładne zaprzeczenie poglądów, które przedstawiłem pani poprzednim razem, kapitanie Mune. Jeśli sięgnie pani pamięcią do naszej ostatniej rozmowy, bez trudu przypomni pani sobie, że jasno i wyraźnie wyraziłem wówczas pogląd, iż jakakolwiek technologiczna lub ekologiczna ingerencja w wasze problemy może

jedynie na jakiś czas przyhamować ich narastanie, lecz nie rozwiąże ich tak długo, jak długo wasi obywatele będą kontynuować niczym nie ograniczoną reprodukcję.

- Byłeś bohaterem - zauważyła Tolly Mune. - Nie mogli przedstawić cię jako przeciwnika życia.

- Dostrzegłem również wiele innych pomyłek i przeinaczeń. Widzowie, którzy mieli nieszczęście obejrzeć to dzieło, otrzymali całkowicie fałszywy obraz wydarzeń sprzed pięciu lat. Furia jest nieszkodliwą, aczkolwiek obdarzoną temperamentem kotką, której przodkowie zostali udomowieni u zarania dziejów ludzkości. O ile sobie przypominam, kiedy ona i ja zostaliśmy zdradziecko wplątani w oszukańczą aferę, mającą na celu zmuszenie mnie do oddania „Arki”, oboje nie stawialiśmy najmniejszego oporu. Furia nie rozszarpała ani jednego z funkcjonariuszy waszej ochrony, nie mówiąc już o sześciu.

- Ale zadrapała mnie raz w rękę - skontrowała Tolly. - Coś jeszcze?

- Odnoszę się z największym szacunkiem i aprobatą do poczynań Josena Raela i Rady Planety - ciągnął Tuf. - Co prawda ich postępowanie wobec mnie cechował całkowity brak skrupułów, ale muszę stanowczo stwierdzić, iż Josen Rael ani nie poddał mnie torturom, ani nie uśmiercił żadnego z moich kotów, by nakłonić mnie w ten sposób do podporządkowania się jego woli.

- Nawet nie miał takiego zamiaru - uzupełniła Tolly Mune. - W gruncie rzeczy to był porządny człowiek. - Westchnęła głośno. - Biedny Josen.

- Wreszcie dotarliśmy do sedna sprawy. Sedno, zaiste... Niezwykłe słowo, ale znakomicie pasujące do sytuacji. Otóż sednem sprawy, kapitanie Mune, była i nadal pozostaje natura naszego zakładu. Kiedy zjawiłem się tutaj na pokładzie „Arki”, by dokonać niezbędnych napraw, wasza Rada Planety postanowiła ją zdobyć. Ponieważ jednak odmówiłem sprzedaży, wy zaś nie mieliście żadnych prawnych podstaw, by dokonać konfiskaty, wzięliście podstępem do niewoli Furię i zagroziliście jej unicestwieniem, jeżeli nie zgodzę się na wasze warunki. Czy prawidłowo oddaję przebieg tamtych wydarzeń?

- Mniej więcej - zgodziła się uprzejmie.

- Udało nam się wyjść z impasu dzięki zakładowi. Podjąłem się zażegnać kryzys żywnościowy grożący waszej planecie, a tym samym oddalić widmo powszechnego głodu. Gdyby mi się nie udało, „Arka” stałaby się waszą własnością. Gdyby próba zakończyła się powodzeniem, mieliście zwrócić mi Furię, a także wykonać wszystkie naprawy, jakich sobie życzyłem, i dać mi dziesięć lat standardowych na zebranie sumy koniecznej do uregulowania rachunku.

- Tak właśnie było.

- Jednak mimo najszczęśliwszych wysiłków nie mogę sobie przypomnieć, by w którymkolwiek punkcie naszej umowy znajdowała się choćby najdrobniejsza wzmianka o pani cielesnych powabach, kapitanie Mune. Jestem jak najdalszy od lekceważenia niezwyklej brawury, jaką wykazała pani, gdy Rada Planety unieruchomiła pociągi pneumatyczne i zamknęła wszystkie śluzy. Postawiła pani na szali swoje życie i karierę, rozbiła szybę z plastostali, przebyła kilka kilometrów próżni, chroniona jedynie cienkim materiałem skafandra i posługując się minirakietkami, umknęła pogoni funkcjonariuszy ochrony portu, a wreszcie cudem uniknęła śmierci, kiedy cała wasza Flotylla Planetarna ruszyła do ataku na „Arkę”. Nawet ktoś tak prostolinijny i nie znoszący przesady jak ja musi przyznać, że czyny te kwalifikują się do miana heroicznych, a nawet romantycznych, i że w zamierzonych czasach z pewnością stałyby się zacznym wielu legend. Mimo to pozostaję w niezachwianym przekonaniu, iż celem tej melodramatycznej, tudzież zuchwałej eskapady było zwrócenie mi Furii, a tym samym dopełnienie warunków umowy, nie zaś oddanie się we władanie moim - zamrugał dostojnie - żądzom. Co więcej, sama pani stwierdziła wówczas, iż motywem pani działań było poczucie honoru i obawa przed demoralizującym wpływem, jaki „Arka” mogłaby wyrzucić na waszych przywódców. O ile sobie przypominam, nie miały z tym nic wspólnego ani fizyczna namiętność, ani romantyczna miłość.

Tolly Mune uśmiechnęła się szeroko.

- Spójrz na nas, Tuf. Za żadną cholere nie wyglądamy na parę galaktycznych kochanków. Ale chyba sam przyznasz, że w ten sposób ta historia sporo zyskała na atrakcyjności.

Długa twarz Tufa w dalszym ciągu pozostała doskonale nieruchoma.

- Z pewnością nie chce pani bronić tego pozostawiającego tak wiele do życzenia filmu?

Parsknęła głośnym śmiechem.

- Bronić go? Do licha, sama napisałam scenariusz! Haviland Tuf zamrugał sześć razy.

Nim jednak zdołał cokolwiek odpowiedzieć, drzwi rozsunęły się i do gabinetu wpadła gromada rozwrzeszczanych jeden przez drugiego reporterów. Każdy miał pośrodku czoła trzecie oko, rejestrujące pilnie wszystko, co działo się dookoła.

- Spójrz tutaj, Tuffer! Uśmiechnij się!

- Masz ze sobą jakieś koty?

- Czy podpisze pani kontrakt ślubny, kapitanie?

- Gdzie jest „Arka”?

- Hej, obejmijcie się!

- Gdzie się tak opaliłeś, kupcze?
- Co się stało z twoimi wąsami?
- Jakie jest twoje zdanie na temat *Tufa i Mune*, obywatelu Tuf?
- Co porabia Furia?

Unieruchomiony w fotelu Haviland Tuf ocenił sytuację kilkoma szybkimi, precyzyjnymi spojrzeniami, po czym zamrugał i nic nie odpowiedział. Grad pytań sypał się bez przerwy aż do chwili, kiedy Tolly odepchnęła się od ściany, przedarła się bez trudu przez horde reporterów, wylądowała na fotelu obok Tufa, wzięła go pod rękę i pocałowała lekko w policzek.

- Nie bądźcie tacy w gorącej wodzie kąpani - powiedziała. - Przecież on dopiero co tu przyleciał. - Podniosła rękę. - Przykro mi, ale nie odpowiadamy na żadne pytania. Chcemy zostać sami. Bądź co bądź, minęło już pięć lat. Dajcie nam trochę czasu, żebyśmy znowu przyzwyczaili się do siebie.

- Czy polecicie razem na „Arkę”? - zapytał któryś z bardziej agresywnych reporterów. Unosił się w powietrzu nie dalej niż pół metra przed twarzą Tufa, taksując go spojrzeniem trzeciego oka.

- Oczywiście - odparła Tolly Mune. - A gdzieżby indziej?

Dopiero kiedy „Straszliwy Yeldt Zabójca” oddalił się znacznie od Portu S’uthlam, lecąc w kierunku „Arki”, Haviland Tuf zjawił się ponownie w kabinie, którą oddał do dyspozycji Tolly Mune. Wziął prysznic, wyszorował się dokładnie i usunął resztki charakterystyki. Jego pociągła, całkowicie bezwłosa twarz była biała i nieprzenikniona jak kartka papieru. Miał na sobie prosty szary kombinezon podkreślający rozmiary imponującego brzucha, jego łysą czaszkę zaś zdobiła zielona czapeczka z daszkiem i złotym emblematem Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Na szerokim ramieniu usadowił się złotooki Dax.

Tolly Mune leżała w niedbalej pozycji, sącząc piwo rycerzy św. Krzysztofa, ale uśmiechnęła się na jego widok.

- Diabelnie dobre to piwsko - powiedziała. - A to co? Chyba nie Furia?

- Furia przebywa na pokładzie „Arki” wraz ze swym partnerem i kociętami, choć w gruncie rzeczy trudno uważać je jeszcze za kocięta. Od mojej ostatniej bytności na S’uthlam kocia populacja „Arki” znacznie się powiększyła, choć z pewnością nie tak bardzo jak ludzka populacja pani planety, kapitanie. - Zasiadł dostojnie w fotelu. - To jest Dax. Jeśli każdy kot, ma się rozumieć, jest jedyny w swoim rodzaju, to tego można uznać za wręcz niezwykłego. Powszechnie wiadomo, że wszystkie koty dysponują zaczątkiem czegoś w rodzaju zdolności

pozazmysłowych. W związku z niezwykłym splotem wydarzeń, w jakich uczestniczyłem na planecie Namor, uruchomiłem program mający na celu pogłębienie i rozszerzenie tych wrodzonych kocich zdolności. Dax stanowi rezultat tego programu, szanowna pani. Łączy nas niezwykle zrozumienie, jego zdolności parapsychiczne zaś znacznie wykraczają Poza przeciętność.

- Krótko mówiąc, sklonowałaś sobie kota telepatę - stwierdziła Tolly.

- Bystrość pani umysłu w dalszym ciągu budzi mój najgłębszy podziw - odparł Tuf, splatając dłonie na brzuchu. - Odnoszę wrażenie, iż mamy wiele do omówienia. Może będzie pani tak miła i wyjaśni mi, dlaczego zażyczyła, sobie pani, bym ponownie sprowadził „Arkę” do Portu S’uthlam, dlaczego uparła się pani, by mi towarzyszyć, a wreszcie, czemu uznała pani za stosowne wplątać mnie w tę dziwną, aczkolwiek całkowicie zmyśloną historię, nie pytając mnie wcześniej o zdanie ani nie zasięgając mojej opinii?

Tolly Mune westchnęła głęboko.

- Tuf, czy pamiętasz, jak wyglądały sprawy, kiedy rozstawaliśmy się pięć lat temu?

- Moja pamięć w najmniejszym stopniu nie uległa osłabieniu.

- To dobrze. W takim razie chyba pamiętasz również, że zostawiłeś mnie tkwiącą po same uszy w cuchnącym bagnie?

- Spodziewała się pani natychmiastowego zwolnienia z funkcji kapitana portu, postawienia przed sądem pod zarzutem popełnienia zdrady stanu i zesłania do kolonii karnej na asteroidach Lardera. Mimo to odpowiedziała pani odmownie na moją ofertę zapewnienia nieodpłatnego transportu do dowolnego systemu planetarnego, wybierając więzienie i niełaskę.

- Tu jest mój dom, Tuf, i moi ludzie. Czasem zachowują się jak cholerni głupcy, ale ja jestem jedną z nich.

- Pani poczucie lojalności budzi mój najgłębszy szacunek. Jednak wnosząc z faktu, że wciąż jeszcze jest pani kapitanem portu, należy się domyślać, iż okoliczności uległy pewnym zmianom.

- Ja je zmieniłam.

- Zaiste.

- Musiałam, jeżeli nie chciałam spędzić reszty życia, zbierając kombajnem neotrawę w jakimś przeklętym ciążeniu, które rozrywałoby mnie na kawałki! - Skrzywiła się paskudnie. - Ochroniarze zwinęli mnie natychmiast, jak tylko wróciłam do portu. Odmówiłam podporządkowania się poleceniom Rady Planety, złamałam prawo, spowodowałam straty materialne i pomogłam ci uciec statkiem, na który wszyscy ostrzyli sobie zęby. Całkiem

nieźle, nie uważasz?

- Moja opinia nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia.

- Na tyle nieźle, że musiała to być nieprawdopodobna zbrodnia albo niesamowite bohaterstwo. Josen ciężko to odchorował. Powiadam ci, to wcale nie był zły człowiek, ale pełnił funkcję Przewodniczącego Rady Planety i wiedział, co musi zrobić: oskarżyć mnie o zdradę stanu. Ale ja też nie jestem głupia, Tuf, i też wiedziałam, co muszę robić. - Pochyliła się w jego stronę. - Wcale nie podobały mi się moje karty, ale miałam do wyboru: albo grać, albo rzucić je na stół. Żeby ratować swój kościsty tyłek, musiałam zniszczyć Josena, dyskredytując zarówno jego, jak i większość członków Rady Planety. Musiałam przedstawić siebie jako bohaterkę, jego zaś jako zbrodniarza, tak jasno i wyraźnie, żeby dotarło to do najgłębszego kretyna w najgłębszym zakątku dolnego miasta.

- Rozumiem - powiedział Tuf. Dax mruzczał cichutko; Tolly była całkowicie szczerą. - Stąd zapewne wzięło się to niesmaczne dzieło zatytułowane *Tuf i Mune*.

- Potrzebowałam kalorii na koszt sądowe, a to pozwoliło mi sprzedać moją wersję wydarzeń jednej z największych sieci informacyjnych. Powiedzmy, że lekko podkolorowałam całą historię. Byli tak zachwyceni, że zaraz potem postanowili zrealizować wersję fabularną. Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu, żeby dostarczyć im scenariusz. Naturalnie robiłam to we współpracy z fachowcem, ale to ja mówiłam mu, co ma pisać. Josen niemal do samego końca nie wiedział, Co się dzieje. Okazało się, że nie był aż tak sprytny, za jakiego się uważał, i nie oddawał się swojej pracy całym sercem. Poza tym otrzymałam pomoc.

- Z jakiego źródła?

- Głównie od młodego człowieka nazwiskiem Cregor Blaxon.

- Nie jestem w stanie go sobie przypomnieć.

- Należał do Rady Planety. Był ministrem rolnictwa. To diabelnie ważne stanowisko, Tuf, a Blaxon był najmłodszym ministrem w historii i w ogóle najmłodszym członkiem Rady. Pewnie uważasz, że mu to wystarczyło, co?

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani powstrzymać się przed odgadywaniem moich myśli, chyba że podczas mojej nieobecności udało się pani wykształcić w sobie zdolności telepatyczne. Nie, wcale tak nie uważam, kapitanie Mune. Przekonałem się już wielokrotnie, jaką moc mają ludzkie ambicje.

- Cregor Blaxon był i jest nadzwyczaj ambitnym człowiekiem. Obaj z Josenem należeli do technokratów, ale Cregor od początku mierzył w fotel Przewodniczącego Rady. Niestety, Josen Rael posadził tam tyłek jako pierwszy.

- Chyba pojmuję jego motywacje.

- Blaxon stał się moim sojusznikiem. To, co nam zaproponowałeś, wywarło na nim ogromne wrażenie - omnizboże, plankton, ślimaki odżywiające się zanieczyszczeniami powietrza, wszystkie te cholerne grzyby... Poza tym widział, co nam grozi. Robił wszystko, żeby skrócić do minimum testy i jak najszybciej rozpowszechnić twoje pomysły. Miażdżył wszystkich głupców, którzy odważyli się stanąć mu na drodze. Josen Rael był zbyt zajęty innymi rzeczami, żeby zwrócić na to uwagę.

- Inteligentni, a zarazem efektywni politycy stanowią gatunek niemal nie znany w galaktyce - zauważył Haviland Tuf. - Zastanawiam się, czy mógłbym uzyskać od tego Blaxona kilka komórek, by włączyć je do zbiorów zgromadzonych w chłodniach „Arki”.

- Nie pozwalasz mi dokończyć.

- Bo zakończenie tej historii jest najzupełniej oczywiste. Może zostanie mi to poczytane za próżność, lecz zaryzykuję twierdzenie, że moje dokonania inżynierskie zostały uznane za sukces, a energiczne wysiłki czynione przez Cregora Blaxona w celu wprowadzenia ich w życie przysporzyły mu sławy i uznania.

- Nazwał to Rozkwitem Tufa - powiedziała Tolly Mune z cynicznym uśmiechem. - Oczywiście dziennikarze natychmiast podchwycili ten termin. Rozkwit Tufa, nowa złota era dla S’uthlam. Wkrótce zbieraliśmy jadalne porosty ze ścian kanałów ściekowych, założyliśmy uprawy grzybów we wszystkich podziemiach, nasze morza pokryły się dywanami jadalnych wodorostów, ryby rozmnażały się w niesamowitym tempie. Zamiast neotrawy i nanopszenicy sialiśmy twoje omnizboże i już z pierwszego zbioru uzyskaliśmy trzykrotnie więcej kalorii niż kiedykolwiek do tej pory. Odwaliłeś kawał pierwszorzędnej roboty, Tuf.

- Komplement został przyjęty z należną satysfakcją.

- Na szczęście dla mnie *Tuf i Mune* trafił do rozpowszechniania w szczytowym punkcie Rozkwitu Tufa, na długo przed moją rozprawą.

Creg codziennie karmił sieci informacyjne bałwochwalczyimi pieniemi pod twoim adresem i zapewniał miliardy ludzi, że kryzys żywnościowy został bezpowrotnie zażegnany. - Tolly wzruszyła ramionami. - Żeby osiągnąć cel, uczynił cię bohaterem. Nie mógł inaczej postąpić, jeśli chciał zająć miejsce Josena. A przy okazji i ja na tym zyskałam. Mówię ci, wszystko splotło się w jeden wielki, cholerny węzeł, ale oszczędzę ci szczegółów. Koniec był taki, że Tolly Mune wróciła triumfalnie na swoje stanowisko, Josen Rael zaś popadł w niełaskę i został zmuszony do złożenia dymisji. Wraz z nim ustąpiła połowa Rady Planety. Cregor Blaxon został nowym przywódcą technokratów i zwyciężył w wyborach, które odbyły się wkrótce potem. Teraz Creg jest Przewodniczącym Rady, a Josen, biedaczek, umarł dwa lata temu. Jeżeli chodzi o nas, Tuf, to oboje przeszliśmy do legendy. Jesteśmy najbardziej

romantyczną parą kochanków od... cholera, od tych wszystkich zakochanych idiotów ze starożytności. Wiesz, Romeo i Julia, Samson i Dalila, Sodoma i Gomora, Marks i Lenin.

Usadowiony na ramieniu Tufa Dax wydał groźny pomruk. Drobne pazurki przebiły materiał kombinezonu, zagłębiając się w miękkie ciało. Haviland Tuf zamrugał, a następnie podniósł rękę i pogładził uspokajająco kociaka.

- Kapitanie Mune, uśmiecha się pani szeroko i stara się sprawiać wrażenie, jakby cała ta historia zakończyła się jakże popularnym wśród szerokich mas happy endem, lecz mimo to Dax wyraźnie się zaniepokoił, wyczuwając groźne wiry kłębiące się pod zwodniczo gładką powierzchnią. Czy jest pani pewna, że nie pominęła żadnej istotnej części opowieści?

- Najwyżej jeden dopisek.

- Zaiste. Cóż to może być?

- Dwadzieścia siedem lat, Tuf. Kojarzy ci się to z czymś?

- Zaiste. Zanim podjąłem się dzieła przekształcenia ekologii S'uthlam, wasze prognozy wykazywały, że od powszechnej klęski głodu dzieli was zaledwie dwadzieścia siedem lat, zakładając, że nie nastąpi znaczący spadek przyrostu naturalnego i co najmniej równie wyraźny Wzrost produkcji żywności.

- To było pięć lat temu - uzupełniła Tolly Mune.

- Zaiste.

- Dwadzieścia siedem minus pięć...

- ...równa się dwadzieścia dwa. Zakładam, że te ćwiczenia z podstaw arytmetyki mają jakiś konkretny cel.

- Zostały dwadzieścia dwa lata. Tyle że tych wyliczeń dokonano przed pojawieniem się „Arki”, zanim genialny ekolog Tuf i zuchwała pajęczarka Mune doprowadzili do zmian na lepsze, zanim nastąpił cud z rozmnożeniem chleba i ryb, zanim młody i odważny Cregor Blaxon zapoczątkował Rozkwit Tufa.

Haviland Tuf odwrócił głowę i spojrzał w oczy siedzącemu na jego ramieniu Daxowi.

- Wyczuwam w jej głosie wyraźną nutę sarkazmu - powiedział do kota.

Tolly Mune westchnęła głęboko, sięgnęła do kieszeni i wyjęła pojemnik z kryształami pamięci.

- Łap, mój romantyczny kochanku.

Tuf bez trudu chwycił pojemnik swoją wielką, białą ręką, ale zachował milczenie.

- Jest tam wszystko, czego potrzebujesz. Prosto z banków pamięci Rady Planety. Dane o najwyższym stopniu tajności, ma się rozumieć. Wszystkie raporty, przewidywania i analizy, ale wyłącznie do twojej wiadomości, rozumiesz? Właśnie dlatego byłam tak cholernie

tajemnicza i dlatego lecimy na „Arkę”. Creg i Rada Planety doszli do wniosku, że nasz romans zapewni nam znakomitą zasłonę dymną. Niech miliardy ludzi tam, na dole, myślą, że kochamy się jak wariaci. Dopóki będą sobie wyobrażać, że ja i ty zdobywamy nowe, nie zbadane do tej pory obszary seksualnych rozkoszy, dopóty nie zasną się zastanawiać, co tu naprawdę robimy, i wszystko będzie można załatwić po cichu. Znowu chcemy chleba i ryb, Tuf, ale tym razem na przykrytym półmisku, rozumiesz? Takie otrzymałam instrukcje.

- Jakie są najnowsze przewidywania? - zapytał Haviland Tuf bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

Dax zerwał się raptownie na cztery łapy, sycząc z przerażenia.

Tolly Mune pociągnęła łyk piwa i opadła na oparcie fotela. Przymknęła powieki.

- Osiemnaście lat. - Nie wyglądała teraz na tryskającą energią sześćdziesięciolatkę, tylko na stuletnią kobietę, którą w rzeczywistości była. W jej głosie dało się słyszeć ogromne zmęczenie. - Osiemnaście lat - powtórzyła - i odliczanie trwa bez przerwy.

Tolly Mune z pewnością nie należała do prostaczków, których łatwo zadziwić byle czym. Całe życie spędziła na S'uthlam, z jego zajmującymi całe kontynenty miastami, nieprzeliczonymi miliardami istot ludzkich, wieżami dziesięciokilometrowej wysokości, drogami komunikacyjnymi ukrytymi głęboko pod powierzchnią i gigantyczną windą orbitalną, w związku z czym rozmiary nie robiły na niej większego wrażenia. Mimo to musiała przyznać, że w „Arce” było coś niesamowitego.

Poczuła to od samego początku, jak tylko wielka kopuła okrywająca lądowisko rozsunęła się na ich powitanie, a Tuf sprowadził w dół „Strasznego Yeldta Zabójcę” i posadził go delikatnie na rozjaśnionym delikatną zieloną poświatą stanowisku wśród niezliczonych promów orbitalnych i innego złomu. Kopuła zamknęła się nad ich głowami, ogromna przestrzeń zaś wypełniła się powietrzem, które napłynęło pod postacią huraganowego wiatru. Wreszcie Tuf otworzył drzwi śluzy i zszedł pierwszy po ozdobnych schodkach, które wysunęły się z paszczy lwa niczym połączony język. U ich podnóża czekał już niewielki trójkołowy wózek. Tuf zasiadł za kierownicą. Przez długi czas jechali wzdłuż szeregów martwych statków kosmicznych, z których część była dziwniejsza niż wszystko, co zdarzyło się jej widzieć do tej pory. Tuf prowadził w milczeniu, patrząc przed siebie, z Daxem zwiniętym na kolanach w miękką, pomrukującą kulę.

Oddał jej do dyspozycji cały pokład. Setki koi, komputerowych terminali, laboratoriów, korytarzy, kabin sanitarnych, sal treningowych, kuchni, a wszystko to dla niej jednej. Na S'uthlam w takiej przestrzeni mieszkałoby co najmniej tysiąc ludzi, w komórkach

niewiele większych od szaf. Tuf wyłączył na tym pokładzie grawitację, gdyż wiedział, że jego gość najlepiej czuje się w stanie nieważkości.

- Gdyby mnie pani potrzebowała, znajdzie mnie pani na najwyższym pokładzie, przy pełnym ciężeniu. Zamierzam poświęcić całą energię rozwiązaniu problemów S'uthlam. Nie sądzę, bym musiał korzystać z pani rady ani pomocy. Nie zamierzam pani urazić, kapitanie, ale z moich gorzkich doświadczeń wynika jasno, iż kontakty tego rodzaju przysparzają więcej kłopotów niż korzyści i odrywają mnie od pracy.

Jeżeli w ogóle można znaleźć wyjście z pozałowania godnej sytuacji, w jakiej się znaleźliście, najszybciej uda mi się do niego dotrzeć własnymi siłami, pracując w całkowitym spokoju. Nakazę głównemu komputerowi, by skierował „Arkę” w niespiesznym tempie w stronę Portu S'uthlam. Ufam, iż kiedy tam dotrzemy, będę mógł przedstawić gotowe rozwiązanie.

- Jeśli ci się nie uda, zabierzemy statek - przypomniała mu ostro. - Takie były warunki umowy.

- Jestem tego całkowicie świadom - odparł Haviland Tuf. - Gdyby znużyła się pani podróżą, „Arka” oferuje szeroką gamę rozrywek, uciech i sposobów spędzania wolnego czasu. Proszę także korzystać bez ograniczeń z usług automatycznych kuchni. Serwowane przez nie pożywienie nie dorównuje posiłkom, które przygotowuję własnoręcznie, choć z pewnością przewyższa pod względem smakowym dietę przeciętnego S'uthlamczyka. Ma się rozumieć, liczba posiłków nie jest w żaden sposób ograniczona. Czułbym się zaszczycony, mogąc gościć panią u siebie na kolacji codziennie o osiemnastej zero zero czasu pokładowego. Uprzejmie proszę o punktualne przybycie.

Powiedziawszy to, odszedł.

System komputerowy sprawujący pieczę nad gigantycznym statkiem wprowadzał naprzemiennie okresy światła i ciemności, symulując cykl dzień-noc. Tolly Mune spędzała noce przed monitorem holowizyjnym, oglądając liczące sobie setki lat filmy z planet, które zdążyły już częściowo przejść do legendy. Dni natomiast zajmowało jej zwiedzanie - najpierw pokładu, który przydzielił jej Tuf, a potem pozostałych części statku. Im więcej widziała, tym większy ogarniał ją podziw i niepokój.

Wiele godzin przesiedziała w starym fotelu kapitana na mostku nawigacyjnym, który Tuf uznał za niewygodny i nie odpowiadający jego wymaganiom, oglądając wybrane na chybił trafił zapisy z liczącego sobie wiele tysięcy lat dziennika pokładowego „Arki”.

Przemierzając labirynt pokładów i korytarzy, znalazła w jednym miejscu trzy szkielety (z czego tylko dwa ludzkie) oraz natrafiła na skrzyżowanie korytarzy o szerniałych i

popękanych ścianach, jakby przez jakiś czas działała tam bardzo wysoka temperatura.

Dużo czasu spędziła w odkrytej przypadkowo bibliotece, dotykając i biorąc do ręki zabytkowe książki drukowane na cienkich płatkach metalu lub plastiku, a niektóre na prawdziwym papierze.

Zajrzała także na lądowisko, gdzie oglądała ze zdumieniem starożytne statki zgromadzone przez Tufa. W arsenale oszołomił ją widok niesamowitej ilości uzbrojenia; niektóre rodzaje broni były od dawna zapomniane, inne zakazane, a zasad działania jeszcze innych nie mogła w żaden sposób się domyślić.

Przeszła na piechotę cały trzydziestokilometrowy główny korytarz, ciągnący się od dziobu do rufy statku. Odgłos jej kroków powracał zwielokrotnionym echem, a ciężki oddech niósł się daleko w ograniczonej metalowymi ścianami przestrzeni. Otaczały ją nieduże zbiorniki służące hodowli tkanek i znacznie większe, przeznaczone dla klonowanych organizmów. Dziewięćdziesiąt procent z nich była pusta, ale tu i ówdzie widziała rosnące żywe istoty. Przyglądała się przez zakurzone szkło i gęsty, półprzezroczysty płyn kształtom wielkości dłoni i dorównującym rozmiarami wagonikom pneumatycznych pociągów i czuła, jak po grzbiecie przebiegają jej nieprzyjemne ciarki.

Ogólnie rzecz biorąc, statek wywarł na Tolly Mune niemiłe, a nawet lekko przerażające wrażenie.

Jedyna oaza ciepła znajdowała się w tym zakątku górnego pokładu, gdzie mieszkał Haviland Tuf. Długie i wąskie pomieszczenie komunikacyjne, które kazał przerobić na centralną sterownię, było przytulne i wygodne. Pokoje, które obrał za swoją kwaterę, wypełniały ogromniaste meble oraz zadziwiająca zbieranina przeróżnych drobiazgów zgromadzonych podczas wielu podróży. W powietrzu unosił się zapach jedzenia i piwa, odgłos kroków nie budził martwego echa, było tu światło, dźwięki i życie. A także koty.

Koty mogły swobodnie poruszać się po całym statku, lecz większość z nich wolała przebywać w pobliżu Tufa. Miał ich teraz siedem. Chaos, długowłose szary kocur o wyniosłym spojrzeniu i leniwych, nonszalanckich ruchach, sprawował niekwestionowaną władzę. Najczęściej można było go zobaczyć leżącego na głównym pulpicie sterowniczym, z puszystym ogonem poruszającym się jak metronom. Furia w ciągu pięciu lat straciła sporo energii, przybierając w zamian na wadze. W pierwszej chwili nie poznała przyjaciółki, ale po kilku dniach dawna zażyłość powróciła; przyjaźń została nawiązana dokładnie w tym miejscu, w którym została zerwana, i od czasu do czasu Furia nawet towarzyszyła Tolly w jej wędrówkach.

Oprócz tego były jeszcze Niewdzięczność, Żal, Wrogość i Podejrzliwość.

- Te kocięta - powiedział Tuf, choć były już raczej młodymi kotami - stanowią potomstwo Chaosa i Furii. Było ich pięć, ale Głupotę zostawiłem na planecie Namor.

- Zawsze dobrze jest pozbyć się głupoty - zauważyła. - Nigdy bym nie przypuszczała, że rozstanieś się z którymś ze swoich kotów.

- Głupota zapalała trudną do wytłumaczenia afektacją w stosunku do niestałej i zmiennej kobiety z Namor - wyjaśnił. - Ponieważ ja miałem wiele kotów, ona zaś żadnego, taki gest wydawał się jak najbardziej na miejscu. Choć koty są tak wspaniałymi i godnymi podziwu istotami, to w obecnych czasach stanowią w galaktyce prawdziwą rzadkość. Dlatego właśnie moja wrodzona hojność i poczucie obowiązku każą mi obdarowywać kotami takie planety jak Namor. Cywilizacje obcujące z kotami są znacznie bogatsze i bardziej ludzkie niż te pozbawione ich nie dającego się z niczym porównać towarzystwa.

- Masz rację - zgodziła się z uśmiechem Tolly Mune. Podniosła Wrogość, która akurat znalazła się w zasięgu jej ręki, i pogładziła jej delikatne futerko. - Ale nadałeś im bardzo dziwne imiona.

- To prawda - potwierdził Tuf. - Bardziej pasują do ludzi niż do kotów. Akurat taką miałem wtedy fantazję.

Niewdzięczność, Żal i Podejrzliwość były szare jak ojciec, Wrogość zaś czarno-biała jak Furia. Żal był tłusty i hałaśliwy, Wrogość agresywna i swarliwa, Podejrzliwość zaś nieśmiała, w związku z czym najchętniej przebywała pod fotelem Tufa. Wszystkie uwielbiały wspólne zabawy, tworząc rozwrzeszczaną kocią bandę, wszystkie też zdawały się zafascynowane osobą Tolly, oblażąc ją za każdym razem, kiedy składała Tufowi wizytę. Czasem pojawiały w najmniej spodziewanych miejscach. Pewnego dnia Wrogość wylądowała jej na karku, kiedy wjeżdżała na jeden z wyższych pokładów, i Tolly o mało nie zemdląła z wrażenia. Przywykła natomiast do stałej obecności Żalu, który podczas posiłków sadowił się jej na kolanach, dopraszając się o smakowite kąski.

Siódmym kotem był Dax.

Dax, o futrze koloru nocy i oczach przypominających małe złote lampki. Dax, najbardziej leniwy szkodnik, jakiego zdarzyło się jej widzieć w życiu, który wolał być noszony, niż chodzić o własnych siłach. Dax, wyglądający z kieszeni Tufa albo spod jego czapki, podróżujący na jego kolanach lub ramieniu. Dax, który nigdy nie bawił się ze starszymi kociętami, rzadko wydawał jakiś odgłos, którego złociste spojrzenie potrafiło zmusić nawet dostojnego, ogromnego Chaosa do opuszczenia fotela, na którym obaj mieli ochotę poleżeć. Czarny kociak nie opuszczał Tufa ani na chwilę.

- Twój współnik - powiedziała Tolly podczas któregoś posiłku, mniej więcej

dwadzieścia dni po sprowadzeniu się na „Arkę”. - Wyglądasz jak... Jak to się mówi?

- Istnieje kilka bliskoznacznych nazw - odparł Tuf. - Czarownik, czarnoksiężnik, mag. Podejrzewam, że wszystkie wywodzą się z mitów Starej Ziemi.

Tolly skinęła głową.

- Otóż to. Czasem wydaje mi się, że to nawiedzony statek.

- Co dowodzi, czemu mądrzej jest polegać na rozsądku niż na uczuciach, kapitanie Mune. Zapewniam panią, że nawet gdyby duchy lub jakieś inne nadnaturalne stworzenia istniały naprawdę, to w chłodniach „Arki” mielibyśmy próbki ich komórek, na podstawie których moglibyśmy je odtworzyć. Ja jednak nigdy nie natrafiłem na takie próbki. Owszem, dysponuję możliwościami wyklonowania kapturzastych smoków, widm wietrznych, lykantrofów, wampirów, wiedźmo-krzewów i wielu innych gatunków o podobnych nazwach, lecz obawiam się, iż nie mają one nic wspólnego ze swymi mitycznymi odpowiednikami.

- I bardzo dobrze - odparła z uśmiechem Tolly.

- Może jeszcze wina? To znakomity gatunek z Rhiann.

- Dobry pomysł - zgodziła się, dolewając sobie do kieliszka. Znacznie pewniej czułaby się z tubą; płyny w otwartych naczyniach zachowywały się bardzo zdradliwie, przejawiając tendencję do rozlewania się. - Zaszło mi w gardle. Nie trzeba ci żadnych potworów, Tuf. Twój statek i tak mógłby zniszczyć niejedną planetę.

- To oczywiste - zgodził się Tuf. - Równie oczywiste jak to, że mógłby niejedną ocalić.

- Na przykład naszą? Masz w zanadru jeszcze jakiś cud?

- Cuda należą do tej samej kategorii mitycznych zjawisk co duchy i upiory, w zanadru zaś nic nie mam, gdyż jak pani z pewnością widzi, w ogóle takowego nie posiadam. Mimo to mogę stwierdzić, że ludzki intelekt jest w stanie dokonać wielu znakomitych, choć nie mających nic wspólnego z cudownością osiągnięć. - Wstał powoli z fotela i wyprostował się na pełną wysokość. - Jeśli uporała się już pani z deserem, proponuję, by zechciała pani udać się ze mną do sali komputerowej. Pracowałem pilnie nad gnębiącymi was problemami i ośmielę się zaryzykować twierdzenie, iż udało mi się dojść do kilku interesujących wniosków.

Tolly Mune zerwała się z miejsca.

- W takim razie chodźmy.

- Proszę o uwagę - powiedział Haviland Tuf. Nacisnął klawisz i na jednym z monitorów pojawił się wykres.

- Co to jest?

- Graficzne przedstawienie obliczeń, których dokonałem pięć lat temu. - Dax wskoczył mu na kolana; Tuf pogładził go po jedwabistej, czarnej sierści. - Opierałem się wówczas na aktualnych danych dotyczących liczebności mieszkańców S'uthlam i przewidywanym tempie jej wzrostu. Z mojej analizy wynikało, że dzięki dodatkowym źródłom pożywienia rozpowszechnionym w wyniku tego, co Cregor Blaxon był łaskaw nazwać Rozkwitem Tufa, powinny minąć co najmniej dziewięćdziesiąt cztery lata, zanim mieszkańcom waszej planety ponownie zajrzy w oczy widmo głodu.

- Wygląda na to, że ta cholerna analiza nie była warta funta kłaków - zauważyła bez ogródek Tolly.

Tuf uniósł palec.

- Ktoś o mniej stałym charakterze mógłby poczuć się urażony podejrzeniem, że jego wyliczenia okazały się mało wiarygodne, ja jednak na szczęście hołduję zasadom samokontroli i tolerancji. Znajduje się pani w ogromnym błędzie, kapitanie Mune. Moja analiza była tak dokładna, jak to tylko było możliwe.

- Chcesz więc powiedzieć, że za osiemnaście lat nie grozi nam głód i powszechny kryzys? Że mamy przed sobą prawie sto lat spokoju? - Potrząsnęła głową. - Bardzo chciałabym w to uwierzyć, ale...

- Nic takiego nie twierdzę, kapitanie. Ostatnie obliczenia dokonane przez waszych specjalistów także wydają się najzupełniej prawidłowe, uwzględniając konieczny margines błędu, ma się rozumieć.

- To niemożliwe, żeby obie analizy były słuszne - stwierdziła spokojnie. - To po prostu niemożliwe.

- Pozostaje pani w błędzie. Podczas minionych pięciu lat wszystkie najistotniejsze czynniki uległy daleko idącym zmianom. Proszę spojrzeć. - Nacisnął kolejny klawisz. Na wykresie pojawiła się nowa linia, pnąca się raptownie ku górze. - Oto krzywa obrazująca obecne tempo przyrostu naturalnego na S'uthlam. Wznosi się zdumiewająco szybko. Gdybym był obdarzony duszą poety, rzekłbym, iż ulatuje ku niebiosom. Na szczęście ominęła mnie ta przykrość. Jestem prostym człowiekiem, który mówi wprost to, co myśli. - Podniósł palec. - Zanim przystąpimy do prób poprawy sytuacji, musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, jaka ona naprawdę jest i w jaki sposób do tego doszło. Sprawa jest zupełnie jasna. Przed pięciu laty wykorzystałem zasoby „Arki” i - za pani pozwoleniem odsunę na chwilę na bok wrodzone poczucie skromności - dostarczyłem wam w rekordowo krótkim czasie wiele nadzwyczaj efektywnych rozwiązań. Jednak S'uthlamczycy, nie zwlekając, przystąpili z

entuzjazmem do niszczenia wszystkiego, co im ofiarowałem. Ujmijmy rzecz krótko i szczerze, kapitanie: Rozkwit nie zdążył się jeszcze na dobre zacząć, kiedy wasi obywatele popędzili gromadnie do alków i zaczęli rozmnażać się szybciej niż kiedykolwiek do tej pory, dając upust swoim wyuzdanym chuciom i ulegając moralnym nakazom wypełnienia rodzicielskiego obowiązku. Przez pięć lat liczebność statystycznej rodziny zwiększyła się o 0,072 osoby, statystyczny obywatel zaś staje się rodzicem o 0,102 roku wcześniej. Może powie pani, że zmiany są niewielkie, ale jeśli weźmie się pod uwagę, że zaszły w tak niesamowicie liczonym społeczeństwie, ich wagę trudno będzie przecenić. Stąd właśnie wzięła się ta różnica - osiemnaście zamiast dziewięćdziesięciu czterech lat.

Tolly Mune przez dłuższą chwilę wpatrywała się w wykres.

- A niech to szlag... - wymamrotała wreszcie. - Powinna była się domyślić! Takie informacje są ściśle utajnione, wiadomo dlaczego, ale i tak powinna była się domyślić! - Zacisnęła pięści. - Niech to wszystko nagły szlag trafi! Nic dziwnego, że to się stało, skoro Creg tak rozdmuchał cały ten przeklęty Rozkwit. Dlaczego ktoś miałby powstrzymać się przed rozmnażaniem? Przecież problem żywnościowy został rozwiązany, zgadza, się? Przecież tak powiedział sam Przewodniczący Rady Planety! Nadeszły dobre czasy, hura! Ci przekłęci zeroiści znowu okazali się wstrętnymi, występującymi przeciwko życiu panikarzami. Technokraci dokonali kolejnego cudu. Czy ktokolwiek mógł wątpić, że zrobią to jeszcze raz i jeszcze jeden, i jeszcze? Skądże znowu! Słuchaj tego, co mówią w kościele, produkuj dzieci, pomagaj ludzkości w dążeniu do boskości i walce z entropią. Pewnie, czemu nie? - Parsknęła z oburzeniem. - Tuf, dlaczego ludzie są takimi cholernymi kretynami?

- Obawiam się, iż jest to zagadnienie znacznie bardziej złożone niż dylemat, wobec jakiego stanęli mieszkańcy S'uthlam, i nie sądzę, aby udało mi się udzielić zadowalającej odpowiedzi. Skoro jednak zajęła się pani rozdziałem odpowiedzialności za taki stan rzeczy, kapitanie, byłoby chyba wskazane, by zrzuciła pani jej część na swoje barki. Fałszywe wrażenie, jakie starał się stworzyć Przewodniczący Rady Planety Cregor Blaxon, zostało przecież poparte finałową przemową osobnika odtwarzającego moją postać w Tufie i Mune.

- Zgoda, ja też jestem winna. Pomogłam to wszystko upichcić, ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Problem polega na tym, czy możemy coś na to poradzić?

- Obawiam się, że nie możecie - odparł Haviland Tuf z pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą.

- A ty? Przecież dokonałeś cudu z chlebem i rybami. Czy możemy liczyć na repetę?

Haviland Tuf zamrugnął ospale.

- Jako inżynier ekolog dysponuję teraz znacznie większym doświadczeniem niż

wtedy, kiedy po raz pierwszy zmierzyłem się z problemami trapiącymi S'uthlam. Znam dużo więcej gatunków, których komórki są przechowywane w sejfach „Arki”, J wiem, w jaki sposób oddziałują one na różne ekosystemy. Podczas rozlicznych podróży udało mi się nawet zwiększyć nieco stan posiadania. Zaiste, myślę, że mógłbym okazać się pomocny. - Wyłączył monitor i splótł dłonie na wypukłości brzucha. - Obawiam się jednak, że będziecie musieli za to zapłacić.

- Zapłacić? Przecież już ci zapłaciliśmy, nie pamiętasz? Moi pajęczarze naprawili ten cholerny statek!

- Zaiste, ja zaś w tym samym czasie naprawiłem waszą ekologię. Tym razem nie wymagam dalszych napraw ani uzupełnienia wyposażenia „Arki”. Wy jednak zdołaliście w ciągu pięciu lat doprowadzić swoją ekologię do takiej ruiny, że moje usługi stały się dla was wręcz nieodzowne. Wydaje mi się słuszne, bym został wynagrodzony za swoje wysiłki. Największy procentowy udział w ponoszonych przeze mnie kosztach ma mój wciąż jeszcze znaczny dług wobec Portu S'uthlam. Dzięki znoejnej, wyczerpującej harówce na wielu planetach udało mi się ściągnąć połowę kwoty trzydziestu trzech milionów kredytek, jaką mnie obciążyliście, ale pozostaje mi do spłacenia jeszcze drugie tyle, a mam na to zaledwie pięć krótkich lat. Skąd mogę wiedzieć, czy to będzie możliwe? Kto wie, czy następne dziesięć planet, które odwiedzę, nie będzie miało doskonałych, niczym nie zakłóconych ekosystemów albo nie okaże się tak ubogimi, że będę zmuszony udzielić im znacznych rabatów, by w ogóle mogły skorzystać z moich usług? Ogromne rozmiary mego długu nie dają mi spokoju ani w dzień, ani w nocy. Rozmyślałem o tym bez ustanku, co w znaczny sposób pogarsza mą profesjonalną sprawność, a odnoszę graniczące z pewnością wrażenie, iż byłoby lepiej, gdybym borykając się z tak wielkimi problemami, wobec których stanęła planeta S'uthlam, mógł korzystać bez żadnych ograniczeń z całego potencjału intelektualnego.

Tolly Mune spodziewała się czegoś w tym rodzaju. Uprzedziła Crega, on zaś udzielił jej ograniczonych pełnomocnictw finansowych. Mimo to zdołała przywołać na twarz nieprzychylny grymas.

- Ile chcesz, Tuf?

- Przychodzi mi na myśl suma dziesięciu milionów kredytek - odparł. - Jest tak okrągła, że da się bez trudu odliczyć od mojego długu, nie powodując żadnych komplikacji związanych z koniecznością przeprowadzania trudnych operacji arytmetycznych.

- Za dużo - stwierdziła stanowczo. - Może udałoby mi się nakłonić Radę, żeby odjęła ci jakieś dwa miliony, ale na pewno nie więcej.

- Pójdźmy na kompromis i zgódźmy się na dziewięć milionów - zaproponował Tuf.

Długi biały palec podrapał Daxa za czarnym uchem. Kot w milczeniu skierował spojrzenie swoich złotych oczu na Tolly.

- Dziewięć milionów to żaden kompromis między dziesięcioma i dwoma - odparła sucho.

- Zdaje się, że jestem znacznie lepszym inżynierem ekologiem niż matematykiem - przyznał Tuf. - W takim razie może osiem?

- Cztery i ani kalorii więcej. Cregor i tak rozerwie mnie na strzępy.

Tuf bez słowa wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Jego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć.

- Cztery i pół - wykrztusiła Tolly, uginając się pod ciężarem jego spojrzenia. Czowała na sobie także wzrok Daxa; nagle zaświtało jej podejrzenie, czy ten cholerny kocur przypadkiem nie czyta w jej myślach. - Cholera, ten mały czarny drań dokładnie wie, jak daleko mogę się posunąć, prawda? - zapytała.

- Interesująca uwaga - odparł Haviland Tuf. - Sądzę, że usatysfakcjonowałoby mnie siedem milionów. Jestem dzisiaj w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Pięć i pół.

- Co oznacza, że zostanie mi do spłacenia jedenaście milionów w ciągu pięciu lat. Zgoda, kapitanie Mune, ale pod jednym dodatkowym warunkiem.

- Jakim? - zapytała podejrzliwie.

- Że wnioski, do jakich doszedłem, będę mógł przedstawić pani i Przewodniczącemu Rady Planety na otwartej konferencji prasowej, transmitowanej bezpośrednio przez wszystkie sieci informacyjne waszej planety.

Tolly Mune wybuchnęła głośnym śmiechem.

- To niemożliwe - stwierdziła stanowczo. - Creg nigdy się na to nie zgodzi. Wybij to sobie z głowy.

Haviland Tuf w milczeniu głaskał czarne futerko Daxa.

- Nie doceniasz trudności. Sytuacja jest diabelnie niestabilna. Musisz zrezygnować z tego warunku.

Milczenie przeciągało się.

- Niech mnie szlag trafi! - zakląła Tolly. - Wiesz co? Napisz to, co chcesz powiedzieć, i daj nam do przejrzenia. Jeśli będziesz unikał wszystkiego, co mogłoby sprowadzić na nas kłopoty, myślę, że pozwolimy ci wystąpić przed kamerami.

- Wolałbym wygłosić swoje uwagi w bardziej spontaniczny sposób.

- W takim razie może zarejestrujemy konferencję i nadamy ją po montażu?

Tuf nic nie odpowiedział. Dax wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ślepiami.

Tolly Mune zajrzała w nie głęboko i westchnęła.

- Wygrałeś. Cregor wścieknie się jak diabli, ale przecież ja jestem cholerną bohaterką, a ty powracającym zdobywcą, więc myślę, że uda mi się jakoś wepchnąć mu to do gardła. Ale dlaczego tak ci na tym zależy?

- To jedna z moich słabostek - odparł Haviland Tuf. - Ostatnio coraz częściej zdarza mi się im ulegać. Być może pragnę rozkoszować się popularnością i odegrać rolę wybawcy, a może chcę pokazać wszystkim S'uthlamczykom, że nie noszę wąsów.

- Prędzej uwierzę w duchy i upiory niż w te brednie. Pamiętaj o tym, że istnieją poważne powody, dla których informacje o tempie przyrostu naturalnego i groźbie klęski głodu są utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Względy polityczne. Chyba nie chciałbyś otworzyć tej... eee... puszki ze szkodnikami?

- Interesujący pomysł - stwierdził Haviland Tuf z doskonale nieruchomą twarzą.

Dax zamruczał cichutko.

- Mimo iż nie przywykłem do publicznych wystąpień i taniej popularności - rozpoczął Haviland Tuf - to jednak uznałem za nieodzowne stawić się przed wami i wyjaśnić pewne zagadnienia.

Stał przed czterometrowym ekranem w największej sali Pajęcznika, mogącej pomieścić prawie tysiąc osób. Wszystkie miejsca były zajęte; dwadzieścia pierwszych rzędów zajmowali stłoczeni w niesamowity sposób telereporterzy, rejestrujący zainstalowanymi pośrodku czoła kamerami przebieg wydarzeń. Dalsze rzędy roiły się od gapiów, których przyciągnęła niezwykłość sytuacji. Znajdowali się wśród nich pajęczarze różnych płci i profesji - od cybertechów i urzędników poczynając, na erotycystach i poetach kończąc - zamożne dżdżownice, które specjalnie na tę okazję przybyły z planety windą orbitalną, a nawet muchy z odległych systemów gwiazdnych. Na podniesionej platformie oprócz Tufa znajdowali się kapitan Portu S'uthlam Tolly Mune oraz Przewodniczący Rady Planety Cregor Blaxon. Na twarzy Blaxona widniał nieszczerzy uśmiech; być może Przewodniczący wciąż jeszcze rozpamiętywał trwającą, wydawałoby się, w nieskończoność chwilę, kiedy Tuf, mrugając, niespiesznie przyglądał się jego wyciągniętej ręce, a reporterzy filmowali tę zenującą sytuację. Z tego samego powodu Tolly Mune sprawiała wrażenie lekko zaniepokojonej.

Tuf natomiast wyglądał wręcz imponująco. Ubrany w obszerny szary płaszcz i czapkę ze złotym emblematem IKE górował nad wszystkimi zebranymi.

- Po pierwsze - kontynuował - niech mi będzie wolno zwrócić uwagę na fakt, że nie mam wąsów. - Odpowiedział mu chóralny wybuch śmiechu. - Nie jest również prawdą, abym wraz z kapitanem portu kiedykolwiek uczestniczył w jakichś seksualnych igraszkach, aczkolwiek mam wszelkie powody, by przypuszczać, iż jej umiejętności w tym względzie zadowolilyby nawet najbardziej wybrednych znawców i młośników sztuki erotycznej.

Stado reporterów, niczym jakiś stugłowy potwór, skierowało spojrzenia swoich trzecich oczu na Tolly Mune. Kapitan Portu S'uthlam osunęła się w fotelu najniżej, jak mogła, i drżącą dłonią pocierała skronie. Jej rozpaczliwe westchnienie dotarło aż do czwartego rzędu.

- Obie te sprawy nie mają jednak większego znaczenia, a poruszam je tylko ze względu na moje zamiłowanie do ścisłości i jasności. Główny powód, dla którego optowałem za zwołaniem tego zebrania, jest bardziej natury profesjonalnej niż osobistej. Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że każdy, kto teraz słucha mego wystąpienia, zdaje sobie sprawę z istnienia zjawiska, które wasza Rada Planety nazwała Rozkwitem Tufa.

Cregor Blaxon uśmiechnął się i skinął głową.

- Obawiam się jednak, iż nie macie pojęcia o tym, że nieuniknione jest nadejście czegoś, co pozwolę sobie szczerze i otwarcie nazwać Uwiadem S'uthlam.

Uśmiech Przewodniczącego zwiądl także. Tolly skrzywiła się boleśnie, a reporterzy skoncentrowali uwagę na Tufie.

- Zaiste macie ogromne szczęście, że jestem człowiekiem płacącym długi i wypełniającym zobowiązania, gdyż mój punktualny powrót na S'uthlam pozwolił mi po raz wtóry pośpieszyć wam z pomocą. Wasi przywódcy nie byli zupełnie szczerzy. Gdyby nie moja interwencja, najdalej za osiemnaście lat mieszkańcom S'uthlam zagroziłoby widmo powszechnego głodu.

W sali zapadła głucha cisza. Dopiero po dłuższej chwili przerwały ją odgłosy jakiejś szamotaniny dobiegające od strony drzwi; ktoś był siłą usuwany na korytarz. Tuf nie zwrócił na ten incydent najmniejszej uwagi.

- Program inżynierii ekologicznej, który zapoczątkowałem podczas mojej poprzedniej wizyty, zaowocował istotnym wzrostem produkcji żywności, co udało się osiągnąć dość konwencjonalnymi metodami. Wprowadzenie nowych gatunków roślin i zwierząt pozwoliło zdecydowanie zwiększyć wydajność rolnictwa, nie powodując jednocześnie poważniejszych zmian w ekologii waszej planety. Bez wątpienia możliwe są dalsze wysiłki zmierzające w tym samym kierunku, lecz obawiam się, że nie przyniosłyby spodziewanych efektów. Tym razem za główne założenie przyjąłem konieczność wprowadzenia radykalnych zmian nie

tylko w waszym ekosystemie, lecz także w łańcuchu pokarmowym. Być może niektórzy z was zareagują niechętnie na moje propozycje, ale zapewniam was, że alternatywa - to znaczy głód, epidemie i wojny - jest jeszcze mniej atrakcyjna. Niemniej jednak wybór należy do was i nawet przez myśl by mi nie przeszło pozbawiać was możliwości jego dokonania.

W sali powiało lodowatym chłodem. W martwej ciszy słychać było jedynie szum pracujących kamer. Haviland Tuf uniósł palec.

- Po pierwsze... - Zawiesił głos, a na wielkim ekranie za jego plecami pojawił się obraz przekazywany bezpośrednio z „Arki”, przedstawiający jakąś rozdętą potworność wielkości sporego pagórka, pokrytą błyszczącą oleistic skórą. Drżała lekko, jakby składała się z półprzezroczystej, różowej żelatyny. - Mięsozwierz - oznajmił Tuf. - Znaczną część użytków rolnych wykorzystujecie na wypas rzeźnych zwierząt, których mięso stanowi przysmak nielicznej grupy zamożnych S’uthlamczyków mogących pozwolić sobie na luksus spożywania gotowanych, smażonych lub duszonych tkanek zwierzęcych. Jest to postępowanie nad wyraz nieekonomiczne, jako że istoty te pochłaniają znacznie więcej kalorii, niż mogą potem oddać, a ponieważ stanowią produkt naturalnej ewolucji, znaczna część ich ciała w ogóle nie nadaje się do spożycia.

Dlatego właśnie proponuję, byście natychmiast wyeliminowali je ze swojego ekosystemu.

Mięsozwierz, którego widzicie przed sobą, należy do najwspanialszych osiągnięć inżynierii genetycznej. Z wyjątkiem niewielkiego jądra, stworzenie to składa się z masy samopowielających się, nie zróżnicowanych komórek, będąc jednocześnie pozbawione tak nieistotnych przyczynków, jak narządy zmysłów, nerwy czy kończyny. Gdyby ktoś zechciał posłużyć się wyszukaną metaforą, mógłby określić go jako gigantyczny jadalny nowotwór. Tusza mięsozwierza zawiera wszystkie niezbędne składniki odżywcze, obfitując w proteiny, witaminy i sole mineralne. Jeden dorosły osobnik hodowany w podziemiach wieży mieszkalnej dostarczy w ciągu roku tyle kalorii co dwa znane wam do tej pory zwierzęta, tereny zaś, wykorzystywane dotąd jako pastwiska, będzie można zamienić w pola uprawne.

- A jak smakuje to cholerstwo? - zawołał ktoś z końca sali. Haviland Tuf majestatycznie odwrócił głowę i spojrzał prosto na człowieka, który zadał pytanie.

- Nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi, jako że sam nie spożywam pokarmów pochodzenia zwierzęcego, niemniej jednak wyobrażam sobie, że każdy głodujący mieszkaniec S’uthlam uzna mięsozwierza za niezrównany i wyrafinowany przysmak. - Podniósł otwartą dłoń. - Idźmy dalej - powiedział i obraz za jego plecami uległ zmianie. Teraz zebrani mogli podziwiać bezkresną równinę, nad którą świeciło podwójne słońce. Równina

od horyzontu po horyzont była porośnięta roślinami - były paskudne, dorównujące wysokością Tufowi, o czarnych liściach i takich samych łodygach, uginających się pod ciężarem nabrzmiałych białych strąków, z których kapła jakaś biaława, półprzezroczysta ciecz.

- To, co widzicie, z nie znanych mi bliżej powodów nazwano krowimi strąkami - oznajmił Haviland Tuf. - Pięć lat temu dałem wam omnizboże o wydajności kalorycznej z metra kwadratowego zdecydowanie przewyższającej wydajność nanopszenicy, neotrawy i innych roślin, które wówczas uprawialiście. Dostrzegam, że potrafiliście wykorzystać jego zalety, lecz nie umknęło również mojej uwagi, że w dalszym ciągu uprawiacie nanopszenicę, neotrawę, smaczniki i pikantną fasolę, bez wątpienia mając na uwadze urozmaicenie diety i przyjemności podniebienia. Trzeba położyć temu kres. S'uthlamczycy nie mogą już sobie pozwolić na urozmaicenie diety. Od tej pory wszystkie wysiłki musicie skoncentrować na osiągnięciu maksymalnej wydajności. Każdy metr kwadratowy powierzchni planety oraz waszych asteroidów rolniczych musi natychmiast zostać oddany pod uprawę krowich strąków.

- A co z nich kapie? - odezwał się czyjś głos.

- To właściwie owoc czy warzywo? - zainteresował się jeden z reporterów.

- Można z tego zrobić chleb? - chciał wiedzieć inny.

- Krowie strąki są niejadalne - wyjaśnił Tuf.

W sali wybuchła niesamowita wrzawa, na którą złożyły się krzyki co najmniej setki ludzi, którzy zerwali się z miejsc, wyrzaskiwali jeden przez drugiego pytania i wygłaszali opinie. Haviland Tuf czekał cierpliwie tak długo, aż wreszcie ponownie zapanowała cisza.

- Obecny tu Przewodniczący Rady Planety mógłby potwierdzić, gdyby tylko zechciał, że co roku zmniejsza się procentowy udział terenów rolniczych S'uthlam w ogólnej produkcji kalorii. Wciąż powiększający się niedostatek wyrównuje wzmożona praca fabryk żywności, przetwarzających surowce petrochemiczne na jadalne pasty, wafle i odżywcze napoje. Jednak zapasy ropy naftowej, jakimi dysponuje wasza planeta, zaczynają się powoli wyczerpywać. Ten proces można spowolnić, lecz z pewnością nie uda się go zupełnie powstrzymać. Import żywności osiągnął już taki poziom, że nie da się go zwiększyć w istotny sposób. Przed pięciu laty wprowadziłem do waszych, mórz gatunek planktonu zwany szalem Neptuna, którego kolonie okupują teraz niemal wszystkie plaże i żyją w płytkich wodach szelfu kontynentalnego. Po obumarciu plankton ten może być wykorzystywany w fabrykach żywności jako substytut ropy naftowej.

Krowie strąki stanowią coś w rodzaju jego lądowego odpowiednika. Ciecz, którą

wytwarzają, na tyle przypomina ropę naftową, że po niewielkich przeróbkach dokonanych w fabrykach żywności - przeróbkach, które dla cywilizacji stojącej na tak wysokim poziomie rozwoju technologicznego nie powinny nastroczać żadnych trudności - z łatwością uda się wykorzystać ją jako surowiec do produkcji substancji Pokarmowych. Muszę jednak wyraźnie podkreślić, iż nie wystarczy Posiać krowie strąki tu i ówdzie jako uzupełnienie dotychczasowych upraw. Dla osiągnięcia maksymalnego efektu trzeba wprowadzić je wszędzie, zastępując nimi omnizboże, neotrawę oraz inne rośliny stanowiące dotychczasowe źródło pożywienia.

Jakaś szczupła kobieta siedząca w jednym z dalszych rzędów zerwała się z miejsca.

- Kim jesteś, żeby żądać od nas, byśmy w ogóle zrezygnowali z naturalnej żywności?
- wykrzyknęła z gniewem w głosie.

- Ja, szanowna pani? Jestem tylko skromnym inżynierem ekologiem, który całkowicie poświęcił się wykonywaniu swego zawodu. Nie do mnie należy podejmowanie decyzji. Moje, jakże niewdzięczne, zadanie sprowadza się do tego, by przedstawić wam fakty i zaproponować efektywne, aczkolwiek być może nieprzyjemne sposoby wyjścia z sytuacji. Rząd i obywatele S'uthlam muszą samodzielnie wybrać sposób postępowania. - Na salę znowu wkradł się niepokój. Tuf uniósł długi palec. - Proszę o ciszę. Wkrótce zakończę swoje wystąpienie.

Obraz na ekranie zmienił się raz jeszcze.

- Zarówno niektóre gatunki, jak i ekostrategie, jakie wprowadziłem na S'uthlam przed pięć laty, mogą i powinny być w dalszym ciągu wykorzystywane. Założone w podziemiach miast farmy grzybów i porostów należy utrzymywać i rozbudowywać. Dysponuję wieloma nowymi gatunkami porostów, które jestem gotów w każdej chwili zademonstrować. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż trzeba przystąpić do intensywniejszej eksploatacji mórz, przez co rozumiem nie tylko wykorzystywanie powierzchniowych warstw wody, ale również dna oceanów. Stosując odpowiednie metody, można wzmóc tempo rozmnażania szalu Neptuna, tak by pokrył każdy skrawek słonej wody na planecie. Dysponujecie roślinami, które znakomicie sobie radzą w rejonach podbiegunowych. Wasze pustynie rozkwitają, bagna zostały osuszone i dają ogromne plony. Osiągnęliście wszystko, co można osiągnąć na ziemi i wodzie. Pozostaje tylko powietrze. W związku z tym proponuję wprowadzenie do górnych warstw atmosfery S'uthlam całkiem nowego, kompletnego ekosystemu.

Na ekranie za moimi plecami widzicie ostatnie ogniwo nowego łańcucha pokarmowego, który pragnę wam ofiarować. Ta wielka istota o czarnych, trójkątnych skrzydłach jest pochodzącym z Claremontu powietrznym żeglarzem znanym także pod nazwą

ororo, odległym odpowiednikiem czarnego banshee z Kavalaan i biczoogoniastej płaszczki z Hemadoru. Jest to drapieżca grasujący w wyższych warstwach atmosfery, szybownik i myśliwy, rodzący się i umierający w powietrzu, który nigdy nie styka się z ziemią ani wodą, gdyby bowiem wylądował, prędko by zginął, jako że nie mógłby ponownie poderwać się do lotu. Na Claremoncie ororo dorasta do niewielkich rozmiarów, jego mięso zaś uważane jest za włókniste i niesmaczne. Odżywia się ptakami, które lekkomyślnie zapuszczają się na wysokości, gdzie grasuje, a także różnymi unoszącymi się w powietrzu mikroorganizmami, latającymi grzybami i skupiskami pleśni, którą także mam zamiar wprowadzić do waszej atmosfery. Z myślą o S'uthlam przygotowałem genetycznie zmodyfikowaną wersję powietrznego żeglarza - ma skrzydła o rozpiętości dwudziestu metrów, może latać niemal nad samą powierzchnią gruntu i dysponuje masą ciała sześciokrotnie większą od swego pierwowzoru. Niewielki pęcherz wypełniony wodorem, umieszczony bezpośrednio za organami zmysłów, pozwoli tej istocie na swobodny lot mimo znacznie zwiększonego ciężaru. Dzięki swoim maszynom latającym nie będziecie mieli żadnych kłopotów z polowaniem na ororo, który stanie się dla was wspaniałym źródłem protein.

Ponieważ zawsze ogromną wagę przywiązywałem do uczciwości, muszę stwierdzić, iż te ekologiczne innowacje pociągną za sobą pewne niedogodności. Pozbawione naturalnych wrogów mikroorganizmy, pleśń i grzyby będą szybko rozmnażać się w atmosferze, osiadając na wyższych kondygnacjach waszych wielopiętrowych budowli, co będzie oznaczało konieczność częstszego niż do tej pory przeprowadzania zabiegów pielęgnacyjnych. Większość ptaków zamieszkujących od dawien dawna S'uthlam, jak również gatunki przywiezione z Tary i Starej Ziemi, ulegnie zagładzie, nie mogąc przystosować się do zmienionych warunków. Po pewnym czasie niebo nad waszymi głowami pociemnieje, do powierzchni planety zacznie docierać mniej światła słonecznego, klimat zaś ulegnie istotnym zmianom. Wątpię jednak, by doszło do tego przed upływem około trzystu lat. Ponieważ w przypadku, gdybyście zdecydowali się nie podejmować żadnych działań, zagłada spotka was znacznie wcześniej, z całym przekonaniem namawiam was do zastosowania metod, które przed chwilą przedstawiłem w najbardziej ogólnym zarysie.

Reporterzy zerwali się na równie nogi i jeden przez drugiego zaczęli zadawać pytania. Tolly Mune siedziała z kwaśną miną, Cregor Blaxon zaś nie wykonał najmniejszego ruchu, wpatrując się przed siebie szklanym spojrzeniem. Na jego szczupłej twarzy o ostrych rysach zastygł bezmyślny uśmiech.

- Jeszcze chwilę, jeśli wolno prosić - powiedział Haviland Tuf. - Zbliżam się już do końca mego wystąpienia. Usłyszeliście moje rady i zobaczyliście nowe gatunki, przy pomocy

których mam zamiar dokonać przebudowy waszej ekologii. Teraz proponuję, byście w szczególny sposób wyteżyli uwagę. Opierając się na założeniu, iż Rada Planety zdecyduje się wykorzystać mięsozwierze, krowie strąki i ororo w sposób zgodny z moimi sugestiami, komputery „Arki” dokonały nowych obliczeń mających na celu ustalenie, jak wiele czasu pozostało wam do początku poważnego kryzysu żywnościowego. Oto wynik tych obliczeń.

Wszystkie oczy skierowały się na ekran. Nawet Tolly Mune odwróciła głowę, Cregor Blaxon zaś, wciąż z tępym uśmiechem przyklejonym do twarzy, wstał z fotela, wbił kciuki głęboko w kieszenie spodni i stanął przodem do ekranu. Na ekranie pojawił się układ współrzędnych, a w chwilę potem dwie linie, zielona i czerwona.

Hałas ucichł.

Przez długie sekundy nic nie zakłócało niezmaconej ciszy.

Przerwał ją dopiero Cregor Blaxon. Jego niepewne chrząknięcie usłyszeli nawet siedzący w ostatnich rzędach.

- Słuchaj no, Tuf... - bąknął z wahaniem. - Chyba coś tu się nie zgadza.

- Zapewniam pana, że tak nie jest.

- Ta kreska - wskazał palcem - to „przed”, nie „po”, prawda? Chodzi mi o to, że ta cała inżynieria ekologiczna, uprawianie strąków, rozmnażanie planktonu, wdmuchiwanie różnych świństw do atmosfery, hodowanie w każdej piwnicy gór mięsa...

- Mięsozwierzy - poprawił go Tuf. - Aczkolwiek muszę przyznać, iż określenie „góra mięsa” nie jest pozbawione swoistego uroku. Posługuje się pan bardzo obrazowym językiem i wykazuje talent do tworzenia łatwo wpadających w ucho terminów, panie Przewodniczący.

- To bardzo radykalne środki - brnął uparcie Blaxon. - Wydaje mi się, że w związku z tym mamy prawo oczekiwać radykalnej poprawy.

Na sali odezwały się potwierdzające okrzyki jego popleczników.

- Ale z tych obliczeń wynika... To znaczy, jeśli prawidłowo odczytuję ten wykres...

- Panie Przewodniczący, obywatele S’uthlam - przerwał mu Haviland Tuf. - Odczytujecie go jak najbardziej prawidłowo. Jeśli wprowadzicie w życie wszystkie moje propozycje, uda wam się oddalić niebezpieczeństwo katastrofy. Tylko oddalić, nie zlikwidować. Powszechny głód nadejdzie albo za osiemnaście lat, na co wskazują aktualne wyliczenia, albo za sto dziewięć, jak wynika z tych, które wam przedstawiłem, ale nadejdzie z całą pewnością. - Uniósł palec. - Jedyne prawdziwe i trwałe rozwiązanie waszych problemów nie znajduje się na pokładzie „Arki”, lecz w umyśle i lędźwiach każdego obywatela S’uthlam. Musicie narzucić sobie wstrzemięźliwość i wprowadzić ścisłą kontrolę przyrostu naturalnego. Musicie natychmiast zaprzestać niczym nie ograniczonej prokreacji!

- O, nie... - jęknęła Tolly Mune. Domyślała się, jednak, że coś takiego nastąpi, i rzuciła się w jego stronę, wzywając na pomoc strażników, zanim rozpętało się prawdziwe piekło.

- Ratowanie cię zaczyna powoli wchodzić mi w krew - powiedziała Tolly Mune znacznie później, kiedy znaleźli się już w bezpiecznym wnętrzu promu „Feniks”, cumującym w jednym z najbardziej odległych doków przy ramieniu numer sześć. Statek otaczały dwa oddziały strażników uzbrojonych w paralizatory, starając się utrzymać w ryzach szybko gęstniejący i coraz bardziej niespokojny tłum. - Masz trochę piwa? - zapytała. - Przydałoby mi się. Niech to wszystko szlag trafi! - Powrót na prom przypominał paniczną ucieczkę, mimo podwójnej eskorty strażników. Tuf poruszał się niezgrabnym kłusem, ale Tolly musiała przyznać, że rozwijał zadziwiająco dużą szybkość. - A tak w ogóle to jak się czujesz?

- Dzięki intensywnym zabiegom higienicznym udało mi się usunąć z mego ciała większość plwocin - odparł Haviland Tuf, sadowiąc się dostojnie w fotelu. - Piwo znajdzie pani w chłodziarce, pod pulpitem do gier. Proszę korzystać, jeśli ma pani ochotę. - Dax zaczął wspinać się po jego nodze, wbijając pazurki w materiał bładoniebieskiego kombinezonu, w który Tuf przebrał się natychmiast po powrocie na statek.

Wyciągnął rękę i podniósł czarnego kociaka. - W przyszłości będziesz mi wszędzie towarzyszył, aby uprzedzić mnie zawnazu o podobnych niebezpieczeństwach.

- Ja bym cię uprzedziła, i to porządnie, gdybyś zechciał poinformować mnie wcześniej, że masz zamiar potępić w czambuł nasze przekonania, wiarę i cały cholerny sposób życia. Czego się spodziewałeś? Że dadzą ci medal?

- W zupełności usatysfakcjonowałyby mnie długotrwała owacja.

- Już cię kiedyś ostrzegałam, Tuf. Na S'uthlam lepiej nie występować przeciwko życiu.

- Kategorycznie protestuję przeciwko rozpowszechnianiu takich opinii o mojej osobie. Jestem ogromnym zwolennikiem życia. Sam je codziennie tworzę w komorach wzrostu i inkubatorach. Nabrałem zdecydowanej awersji do śmierci, entropia budzi mój największy niesmak, a gdyby poproszono mnie, bym uczestniczył w cieplnej śmierci wszechświata, z pewnością kategorycznie bym odmówił. - Podniósł palec. - Niemniej, kapitanie Mune, powiedziałem to, co należało powiedzieć. Nieograniczona prokreacja zalecana przez Kościół Życia Rozkwitającego i praktykowana przez niemal wszystkich S'uthlamczyków, z wyjątkiem pani oraz nielicznych zeroistów, świadczy o całkowitym braku odpowiedzialności i głupocie, gdyż przyczynia się do geometrycznego wzrostu populacji, co ostatecznie musi

doprowadzić do zagłady waszej wspaniałej cywilizacji.

- Haviland Tuf, prorok nieszczęścia - westchnęła Tolly. - Znacznie bardziej lubili cię jako zuchwałego ekologa i romantycznego kochanka.

- Wszędzie, gdzie się zjawiam, bohaterowie stanowią gatunek zagrożony wymarciem. Możliwe, iż wywołuję korzystniejsze wrażenia estetyczne, wygłaszając zza zasłony sztucznego zarostu fałszywe, acz pocieszające zapewnienia, najlepiej w finale melodramatycznego dzieła filmowego ociekającego nieszczerym optymizmem i poorgazmowym zidioceniem. Tu właśnie czai się największe niebezpieczeństwo dla S'uthlamczyków: postrzegacie rzeczy takimi, jakimi chcielibyście je widzieć, nie takimi, jakie są naprawdę. Najwyższa pora, byście ujrzeli nagą prawdę, czy to w mojej bezwłosej twarzy, czy w niedalekiej perspektywie klęski powszechnego głodu.

Tolly Mune pociągnęła łyk piwa.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam pięć lat temu?

- O ile sobie przypominam, mówiła pani wówczas wiele rzeczy.

- Pod sam koniec, kiedy zdecydowałam się pomóc ci w ucieczce, zamiast oddać „Arkę” w ręce Josena. Zapytałeś mnie wtedy, dlaczego to robię, a ja wyjaśniłam ci powód.

- Powiedziała pani, że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie, że „Arka” zdeprawowała już Przewodniczącego Josena Raela i jego współpracowników i że lepiej, bym to ja zachował we władaniu statek Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego, ponieważ nie można mnie zdeprawować.

Uśmiechnęła się lekko.

- Niezupełnie. Powiedziałam, że nie wydaje mi się, by istniał człowiek, którego nie można zdeprawować, ale gdyby istniał, to byłbyś nim właśnie ty.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf, gładząc czarną sierść Daxa. - Tak właśnie było.

- Teraz jednak poważnie się zastanawiam - ciągnęła Tolly Mune. - Czy wiesz, co zrobiłeś w tamtej sali? Obaliłeś kolejny rząd. Creg nie zdoła utrzymać się na stanowisku po tym, jak oznajmiłeś całemu światu, że jest kłamcą. Może to słusznie - ty go stworzyłeś i ty zniszczyłeś. Wygląda na to, że żaden Przewodniczący nie ma szans zostać na fotelu, kiedy zdecydujesz się odwiedzić naszą planetę. Ale to nieistotne. Oprócz tego poinformowałeś trzydzieści kilka miliardów wiernych Kościoła Życia Rozkwitającego, że ich najgłębsze religijne przekonania nie są warte funta kłaków. Dałeś jasno do zrozumienia, że cała technokratyczna filozofia, którą Rada kieruje się od ładnych paru stuleci, opiera się na fałszywych podstawach. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli w następnych wyborach nie zwyciężą ekspansjoniści, bo jeśli tak się stanie, to będzie oznaczało wojnę. Yandeen, Jazbo i

ich sprzymierzeńcy nie zaakceptują rządu złożonego z ekspansjonistów. Wydaje mi się też, że zrujnowałaś moją karierę. Znowu. Chyba będę musiała zwiijać się jeszcze szybciej niż poprzednim razem. Będzie mi cholernie trudno, bo teraz nie jestem już bohaterskim kapitanem portu i nieokiełznaną kochanką, tylko kościstą starą wiedźmą, która lubi bajdurzyć o swoich zmyślonych przygodach seksualnych, a w dodatku pomaga paskudnym typkom występującym otwarcie przeciwko życiu. - Westchnęła ciężko. - Chyba uparłeś się, żeby mnie gnoić, Tuf. Ale to też nic. Jakoś dam sobie radę. Najgorsze jest to, że uznałeś za stosowne narzucać swoje zdanie czterdziestu paru miliardom ludzi, nie zdając sobie prawie wcale sprawy z konsekwencji takiego postępowania. Na jakiej podstawie, Tuf? Kto dał ci do tego prawo?

- Odnoszę niejasne wrażenie, że każda istota ludzka ma prawo mówić prawdę.

- Akurat wtedy, kiedy jej słowa są transmitowane na całą cholerną planetę? Jesteś tego pewien? Na S'uthlam znajdzie się kilka milionów osób należących do frakcji zeroistów. Ja jestem jedną z nich. Powiedziałeś to samo, co my powtarzamy od lat, tyle, że zrobiłeś to znacznie głośniej.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Żywię ogromną nadzieję, że wypowiedziane tego wieczoru słowa, choć gorzkie i brutalne, wywrą jednak dobroczynny wpływ na politykę i społeczeństwo S'uthlam. Być może Cregor Blaxon i jego technokraci pojmą wreszcie, iż prawdziwego ratunku nie należy szukać ani w Rozkwicie Tufa, ani w tym, co nazwała pani kiedyś cudownym rozmnożeniem chleba i ryb. Może od tej chwili poglądy ulegną pewnej zmianie. Może następne wybory zakończą się zwycięstwem zeroistów.

Tolly Mune skrzywiła się paskudnie.

- To diabelnie mało prawdopodobne i lepiej, żebyś o tym wiedział. Nawet gdybyśmy wygrali, powstaje pytanie, co powinniśmy zrobić. - Pochyliła się do przodu w fotelu. - Czy mielibyśmy prawo wprowadzić przymusową kontrolę urodzeń? Nie wydaje mi się. Zresztą, nie to jest w tej chwili najbardziej istotne. Chcę powiedzieć tylko tyle, że nie masz żadnego cholernego monopolu na prawdę. Każdy zeroista mógłby powiedzieć dokładnie to samo co ty. Do licha, nawet połowa technokratów zdaje sobie doskonale sprawę z tego, na jakim jedzie wózku. Creg nie jest idiotą. Biedny Josen też nim nie był. Wiesz, co pozwoliło ci zrobić to, co zrobiłeś? Władza. Władza, jaką daje ci „Arka”. Możliwość udzielenia nam pomocy lub jej wstrzymania, zależnie od twojej woli.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf i mrugnął dwa razy. - Trudno mi dyskutować z panią w tej sprawie. Ze smutnych nauk wynikających z historii da się jednak wyciągnąć oczywisty wniosek, iż nierozumne masy są zawsze gotowe pójść za silnym, nigdy zaś za mądrym.

- A kim ty jesteś, Tuf?

- Jestem tylko skromnym...

- Tak, wiem! - parsknęła. - Przeklętym skromnym inżynierem ekologiem, który uznał za stosowne odegrać rolę proroka. Skromnym inżynierem ekologiem, który odwiedził S'uthlam tylko dwa razy w życiu, przebywał na nim w sumie nie więcej niż sto dni, a mimo to ma czelność obalać nasze rządy, dyskredytować religię i pouczać czterdzieści parę miliardów ludzi, ile mają mieć dzieci! Może są krótkowzrocznymi idiotami, może nawet są ślepi, ale ja jestem jedną z nich, i nic tego nie zmieni. Szczerze mówiąc, wcale mi się nie podoba, że zjawiasz się tu nie wiadomo skąd i próbujesz przerobić nas zgodnie z własnymi oświeconymi wzorcami.

- Kategorycznie protestuję, szanowna pani. Bez względu na to, jak wyglądają moje osobiste przekonania, nie usiłuję ich nikomu narzucać. Postanowiłem tylko wyrazić głośno pewne oczywiste prawdy i uświadomić waszemu społeczeństwu obiektywne fakty, których suma zapowiada nieodwracalne nieszczęście i których nie da się zmienić samą tylko siłą wiary, modlitwami ani melodramatycznymi romansami prezentowanymi przez sieci informacyjne.

- Zapłacono ci...

- Stanowczo zbyt mało - przerwał jej Tuf.

Tolly uśmiechnęła się na przekór samej sobie.

- Zapłacono ci za dokonanie zmian w ekologii, nie za wygłaszanie pouczeń dotyczących polityki i religii.

- Z całą pewnością, kapitanie Mune. - Tuf z namysłem złożył dłonie. - Ekologia... Warto zastanowić się nad znaczeniem tego słowa. Jeśli przyjmiemy, że ekosystem wchodzi w skład znacznie większej biologicznej maszyny, to posuwając się dalej tropem tej analogii, będziemy zmuszeni uznać, iż ludzkość także stanowi jej część, i to nawet bardzo istotną. W żadnym wypadku nasz gatunek nie istnieje gdzieś „obok”, jak często głosili siewcy fałszywych poglądów. Ergo, jeśli ktoś taki jak ja podejmuje się zadania kształtowania ekologii, siłą rzeczy musi zajmować się także współistniejącymi z nią ludźmi.

- Zaczynam się ciebie bać, Tuf. Chyba zbyt długo byłeś sam na tym ogromnym statku.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z tą opinią.

- Ludzie to nie maszyny, które można zmieniać i modernizować.

- Zaiste, przewyższają stopniem skomplikowania wszystkie istniejące mechanizmy - zgodził się Tuf.

- Niezupełnie to miałam na myśli.

- Mieszkańcy S'uthlam osiągnęli chyba szczególnie wysoki stopień komplikacji.

Tolly Mune pokręciła głową.

- Pamiętaj, co powiedziałam. Władza deprawuje.

- Zaiste - odparł.

Nie miała pojęcia, jak powinna to zinterpretować. Haviland Tuf podniósł się z fotela.

- Już wkrótce mój pobyt tutaj dobiegnie końca- oświadczył. - Dokładnie w tej chwili w polu czasowym „Arki” następuje przyspieszony rozwój organizmów, które przygotowałem z myślą o waszej planecie. Moje promy orbitalne przygotowują się do dostarczenia towaru, oczywiście zakładając, że Cregor Blaxon albo jego następca zdecydują się zaakceptować moje propozycje. Szacuję, że najdalej za dziesięć dni S'uthlam będzie już dysponował mięsozwozami, krowimi strakami, ororo, a także wszystkimi pozostałymi organizmami, o jakich wspominałem. Kiedy to nastąpi, pozwolę sobie opuścić ten rejon galaktyki, kapitanie Mune.

- Ponownie porzucona przez gwiazdnego kochanka... - mruknęła z przekąsem Tolly. - Może uda mi się to jakoś wykorzystać.

Tuf spojrział na Daxa.

- Kpina zaprawiona goryczą - stwierdził, po czym zamrugął kilkakrotnie. - Sądzę, że wyświadczyłem waszej planecie ogromną przysługę. Żałuję, jeśli moje metody uraziły pani uczucia. Zapewniam, iż nie leżało to w moich zamiarach. Pragnąłbym wynagrodzić pani poniesione straty moralne.

Przechyliła głowę i utkwiała w nim ostre spojrzenie.

- Ciekawa jestem, jak masz zamiar to zrobić?

- Za pomocą drobnego podarunku - odparł Tuf. - Przebywając z panią na pokładzie „Arki”, zwróciłem uwagę na przyjazne uczucia, zresztą w pełni odwzajemnione, jakimi obdarzała pani gromadkę kociąt. W dowód ogromnego szacunku, jaki wobec pani żywię, chciałbym ofiarować pani dwoje z nich.

- Masz nadzieję, że odstraszą strażników, którzy zjawią się, by mnie aresztować? Nic z tego, Tuf. Doceniam twoją propozycję i kusi mnie jak cholera, żeby ją przyjąć, ale trzymanie szkodników jest surowo zakazane.

- Jako kapitan Portu S'uthlam może pani zmieniać niektóre przepisy.

- Jasne. Świetnie by to wyglądało. Nie dość, że występuje przeciwko życiu, to jeszcze jest całkowicie skorumpowana. Zdobyłabym nielichą popularność.

- Sarkazm - poinformował Tuf Daxa.

- A co będzie, jeśli usuną mnie ze stanowiska? - zapytała.

- Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że zdoła pani przetrwać zawieruchę i wyciągnąć z niej nie mniejsze korzyści niż z poprzedniej.

Tolly Mune wybuchnęła donośnym śmiechem.

- Cieszę się, że tak myślisz, ale nic z tego. Po prostu nie da rady. Haviland Tuf milczał przez dłuższą chwilę. Na jego bladej, pociągłej twarzy nie malowały się żadne uczucia. Wreszcie uniósł palec.

- Wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie tego problemu - oznajmił. - Oprócz dwojga kociąt ofiaruję pani także statek kosmiczny. Jak pani z pewnością wie, posiadam ich znaczny zapas. Może pani trzymać koty na jego pokładzie, poza jurysdykcją Portu S'uthlam. Zaopatrzę panią nawet w zapas pokarmu na pięć lat, tak by nikt nie mógł zarzucić, iż karmi pani szkodniki, odbierając kalorie głodującym ludziom. W celu poprawienia swojego wizerunku w środkach masowego przekazu może pani oświadczyć, iż wzięła koty jako zakładników, aby upewnić się, że na pewno powrócę za pięć lat i ureguluję pozostałą część długu. Na otwartą twarz Tolly wypełził chytry uśmieszek.

- Do licha, to może się udać! Trudno ci się oprzeć. Statek kosmiczny, powiadasz?

- Zaiste. Uśmiechnęła się szeroko.

- W porządku, przekonałeś mnie. Które kociaki?

- Żal i Niewdzięczność.

- Jestem pewna, że chcesz mi coś przez to powiedzieć, ale nie będę wnikać co. I zapas pokarmu na pięć lat?

- Z dokładnością do jednego dnia. Do chwili, kiedy powrócę, by doprowadzić do końca nasze rozliczenia.

Tolly Mune spojrzała na niego - na wydłużoną, nieruchomą, białą twarz, blade dłonie splecione na imponującej wypukłości brzucha, na czapkę z daszkiem tkwiącą na pozbawionej włosów czaszce, na małego czarnego kota spoczywającego na jego kolanach. Przyglądała mu się bardzo długo i bardzo uważnie, a potem z jakiegoś tajemniczego powodu zadrżała jej ręka. Piwo chlapnęło na jej rękaw, przesiąkło przez cienki materiał i pociekło w kierunku łokcia.

- O rety... - westchnęła. - Nic, tylko ten Tuf i Tuf. Wprost nie mogę się doczekać...

BESTIA DLA NORNA

Chudzielec znalazł Havilanda Tufa w najciemniejszym kącie pewnej piwiarni na Tamberze. Łokcie Tufa spoczywały na stole, a wierzchołek jego łysej czaszki niemal dotykał belki sufitowej. Przed nim stały cztery puste kufle z wianuszkami szybko wysychającej piany, piąty zaś, opróżniony do połowy, niemal zupełnie zginął w wielkich białych dłoniach.

Nawet jeśli Tuf dostrzegał zaintrygowane spojrzenia, jakich nie szczędzili mu pozostali goście, to nie zwracał na nie uwagi. Siedział spokojnie, z kamienną twarzą, w regularnych odstępach czasu podnosił kufel do ust, upijał spory łyk, po czym odstawiał naczynie na stół. Zainteresowanie wzbudzał nie tyle jego wygląd, co fakt, że Tuf pił w samotności.

Nie był jednak sam; na stole między kuflami spał Dax, zwinięty w czarny kłębek. Haviland Tuf od czasu do czasu wyciągał rękę i od niechcenia głaskał futrzastego towarzysza, co tamten przyjmował z całkowitą obojętnością. Dax wyróżniał się rozmiarami wśród kotów w taki sam sposób, w jaki Tuf wyróżniał się wśród ludzi.

Kiedy chudzielec zbliżył się do stolika, Tuf spojrzał na niego, mrugnął ospale i w milczeniu czekał, aż przybysz się odezwie.

- Ty jesteś Haviland Tuf, handlarz zwierząt.

Mężczyzna był wyjątkowo chudy. Jego ubranie - czarna skóra i szare futro - wisiało na nim jak na wieszaku, a jednak na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że nie jest byle kim, ponieważ na głowie, tuż poniżej linii czarnych gęstych włosów, nosił wąską opaskę z błyszczącego metalu, jego palce zaś zdobiły liczne pierścienie.

Tuf podrapał Daxa za uchem.

- Nie dość, że zakłócają nasz spokój - przemówił głębokim dudniącym głosem - nie dość, że przerywają nam melancholijne rozmyślenia, to jeszcze obrzucają nas kalumniami i obelgami. - Przeniósł wzrok z powrotem na chudzielca. - Szanowny panie, istotnie nazywam się Haviland Tuf i w pewnym sensie można stwierdzić, że niekiedy miewam do czynienia ze zwierzętami, jednak nie oznacza to jeszcze, że uważam się za handlarza zwierząt. Osobiście, lubię o sobie myśleć jako o inżynierze ekologii.

Chorobliwie szczupły mężczyzna machnął ze zniecierpliwieniem ręką i, nie proszony, zajął miejsce przy stole naprzeciwko Tufa.

- Wiem, że wpadł ci w ręce stary biowojenny okręt Korpusu, ale to jeszcze nie czyni z ciebie ekologa. Ostatni z nich umarł ładnych parę setek lat temu. Jeśli jednak chcesz, żeby ludzie nazywali cię inżynierem ekologii, proszę bardzo. Potrzebuję twoich usług. Chcę

kupić od ciebie potwora: ogromną, groźną i krwiożerczą bestię.

- Słyszałeś? - zapytał Haviland Tuf kota. - Ten obcy człowiek, który nie proszony siada przy moim stoliku, pragnie kupić sobie potwora. - Zamrugał dwa razy. - Z przykrością muszę pana poinformować, że pańskie życzenie musi pozostać nie spełnione. Potwory są istotami mitologicznymi, podobnie jak upiory, wilkołaki i kompetentni urzędnicy. Co więcej, obecnie nie zajmuję się ani handlem zwierzętami, ani żadną inną działalnością, choćby odległe związane z moją profesją. W tej chwili konsumuję to smakowite tamberskie piwo i oplakuję.

- Oplakujesz? - zdziwił się chudzielec. Nic nie wskazywało na to, żeby zamierzał wstać i odejść. - Kogo?

- Kota, a dokładniej kotkę - odparł Tuf. - Nazywała się Furia i od wielu lat towarzyszyła mi w moich podróżach. Całkiem niedawno zginęła na planecie Alyssar, na którą miałem nieszczęście zawitać, z rąk okrutnego barbarzyńskiego księżątka. - Spojrzał znacząco na metalową opaskę zdobiącą głowę mężczyzny. - Ufam, że nie jest pan okrutnym barbarzyńskim księżątkiem?

- Jasne, że nie.

- W takim razie ma pan szczęście.

- Przykro mi z powodu twojego kota. Naprawdę. Wiem, co teraz czujesz. Sam przeżywałem to co najmniej tysiąc razy.

- Co najmniej tysiąc razy - powtórzył Tuf głosem wypranym z wszelkich emocji. - Doprawdy, powinien pan otaczać swoich ulubieńców nieco troskliwszą opieką.

Chudzielec wzruszył ramionami.

- Zwierzęta często giną, i już. Nic się na to nie poradzi. Kły, pazury, szpony i w ogóle. Musiałem do tego przywyknąć, obserwując, jak nawet najsilniejsze i najwspanialsze są rozszarpywane na moich oczach... Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

- Zaiste - mruknął Tuf.

- Nazywam się Herold Norn. Jestem głównym pogromcą zwierząt mego Domu, jednego z Dwunastu Wielkich Domów Lyroniki.

- Lyronica... Ta nazwa nie jest mi zupełnie obca. Zapewne ma pan na myśli niedużą, słabo zaludnioną planetkę balansującą na granicy między cywilizacją a zdziczeniem. Cóż, teraz pojmuję, skąd ten brak dobrych manier.

- Zdziczenie? Nie wierz w to, Tuf. To tamberskie bzdury. Cholerne kmiotki. Lyronica jest prawdziwą ozdobą tego sektora galaktyki. Chyba słyszałeś o naszych walkach zwierząt?

Haviland Tuf, niby od niechcenia, musnął ucho Daxa nieco inaczej niż do tej pory.

Ogromny kocur podniósł głowę, przeciągnął się, ziewnął rozziewając, po czym skierował na chudzielca przenikliwe spojrzenie wielkich złocistych oczu i zaczął cichutko mruczeć.

- Podczas moich licznych wędrówek wpadło mi w ucho to i owo - przyznał Tuf. - Byłbym jednak wdzięczny, gdyby zechciał pan podzielić się z nami kilkoma szczegółami, żebyśmy mogli z Daxem dokładnie rozważyć pańską propozycję.

Herold Norn zatarł szczupłe ręce.

- Z Daxem? Oczywiście. Ładny zwierzak, choć osobiście nie przepadam za takimi, które nie potrafią walczyć. Moim zdaniem, prawdziwe piękno polega na sile zabijania.

- Dość szokująca koncepcja - stwierdził Haviland Tuf z kamienną twarzą.

- Wcale nie. Mam nadzieję, że podczas pobytu na Tamberze nie stałeś się mięczakiem i mazgajem, jak prawie wszyscy mieszkańcy tej grudy uprawnej ziemi?

Tuf w milczeniu opróżnił kufel, po czym dał znak barmanowi, że prosi o dwa kolejne. Kufle zjawily się na stole w ciągu kilku sekund.

- Dzięki - powiedział Nom, przysuwając sobie naczynie wypełnione złocistym płynem.

- Proszę kontynuować.

- Jasne. No więc, rywalizacja między Dwunastoma Wielkimi Domami Lyroniki już od stuleci odbywa się podczas walk zwierząt.

Wcześniej prowadziliśmy zażarte wojny, ale ten sposób jest dużo lepszy: dbamy o honor rodów, pomnażamy nasze fortuny, a przy okazji nikomu nie dzieje się krzywda. Musisz wiedzieć, że każdy Dom sprawuje kontrolę nad częścią dość rzadkiej sieci traktów handlowych opasujących naszą planetę. Ponieważ osad ludzkich jest niewiele, dzięki zwierzęta mają u nas prawdziwy raj. Dawno temu, podczas któregoś z nielicznych okresów pokoju, Panowie Wielkich Domów zawarli porozumienie, zgodnie z którym wszystkie konflikty będą rozstrzygane podczas walk zwierząt. Pomysł wcale nie jest nowy; być może słyszałeś o starożytnym obyczaju zwanym „walkami kogutów” oraz o Rzymianach ze Starej Ziemi, którzy dla rozrywki wypuszczali na ogromne areny rozmaite bestie i przyglądali się ich zmaganiom?

Czekając na odpowiedź, Norn napił się piwa, ale Tuf nadal w milczeniu drapał Daxa za uchem.

- Zresztą, nieważne - mruknął chudzielec, po czym otarł pianę z ust. - Tak narodził się ten zwyczaj. Tereny, którymi władają poszczególne Domy, bardzo różnią się między sobą, różne też są zwierzęta wystawiane do walk. Na przykład włości Domu Yarcour rozciągają się na gorącym i wilgotnym południu, gdzie roi się od ogromnych jaszczuro-lwów. Z górzystego

Feridianu pochodzi niebezpieczna skalna mała zwana, rzecz jasna, feridianem. Mój Dom, Norn, włada trawiastymi równinami zajmującymi większą część północnego kontynentu. Wystawialiśmy w szranki rozmaite bestie, jednak największą sławę przyniosły nam żelazozęby.

- Żelazozęby - powtórzył Tuf. - Ta nazwa wywołuje dość jednoznaczne skojarzenia.

Norn uśmiechnął się chytrze.

- Właśnie - powiedział z dumą. - Jako główny pogromca osobiście tresowałem setki egzemplarzy. Są cudowne! Wielkie jak ty, pokryte wspaniałym czarnym futrem, groźne i bezlitosne.

- Czy słusznie domyślam się, że ich dalekimi przodkami były psy?

- Ale jakie psy!

- Mimo to pragnie pan nabyć ode mnie potwora... Norn ponownie podniósł kufel do ust.

- Zgadza się - odparł, przełknąwszy spory łyk. - Na Lyronikę przybywa publiczność z kilkunastu okolicznych planet, żeby obserwować zawody i czynić wysokie zakłady. Najwięcej gości zjawia się w Brązowej Arenie, którą przed sześciuset laty wzniesiono w Mieście Wszystkich Domów. Tam właśnie odbywają się najważniejsze walki. Od ich rezultatu zależy pomyślność nie tylko poszczególnych Domów, ale i całej planety. Gdyby nie nasze igrzyska, Lyronica byłaby równie biedna jak rolniczy Tamber.

- Zaiste.

- Domyślasz się jednak zapewne, że zyski są dzielone między Domy proporcjonalnie do liczby zwycięstw. Dom Arneth zbudował swoją potęgę głównie dzięki obfitości krwiożerczych bestii, które żyją w ich lasach. Hierarchia jest ustalana na podstawie wyników osiągniętych na Brązowej Arenie.

- A Dom Norn od dłuższego czasu nieodmiennie zamyka stawkę - powiedział Tuf obojętnym tonem.

- Skąd wiesz?

- Szanowny panie, sprawa jest oczywista. W świetle tego, co do tej pory usłyszałem, nasuwa mi się pytanie: czy sprowadzenie na Lyronikę i wystawienie do walki istoty nie pochodzącej z waszej planety będzie zgodne z zasadami, których muszą przestrzegać organizatorzy i uczestnicy igrzysk?

- Były już precedensy. Siedemdziesiąt parę lat temu pewien hazardzista ze Starej Ziemi przywiózł zwierzątko, którego nazywał rdzawym wilkiem. Pan Domu Colin, chyba w przypływie szaleństwa, wystawił go w swojej drużynie. Nieszczęsne bydlę musiało stanąć w

szranki z żelazozębem i zostało rozszarpane w okamgnieniu. Zdarzały się też inne przypadki.

Niestety, ostatnio mamy poważne trudności z hodowlą żelazozębów. Dzikie osobniki prawie całkiem wyginęły, nieliczne, które jeszcze żyją na wolności, nie dają się złapać, a potomkowie schwytyanych przez moich poprzedników i przeze mnie nie wykazują ochoty ani zdolności do walki. Odnosimy coraz mniej zwycięstw; jeśli to się szybko nie zmieni, już wkrótce przestanę być głównym pogromcą. Poza tym z roku na rok stajemy się coraz biedniejsi. Jak tylko dowiedziałem się o przybyciu „Arki”, postanowiłem cię odszukać. Z twoją pomocą Dom Nom odzyska dawną pozycję i bogactwo.

Haviland Tuf długo rozważał w milczeniu słowa pogromcy.

- Doskonale rozumiem pańską sytuację - powiedział wreszcie. - Niestety, z przykrością muszę pana poinformować, że nie param się handlem potworami. „Arka” jest starożytnym okrętem biowojennym, zbudowanym ponad tysiąc lat temu przez Imperium Starej Ziemi, toczące z Hranganami walkę na śmierć i życie. Co prawda jestem w stanie zaoferować szeroki wybór śmiertelnie groźnych chorób, plag i epidemii, w przepastnym magazynie tkanek zaś czeka gotowy w każdej chwili do wykorzystania materiał genetyczny niezliczonych istot zamieszkujących grubo ponad tysiąc planet, ale obawiam się, że jeśli chodzi o potwory, sytuacja nie przedstawia się tak różowo.

- A więc nie masz niczego, co mogłoby mi się przydać? - zapytał łamiącym się głosem Herold Norn.

- Tego nie powiedziałem - odparł Tuf. - Nie istniejący już Inżynierski Korpus Ekologiczny korzystał również, choć raczej rzadko, z usług istot, które osoby niedoinformowane lub przesądne mogłyby śmiało określić mianem potworów, i to z przyczyn zarówno natury psychologicznej, jak i ekologicznej. Mam na składzie niewielką liczbę takich stworzeń; niestety, jest ich śmiesznie mało, z pewnością nie więcej niż dziesięć tysięcy gatunków. Dokładną liczbę mógłbym panu podać dopiero po skonsultowaniu się z komputerem pokładowym „Arki”.

Norn natychmiast odzyskał wigor.

- Dziesięć tysięcy! - wykrzyknął. - To więcej niż trzeba. W takiej masie z pewnością znajdziemy odpowiednią bestię!

- Może tak, a może nie. Szansę są równe. - Haviland Tuf nie spuszczał wzroku z twarzy rozmówcy. - Przyznam, iż pański problem trochę mnie zainteresował, a że chwilowo dysponuję wolnym czasem, ponieważ dopiero co dostarczyłem mieszkańcom Tamberu nowy gatunek ptaka, który powinien uporać się z larwami szkodników niszczącymi ich plantacje i czekam na rezultaty pierwszych prób, jestem gotów odbyć wycieczkę na pańską planetę i na

miejscu zbadać sprawę. Proszę wracać na Lyronikę. Wkrótce zjawię się tam osobiście, przyjrzę się igrzyskom, a potem wspólnie podejmiemy decyzję, co czynić dalej.

Wychudzona twarz Norna rozpromieniła się w uśmiechu.

- Wspaniale! W takim razie teraz ja stawiam.

Odgłos, który wydobył się z gardła Daxa, przypominał pomruk silników promu orbitalnego szykującego się do wejścia w atmosferę.

Brązowa Arena wznosiła się dokładnie pośrodku Miasta Wszystkich Domów, w miejscu gdzie zbiegały się granice posiadłości dwunastu rodów. Zbudowane z kamienia miasto było podzielone murami na dwanaście dzielnic; nad każdą powiewała inna flaga, każda miała własny styl i klimat, a mieszkańcy mieli swobodny dostęp do głównej areny igrzysk.

Brązowa Arena wcale nie była z brązu, tylko z czarnego kamienia i wypolerowanego do połysku drewna. Jej lśniąca, pokryta miedzianą blachą kopuła, ustępowała wysokością jedynie kilku spośród licznych iglic, wież i baszt miasta. Z wąskich okien wychylały się kamienne, brązowe i żelazne rzygacze, a ogromne wrota w liczbie dwunastu były wykonane z najróżniejszych materiałów. Zdobiące bramy ornamenty pozwalały bez trudu stwierdzić, do której dzielnicy prowadzi każda z nich.

Kiedy Herold Norn i Haviland Tuf zjawili się w mieście, słońce Lyroniki wisiało nad zachodnim horyzontem jak ogromna krwistoczerwona pięść. Zapalono gazowe pochodnie otaczające Arenę niczym pierścień wysmukłych zębów. Kolumny ruchliwego, błękitnopomarań-czowego ognia rzucały roztańczone refleksy na ściany wiekowej budowli. Tuf podążał za Nornem najpierw ciasnymi uliczkami wiodącymi przez najbiedniejszą część dzielnicy, potem ścieżką wysypaną pokruszoną skałą, wreszcie minął dwanaście ustawionych w szpaler, odlanych z brązu żelazozębów, aż wreszcie dotarli do Bramy Domu Norn. Potężne wrota zostały wykonane z hebanu misternie połączonego z metalowymi okuciami i inkrustacjami. Strażnicy w uniformach z czarnej skóry i szarego futra na widok głównego pogromcy rozstąpili się na boki i przepuścili ich bez zatrzymywania; pozostali widzowie płacili za wstęp złotymi i miedzianymi monetami.

Brązowa była największą spośród aren, na których rozgrywano igrzyska. Trybuny wznosiły się tak stromo ku wysoko sklepionej kopule, że przypominała raczej głęboką jamę albo wnętrze nieczynnego krateru, na którego dnie usytuowano wysypany piaskiem ring. Norn z dumą poinformował przybysza, że widownia może pomieścić nawet trzydzieści tysięcy widzów, ale Tuf natychmiast zauważył, iż ci z najdalszych rzędów mają bardzo

nędzny widok, inni zaś wręcz żadnego, ze względu na liczne metalowe słupy podtrzymujące kopulaste sklepienie. Z pewnością każdy natomiast mógł bez trudu dotrzeć do punktów zawierania zakładów, które rozlokowano co kilkadziesiąt kroków.

Herold Norn zaprowadził Tufa na dół, gdzie znajdowały się najlepsze miejsca, przeznaczone dla rodowej starszyny. Od położonego cztery metry niżej ringu oddzielał ich tylko kamienny parapet. Fotele, w przeciwieństwie do tych w bardziej odległych rzędach, były wykonane nie z twardego drewna i metalowych prętów, lecz z miękko wyprawionej skóry. Dzięki swoim nadzwyczajnym rozmiarom mogły bez trudu pomieścić nawet nie zaliczającego się przecież do ułomków Havilanda Tufa.

- Skóra pochodzi ze zwierząt, które zginęły zaszczytną śmiercią w pojedynku na arenie - poinformował go Norn, kiedy zajęli miejsca.

Kilku mężczyzn w jednoczęściowych granatowych kombinezonach ściągało z ringu ciało jakiegoś ogromnego opierzonego stwora.

- Bojowy ptak Domu Wrai - wyjaśnił chudzielec. - Główny pogromca Domu Wrai wystawił go przeciwko jaszczurolwowi Domu Yarcour. To nie była mądra decyzja.

Haviland Tuf nic nie odpowiedział. Ubrany w szary winylowy płaszcz z epoletami, który sięgał mu niemal do kostek, w zielonej czapce z ogromnym daszkiem, ozdobionej złocistym emblematem Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego, siedział sztywny i milczący z dużymi białymi dłońmi splecionymi na okazałym brzuchu.

Zaraz po opróżnieniu ringu rozległ się grzmiący głos spikera:

- A teraz bój piąty! Dom Nom wystawia dwuletniego żelazozęba, samca, ważącego 2,6 kwintala, trenowanego przez młodszego pogromcę Kersa Noma. To jego pierwszy występ na Brązowej Arenie.

Zazgrzytała podnoszona krata i na ring wkroczyła istota jak z koszmarne snu. Żelazoząb okazał się prawdziwym olbrzymem o skołtunionej sierści i potężnej paszczy, w której lśniły dwa rzędy przeraźliwie ostrych, ociekających śliną kłów. Tuf bez trudu rozpoznał w nim nadmiernie wyrośniętego wilka skrzyżowanego z tygrysem szablozębnym; łapy zwierzęcia nie ustępowały grubością młodym drzewom, gęste futro zaś tylko częściowo maskowało zwały prężących się mięśni. Żelazoząb parsknął z wściekłością; odpowiedziało mu echo oraz aplauz publiczności.

- Kers to mój kuzyn, jeden z najlepiej zapowiadających się pogromców - powiedział z dumą Herold Norn. - Twierdzi, że ten zwierzak nie przyniesie nam wstydu, i chyba ma rację. Prezentuje się znakomicie, nie uważasz?

- Będąc po raz pierwszy na Lyronice, a więc i tutaj, w Brązowej Arenie, nie dysponuję

wystarczającym materiałem porównawczym - odparł wymijająco Tuf.

- Dom Arneth ze Złoczonego Lasu wystawia małpę-dusiciela - przemówił ponownie spiker zawodów. - Wiek sześć lat, waga 3,1 kwintala, trenowana przez starszego pogromcę Danela Leigha Arnetha. Trzy występy na Brązowej Arenie, trzy zwycięstwa.

Po przeciwnej stronie ringu otworzyła się kolejna krata, zdobiona złotem i szkarłatem, i na udeptany piasek wyszła, kołysząc się na boki, druga bestia. Małpa była niska, ale niesamowicie szeroka w barach, o trójkątnym tułowiu i głowie w kształcie pocisku. Oczy, ukryte pod wydatnymi łukami brwiowymi, były prawie niewidoczne, ramiona zaś, każde o dwóch łokciach i wręcz niewiarygodnie umięśnione, sięgały ziemi. Stworzenie było pozbawione sierści, jeśli nie liczyć ciemnorudych kępek pod pachami, o skórze koloru brudnego mleka. Cuchnęło tak mocno, że nawet Haviland Tuf, siedzący po drugiej stronie ringu, poczuł nieprzyjemną woń.

- Poci się - wyjaśnił Norn. - Danel Leigh wprowadził ją w trans bojowy. Mają nad nami przewagę, bo jego zwierzak jest bardziej doświadczony od naszego. Małpa-dusiciel, w przeciwieństwie do swojego kuzyna, górskiego feridiana, jest drapieżcą z natury i potrzebuje niewiele treningu. Żelazoząb Kersa jest za to młodszy i zwinniejszy. Zapowiada się interesująca walka.

Główny pogromca Domu Norn pochylił się do przodu, Tuf natomiast w dalszym ciągu siedział nieruchomy jak posąg.

Małpa ryknęła głośno, po czym odwróciła się w stronę przeciwnika, który niemal natychmiast ruszył w jej kierunku, niczym granatowoczarna błyskawica mknąca po piasku. Małpa czekała z szeroko rozłożonymi ramionami. Żelazoząb wybił się mocno z tylnych łap, chwilę potem dwa zwierzęta splecione w uścisku przewalały się po arenie, przy akompaniamencie ogłuszającego dopingu widzów.

- Gardło! - Norn darł się co sił w płucach. - Rozszarp jej gardło! Walczący rozdzielili się równie szybko, jak się zwarli. Żelazoząb okrążył przeciwnika, ani na chwilę nie spuszczając go z oka. Poruszał się znacznie mniej sprawnie niż na początku walki, ponieważ jego lewa przednia łapa była wykrzywiona pod tak nienaturalnym kątem, iż dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że musi być złamana. Chociaż utykał, nie zatrzymał się nawet na ułamek sekundy. Małpa ograniczała się do uważnego obserwowania jego poczynąń. Co prawda pierś miała obficie zbroczoną krwią, jednak rany zadane kłami i pazurami żelazozęba wyglądały na powierzchowne. Herold Norn ucichł i tylko mruczał coś z niepokojem.

Zniecierpliwieni przedłużającą się przerwą w zmaganiach widzowie zaintonowali rytmiczną, stopniowo narastającą pieśń. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Zwierzęta

zachowywały się coraz bardziej agresywnie, poruszały się coraz szybciej i bardziej nerwowo, małpa zaś po raz pierwszy od początku walki rozpoczęła jakby nieporadny taniec, który w innych okolicznościach wyglądałby może komicznie, tutaj jednak sprawiał bardzo groźne wrażenie. Różowa ślina spływała obfitym strumieniem z szeroko rozwartej paszczy żelazozęba.

Pieśń, do której przyłączyli się niemal wszyscy widzowie, stała się w końcu tak głośna, że budowla zdawała się wibrować w dzikim, burzącym krew w żyłach rytmie. Nagle żelazoząb ponownie ruszył do ataku, małpa zaś wyciągnęła ku niemu karykaturalnie długie ramiona. Siła uderzenia rozpędzonego cielska była tak wielka, że dusiciel runął na grzbiet; obróciło się to jednak przeciwko napastnikowi, jego kły bowiem minęły o kilka centymetrów gardło małpy, dusiciel natomiast zdołał zacisnąć monstrualne ręce na szyi porośniętej gęstym granatowoczarным futrem. Żelazoząb walczył w milczeniu, uderzając łapami i prężąc potężne mięśnie, ale niewiele mógł zdziałać; niespełna minutę później rozległ się głośny trzask i czworonóg zwisał bezwładnie w uścisku nagich rąk. Przypominał teraz sflaczały worek uszyty z futra, z byle jak przyprawioną, kołyszącą się na boki głową.

Publiczność zareagowała gwałtowną owacją, ale tu i ówdzie dało się słyszeć również okrzyki zawodu, a nawet gwizdy. Złoto-szkarłatna krata powędrowała w górę, małpa zeszła z areny rozkołysanym krokiem, na ring zaś wbiegli czterej ludzie w strojach Domu Norn i uprzątnęli zwłoki żelazozęba.

Herold Norn pokręcił głową.

- Cholera, kolejna porażka! Muszę poważnie porozmawiać z Kersem. Jego zwierzak w ogóle nie potrafił dobrać się do gardła.

- Co się stanie z pokonanym? - zapytał Tuf.

- Zostanie odarty ze skóry i zjedzony. Dom Arneth na pewno każe obić jego skórą któryś z foteli w ich części widowni, a mięso dostaną żebracy i bezdomni, oczywiście też z ich części miasta. Wielkie Domy są powszechnie znane ze swego miłosierdzia.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf, po czym z godnością podniósł się z fotela. - Chyba już mi wystarczy. Zobaczyłem waszą Brązową Arenę i wiem, co o niej myśleć.

- Idziesz już? - zapytał z niedowierzaniem Norn. - Tak wcześniej? Przecież zostało jeszcze pięć bojów! W następnym ogromny feridian będzie walczył z wodnym skorpionem z Wyspy Amar!

- Przybyłem tu tylko po to, aby się przekonać, czy to, co do tej pory słyszałem o waszych igrzyskach, odpowiada prawdzie. Stwierdziłem, że tak jest w istocie, nie widzę więc powodu, dla którego miałbym tu zostać choć chwilę dłużej. Nie trzeba wypić całej butelki

wina grzybowego, aby sprawdzić, jaki ma smak.

Herold Norn również podniósł się z miejsca.

- W takim razie zapraszam cię do Domu Norn. Pokażę ci naszą menażerię i zapoznam z metodami treningowymi, a potem wyprawię wielką ucztę. Najesz się jak nigdy w życiu!

- To nie będzie konieczne - odparł Tuf. - Po wizycie w Brązowej Arenie bez trudu jestem w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądają wasze menażerie i metody treningowe. Zamierzam niezwłocznie wrócić na „Arkę”.

Norn położył mu na ramieniu drżącą rękę.

- Czy teraz, kiedy przekonałeś się na własne oczy, w jak wielkiej jesteśmy potrzebie, sprzedasz nam jakiegoś potwora?

Haviland Tuf cofnął się o krok z lekkością zupełnie nie pasującą do jego rozmiarów i tuszy.

- Uprzejmie proszę, by powstrzymał się pan przed nawiązywaniem ze mną kontaktu cielesnego. Nie jestem do tego przyzwyczajony i wcale tego nie pragnę. - Zaczekał, aż pogromca cofnie rękę, po czym mówił dalej: - Nie ulega dla mnie wątpliwości, że istotnie mam do czynienia z poważnym problemem. Być może ktoś o bardziej praktycznym nastawieniu do życia uznałby, że to nie jego sprawa, ja jednak, będąc w głębi duszy altruistą i filantropem, nie mogę pozostawić was bez pomocy. Rozważę waszą sytuację i uczynię wszystko, by znaleźć rozwiązanie. Proszę skontaktować się ze mną za trzy dni. Być może do tego czasu zdołam coś wymyślić.

Zaraz potem odwrócił się na pięcie i opuścił Brązową Arenę. Udał się prosto na lądowisko, gdzie czekał na niego prom „Bazyliszek”.

Herold Norn nie był przygotowany na to, co ujrzał na „Arce”. Wyszedłszy z maleńkiego, poobijanego i obdrapanego promu, stanął na lądowisku i z szeroko otwartymi ustami rozglądał się po gigantycznej hali, w której Tuf zgromadził imponującą kolekcję pojazdów kosmicznych wyprodukowanych przez rozmaite rasy w różnych, nawet bardzo odległych zakątkach galaktyki. Największe wrażenie zrobił na nim prom przypominający ogromnego lwa, przyczajonego w półmroku. Kiedy Haviland Tuf przyjechał po gościa otwartym trójkołowym pojazdem, pogromca nawet nie starał się ukryć oszołomienia.

- Powinienem być się domyślić - powtarzał, kręcąc głową. - Powinienem być się domyślić, ale kto mógł być przygotowany na coś aż tak wielkiego?

Haviland Tuf siedział nieruchomo, głaszcząc Daxa, który ułożył się wygodnie na jego kolanach.

- Istotnie, niektórych przygniata ogrom „Arki” - przyznał - ja jednak czuję się tutaj znakomicie. W dawnych czasach załoga każdego biwojennego okrętu Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego składała się z około dwustu osób; przypuszczam, że podobnie jak ja, ludzie ci nie lubili tłoku i niewygody.

Herold Nom zajął miejsce obok gospodarza.

- A ty jak liczną masz załogę? - zapytał niby od niechcienia.

Tuf wcisnął pedał i trójkołowiec bezgłośnie ruszył z miejsca.

- Obecnie stan liczebny załogi wynosi jeden albo pięć, zależnie od tego, czy uwzględniamy tylko ludzi, czy także koty.

- Jesteś tu sam?- wykrztusił z niedowierzaniem Norn.

Dax nastroszył sierść i poderwał się na równe łapy.

- Oprócz mnie na „Arce” mieszkają cztery koty: obecny tu Dax oraz Chaos, Wrogość i Podejrzliwość. Proszę nie przejmować się ich imionami; ręczę, że wszystkie są łagodne i przyjazne.

- Jeden człowiek i cztery koty... - mruknął pogromca. - To niewiele jak na tak wielki statek.

Dax zasyczał cicho. Tuf zdjął jedną rękę z kierownicy i pogłaskał kota.

- Skoro wykazuje pan tak wielkie zainteresowanie tą sprawą, nie będzie chyba od rzeczy, jeśli wspomnę także o śpiących.

- Śpiący? A co to za jedni? - zapytał podejrzliwie Herold Nom.

- Liczne żywe organizmy, zarówno mikroskopijnych, jak i gigantycznych rozmiarów, w pełni sklonowane, ale utrzymywane w uśpieniu dzięki statycznemu polu czasowemu „Arki”. Chociaż jestem wielkim przyjacielem wszystkich zwierząt, w ich przypadku jednak poszedłem nie za głosem serca, ale rozsądku, który podpowiedział mi, że nie byłoby rozsądne przerywać ich pozaczasowej drzemki. Przystudiowałem ich opisy, doszedłem do wniosku, iż stworzenia te byłyby znacznie mniej pożądanymi towarzyszami podróży niż moje koty. Przyznam ze wstydem, że niekiedy myślę o nich nawet jak o kłopotliwym utrudnieniu, ponieważ co jakiś czas muszę wydawać komputerowi pokładowemu długie i skomplikowane instrukcje, które pozwalają przedłużyć ich sen. Coraz częściej dręczą mnie koszmarne sny, że z jakiegoś powodu zapomniałem to uczynić i że na licznych pokładach „Arki” zaroiło się od śmiertelnie niebezpiecznych istot, dużych i małych, które, nie będą ukrywać, stanowiłyby poważne zagrożenie nawet dla mnie i moich kotów, nie wspominając już o innych osobach, które miałyby nieszczęście znaleźć się na ich drodze.

Herold Norn długo spoglądał to na pozbawioną wyrazu twarz Tufa, to na kota o wciąż

zjeżonej sierści.

- Aha - powiedział wreszcie. - Rzeczywiście. Rozumiem. To mogłoby być niebezpieczne. Może więc powinieneś się ich pozbyć? Wtedy nic by ci nie zagrażało.

Dax ponownie syknął.

- Interesująca koncepcja - odparł Tuf. - Ja również uważam, że nic nie usprawiedliwia istnienia tych odrażających narzędzi mordy i zagłady, stworzonych, w co nie wątpię, pod wpływem wojennego oblędu i gorączki nienawiści. Z drugiej strony jednak stanowią one żywy, choć uśpiony, dowód geniuszu naszych odległych przodków, więc muszą być traktowane jako część dziedzictwa, które po nich przejęliśmy. Z tego powodu, wbrew swoim najgłębszym przekonaniom, utrzymuję je w stanie, w jakim trafiły w moje ręce, i czynię wszystko, co w mojej mocy, by nie zapomnieć tajnych instrukcji oraz by we właściwym czasie dostarczyć je komputerowi.

Norn skrzywił się tylko, Dax natomiast usiadł Tufowi na kolanach i zaczął cichutko mruczeć.

- I co, wymyśliłeś coś, co może nam się przydać? - zapytał po pewnym czasie pogromca.

- Przyznam nieskromnie, iż moje wysiłki nie poszły całkowicie na marne - odparł Tuf, po czym skręcił z głównego korytarza do szerokiej, wysoko sklepionej hali, ciągnącej się przez całą długość statku. Nornowi znowu opadła szczeka. Po obu stronach, jak wzrokiem sięgnąć, w zielonkawym półmroku ciągnęły się szeregi niezliczonych zbiorników najróżniejszych kształtów i rozmiarów. W niektórych, wypełnionych mętnymi różnobarwnymi cieczami, wisiały nieruchomo albo poruszały się leniwie niewyraźne kształty.

- Śpiący... - wyszeptał Herold Norn.

- Zaiste.

Tuf prowadził ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie, natomiast Norn mało nie skręcił sobie karku, rozglądając się dokoła.

Wreszcie opuścili przepastną halę, wjechali w wąski korytarz, wysiedli z wózka i weszli do obszernego jasnego pomieszczenia. W jego czterech kątach stały cztery przepastne fotele z panelami kontrolnymi w szerokich podłokietnikach. Centralne miejsce zajmował obszerny krąg z błękitnego metalu. Haviland Tuf zrzucił Daxa na jeden z foteli, zajął miejsce w sąsiednim, po czym wskazał gościowi siedzisko w przeciwległym rogu pomieszczenia.

- Najpierw muszę poinformować pana o kilku istotnych kwestiach - oświadczył, kiedy Norn zagłębił się w fotelu.

- O co chodzi? - zapytał podejrzliwie pogromca.

- Przede wszystkim o to, że potwory są kosztowne. Moje usługi będą was kosztowały sto tysięcy kredytów.

- Co takiego?! To absurd! Przecież mówiłem ci, że nie mamy pieniędzy!

- Zaiste. W takim razie być może któryś z zamożniejszych Domów zechce zapłacić tę cenę. Pragnę zwrócić panu uwagę, że Inżynierski Korpus Ekologiczny zawiesił działalność wiele stuleci temu. Z ich floty ocalała tylko „Arka” natomiast wiedza i umiejętności w znacznej części odeszły w zapomnienie. Sztukę klonowania i inżynierię genetyczną kultywuje się już tylko na Prometeuszu i, być może, na Starej Ziemi, ale Ziemia jest objęta kwarantanną, mieszkańcy Prometeusza zaś strzegą swoich sekretów jak największego skarbu. - Tuf przeniósł spojrzenie na Daxa. - A mimo to Herold Norn uważa, że zażądałem wygórowanej ceny.

- Pięćdziesiąt tysięcy - powiedział Norn drżącym głosem. - To szczyt naszych możliwości.

Haviland Tuf milczał.

- Osiemdziesiąt tysięcy i ani kredytyki więcej! I tak będziemy musieli sprzedać na aukcji nasze brązowe żelazozęby.

Haviland Tuf wciąż nie odzywał się ani słowem.

- Niech cię szlag trafi! Zgoda, niech będzie sto tysięcy, ale pod warunkiem, że towar spełni nasze oczekiwania.

- Zapłacicie przy odbiorze.

- Niemożliwe!

Tym razem Herold Norn próbował przetrzymać Tufa. Rozglądał się nonszalancko dokoła - Tuf patrzył prosto przed siebie. Przyczesał palcami włosy - Tuf patrzył prosto przed siebie. Wiercił się w fotelu - Tuf patrzył prosto przed siebie.

- Niech ci będzie - wymamrotał wreszcie niemal ze łzami w oczach.

- Jeśli natomiast chodzi o same potwory - podjął Tuf jakby nigdy nic - to z uwagą przestudiowałem wasze zamówienie, a następnie zasięgnąłem rady komputera pokładowego. W magazynie tkanek „Arki” znajdują się komórki tysięcy drapiezców z niezliczonych planet, w tym także próbki pobrane ze skamielin oraz należące do istot znanych już tylko z legend. Może mi pan wierzyć, jest z czego wybierać. Aby nieco ułatwić sobie zadanie, uwzględniłem kilka dodatkowych kryteriów. Na przykład, zawęziłem pole poszukiwań do stworzeń oddychających mieszaniną gazów ze znaczną zawartością azotu i tlenu oraz do takich, które najlepiej czułyby się w klimacie, jaki panuje na smaganych wiatrem trawiastych równinach należących do Domu Norn.

- Bardzo słusznie - przyznał Herold Norn. - Wiele razy próbowaliśmy wprowadzić na nasze tereny jaszczurolwy, feridiany i inne zwierzęta, które stanowią chlubę pozostałych Domów, ale ze względu na klimat...

Nie dokończył, tylko machnął ręką.

- Otóż to, szanowny panie. Jak widzę, doskonale pojmuję pan trudności, jakie napotykałem w trakcie poszukiwań.

- Dobrze, dobrze, ale wracajmy do rzeczy. Co znalazłeś? Jakiego potwora dasz nam za nasze sto tysięcy kredytek?

- Proponuję wam nie jednego potwora, lecz oferuję możliwość dokonania wyboru spośród ponad trzydziestu gatunków. Oto one.

Dotknął podświetlonego przycisku w podłokietniku i ułamek sekundy później pośrodku metalowego kręgu pojawiło się odrażające zwierzę. Wysokie na dwa metry, o szaroróżowej skórze porośniętej rzadką białą sierścią, miało niskie czoło, świński ryj, spiralnie wygięte rogi oraz długie ostre pazury przy przednich kończynach.

- Nie będę obciążał pańskiej pamięci naukową nomenklaturą, tym bardziej że, jak zauważyłem, pan ani pańscy ziomkowie nie jesteście formalistami. Oto tak zwana szalona świnia z Heydey, żyjąca zarówno w lasach, jak i na otwartych przestrzeniach. Żywi się głównie padliną, ale od czasu do czasu lubi także skosztować świeżego mięsa, a zaatakowana walczy do upadłego. Co więcej, dysponuje sporą inteligencją, choć wszelkie próby udomowienia spełzły na niczym. Rozmnaża się tak szybko, że koloniści z Guliwera zostali w krótkim czasie zmuszeni do opuszczenia osiedli na Heydey, właśnie ze względu na to zwierzę.

Herold Norn podrapał się po czole nad metalową opaską.

- Za szczupła i za lekka. Spójrz na ten kark! Wyobrażasz sobie, co by z nią zrobił średnio wyrośnięty feridian? - Potrząsnął głową. - Poza tym jest paskudna. Nie wystawiłbym do walki padlinożercy, choćby nie wiadomo jak dzielnego. Dom Norn słynie z tego, że posyła do boju szlachetne istoty, zabójców gotowych zawsze i wszędzie walczyć o łup!

- Zaiste - bąknął Tuf, po czym dotknął przycisku.

Rogata świnia znikła, jej miejsce zaś zajęło ogromne, ledwo mieszczące się na kręgu z błękitnego metalu cielsko pokryte grubą, przypominającą pancerz, skórą.

- Niegościnna planeta, z której pochodzi to stworzenie, nigdy nie została nazwana ani zasiedlona. Dawno temu zbadała ją ekspedycja ze Starego Posejdona, która pobrała próbki tkanek większości przedstawicieli flory i fauny. Zwierzęta takie jak to, które pan widzi, przez jakiś czas hodowano w ogrodach zoologicznych, ale dość szybko wymarły.

Istota ta jest zwana toczakiem. Dorosłe osobniki osiągają wagę około sześciu ton. Na rozległych równinach, skąd pochodzą, potrafią osiągnąć prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Polują w ten sposób, że ścigają ofiarę, doganiają ją i miażdżą, a następnie wchłaniają przez skórę, w której mieszczą się gruczoły wydzielające enzymy trawienne. Odnoszą się z bezrozumną nienawiścią do wszystkiego, co żyje. Kiedyś, za sprawą niefortunnego splotu okoliczności, do którego nie chcę wracać, dorosły toczak zamieszkał na jednym z pokładów „Arki”, gdzie poczynił mnóstwo szkód, zanim wreszcie zdechł w wyniku obrażeń, jakich doznał, forsując stalowe grodzie. Jego żądza zabijania była tak wielka, że usiłował rozgnieść mnie na placek za każdym razem, kiedy przynosiłem mu pożywienie.

Herold Norn przyglądał się z podziwem bryle mięsa.

- No, no... Już lepiej. Znacznie lepiej. Rzeczywiście, zdumiewające stworzenie. Kto wie... Nie, chyba jednak nie. Na pewno nie - powtórzył już bez śladu entuzjazmu. - Nie nadaje się. Zwierzak o wadze sześciu ton i poruszający się z taką prędkością rozwaliliby na kawałki arenę i pozabijał mnóstwo widzów. Poza tym, kto chciałby płacić za to, żeby obejrzeć, jak coś takiego rozgniatą na naleśnik jaszczurolwa albo małpę-dusiciela? Nic z tego, Tuf. Twój toczak jest do niczego.

Haviland Tuf z kamienną twarzą znowu dotknął przycisku. Miejsce szarego cielska zajął smukły kot z wyszczerzonymi kłami, dorównujący wielkością żelazozębowi, o wąskich żółtych ślepiach i potężnych mięśniach poruszających się płynnie pod skórą porośniętą krótkim ciemnoniebieskim futrem. Od karku aż po nasadę ruchliwego ogona biegły wąskie srebrzyste pręgi.

- Ach! - westchnął z podziwem pogromca. - Piękne, po prostu piękne!

- To kobaltowa pantera z Celii, niekiedy zwana także kobaltowym kotem - dokonał prezentacji Haviland Tuf. - Największy i najgroźniejszy spośród wielkich kotów oraz ich odpowiedników. Jest myśliwym doskonałym, jej zmysły stanowią arcydzieło inżynierii biologicznej. Posiada zdolność widzenia w podczerwieni, ma też zdumiewająco czuły słuch. Zresztą, proszę zwrócić uwagę na wielkość i ustawienie uszu. Ponieważ należy do rodziny kotów, dysponuje zdolnościami telepatycznymi, ale w jej przypadku zdolności te uległy znacznemu wzmocnieniu.

W sprzyjających okolicznościach, to znaczy wtedy, kiedy jest rozwścieczona, głodna i żądna krwi, kobaltowa pantera staje się pełnoprawnym telepatą.

Norn wytrzeszczył oczy.

- Czym?

- Telepatą, szanowny panie. Zakładam, że to słowo nie jest panu obce. Kobaltowa

pantera jest dla każdego śmiertelnie groźnym przeciwnikiem, ponieważ zna zamiary rywala, zanim ten zdąży wprowadzić je w życie. Czy to jasne?

- Jak słońce!

Haviland Tuf ukradkiem zerknął na Daxa; kocur, którego w najmniejszym stopniu nie zaniepokoiła parada przerażających stworzeń, zmrużył ślepią, przeciągnął się i ziewnął rozdzierająco.

- Wspaniale! - wykrzykiwał rozpromieniony Norn. - Cudownie! Oczywiście poddają się tresurze, prawda? Tak myślałem. Telepaci, no, no! Nawet barwa sierści jak na zamówienie. Tak, to właśnie jest odpowiednia bestia dla Noma!

Tuf musnął przycisk w podłokietniku i kobaltowy kot znikł.

- Zaiste. Z pańskiej reakcji wnioskuję, że możemy zakończyć przegląd. Natychmiast po pańskim odlocie rozpocznę procedurę klonowania. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, gotowy produkt dostarczę za trzy tygodnie standardowe. Za ustaloną cenę przekażę wam trzy pary: czwórkę młodych osobników, które będziecie mogli wypuścić na wolność, aby tam się bez przeszkód rozmnażały, oraz dwa dorosłe egzemplarze, gotowe do występu na Brązowej Arenie.

- Trzy tygodnie? - zdumiał się Herold Norn. - Ale przecież...

- Zastosuję pole czasowe, które zamiast zatrzymywać upływ czasu, co czyni po odwróceniu potencjałów i zamienieniu się w pole statyczne, znacznie przyspiesza jego bieg. Co prawda zużywa ono mnóstwo energii, niemniej jednak nie zamierzam oszczędzać na niczym, co pozwoli mi terminowo wywiązać się z umowy. Zawodowa uczciwość każe mi pana uprzedzić, że choć otrzymacie sześć egzemplarzy, pod względem genetycznym będą to trzy osobniki, tyle bowiem próbek znajduje się w magazynie tkanek „Arki”. Pozostaje nam liczyć na to, że w wyniku krzyżówek, do jakich z pewnością dojdzie, pula genetyczna ulegnie szybkiemu wzbogaceniu.

- Jasne, skoro tak twierdzisz. - Norn z zapalem zatarł ręce. - Za trzy tygodnie przyślę statki. Jak tylko odbierzemy towar, dostaniesz swoje sto tysięcy.

Dax miauknął ostrzegawczo.

- Szanowny panie, właśnie przyszedł mi do głowy znakomity pomysł - oznajmił Haviland Tuf beznamiętnym tonem. - Zapłacicie mi przed odebraniem zwierząt.

- Przecież sam żądałeś zapłaty przy odbiorze!

- Zgadza się. Niestety, jedną z moich licznych słabości, których się ogromnie wstydzę, jest działanie pod wpływem impulsów oraz uleganie przecuciom. Właśnie przecucie podpowiada mi, że postąpię znacznie roztropniej, inkasując należność przed przekazaniem

wam zamówionego towaru.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie Norn - choć uważam, że postępujesz nie fair. Na szczęście, dzięki tym kobaltowym kotom szybko odbijemy sobie straty.

Wykonał ruch, jakby zamierzał wstać z fotela, ale Tuf powstrzymał go, podnosząc palec.

- Jeszcze chwileczkę. Do tej pory nie uznał pan za stosowne przekazać mi szczegółowych informacji na temat warunków, jakie panują na Lyronice w ogóle, a na obszarach należących do Domu Norn w szczególności. Zakładam, że znajduje się tam wystarczająca ilość pożywienia, niemniej jednak uprzedzam pana, iż kobaltowe koty są urodzonymi myśliwymi i potrzebują właściwego pokarmu.

- Tak, oczywiście.

- Na szczęście, jestem w stanie pomóc wam również w tej sprawie. Za dodatkowe pięć tysięcy kredytek mogę sklonować wam stadko skoczków z Celi; są to urocze futrzaste zwierzątka, naturalnie roślinożerne, cenione na wielu planetach ze względu na wyjątkowe walory smakowe ich mięsa. Stanowią ulubiony pokarm kobaltowych panter.

Herold Norn zmarszczył brwi.

- Na dobrą sprawę powinieneś dorzucić je ekstra. I tak już wyciągnąłeś z nas kupę forsy.

Tuf dźwignął się z fotela i majestatycznie wzruszył ramionami.

- Ten człowiek mnie obraża - poinformował Daxa. - Cóż jednak mogę na to poradzić? Staram się tylko uczciwie zapracować na godne życie, inni zaś bezwzględnie wykorzystują moje skrupuły. - Spojrzał na Norna. - Przed chwilą nawiedziło mnie kolejne przecucie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, że pan nie ustąpi, nawet gdybym zaproponował nadzwyczaj korzystną obniżkę ceny. Cóż, niech i tak będzie. Skoczki są wasze bez żadnej dodatkowej opłaty.

- Świetnie. - Norn skierował się do drzwi. - Odbierzemy je razem z panterami i wypuścimy na stepy.

W drodze powrotnej na lądowisko nie zamienili ani słowa.

Dzień przed terminem dostawy Dom Norn przysłał uzgodnioną zapłatę. Nazajutrz po południu na „Arkę” przybyło dwunastu mężczyzn w czarno-szarych strojach, którzy przenieśli uśpione kobaltowe pantery do skrzyń, a następnie umieścili je na pokładzie promu. Tuf uprzejmie, choć bez szczególnej wylewności, życzył im szczęśliwego lotu, po czym wrócił do swojej kwatery. „Arka” pozostała na orbicie wokół Lyroniki.

Niespełna trzy miejscowe dni później dowiedział się z przekazów, które odbierał na jednym z ekranów w centrali łączności, że jego klienci zgłosili jedną z panter do walki na Brązowej Arenie.

Tego wieczoru, kiedy miał się odbyć oczekiwany z niecierpliwością bój, Haviland Tuf przywdział przebranie składające się z przyklejanej brody, rudej, sięgającej ramion peruki, kanarkowożółtego surduta o bufiastych rękawach oraz futrzastego turbanu, po czym udał się promem do Miasta Wszystkich Domów, licząc po cichu na to, że nikt go nie rozpozna. W chwili gdy spiker ogłosił początek starcia, siedział w ostatnim rzędzie na karykaturalnie wąskiej i niebezpiecznie cienkiej ławeczce, oparty plecami o ścianę z chropowatego kamienia. Co prawda, zapłacił za wstęp, jednak skrupulatnie omijał wszystkie punkty przyjmowania zakładów.

- Trzeci bój! - obwieścił spiker, nie czekając, aż z ringu znikną zwłoki zwierzęcia pokonanego w poprzednim pojedynku. - Dom Yarcour wystawia dziewięćmiesięczną samicę jaszczurołwa. Waży 1,4 kwintala, trenuje ją młodszy pogromca Ammari y Yarcour Otheni. Do tej pory odniosła jedno zwycięstwo na Brązowej Arenie.

Zgodnie z oczekiwaniami Tufa, siedzący w jego pobliżu widzowie powitali zapowiedź gromkimi oklaskami i radosnymi pokrzykiwaniami; tym razem zdecydował się wejść do budynku przez Bramę Yarcour, do której dotarł wybrukowaną zielonymi kamieniami drogą wiodącą przez paszczę gigantycznego złotego jaszczura. Daleko w dole uniosła się złoto-zielona krata. Tuf podniósł do oczu wypożyczoną lornetkę i uważnie przyjrzał się groźnemu stworowi: jaszczurolew przypominał ponaddwu-metrowego zielonego węża grubości sporego drzewa, o głowie i pysku aligatora ze Starej Ziemi. Masywne szczęki otwierały się i zamykały, dzięki czemu wszyscy mogli do woli przyjrzeć się garniturowi budzących respekt zębów.

- Dom Norn wystawia sprowadzoną spoza planety ku waszej uciechu i zadowoleniu samicę kobaltowej pantery. Wiek... - Spiker zawahał się wyraźnie. - Wiek... eee... trzy lata, waga 2,3 kwintala, trenowana przez starszego pogromcę Herolda Norna. Pierwszy raz na Brązowej Arenie.

Ogłuszająca owacja zwolenników Domu Norn niemal uniosła metalową kopułę. Zjawilo się ich co najmniej trzykrotnie więcej niż wtedy, kiedy Haviland Tuf był tu po raz pierwszy.

Pantera raczej wypłynęła, niż wyszła z cienia, tanecznym krokiem dotarła na środek ringu i potoczyła dokoła zimnym spojrzeniem żółtych ślepi. Wyglądała dokładnie tak, jak obiecywał Tuf: niesamowicie umięśniona, groźna i piękna. Co prawda z tej odległości prawie

nie słyszał jej niskiego pomruku, ale przez lornetkę doskonale widział otwarty pysk.

Jaszczurolew także go zobaczył i ruszył naprzód na krótkich, pokrytych łuskami nogach, z wygiętym długim ogonem, którego ostry koniec zawisł nad jego łbem niczym żądło monstrualnego skorpiona. W chwili kiedy pantera spojrzała na przeciwnika, nastąpiło uderzenie ogonem. Rozległ się donośny trzask, ale cios chybił celu, ponieważ kot ułamek sekundy wcześniej wykonał prawie niezauważalny unik.

Pantera, stąpając lekko jak baletnica, zaczęła okrążyć rywala, który próbował atakować na zmianę to ogonem, to zębami. Kobaltowy kot bez trudu unikał ciosów. Pokryty łuskami ogon uderzał raz po raz, okrutna paszcza zamykała się z trzaskiem, jednak pantera zawsze była szybsza. Ktoś wśród publiczności zaintonował dopingującą pieśń; niemal natychmiast podjęło ją wiele głosów. Tuf na chwilę skierował lornetkę w bok i ujrzał, jak zwolennicy Domu Norn kołyszą się w takt melodii. Jaszczurolew uderzał coraz gwałtowniej, miotając się po całym ringu. W pewnej chwili koniuszek ogona dostał się między pręty którejs z krat.

Kobaltowa pantera natychmiast skorzystała z okazji: błyskawicznie doskoczyła od tyłu do szarpiającej się wściekle ofiary, przytrzymała ją łapą, po czym zaczęła metodycznie rozszarpywać cielsko potwora. Po kilkunastu sekundach i jeszcze paru rozpaczliwych uderzeniach ogonem, jaszczurolew wyprężył się po raz ostatni, po czym znieruchomiał.

Publiczność w sektorze przeznaczonym dla Domu Norn niemal oszalała. Haviland Tuf podniósł się z wąskiej ławeczki i, z twarzą ukrytą za bujnym sztucznym zarostem, ukradkiem opuścił Brązową Arenę.

Mijały tygodnie, a „Arka” wciąż krążyła wokół Lyroniki. Haviland Tuf uważnie śledził przebieg walk na Brązowej Arenie; kobaltowe pantery Norna wygrywały walkę za walką. Co prawda pogromcy zdarzały się także porażki, kiedy wystawiał do boju żelazozęby, ale przegrane te stanowiły jedynie mało istotne przerywniki w coraz dłuższym paśmie zwycięstw.

Tuf gawędził z Daxem, bawił się z pozostałymi kotami, oglądał niedawno nabyte holofilmy, przeprowadzał skomplikowane symulacje komputerowe, pił hektolitry tamberskiego piwa i starego wina grzybowego, i czekał.

Jakieś trzy tygodnie po bojowym chrzcie kobaltowych panter zawitali do niego oczekiwani goście.

Smukły, elegancki prom orbitalny był pomalowany na złoto i zielono, jego pasażerowie natomiast mieli na sobie paradne łuskowate zbroje mieniające się różnymi

odcieniami złota i zieleni. Kiedy Tuf wyjechał im na spotkanie, trzej wyprężyli się na bacność, czwarty zaś, korpulentny mężczyzna w złotym hełmie z zielonym pióropuszem, wyciągnął na powitanie pulchną dłoń.

- Pańskie przyjacielskie intencje zostały zrozumiane i docenione - poinformował go Tuf z rękami spoczywającymi nieruchomo na grzbiecie Daxa. - Zauważyłem też, że nie ściska pan w garści żadnej broni. Czy mogę wiedzieć, kim pan jest i co pana do mnie sprowadza?

- Nazywam się Morho y Yancour Otheni i...

- Rozumiem - przerwał mu Tuf. - Jest pan więc głównym pogromcą Domu Yarcour i przybywa pan na „Arkę”, żeby kupić potwora. Przyznam szczerze, że spodziewałem się takiego rozwoju wydarzeń.

Usta pulchnego pogromcy ułożyły się w zdumione O.

- Pańscy towarzysze pozostaną przy waszym pojeździe, pana natomiast zapraszam, abyśmy mogli omówić warunki kontraktu.

Podczas jazdy korytarzami „Arki” Morho y Yancour Otheni nie wykrztusił ani słowa. Haviland Tuf przywiózł go do tego samego pomieszczenia, w którym nie tak dawno rozmawiał z Nornem, i posadził w tym samym fotelu co jego poprzednika.

- Jak się domyślam, dowiedział się pan o mnie od kogoś z Domu Norn?

Pogromca uśmiechnął się szeroko.

- Zgadza się. Przekonałiśmy jednego z ich ludzi, żeby zdradził nam tajemnicę pochodzenia kobaltowych panter. Na szczęście okazało się, że „Arka” wciąż jest na orbicie. Czy aż tak bardzo spodobało ci się na Lyronice?

- Kwestia upodobań nie odgrywa tutaj najmniejszego znaczenia - odparł Tuf. - Kiedy pojawia się problem, moja zawodowa ambicja każe mi szukać rozwiązania i proponować chętnym moje usługi, a że na Lyronice aż się roi od problemów, pomyślałem trochę nieskromnie, że być może będę mógł się tutaj jeszcze przydać. Weźmy na przykład pański problem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Yarcour jest obecnie najuboższym i najmniej liczącym się spośród Dwunastu Wielkich Domów. Ktoś mniej subtelny ode mnie stwierdziłby zapewne bez ogródek, że wasze jaszczurolwy giną na ringu jak muchy, ponieważ zaś, jak wiem, zajmowane przez Dom Yarcour obszary są w zdecydowanej większości podmokłe, żeby nie powiedzieć: bagienne, dysponujecie dość ograniczonymi możliwościami pozyskiwania nowych gatunków, które nadawałyby się do walki. Czy moje domysły są choć w części słuszne?

- Eee... To znaczy... Tak, zgadza się. Trafiałeś w sedno, Tuf. Trzymaliśmy się całkiem nieźle, dopóki się nie wtrąciłeś, ale od tamtej pory nie wygraliśmy z Domem Norn ani

jednego starcia, choć przedtem dawaliśmy im w skórę przy każdej okazji. Kilka zwycięstw w marnym stylu nad Wrai i Wyspą Amar, szczęśliwa wygrana z Feridianem, dwa remisy z Arneth i Sin Doon... To wszystko, co udało nam się zwojować w ubiegłym miesiącu. Nędza. Jak tak dalej pójdzie, zrobią mnie młodszym pomocnikiem unasiennicza i ześlą w najdalszy kąt włości.

Morho miał ochotę rozwodzić się jeszcze dłużej, ale Tuf powstrzymał go majestatycznym ruchem ręki.

- Nie musi pan wdawać się w szczegóły - oświadczył, głaszcząc Daxa. - Pańskie przygnębienie aż nadto rzuca się w oczy. Tak się szczęśliwie dla pana składa, że uporawszy się ze zleceniem złożonym przez Herolda Noma, ponownie stałem się panem swojego czasu. Pragnąc wykorzystać go z jak największym pożytkiem, dla własnej przyjemności poświęciłem się analizowaniu kłopotów gnębiących Wielkie Domy i poszukiwaniu satysfakcjonujących rozwiązań. Informuję pana niniejszym, że jestem w stanie wybawić pana z opresji. Niestety, moja pomoc będzie trochę kosztować.

Morho ponownie się uśmiechnął.

- Jestem na to przygotowany. Wiem, jakiej zapłaty zażądałeś od Norna. To mnóstwo forsy, nie ma co gadać, ale damy ci tyle samo, pod warunkiem, że...

I tym razem Haviland Tuf nie pozwolił mu dokończyć.

- Szanowny panie, jestem człowiekiem litościwego serca. Norn to ubogi Dom, a jego główny pogromca, kiedy do mnie przybył, niczym prawie nie różnił się od żebraka. Zdjęty współczuciem, wyznaczyłem śmiesznie niską cenę. Z Domem Yarcour sprawa ma się zupełnie inaczej: jego ziemie rodzą obfitsze plony, jego członkowie mają szersze horyzonty, jego liczne triumfy są znane znacznie szerszej publiczności. W związku z tym muszę wycenić swoje usługi na dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytek, aby choć częściowo powetować sobie straty, które poniosłem, pracując dla Domu Norn.

Morho wybełkotał coś niezrozumiałego i aż podskoczył w fotelu. Łuski pancerza zadźwięczały jak maleńkie dzwoneczki.

- To za wiele! - zaprotestował. - Stanowczo za wiele! Błagam, litości! Istotnie, jesteśmy bogatsi niż Norn, ale nie aż tak bogaci, jak przypuszczasz. Umarlibyśmy z głodu, gdybyśmy zapłacili ci tyle, ile żadasz. Nasze miasta pogrążą się w bagnach, jaszczurolwy zamieszkają w naszych domach, nasze dzieci utoną w grzęzawiskach...

Dax poruszył się na kolanach Tufa i miauknął cicho.

- Ma pan słuszność - powiedział Haviland Tuf. - Skóra mi cierpie na myśl o tym, iż mógłbym stać się przyczyną tak wielkich cierpień. Myślę, że zadowolę mnie wynagrodzenie

w wysokości dwustu tysięcy kredytek.

Moho y Yarcour Otheni dalej błagał i protestował, ale Haviland Tuf siedział niewzruszony z dużymi białymi rękami spoczywającymi na fotelu i nieruchomym spojrzeniem utkwionym w przeciwległej ścianie. Wreszcie główny pogromca Domu Yarcour, czerwony na twarzy i zasapany, opadł bez sił na fotel i zgodził się zapłacić dwieście tysięcy.

Tuf dotknął przycisku w podłokietniku fotela. Na obszernym kręgu z niebieskiego metalu, zajmującym centralne miejsce w pomieszczeniu, zmaterializował się potężny umięśniony stwór. Miał dwa metry wysokości, cały był pokryty szarozielonymi łuskami, stał zaś na czterech grubych, zakończonych pazurami nogach grubości sporych drzew. Jego głowę chroniła wysunięta naprzód kostna tarcza przypominająca trochę ostrogę dziobową starożytnego okrętu, z której wyrastały dwa zakrzywione rogi. Stworzenie miało krótki gruby kark i maleńkie brudnożółte oczka spoglądające tępo spod kostnej narośli. Pomiędzy nimi, pośrodku niskiego czoła, ział okrągły czarny otwór.

Morho głośno przełknął ślinę.

- No tak - powiedział. - Aha. Bardzo... eee... duży. Ale chyba... Czy tam, pośrodku, był kiedyś trzeci róg? Chyba tak. Wygląda na to, że został... eee... usunięty. Może o tym nie wiesz, ale zwierzęta, które wystawiamy do walki, muszą być... eee... nietknięte.

- To tris neryei z Lądowiska Cable'a - poinformował go Tuf. - Tak nazwali go koloniści z Fyndii, którzy zjawili się tam kilka tysięcy lat przed ludźmi. W wolnym tłumaczeniu nazwa ta oznacza „latający nóż”. Zapewniam pana, że temu egzemplarzowi niczego nie brakuje.

Długi biały palec nacisnął jeszcze jeden guzik. Tris neryei odwrócił masywną głowę w stronę pogromcy, który pochylił się do przodu w fotelu, z zainteresowaniem przyglądając się stworzeniu. Chwilę potem gruby kark czworonoga stał się jeszcze grubszy, przez masywne ciało przebiegło gwałtowne drżenie i z otworu pośrodku czoła wystrzelił cienki, doskonale prosty szpikulec długości co najmniej jednego metra. Morho y Yarcour Otheni kwiknął przeraźliwie, kiedy szpikulec przebił jego wydatny brzuch i przyszpilił go do oparcia. W pomieszczeniu rozeszła się mało elegancka, za to łatwa do zidentyfikowania woń.

Na twarzy Tufa nie drgnął ani jeden mięsień, Morho natomiast zbladł, wybełkotał coś niezrozumiałego, po czym chwycił się za żołądek, jakby Poczłł mdłości. Minęło trochę czasu, zanim uświadomił sobie, że nie widzi krwi, nie czuje bólu i że ma do czynienia jedynie z hologramem. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamknął je, przełknął ślinę, a następnie spróbował raz jeszcze.

- Bardzo... poruszające - wychrypiął.

Z końca kościanej strzały wyrastały delikatnie pulsujące, ciemnoniebieskie ścięgna i prawie czarne, przypominające postronki mięśnie. Szpikulec powoli skrył się w głowie stwora.

- Ten bagnet, jeśli można go tak nazwać, spoczywa w chrestnej pochwie umieszczonej wzdłuż szyjnego odcinka kręgosłupa - wyjaśnił Haviland Tuf. - Skurcz wyjątkowo silnych mięśni karku może nadać mu prędkość wylotową rzędu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, co, zważywszy na niewielki przekrój poprzeczny zaostzonego końca, zapewnia ogromną siłę przebicia. Na swojej ojczystej planecie tris neryei najchętniej przebywa na terenach bardzo podobnych do tych, jakich macie pod dostatkiem w swoich włościach.

Twarz pogromcy odzyskała poprzednią barwę. Morho wyprostował się w fotelu, a Dax mruknął głośno.

- Jest wspaniały - oświadczył z przekonaniem korpulentny mężczyzna. - Tylko ta nazwa... Brzmi trochę zbyt obco. Nazwiemy go... Niech się zastanowię... Już wiem! Włócznikiem. Tak, włócznik!

- Może go pan nazwać, jak pan chce - odparł Tuf. - Niewiele mnie to obchodzi. Jestem przekonany, że dzięki niemu Dom Yarcour odzyska dawny splendor, tym bardziej że dodatkowo, zupełnie za darmo, dostaniecie ode mnie sporą gromadkę nadrzewnych ślimaków z Cathadayna. Wkrótce przekonacie się, że...

Tuf uważnie śledził wieści napływające z Brązowej Areny, ale sam nie zamierzał już nigdy postawić stopy na powierzchni Lyroniki. Kobaltowe pantery w dalszym ciągu nie znajdowały godnych przeciwników; w spektakularnej, transmitowanej na kilka planet walce, jedna z bestii Noma pokonała wystawione jednocześnie przeciwko niej małpę-dusiciela z Arneth i żabę-żarłacza z Wyspy Amar.

Wkrótce zaczęły również szybko rosnąć notowania Domu Yarcour. Włóczniki stały się sprawcami kilku sensacyjnych rozstrzygnięć, a ich spektakularne okrzyki bojowe, niezwykle wygląd i nowatorski sposób prowadzenia walki wywołały nie lada zamieszanie. W ciągu kilku dni rozprawiły się z potężnym feridianem, skorpionem wodnym i pajęczarzem z Domu Gnethin. Morho y Yarcour Otheni nie posiadał się ze szczęścia. Na następny tydzień wyznaczono pojedynek włócznika z kobaltową panterą; po raz pierwszy od bardzo długiego czasu w Brązowej Arenie mogło zabraknąć miejsc dla widzów.

Wkrótce po pierwszym występie włócznika Herold Norn nawiązał łączność z „Arką”.

- Sprzedałeś potwora Domowi Yarcour! - powiedział oskarżycielskim tonem. - Chyba

zdajesz sobie sprawę, że to nam się zupełnie nie podoba?

- Nie wiedziałem, że powinno mnie obchodzić, co wam się podoba, a co nie - odparł Tuf. - Do tej pory wydawało mi się, że działam na własny rachunek i sam przed sobą odpowiadam za swoje czyny.

- Dobrze, dobrze! Tylko pamiętaj, że nie damy ci się wykiwać! Haviland Tuf spoglądał na pogromcę bez drgnienia powieki i głaskał leżącego mu na kolanach Daxa.

- Szanowny panie - oświadczył beznamiętnym tonem - przykładam wielką wagę do tego, aby zawsze, bez względu na okoliczności, postępować uczciwie wobec moich klientów. Gdyby zażyczył pan sobie wyłączności na kontakty z moją skromną osobą, naturalnie rozważyłbym taką propozycję, ale, o ile mnie pamięć nie myli, nigdy nie wysunął pan podobnej sugestii. Rzecz jasna, taki kontrakt byłby dla Domu Nom znacznie bardziej kosztowny, musiałbym bowiem zrekompensować sobie utratę prawie pewnych dochodów. Obawiam się jednak, iż w obecnej sytuacji nasza dyskusja jest pozbawiona głębszego sensu, ponieważ nawet gdybym mógł, z pewnością nie zerwałbym umowy z Domem Yarcour, tym bardziej że dostarczyłem towar i odebrałem zapłatę.

- To mi się zupełnie nie podoba, Tuf - powtórzył Norn ponurym tonem.

- Zaiste, nie pojmuję, dlaczego zgłasza pan pretensje. Pańskie bestie spisują się jak należy, czyżby więc działał pan powodowany mało elegancką zazdrością, która nie pozwala panu pogodzić się z faktem, iż komuś innemu również sprzyja fortuna?

- Tak. To znaczy nie. Zresztą, nieważne. Chyba rzeczywiście nie mogę ci tego zabronić, ale pamiętaj o jednym: jeśli sprzedasz komuś zwierzaka, który zdoła rozprawić się z naszymi panterami, będziesz musiał dostarczyć nam nowego potwora, który z kolei poradzi sobie z tamtym. Rozumiesz?

- Zasada jest prosta, a w dodatku stara jak świat, jeśli wolno mi uciec się do tego wyświechtanego porównania. - Tuf przeniósł wzrok na Daxa. - Dzięki mojej skromnej osobie Dom Norn odnosi najwspanialsze triumfy w swojej historii, a mimo to jego główny pogromca kwestionuje nie tylko moją uczciwość, ale również inteligencję. Zaiste, nasze wysiłki są stanowczo nie doceniane.

Herold Nom zbył go machnięciem ręki.

- Dobra, dobra. Na szczęście, zanim będziemy potrzebować nowych potworów, wzbogacimy się na tyle, że bez trudu sprostamy twoim wygórowanym żądaniom.

- Mogę więc rozumieć, że wszystko układa się po waszej myśli?

- No... Tak i nie. W Arenie jak najbardziej, ale poza nią... Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Te cztery młode koty nie wiadomo dlaczego zupełnie nie są

zainteresowane rozmnażaniem. Na domiar złego, wciąż chudną. Ich opiekun obawia się, że nie są zdrowe. Nie wiem, jak sprawa wygląda naprawdę, bo siedzę tutaj, w Mieście, a one są na stepie w pobliżu Domu, ale chyba coś rzeczywiście jest nie w porządku. Oczywiście kociaki ganiają sobie na wolności, ale wszczepiliśmy im mikronadajniki i wygląda na to, że...

Tuf splótł dłonie i położył je na wydatnym brzuchu.

- Zapewne nie nadszedł jeszcze ich okres godowy. Na pańskim miejscu uzbroiłbym się w cierpliwość. Wszystkie żyjące stworzenia dążą do przedłużenia gatunku, niektóre nawet z nadmierną gorliwością, może więc pan być pewien, że jak tylko nadejdzie właściwa pora, sprawy potoczą się szybciej, niżby się pan spodziewał.

- Aha. Tak, to nawet ma sens. W takim razie będziemy czekać. Jest jeszcze jeden problem, Tuf; chodzi o te twoje skoczki. Wypuściliśmy je na wolność, a one, w przeciwieństwie do panter, od razu przystąpiły do rozmnażania. Na naszych wspaniałych rozległych równinach nie ocalało ani źdźbło trawy, a gdziekolwiek człowiek stąpnie, spod nóg ucieka mu skoczek. Co mamy z nimi począć?

- Ten problem również zostanie rozwiązany, jak tylko zwiększy się populacja kobaltowych panter. Jak może pan zauważył, są one nadzwyczaj groźnymi i sprawnymi drapieżnikami. W krótkim czasie bez trudu uporają się z gnębiącą was plagą skoczków.

Herold Norn jednak nie wyglądał na zupełnie przekonanego.

- No dobrze, ale...

Tuf podniósł się z fotela.

- Przykro mi, lecz muszę zakończyć naszą rozmowę - oświadczył. - Do „Arki” zbliża się kolejny prom orbitalny. Chyba nie będzie pan miał kłopotu z jego rozpoznaniem: jest srebrzystobłękitny, z trójkątnymi szarymi skrzydłami.

- Dom Wrai! - wykrzyknął Norn.

- Zaiste - odparł Tuf. - Życzę panu miłego dnia.

Główny pogromca Denis Lon Wrai zapłacił dwieście trzydzieści tysięcy kredytek za niedźwiedziowatego potwora o rudym futrze, pochodzącego z górzystych terenów Yagabonda. Haviland Tuf dołożył, w charakterze podarunku, kilkanaście jaj bieguna leniwcowatego.

Tydzień później na „Arce” zjawiała się czteroosobowa delegacja w pomarańczowych jedwabkach i płomienście czerwonych pelerynach. Wróciła do Domu Feridian uboższa o dwieście pięćdziesiąt tysięcy kredytek, za to z kontraktem na dostawę sześciu wielkich łosi-trucicieli, do których Tuf dorzucił, bez żadnej dodatkowej opłaty, stadko hrangańskich świń

stepowych.

Główny pogromca Domu Sin Doon zamówił ogromnego węża, wysłannik Wyspy Amar zachwyił się godzillą, dwunastu przedstawicieli starszyny Domu Dant bez wahania zdecydowało się na zakup przerażającego duszodława. Na „Arce” zjawiali się emisariusze kolejnych Domów, zasiadali w białym pomieszczeniu obok metalowego kręgu, oglądali krótki pokaz, po czym wracali na Lyronikę ze straszliwymi potworami, nabywanymi za coraz wyższą cenę.

Obie kobaltowe pantery Norna już nie żyły; pierwsza zginęła przeszyta szpikulcem włócznika, drugą zmiądzzył w straszliwym uścisku niedźwiedzic waty potwór Domu Wrai. (Wkrótce potem on także wyzionął ducha na Brązowej Arenie.) Ogromne koty z pewnością przewidziały swój los, ale zamknięte w ciasnym ringu nie zdołały go uniknąć. Norn codziennie usiłował nawiązać łączność z „Arką”, lecz Tuf wydał komputerowi polecenie, by ten ignorował sygnały.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Haviland Tuf powitał na lądowisku przedstawiciela ostatniego, dwunastego Domu; Danel Leigh Arneth był głównym pogromcą Domu Arneth ze Złoconego Lasu, niegdyś najpotężniejszego i najbogatszego na Lyronice, teraz zepchniętego na sam dół planetarnej hierarchii. Arneth dorównywał wzrostem Tufowi, ale w przeciwieństwie do niego, nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu. Jego skóra, pod którą przeżyły się stalowe mięśnie, przypominała twarde heban, twarz - siekierę o zakrzywionym ostrzu, stalowoszare włosy były krótko obcięte. Dostojny gość stawił się na spotkanie w złocistym stroju ze szkarłatnym pasem, wysokich butach i niewielkim berecie wsadzonym na bakier na głowę. Paralizujący pręt, podstawowe narzędzie pracy każdego pogromcy, służył mu za laseczkę.

Jak tylko Danel Leigh Arneth wyszedł ze swego promu, Dax nastroszył sierść i zaczął gniewnie fukać. Uspokoił się dopiero pod koniec podróży trójkołowym pojazdem, kiedy Tuf opowiedział gościowi o uśpionych potworach i tajnym haśle, które utrzymuje je w stanie ponadczasowej śpiączki.

- Siła Domu Arneth ze Złoconego Lasu zawsze brała się z różnorodności - oznajmił Danel, zasiadłszy w fotelu. - Podczas gdy pozostałe Domy wiązały swoje nadzieje zazwyczaj tylko z jednym gatunkiem, nasi dziadowie i ojcowie pracowali z wieloma zwierzętami, dzięki czemu dysponowaliśmy całym arsenałem groźnych bestii, stosujących urozmaiconą taktykę i walczących na różne sposoby. Byliśmy z tego dumni. Niestety, nie udało nam się opracować taktyki, która pozwoliłaby rozprawić się z twoimi potworami. Bez względu na to, którego z naszych pupili wysyłaliśmy na ring, rezultat był zawsze taki sam: klęska. Zmusiłeś nas,

handlarzu, żebyśmy się do ciebie zgłosili.

- Pozwoli pan, że wyrażę szczere zdziwienie - odparł Tuf. - Jak to możliwe, żeby skromny handlarz zmusił do czegokolwiek najdostojniejszego pogromcę na Lyronice? Jeśli nie ma pan ochoty korzystać z moich usług, proszę powiedzieć mi to wprost, a ja dam słowo, że nie poczuję się dotknięty. Spożyjemy wspólnie posiłek, pogawędzimy o tym i owym, a następnie rozstaniemy się w zgodzie.

- Nie sil się na żarty, handlarzu! - prychnął Arneth. - Jestem tu wyłącznie po to, żeby ubić interes. Twoje obłeśne towarzystwo zupełnie mnie nie pociąga.

Haviland Tuf zamrugał dwa razy.

- Zaiste - powiedział głosem pozbawionym emocji - nie pozostawiono mi żadnych złudzeń. Mimo to nie widzę powodu, żeby rezygnować z jakiegokolwiek klienta, bez względu na jego opinię na mój temat. Zapraszam do obejrzenia mej skromnej kolekcji, licząc na to, że przynajmniej niektóre spośród eksponatów wzbudzą pańskie zainteresowanie. Kto wie, może litościwy los sprawi, że odzyskacie utraconą, a z pewnością przynależną wam pozycję.

Dotknął przycisku na podłokietniku fotela i przez metalowy krąg pośrodku pokoju ruszyła holograficzna parada. Pojawiały się i znikwały stworzenia rozmaitych kształtów i wielkości, futrzaste, pierzaste i pokryte pancerzem, z rogami i bez, mieszkańcy oceanów, trzęsawisk, piaszczystych równin i skalistych gór, drapieżniki i roślinożercy, bestie zwinne i przebiegłe albo dostojne i potężne, wszystkie jednakowo przerażające.

Danel Leigh Arneth przyglądał się z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, po czym zamówił po cztery egzemplarze największych i najgroźniejszych potworów. Należność wyniosła równo milion kredytek.

Jednak nawet zawarcie umowy - której, ma się rozumieć, towarzyszyła obietnica dostarczenia jakiegoś małego nieszkodliwego zwierzątka - nie poprawiło humoru Danelowi.

- Jesteś sprytny i przebiegły, ale mylisz się, jeśli sądzisz, że uda ci się mnie nabrać.

Haviland Tuf nic nie odpowiedział.

- Zbiłeś na Lyronice fortunę, a przy okazji wpuściłeś w maliny wszystkich, którzy robili z tobą interesy. Weźmy na przykład Norn: ich koty są teraz zupełnie bezwartościowe, a oni znaleźli się na krawędzi bankructwa, jak zresztą każdy z nas. Mieli nadzieję odbić się od dna dzięki zwycięstwom na Arenie, i co? I nic! Nie będzie żadnych zwycięstw! Każdy, kto się do ciebie zgłaszał, zyskiwał przewagę nad pozostałymi, ale tylko do chwili, kiedy zawierałeś kolejną umowę. My zgłosiliśmy się ostatni, więc nikt nie zdoła pokonać naszych potworów. Ring spłynie krwią innych, słabszych bestii.

Tuf słuchał w milczeniu, z dłońmi splecionymi na brzuchu.

- W gruncie rzeczy niczego nie zmieniłeś: jak przed twoim przybyciem, tak i teraz Dom Arneth będzie najpotężniejszy, a Dom Norn najsłabszy. Wydoiłeś nas bezlitośnie, jak na chciwego kupca przystało, tak że nawet najbogatsi z nas ledwo mogą związać koniec z końcem. Nasi rywale liczą na zwycięstwa, pragną ich, nie mogą się bez nich obejść, ale nic z tego! Od tej pory będzie triumfował wyłącznie Dom Arneth. Tylko nas nie udało ci się oszukać, bo miałem dość oleju w głowie, żeby poczekać i zgłosić się do ciebie na samym końcu.

- Pańska dalekowzroczność oraz inteligencja wywołują mój najgłębszy podziw - przemówił Haviland Tuf. - Nie ulega wątpliwości, że oto spotkałem przeciwnika przerastającego mnie co najmniej o dwie głowy, w związku z czym traciłbym tylko czas, próbując pana zwieść, omamić albo wystrychnąć na dudka. Tak przenikliwy umysł bez trudu rozszyfrowałby moje nieudolne knowania. W związku z tym chyba postąpię najrozsądniej, jeśli zachowam milczenie.

- Możesz postąpić jeszcze rozsądniej, kupcze - wycodził z pogardą pogromca. - Nie tylko nic już nie powiesz, ale i nic nie zrobisz. To ostatnia transakcja, jaką zawarłeś na Lyronice.

- Może tak, a może nie. Kto wie, czy nie zajdą okoliczności, które zmuszą głównych pogromców Wielkich Domów, żeby ponownie zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc. Nie wiem, czy będę w stanie zignorować ich błagania.

- Będziesz i zrobisz to - odparł lodowatym tonem Danel Leigh Arneth. - My byliśmy twoimi ostatnimi klientami. Sklonujesz nam nasze zwierzęta, po czym natychmiast opuścisz ten system słoneczny. Wątpię, czy ten głupiec Herold Norn zdołałby zapłacić cenę, jakiej zażądałbyś za drugim razem, ale wolę tego nie sprawdzać. Czy wyrażam się wystarczająco jasno? Nie zamierzamy tańczyć bez końca, jak nam zagrasz, nie zamierzamy kupować potworów i doprowadzać naszych Domów do ruiny tylko po to, żeby niebawem się przekonać, że potrzebujemy nowej dostawy. Nie wątpię, że chętnie prowadziłbyś dalej swoją grę aż do chwili, kiedy splukalibyśmy się do ostatniej kredyty, ale Dom Arneth ci na to nie pozwoli. To pierwsze i zarazem ostatnie ostrzeżenie, kupcze. Nieposłuszeństwo przypłacisz życiem, bo nie mam w zwyczaju rzucać słów na wiatr.

- Dość wyraźnie określił pan swoje stanowisko, choć muszę przyznać, iż nie bardzo przypadł mi do gustu sposób, w jaki je pan sformułował - odparł Tuf, drapiąc Daxa za uchem.

- Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, że jeśli zastosuję się do pańskiego żądania, jedyną stroną, która odniesie z tego korzyść, będzie Dom Arneth ze Złoczonego Lasu; pozostałe Wielkie Domy, także ja, poniosą dotkliwe straty. Podejrzewani, że z mojej winy zaszło

drobne nieporozumienie, ponieważ zapewne nie dosłyszałem, w jaki sposób zamierzacie zrekompensować mi utratę korzyści finansowych, do tego bowiem z pewnością doprowadzi zerwanie kontaktów handlowych z tak znakomitymi klientami.

- Mogę ci zaproponować jeszcze jeden milion kredy tek - wycedził pogromca, miażdżąc Tufa spojrzeniem. - Najchętniej wepchnąłbym ci je do gardła i patrzył, jak się nimi dławisz, ale na dłuższą metę takie rozwiązanie będzie dla nas znacznie tańsze niż branie udziału w drugiej rundzie bezsensownej licytacji.

- Zaiste - mruknął Haviland Tuf. - Jak widzę, wybór należy do mnie. Mogę zainkasować milion kredytek i zniknąć albo pozostać na orbicie wokół Lyroniki, licząc się ze straszliwą zemstą ze strony Domu Arneth. Przyznam, że zdarzało mi się już dokonywać znacznie poważniejszych rozstrzygnięć, niemniej jednak nie należę do ludzi, którzy na siłę starają się wepchnąć tam, gdzie nikt ich nie chce. Poza tym ostatnio coraz wyraźniej wzbiera we mnie ochota, by wyruszyć w kolejną podróż. Niech więc tak będzie. Zgadzam się na pańskie żądanie.

Danel Leigh Arneth uśmiechnął się ponuro, a Dax cicho zamruczał.

Haviland Tuf zgodził się porozmawiać z Heroldem Nornem dopiero wtedy, kiedy odleciał ostatni z dwunastu lśniących złocistych promów, zabierając na Lyronikę nabytki Danela Arnetha.

Jeżeli poprzednio główny pogromca Domu Norn był przerażająco chudy, to teraz wyglądał jak chodzący szkielet.

- Nareszcie! Słuchaj, nasza sytuacja jest tragiczna!

- Zaiste - odparł Tuf beznamiętnym tonem.

- Słowo daję! Kobaltowe pantery są do niczego. Cztery zginęły w Brązowej Arenie; co prawda zdawaliśmy sobie sprawę, że druga para jest za młoda, żeby walczyć, ale po stracie pierwszej nie mieliśmy wyboru. Teraz zostały nam tylko dwie. Problem polega na tym, że prawie nic nie jedzą, najwyżej od czasu do czasu przełkną jakiegoś skoczka, a na domiar złego nie jesteśmy w stanie ich wytresować, bo z góry znają zamiary tresera. Zupełnie nie mają ochoty walczyć. To okropne! A jakby tego jeszcze było mało, nie zamierzają się rozmnażać. Musimy mieć ich znacznie więcej, bo jak tak dalej pójdzie, wkrótce zacniemy oddawać pojedynki walkowerem.

- Jeszcze nie zaczęła się ich pora godowa - wyjaśnił Haviland Tuf. - Być może pamięta pan, że już rozmawialiśmy na ten temat?

- Owszem, pamiętam. A kiedy się zacnie?

- Interesujące pytanie. Wielka szkoda, że nie zadał go pan nieco wcześniej. O ile wiem, samice kobaltowych panter poszukują partnerów zawsze na wiosnę, kiedy na Celiu kwitną śnieżne trufle. Zachodzi wówczas rodzaj biologicznego sprzężenia zwrotnego.

Herold Norn nerwowo podrapał się po czole nad metalową opaską.

- Ale na Lyronice nie rosną śnieżne trufle czy jak tam się to nazywa! - jęknął płaczliwym tonem. - Domyślam się, że zaraz złupisz z nas skórę za te cholerne kwiatki!

- To nie są kwiatki, szanowny panie. Poza tym czyni mi pan ogromną krzywdę swoimi podejrzeniami. - Majestatycznie wzruszył ramionami. - Gdyby to zależało ode mnie, chętnie podarowałbym wam śnieżne trufle z Celiu, tak się jednak niefortunnie składa, że całkiem niedawno zawarłem z Danelem Leighem Arnhemem porozumienie, zgodnie z którym zawieszam wszelkie kontakty handlowe z Wielkimi Domami Lyroniki.

Jednak Herold Norn nie dawał za wygraną.

- Dzięki twoim kotom odnieśliśmy sporo zwycięstw. W skarbcu powinno jeszcze być jakieś czterdzieści tysięcy kredytek. Są twoje. Błagam, sprzedaj nam te trufle... albo lepiej jakiegoś nowego potwora! Większego, silniejszego, bardziej krwiożerczego. Widziałem duszo-dława Domu Dant; przydałoby nam się coś takiego. Nie mamy z czym wystąpić w Brązowej Arenie!

- Doprawdy? A co z żelazozębami? Kiedyś opowiadał mi pan o nich prawdziwe cuda. Norn machnął ręką.

- Z nimi też mamy problemy. Te twoje cholerne skoczki zżerają wszystko, co znajdzie się na ich drodze, a że rozmnażają się jak szalone, zniszczyły nie tylko nasze stepy, ale i większość upraw. To prawda, kobaltowe pantery pałaszują je ze smakiem, ale panter jest stanowczo za mało, a dzikie żelazozęby w ogóle się nimi nie interesują. Chyba nie lubią smaku ich mięsa. Jak się domyślasz, wszystkie gatunki dzikich roślinożerców musiały wyruszyć na poszukiwanie pożywienia, bo tam, gdzie są skoczki, nic innego nie utrzyma się przy życiu, a za roślinożercami podążyły również żelazozęby. Przeniosły się na rozległe obszary ziemi niczyjej, które pozostają poza bezpośrednim zwierzchnictwem Domu Norn. Tamtejsi rolnicy i pasterze nienawidzą Wielkich Domów i nie chcą mieć z nami nic wspólnego. O ile ich znam, będą się starali udowodnić żelazozębom! Wyobrażasz sobie?

- Zaiste - mruknął obojętnie Tuf. - Zostały wam przecież hodowle, nieprawdaż?

- Już nie - odparł z westchnieniem Herold Norn. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał się rozplakać. - Kazałem je pozamykać. Żelazozęby przegrywały wszystkie pojedynki, szczególnie od chwili, kiedy zacząłeś zaopatrywać pozostałe Domy. Utrzymywanie hodowli przestało mieć jakikolwiek sens, także ze względów finansowych. Wydoiłeś nas do ostatniej

kropli, a przecież pozostały jeszcze opłaty startowe, no i musieliśmy dysponować pewnym kapitałem, żeby robić zakłady. Na domiar złego, od niedawna importujemy żywność, bo skoczki zostawiły nam tylko gołą ziemię. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale kilkuset tysięczne stado wygłodniałych skoczków potrafi zżreć każdą uprawę.

- Szanowny panie, proszę nie zapominać, że jestem inżynierem ekologiem. Moja wiedza na temat zwyczajów skoczków zapewne co najmniej dorównuje pańskiej. Czy mam więc rozumieć, że pozbyliście się wszystkich żelazozębów?

- Oczywiście. Puściliśmy je wolno, a one uciekły razem z całą resztą. Co teraz mamy robić? Skoczki pustoszą nasze równiny, przeklęte kobaltowe koty nie chcą się rozmnażać, pieniądze skończą się lada chwila...

Tuf splótł długie białe palce.

- Istotnie, stanęliście w obliczu splotu delikatnych i skomplikowanych problemów - przyznał. - Pozwolę sobie nieskromnie stwierdzić, że chyba tylko ja mógłbym je rozwiązać, gdyby nie pożałowania godna okoliczność, że zawarłem umowę z Danelem Leighem Arnhemem i w dobrej wierze przyjąłem od niego pieniądze.

- Więc nie ma dla nas nadziei? Tuf, błagam cię! Ja, główny pogromca Domu Norn, błagam cię na kolanach! Wkrótce zostaniemy wykluczeni z rozgrywek, bo nie stać nas na opłaty startowe, a poza tym i tak nie mamy czym walczyć. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby któryś z Wielkich Domów wpadł w takie tarapaty. Nawet Feridian podczas Dwunastoletniej Suszy jakoś dawał sobie radę. Dom Nom okryje się niesławą, posyłając na ring zwierzęta pociągowe i rzeźne, żeby potwory, które sprzedałeś innym Domom, mogły rozszarpać je na strzępy!

Na bladej twarzy Tufa nie drgnął żaden mięsień.

- Szanowny panie, bez obawy popełnienia poważniejszego błędu zaryzykuję twierdzenie, że już niedługo Dom Norn nie będzie osamotniony w swoich problemach. Mam niejasne przeczucie (nic więcej, tylko przeczucie, a jednak nie wątpię, że niebawem przerodzi się ono w całkowitą pewność, później zaś w łatwo sprawdzalne fakty), iż już wkrótce potwory, których tak bardzo pan się obawia, okażą się znacznie mniej groźne, niż liczą na to ich właściciele. Na przykład dorastające nędźwie-dziowate istoty z Yagabonda lada tydzień rozpoczną długą hibernację. Sam pan rozumie, mają dopiero niespełna rok. Poddani i władcy Domu Wrai jeszcze nie zdają sobie sprawy, jakie konsekwencje wynikają z tego pozornie pozbawionego znaczenia faktu. Yagabond, o czym z pewnością pan wie, krąży wokół swego słońca po niezmiernie wydłużonej orbicie eliptycznej, w związku z czym każda zima trwa tam ponad dwadzieścia lat. Organizmy większości tamtejszych zwierząt działają zgodnie z

tym właśnie rytmem. Niebawem funkcje życiowe niedźwiedzi ulegną tak znacznemu spowolnieniu, że istoty te na pierwszy rzut oka będą wydawać się martwe. Obawiam się, iż nawet znakomici pogromcy Domu Wrai nie zdołają ich obudzić, tym bardziej że nie będą w stanie poświęcić temu zadaniu wystarczającej uwagi, ponieważ wspólnie z pozostałymi mieszkańcami tamtych terenów, oddadzą się bez reszty tyleż żażartej, co z góry skazanej na niepowodzenie walce z hordami biegunów leniwcowatych.

Wkrótce potem podobnym problemom będą musieli stawić czoło poddani Domu Yarcour, których nawiedzi plaga nadrzewnych ślimaków z Cathadayna. Musi pan wiedzieć, że nadrzewne ślimaki z Cathadayna to fascynujące i zdumiewające stworzenia; w pewnym okresie rozwoju osobniczego zamieniają się w nadzwyczaj chłonne gąbki i zbijają w gromady. Zespół złożony z kilkunastu tysięcy osobników potrafi w ciągu kilku dni osuszyć nawet rozległe moczary. - Tuf zabębnił palcami w wydatny brzuch. - Proszę mi wybaczyć; kiedy się rozgadam, potrafię każdego zanudzić na śmierć. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno? Czy wie już pan, czego powinien spodziewać się w najbliższej przyszłości?

Herold Nom zbladł jak nieboszczyk.

- Ty... Ty... jesteś szalony - wykrztusił. - Zniszczyłeś nas. Naszą ekonomię, naszą ekologię... Wszystko. Najdalej za pięć lat umrzemy z głodu.

- To mało prawdopodobne - odparł Tuf z niewzruszonym spokojem. - Moje dotychczasowe doświadczenia pozwalają mi zaryzykować twierdzenie, że Lyronikę istotnie czeka trudny okres ekologicznej destabilizacji, ale na szczęście kłopoty szybko miną i powstanie zupełnie nowy, znacznie zdrowszy i mniej chwiejny ekosystem. Przypuszczalnie nie będzie w nim miejsca dla dużych drapieżników, nie wydaje mi się jednak, aby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie będzie drapieżników? A co z igrzyskami, z Areną?... Przecież nikt nie zapłaci złamanej kredytyki, żeby oglądać walkę skoczka ze ślimakiem! Co się z nami stanie? Kto będzie walczył w Brązowej Arenie?

Haviland Tuf zamrugał dwa razy.

- Zaiste - mruknął. - Interesujący problem. Myślę, że powinienem się nad nim zastanowić.

Przerwał połączenie, po czym pograżył się w rozmowie z Daxem.

DZIESIĄTA PLAGA

Haviland Tuf nie przejmował się plotkami, choćby dlatego, że niezmiernie rzadko do niego docierały. Co prawda nie wzbierał się przed odwiedzaniem w celach turystycznych większości planet, które znalazły się na szlaku jego podróży, ale nawet kiedy mieszał się z tłumem, pozostawał wyniosły i niedostępny. Kredowobiała cera oraz całkowity brak owłosienia sprawiały, że prawie wszędzie rzucał się w oczy, tam zaś, gdzie obie te cechy nie były niczym nadzwyczajnym, wyróżniały go ponadprzeciętne rozmiary. Tak więc, choć zazwyczaj mnóstwo ludzi patrzyło na niego i mówiło o nim, tylko nieliczni mieli okazję nawiązać z nim rozmowę; zdarzało się to wyłącznie wtedy, kiedy w grę wchodziły interesy.

W związku z tym nie powinno nikogo dziwić, że Haviland Tuf po raz pierwszy usłyszał o człowieku zwanym Mojżeszem dopiero owego wieczoru, kiedy on i Dax zostali zaatakowani przez Jaime Kreena w restauracji na planecie K'theddion.

Ciasny, obskurny lokal znajdował się w pobliżu portu kosmicznego. Tuf uporał się już z talerzem dymnych korzeni i neotrawy, i odpoczywał przy trzecim litrze grzybowego wina, kiedy drzemiący na stole Dax raptownie podniósł głowę. Tuf nawet się nie obejrzał, tylko wykonał błyskawiczny unik; co prawda wylał sobie nieco wina na rękaw, ale za to butelka, którą ścisnął w rękę Kreen, zamiast na jego czaszce roztrzaskała się na oparciu krzesła. Rozległ się huk, szkło prysnęło na wszystkie strony, a wraz z nim zawartość naczynia - produkt miejscowego przemysłu gorzelniczego o charakterystycznym silnym zapachu. Alkohol zalał stół, krzesło, obu mężczyzn oraz kota. Jaime Kreen, szczupły jasnowłosy młodzieniec o zamglonych błękitnych oczach, stał w lekkim rozkroku z głupią miną, trzymając w zakrwawionych palcach szyjkę rozbitej butelki.

Haviland Tuf dostojnie podniósł się z miejsca, spojrzął na napastnika, mrugnął, a następnie zdjął ze stołu zupełnie przemoczonego, nieszczęśliwego Daxa.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał kota niskim, dźwięcznym głosem. - Mamy do czynienia z bardzo tajemniczą, a do tego nieprzyjemną dla nas sprawą. Ciekawe, dlaczego ten nieznajomy nas zaatakował. Masz może jakieś pomysły? - Przez chwilę gładził mokrą sierść kota, a kiedy Dax zaczął cichutko mruczeć, przeniósł spojrzenie z powrotem na Kreena. - Szanowny panie - powiedział głosem pozbawionym emocji. - Proponowałbym, żeby rozstał się pan ze szczątkami tej butelki. Wątpię, by mieszanina ostrych szklanych fragmentów oraz alkoholu zaprawionego barwnikami i substancjami aromatyzującymi niewiadomego pochodzenia, którą wgniata pan sobie w ranę na dłoni, miała korzystny wpływ na stan pańskiego zdrowia.

Kreen dopiero teraz otrząsnął się z osłupienia. Wyszczrzył zęby w gniewnym grymasie i odrzucił szyjkę.

- Kpisz sobie ze mnie, bandyto? - wycedził złowróżbnym tonem. W lokalu zapadła całkowita cisza. Właściciel ulotnił się bez śladu, goście siedzieli nieruchomo przy stolikach. Kiedy Tuf odpowiedział, jego niski głos był doskonale słyszalny w całym pomieszczeniu.

- Szanowny panie, mógłbym zwrócić panu uwagę, iż określenie „bandyta” bardziej pasuje do pana niż do mnie, ale ta kwestia jest całkowicie pozbawiona znaczenia. Nie, nie kpię sobie z pana. Sprawia pan wrażenie mocno wzburzonego, więc jakiegokolwiek kpiny z mojej strony musiałyby zostać uznane za przejaw lekkomyślności, mnie zaś niezmiernie rzadko zdarza się bywać lekkomyślnym.

Postawił Daxa na stole i dla odmiany zaczął go drapać za uchem.

- Oczywiście, że sobie kpisz! - wrzasnął Jaime Kreen. - Zaraz dam ci nauczkę!

Twarz Tufa w dalszym ciągu przypominała maskę.

- Nie uczyni pan tego - oświadczył z niewzruszonym spokojem. - Domyślam się, że zamierza mnie pan ponownie zaatakować. Co prawda brzydzę się przemocą, jednak obawiam się, iż w tych okolicznościach nie mam wielkiego wyboru.

Z zaskakującą zwinnością zrobił dwa duże kroki w przód, złapał Kreena, podniósł go i zanim chłopak zdążył zareagować, złamał mu obie ręce.

Blady jak papier Kreen wyszedł z przypominającego grobowiec budynku więzienia. Na zewnątrz było tak jasno, że musiał zatrzymać się i na chwilę przymknąć oczy. Wyglądał na trochę zdezorientowanego, a obie ręce miał na temblakach.

Haviland Tuf, z Daxem w ramionach, czekał na niego przy krawężniku.

- Zdaje się, że zdążył się pan uspokoić - zauważył. - Co więcej, jest pan zupełnie trzeźwy.

Kreenowi opadła szczeka, a na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia.

- Czy... czy to ty zapłaciłeś za mnie kaucję? - wykrztusił z trudem. - A więc to dzięki tobie wyszedłem na wolność!

- Poruszył pan interesujący problem - odparł Tuf. - Istotnie, wpłaciłem pewną sumę, a konkretnie dwieście kredytek, dzięki czemu wypuszczono pana z więzienia, lecz nie oznacza to wcale, że odzyskał pan wolność. Wręcz przeciwnie. Zgodnie z prawem obowiązującym na K'theddion, należy pan teraz do mnie. Mogę rozporządzać panem wedle mojej woli i korzystać z owoców pańskiej pracy dopóty, dopóki nie spłaci pan długu.

- Jakiego długu?

- Oto precyzyjne wyliczenie należności: dwieście kredytek kaucji, dzięki której mogę rozkoszować się pańskim towarzystwem; sto kredytek za mój zniszczony strój z prawdziwej lambereńskiej wełny; czterdzieści kredytek za pokrycie szkód w lokalu; siedem kredytek za smakowite wino grzybowe, którego, z pańskiej winy, nie zdołałem dopić. Wino grzybowe stanowi jedną ze największych atrakcji K'theddion, a ten rocznik był wyjątkowo udany. W sumie daje to trzysta czterdzieści siedem kredytek. Oprócz tego pański niespodziewany i niczym nie usprawiedliwiony atak uczynił z Daxa i ze mnie uczestników odrażającego spektaklu oraz obiekty niezdrowej ciekawości gawiedzi. Będąc człowiekiem gołębiego serca, oszacowałem straty moralne, jakie ponieśliśmy z tego powodu, zaledwie na pięćdziesiąt trzy kredytki, co łącznie daje czterysta kredytek.

Jaime Kreen roześmiał się ponuro.

- Będziesz miał spore problemy, żeby wycisnąć ze mnie choćby dziesięć procent tej sumy. Jestem bez forsy i chyba nie będzie ze mnie dużego pożytku przy pracy. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale mam połamane ręce.

- Szanowny panie - odparł Haviland Tuf - gdyby dysponował pan środkami finansowymi, z pewnością sam uiściłby pan kaucję, czyniąc niepotrzebnym mój udział w procedurze sądowej. Wiem również, co się stało z pańskimi rękami, ponieważ sam je połamałem, aby uchronić się przed kolejnymi aktami agresji. Uprzejmie proszę, żeby na przyszłość zechciał pan powstrzymać się przed wygłaszaniem stwierdzeń i uwag o zerowej wartości informacyjnej. Mimo wszystko zamierzam zabrać pana ze sobą na statek i dopilnować, by rachunki zostały wyrównane. Proszę za mną.

Haviland Tuf odwrócił się i ruszył w kierunku portu. Kreen stał jak posąg. Tuf zatrzymał się po kilku krokach.

- Jeśli tak ci na tym zależy, możesz mnie zanieść - oświadczył chłopak, uśmiechając się szyderczo.

Tuf pogłaskał Daxa.

- Nie mam najmniejszego zamiaru pana dźwigać - powiedział spokojnie. - Już raz zmusił mnie pan, bym go dotknął; doznanie to było na tyle nieprzyjemne, że wolałbym go nie powtarzać. Jeśli jednak nadal będzie się pan wzbraniał przed pójściem ze mną, zwrócę się do władz z prośbą o przydzielenie mi dwóch strażników, którzy siłą doprowadzą pana w miejsce, które im wskażę. Ich wynagrodzenie zostanie dopisane do pańskiego długu. Wybór należy do pana.

Odwrócił się ponownie i niespiesznie podążył w kierunku portu kosmicznego. Chwilę potem Jaime Kreen poszedł za nim, mamrocząc coś pod nosem.

Statek, który czekał na nich w porcie, wywarł na Kreenie spore wrażenie. Była to wiekowa, groźnie wyglądająca jednostka z ciemnego metalu, o osmalonym i powgniatanym pancerzu, ze smukłymi skrzydłami, o połowę większa od otaczających ją pękatych transportowców. Podobnie jak wszystkim gościom Tufa - bardzo nielicznym, nawiasem mówiąc - chłopakowi trochę zakręciło się w głowie, kiedy się dowiedział, że „Gryf” jest tylko promem, który ma ich zawieźć na orbitujący statek.

Lądowisko „Arki”, chociaż dwukrotnie większe od całego portu kosmicznego K'theddion, dosłownie pękało w szwach; stały na nim jeszcze cztery promy takie same jak „Gryf”, stary transportowiec z Avalonu o opływowych kształtach i trzech hydraulicznych wspornikach, smukły niszczyciel, złocisty galar o kadłubie pokrytym absurdalnymi barokowymi ozdobami, z prymitywnym działkiem wielorybniczym na dziobie, dwa sprawiające wrażenie niezbyt solidnych pojazdy niezwyklej konstrukcji oraz przedziwny wehikuł w kształcie płaskiego sześcianu z cienkim palem pośrodku.

- Kolekcjonujesz statki kosmiczne? - zapytał Jaime Kreen, kiedy zeszli na płytę lądowiska.

- Interesująca koncepcja - przyznał Tuf. - Szkoda, że wcześniej nie wpadłem na ten pomysł. Pięć promów orbitalnych stanowi wyposażenie „Arki”, jeśli zaś chodzi o transportowiec, to zatrzymałem go przez sentyment, ponieważ służył mi wiernie przez wiele lat. Pozostałe jednostki po prostu nagromadziły się z biegiem czasu. Właściwie powinienem zrobić tu porządek, ale, z drugiej strony, istnieje możliwość, że przynajmniej niektóre z nich mają jeszcze jakąś wartość handlową. Dlatego właśnie zostawiłem je w spokoju, choć teraz, kiedy zwrócił mi pan na to uwagę, chyba jednak zajmę się tą sprawą. Tymczasem proszę za mną.

Opuścili lądowisko i po kilku minutach dotarli do rozszerzenia korytarza, gdzie stały niewielkie trójkołowe pojazdy. Haviland Tuf wskazał Kreenowi miejsce w pierwszym z brzegu, pośrodku posadził Daxa, a następnie usiadł za kierownicą i uruchomił elektryczny silnik.

Jechali ciągnącym się kilometrami ni to korytarzem, ni ogromną halą o wysokim sklepieniu. Po obu stronach, a także w górze, pod sufitem, ciągnęły się szeregi przezroczystych zbiorników rozmaitej wielkości. Większość była pusta, w niektórych bulgotały różnobarwne, najczęściej mętne ciecze, w paru zaś wisiały nieruchomo albo poruszały się niezdarne ciemne, trudne do zidentyfikowania kształty. Kreen mógłby przysiąc, że czuje na sobie czyjeś taksujące spojrzenia. Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo

i rozglądał się niepewnie dokoła, Haviland Tuf natomiast siedział za kierownicą jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w odległym punkcie, gdzie zbiegały się linie korytarza.

Zatrzymał pojazd w miejscu bardzo podobnym do tego, w którym rozpoczęli podróż, zgarnął Daxa pod pachę, po czym zaprowadził więźnia do obszernego, ale zagraconego pomieszczenia, w którym centralne miejsce zajmowały rozłożyste fotele. Wskazał jeden z nich Kreenowi, posadził Daxa w sąsiednim, sam zaś zajął miejsce w trzecim.

- Teraz możemy porozmawiać - obwieścił.

Gigantyczne rozmiary statku Tufa wprawiły chłopaka w osłupienie, ale na szczęście dla niego, jazda trójkołowcem trwała na tyle długo, że zdążył trochę ochłonąć.

- Nie mamy o czym - odparł odrobinę drżącym głosem.

- Doprawdy? Pozwolę sobie nie podzielić pańskiej opinii. Nie wykupiłem pana z więzienia tylko dlatego, że jestem litościwym i współczującym człowiekiem. Przyznam, że stanowi pan dla mnie zagadkę, a taką już mam naturę, że uwielbiam rozwiązywać zagadki. Oczekuję od pana wyjaśnień.

Jaime Kreen spojrzał na niego chytrze.

- A niby dlaczego miałbym ci pomagać? Przez twoje fałszywe oskarżenia trafiłem do ciupy, żebyś potem mógł kupić mnie jak niewolnika, a w dodatku połamałeś mi ręce. Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań.

- Szanowny panie - odparł Haviland Tuf, kładąc na brzuchu splecione dłonie - ustaliliśmy już, że jest mi pan winien czterysta kredytek. Jestem rozsądnym człowiekiem. Będę zadawał panu pytania i za każdą odpowiedź odejmę od zadłużenia jedną kredytkę.

- Jedną kredytkę? A to dobre! Moje informacje są warte znacznie więcej. Dziesięć kredytek za sztukę, ani jednej mniej!

- Zapewniam pana, że informacje, jakie być może pan posiada, najprawdopodobniej są całkowicie bezwartościowe. Niestety, ciekawość stanowi jedną z moich największych wad; choć staram się ze wszystkich sił, nie jestem w stanie nad nią zapanować. Co prawda może pan na tym sporo skorzystać, ale nie radzę panu przesadzać z żądaniami. Dwie kredytki.

- Dziewięć.

- Trzy. To moje ostatnie słowo. Ostrzegam, że moja cierpliwość zbliża się do kresu.

- Osiem. Nie myśl, że tak łatwo dam się nabrać.

Haviland Tuf nie odpowiedział. Wpatrzony w Daxa, siedział nieruchomo z kamiennym obliczem. Wielki kocur przeciągnął się i ziewnął rozdzierająco.

- Sześć kredytek - odezwał się Kreen po pięciu minutach. - To śmiesznie niska cena. Wiem o wielu ważnych sprawach, na których zależy nawet Mojżeszowi. Sześć.

Tuf wciąż milczał. Mijały minuty.

- Pięć! - warknął Kreen. Tuf nadal nie odpowiadał.

- Niech ci będzie - westchnął wreszcie chłopak. - Trzy kredytyki. Jesteś nie tylko bandytą, ale też chciwcem i oszustem. Nie masz żadnej etyki.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Puszczę mimo uszu pańskie obelgi. Tak więc uzgodniliśmy, że każda pańska odpowiedź będzie warta trzy kredytyki. Nie wiadomo skąd, przyszła mi do głowy myśl, że mógłby pan próbować mnie oszukać, udzielając pokrętnych bądź też niejasnych odpowiedzi, co zmusiłoby mnie do zadawania dodatkowych pytań. Uprzedzam, że nie będę tolerował takiego postępowania. Za każde kłamstwo doliczę dziesięć kredytek do pańskiego długu.

Kreen roześmiał się szyderczo.

- Nie zamierzam cię oszukiwać, Tuf, ale nawet gdybym spróbował cię nabrać, skąd byś o tym wiedział? Przecież nie jestem przezroczystry.

Przez błądą, nieruchomą twarz Havilanda Tufa przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Zapewniam pana, że dowiedziałbym się w okamgnieniu. Powiedziałby mi o tym Dax, tak samo jak przed chwilą dostarczył mi precyzyjnych informacji o tym, na ile jest pan gotów ustąpić w swoich żądaniach, a nieco wcześniej uprzedził mnie o pańskim podstępny ataku na moją osobę. Jak z pewnością zdążył pan zauważyć, Dax jest kotem. Wszystkie koty dysponują słabo rozwiniętymi zdolnościami telepatycznymi, Dax natomiast stanowi produkt precyzyjnych manipulacji genetycznych, które zaowocowały znacznym rozwinięciem tych zdolności. Dlatego oszczędzi nam pan wiele cennego czasu, jeśli będzie od razu udzielał szczerych i wyczerpujących odpowiedzi. Co prawda Dax nie potrafi rozszyfrować skomplikowanych abstrakcyjnych pojęć, za to bez trudu odróżnia prawdę od nieprawdy i z łatwością wyczuwa wszelkie niedopowiedzenia. Czy możemy zacząć?

Gdyby wzrok mógł zabijać, leniwe kocisko padłoby trupem pod spojrzeniem Kreena.

- Jak chcesz - mruknął ponuro chłopak.

- Najbardziej intryguje mnie przyczyna, dla której dokonał pan na mnie napaści. Nigdy wcześniej pana nie widziałem. Jestem skromnym inżynierem ekologiem, służącym umiejętnościami każdemu, kto zechce mnie zatrudnić. W żaden sposób pana nie obraziłem, pan jednak mnie zaatakował. W związku z tym nasuwa się kilka pytań: Dlaczego? Jakimi motywami się pan kierował? Czy znał mnie pan? Czy naraziłem się panu w przeszłości, a potem zapomniałem o tym niefortunnym wydarzeniu?

- To jedno pytanie czy cztery?

Haviland Tuf zabębnił palcami po wydatnym brzuchu.

- Zaiste, słuszna uwaga. W takim razie zacznijmy od tego: Czy zna mnie pan?

- Nie - odparł Kreen - ale słyszałem o tobie. Ty i twoja „Arka” jesteście powszechnie znani. Poza tym łatwo cię rozpoznać. Nieczęsto spotyka się zupełnie łysych olbrzymów o prawie białej cerze.

- Zarobił pan trzy kredytyki - poinformował go Tuf. - Puszczę mimo uszu zarówno pańskie zniewagi, jak i pochlebstwa. Skoro mnie pan nie znał, to dlaczego mnie pan zaatakował?

- Byłem pijany.

- Odpowiedź niewystarczająca. Istotnie, nadużył pan alkoholu, ale przecież w lokalu było jeszcze kilkanaście osób, z których większość chętnie wdałaby się z panem w bójkę, gdyby dał im pan najmniejszy pretekst. Pan jednak wybrał właśnie mnie. Dlaczego?

- Bo cię nie lubię. Według mnie jesteś zwykłym bandytą.

- Cóż, standardy, według których oceniamy bliźnich, bywają rozmaite - odparł flegmatycznie Tuf. - Na niektórych planetach same moje rozmiary stanowiłyby śmiertelną obelgę dla tubylców, na innych fakt, że nosi pan buty z cielęcej skóry, stałby się przyczyną aresztowania, wyroku skazującego i wieloletniego więzienia. Tak więc, jeśli spojrzeć na sprawę z tego punktu widzenia, obaj jesteśmy przestępcami. Jednak moim skromnym zdaniem powinno się oceniać każdego człowieka w odniesieniu do praw rządzących kulturą, w której wyrósł albo do której obecnie należy. Jeśli zastosujemy to kryterium, natychmiast przestaję być przestępcą, a pańska odpowiedź pozostaje dalece niezadowolająca. Proszę ją rozwinąć. Dlaczego mnie pan nie lubi?

- Jestem Miłosierdzianinem. - Kreen zastanowił się, po czym odchrząknął i zaczął jeszcze raz: - To znaczy byłem nim. Byłem też administratorem, co prawda dopiero szóstej kategorii, ale zawsze. Mojżesz zniszczył moją karierę, a ty mu w tym pomogłeś. Sprawa jest powszechnie znana, więc oszczędź mi swoich protestów i zaprzeczeń.

Haviland Tuf spojrział na Daxa, po czym przeniósł wzrok z powrotem na młodego człowieka.

- Wygląda na to, że mówi pan prawdę, a w dodatku pańska odpowiedź zawiera sporą porcję informacji. Dlatego, choć sama w sobie jest niejasna, a dodatkowo prowokuje do zadawania kolejnych pytań, uznaję ją panu. Sześć kredytek. Następne pytanie jest bardzo proste: Kim jest Mojżesz i kim są Miłosierdzianie?

Jaime Kreen z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

- Chcesz za darmo dać mi następne sześć kredytek? Nie udawaj, Tuf, bo i tak ci nie

uwierzę. Doskonale wiesz, kim jest Mojżesz.

- Owszem, choć tylko w pewnym sensie - odparł gospodarz. - Mojżesz to mitologiczna postać występująca w wielu ortodoksyjnych chrześcijańskich religiach, która rzekomo żyła w odległej przeszłości na Starej Ziemi. Zdaje się, że ma coś wspólnego z inną legendarną postacią o imieniu Noe, na cześć której nazwano mój statek. Mojżesz i Noe byli braćmi czy coś takiego... Nie pamiętam szczegółów. W każdym razie obaj należeli do pionierów stosowania broni biologicznych, w której to dziedzinie nie bez powodu uważam się za eksperta. Tak więc, jak pan widzi, można powiedzieć, że istotnie wiem, kim jest Mojżesz. Tak się jednak niefortunnie składa, iż tamten Mojżesz nie żyje już od tak dawna, że jest wielce nieprawdopodobne, by w jakikolwiek sposób zdołał przyczynić się do załamania pańskiej kariery albo żeby obchodziły go posiadane przez pana informacje. W związku z tym domyślam się, że mówi pan o jakimś innym, nie znanym mi Mojżeszu, i dlatego zadałem panu pytanie dotyczące tej tajemniczej osoby.

Kreen wzruszył ramionami.

- W porządku. Jeśli tak ci na tym zależy, mogę przyłączyć się do gry. Miłosierdzianin to oczywiście mieszkańiec planety Miłosierdzie, a Mojżesz, jak każe się nazywać, to religijny demagog, który stanął na czele Świętej Altruistycznej Odnowy. Przy twojej pomocy przeprowadził niszczycielską kampanię przeciwko Miastu Nadziei, jedynej prawdziwej metropolii na Miłosierdziu.

- Dwanaście kredytów - oznajmił Tuf. - Proszę mówić dalej.

Chłopak westchnął ze zniecierpliwieniem i poprawił się w fotelu.

- Święci altruści kilkaset lat temu jako pierwsi osiedlili się na Miłosierdziu. Opuścili swoją ojczystą planetę, ponieważ nie mogli pogodzić się z, jak to określali, panującym tam technologicznym rozpasaniem. Święty Kościół Altruistyczny naucza, że zbawienie można osiągnąć, wiodąc proste życie blisko Natury, a także poprzez cierpienie i ofiarę. Tak więc altruści przybyli na dziewiczą planetę i przez jakieś sto lat radośnie cierpieli, umierali i żyli na łonie Natury. Potem skończyły się dobre czasy, bo na Miłosierdziu dotarła druga fala osadników. Przybysze zbudowali Miasto Nadziei, zaczęli uprawiać ziemię za pomocą zrobotyzowanych maszyn, uruchomili port kosmiczny i w ogóle grzeszyli na potęgę. Co gorsza, zaledwie po kilku latach dzieci altruistów zaczęły masowo uciekać do Miasta, żeby choć trochę użyć życia. Dwa pokolenia później w osadach altruistów została tylko garstka staruszków, i właśnie wtedy pojawił się Mojżesz, i rozpoczął tak zwaną Odnowę. Wkroczył do Miasta Nadziei, stanął przed radą administratorów i zażądał, żeby uwolniono jego ludzi. Administratorzy wyjaśnili mu, że jego ludzie nie chcą odejść, ale na nim nie wywarło to

żadnego wrażenia. Zagroził, że jeśli nie spełnimy jego żądań, nie zamkniemy portu i nie rozbierzemy Miasta do fundamentów, ześle na nas plagi.

- Bardzo interesujące - stwierdził Tuf. - Proszę kontynuować.

- Jak chcesz. To twoje pieniądze. No więc, administratorzy dali Mojżeszowi kopa w owłosiony tyłek i wszyscy nieźle się ubawili, ale na wszelki wypadek sprawdziliśmy to i owo. Oczywiście słyszeliśmy opowieści o straszliwych wojnach, toczonych w przeszłości z użyciem broni biologicznych, ale sądziliśmy, że tajniki ich produkcji już dawno temu odeszły w zapomnienie. Bądź co bądź, umiejętność klonowania żywych organizmów i przeprowadzania manipulacji genetycznych zachowała się zaledwie na garstce planet, a na najbliższą z nich, nawet z użyciem napędu gwiazdowego, leci się od nas ponad siedem lat.

- Rozumiem - mruknął Haviland Tuf. - Chyba jednak nieobca była wam wiedza o biowojennych okrętach Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego?

- Wiedzieliśmy tylko tyle, że kiedyś istniały, ale wszystkie uległy zniszczeniu albo zaginęły bez wieści. Z błędu wyprowadził nas dopiero kapitan pewnego frachtowca, który wylądował w Porcie Nadziei. Plotki rozchodzą się szybko, nawet między gwiazdami. Twoja sława wyprzedza cię, ale nie wiem, czy powinieneś być z tego dumny. Ów kapitan opowiedział nam o tobie, o tym, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie „Arki”, i że zaraz potem przystąpiłeś do nabijania kabzy forszą, a brzucha tłuszczem. Jego słowa potwierdzili członkowie załóg innych statków. Tak więc dowiedzieliśmy się, że istnieje jeden jedyny, w pełni sprawny okręt Korpusu, ale nie mieliśmy pojęcia, że wszedłeś w konszachty z Mojżeszem, przynajmniej dopóki nie spadły na nas pierwsze plagi.

Na wysokim czole Havilanda Tufa pojawiła się samotna pionowa bruzda.

- Zaczynam pojmować, skąd się bierze pański nieżyczliwy stosunek do mojej osoby - oświadczył, po czym z zadziwiającą sprawnością dźwignął się z fotela i stanął, ogromny i nieruchomy, nad Jaimem Kreenem. - Odrobił pan piętnaście kredytów.

- Co takiego? - prychnął chłopak. - Trzy kredytyki za taką kupę informacji? Jak można...

- W takim razie dwadzieścia, pod warunkiem że uciszy to pana i pozwoli mi nadal cieszyć się spokojem, do którego zdążyłem już przywyknąć. Jak pan widzi, trudno oskarżyć mnie o chciwość. Pański dług wynosi obecnie trzysta osiemdziesiąt kredytów. Zadam panu jeszcze jedno pytanie, dając tym samym okazję zmniejszenia go o kolejne trzy kredytyki.

- Pytaj.

- Jakie są współrzędne Miłosierdzia?

Biorąc pod uwagę skalę międzygwiazdowych odległości, Miłosierdzie znajdowało się

stosunkowo blisko K'theddion, ponieważ „Arka” dotarła tam w ciągu zaledwie trzech tygodni. Jaime Kreen pracowicie spędził ten czas. Podczas gdy gigantyczny statek bezgłośnie połykał lata świetlne, chłopak pracował. Przez ponad tysiąc lat w rzadziej uczęszczanych korytarzach i pomieszczeniach nagromadziło się mnóstwo kurzu. Haviland Tuf wręczył mu szczotkę i polecił wszystko dokładnie posprzątać.

Kreen oczywiście usiłował się wymigać, tłumacząc, że z połamanymi rękami nie nadaje się do żadnej pracy fizycznej, ale osiągnął tylko tyle, że Tuf uśpił go, wsadził do jednego z pojemników i uruchomił przyspieszone pole czasowe, jeden z największych sekretów Imperium Starej Ziemi. Monstrualna energia, która zazwyczaj służyła przyspieszaniu rozwoju klonowanych organizmów, teraz w ciągu kilku godzin postarzyła Jaimego Kreena o parę tygodni; kiedy wyszedł ze zbiornika, obie ręce miał w pełni sprawne, nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko wziąć się do roboty. Stawka wynosiła pięć kredytek za godzinę.

Zamiatał ciągnące się kilometrami korytarze, niezliczone pomieszczenia oraz puste klatki, gdzie zgromadził się nie tylko kurz. Zamiatał tak długo, aż nie mógł utrzymać miotły w dłoniach, a kiedy ją odstawił, Haviland Tuf wynajdywał mu inne zajęcia. Podczas posiłków Kreen pełnił funkcję kamerdynera, przynosząc na stół dzbany z piwem oraz półmiski, na których piętrzyły się stosy gotowanych, pieczonych, duszonych i smażonych warzyw. Karmił także Daxa, niekiedy nawet trzy albo cztery razy dziennie, ponieważ kocur odznaczał się nie gorszym apetytem od swego pana. Dopiero kiedy zarówno Tuf, jak i jego podopieczny byli najedzeni, chłopak mógł zatroszczyć się o stan własnego żołądka.

Pewnego razu poproszono go o dokonanie drobnej naprawy w części statku, gdzie nie docierały maszyny serwisowe „Arki”, ale tak nieprawdopodobnie sknocił robotę, że Tuf raz na zawsze zwolnił go z obowiązków tego rodzaju.

- To wyłącznie moja wina, szanowny panie - oświadczył, własnoręcznie naprawiając uszkodzenie. - Całkiem zapomniałem, że jest pan z wykształcenia urzędnikiem, a więc nie dysponuje pan żadnymi pożytecznymi umiejętnościami.

Chociaż Jaime Kreen nie miał ani chwili wolnego czasu, jego dług topniał w zastraszająco wolnym tempie, a niekiedy nawet wcale. Chłopak szybko przekonał się, że Tuf nie daje niczego za darmo. Za wyleczenie złamanych ramion policzył sto kredytek, codziennie obciążał go opłatami za powietrze (jedna kredytka), wodę (jedna dziesiąta kredytki za litr) i piwo (pół kredytki za dzban). Żywność była stosunkowo niedroga: zaledwie dwie kredytki za posiłek, pod warunkiem że Jaime zadowalał się podstawowymi daniami, te jednak nieodmiennie okazywały się obrzydliwą witaminizowaną papką, w związku z czym

często decydował się ponieść dodatkowe koszty, byle tylko dostać na talerz smacznego warzywną potrawę, w których gustował właściciel „Arki”. Chętnie zapłaciłby jeszcze więcej za choćby kawałek mięsa, ten specjal jednak był nieosiągalny. Kiedy poprosił Tufa o skłonowanie steku, usłyszał w odpowiedzi: „Tutaj nie jada się zwierząt”.

Pierwszego dnia pobytu na „Arce” zapytał gospodarza, gdzie może znaleźć toaletę. Tuf policzył sobie trzy kredytyki za odpowiedź i jedną dziesiątą kredytyki za udostępnienie przybytku.

Kreen przemyślał niekiedy o morderstwie, ale nawet w chwilach największego alkoholowego zamroczenia, kiedy nie liczył się z nikim ani z niczym, zdawał sobie sprawę, że jest bez szans. Dax ani na chwilę nie odstępował swego pana, Jaime zaś podejrzewał, że Tuf ma na pokładzie jeszcze innych sprzymierzeńców. Kilku z nich spotkał podczas wędrówek po statku: czarne skrzydlate cienie bezgłośnie szybujące pod sklepieniami największych hal, skulone ciemne sylwetki przemykające bezszelestnie przy ścianach... Nigdy nie zdołał przyjrzeć się im dokładnie, przecucie jednak mówiło mu, że gdyby podniósł rękę na Havilanda Tufa, miałby okazję ujrzeć ich w całej okazałości.

W związku z tym, żeby szybciej zmniejszyć dług, oddał się hazardowi.

Nie była to może najrozsądniejsza decyzja, ale Jaime Kreen zawsze miał słabość do hazardu. Co wieczór spędzali kilka godzin przy ulubionej grze Tufa, rzucając kostki, przesuwając wirtualne pionki po trójwymiarowej planszy wyobrażającej galaktykę, kupując i sprzedając planety, budując miasta i porty kosmiczne oraz nakładając przeróżne opłaty, podatki i akcyzy na innych kosmicznych kupców. Na nieszczęście dla chłopaka, Tuf był prawdziwym mistrzem w tej grze, w związku z czym najdalej około północy zazwyczaj udawało mu się odzyskać lwią część kwoty, którą tamten w pocie czoła zapracował w ciągu dnia.

Rozmowy między nimi ograniczały się do wymiany lakonicznych uwag podczas gry, wydawania poleceń przez Tufa oraz targów o wysokość zapłaty, w związku z czym Kreen nie miał pojęcia, co jego pracodawca, a raczej właściciel, zamierza uczynić po przybyciu na Miłosierdzie. Wolał o to nie pytać, by nie powiększyć swego długu o kolejne trzy kredytyki, Tuf natomiast nie zadawał żadnych pytań, które pozwoliłyby odgadnąć jego plany. Całymi dniami pracował w laboratoriach, czytywał zakurzone księgi spisane w nie znanych Kreenowi językach oraz prowadził długie rozmowy z Daxem.

Ten stan rzeczy uległ zmianie dopiero w dniu, kiedy „Arka” weszła na orbitę wokół Miłosierdzia, a Tuf wezwał Jaimego Kreena do centrali łączności.

Wzdłuż ścian długiego wąskiego pomieszczenia stały komputerowe konsole, nad

nimi zaś czerniły się wyłączone ekrany. Haviland Tuf siedział przed jednym z nich z Daxem na kolanach. Usłyszawszy syknięcie zamykanych drzwi, odwrócił się wraz z fotelem.

- Od jakiegoś czasu usiłuję nawiązać łączność z Miastem Nadziei - powiedział. - Proszę patrzeć.

Dotknął jednego z przycisków na konsolecie.

W chwili gdy Jaime Kreen usiadł w sąsiednim fotelu, ekran ożył i pojawiła się na nim twarz Mojżesza; był to mężczyzna w średnim wieku, dość przystojny, o przerzedzonych płowobrazowych włosach i piwnych oczach o zwodniczo łagodnym spojrzeniu.

- Odlećcie stąd czym prędzej - przemówił łagodnym choć stanowczym tonem. - Port Wiary jest nieczynny, a planeta znajduje się pod władaniem nowego rządu. Nie chcemy mieć nic do czynienia z grzesznikami i nie potrzebujemy luksusów, które nam wieziecie. Zostawcie nas w spokoju.

Uniósł rękę w geście, który mógł równie dobrze oznaczać błogosławieństwo, co ostrzeżenie, po czym ekran ściemniał.

- A więc jednak zwyciężył - westchnął ponuro Jaime Kreen.

- Na to wygląda - przyznał Haviland Tuf, drapiąc Daxa za uchem. - Pański dług wynosi obecnie dwieście osiemdziesiąt cztery kredytyki.

- Wiem o tym - odparł chłopak i spojrzał na niego podejrzliwie. - I co z tego?

- Pragnę, aby przeprowadził pan misję rozpoznawczą. Potajemnie wyląduje pan na planecie, odszuka odsuniętych od władzy administratorów i sprowadzi ich tutaj w celu odbycia konsultacji. W zamian za to odejmę od pańskiego długu pięćdziesiąt kredytek.

Jaime Kreen parsknął szyderczym śmiechem.

- Nie wygłupiaj się, Tuf! Nędzne pięćdziesiąt kredytek za tak niebezpieczną misję? Nie wiem, czy podjąłbym się jej nawet wtedy, gdybyś zaproponował mi uczciwą zapłatę, chociaż po tobie trudno tego oczekiwać. Propozycja, którą ewentualnie byłbym gotów wziąć pod uwagę, to umorzenie całego zadłużenia i dodatkowo dwieście kredytek do ręki.

Tufowi nawet nie drgnęła powieka.

- Odnoszę niejasne wrażenie, że nasz miły gość uważa nas za głupców - poskarżył się Daxowi. - Niedługo zapewne zażąda całej „Ariti”, a kto wie, czy nie zażyczy sobie, abym dorzucił mu jeszcze parę planet. Zaiste, chyba całkiem zatracił poczucie proporcji. - Dax zamruczał cicho, co mogło coś oznaczać, ale nie musiało, Tuf zaś przeniósł wzrok na Jaimego Kreena. - Tak się jednak składa, że ogarnął mnie wyjątkowo błogi nastrój, a to zazwyczaj wyzwala we mnie zdumiewającą hojność. Sto kredytek, szanowny panie. To i tak dwa razy więcej niż wynosi rzeczywista wartość pańskiego zadania.

Kreen pogardliwie wyduł wargi.

- Mam nadzieję, że Dax przekaże ci dokładnie to, co myślę o twojej propozycji. Ten plan nie ma najmniejszego sensu! Nie wiem nawet, czy poprzedni administratorzy w ogóle żyją, a jeśli tak, to gdzie mam ich szukać. Nawet gdybym ich jakimś cudem znalazł, mocno wątpię, czy zechcieliby mi zaufać; przecież zjawilibym się jako twój wysłannik, a każde dziecko na Miłosierdziu wie, że współpracujesz z Mojżeszem. Jeśli wpadłbym w łapy Mojżesza, do końca życia orałbym palcami ziemię i sadił rzepę. Poza tym, gdzie, twoim zdaniem, powinienem wylądować? Co prawda Mojżesz wita zbliżające się statki nagraniem z taśmy, ale na pewno nie zapomniał wystawić uzbrojonych strażników wokół Portu Wiary. Pomyśl tylko, na jakie narażałbym się ryzyko! Naprawdę, tylko perspektywa umorzenia całego długu mogłaby mnie skłonić do tego, żebym poważnie rozważył twoją propozycję. Całego, rozumiesz? Do ostatniej kredytyki! - Z zawziętą miną założył ręce. - Proszę, Dax, nie krępuj się. Powiedz mu, że nie żartuję.

Na bladej, pociągłej twarzy Havilanda Tufa nie drgnął żaden mięsień, ale z jego ust wyrwało się słabe westchnienie.

- Doprawdy, jest pan okrutnym człowiekiem. Zaczynam gorzko żałować, że powiedziałem panu o nadzwyczajnych zdolnościach Daxa. Bezwzględnie wytrąca mi pan oręż z ręki i pozbawia jedyne argumentu przetargowego. Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ustąpić przed uporem i natarczywością. Umowa stoi: dwieście osiemdziesiąt cztery kredytyki.

Jaime Kreen uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wreszcie zacząłeś gadać z sensem. Wezmę „Gryfa”.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - odparł spokojnie, lecz stanowczo Haviland Tuf. - Poleci pan „Rogiem Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach”, na którym dawno temu zaczynałem kupiecką karierę. To ten pękaty transportowiec, który z pewnością zauważył pan na lądowisku.

- To stare pudło? Nigdy! Będę musiał wylądować w jakiejś głuszy, więc muszę mieć statek, który nie rozpadnie się na kawałki przy pierwszym większym wstrząsie. Biorę „Gryfa” albo jakiś inny prom.

Tuf położył rękę na głowie kocura.

- Dax, zaczynam się poważnie niepokoić o nasze bezpieczeństwo. Przebywamy w ograniczonej przestrzeni z osobnikiem, który wielokrotnie dowiódł, że jest pozbawionym jakichkolwiek skrupułów cynikiem, teraz zaś zdemaskował się ostatecznie jako całkowity kretyn, któremu trzeba cierpliwie wyjaśniać nawet najprostsze, najbardziej oczywiste rzeczy.

- O co ci chodzi, do cholery?

- Szanowny panie, „Gryf” jest promem orbitalnym o konstrukcji charakterystycznej dla tego rodzaju maszyn, pozbawionym napędu gwiazdowego. Gdyby został pan pojmany podczas lądowania, nawet osoba jeszcze mniej inteligentna od pana domyśliłaby się bez trudu, że gdzieś w pobliżu znajduje się znacznie większy statek, ponieważ promy orbitalne służą utrzymywaniu łączności właśnie między dużymi statkami kosmicznymi a planetami i niezmiernie rzadko pojawiają się gdzieś za sprawą czarów, magii bądź innych nadnaturalnych czynników. Dla odmiany „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” jest typowym transportowcem wyprodukowanym na Avalonie, wyposażonym w napęd gwiazdowy, który umożliwia tej jednostce samodzielne odbywanie nawet bardzo długich podróży. Fakt, że ów napęd od dawna nie działa, nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia. Czy zrozumiał pan, co do niego mówię? Wie pan już, na czym polega różnica między tymi dwoma pojazdami?

- Jasne, ale gwizdę sobie na to, bo nie zamierzam dać się złapać. Skoro jednak się upierasz, jestem gotów pójść ci na rękę: wezmę „Róg Obfitości” ale pod warunkiem że dopłacisz mi pięćdziesiąt kredytek.

Tuf nie odpowiedział.

- Pewnie Dax szepnął ci, że zdołasz mnie przetrzymać? - zapytał z przekąsem Jaime. - Otóż mylisz się, kochasiu. Nie uda ci się mnie wykiwać. - Hardo zadarł brodę. - Jestem jak skała. Jestem jak stal. Nie ustąpię nawet o krok.

Haviland Tuf w milczeniu głaskał kota.

- Czekaj sobie, ile chcesz - ciągnął Kreen. - Proszę bardzo. Tym razem się nie ugnę. Ja też mogę zaczekać. Będziemy czekać razem. Nie ustąpię i już. Nigdy. Nigdy, rozumiesz?

Kiedy półtora tygodnia później „Róg Obfitości Znakomitych Towarów po Nadzwyczaj Niskich Cenach” wrócił z Miłosierdzia, na jego pokładzie, oprócz Jaimego Kreena, znajdowało się troje byłych administratorów Miasta Nadziei. Rej Laithor, niemłoda już kobieta o surowej twarzy i stalowoszarych włosach, która dawniej przewodniczyła Radzie, obecnie przechodziła reedukację, ucząc się obsługi kołowrotka. Towarzyszyli jej znacznie młodsza kobieta oraz wysoki mężczyzna, kiedyś chyba bardzo otyły, teraz przypominający wieszak, na który ktoś rzucił wyjątkowo obszerny strój z żółtawej skóry.

Haviland Tuf przyjął gości w sali konferencyjnej. Siedział u szczytu stołu, z dłońmi na lśniącym metalowym blacie. Dax ułożył się na stole w zasięgu rąk swego pana.

- Cieszę się, że skorzystaliście z mego zaproszenia - powiedział, kiedy administratorzy i Kreen zajęli miejsca przy stole. - Muszę jednak z przykrością stwierdzić, iż wyczuwam

emanującą z was wrogość. W związku z tym spieszę państwa zapewnić, że w żaden sposób nie przyłożyłem ręki do nieszczęść, jakie was ostatnio spotkały.

- Rozmawiałam na ten temat z Kreenem - odparła Rej Laithor lodowatym tonem. - Opowiedział mi, że udajesz niewiniątko, ale ja też nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy ci uwierzyć. Nasze miasto i nasz sposób życia zostały zniszczone przy użyciu broni ekologicznej. Nasze komputery twierdzą, że tylko ty jesteś w stanie wywołać plagi, które spuścił na nas Mojżesz.

- Zaiste - odparł Tuf beznamiętnym tonem. - Jeśli wasze komputery często popełniają takie błędy, warto by chyba pomyśleć o ich przeprogramowaniu.

- Już ich nie mamy - odezwał się wychudzony grubas. - Jako były główny programista czuję się jednak zmuszony stanowczo zaprotestować przeciwko oszczerczym twierdzeniom, jakobym okazał się niewystarczająco kompetentny.

- Daj spokój, Rikken - wtrąciła się Rej Laithor. - Oczywiście, że okazałeś się niekompetentny, bo w przeciwnym razie nie pozwoliłbyś pchłom zeżreć całego systemu. Naturalnie to w niczym nie zmniejsza winy Tufa. Bądź co bądź, to były jego pchły.

- Nie mam monopolu na pchły, szanowna pani - odparł Tuf, po czym uniósł białą rękę. - Nie pozwólmy ponieść się emocjom. Swary i kłótnie nic nam nie dadzą. Proponuję, byśmy od razu zajęli się smutnym losem Miasta Nadziei, a także Mojżeszem i jego plagami. Zapewne słyszeliście o oryginalnym Mojżeszu ze Starej Ziemi, na którym wzoruje się wasz protagonista. Tamten nie dysponował biowojennym okrętem ani bronią biologiczną, miał za to boga, który okazał się równie efektywny w działaniu. Jego lud cierpiał niewolę; żeby go uwolnić, Mojżesz zesłał plagi na ciemńycieli. Czy wasz Mojżesz postępuje według podobnego schematu?

- Nie odpowiadajcie za darmo! - ostrzegł Jaime Kreen, ale odniosło to tylko taki skutek, że Rej Laithor spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

- Szczegółowo przeanalizowaliśmy historię tamtego Mojżesza - powiedziała. - Po pierwszej pladze chcieliśmy wiedzieć, co nas dalej czeka. Nasz Mojżesz posłużył się tymi samymi plagami co oryginał, ale nieco zmienił kolejność. Poza tym ograniczył się do sześciu, po szóstej bowiem Rada zgodziła się na żądania altruistów, zamknęła Port Wiary i nakazała ewakuację ludności z Miasta Nadziei. - Wysunęła przed siebie obie ręce. - Przyjrzyj się im. Spójrz na te pęcherze i odciski. Rozproszył nas po prymitywnych wioskach i zagonił do ciężkiej, bezsensownej pracy. Żyjemy jak dzikusy, a do tego wiecznie jesteśmy głodni. To szalenie!

- Pierwszy Mojżesz zaczął od przemienienia wody w krew - zauważył Haviland Tuf.

- To było odrażające - odezwała się młodsza kobieta. - Krew była wszędzie: w fontannach, basenach, kranach, nawet toaletach. Odkręcałeś kurek i nagle cały byłeś zbryzgany krwią.

- To nie była prawdziwa krew - wtrącił się Jaime Kreen. - Przeprowadziliśmy analizę. Po prostu dodał jakiejś organicznej trucizny, ale efekt był taki, że woda stała się gęsta, czerwona i niezdatna do picia. Jak to zrobiłeś, Tuf?

Gospodarz zignorował pytanie.

- Drugą plagą była plaga żab...

- Pojawiły się przede wszystkim na hydroponicznych plantacjach. To był mój koniec, bo odpowiadałem za nie. Cholerne żaby pozatykały wszystkie odpływy, a te, które pozdychały, rozkładały się w wodzie. Nie mogłem sobie z nimi poradzić, więc Laithor wyrzuciła mnie na zbity pysk, zupełnie jakby to była moja wina! - Posłał byleją zwierzchnicze miażdżące spojrzenie. - Na szczęście, w przeciwieństwie do niej, nie zostałem niewolnikiem Mojżesza. Uciekłem, kiedy to jeszcze było możliwe.

Tuf słuchał z kamienną twarzą.

- Trzecia była plaga pcheł...

- Miejscami zrobiło się od nich aż czarno - wymamrotał niegdysiejszy tłuścioch. - Docierały w każdy, nawet najciaśniejszy zakamarek, w tym również do wnętrza komputerów, i powodowały zwarcia. Cały system szlag trafił, a one rozprzestrzeniały się dalej. Jeździły na nas jak na koniach.

- Potem była plaga much... Miłosierdzianie tylko wymienili ponure spojrzenia.

- Rozumiem - powiedział Tuf. - Jako piątą plagę Mojżesz uwolnił zarazę, która wybiła całe bydło jego nieprzyjaciół.

- Nasz pominął zarazę - poinformowała go Rej Laithor. - Wystawiliśmy strażę wokół stad, które pasły się na prerii, a także w podziemiach, gdzie hodowaliśmy mięsozwierze. Nic się nie wydarzyło. Na szczęście zrezygnował też z wrzodów i gradu i przeszedł od razu do szarańczy.

- Zaiste - rzekł Tuf. - Ósma plaga. Rozumiem, że szarańcza zniszczyła wszystko, co ocalało z waszych upraw?

- Szarańcza nawet nie tknęła upraw, ponieważ pojawiła się w mieście, a konkretnie w ogromnych, hermetycznie zamkniętych spichrzach. W ciągu kilku dni straciliśmy cały zapas ziarna.

- Dziewiątą plagą była ciemność...

- Cieszę się, że mnie to ominęło - wtrącił się Jaime Kreen.

- Wszystkie światła w mieście zgasły. Ekipy naprawcze musiały przedzierać się przez sterty martwych much i żywej szarańczy, jednocześnie walcząc z wszami. Sytuacja była beznadziejna. Jak tylko okazało się, że awaryjne generatory nie działają, bo pełno w nich rozmaitego paskudztwa, zarządziłam ewakuację miasta, ale ludzie i tak już je opuszczali. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. - W głosie kobiety zabrzmiała gorzka nuta. - Zaledwie tydzień później mieszkałam już w nieogrzewanej chacie w Górach Uczciwej Pracy i uczyłam się posługiwać kołowrotkiem.

- Istotnie, wasz los jest nie do pozazdroszczenia - przyznał Tuf - lecz mimo to nie powinniście tracić nadziei. Jak tylko dowiedziałem się od Jaime Kreena, co was spotkało, od razu postanowiłem pospieszyć wam z pomocą. Oto jestem.

Rej Laithor zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Chcesz nam pomóc?

- Odzyskam dla was Miasto Nadziei - zapewnił ją Haviland Tuf. - Wygnam precz Mojżesza razem z jego Altruistyczną Odnową. Uwolnię panią od kołowrotka i zwrócę jej prawo decydowania o własnym losie.

Młoda kobieta i wychudzony grubas wpatrywali się w niego jak w obraz, ale Rej Laithor wciąż przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

- Rej Laithor pyta, dlaczego chcę to zrobić - poinformował Tuf Daxa, delikatnie głaszcząc kota. - Jak zwykle, podaje się w wątpliwość szczerą moich intencji. W dzisiejszych czasach ludzie nie mają ani odrobiny zaufania do bliźnich. - Przeniósł wzrok na główną administratorkę. - Pomogę wam, ponieważ wam współczuję i ponieważ widzę, że naprawdę cierpicie. Jak wszyscy dobrze wiemy, Mojżesz nie jest żadnym altruistą, ale to jeszcze nie oznacza, że takie pojęcia jak bezinteresowna życzliwość i chęć służenia bliźnim bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Potępiam postępowanie Mojżesza, nie podoba mi się, że wykorzystuje niewinne owady i zwierzęta po to, żeby osiągnąć swoje nieczyste cele. Czy uznaje pani taką motywację za wystarczającą? Jeśli nie, proszę powiedzieć tylko słowo, a natychmiast się stąd oddalę.

- Nie rób tego. Zgadzam się, w imieniu wszystkich mieszkańców Miłosierdzia. Jeśli ci się uda, zbudujemy ci pomnik i postawimy go na szczycie kopuły przykrywającej miasto, żeby był widoczny w promieniu wielu kilometrów.

Obietnica nie wywarła na Tufie widocznego wrażenia.

- Ptaki wykorzystywałyby go jako toaletę, niesiony wiatrem piasek zacierałby kontury, nikomu nie chciałoby się zadzierać głowy, żeby go podziwiać... Przyznam, że

perspektywa uwiecznienia w ten sposób mojej postaci mile łechce mą próżność, niemniej jednak byłbym znacznie bardziej zadowolony, gdyby posąg, nawet nieco mniejszych rozmiarów, zamiast na szczycie kopuły stanął na głównym placu miasta.

- Oczywiście - zgodziła się pospiesznie Laithor. - Co tylko zechcesz.

- Co tylko zechcę - powtórzył z namysłem Haviland Tuf. - W takim razie, oprócz pomnika, pragnąłbym otrzymać pięćdziesiąt tysięcy kredytek.

Siwowłosa kobieta najpierw zbladła jak ściana, a zaraz potem poczerwieniała.

- Przecież... Sam powiedziałeś... - wykrztusiła zduszonym szeptem. - Bezinteresowna życzliwość... Altruizm... Kołowrotek...

- Podtrzymuję wszystko, co mówiłem - zapewnił ją Tuf. - Niestety, operacja zakrojona na taką skalę wymaga znacznych nakładów, zasoby „Arki” są zaś zbyt cenne, bym mógł je lekkomyślnie trwonić, nie troszcząc się, co będzie dalej. Nie wątpię, że Miasto Nadziei stać na sprostanie moim skromnym wymaganiom.

Rej Laithor otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Ja się tym zajmę - wtrącił się do rozmowy Jaime Kreen. - Dziesięć tysięcy, Tuf, i ani kredytki więcej.

- Nie mogę się na to zgodzić - odparł gospodarz. - Koszty własne z pewnością przekroczą czterdzieści tysięcy. Biorąc pod uwagę wasze trudne położenie, być może zdołałbym zrezygnować z zysku i zadowolić się tą sumą.

- Piętnaście tysięcy - rzucił Kreen.

Haviland Tuf nie odpowiedział.

- Niech cię szlag trafi! - warknął chłopak. - Czterdzieści tysięcy, ale mam nadzieję, że to cholerne kocisko skona na podagrę!

Człowiek zwany Mojżeszem miał zwyczaj codziennie wieczorem przechadzać się po kamienistych ścieżkach wiodących zboczami Gór Uczciwej Pracy, podziwiać zachód słońca i rozmyślać nad wydarzeniami mijającego dnia. Właściwie była to nie tyle przechadzka, co szybki marsz; niewielu nawet znacznie młodszych ludzi mogłoby dotrzymać mu kroku, kiedy z sękatą laską w dłoni kroczył wąską ścieżką, z wyrazem spokoju na twarzy i spojrzeniem utkwionym w poszarpanej linii horyzontu. Niekiedy tak głęboko pogrążał się w myślach, że zawracał dopiero po dziesięciu albo dwunastu kilometrach.

Podczas jednego ze spacerów ukazała mu się kolumna ognia.

Ujrzał ją, kiedy minął kolejne wzniesienie: ruchliwy, wirujący słup pomarańczowego ognia, poprzetykany błękitnymi i żółtymi smugami, zbliżający się ku niemu po nierównym

terenie. Kolumna miała około trzydziestu metrów wysokości i była zwieńczona niewielkim szarym obłoczkiem.

Mojżesz przystanął, oparł się na lasce i obserwował niezwykle zjawisko.

Kolumna zatrzymała się jakieś pięć metrów przed nim, na nieco równiejszym spłachetku skalistego gruntu.

- Mojżesz! - przemówiła do niego grzmiącym głosem. - To ja, twój Bóg! Zgrzeszyłeś przeciwko mnie! Natychmiast oddaj mi mój lud!

Mojżesz zarechotał pod nosem.

- Całkiem nieźle - powiedział z uznaniem. - Naprawdę nieźle. Kolumna zawirowała i zakołysała się gwałtownie.

- Uwolnij mieszkańców Miasta Nadziei z okrutnej niewoli! - dała. - Jeśli tego nie uczynisz, rozgniewasz mnie, a wtedy spuszczę cię straszliwe plagi!

Mojżesz skrzywił się i lekceważąco machnął ręką.

- To ja rządę tutaj plagami. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał o tym pamiętać.

- Fałszywe to plagi, a ty jesteś fałszywym prorokiem, o czym obaj doskonale wiemy! - zahuczała kolumna ognia. - Bez trudu przejrzałem twoje oszustwa i sztuczki, bom ja jest Pan, którego imię sprofanowałeś! Oddaj mi mój lud albo staniesz twarzą w twarz z autentycznymi koszmarami!

- Bzdury. - Mojżesz ruszył w dół, ku ognistemu słupowi. - Kim naprawdę jesteś?

- Jestem tym, kim jestem - odparła kolumna, cofając się pospiesznie. - Jam jest Bóg.

- Jesteś holograficzną projekcją nadawaną z tego kretyńskiego obłoczka - stwierdził Mojżesz. - Masz do czynienia ze świętym mężem, nie z idiotą. A teraz zmykaj.

Kolumna zagrzmiała groźnie, on jednak po prostu przeszedł przez nią, nic sobie z tego robiąc, i szybkim krokiem kontynuował marsz w dół zbocza. Kolumna jeszcze przez jakiś czas tkwiła nieruchomo, a kiedy samotna sylwetka znikła za następnym wzniesieniem, z wnętrza projekcji dobiegło głębokie westchnienie.

- Zaiste - mruknęła zaraz potem kolumna, zadrzała i znikła.

Mały szary obłoczek dziarsko pomknął po niebie. Kilometr dalej dogonił Mojżesza i zawisł nieruchomo w powietrzu. Z chmurki ponownie wystrzelił z hukiem słup ognia, ale Mojżesz nawet się nie zatrzymał.

- Zaczynacie działać mi na nerwy - oznajmił, maszerując ścieżką usłaną kamieniami i okruchami skalnymi. - Uważacie się za wysłanników tak zwanej cywilizacji, macie w głowach moim ludziom, podsuwając im wątpliwe rozkosze grzesznego życia, a teraz jeszcze przeszkadzacie mi w wieczornych rozmyśleniach. Mam za sobą ciężki dzień uczciwej pracy.

Ostrzegam was, że łatwo mnie sprowokować. Zabierajcie się stąd, zanim rzucę na was klątwę i wasze ciała okryją się wrzodami!

- Puste słowa, szanowny panie - odparła kolumna ognia, niemal depcząc mu po piętach. - Wywoływanie wrzodów znacznie przekracza pańskie ograniczone możliwości. Czyżby sądził pan, że zdoła mnie omamić równie łatwo jak gromadkę ograniczonych biurokratów?

Mojżesz obejrzał się przez ramię i zmierzył kolumnę uważnym spojrzeniem.

- Wątpisz w siłę mojego Boga? Wydawało mi się, że dałem jej wystarczające dowody.

- Zaiste - zadudnił ognisty słup. - Jednocześnie ujawnił pan ograniczenia swoje i swoich przeciwników. Nie ulega wątpliwości, że działał pan według doskonale przemyślanego, długofalowego planu, ale teraz, kiedy plan został zdemaskowany, pańska przewaga stopniała do zera.

- Więc pewnie uważasz, że plagi, które spadły na Miasto Nadziei, pojawiły się za sprawą zwykłego przypadku albo szczególnego zbiegu okoliczności?

- Myli się pan. Doskonale wiem, czym one były, a więc wiem również, że nie ma w nich nic nadprzyrodzonego. Od wielu pokoleń rozczarowani lub po prostu znużeni męczącym życiem altruści emigrowali do Miasta Nadziei. Umieszczenie w ich szeregach szpiegów, agentów i sabotażystów nie nastęczało żadnego trudu, należało jednak poczekać kilka lat, aż wszyscy wtopią się w miejską społeczność, a niektórzy nawet zajmą odpowiedzialne stanowiska. Żaby i owady można łatwo rozmnażać zarówno w odosobnionych chatkach w Górach Uczciwej Pracy, jak i w apartamentach w Mieście, gdyby jednak wypuścić je na wolność, szybko by wyginęły, już to za sprawą sił natury, już to ze względu na obfitość naturalnych wrogów. Skomplikowany mechanizm odpowiedzialny za utrzymanie równowagi w środowisku błyskawicznie sprowadziłby ich populację do właściwych rozmiarów. Zupełnie inaczej ma się sprawa w mieście oddzielonym od świata zewnętrznego sztuczną kopułą; co prawda tam także istnieje równowaga ekologiczna, tyle że zupełnie nienaturalna, ponieważ w tamtejszym środowisku przewidziano miejsce tylko dla jednego zwierzęcia: człowieka. Pogoda jest zawsze łagodna, nie ma rywalizacji międzygatunkowej, nie istnieją drapieżcy, zdobycie pokarmu nie nastęcza żadnych trudności. W takich warunkach nieoczekiwana inwazja jakichkolwiek istot błyskawicznie przeistacza się w plagę, ale jest to plaga sztuczna, występująca tylko w granicach sztucznej biosfery. Wiatr, deszcz i zmienne temperatury błyskawicznie poradziłyby sobie zarówno z żabami, jak i z szarańczę oraz muchami.

- Przemieniłem wodę w krew! - stwierdził buńczucznie Mojżesz.

- Pańscy agenci wyspali jakieś paskudztwo do zbiorników z wodą.

- Sprowadziłem ciemność!

- Szanowny panie, obraża pan moją inteligencję. Po prostu wyłączył pan światło.

Mojżesz zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do kolumny ognia. W bijącym od niej blasku jego twarz wydawała się krwistoczerwona.

- To nieprawda! Stanowczo zaprzeczam! Jestem autentycznym prorokiem!

- Prawdziwy Mojżesz sprowadził na swych nieprzyjaciół straszliwą zarazę - zadudniła płomienista kolumna. - Pan tego nie uczynił. Prawdziwy Mojżesz sprawił, że ciała jego wrogów pokryły się cuchnącymi wrzodami. Pan tego nie zrobił. Zdradziły pana pańskie zaniechania. Nie potrafi pan wywołać zarazy. Prawdziwy Mojżesz spustoszył ziemie ciemżycieli gradem, który padał nieprzerwanie dzień i noc. Ta plaga także nie należała do pańskiego arsenału. Mimo to pańscy przeciwnicy, otumanieni tanimi sztuczkami, w popłochu opuścili Miasto Nadziei, nie czekając na nadejście dziesiątej plagi, to znaczy śmierci pierworodnych. Miał pan sporo szczęścia, bo gdyby tego nie uczynili, przekonaliby się, że ta plaga również ich ominęła.

Mojżesz uderzył laską gadającą kolumnę ognia, ale nie wywarło to żadnego wrażenia.

- Odejdź stąd! - wrzasnął. - Kimkolwiek jesteś, na pewno nie jesteś moim Bogiem! Wypieram się ciebie! Poza tym sam przyznałeś mi rację! Powiedziałeś przecież, że w naturalnym środowisku plagi stanowią mniejsze zagrożenie niż w sztucznym. Tutaj, w Górach Uczciwej Pracy, blisko naszego Boga, jesteśmy bezpieczni. Przepelnia nas łaska. Nie zdołasz nasz skrzywdzić!

- Zaiste - zahuczał głos. - Mylisz się, Mojżeszu. Oddaj mi mój lud!

Ale Mojżesz nie słuchał. Miotając obelgi, przeszedł przez kolumnę ognia i pognął z powrotem do wioski.

- Kiedy zaczniesz? - zapytał ze zniecierpliwieniem Jaime Kreen, jak tylko Haviland Tuf wrócił na „Arkę”. Odwiozłszy troje byłych administratorów na Miłosierdzie, zamieszkał na ogromnym statku, ponieważ, jak sam stwierdził, w Mieście nie mógł się pokazać a nie zamierzał zakosztować przyjemności życia w obozach reedukacyjnych albo wioskach altruistów. - Dlaczego od razu nie bierzesz się do roboty? Kiedy...

- Szanowny panie - przerwał mu Haviland Tuf. Siedział w ulubionym fotelu, zjadając zupę-krem z grzybów i ananasowe gruszki. Na stole, w zasięgu ręki, stał dzban z piwem. - Proszę mnie nie poganiać ani nie wydawać mi poleceń, chyba że znudziła się panu moja gościnność i zapragnął pan przekonać się na własnej skórze, jak obecnie wygląda życie na Miłosierdziu. - Pociągnął tęgi łyk piwa, po czym mówił dalej: - Zrobiłem już wszystko, co

było do zrobienia. W przeciwieństwie do pana, nie marnowałem czasu podczas podróży z K'theddion.

- Ale to było, zanim...

Tuf od niechcenia machnął wielką białą ręką.

- Szczegóły, proszę pana. Klonowanie zbliża się już do końca. Zbiorniki są pełne. - Zamrugnął leniwie. - Byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał pan nie przeszkadzać mi w spożywaniu posiłku.

- Ale plagi! - jęknął Kreen. - Kiedy się zaczną!

- Pierwsza zaczęła się już kilka godzin temu.

Z Gór Uczciwej Pracy, mijając sześć wsi i kamieniste pola uprawiane z mozołem przez altruistów oraz dwa obozy reedukacyjne, w których umieszczono uciekinierów z Miasta Nadziei, wypływała szeroka rzeka. Altruści zwali ją Łaską Bożą, inni Miłosierdzianie natomiast Rzeką Potu. Jak tylko słońce pojawiło się nad horyzontem, ludzie, którzy poszli nad wodę napełnić wiadra albo zrobić pranie, co sił w nogach wrócili do wsi i obozów pracy.

- Krew! - krzyczeli z przerażeniem. - Rzeka jest pełna krwi! Woda zamieniła się w krew, zupełnie jak wtedy w Mieście!

Natychmiast powiadomiono Mojżesza; prorok niespiesznie udał się nad rzekę, a przybywszy na miejsce, zmarszczył nos, w powietrzu bowiem unosił się smród martwych ryb i psującej się krwi.

- To podstępna sztuczka grzeszników z Miasta Nadziei - oznajmił, spoglądając na szkarłatne fale. - Dobry Bóg wkrótce wybawi nas z kłopotów. Będę się modlił, a On sprawi, że najdalej jutro rzeka znowu będzie czysta i pełna ryb.

Stał w rozkroku w grząskim czerwonym błocie, wznosił ku niebu obie ręce i zaczął się modlić. Modlił się cały dzień i całą noc, ale bez skutku.

Kiedy wstał kolejny świt, Mojżesz wrócił do chaty i rozkazał, by schwytano Rej Laithor oraz jeszcze pięciu najważniejszych administratorów, a następnie poddano ich szczegółowemu przesłuchaniu. Gorliwie wykonano jego polecenie, lecz aresztowani nie udzielili żadnych istotnych informacji, w związku z czym w górę rzeki wyruszyły patrole złożone z uzbrojonych altruistów, żeby schwycić spiskowców, którzy wrzucali do wody cuchnące chemikalia. Chociaż patrole maszerowały trzy dni i trzy noce i dotarły aż do wielkiego wodospadu wysoko w górach, nikogo nie znalazły. Nawet tam, blisko źródeł, skalistym korytem płynęła tylko krew.

Mojżesz modlił się bez przerwy, dniami i nocami, aż wreszcie omdlał z wyczerpania.

Adiutanci zanieśli go, nieprzytomnego, do chaty. Woda w rzece wciąż była gęsta i czerwona.

- Już po nim - stwierdził Jaime Kreen po tygodniu, kiedy Haviland Tuf wrócił barką powietrzną z kolejnego rekonesansu. - Dlaczego się nie poddaje? Na co czeka?

- Aż rzeka sama się oczyści - odparł Tuf. - Bardzo prosto jest zatruć wodę w zamkniętym mieście, gdzie korzysta się z jej ograniczonych zasobów, a więc wystarczy użyć stosunkowo niewielkiej ilości środków zanieczyszczających. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z rzeką. Można do niej wrzucić ogromną porcję chemikaliów, a jednak, prędzej czy później, woda znowu stanie się czysta. Mojżesz z pewnością liczy na to, że już niedługo zabraknie nam kontaminatów.

- A nie zabraknie?

- Nie, szanowny panie, ponieważ wykorzystujemy mikroorganizmy, te zaś, w przeciwieństwie do środków chemicznych, dysponują zdolnością rozmnażania się. Ze starożytnych zapisów przechowywanych w archiwach Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego wynika, iż w zamierzchłych czasach także na Starej Ziemi woda zmieniała niekiedy barwę. Mikroorganizmy, które rzuciliśmy do boju, zostały przed wiekami przywiezione z planety Scarne, gdzie bytowały we wszystkich, nawet najmniejszych zbiornikach wodnych. Inne stworzenia musiały przywyknąć do ich obecności albo zginąć.

Tego samego wieczoru obok chaty Mojżesza pojawiła się kolumna ognia, wprawiając w popłoch strażników.

- Oddaj mi mój lud! - zagrział donośny głos.

Powłóczęc nogami, Mojżesz dowlókł się do drzwi i gwałtownie otworzył je na oścież.

- Jesteś ułudą stworzoną przez Szatana! - wrzasnął. - Nie dam się nabrać. Przepadnij! Nie będziemy już pić wody z rzeki, oszuscicie! Mamy głębokie studnie, z których możemy czerpać wodę, a w razie potrzeby wykopujemy kolejne!

Ognista kolumna zakołysała się lekko.

- Z pewnością - odparł głos - w ten sposób jednak tylko odwleciesz to, co nieuniknione. Zwróć wolność ludziom z Miasta Nadziei, bo jeśli tego nie uczynisz, spuszczę na ciebie plagę żab!

- Wspaniale! - zaryczał Mojżesz. - Doskonale! Zjemy twoje żaby! Na pewno okażą się wyśmienite!

- Te żaby wyjdą z rzeki - odparła spokojnie kolumna ognia. - Będą straszliwsze, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- W tym ścieku nie zostało nic żywego - odparł Mojżesz. - Kto jak kto, ale ty powinienes o tym wiedzieć.

Następnie zatrzasnął drzwi i nie wyszedł już, żeby porozmawiać z kolumną ognia.

Strażnicy, których rankiem wysłał nad rzekę, wrócili unurzani we krwi i prawie nieprzytomni ze strachu.

- Tam są potwory! - wyjąkał najbardziej opanowany. - Wstrętne szkarłatne ohydztwa, mniej więcej wielkości palca, ale o dwukrotnie dłuższych nogach. Z daleka wyglądały jak czerwone żaby, ale kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że mają zęby i że pożerają martwe ryby. Jest ich całe mnóstwo! Danel pochylił się, żeby wziąć jedną do ręki, a ta trzask, ugryzła go w palec, a zaraz potem dosłownie zaroilo się od nich w powietrzu! Skakały tak wysoko, że wyglądało to, jakby latały i gryzły nas, gdzie popadło. Okropność! Jak walczyć z żabą? Ciąć nożem? Walić pałką? Strzelać?

Trząśł się jak galareta.

Wkrótce potem Mojżesz posłał nad rzekę liczniejszy oddział, wyposażony w worki, truciznę i pochodnie, ale również ta ekspedycja zakończyła się klęską. Jej uczestnicy wrócili ogarnięci paniką, niosąc dwóch towarzyszy. Pierwszy, z rozszarpanym gardłem, skonał jeszcze tego samego ranka, drugi zaś około południa. Zabiła go gorączka, która dopadła niemal wszystkich pokąsanych przez żaby.

O zmierzchu została pożarta ostatnia ryba, a żaby zaczęły przemieszczać się w kierunku wiosek. Altruści kopali rowy, napełniali je wodą lub płonącymi gałęziami, lecz żaby bez trudu przeskakiwały nad przeszkodami. Altruści walczyli nożami, pałkami i ogniem, a nawet nowoczesną bronią, którą odebrali uciekinierom z miasta, lecz o świcie liczba zabitych wzrosła do sześciu, Mojżesz zaś wraz ze swą świtą musiał ukryć się za zabarykadowanymi drzwiami.

- Nasi ludzie nie mają się gdzie schować - powiedział zaniepokojony Jaime Kreen. - Żaby wedrą się do obozów i wybiją ich do nogi!

- Na pewno nie - odparł spokojnie Haviland Tuf. - Jeśli Rej Laithor zdoła utrzymać spokój w waszych szeregach, nic wam nie grozi. Szkarłatne żaby to w gruncie rzeczy zdeklarowani padlinożercy; atakują stworzenia większe od siebie tylko wtedy, kiedy czują się zagrożone.

Kreen spojrział z niedowierzaniem na Tufa, a następnie na jego twarzy rozkwitł promienisty uśmiech.

- Pomyśleć, że Mojżesz zabarykadował się przed nimi w swojej chacie! A to pyszne!

- Zaiste - rzekł Haviland Tuf.

Nie sposób było odgadnąć, co chciał przez to powiedzieć, ale uwagi Kreena nie

umknął fakt, że Dax, który do tej pory leżał spokojnie na kolanach pana, podniósł się nagle, obnażył kły i zjeżył gęstą sierść.

Tego wieczoru kolumna ognia objawiła się nie człowiekowi zwanemu Mojżeszem, ale uciekinierom z Miasta Nadziei, kulącym się ze strachu w nędznym obozie i obserwującym z niepokojem pochód czerwonych żab.

- Rej Laithor - przemówił dudniący głos - wasi nieprzyjaciele ukryli się w swoich domostwach. Wstań i idź. Weź ludzi za ręce i poprowadź ich z powrotem do miasta. Idźcie powoli, patrzcie pod nogi, nie wykonujcie gwałtownych ruchów. Jeśli zastosujecie się do moich wskazówek, żaby nie uczynią wam krzywdy. Oczyszćcie i odbudujcie Miasto Nadziei, a następnie przygotujcie dla mnie czterdzieści tysięcy kredytek.

Rej Laithor, otoczona młodszymi administratorami, wpatrywała się w płomienie.

- Mojżesz zaatakuje nas zaraz po twoim odlocie. Wykończ go, Tuf. Spuść na niego pozostałe plagi.

Ognista kolumna nie odpowiedziała. Odsunęła się na bok, przez kilka długich minut kołysała się lekko i wibrowała, a potem znikła.

Wkrótce potem mieszkańcy Miasta Nadziei wyruszyli w drogę, pilnie bacząc, gdzie stawiają stopy.

- Uruchomiliśmy generatory - zameldował dwa tygodnie później Jaime Kreen. - Wkrótce miasto znowu będzie funkcjonowało jak przedtem, ale ty wywiązałeś się dopiero z części umowy. Mojżesz i jego ludzie wciąż kryją się w swoich wioskach. Czerwone żaby wyzdychały z braku pożywienia, bo mogły zjadać tylko martwych kompanów, a to dla nich trochę za mało, woda w rzece powoli wraca do normy... Kiedy zaatakujesz ich pchłami? A muchy? Zapomniałeś o muchach, Tuf. Chyba zasłużyli sobie na to, żeby ich trochę poswędziało?

- Proszę wziąć „Gryfa” i sprowadzić tu Mojżesza, nawet wbrew jego woli - polecił Haviland Tuf. - Jeśli pan tego dokona, otrzyma pan sto kredytek.

Jaime Kreen nawet nie starał się ukryć zaskoczenia.

- Mojżesza? A po co ci on? Przecież to nasz wróg! Jeśli zamierzasz się z nim dogadać i podstępnie sprzedać nas w niewolę, to pamiętaj, że...

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zachować dla siebie te niedorzeczne podejrzenia - przerwał mu Tuf, po czym podrapał Daxa za uchem. - Jak widzisz, wciąż musimy stawiać czoło obelgom i insynuacjom - zwrócił się do kota. - Cóż, widocznie już taki nasz los, że wszędzie traktuje się nas jak potencjalnych złoczyńców. - Ponownie spojrzął na

Kreena. - Zamierzam odbyć z nim poważną rozmowę. Proszę uczynić, o co pana poprosiłem.

- Nie jestem już twoim dłużnikiem - przypomniał mu chłopak. - Zostałem na „Arce”, bo uważam, że to mój patriotyczny obowiązek. Powiedz mi, co konkretnie zamierzasz, a wtedy być może spełnię twoją prośbę. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz musiał sam się wszystkim zająć.

Haviland Tuf wpatrywał się w niego nieruchomym spojrzeniem.

- Szanowny panie, czy zdaje pan sobie sprawę, ile posiłków spożył pan na „Arce” i ile dzbanów piwa zdążył pan opróżnić od chwili, kiedy uznaliśmy, że nasze rachunki zostały wyrównane? Czy zdaje pan sobie sprawę, ile zużył pan powietrza i jak często korzystał pan z urządzeń sanitarnych mego statku? Zapewne nie, ale niniejszym informuję pana, że ja wiem to wszystko, a nawet jeszcze więcej. Idźmy dalej. Czy uświadamia pan sobie, że standardowa opłata za podróż z K’theddion na Miłosierdzie wynosi około trzystu siedemdziesięciu pięciu kredytów? Ta kwota również może zostać zapisana po stronie pańskich długów. Do tej pory, wiedziony wrodzoną nieśmiałością i łagodnością serca, nie wspomniałem o tych wcale nie tak drobnych kwestiach, ale teraz widzę, że popełniłem poważny błąd. Nadeszła chyba pora, żeby go naprawić.

- Nie próbuj mnie zastraszyć - odparł Kreen, wzruszając ramionami. - Jesteśmy kwita, od wiezienia na K’theddion dzieli nas kawał drogi, a wszelkie roszczenia do mojej osoby oparte na tamtejszym prawie, które zgłaszałeś, tutaj nie są warte nawet funta kłaków.

- Prawa obowiązujące na K’theddion i Miłosierdziu interesują mnie tylko o tyle, o ile odpowiadają moim potrzebom - powiedział bardzo cicho i bardzo spokojnie Haviland Tuf. - Tutaj, na „Arce”, ja stanowię prawo. Jeśli uznam za stosowne uczynić pana moim niewolnikiem i gnębić pana do końca pańskich dni, nie pomogą panu ani Rej Laithor, ani Mojżesz, ani pańska odwaga.

Chociaż niski głos Tufa nie brzmiał ani groźnie, ani nawet ostrzegawczo, Jaime Kreen poczuł nagle, że robi mu się potwornie zimno. Bez dalszych dyskusji spełnił prośbę gospodarza.

Co prawda Mojżesz był wysokim postawnym mężczyzną, ale Tuf poinformował Kreena o wieczornych przechadzkach proroka, więc Jaime wraz z trzema towarzyszami zaczął się w krzakach przy ścieżce i bez trudu obezwładnił ofiarę. Jeden z jego kompanów chciał na miejscu rozprawić się z prorokiem, lecz Kreen stanowczo się temu sprzeciwił. Zanieśli nieprzytomnego Mojżesza na prom i wkrótce potem Jaime Kreen dostarczył proroka Tufowi. Odwrócił się, by odejść, ale właściciel „Arki” podniósł długi biały palec.

- Proszę zostać.

Znajdowali się w pomieszczeniu, którego Kreen nigdy do tej pory nie widział. Była to obszerna wysoka sala o śnieżnobiałych ścianach, z przypominającym kształtem podkowę pulpitem pośrodku. Tuf zasiadł w obszernym fotelu za pulpitem, Dax zaś, wyjątkowo ożywiony, zajął miejsce na konsolcie.

Mojżesz nie zdążył jeszcze całkiem dojść do siebie.

- Gdzie jestem?

- Na pokładzie „Arki”, jedyne ocalałego biowojennego okrętu Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Nazywam się Haviland Tuf i jestem właścicielem oraz dowódcą tej jednostki.

- Twój głos... Skądś go znam!

- Jestem też Bogiem - dodał Tuf.

- Właśnie. - Prorok spróbował wstać, ale Jaime Kreen przemocą posadził go z powrotem w fotelu. Mojżesz głośno zaprotestował, lecz nie ponowił próby. - To ty sprowadziłeś na nas plagi, to ty przemawiałeś do mnie z kolumny ognia, to ty, bezczelny oszuście, podszywałeś się pod Boga!

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Ma pan rację, ale nie do końca. To pan jest jedynym oszustem w tym towarzystwie. Podszywał się pan pod proroka, udawał pan, że rozporządza nadnaturalnymi zdolnościami. Stosował pan podłe sztuczki oraz usiłował prowadzić prymitywnymi środkami coś w rodzaju wojny biologicznej. Ja, w przeciwieństwie do pana, nikogo nie udaję. Naprawdę jestem Bogiem.

Mojżesz splunął mu pod nogi.

- Jesteś właścicielem statku kosmicznego i mnóstwa maszyn. Przyznaję, że nieźle dawałeś sobie radę z plagami, ale dwie plagi jeszcze z nikogo nie czynią Boga.

- Dwie - powtórzył z namysłem Tuf. - Czyżby wątpił pan w osiem pozostałych?

Długie białe palce z zadziwiającą sprawnością przebiegły po przyciskach. Światło przygasło, a w górze, prawie pod sklepieniem, pojawił się holograficzny obraz Miłosierdzia. Tuf znowu poruszył palcami; hologram rozwiął się, w jego miejscu pojawiły się różnobarwne roztańczone kształty, a kiedy obraz znowu się wyostrzył, ujrzeli z wysoka wioski altruistów w Górach Uczciwej Pracy.

- Proszę wyteńczyć uwagę - powiedział Haviland Tuf. - To tylko symulacja komputerowa. Nic z tego, co pan zobaczy, nie wydarzyło się naprawdę, choć mogło się wydarzyć. Jestem przekonany, że ten mały pokaz da panu sporo do myślenia.

Nagle znaleźli się w jednej z wiosek i mogli z bliska przyjrzeć się ludziom o

wychudzonych twarzach i mętym wzroku, palącym na stosach martwe żaby. Zaglądali do chałup, gdzie starcy i dzieci toczyli nierówny bój z trawiącą ich gorączką.

- To sytuacja po drugiej pladze, bardzo podobna do tej, która panuje obecnie - wyjaśnił Tuf. - Żaby wyzdychały, nadeszła więc pora pcheł. - Musnął palcem jeden z przycisków. - Oto one.

Pchły zaatakowały ławą. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że ożył kurz pokrywający kamienistą ziemię, zaraz potem zaś pchły były wszędzie. Ludzie drapali się jak szaleni, ku uciesze Jaime Kreena, który zaznał tej wątpliwej przyjemności tuż przed ucieczką na K'theddion, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. To nie były zwyczajne pchły. Mieszkańcy wioski płakali z bólu i niemal darli paznokciami opuchniętą, zaczerwienioną skórę. Niektórzy, nie będąc w stanie znieść cierpienia, wyli jak zwierzęta i uciekali na oślep, wpadając na drzewa i budynki.

- Muchy - rzekł Haviland Tuf.

Zjawiły się nieprzeliczonymi rojami: boleśnie żądłące, opasłe muchy z Dam Tullian, roznoszące choroby muchy ze Starej Ziemi, czarne i zielone monstra z Guliwera, prawie niewidoczne gołym okiem maleństwa z Koszmaru, które składają jaja w ciałach żywych istot. Opadły chmarą na wsie, pola i lasy, a kiedy ponownie uniosły się w powietrze, zostawiły po sobie smród i zgniliznę.

- Zaraza - rzeki Haviland Tuf.

Patrzyli, jak zwierzęta giną tysiącami. Ogromne nieruchome mięsozwierze hodowane w podziemiach Miasta Nadziei zamieniły się w sterty cuchnącego, rozkładającego się mięsiwa. Padlinę palono na stosach, ale zaraza i tak szybko się rozprzestrzeniała. W krótkim czasie wyginęły wszystkie stada bydła, a niedożywieni ludzie łatwo padali ofiarą nawet pozornie niegroźnych chorób.

- Wrzody - rzekł Haviland Tuf.

Po zwierzętach przyszła kolej na ludzi. Bolesne wrzody wyskakiwały na twarzach, tułowiach i kończynach, rosły i nabrzmiwały, a potem pękały, obficie brocząc ropą zmieszaną z krwią, ale w ich miejscu natychmiast pojawiały się nowe. Cuchnący, poranieni mężczyźni i kobiety rozpaczliwie szukali ratunku, lecz nigdzie nie mogli go znaleźć. Ci, którzy padali na ziemię, już tam zostawali i gnili pospołu z muchami i bydłem, bo nie było komu ich pogrzebać.

- Grad - rzekł Haviland Tuf.

Z nieba runęły bryły lodu wielkości męskiej pięści. Grad padał dzień i noc, noc i dzień, dzień i noc, a potem jeszcze noc i dzień. Razem z nim spływały błyskawice ognia. Ci,

co pozostali na zewnątrz, zginęli co do jednego, zgniecieni na miazgę, ale taki sam los spotkał również wielu spośród tych, którzy skryli się w domostwach, sporo dachów bowiem nie wytrzymało bombardowania i zawałiło się, grzebiąc ich pod gruzami. Kiedy wreszcie grad ustał, okazało się, że ocalały tylko nieliczne budynki.

- Szarańcza - rzekł Haviland Tuf.

Była mniej liczna niż muchy, ale znacznie bardziej groźna. Żarłoczne owady wciskały się w każdy zakamarek i zjadały wszystko, co nadawało się do jedzenia, zostawiając po sobie nagą ziemię.

- Ciemność - rzekł Haviland Tuf.

Zjawiała się w postaci gęstego czarnego gazu niesionego wiatrem, czegoś w rodzaju niemal płynnej, rozwleczonej w powietrzu zawiesiny, matowoczarnej, a zarazem czarnośniącej. Była ciemnością. Była nocą. Była żywa. Tam, gdzie przeszła, ginęło wszelkie życie; usychały nawet trawa, krzewy i drzewa, ziemia zaś zamieniała się w popękane klepisko. Obłok mroku przewyższał rozmiarami połączone chmary much i szarańczy. Osiadł na Górach Uczciwej Pracy, trwał nieruchomo jeden dzień i jedną noc, a potem odpłynął, pozostawiając po sobie szeleszczącą ciszę.

Tuf, ponownie przesunął palcami po klawiszach. Wizja znikła, zapłonęło światło, załśniły śnieżnobiałe ściany.

- Została dziesiąta plaga - odezwał się Mojżesz cichym, bezbarwnym głosem. - Śmierć pierworodnych.

- Przyznaję, że nie jestem wszechmocny - odparł Haviland Tuf. - Nie potrafię działać z tak wielką precyzją. Pozwolę sobie jednak zwrócić panu uwagę na fakt, że w tej wymaginowanej rzeczywistości zginęli także pierworodni. Ze wstydem muszę stwierdzić, iż okazałem się mało subtelnym, prostackim bogiem; po to, żeby mieć pewność, że osiągnąłem zamierzony cel, na wszelki wypadek pozabijałem wszystkich.

Blady jak ściana Mojżesz siedział zgarbiony w fotelu, z pochyloną głową. Mimo to wciąż było widać drzemiącą w nim siłę.

- Jesteś tylko człowiekiem... - wyszeptał.

- Człowiekiem - powtórzył Haviland Tuf obojętnym tonem, po czym pogłaskał Daxa po głowie. - Zaiste, urodziłem się człowiekiem i byłem nim przez wiele lat, ale potem znalazłem „Arkę” i przestałem nim być. Dysponuję siłą znacznie większą od tej, jaką ludzie przypisywali większości czczonych przez siebie bogów. Nie spotkałem jeszcze istoty, której nie mógłbym pozbawić życia, nie natrafiłem na planetę, której nie zdołałbym zniszczyć albo całkowicie zmienić według własnego widzimisię. Zaiste, jestem Bogiem, albo przynajmniej

Jego bardzo bliskim odpowiednikiem.

Na szczęście dla was, jestem także łagodny, dobronudzny i litościwy, a w dodatku często mi się nudzi, więc gorliwie poszukuję rozrywek. Byliście dla mnie tylko pionkami w grze, której oddawałem się przez kilka tygodni. Początkowo wydawała się interesująca, szybko jednak mi się znudziła. Już po dwóch pańskich ruchach, to znaczy po dwóch plagach, przekonałem się, że nie jest pan poważnym przeciwnikiem i że niczym nie zdoła mnie pan zaskoczyć. Osiągnąłem cel, to znaczy umożliwiłem mieszkańcom Miasta Nadziei powrót do ich domów; reszta byłaby tylko pozbawionym znaczenia rytuałem, więc postanowiłem wcześniej skończyć zabawę.

Idź, Mojżeszu, i nie grzesz więcej. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Pana natomiast, Jaime Kreen, uprzedzam, by nie dopuścił pan do tego, żeby Miłosierdzianie mścili się na niedawnych prześladowcach. Zwyciężyliście i to powinno wam wystarczyć. Zapewniam was, że już niedługo styl życia, który tamci usiłowali propagować, a także ich kultura i religia, odejdą w zapomnienie.

Nie zapominajcie natomiast, kim jestem, oraz że Dax potrafi czytać w waszych myślach. Gdybym kiedyś ponownie odwiedził te okolice i przekonał się, że postąpiliście wbrew moim zaleceniom, obrazy, które przed chwilą pan oglądał, staną się rzeczywistością. Ześlę na waszą planetkę okrutne plagi i zamienię ją w jałową, bezludną pustynię.

Jaime Kreen odwiózł Mojżesza na Miłosierdzie, po czym, zgodnie z poleceniami wydanymi przez Tufa, odebrał od Rej Laithor czterdzieści tysięcy kredytek i przywiózł je na „Arkę”. Haviland Tuf, z Daxem w ramionach, czekał na niego na lądowisku. Kiedy przyjmował zapłatę, na jego pociągłej bladej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Przemyślałem sobie to wszystko - powiedział Jaime Kreen. - Błefujesz, Tuf. Nie jesteś żadnym bogiem. Pokazałeś nam komputerowe symulacje, ale to jeszcze nie oznacza, że potrafiłbyś wprowadzić w życie swoje groźby. Umiesz tylko odpowiednio zaprogramować komputer, nic więcej.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf.

- Tak, zaiste! - Chłopak mówił z narastającym zapałem. - Napędziłeś strachu Mojżeszowi, ale ja nie dałem się nabrać. Zdradził cię grad, cwaniaku! Bakterie, pasożyty, wirusy... Proszę bardzo, biowojenna technologia poradzi sobie z tym wszystkim, a może nawet z półpłynną ciemnością, choć wydaje mi się, że to tylko twój wymysł. Z gradem sprawa ma się zupełnie inaczej. Grad to zjawisko meteorologiczne, nie ma nic wspólnego z biologią ani ekologią. Zagalopowałeś się, Tuf, ale nie mam ci tego za złe, bo w ten sposób jeszcze bardziej zgoiłeś Mojżesza.

- Zaiste - powtórzył Tuf. - Powinienem być zastanowić się dwa razy, zanim podjąłem próbę oszukania człowieka tak inteligentnego i przenikliwego jak pan. Bezlitośnie obnażył pan moje nędzne knowania.

Jaime Kreen uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Należy mi się jeszcze sto kredytek za dostarczenie Mojżesza - przypomniał.

- Szanowny panie, nigdy nie zapominam o swoich zobowiązaniach - odparł z godnością Haviland Tuf. - Otworzył szkatułkę, którą Kreen przywiózł z Miłosierdzia, i odliczył sto kredytek. - Pasażerska śluza powietrzna znajduje się w sekcji dziewiątej, za drzwiami opatrzonymi tabliczką z napisem Kontrola Klimatyczna.

Jaime Kreen spojrzał na niego podejrzliwie.

- Śluza powietrzna? Co masz na myśli?

- To chyba oczywiste. Mam na myśli urządzenie, dzięki któremu opuści pan pokład „Arki”, nie zabierając ze sobą ani grama cennego powietrza. Ponieważ nie dysponuje pan promem orbitalnym, nie widzę powodu, żeby miał pan korzystać z większej śluzy.

Chłopak z trudem przełknął ślinę.

- Chcesz... Chcesz wyrzucić mnie w przestrzeń? - wykrztusił niedowierzaniem.

- Cóż za niefortunne sformułowanie - powiedział Tuf beznamiętnym tonem. - Nie wiem, jak panu, ale mnie nasuwa ono mało przyjemne skojarzenia. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę zatrzymać pana na pokładzie „Arki”, gdyby zaś chciał pan skorzystać z któregoś z moich promów, kto przyprowadziłby mi go z powrotem? Wybacz pan, ale nie zamierzam pozbywać się cennego sprzętu, nawet jeśli w grę wchodzi pańska wygoda. Kreen trochę się uspokoił.

- Przecież to proste: Odwieszysz mnie „Gryfem” do Portu Wiary, potem wrócisz na „Arkę”.

Haviland Tuf w zamyśleniu głaskał Daxa.

- Interesująca koncepcja - przyznał wreszcie. - Myślę, że można by wprowadzić ją w życie. Dostrzegam tylko jeden problem: taka nadprogramowa podróż oznacza dla mnie dodatkową stratę czasu, nie wspominając już o niewygodach. Czy nie uważa pan, że powinien mi to jakoś wynagrodzić?

Jaime Kreen długo wpatrywał się w nieruchomą twarz Havilanda Tufa, po czym westchnął ciężko i oddał mu sto kredytek.

MANNA Z NIEBA

Armada sunęła skrajem układu słonecznego z dostojnym wdziękiem polującego tygrysa, bezgłośnie przemierzając atlasową czerń kosmosu, i z każdą chwilą coraz bardziej zbliżała się do „Arki”.

Haviland Tuf siedział przed głównym pulpitem sterowniczym, obserwując rozliczne wskaźniki i monitory. Kiedy było trzeba, wykonywał oszczędne, prawie niezauważalne ruchy głową. Mknąca mu na spotkanie flotylla wyglądała bardzo groźnie. Do tej pory instrumenty zarejestrowały obecność czternastu dużych jednostek oraz całego mrowia mniejszych. Skrajne pozycje w szyku zajmowało dziewięć pękatek, srebrno-białych lewiatanów najeżonych nieznaną bronią, między nimi ustawiły się cztery długie krążowniki o czarnych kadłubach drżących od nagromadzonej w nich energii, a w samym środku formacji znajdował się gigantyczny, przypominający kształtem spodek okręt flagowy o średnicy równo sześciu kilometrów. Był to największy statek kosmiczny, jaki Haviland Tuf spotkał od chwili, kiedy przed ponad dziesięciu laty po raz pierwszy ujrzał opuszczoną „Arkę”. Wokół wielkiego spodka, niczym rój rozwścieczonych owadów, uwijały się dziesiątki niszczycieli.

Błada, pociągła twarz Tufa była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, ale spoczywający w jego objęciach Dax zamruczał niespokojnie.

Zamigotała lampka, informując o tym, że ktoś próbuje nawiązać łączność z „Arką”. Haviland Tuf mrugnął dwa razy, a następnie powoli wyciągnął rękę i włączył odbiornik.

Oczekiwał, że w chwilę potem na ekranie pojawi się czyjaś twarz, ale spotkało go rozczarowanie, gdyż ujrzał przed sobą jedynie zwierciadlany hełm skafandra bojowego i opuszczony wizjer z czarnej plastostali. Hełm był ozdobiony stylizowanym emblematem przedstawiającym planetę S’uthlam. Dwa szerokopasmowe czujniki jarzyły się za wizjerem niczym krwistoczerwone, rozpalone oczy. Ich widok przywiódł Tufowi na myśl pewnego niezbyt sympatycznego człowieka, z którym miał kiedyś do czynienia.

- Doprawdy, przywdziewanie kompletnego stroju ceremonialnego było całkowicie niepotrzebne - powiedział spokojnie. - Także obecność tak licznej i świetnej eskorty przyjemnie łechce moją próżność, ale nie ulega żadnej wątpliwości, iż znacznie mniejsza i skromniejsza flotylla powitalna byłaby całkowicie wystarczająca. Ta, którą widzę, budzi swymi rozmiarami ogromny szacunek, do tego stopnia nawet, że ktoś mniej ufny ode mnie mógłby łatwo nabrać podejrzeń, iż jest to raczej demonstracja siły, mająca na celu nie tyle uhonorowanie, co raczej zastraszenie utrudzonego wędrowca.

- Jestem komandor Wald Ober, dowódca Siódmego Skrzydła Flotylli Planetarnej

S'uthlam - oznajmiła zakuta w skafander postać głębokim, lekko zniekształconym głosem.

- Dowódca Siódmego Skrzydła... - powtórzył Tuf. - Zaiste. Oświadczenie to każe się domyślać istnienia jeszcze co najmniej sześciu równie groźnych zespołów. Wygląda na to, że od mojego poprzedniego pobytu siły zbrojne S'uthlam zostały znacznie rozbudowane.

Wald Ober nie był zainteresowany jego rozważaniami.

- Poddaj się natychmiast albo twój statek zostanie zniszczony! Haviland Tuf zamrugął powoli.

- Obawiam się, że zaszło poważne nieporozumienie...

- Cybernetyczna Republika S'uthlam znajduje się obecnie w stanie wojny z tak zwaną koalicją Yandeen, Jazbo, Planety Henry'ego, Skrymiru, Roggandoru i Lazurowej Triuny. Wtargnąłeś na zakazany teren. Poddaj się albo zginiesz.

- Czuję się zmuszony wyprowadzić pana z błędu - odparł Tuf. - Nie uczestniczę w tym pozałowania godnym konflikcie, o którym aż do tej pory nie miałem najmniejszego pojęcia. Nie należę do żadnej koalicji, związku ani przymierza, reprezentując tylko siebie, inżyniera ekologa o najbardziej pokojowym usposobieniu, jakie można sobie wyobrazić. Proszę nie przejmować się rozmiarami mojego statku. Aż nie chce mi się wierzyć, żeby przez zaledwie pięć lat standardowych znakomici pajęczarze i technicy Portu S'uthlam zapomnieli o ostatniej wizycie, jaką złożyłem na waszej nadzwyczaj interesującej planecie. Jestem Haviland...

- Wiemy, kim jesteś, Tuf - przerwał mu Wald Ober. - Poznaliśmy „Arkę”, jak tylko włączyłeś silniki hamujące. Koalicja nie ma trzydziestokilometrowych okrętów, i całe szczęście. Rada Planety poleciła mi przygotować się na twoje przybycie.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf.

- Jak myślisz, dlaczego moje Skrzydło wyruszyło ci na spotkanie? - zapytał Ober.

- Zapewne po to, aby zgotować mi radosne powitanie i obsypać darami, wśród których znajdą się także kosze soczystych, świeżych, posypanych wonnymi przyprawami grzybów. Teraz jednak zaczyna mi świtać podejrzenie, iż moje nadzieje były przedwczesne.

- Ostrzegam cię po raz trzeci i ostatni! - wycedził Wald Ober. - Za niecałe cztery minuty standardowe znajdziesz się w zasięgu celnego strzału. Poddaj się albo zginiesz!

- Szanowny panie - powiedział Tuf. - Zanim popełnisz brzemienne w skutki błąd, proponuję, żebyś skontaktował się z przełożonymi. Jestem pewien, że mamy do czynienia z pozałowania godnym nieporozumieniem.

- Byłeś sądzony inabsentia i zostałeś uznany za przestępcę, heretyka oraz wroga mieszkańców S'uthlam.

- Spotkała mnie okrutna niesprawiedliwość! - zaprotestował Tuf.

- Dziesięć lat temu wymknąłeś się naszej flotyli, ale nie myśl, że tym razem też ci się uda. Uczyniliśmy znaczny krok naprzód. Nasza nowa broń bez trudu poradzi sobie z przestarzałymi polami siłowymi, w jakie jest wyposażony twój statek. Najlepsi uczeni w najdrobniejszych szczegółach rozpracowali ten stary, rozdęty wrak, w którym siedzisz, a ja osobiście nadzorowałem przeprowadzanie symulacji komputerowych. Jesteśmy w pełni przygotowani na twoje przybycie.

- Nie chciałbym, by ktoś pomyślał, że jestem niewdzięczny, ale wydaje mi się, iż niepotrzebnie zadaliście sobie aż tyle trudu - odparł Haviland Tuf, po czym obrzucił spojrzeniem rzędy ekranów ciągnące się wzdłuż ścian długiego, wąskiego pomieszczenia. Na wszystkich widać było zbliżające się w szybkim tempie okręty wojenne Flotyli Planetarnej S'uthlam. - Jeżeli przyczyną tej niczym nie uzasadnionej wrogości jest dług, jaki zaciągnąłem wobec Portu S'uthlam, chciałbym niniejszym zapewnić, iż jestem gotów natychmiast spłacić go w pełnej wysokości.

- Dwie minuty - warknął Ober.

- Co więcej, jeżeli S'uthlam chciałby ponownie skorzystać z dobrodziejstw inżynierii ekologicznej, byłbym skłonny zaproponować swoje usługi po bardzo korzystnej, obniżonej cenie.

- Mamy już dosyć twoich pomysłów. Minuta.

- Cóż, wygląda na to, że pozostało mi tylko jedno, możliwe do zaakceptowania, rozwiązanie.

- Poddajesz się? - zapytał podejrzliwie dowódca Skrzydła.

- Obawiam się, że nie - odparł Haviland Tuf. Wyciągnął rękę, musnął długimi palcami rząd holograficznych przycisków i uruchomił wiekowe systemy obronne „Arki”.

Twarz Walda Obera była ukryta za wizjerem hełmu, ale ton jego głosu zdradził, że oficer uśmiechnął się pogardliwie.

- Imperialne pola siłowe czwartej generacji, trójwarstwowe, częściowo pokrywające się częstotliwości, fazowanie koordynowane przez centralny komputer statku. Opancerzenie kadłuba z duraluminium. Mówiłem ci już, że odrobiliśmy pracę domową.

- Wasz pęd do wiedzy jest godny najwyższego uznania - stwierdził Tuf.

- Następna sarkastyczna uwaga może być ostatnią, kupcze, więc postaraj się wykrzesać z siebie coś naprawdę zabawnego. Dokładnie wiemy, czym dysponujesz i jak wiele może wytrzymać statek Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Jesteśmy w stanie zaaplikować ci dużo, dużo więcej. - Gwałtownym ruchem odwrócił głowę. - Przygotować się do otwarcia ognia! - Zaraz potem czarny wizjer z prześwitującymi czerwonymi punktami

sensorów ponownie skierował się w stronę Tufa. - Mamy zamiar zdobyć „Arkę”, a ty nie możesz nam w tym przeszkodzić. Trzydzieści sekund.

- Pozwolę sobie mieć na ten temat odmienne zdanie - powiedział spokojnie Haviland Tuf.

- Na moją komendę wszystkie jednostki otworzą ogień - poinformował go Ober. - Skoro się upierasz, odliczę ci ostatnie sekundy twojego życia. Dwadzieścia. Dziewiętnaście. Osiemnaście...

- Niezmiernie rzadko zdarza, się słyszeć tak energiczne i pewne odliczanie - odparł uprzejmie Tuf. - Ufam, iż niemiła wiadomość, jaką mam do przekazania, nie przeszkodzi panu w doprowadzeniu go do szczęśliwego końca.

- Czternaście. Trzynaście. Dwanaście...

Tuf splótł palce i położył ręce na brzuchu.

- Jedenaście. Dziesięć. Dziewięć...

Ober zerknął niepewnie w bok.

- Dziewięć - powtórzył z zadumą gwiazdny kupiec. - Bardzo ładna liczba. Zazwyczaj poprzedza ją osiem, a tę z kolei siedem.

- Sześć. - Ober zawahał się.

- Pięć... Tuf czekał w milczeniu.

- Cztery. Trzy... Co za niemiła wiadomość?! - ryknął z wściekłością dowódca Siódmego Skrzydła Flotylli Planetarnej.

- Jeżeli będzie pan tak krzyczał, zmusi mnie pan do zmniejszenia poziomu głośności w odbiorniku - poinformował go uprzejmie Haviland Tuf, po czym unióśł palec. - Niemiła wiadomość sprowadza się do tego, że jakkolwiek próba sforsowania systemów obronnych „Arki” - a jestem pewien, że wasza flotylla dałaby sobie z nimi radę bez żadnego problemu - spowoduje eksplozję niewielkiego ładunku termojądrowego, który pozwoliłem sobie umieścić wewnątrz głównego magazynu tkanek, co z kolei doprowadzi do nieodwracalnego zniszczenia zapasów materiałów służących do klonowania, które stanowią o wyjątkowości i nieoszacowanej wartości mojego statku.

Zapadło długie milczenie. Żarzące się sensory zdawały się pomału wypalać dziury w czarnym wizjerze hełmu Obera.

- Błefujesz - stwierdził wreszcie komandor.

- Zaiste, przejrzał mnie pan - odparł Tuf. - Jakąż głupotą z mojej strony było przypuszczać, że za pomocą tak prostego, wręcz prymitywnego wybiegu zdołam przechytrzyć człowieka o pańskiej przenikliwości i intelekcie. Obawiam się, iż teraz każe pan otworzyć

ogień, by do końca zdemaskować moje kłamstwo. Proszę jedynie o chwilę zwłoki, żebym mógł pożegnać się z moimi kotami.

Ponownie ułożył splecione dłonie na imponującym brzuchu i spokojnie czekał na reakcję oficera. Bojowe okręty Flotyli Planetarnej zbliżały się z każdą chwilą.

- Oczywiście, że to zrobię, ty przeklęty wyskrobku! - zawył Wald Ober.

- Czekam, pogrążony w ponurej rezygnacji.

- Masz dwadzieścia sekund!

- Obawiam się, że wiadomość, którą przekazałem, jednak nieco pana poruszyła. Odliczanie zatrzymało się na liczbie trzy. Niemniej pozwolę sobie bezwstydnie wykorzystać pańską pomyłkę i rozkoszować się dodatkowymi chwilami życia, jakie w ten sposób otrzymałem.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, a oni bez słowa mierzyli się wzrokiem. W pewnej chwili Dax zaczął cicho mrużyć; Tuf pogładził go po długim, czarnym futrze, a wówczas kot zamruczał jeszcze głośniejszym, wyprostował przednie łapy i wbił pazury w kolano swego pana.

- A idź do diabła! - wybuchnął wreszcie Wald Ober, po czym wycelował w Tufa palec. - Tym razem ci się upiekło, ale ostrzegam cię: nawet nie próbuj nam uciec! Jeżeli mielibyśmy stracić zapasy tkanek zmagazynowane na „Arce”, zrobilibyśmy wszystko, żebyś ty też już nigdy z nich nie skorzystał.

- Doskonale pana rozumiem, chociaż, rzecz jasna, nie identyfikuję się z pańskimi poglądami - odparł Tuf. - Z całą pewnością nie będę próbował ucieczki, ponieważ mam do spłacenia pewien dług, w związku z czym będzie pan mógł jeszcze długo podziwiać moje oblicze, ja zaś pański wspaniały hełm bojowy, kiedy tak będziemy siedzieć sobie, każdy w swoim fotelu, i poszukiwać jakiegoś wyjścia z tej patowej sytuacji.

Walter Ober nie zdążył odpowiedzieć, gdyż zniknął nagle z ekranu, jego miejsce natomiast zajęła kobieca twarz o doskonale znanych Tufowi rysach: szerokie, skrzywione usta, nos ze śladami po wielokrotnych złamaniach, gruba skóra o charakterystycznym, błękitnym zabarwieniu świadczącym o długoletnim działaniu twardego promieniowania i zażywaniu pastylek antyrakowych, jasne, błyszczące oczy otoczone siecią zmarszczek, dokoła zaś rozwiana grzywa gęstych siwych włosów.

- W porządku, koniec zgrywania twardzieli - powiedziała kobieta. - Wygrałeś, Tuf. Ober, teraz jesteś dowódcą honorowej eskorty. Dostarcz go do Sieci, niech to szlag trafi!

- Bardzo rozsądna decyzja - stwierdził z aprobatą Haviland Tuf. - Cieszę się, mogąc panią poinformować, iż jestem już w stanie uregulować do końca rachunek za

wyremontowanie i wyposażenie „Arki”.

- Mam nadzieję, że przywiozłeś też trochę karmy dla kotów - mruknęła ponuro Tolly Mune. - Ten „pięcioletni zapas”, który zostawiłeś poprzednim razem, wystarczył na niewiele ponad trzy lata. - Z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie. - Nie przypuszczam, żebyś postanowił przejść na emeryturę i zgodził się sprzedać nam „Arkę”?

- Zaiste, nie.

- Tak myślałam. Dobra, Tuf: otwieraj piwo, bo zjawię się u ciebie, tylko zacumujesz w pajęczynie.

- Pozostając z całym należnym szacunkiem, ośmielę się jednak wyznać, iż obecnie nie znajduję się w nastroju, który pozwoliłby mi w pełni docenić wizytę tak znakomitego gościa jak pani. Komandor Ober poinformował mnie przed chwilą, iż zostałem uznany za przestępcę i heretyka, co samo w sobie stanowi dość interesującą koncepcję, jako że ani nie jestem obywatelem planety S’uthlam, ani też nigdy nie należałem do wyznawców obowiązującej na niej religii. W niczym jednak nie zmniejsza to mego lęku i niepokoju.

- A, to... - Machnęła ręką. - Zwykła formalność.

- Zaiste.

- Do diabła, Tuf! Po to, żeby zabrać ci statek, potrzebowaliśmy jakiejś wymówki. Przecież jesteśmy legalnym rządem. Mamy prawo brać wszystko, co nam się podoba, pod warunkiem że uda nam się nadać naszym działaniom pozory legalności.

- Muszę przyznać, iż podczas moich rozlicznych podróży nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać równie szczerego polityka. Doświadczenie to napełnia mnie nowym animuszem. Mimo wszystko pozwolę sobie zapytać, jakimi dysponuję gwarancjami, że znalazłszy się na pokładzie „Arki”, nie będzie pani kontynuowała wysiłków zmierzających do jej zagarnięcia?

- Kto, ja? - zapytała ze zdumieniem Tolly Mune. - A jak, twoim zdaniem, miałabym się do tego zabrać? Nie bój się, przylecę sama. - Uśmiechnęła się. - To znaczy prawie sama. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli wezmę ze sobą kota?

- Skądże znowu - odparł Tuf. - Miło mi, że zwierzęta, które pozostawiłem pod pani opieką, doskonale radziły sobie podczas mojej nieobecności. Będę z niecierpliwością oczekiwał pani przybycia, kapitanie Mune.

- Przewodnicząca Rady Planety, jeżeli chodzi o ścisłość - burknęła, po czym zniknęła z ekranu.

Z całą pewnością nikt nigdy nie znalazł najmniejszego powodu, aby zarzucić Tufowi

nieostrożność; „Arka”, z wciąż działającymi obronnymi polami siłowymi, przycumowała do jednego z doków położonych najdalej od centrum Portu S’uthlam. Wkrótce potem do olbrzyma zbliżył się niewielki statek kosmiczny, który Tolly Mune otrzymała od Tufa podczas jego poprzedniej wizyty na planecie.

Haviland Tuf wyłączył na chwilę pole siłowe, a następnie uruchomił mechanizmy otwierające ogromną kopułę nad lądowiskiem. Czujniki „Arki” poinformowały go, że w mniejszej jednostce aż roi się od żywych organizmów, z których tylko jeden jest człowiekiem, reszta zaś wykazuje typowo kocie cechy. Tuf, przyodziany w ciemnozielony zamszowy kombinezon spięty paskiem na okazałym brzuchu, wyjechał gościowi na spotkanie trójkołowym wózkiem na baloniastych oponach. Na głowie miał nieco podniszczoną czapkę z dużym daszkiem, nad którym pysznił się złocisty emblemat Inżynierskiego Korpusu Ekologicznego. Na kolanach ułożył mu się Dax, przypominający rozleniwioną stertę czarnego futra.

Jak tylko otworzyła się śluza, Tuf skierował trójkołowiec między rzędami nagromadzonych w ciągu minionych lat, mniej lub bardziej zdewastowanych statków kosmicznych, ku miejscu, gdzie Tolly Mune, dawniej kapitan Portu S’uthlam, energicznym krokiem schodziła po trapie ze swojego promu.

Obok niej kroczył kot.

Dax natychmiast poderwał się na równe łapy, a jego ciemna sierść zjeżyła się w okamgnieniu, jakby wsadził ogon do gniazdka elektrycznego. Po charakterystycznej dla niego ociężałości nie pozostał najmniejszy ślad; kocur zeskoczył z kolan Tufa na przód wózka i zasyczał przeraźliwie.

- Czy tak powinno się witać kuzyna, Dax? - zapytała z uśmiechem Tolly Mune i nachyliła się, aby pogłaskać towarzyszące jej zwierzę.

- Spodziewałem się ujrzeć Żal i Niewdzięczność - powiedział Tuf.

- Och, mają się znakomicie - odparła. - Podobnie jak całe ich cholerne potomstwo. To już kilka pokoleń. Powinnaś była się tego spodziewać, skoro dałaś mi parkę. Jest ich... - Zmarszczyła brwi i szybko policzyła na palcach, a potem jeszcze raz. - Szesnaście, jeśli się nie mylę. Tak, szesnaście. Z tego dwie kotki w ciąży. - Wskazała kciukiem swój prom. - Ta przeklęta skorupa zamieniła się w kosmiczną hodowlę kotów, z których większość radzi sobie w nieważkości nie gorzej ode mnie, bo tutaj urodziły się i wychowały. Chyba jednak nigdy nie zrozumieć, jak to możliwe, żeby były takie zgrabne i zwinne, a zaraz potem tak niesamowicie ociężałe.

- W kocim charakterze można doszukać się wielu sprzeczności - zauważył Tuf.

- A to jest Kufel. - Wzięła kota na ręce i wyprostowała się z wyraźnym trudem. - Do licha, ależ on ciężki! W zerowej grawitacji łatwo o tym zapomnieć.

Dax ponownie zasyczał, ściągając na siebie wyniosłe, a zarazem doskonale obojętne spojrzenie ogromnego kocura, przytulonego do starego, obcisłego kombinezonu Tolly Mune.

Haviland Tuf miał dwa i pół metra wzrostu oraz potężny, wystający brzuch. W porównaniu z innymi kotami Dax był równie duży, jak jego właściciel w porównaniu z innymi ludźmi.

Kufel był jeszcze większy.

Miał sierść o długich, jedwabistych włosach, srebrnoszarych przy skórze, a nieco ciemniejszych na końcach, oraz oczy tego samego koloru, przypominające dwa głębokie jeziora, spokojne, choć zarazem groźne. Ponad wszelką wątpliwość był najpiękniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek żyło w tym, wciąż powiększającym się, wszechświecie, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, gdyż zachowywał się jak księżę urodzony po to, aby prędzej czy później przywdziać królewskie szaty.

Tolly Mune opadła ciężko na fotel pasażera.

- On też ma zdolności telepatyczne - oznajmiła z zadowoleniem. - Tak samo jak twój.

- Zaiste - odparł Tuf. Zirytowany Dax posykiwał co chwila na jego kolanach.

- Tylko dzięki niemu udało mi się ocalić pozostałe koty - powiedziała Tolly z wymówką w głosie. - Nabajdurzyłeś mi, że zostawiasz zapas karmy, który powinien wystarczyć co najmniej na pięć lat.

- Dla dwóch kotów, szanowna pani. Jest chyba oczywiste, że szesnaście kotów potrzebuje więcej żywności niż same Żal i Niewdzięczność.

Dax nastroszył się i odsłonił zęby.

- Kiedy skończyły się zapasy, musiałam nieźle główkować, żeby wymyślić jakiś powód uzasadniający marnowanie cennych kalorii na jakieś szkodniki.

- Należało raczej podjąć kroki zmierzające do ograniczenia ich zdolności rozrodczych - powiedział Tuf. - W ten sposób szybko osiągnęłaby pani pożądane rezultaty, dając jednocześnie znakomity przykład pozostałym S'uthlamczykom, jak łatwo można rozwiązać gnębiące ich problemy.

- Mówisz o sterylizacji? - zapytała Mune. - Przecież w ten sposób naruszyłabym prawo do życia! Wpadłam na lepszy pomysł: dokładnie opisałam Daxa paru znajomym biotechnikom, a oni wyklonowali mi podobny egzemplarz z kilku komórek pobranych Niewdzięczności.

- Wykazała się pani nadzwyczajną przebiegłością. Uśmiechnęła się szeroko.

- Kufel ma teraz prawie dwa lata. Okazał się tak użyteczny, że dostałam przydział kalorii także dla pozostałych kotów. Bardzo pomógł również mojej karierze politycznej.

- Nie wątpię - odparł Tuf. - Widzę także, iż nie sprawia mu kłopotów przebywanie poza stanem nieważkości.

- Skądże znowu. Ostatnio potrzebują mnie na dole częściej, niż mogłabym sobie tego życzyć, a on zawsze mi towarzyszy. Wszędzie.

Dax ponownie syknął, zamiauczał groźnie, po czym wystartował w kierunku większego kota, ale zaraz zahamował, cofnął się i tylko parsknął z nienawiścią.

- Lepiej trzymaj go przy sobie, Tuf - powiedziała Przewodnicząca Rady Planety.

- Koty ulegają niekiedy instynktowi nakazującemu im walczyć między sobą w celu ustalenia hierarchii w grupie. Szczególnie dotyczy to samców. Dax, bez wątpienia w znacznej mierze dzięki swoim nadzwyczajnym zdolnościom, już dawno temu zdominował wszystkie koty przebywające na pokładzie „Arki”. Zapewne teraz doszedł do wniosku, że jego pozycja jest zagrożona, ale nie należy się tym zanadto przejmować, Przewodnicząca Mune.

- Zależy, jak na to patrzeć - odparła Tolly. Czarny kocur ponownie ruszył w kierunku większego rywala, ale ten tylko spojrzał na niego z miażdżącą pogardą.

- Obawiam się, że nie rozumiem - powiedział Tuf.

- Kufel nie tylko dysponuje takimi samymi umiejętnościami telepatycznymi, jak twój Dax, ale został też... hmm... ulepszony na kilka innych sposobów. Ma wszczepione pazury z duraluminium, podskórną sieć z plastostalowych włókien, czas reakcji dwukrotnie szybszy od zwykłego kota i niesamowitą wytrzymałość na ból. Nie mówię tego wszystkiego po to, żeby się chwalić, tylko dlatego, że gdyby doszło do jakiegoś nieporozumienia, to Kufel w ciągu kilku sekund przerobi Daxa na stertę kłaków do materaca.

Haviland Tuf zamrugał, po czym przekazał kierownicę pasażerce.

- Chyba będzie lepiej, jeśli pani poprowadzi, kapitanie Mune. Zaraz potem chwycił czarnego kocura za skórę na karku i nie zważając na wrzaski i wierzgania, umieścił go na swoim wypukłym brzuchu, po czym unieruchomił silnym uściskiem.

- Proszę jechać w tamtą stronę - powiedział, wskazując kierunek długim palcem.

- Wygląda na to - zauważył Haviland Tuf, obserwując gościa z głębin obszernego fotela - że od mojej ostatniej wizyty na S'uthlam sytuacja uległa daleko idącym zmianom.

Tolly Mune także przyglądała mu się uważnie. Brzuch był jeszcze większy niż kiedyś, a na pociągłej twarzy w dalszym ciągu nie malowały się żadne uczucia, ale bez Daxa w objęciach Haviland Tuf wydawał się niemal nagi. Czarny kocur został zamknięty na jednym z niższych pokładów, aby nie miał okazji zetrzeć się z Kuflem. Ponieważ wiekowy statek miał

trzydzieści kilometrów długości, a na wspomnianym pokładzie mieszkało co najmniej kilka spośród licznych kotów Tufa, Dax nie powinien uskarżać się ani na brak miejsca, ani towarzystwa, choć z pewnością źle znosił rozłąkę, ponieważ od lat ani na chwilę nie rozstawał się z Tufem, a jako mały kociak mieszkał w jednej z obszernych kieszeni jego kombinezonu. Tolly Mune było trochę żal zwierzaka.

Ale tylko trochę. Dax stanowił przecież atutową kartę Tufa, a teraz właściciel „Arki” został jej pozbawiony. Uśmiechnęła się i przesunęła ręką po gęstym, srebrzystoszarym futrze Kufła, który odpowiedział głębokim pomrukiem.

- Z tymi okolicznościami jest tak, że im bardziej się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same.

- To jedno z tych pozornie głębokich stwierdzeń, którym wystarczy poświęcić tylko odrobinę uwagi, aby przekonać się, iż są wewnętrznie sprzeczne, a tym samym całkowicie pozbawione logiki - odparł Tuf. - Jeżeli na S'uthlam okoliczności istotnie uległy zmianie, wobec tego nie mogą już być takie same jak przedtem. Komuś, kto tak jak ja przybywa po długiej niebytności, zmiany natychmiast rzucają się w oczy. Weźmy na przykład trwającą wojnę oraz pani wyniesienie do godności Przewodniczącej Rady Planety, co ponad wszelką wątpliwość stanowi istotne, a zarazem niespodziewane wydarzenie.

- A jednocześnie wiąże się z koniecznością wykonywania cholernie paskudnej roboty - dodała Tolly Mune z niechętnym grymasem. - Gdybym tylko mogła, bez wahania wróciłabym na stałe do Pajęcznika.

- Pani zadowolenie z obecnie wykonywanej pracy, lub jego brak, nie ma tu nic do rzeczy. Należy także zauważyć, iż powitanie, jakie spotkało mnie tym razem, było zdecydowanie mniej serdeczne niż podczas mojej poprzedniej wizyty, i to pomimo faktu, że dwukrotnie już ocaliłem S'uthlam przed klęską głodu, kanibalizmem, wyniszczającymi epidemiami, zburzeniem systemu społecznego oraz wieloma innymi, niemiłymi i mało pożądanymi wydarzeniami. Ośmielę się również stwierdzić, że nawet najbardziej okrutne i prymitywne istoty często potrafią się zdobyć na zachowanie choćby pozorów grzeczności względem kogoś, kto przywozi im jedenaście milionów kredytek - jak może sobie pani przypomina, taką właśnie kwotę jestem jeszcze winien Portowi S'uthlam. Ergo, miałem wszelkie podstawy oczekiwać zupełnie innego przyjęcia niż to, jakie mi zgotowano.

- Myliłeś się - odparła lakonicznie Mune.

- Zaiste. Jednak teraz, kiedy dowiedziałem się, że zajmuje pani najwyższe stanowisko w politycznej hierarchii planety, zamiast wieść nędzny żywot w jednej z kolonii karnych, tym bardziej nie rozumiem, dlaczego wasza Flotylla Planetarna czekała na mnie w pełnej

gotowości bojowej, jej dowódcy zaś zasypali mnie aroganckimi pogroźkami oraz jednoznacznie wrogimi deklaracjami.

Tolly Mune podrapała Kufla za uchem.

- Dlatego że wydałam taki rozkaz. Tuf splótł dłonie na brzuchu.

- Oczekuję dalszych wyjaśnień.

- Sam rozumiesz: im bardziej zmieniają się okoliczności...

- Zetknąwszy się nie tak dawno z tą mało przekonującą sentencją, jestem w stanie wyczuć ironię, jakiej miało służyć jej powtórzenie, wobec czego może pani oszczędzić sobie trudu kończenia tego zdania, by przejść bezpośrednio do sedna sprawy.

Przewodnicząca Rady Planety westchnęła ciężko.

- Znasz naszą sytuację.

- Przynajmniej w ogólnych zarysach - potwierdził Tuf. – S’uthlam cierpi na nadmiar ludności przy jednoczesnym niedoborze kalorii. Dwa razy już wspinałem się na wyżyny moich skromnych umiejętności inżyniera ekologa, by oddalić zagrażające wam widmo powszechnego głodu. Szczegóły gnębiącego was kryzysu z pewnością zmieniają się z roku na rok, ale wydaje mi się, że jego zasadnicze aspekty pozostają wciąż takie same.

- Najnowsze prognozy są jeszcze gorsze.

- Zaiste. O ile sobie przypominam, S’uthlam dzieliło od ostatecznej katastrofy około stu dziewięciu lat standardowych, naturalnie pod warunkiem ścisłego przestrzegania moich zaleceń i sugestii.

- Naprawdę się staraliśmy, Tuf. Mięsozwierze, krowie strąki, ororo, szal Neptuna - wszystko zostało wprowadzone. Niestety, nie udało się dokonać przełomu. Zbyt wielu wpływowych ludzi ani myślało rezygnować z luksusu urozmaiconego jedzenia, w związku z czym znaczne obszary ziemi uprawnej nadal są wykorzystywane jako pastwiska, a na ogromnych terenach wciąż jeszcze uprawia się neotrawę i omnizboże. Tymczasem krzywa przyrostu naturalnego pnie się ostro w górę, znacznie szybciej niż kiedykolwiek do tej pory, a ten cholerny Kościół Życia Rozkwitającego grzmi o świętości życia i o arcyważnej roli, jaką niepoohamowana reprodukcja ma odegrać w dążeniu ludzi ku transcendencji i boskości.

- Jakie są najświeższe szacunki? - zapytał wprost Tuf.

- Dwanaście lat. Haviland Tuf uniósł palec.

- Może nakazałaby pani Waldowi Oberowi, aby dla osiągnięcia większego dramatyzmu odliczał upływające minuty przed kamerami waszej ogólnoplanetarnej sieci wizyjnej? Być może taki spektakl skłoniłby S’uthlamczyków do poważnego zastanowienia się nad ich dotychczasowym postępowaniem.

Tolly Mune skrzywiła się z niesmakiem.

- Oszczędź mi niewczesnych żartów, Tuf. Jestem teraz Przewodniczącą Rady Planety i stoję twarzą w twarz z paskudną, przyszczatą katastrofą. Wojna i problemy żywnościowe stanowią tylko jej niewielki fragment. Nawet nie wyobrażasz sobie, co jeszcze mnie czeka.

- Istotnie, szczegóły są trudno dostrzegalne, ale ogólny zarys sytuacji jest aż nadto wyraźnie widoczny - odparł Haviland Tuf. - Nigdy nie rościłem sobie pretensji do miana wszechwiedzącego, lecz każda, nawet przeciętnie inteligentna osoba, zdolna do obserwacji faktów, potrafi także wysnuwać na ich podstawie wnioski. Bez pomocy Daxa trudno mi stwierdzić, czy są one stuprocentowo słuszne, ale odnoszę wrażenie, iż chyba się nie mylę.

- Co za cholerne fakty? Jakie wnioski?

- Po pierwsze: S'uthlam znajduje się w stanie wojny z Yandeen i jej sojusznikami. Należy więc przyjąć, że frakcja technokratów, dominująca niegdyś na scenie politycznej planety, straciła władzę na rzecz antagonistycznego obozu ekspansjonistów.

- Nie do końca, ale coś w tym rodzaju - przyznała Mune. - W każdych kolejnych wyborach ekspansjoniści zdobywali więcej mandatów, ale my wchodziliśmy w przeróżne koalicje, dzięki czemu udawało nam się spychać ich do opozycji. Ambasadorowie sprzymierzonych planet już wiele lat temu dali jasno do zrozumienia, że dopuszczenie ekspansjonistów do władzy oznacza wojnę. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie mamy jeszcze rządów ekspansjonistów, natomiast mamy już cholerną wojnę. - Potrząsnęła głową. - W ciągu minionych pięciu lat zmieniło się dziewięciu Przewodniczących Rady Planety. Ja jestem aktualnym, co wcale nie znaczy, że ostatnim.

- Pesymizm najnowszych prognoz zdaje się jednak świadczyć o tym, że działania wojenne nie dotknęły jeszcze bezpośrednio ludności planety?

- Dzięki życiu, nie. Zdążyliśmy przygotować się na przywitanie nieprzyjaciela: nowe okręty, nowe systemy obrony, naturalnie wszystko budowane w głębokiej tajemnicy. Kiedy dowódcy sił koalicyjnych zobaczyli, co na nich czeka, wycofali się, nie oddając ani jednego strzału, ale prędzej czy później wrócą. To tylko kwestia czasu. Według najnowszych doniesień wywiadu szykują się do przeprowadzenia zmasowanego ataku.

- Z tego, co pani mówi, a także ze sposobu, w jak i pani to mówi, wnioskuję, iż warunki życia na planecie ulegają ciąglemu, bardzo szybkiemu pogorszeniu.

- Skąd o tym wiesz, do diabła?

- Sprawa jest oczywista - odparł Tuf. - Nawet jeśli wasze prognozy przewidują nadejście masowego głodu za prawie dwanaście lat standardowych, to przecież trudno przypuszczać, żeby życie S'uthlamczyków pozostało przez cały czas miłe i spokojne, by

nagle, na dźwięk dzwonka, lec w gruzach wraz z całym ich światem. Ponieważ znajdujecie się już tak blisko krawędzi, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musicie doświadczać wielu niedoli, jakie stają się udziałem każdej rozpadającej się społeczności.

- Chodzi o to, że... Do licha, od czego powinnam zacząć?

- Byłoby chyba dobrze, gdyby spróbowała pani od początku - poradził Haviland Tuf.

- To są moi ludzie, Tuf. To moja planeta obraca się tam, w dole. To dobrzy ludzie i dobra planeta, ale sądząc po tym, co dzieje się ostatnio, jestem skłonna twierdzić, że opanowała ją błyskawicznie rozprzestrzeniająca się zaraza szaleństwa. Od twojej poprzedniej wizyty przestępczość wzrosła o dwieście procent, ale liczba zabójstw o pięćset, a samobójstw o ponad dwa tysiące procent. Na porządku dziennym są awarie sieci energetycznej, systemów komunikacyjnych, dzikie strajki i akty wandalizmu. Według naszych informatorów w podziemnych miastach szerzy się kanibalizm - nie chodzi o odosobnione przypadki, ale o całe gangi polujące na ludzi. Powstają najróżniejsze tajne stowarzyszenia. Nie tak dawno uzbrojona po zęby banda zajęła fabrykę żywności i przez dwa tygodnie odpierała ataki policji i wojska. Jacyś wariaci zaczęli porywać ciężarne kobiety i... - Tolly Mune skrzywiła się, a Kufel zasyczał głośno. - Aż trudno mi o tym mówić. Brzemenna kobieta zawsze stanowiła dla S'uthlamczyków coś w rodzaju świętości, ale ci... Nawet nie mogę nazwać ich ludźmi, Tuf. Te... te stwory zasmakowały w...

Haviland Tuf podniósł rękę.

- Domyślam się, co chce pani powiedzieć. Proszę kontynuować.

- Są też szaleńcy działający w pojedynkę. Półtora roku temu ktoś wpuścił wysokotoksyczne ścieki do zbiorników fabryki przetwarzającej odpady na produkty żywnościowe. Było ponad tysiąc dwieście ofiar śmiertelnych. Jeżeli chodzi o kulturę masową... Społeczeństwo S'uthlam zawsze było bardzo tolerancyjne, ale ostatnio nasza tolerancja jest wystawiana na coraz poważniejsze próby, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ludzie ulegają obsesjom dotyczącym śmierci i przemocy, a my napotykamy silny opór, próbując zmodyfikować ekosystem zgodnie z twoimi zaleceniami. Mięsozwierze są wysadzane w powietrze, nieznani sprawcy podpalają plantacje krowich strąków, a zorganizowane gangi uganiają się śmigaczami za tymi cholernymi ororo. To wszystko zupełnie nie ma sensu. Nowe, najdziwniejsze sekty wyrastają wszędzie jak grzyby po deszczu, a teraz jeszcze ta wojna! Licho wie, ilu ludzi w niej zginie, ale prawie wszyscy do niej dążą. Całkiem możliwe, że stała się już bardziej popularna niż seks.

- Zaiste - odparł Tuf. - Szczerze mówiąc, wcale nie jestem zdziwiony. Przypuszczam, że podobnie jak poprzednio, informacje o zbliżającej się katastrofie stanowią pilnie strzeżoną

tajemnicę, znaną jedynie członkom Rady Planety?

- Niestety, nie - westchnęła Tolly Mune. - Jedna z jej najmniej ważnych członkiń uznała, że zsiła się w majtki, jeśli nie podzieli się z kimś tą wiadomością, więc zwołała konferencję prasową i poinformowała o wszystkim całą planetę. Przypuszczam, że chciała w ten sposób zdobyć parę milionów nowych głosów w najbliższych wyborach, co zresztą jej się udało. Przy okazji wybuchł nie lada skandal, w wyniku czego kolejny Przewodniczący musiał ustąpić ze stanowiska. Wiesz, kto zajął jego miejsce? Właśnie ta gadatliwa jędza, Mama Pająk we własnej osobie.

- Odnoszę wrażenie, że mówi pani o sobie samej - zauważył Haviland Tuf.

- Ale wtedy nikt już mnie nie nienawdził. Miałam opinię sprawnego urzędnika, wciąż jeszcze krążyły różne romantyczne opowieści na mój temat, a co najważniejsze, mogła mnie zaakceptować każda z najważniejszych frakcji w Radzie. Było to trzy miesiące temu i od tego czasu nie miałam ani chwili spokoju. - Uśmiechnęła się ponuro. - Ci z Yandeen także oglądają nasze programy informacyjne. W chwili, kiedy podano wiadomość o objęciu przeze mnie stanowiska, uznali, że S'uthlam stanowi, cytuję: zagrożenie dla pokoju i stabilności w tej części galaktyki, koniec cytatu, po czym zwołali wszystkich swoich cholernych sojuszników, żeby ustalić, co z nami począć. Ostatecznie wystosowali ultimatum: albo natychmiast wprowadzimy obowiązkową kontrolę urodzeń, albo oni zajmą S'uthlam i wprowadzą ją siłą.

- Bardzo sensowne rozwiązanie, choć z pewnością przedstawione w mało taktowny sposób - stwierdził Tuf. - Stąd też ta wojna. Wszystko to jednak w dalszym ciągu nie wyjaśnia przyczyn tak wrogiego nastawienia do mojej osoby. Dwa razy już udało mi się oddalić od was widmo zagłady, więc chyba nie przypuszczaliście, że teraz odmówię wam pomocy?

- Byłam pewna, że zrobisz, co będziesz mógł, ale na swoich warunkach. Do diabła, Tuf! Pomagałeś nam, owszem, ale zawsze to ty ustalałeś warunki, a wszystkie rozwiązania, jakie nam zaproponowałeś, okazały się cholernie krótkotrwałe!

- Wielokrotnie ostrzegałem was, że mogę tylko odwlec nieszczęście.

- Ostrzeżeniami jeszcze nikt się nie najadł. Przykro mi, ale nie mamy wyboru. Tym razem nie możemy pozwolić, żebyś zalepił nam małym plasterkiem silnie krwawiącą ranę i zniknął na następnych parę lat, bo kiedy zjawiłbyś się tu znowu, żeby zobaczyć, jak się miewamy, nie byłoby już z nas nawet co zbierać. Potrzebujemy „Arki”, Tuf, ale potrzebujemy jej na stałe. Będziemy potrafili ją wykorzystać. Dziesięć lat temu powiedziałeś, że nie znamy się ani na biotechnologii, ani na ekologii, i miałeś całkowitą rację. Wtedy. Ale czasy się

zmieniają. Udało nam się stworzyć jedną z najbardziej rozwiniętych cywilizacji w zamieszkanym przez ludzi kosmosie, a przez minione dziesięć lat skoncentrowaliśmy wysiłki na szkoleniu właśnie ekologów i bioinżynierów. Moi poprzednicy sprowadzili z Avalonu i Newholme'u najlepszych specjalistów w tych dziedzinach, prawdziwych geniuszy. Ba, ściągnęli nawet paru genetyków z Prometeusza. - Pogłaskała kota i uśmiechnęła się lekko. - To właśnie oni pomogli stworzyć Kufla.

- Zaiste - mruknął Tuf.

- Potrafimy w pełni wykorzystać możliwości „Arki”. Choćbyś był nie wiadomo jak genialny, Tuf, to jesteś tylko jeden, a my chcemy umieścić twój statek na orbicie i obsadzić go dwuosobową załogą złożoną z najlepszych uczonych i techników, którzy będą bez przerwy, dzień w dzień, szukali drogi wyjścia z naszych problemów. Magazyn tkanek „Arki” oraz informacje przechowywane w pamięci jej komputerów stanowią naszą jedyną, ostatnią nadzieję - z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. Wierz mi, Tuf, zanim wydałam Oberowi rozkaz zajęcia twojego statku siłą, przeanalizowałam wszystkie możliwe rozwiązania, ale czy miałam jakiś wybór, wiedząc, że ani go nie sprzedasz, ani nie oddasz z własnej woli? Nie chcemy cię oszukać. Dostaniesz za niego uczciwą cenę. Obstawałam przy tym i nadal będę obstawać.

- Zakładała więc pani, że po zbrojnym zajęciu „Arki” pozostanę przy życiu. Przyznam, iż pani optymizm budzi we mnie niesłychaną otuchę.

- Ale teraz przecież żyjesz, a ja nadal chcę kupić od ciebie tę cholerną skorupę. Możesz zostać na pokładzie i pracować z naszymi ludźmi. Jestem gotowa zapewnić ci dożywotnie zatrudnienie na warunkach, jakie sam ustalisz. Mogę nawet darować ci ten jedenastomilionowy dług. Chcesz, żebyśmy przemianowali planetę na twoją cześć? Proszę bardzo, powiedz tylko słowo.

- Bez względu na to, jaką nosiłaby nazwę, nadal byłaby przeludniona - odparł Tuf. - Gdybym zgodził się na proponowaną transakcję, zapewne staralibyście się wykorzystać „Arkę” dla znalezienia sposobów zwiększenia produkcji żywności w celu nakarmienia głodującej populacji?

- Oczywiście.

Na bladej twarzy Tufa nie drgnął ani jeden mięsień.

- Miło mi, że ani pani, ani żadnemu z jej współpracowników z Rady Planety nie zaświtała myśl, iż „Arkę” można wykorzystać także jako potężny arsenał broni biologicznej. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że ja dawno już utraciłem taką, podziwu godną, niewinność, w związku z czym oczami wyobraźni widzę „Arkę” siejącą zniszczenie na

Yandeen, Skrymirze, Jazbo oraz pozostałych planetach wchodzących w skład zagrażającego wam sojuszu. Działania te, połączone z zakrojonym na gigantyczną skalę ludobójstwem, pozwoliłyby przygotować tereny pod masową kolonizację, za którą, o ile mi wiadomo, gorąco opowiada się frakcja ekspansjonistów.

- To cholerne, bezpodstawne oszczerstwo! - prychnęła Tolly Mune. - Nie zapominaj, że dla S'uthlamczyków życie jest największą świętością.

- Zaiste. Co prawda zdaję sobie sprawę, iż daję w tej chwili dowód nieuleczalnego cynizmu, ale nie mogę powstrzymać się od zwrócenia pani uwagi, że pewnego dnia S'uthlamczycy mogą dojść do wniosków, że nie każde życie jest warte tego, by otaczać je czcią i szacunkiem.

- Przecież znasz mnie, Tuf. Doskonale wiesz, że nie pozwoliłabym na coś takiego.

- A gdyby, mimo pani obiekcji, taki plan został jednak uchwalony, bez wątpienia natychmiast zrezygnowałaby pani z zajmowanego stanowiska. Wobec tego jestem całkowicie spokojny, ale mam niejasne podejrzenie, iż przywódcy sprzymierzonych planet mogą nie podzielać moich poglądów.

Tolly Mune podrapała Kufla pod brodą, na co kocur zareagował basowym pomrukiem. Oboje nie spuszczaali wzroku z Tufa.

- Posłuchaj - powiedziała Przewodnicząca Rady Planety. - Gra idzie o miliony istnień ludzkich, może nawet o miliardy. Mogłabym pokazać ci rzeczy, na których widok włosy zjeżyłyby ci się na głowie - gdybyś je miał, ma się rozumieć.

- Ponieważ jednak ich nie mam, odbieram pani słowa jako barwną przenośnię.

- Jeśli zgodzisz się polecieć ze mną do Pajęcznika, zjedziemy windą na powierzchnię S'uthlam, żeby...

- Chyba nie skorzystam z tej propozycji. Wobec wojowniczych nastrojów, jakie panują obecnie na pani planecie, postąpiłbym bardzo nieroztropnie, zostawiając „Arkę” pustą i bezbronną. W dodatku, choć może uzna pani to za przesadę, wraz z upływem lat zdaję się coraz gorzej znosić kłębiące się tłumy, hałas, natarczywe spojrzenia, dotknięcia setek rąk, wodniste piwo oraz mikroskopijne porcje pozbawionej smaku żywności, a jeżeli dobrze sobie przypominam, takie właśnie atrakcje czekają mnie na powierzchni S'uthlam.

- Nie chcę ci grozić, Tuf...

- ...ale, jak się domyślam, jest pani zmuszona to uczynić.

- Nie pozwolimy ci opuścić naszego układu. I nie próbuj wykiwać mnie tak, jak zrobiłeś z Oberem; ta historia z bombą to cholerny bief, i oboje doskonale o tym wiemy.

- Przejrzała mnie pani na wylot - odpowiedział Haviland Tuf z nieruchomą twarzą.

Kufel parsknął na niego, a Tolly Mune spojrzała ze zdumieniem na ogromnego kota.

- Więc to jednak prawda? - wykrztusiła. - A niech mnie licho! Tuf i Kufel wpatrywali się sobie w oczy. Żaden nawet nie mrugnął.

- Zresztą, to bez znaczenia - oświadczyła Mune. - Zostajesz tutaj, Tuf, więc będzie lepiej, jeśli zaczniesz przyzwyczajać się do tej myśli. Nasze nowe okręty naprawdę mogą cię zniszczyć, i zrobią to, jeśli spróbujesz ucieczki.

- Zaiste. Ja natomiast zniszczę magazyn tkanek, jeśli spróbujecie wdrzeć się siłą na pokład „Arki”. Sytuacja wygląda więc na patową, ale na szczęście wcale nie musi trwać w nieskończoność. Podróżując po usianym gwiazdami kosmosie, często myślałem o S’uthlam, a kiedy tylko miałem chwilę czasu, prowadziłem metodyczne badania mające na celu znalezienie satysfakcjonującego, trwałego rozwiązania waszych problemów.

Kufel usiadł na kolanach Mune i zaczął głośno mruczeć.

- I co, znalazłeś je? - zapytała z powątpiewaniem Przewodnicząca Rady Planety.

- Już dwukrotnie S’uthlamczycy oczekiwali ode mnie cudownego rozwiązania problemów spowodowanych ich reprodukcyjnym szaleństwem oraz nadzwyczajną surowością zasad religijnych. Już dwa razy wzywano mnie, abym rozmnożył chleb i ryby. Ostatnio jednak doszedłem do wniosku - stało się to podczas lektury księgi zawierającej starożytne legendy, w tym także tę, do której właśnie się odwołałem - iż dokonałem nie tego cudu, co trzeba. Zwykle mnożenie nic nie znaczy wobec rozwoju następującego w postępie geometrycznym, a chleb i ryby, choćby nie wiadomo jak liczne i smakowite, w ostatecznym rozrachunku muszą okazać się niewystarczające wobec waszych potrzeb.

- O czym ty właściwie mówisz, do diabła? - zapytała Tolly Mune.

- Tym razem chcę wam przedstawić rozwiązanie ostateczne.

- To znaczy?

- Mannę.

- Mannę - powtórzyła Tolly.

- Pożywienie o naprawdę cudownych właściwościach. Na razie nie musicie zaprzętać sobie głowy szczegółami; poznacie je we właściwym czasie.

Przewodnicząca Rady Planety i jej kot popatrzyli podejrzliwie na Tufa.

- We właściwym czasie? A kiedy to będzie, do jasnej cholery?

- Jak tylko spełnicie moje warunki - odparł Haviland Tuf.

- Jakie warunki?

- Po pierwsze: ponieważ w najmniejszym stopniu nie uśmiecha mi się perspektywa spędzenia reszty życia na orbicie wokół S’uthlam, musi mi pani obiecać, że po wykonaniu

zadania będę mógł odlecieć, dokąd zechcę.

- Na to nie mogę się zgodzić. Zresztą, nawet gdybym to zrobiła, już sekundę później Rada Planety jednomyślnie usunęłaby mnie ze stanowiska.

- Po drugie - ciągnął niewzruszenie Tuf - należy niezwłocznie doprowadzić do zakończenia wojny. Obawiam się, iż nie zdołam skoncentrować się na pracy, jeśli będzie towarzyszyła mi świadomość, że lada chwila w pobliżu „Arki” może rozpętać się krwawa bitwa kosmiczna. Eksplodujące okręty, smugi laserowego ognia widoczne w obłokach uciekającego powietrza oraz transmitowane przez system łączności krzyki umierających ludzi z pewnością nie wpłynęłyby pozytywnie na wydajność mojej pracy. Co więcej, nie widzę powodu, aby poświęcać tak wiele czasu i wysiłku zadaniu doprowadzenia do równowagi rozchwianego ekosystemu S’uthlam, jeżeli zaraz potem bojowe okręty sił koalicyjnych miałyby zasypać powierzchnię planety bombami plazmowymi, unicestwiając w ten sposób moje skromne osiągnięcia.

- Przerwałabym tę wojnę, gdybym tylko mogła, ale to nie takie proste. Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

- Jeśli nie ostateczny pokój, to choć krótkotrwałe zawieszenie broni. Mogłaby przecież pani wysłać emisariusza z propozycją rozejmu.

- To już bardziej prawdopodobne - zgodziła się Tolly Mune. - Ale po co? - Kufel miauknął z niepokojem. - Do licha, ty na pewno coś knujesz!

- Owszem: wasze ocalenie. Proszę mi wybaczyć, jeśli nieświadomie ingeruję w dalekosiężne plany zmierzające do osiągnięcia interesujących zmian genetycznych drogą mutacji popromiennej.

- Potrafimy się obronić. Poza tym nie chcieliśmy tej wojny!

- Ogromnie mnie to cieszy, gdyż wynika z tego, że krótka przerwa nie sprawi wam większego kłopotu.

- Nasi przeciwnicy nigdy się na to nie zgodzą, zresztą podobnie jak Rada Planety.

- Wielka szkoda - powiedział spokojnie Tuf. - Może więc powinniśmy dać S’uthlamczykom trochę czasu do namysłu? Jestem pewien, że za dwanaście lat ci spośród nich, którzy ocaleją, okażą się bardziej skłonni do kompromisu.

Tolly Mune w milczeniu wyciągnęła rękę i podrapała Kufla za uchem. Kocur wpatrywał się w Tufa, a po chwili z jego gardła wydobył się dziwny, płaczący odgłos. Kiedy Przewodnicząca Rady Planety wstała raptownie z miejsca, kot zeskoczył miękko na podłogę.

- Wygrałeś, Tuf - oświadczyła. - Zaprowadź mnie do centrali łączności, żebym mogła wszystko załatwić. Ty możesz czekać w nieskończoność, ale ja nie. Ludzie umierają nawet

teraz, kiedy rozmawiamy. - Mówiła ostro i twardo jak zwykle ale w głębi duszy, oprócz gnębiącego ją niepokoju, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła coś w rodzaju nadziei. Może naprawdę uda mu się zakończyć wojnę i rozwiązać kryzys? Może naprawdę jest jakaś szansa? Nie pozwoliła jednak, aby te mieszane uczucia znalazły odbicie w jej głosie. - Tylko nie myśl sobie, że uda ci się spłatać nam jakiegoś psikusa!

- Szczerze mówiąc, poczucie humoru nigdy nie było moją najsilniejszą stroną - odparł Tuf.

- Pamiętaj, że mam Kufła. Dax tak się przestraszył, że nie będziesz miał z niego żadnego pożytku, a Kufel da mi znać natychmiast, jak tylko zaczną chodzić ci po głowie myśli o zdradzie!

- Moje najlepsze zamiary nieodmiennie spotykają się z krzywdzącymi podejrzeniami.

- Kufel i ja będziemy twoimi cholernymi cieniami, Tuf. Zostanę na tym statku dopóty, dopóki nie wywiążesz się z zadania, i będę się uważnie przyglądać wszystkiemu, co robisz.

- Zaiste - powiedział Haviland Tuf.

- Chciałabym, żebyś sobie zapamiętał parę rzeczy - ciągnęła Mune. - Teraz ja jestem Przewodniczącą Rady Planety, nie Josen Rael ani nie Cregor Blaxon. Ja. Kiedy jeszcze byłam kapitanem Portu, nazywali mnie Stalową Wdową. Jak będziesz miał chwilę czasu, możesz zastanowić się dlaczego.

- Na pewno to uczynię - odparł Tuf, wstając z fotela. - Czy życzy sobie pani, abym jeszcze coś przemyślał?

- Tylko jedno: pewną scenę z filmu *Tuf i Mune*.

- Jeśli mam być szczery, to robiłem, co w mojej mocy, aby zapomnieć o tym pożałowania godnym wytworze przemysłu rozrywkowego. Którą konkretnie scenę ma pani na myśli?

- Tę, w której jeden z kotów rozszarpuje strażnika na strzępy - odparła Tolly Mune z niewinnym uśmiechem.

Kufel otarł się o jej kolano, zmierzył Tufa przeciągłym spojrzeniem i zamruczał donośnie.

Uzgodnienie warunków rozejmu zajęło niemal dziesięć dni, potem zaś trzeba było poczekać jeszcze trzy na przybycie wysłanników sił koalicyjnych. Tolly Mune spędziła ten czas, włączając się po „Arce” dwa kroki i jedną myśl za Havilandem Tufem, zasypując go pytaniami, zaglądając mu przez ramię, towarzysząc podczas inspekcji zbiorników, w których odbywało się rozmnażanie tkanek, pomagając karmić koty oraz starając się nie dopuścić

wrogo nastawionego Daxa w pobliże Kufla. Jak na razie, nie stwierdziła, by Tuf robił coś podejrzanego.

Codziennie miała do załatwienia mnóstwo spraw. Urządziła sobie biuro w centrali łączności, dzięki czemu nie musiała zbytnio oddalać się od Tufa, i tam rozstrzygała niecierpiące zwłoki problemy.

Codziennie setki ludzi próbowało skontaktować się z Havilandem Tufem, lecz on wydał komputerowi polecenie, aby ten nie łączył żadnych rozmów.

Kiedy wreszcie nadszedł wyznaczony dzień, z wnętrza długiego, luksusowego promu wyszli przedstawiciele sił koalicji, rozglądając się ze zdumieniem po zastawionym zbieraniną najróżniejszych pojazdów kosmicznych lądowisku „Arki”. Oni także prezentowali się bardzo malowniczo. Kobieta z Jazbo miała sięgającą do pasa grzywę granatowoczarnych włosów, namaszczonej wonnymi olejkami, oraz policzki pokryte bliznami świadczącymi o jej stanowisku. Skrymir przysłał krępego mężczyznę o kwadratowej, czerwonej twarzy i włosach koloru górskiego lodu. Miał kryształowobłękitne oczy oraz kolczugę niemal dokładnie tej samej barwy. Wysłannik Lazurowej Triuny poruszał się omotany siecią holograficznych projekcji, stanowiąc jedynie niezbyt wyraźny kształt przemawiający szeptem, wzmocnionym licznymi, nakładającymi się na siebie echemi. Cyborg z Roggandora był niemal równie barczysty jak wysoki, składał się zaś w równych proporcjach z duraluminium, ciemnej plastostali i ciała o cętkowanej, czerwono-czarnej skórze.

Nieduża, delikatnie zbudowana kobieta w szacie z półprzezroczystego pastelowego jedwabiu reprezentowała Planetę Henry’ego; miała ciało dorastającego chłopca i szkarłatne oczy, które mogły należeć do osoby w dowolnym wieku. Na czele grupy ambasadorów stał zwalisty, otyły, ubrany z przepychem przedstawiciel Yandeen; jego pomarszczona skóra była koloru miedzi, a długie włosy splecione w cienkie warkoczyki sięgały poniżej pasa.

Haviland Tuf nadjechał wielocłonowym pojazdem przypominającym węża na kołach i zatrzymał go przed ambasadorami. Uśmiechnięty radośnie poseł z Yandeen zrobił jeszcze jeden krok naprzód, mocno uszczypnął się w pełny policzek, a następnie złożył głęboki ukłon.

- Podałbym ci rękę, ale pamiętam, że nie byłeś zwolennikiem tego zwyczaju - powiedział. - Pamiętasz mnie, mucho?

Haviland Tuf mrugnął dostojnie.

- Przypominam sobie jak przez mgłę, że jakieś dziesięć lat temu spotkałem pana w kapsule podczas podróży z Pajęcznika na powierzchnię S’uthlam.

- Ratch Norren - przedstawił się mężczyzna. - Nie jestem zawodowym dyplomatą, ale Zespół Koordynatorów doszedł do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli wyślą kogoś, kto już się

z tobą zetknął i dobrze zna zwyczaje Suthków.

- To obraźliwe określenie, Norren - zwróciła mu ostro uwagę Mune.

- To raczej wy łatwo się obrażacie - zripostował Ratch Norren.

- I jesteście niebezpieczni - dodał szeptem wysłannik Lazurowej Triuny z wnętrza holograficznej mgły.

- Zostaliśmy zaatakowani! - zaprotestowała Tolly Mune.

- Przeprowadziliśmy jedynie wyprzedzającą operację defensywną - zazgrzytał cyborg z Roggandora.

- Doskonale pamiętamy poprzednią wojnę - włączyła się do dyskusji mieszkanka Jazbo. - Tym razem nie mamy zamiaru czekać, aż wasi przekłeci ekspansjoniści obrosną w piórka i spróbują znowu skolonizować nasze planety.

- Niczego takiego nie planujemy.

- Wy nie, pajęczarko - zgodził się Ratch Norren. - Ale bądź tak dobra, spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że waszym ekspansjonistom nie marzy się po nocach, iż rozmnażają się bez ograniczeń na Yandeen.

- I Skrymirze.

- Roggandor nie ulegnie waszym zakusom!

- Nigdy nie zdobędziecie Lazurowej Triuny!

- A komu mogłoby zależeć na zdobyciu tej cholernej Lazurowej Triuny? - parsknęła Tolly Mune, Kufel zaś mruknął z aprobatą.

- Ta krótka lekcja zasad rządzących międzyplanetarną dyplomacją najwyższego szczebla była nad wyraz pouczająca - oświadczył Haviland Tuf. - Niemniej odnoszę wrażenie, iż oczekują nas znacznie ważniejsze zadania. Jeżeli szanowni ambasadorowie zechcieliby usadowić się w moim pojeździe, udalibyśmy się w miejsce, gdzie ma się odbyć konferencja.

Wymieniając półgłosem mniej lub bardziej nieprzychylne uwagi, wysłannicy sprzymierzonych planet zastosowali się do prośby Tufa, dzięki czemu zaraz potem długi pojazd ruszył przez lądowisko, lawirując między niezliczonymi nieruchomymi statkami. Wrota służby powietrznej, okrągłej i czarnej niczym tunel lub paszcza jakiejś żarłocznej bestii, otworzyły się przed nim, by zamknąć się z sykiem, jak tylko wehikuł znalazł się we wnętrzu służby. Pojazd znieruchomiał w całkowitej ciemności. Tuf milczał, nie reagując na szeptane narzekania. Chwilę później rozległ się metaliczny, zgrzytliwy odgłos i podłoga pomieszczenia zaczęła się pomału opuszczać, by znieruchomić dwa pokłady niżej. Otworzyły się drzwi, a Tuf włączył reflektory i skierował pojazd w wypełniony ciemnością korytarz.

Jechali w przejmującym chłodzie przez mroczny labirynt, mijając niezliczone, szczelnie pozamykane drzwi. Podążali za ledwo widoczną, pomarańczową linią, prześwitującą niczym duch przez zalegającą podłogę warstwę kurzu. Jedyne światło pochodziło z reflektorów pojazdu oraz ze wskaźników żarzących się słabym blaskiem na tablicy przed Tufem. Początkowo posłowie przekomarzali się między sobą, ale wkrótce dało o sobie znać przytłaczające działanie ogromnych przestrzeni, gdyż pasażerowie wehikułu milkli jeden po drugim. W pewnej chwili Kufel począł rytmicznie ugniatać pazurami kolana Tolly Mune.

Po długiej podróży przez kurz, ciemność i ciszę, pojazd dotarł do ogromnych, podwójnych drzwi, które otworzyły się przed nim ze złowrogim sapnięciem, a następnie zatrzasnęły się głośno za plecami pasażerów zajmujących ostatnie miejsca. W pomieszczeniu, do którego wjechali, panowała znacznie wyższa temperatura, a powietrze było bardzo wilgotne. Haviland Tuf zahamował i wyłączył reflektory. Zapadła nieprzenikniona ciemność.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Tolly Mune.

Jej głos odbił się od odległego sufitu, ale echo wydawało się dziwnie przytłumione. Pomieszczenie z pewnością miało ogromne rozmiary. Kufel zasyczał niepewnie, wciągnął badawczo powietrze i miauknął cicho.

Rozległy się kroki, zaraz potem zaś w odległości dwóch metrów od nieruchomego pojazdu zapłonęło światelko. Tuf pochylał się nad konsolę, obserwując ekran monitora. Nacisnął jeden z podświetlonych przycisków i z ciepłej ciemności wyłonił się rozłożysty, wyściełany fotel. Tuf zasiadł na nim jak na tronie, po czym przesunął palcami po miniaturowym pulpicie zamontowanym w podłokietniku. Fotel rozjarzył się słabym, fioletowym blaskiem.

- Bądźcie uprzejmi iść za mną - powiedział Haviland Tuf i fotel zaczął się powoli oddalać, płynąc w powietrzu.

- A niech mnie licho! - mruknęła Tolly Mune.

Pospiesznie chwyciła Kufła w objęcia, wyskoczyła z wagonika i ruszyła za majestatycznie sunącym tronem Tufa. Ambasadorzy podążyli jej śladem, pojękując i narzekając. Tuż za sobą wyraźnie słyszała ciężkie stąpania cyborga. Siedzisko Tufa było jedynym źródłem światła w morzu ciemności. Nagle Tolly poczuła, że nastąpiła na coś miękkiego.

Przeraźliwy koci wrzask sprawił, że raptownie odskoczyła do tyłu, uderzając w szeroką pierś cyborga. Zmieszana, przykłękała i ostrożnie wyciągnęła przed siebie rękę, drugą przyciskając Kufła do piersi; po chwili wyczuła pod palcami miękkie kocie futerko. Obcy kot

otarł się o jej przedramię, pomrukując głośno. Kątem oka udało się jej dostrzec niewyraźny zarys jego ciała: miał krótką sierść i był bardzo mały. Ułożył się na grzbiecie, pozwalając drapać się po brzuszku. Kobieta z Jazbo potknęła się o nią w ciemności i o mało nie przewróciła, a potem nagle Kufel zeskoczył na podłogę, gdzie zaczął gorączkowo obwąchiwać nieznanego kota, który zrewanżował mu się tym samym, następnie zaś dał susa i zniknął w mroku. Potężny kocur zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie podążył za nim.

- Wracaj, do jasnej cholery! - wrzasnęła Tolly Mune. - Kufel, ty przeklęty kocie, chcę tu zaraz widzieć twoją tłustą dupę!

Jej wołanie powróciło wielokrotnym echem, ale kot nie posłuchał wezwania. Tymczasem pozostali uczestnicy wycieczki zdążyli już dość znacznie się oddalić, więc Tolly zakłęta głośno i pospiesznie ruszyła w ich kierunku.

Najpierw ujrzała wyspę światła, a kiedy dotarła na miejsce, zastała ambasadorów sadowiących się w fotelach ustawionych po jednej stronie długiego metalowego stołu. Haviland Tuf, nadal na swym latającym tronie, unosił się po przeciwnej stronie stołu z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu i białymi rękami splecionymi na brzuchu.

Po jego ramionach w tę i z powrotem przechadzał się Dax, mrucząc donośnie.

- Niech cię szlag trafi! - warknęła Tolly pod adresem Tufa, po czym odwróciła się twarzą do nieprzeniknionej ciemności. - KUFEL!!! - wrzasnęła co sił w płucach. Echo było przytłumione, jakby spowite całunem z miękkiego materiału. - Kufel!

Cisza.

- Mam nadzieję, że nie przybyliśmy tu tylko po to, żeby przysłuchiwać się krzykom Przewodniczącej Rady Planety - odezwał się wysłannik Skrymiru.

- Zaiste - odparł Haviland Tuf. - Przewodnicząca Mune, gdyby zechciała pani zająć miejsce, moglibyśmy bezzwłocznie przystąpić do rzeczy.

Skrzywiła się i opadła ciężko na jedyny wolny fotel.

- Gdzie się podział Kufel, do wszystkich diabłów?

- Doprawdy, trudno mi wyrazić jakąkolwiek opinię na ten temat - powiedział gospodarz. - Bądź co bądź, to pani kot.

- Ale pogonił za jednym z twoich!

- Zaiste. Bardzo interesujące. Tak się akurat składa, że jedna z moich najmłodszych kotek znajduje się w okresie rui. Być może to tłumaczy jego nieobecność. Nie wątpię, że pani zwierzęciu nic nie grozi.

- Ale ja chcę mieć go przy sobie podczas tej cholernej konferencji! - parsknęła Tolly

Mune.

- „Arka” jest ogromnym statkiem, w którego wnętrzu znajdują się tysiące trudno dostępnych kryjówek, a poza tym, przeszkadzając kotom w ich miłosnych igraszkach, postąpilibyśmy bardzo nieetycznie, przynajmniej według standardów obowiązujących na S’uthlam. Doprawdy, za nic w świecie nie chciałbym urazić pani uczuć. Co więcej, sama pani wielokrotnie podkreślała wagę upływającego czasu oraz fakt, iż stawką w tej grze są miliony istnień ludzkich, dlatego wydaje mi się, że powinniśmy natychmiast przystąpić do pracy.

Dotknął jednego z przycisków na miniaturowym pulpicie sterowniczym i część długiego stołu zapadła się, a zaraz potem w tym miejscu, tuż przed Tolly Mune, pojawiła się jakaś roślina.

- Oto właśnie manna - oznajmił Haviland Tuf. Bladozielone, splątane lodygi wyrastały z płytkiej donicy. Roślina przypominała żywy węzeł gordyjski, gdyż niezliczone pędy bez przerwy chwiały się i kołysały, jakby usiłując rozpełznąć się na boki. Gęste, błyszczące liście były nie większe od paznokcia, ich powierzchnię pokrywała zaś delikatna sieć czarnych żyłek. Kiedy Tolly Mune dotknęła jednego z liści, przekonała się, że na jego spodniej stronie znajduje się mnóstwo białego pyłu, którego spora część została jej na palcach. Gdzieś tam można było dostrzec skupiska białych, nabrziałych bąbli, przypominających nieco pięciopalczaste macki, tym większych, im mniejsza odległość dzieliła je od centralnej części rośliny. Jedna z tych macek, częściowo ukryta za zasłoną liści, była prawie tak duża jak ludzka ręka.

- Paskudne zielsko - wyraził opinię Ratch Norren.

- Doprawdy nie rozumiem, dlaczego trzeba było ogłaszać zawieszenie broni i wyruszać w tak długą podróż tylko po to, żeby obejrzeć jakąś wynaturzoną cieplarnianą potworność - powiedział wysłannik Skrymiru.

- Lazurowa Triuna zaczyna tracić cierpliwość - szepnął osobnik spowity w hologramowy kokon.

- W tym szaleństwie musi być jakaś przeklęta metoda - zwróciła się Tolly Mune do Tufa. - Dalej, nie każ nam czekać. Manna, powiadasz? I co z tego?

- Ona zaspokoi potrzeby żywnościowe S’uthlamczyków - odparł Tuf, a Dax zawtórował mu mruknięciem.

- Na ile dni? - zapytała kobieta z Planety Henry’ego tonem tak słodkim, że aż ociekającym sarkazmem.

- Pani Przewodnicząca, gdyby zechciała pani rozerwać którąś z większych macek, przekonałaby się pani, jak smaczny i pożywny jest to owoc.

Tolly Mune skrzywiła się, pochyliła do przodu i zacisnęła palce na największym owocu. Był miękki, jakby gąbczasty. Kiedy pociągnęła oderwał się bez oporu. Rozdzieliła go ostrożnie; jej oczom ukazał się miąższ przypominający wyglądem i konsystencją świeży chleb. W samym środku owocu znajdowało się nieco ciemnej, gęstej cieczy, która zaczęła spływać jej po palcach. Nozdrza Tolly wypełnił aromatyczny zapach i Przewodnicząca Rady Planety stwierdziła ze zdziwieniem, że ledwo nadała z polykaniem napływającej jej do ust śliny. Przez chwilę walczyła ze sobą, ale pokusa była zbyt silna: odgryzła spory kęs, przeżuła, połknęła, znowu podniosła owoc do ust, a potem jeszcze raz... Wkrótce zniknął, ona natomiast zajęła się starannym zlizywaniem z palców resztek soku.

- Coś jakby mleczny chleb i miód - powiedziała. - Całkiem niezłe.

- Ten smak nikomu nie zbrzydni, ponieważ w płynnej wydzielinie znajduje się narkotyk o bardzo łagodnym działaniu - oznajmił Tuf. - Poza tym istnieje jego wiele odmian, często bardzo różniących się od siebie. Wszystko zależy od składu gleby i warunków, w jakich rósł dany krzak manny. Droga krzyżówek można uzyskać jeszcze większą różnorodność.

- Chwila, moment. - Ratch Norren szarpnął gwałtownie swój policzek. - A więc ten paskudny chwast smakuje jak chleb i miód, tak? Świetnie, ale co z tego? Dzięki temu przeklęte Suthki będą mogły przekąsić coś dobrego po tym, jak wyprodukują parę małych. Rewelacyjny sposób, żeby wybić im z głowy pomysł zdobycia Yandeen i rozmnażania się na niej do upadłego. Przykro mi, ale ja wcale nie widzę powodów do zachwytu.

Tolly Mune zmarszczyła brwi.

- To cham, ale ma rację. Poprzednio też dawałeś nam różne cudowne rośliny, pamiętasz? Omnizboże, szal Neptuna, krowie strąki... Czym ta przeklęta manna różni się od nich wszystkich?

- Jest zupełnie inna pod bardzo wieloma względami - odparł Haviland Tuf. - Po pierwsze, moje wcześniejsze wysiłki miały na celu usprawnienie waszej ekologii, tak by stało się możliwe uzyskanie większej liczby kalorii z tej samej, ograniczonej powierzchni przeznaczonej na S'uthlam pod uprawy rolne. Niestety, w moich wyliczeniach nie uwzględniłem w należyty sposób przewrotności ludzkiej rasy. Jak sama mi pani powiedziała, wasz łańcuch żywnościowy wciąż jeszcze jest daleki od maksymalnej wydajności. Choć macie mięsozwierze dostarczające protein, nadal marnujecie cenne tereny, przeznaczając je pod wypas zwierząt rzeźnych, tylko dlatego, że garstka najzamożniejszych obywateli woli krwisty stek od solidnej porcji tkanek miesozwierza. Nadal obsiewacie znaczne obszary omnizbożem i nanopszenicą, kierując się wyłącznie subiektywnymi odczuciami smakowymi, mimo że krowie strąki dają znacznie więcej kalorii z jednego metra kwadratowego zasiewów.

Krótko mówiąc, S'uthlamczycy w dalszym ciągu przedkładają hedonizm nad racjonalność. Niech i tak będzie. Lekko uzależniające właściwości manny oraz jej nadzwyczajny smak sprawią, iż nie będziecie mieli żadnych oporów przed jej konsumowaniem.

- Być może - mruknęła z powątpiewaniem Tolly Mune. - Niemniej jednak...

- Po drugie - ciągnął Tuf - manna rośnie bardzo szybko. Nadzwyczajne trudności wymagają zastosowania nadzwyczajnych środków zaradczych. Manna jest właśnie takim środkiem. To sztuczna hybryda, genetyczny przekładaniec ułożony z fragmentów DNA pochodzących z wielu planet. Wśród jej naturalnych przodków znajdziecie chlebkrzew z Hafeer, rozmnażający się nocą chwast z Noctos, cukrowór z Guliwera, a także zmodyfikowaną odmianę kudzu ze Starej Ziemi. Przekonacie się, że jest bardzo odporna, błyskawicznie się rozprzestrzenia, nie wymaga zabiegów pielęgnacyjnych oraz że jest w stanie bardzo szybko przekształcić cały ekosystem.

- Jak szybko? - zapytała Tolly.

Palec Tufa dotknął kolejnego przycisku w podłokietniku fotela. Dax zamruczał cicho.

Zapłonęły światła.

Tolly Mune zmrużyła oczy, oślepiona blaskiem.

Siedzieli mniej więcej pośrodku wielkiego, okrągłego pomieszczenia o średnicy co najmniej pół kilometra, nakrytego z góry kopułą, której sklepienie dzieliła od podłogi odległość jakichś stu metrów. Ze ściany za plecami Tufa wyłoniło się kilka ogromnych ekosfer z plastostali, odkrytych z wierzchu i wypełnionych ziemią. Skład gleby w każdej z nich był inny, odpowiadając rozmaitym warunkom, jakie można spotkać na powierzchni planety: od białego, sypkiego piasku poczynając, poprzez wilgotne mady, brejowatą glinę, na żyznych czarnoziemach kończąc. W każdej ekosferze rósł jeden krzak manny. Rósł. Rósł. I rósł.

Miały już dobrze ponad dwa metry wysokości, sięgając badawczo bocznymi pędami daleko poza pojemniki, niemal do fotela zajmowanego przez Tufa. Inne pędy pięły się w górę po gładkich ścianach pomieszczenia, zwieszając się obfitymi girlandami z wybrzuszonego sklepienia, a ponieważ częściowo zasłaniały wtopione w sufit lampy, światło padało na podłogę nieregularnymi, wciąż zmieniającymi kształt, plamami. Miało zielonkawą, niezwykłą barwę. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, pyszniły się białe owoce wielkości ludzkiej głowy, przepychające się zawzięcie przez gęstą zasłonę liści. W pewnej chwili jeden z nich oderwał się i z głuchym pacnięciem upadł na podłogę; teraz Tolly rozumiała, dlaczego echa w tym pomieszczeniu wydawały się dziwnie przytłumione.

- Okazy, które teraz oglądacie - oznajmił Haviland Tuf doskonale obojętnym tonem -

zaczęły kiełkować równe czternaście dni temu, tuż przed moim pierwszym spotkaniem z szanowną Przewodniczącą Rady Planety. Wystarczyła jedna sadzonka w każdym pojemniku. Nie podlewałem ich ani nie nawoziłem, bo gdybym to uczynił, rośliny byłyby znacznie dorodniejsze od tych wynędzniałych egzemplarzy, jakie ośmieliłem się wam zaprezentować.

Tolly Mune podniosła się z fotela. Większą część życia spędziła w zerowej grawitacji, w związku z czym przy pełnym ciężeniu nawet ta prosta czynność wymagała od niej sporego wysiłku, ale Przewodnicząca Rady Planety rozpaczliwie potrzebowała świadomości, że dysponuje nad pozostałymi jakąkolwiek, choćby niewielką, przewagą psychiczną - nawet wynikającą z faktu, że ona stoi, podczas gdy tamci siedzą. Sztuczka Tufa z czarodziejską manną zaparła jej dech w piersi, była sama wśród nieprzyjaciół, Kufel polazł nie wiadomo dokąd, a Dax siedział na ramieniu swego pana, pomrukując cicho i wpatrując się w nią złocistymi oczami zdolnymi zawczasu dostrzec każdy podstęp.

- Całkiem nieźle - powiedziała.

- Cieszę się, że tak pani uważa - odparł Tuf, głaszcząc kota.

- Co konkretnie proponujesz?

- Natychmiastowe rozpoczęcie obsiewania planety. Można do tego wykorzystać prom „Arki”. Pozwoliłem już sobie zapełnić jego ładownie eksplodującymi pojemnikami z nasionami manny. Nasiona te, uwolnione w górnych warstwach atmosfery zgodnie z przygotowanym przeze mnie schematem, zostaną zaniezione przez wiatr nawet do najdalszych zakątków S’uthlam, by zacząć kiełkować natychmiast po zetknięciu się z ziemią. Mieszkańcom planety nie pozostanie nic innego, jak po pewnym czasie przystąpić do jedzenia. - Haviland Tuf odwrócił długą, bladą twarz od kobiety i skierował ją ku ambasadorom sprzymierzonych planet. - Z pewnością zastanawiacie się teraz, jaką rolę macie do odegrania w moim planie.

- Racja - przemówił w imieniu wszystkich Ratch Norren, uszczypnąwszy się najpierw w policzek, i rozejrzał się niepewnie dokoła. - Sprawa wygląda tak, jak już powiedziałem: to zielsko wykarmi wszystkich Suthków, ale my nie będziemy z tego mieli żadnego pożytku.

- Mnie natomiast wydaje się, iż konsekwencje nowo powstałej sytuacji są aż nadto oczywiste - powiedział Tuf. - S’uthlam stanowi zagrożenie dla innych planet wyłącznie dlatego, że wciąż balansuje na krawędzi katastrofy żywnościowej, co sprawia, że jego spokojne i cywilizowane społeczeństwo znajduje się w stanie permanentnego braku stabilności. Dopóki u władzy utrzymywali się technokraci, S’uthlam pokojowo koegzystował ze wszystkimi sąsiadami; niestety, kiedy ster rządów przejmą ekspansjoniści, S’uthlamczycy ponad wszelką wątpliwość przeistoczą się w niebezpiecznych agresorów.

- Nie jestem żadną cholerną ekspansjonistką! - zaprotestowała Tolly Mune.

- Wcale tego nie sugeruję. Zarazem nie ulega jednak wątpliwości, że mimo swoich niewątpliwych predyspozycji, nie będzie pani pełniła dożywotnio funkcji Przewodniczącej Rady Planety. Wojna czai się tuż-tuż. Co prawda będzie miała charakter defensywny, ale kiedy zostanie już pani usunięta z urzędu, jej miejsce zaś zajmie jakiś ekspansjonista, bez wątpienia przerodzi się ona w wojnę zaczepną. Biorąc pod uwagę warunki, jakie stworzyli sobie na swojej planecie sami S'uthlamczycy, taki scenariusz wydarzeń jest bardziej niż prawdopodobny i żaden przywódca, choćby nie wiadomo jak kompetentny i pełen dobrej woli, nie zdoła go zmienić.

- Otóż to - odezwała się młoda kobieta reprezentująca Planetę Henry'ego. W jej spojrzeniu była przenikliwość zupełnie nie pasująca do młodego, niemal dziewczęcego wyglądu. - Skoro wojna jest nie do uniknięcia, lepiej przystąpmy do niej już teraz i rozwiążmy problem raz na zawsze.

- Lazurowa Triuna zgadza się z tym poglądem - zaszeptał poseł ukryty za rozedrganą mgłą hologramów.

- I bardzo słusznie, zakładając jednak, że istotnie musi dojść do wybuchu wojny - odparł Tuf.

- Przed chwilą właśnie to nam powiedziałaś! - poskarżył się płaczliwym tonem Ratch Norren.

Haviland Tuf pogładził gęstą, czarną sierść kocura.

- To nieprawda, szanowny panie. Moje stwierdzenia o niemożności uniknięcia wojny i głodu opierały się na założeniu, że dojdzie do załamania się kruchej równowagi żywnościowej na planecie. Gdyby jednak to nie nastąpiło, S'uthlam nie będzie stanowił żadnego zagrożenia dla planet w tym sektorze galaktyki, a tym samym wojna stanie się nie tylko niepotrzebna; ale także moralnie naganna.

- A ty uważasz, że może się do tego przyczynić to paskudne zielsko? - zapytała z pogardą kobieta z Jazbo.

- Zaiste.

Ambasador Skrymiru potrząsnął głową.

- Doceniam twoje zaangażowanie, Tuf, ale uważam, że się mylisz. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby uwierzyć w kolejny przełom. S'uthlam przeżywał już najróżniejsze „rozkwity”, „odrodzenia” i rewolucje ekologiczne, ale w ostatecznym rozrachunku nic się nie zmieniło. Musimy załatwić tę sprawę raz na zawsze.

- Jestem jak najdalej od tego, aby przeciwstawiać się waszym samobójczym

zachciankom - powiedział Haviland Tuf, drapiąc Daxa za uchem.

- Samobójczym zachciankom? - powtórzył Ratch Norren. - A co to ma znaczyć?

Tolly Mune odwróciła się twarzą do wysłanników sprzymierzonych planet.

- To znaczy, że przegracie tę wojnę, Norren - powiedziała. Ambasadorowie zareagowali wybuchem wesołości: przedstawicielka Planety Henry'ego zachichotała, kobieta z Jazbo zarechotała donośnie, a cyborg zahuczał gromkim basem.

- Arogancja S'uthlamczyków wciąż budzi we mnie bezgraniczne zdumienie - stwierdził wysłannik Skrymiru. - Niech pani nie da się zwieść obecnej sytuacji, pani Przewodnicząca. Macie przed sobą połączone siły sześciu planet i choć dysponujecie nową flotyllą, to jednak w dalszym ciągu ustępujecie nam zarówno pod względem liczebności, jak i siły ognia. Jeżeli pani pamięta, już raz was pokonaliśmy. Teraz zrobimy to ponownie.

- Nic z tego - oznajmił Haviland Tuf.

Wysłannicy sprzymierzonych planet wybałuszyli na niego oczy.

- Ostatnio pozwoliłem sobie przeprowadzić pewne badania, w świetle których kilka faktów stało się aż nadto widocznych. Po pierwsze, poprzednia wojna miała miejsce kilkaset lat temu. S'uthlam poniósł sromotną klęskę, lecz alianci po dziś dzień płacą cenę za ówczesne zwycięstwo, podczas gdy pokonani, dysponujący znacznie większym potencjałem ludnościowym i bardziej zaawansowaną technologią, już dawno odzyskali równowagę po porażce. Na planecie S'uthlam nauka rozkwitała w takim samym tempie jak manna, jeśli wolno mi posłużyć się tą barwną metaforą, podczas gdy sprzymierzone planety dokonały jedynie niewielkiego kroku naprzód, a i to wyłącznie dzięki nowym technologiom przejętym od dawnego nieprzyjaciela. Nie sposób zaprzeczyć, iż wasza połączona flota kosmiczna pod względem liczebności znacznie przewyższa s'uthlamską Flotyllę Planetarną, ale jest również oczywiste, że większa część jednostek wchodzących w jej skład pod żadnym względem nie dorównuje okrętom S'uthlam. Jeżeli natomiast chodzi o stwierdzenie odwołujące się do większej liczby ludności, to chciałem niniejszym zwrócić uwagę, iż łączna populacja Yandeen, Planety Henry'ego, Jazbo, Roggandoru, Skrymiru oraz Lazurowej Triuny wynosi cztery miliardy, czyli zaledwie jedną dziesiątą populacji S'uthlam.

- Jedną dziesiątą? - wykrztusiła kobieta z Jazbo. - To chyba jakaś pomyłka, prawda?

- Według szacunków Lazurowej Triuny ta przewaga powinna być najwyżej sześciokrotna.

- Dwie trzecie z tego to kobiety i dzieci - zwrócił pospiesznie uwagę wysłannik Skrymiru.

- Nasze kobiety potrafią walczyć! - odparowała natychmiast Tolly Mune.

- Pod warunkiem, że znajdą trochę czasu między kolejnymi miotami - mruknął Ratch Norren. - Tuf, ich nie może być dziesięć razy więcej od nas! Zgadza się, rozmnażają się jak szaleni, ale nasi specjaliści szacują...

- Szanowny panie, wasi specjaliści są w błędzie - przerwał mu Tuf. - Proszę jednak wstrzymać się z rozpaczą: tajemnica jest pilnie strzeżona, a mając do czynienia z takim mrowiem, łatwo przeoczyć miliard lub dwa. Niemniej jednak fakty wyglądają dokładnie tak, jak je przedstawiłem. Chwilowo mamy do czynienia z chwiejną równowagą sił: okrętów sprzymierzonych planet jest więcej, natomiast flotyła S'uthlamczyków jest nowocześniejsza i lepiej uzbrojona. Taka sytuacja nie utrzyma się jednak długo, gdyż dzięki zaawansowanym technologiom mieszkańcy S'uthlam mogą produkować jednostki bojowe znacznie szybciej niż którykolwiek z ich nieprzyjaciół. - Tuf spojrzał na Tolly Mune. - Odważę się zaryzykować twierdzenie, iż robią to nawet w tej chwili, kiedy tu rozmawiamy.

- Nie - odparła.

Ale patrzył na nią także Dax.

- Tak - oznajmił Tuf ambasadorom, po czym uniósł palec. - Dlatego właśnie proponuję, abyście wykorzystali obecną, krótkotrwałą sytuację i przystali na moją ofertę, która pozwoli wam rozwiązać problem S'uthlam bez konieczności uciekania się do jądrowych bombardowań lub innych, jeszcze bardziej odrażających metod. Przedłużcie zawieszenie broni do jednego roku i pozwólcie mi obsiać S'uthlam manną. Jeżeli po upływie tego czasu uznacie, że S'uthlamczycy nadal stanowią dla was zagrożenie, będziecie mogli przystąpić do działań wedle własnego uznania.

- Nic z tego, kupcze - zadudnił cyborg z Roggandora. - Twoja naiwność budzi politowanie. Dajcie im rok, powiadasz, i pozwólcie mi spróbować moich sztuczek. Jak sądzisz, ile nowych okrętów zdążą zbudować przez ten czas?

- Możemy wprowadzić moratorium na zbrojenia, jeżeli wy zgodzicie się zrobić to samo - powiedziała Tolly.

- Jasne - parsknął pogardliwie Ratch Norren. - I pewnie spodziewacie się, że wam uwierzymy? Pokazaliście już, jak bardzo jesteście godni zaufania, zbrojąc się potajemnie wbrew ustaleniom zawartym w traktacie pokojowym. A teraz jeszcze macie czelność mówić o naszej złej woli!

- Bo wy oczywiście wolelibyście, żebyśmy byli zupełnie bezbronni, kiedy zdecydujecie się na okupację - odparła z odrazą Tolly Mune. - Przekłęci hipokryci!

- Teraz już za późno na układy - odezwała się kobieta z Jazbo.

- Sam to powiedziałeś, Tuf - zawtórował jej wysłannik Skrymiru. - Im dłużej

będziemy zwlekać, w tym gorszej znajdziemy się sytuacji. Wynika z tego, że nie mamy wyboru, tylko musimy jak najprędzej przeprowadzić zmasowane uderzenie na S'uthlam, bo okoliczności nigdy nie będą bardziej sprzyjające.

Dax syknął głośno.

Haviland Tuf mrugnął, po czym splótł palce i położył ręce na brzuchu.

- Być może zmienilibyście opinię, jeśli odwołałbym się do waszego umiłowania pokoju, chęci uniknięcia okropieństw wojny oraz wspólnych dla wszystkich ludzi, humanitarnych uczuć?

Ratch Norren prychnął coś pogardliwie, pozostali zaś odwrócili spojrzenia.

- W takim razie wygląda na to, że nie pozostawiliście mi wyboru - oświadczył Tuf i podniósł się z miejsca.

Posel z Yandeen zmarszczył brwi.

- Ejże, dokąd idziesz?

Tuf majestatycznie wzruszył ramionami.

- W tej chwili do kabiny sanitarnej, potem zaś do sterowni. Proszę przyjąć ode mnie zapewnienia, że osobiście nie czuję do was żadnej urazy, ale, choć z przykrością, będę musiał przystąpić do niszczenia waszych planet. Może chcielibyście przeprowadzić losowanie, aby ustalić, od której powinienem zacząć?

Kobieta z Jazbo zakrztusiła się, po czym zaczęła kasłać, pryskając wokoło kropelkami śliny.

Spowity pajęczyną drżących hologramów wysłannik Lazurowej Triuny odchrząknął cicho, co dało w efekcie odgłos przypominający szelest, jaki może spowodować owad przechadzający się po zmiętej kartce papieru.

- Nie ośmielisz się! - zagrzmiał cyborg z Roggandora. Ambasador Skrymiru w lodowatym milczeniu skrzyżował ramiona na piersi.

- Ty... Ach, tak. Oczywiście. Ty... - wyjąkał Ratch Norren. - Nie mówisz poważnie. Tak. Na pewno.

Tolly Mune parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że mówi poważnie - oznajmiła, choć była nie mniej zaskoczona od pozostałych. - A co ważniejsze, może to zrobić, czy raczej „Arka”, co w sumie na jedno wychodzi. W dodatku komandor Ober zapewni mu uzbrojoną eskortę.

- Nie ma potrzeby podejmowania pochopnych działań - przemówiła spokojnym, opanowanym tonem kobieta z Planety Henry'ego. - Możemy przemyśleć naszą decyzję.

- Wyśmienicie. - Tuf ponownie zasiadł w fotelu. - Jak tylko wejdzie w życie

porozumienie o zawieszeniu broni na jeden rok, zacznę obsypywać S'uthlam nasionami manny.

- Nie tak szybko - wtrąciła się Tolly. Ogarnęło ją wspaniałe uczucie lekkości i triumfu. Dzięki Tufowi wojna zakończyła się, zanim się na dobre zaczęła, i S'uthlam miał zapewniony cały rok spokoju. Jednak Przewodnicząca Rady Planety zachowała dość rozsądku, by nie dać się całkowicie porwać entuzjazmowi. - Wszystko to wygląda bardzo ładnie, ale zanim przystąpisz do obsiewania planety, musimy dokładnie zbadać tę twoją roślinkę. Najpierw zajmą się nią biotechnicy i ekolodzy, a potem Rada Planety zamówi nowe prognozy. Myślę, że miesiąc nam wystarczy. Aha, w dalszym ciągu obowiązuje to wszystko, o czym ci wcześniej mówiłam: nie myśl, że sypniesz nam trochę nasion i znikniesz w sieniej dali. Tym razem zostaniesz przynajmniej do końca rozejmu, a może nawet trochę dłużej, dopóki nie nabierzemy pewności, ile naprawdę jest wart twój najnowszy cudowny pomysł.

- Niestety, obawiam się, że w innych rejonach galaktyki czekają na mnie nie cierpiące zwłoki obowiązki - odparł Tuf. - W tych warunkach roczna zwłoka jest nie do pomyślenia, ani nawet miesięczna, o której była pani łaskawa wspomnieć na wstępie.

- Chwileczkę, do cholery! - wybuchła Tolly Mune. - Nie możesz tak po prostu...

- Oczywiście, że mogę - przerwał jej Haviland Tuf. Przeniósł znaczące spojrzenie na posłów sprzymierzonych planet, a następnie skierował je znowu na siwowłosą kobietę. - Pozwoli pani, iż zwrócę jej uwagę na pewien oczywisty fakt: między S'uthlam a jego nieprzyjaciółmi istnieje w tej chwili krucha równowaga sił, „Arka” zaś stanowi przerażające narzędzie zagłady, zdolne niszczyć całe planety. Co prawda mogę użyć jej w celu sprowadzenia zagłady na wrogów S'uthlam, ale równie prawdopodobna jest także odwrotna sytuacja.

Tolly Mune poczuła się nagle tak, jakby ktoś uderzył ją z całej siły w żołądek.

- Czy ty... Tuf, czy ty nam grozisz? Nie mogę w to uwierzyć. Czy grozisz nam, że skierujesz „Arkę” przeciwko S'uthlam?

- Ja tylko uświadamiam pani, co może się stać, choć, rzecz jasna, wcale nie musi - odparł gospodarz doskonale obojętnym tonem.

Dax chyba wyczuł jej wściekłość, gdyż zasyczał przeraźliwie. Tolly Mune stała jak sparaliżowana, bezsilnie zaciskając pięści.

- Nie żądam wynagrodzenia za moje usługi w charakterze mediatora oraz inżyniera ekologa, ale wymagam, aby spełniono kilka moich życzeń - ciągnął Tuf. - Sprzymierzone planety zapewnią mi coś w rodzaju ochrony osobistej; będzie to niewielki zespół okrętów wojennych, jednak dysponujący na tyle dużą siłą ognia, aby odeprzeć ewentualny atak na

„Arkę” ze strony Flotylii Planetarnej oraz odprowadzić mnie poza granice układu Sulstar, kiedy już zakończę swoją misję. Z kolei S’uthlamczycy wyrażą zgodę na pobyt tej małej floty w swoim systemie słonecznym, kładąc w ten sposób kres moim obawom. Jeżeli którakolwiek ze stron naruszy warunki rozejmu, musi mieć pełną świadomość, że w ten sposób sprowokuje mnie do okrutnego odwetu. Niezbyt łatwo ulegam gwałtownym uczuciom, ale kiedy już ktoś wywoła mój gniew, wówczas przerażam samego siebie. Kiedy minie jeden rok standardowy, będę już daleko stąd, wy zaś możecie wówczas rzucić się sobie do gardeł, jeżeli taka będzie wasza wola. Ja jednak mam nadzieję, iż tym razem przedsięwzięte przeze mnie kroki okażą się na tyle skuteczne, że wszelkie akty agresji stracą jakikolwiek sens.

Pogłaskał Daxa po gęstym futrze, kocur zaś powoli przenosił z twarzy na twarz spojrzenie swoich złocistych oczu.

Tolly Mune poczuła, jak ogarnia ją przenikliwy chłód.

- Narzucasz nam pokój - stwierdziła.

- Tylko chwilowo - zripostował Tuf.

- Narzucasz nam też ostateczne rozwiązanie naszych problemów, zupełnie nie troszcząc się, co o nim myślimy.

Tym razem nie uzyskała żadnej odpowiedzi.

- Wydaje ci się, że kim ty właściwie jesteś, do wszystkich diabłów?! - wrzasnęła, dając wreszcie upust wzbierającej w niej wściekłości.

- Jestem Haviland Tuf i straciłem już cierpliwość dla S’uthlam i jego mieszkańców - odparł spokojnie.

Kiedy konferencja dobiegła końca, Tuf odwiózł ambasadorów do ich promu; Tolly Mune nie skorzystała z jego uprzejmości.

Przez długie godziny błąkała się samotnie po „Arce”, zziębnięta, zmęczona, ale niestrudzona.

- Kufel! - wołała ze szczytu ruchomych schodów. - Chodź tu, Kufelku! - wykrzykiwała w głąb pogrążonych w ciemności korytarzy. - Tutaj jestem, kotku! - nawoływała za każdym razem, kiedy zza zakrętu dobiegał jakiś szmer, ale okazywało się, że to tylko zamykające się lub otwierające drzwi, maszyna naprawcza albo któryś z kotów Tufa. - Kuuuufeeel!!! - wrzeszczała co sił w płucach w miejscach, gdzie zbiegało się kilka lub kilkanaście korytarzy, a jej głos odbijał się od metalowych ścian i wracał martwym echem.

Nigdzie nie natrafiła na żaden ślad po swoim kocie.

Przez cały czas kierowała się w górę, w związku z czym po pewnym czasie dotarła do skąpo oświetlonego, centralnego korytarza, biegnącego przez całą długość gigantycznego

statku; był to przerażający swymi rozmiarami, trzydziestokilometrowy tunel, którego sklepienie ginęło w mroku, wzdłuż obu ścian stały natomiast duże i małe zbiorniki służące hodowli tkanek oraz klonowaniu organizmów. Wybrała na chybił trafił kierunek i ruszyła przed siebie, od czasu do czasu głośno wołając kota.

Wreszcie odpowiedziało jej ciche, niepewne miauknięcie.

- To ty, Kufel? Gdzie jesteś?

Kolejne miauknięcie. Tam, z przodu. Przyspieszyła kroku, a zaraz potem popędziła co sił w nogach.

Z cienia rzucanego przez wykonany z plastostali zbiornik co najmniej dwudziestometrowej wysokości wyłonił się Haviland Tuf z pomrukującym Kuflem w objęciach. Tolly stanęła jak wryta.

- Znalazłem pani kota - oznajmił Tuf.

- Widzę - odparła lodowatym tonem.

Właściciel „Arki” ostrożnie podał jej wielkiego, szarego kocura; przy okazji musnął rękami jej okryte materiałem kombinezonu ramiona.

- Przekona się pani, że nie poniósł żadnego szwanku na zdrowiu - ciągnął Tuf. - Pozwoliłem sobie poddać go dokładnemu badaniu, aby upewnić się, że nie spotkało go nic złego, i stwierdziłem, iż znajduje się w doskonałej formie. Proszę sobie jednak wyobrazić moje zdumienie, kiedy okazało się, że wszystkie nadzwyczajne ulepszenia bioinżynieryjne, o których była pani łaskawa mnie poinformować, znikły w niewytłumaczalny sposób, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Doprawdy, nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć.

Tolly przycisnęła kota do piersi.

- W porządku: skłamałam. Kufel ma tylko zdolności telepatyczne, może nie tak rozwinięte jak Dax, ale i tak całkiem niezłe. Nie mogłam dopuścić do starcia między nimi, bo nie wiadomo, który by wygrał, a ja wołałam nie ryzykować. - Skrzywiła się. - A tymczasem ty podsunałeś mu panienkę... Gdzie on się podziewał?

- Opuściwszy nas w pogoni za obiektem swoich uczuć, przekonał się bardzo szybko, że drzwi są zaprogramowane w taki sposób, aby uniemożliwić mu powrót, w związku z czym spędzał czas, włócząc się po różnych zakamarkach statku i nawiązując znajomości z kotami zamieszkującymi „Arkę”.

- Ile ich właściwie masz?

- Mniej niż pani, czemu zresztą nie należy się dziwić. Bądź co bądź, jest pani przecież obywatelką S’uthlam.

Tuląc ciepłego, mruczącego z zadowoleniem kota, Tolly zdała sobie nagle sprawę, że nigdzie w pobliżu nie widzi Daxa. Postanowiła czym prędzej skorzystać ze sposobności; podrapała kocura za uchem, a on skierował na Tufa spojrzenie kryształowo przejrzystych, srebrnych oczu.

- Nie nabrałeś mnie - powiedziała.

- Nawet o tym nie marzyłem - przyznał Tuf.

- Ta cała manna... To jakaś pułapka, prawda? Wcisnąłeś nam stertę kitu.

- Wszystko, co powiedziałem pani na temat manny, jest szczerą prawdą.

Kufel pisnął cicho.

- Szczerą prawdą... - powtórzyła Tolly Mune. - Szczerą, cholerną prawdą. Co oznacza, że nie powiedziałaś nam wszystkiego.

- Wszechświat jest wypełniony faktami do tego stopnia, że ludzkość nigdy nie zdoła ich wszystkich poznać, co musi budzić pewne zdziwienie, jeśli weźmie się pod uwagę, iż w skład tejże ludzkości wchodzi także nieprzeliczone masy mieszkańców S'uthlam. Nigdy nie zdołałbym powiedzieć pani wszystkiego na żaden temat, choćby nie wiadomo jak zawężony.

Zbyła jego wywód niecierpliwym machnięciem ręki.

- Co chcesz nam zrobić, Tuf?

- Chcę znaleźć wyjście z gnębiącego was kryzysu żywnościowego - powiedział tonem spokojnym i chłodnym jak woda w jeziorze, i równie tajemniczym.

- Kufel mruczy, więc mówisz prawdę. Ale w jaki sposób masz zamiar to osiągnąć?

- Dzięki mannie.

- Bujda na resorach. Nic mnie nie obchodzi, jak smaczne i na ile uzależniające są jej owoce ani jak szybko rośnie to cholerne zielsko. Żadna roślina nie zdoła wyciągnąć nas z kłopotów. Już tego próbowałeś, Tuf. Przerobiliśmy wszystko: omnizboże, krowie strąki, powietrzny plankton i farmy grzybów. Wiem, że trzymasz coś w zanadrzu. Dalej, wyduś to z siebie.

Przez ponad minutę Haviland Tuf przyglądał się jej w milczeniu. Kiedy tak wpatrywał się prosto w jej oczy, Tolly odniosła wrażenie, że zagląda głęboko do jej wnętrza, jakby on także potrafił czytać w myślach.

Może i tak było w istocie, gdyż wreszcie powiedział:

- Tej rośliny, jeżeli raz się ją zasieje, już nigdy nie będzie można wytępić, nawet za pomocą najbardziej drastycznych środków. W sprzyjającym klimacie będzie się rozprzestrzeniała z oszałamiającą prędkością. Zimno jej szkodzi, a mróz zabija, lecz i tak w krótkim czasie uda jej się opanować tropikalne i zwrotnikowe rejony planety, a to w

zupełności wystarczy.

- Do czego?

- Owoce manny mają wielką wartość odżywczą. Dzięki nim już w ciągu kilku pierwszych lat uda się zmniejszyć niedobór kalorii i poprawić warunki życia ludności. Co prawda po pewnym czasie rośliny wyginą, wyczerpawszy zasoby gleby, w związku z czym trzeba będzie na kilka lat wprowadzić na te tereny inne uprawy, zanim ziemia odpocznie na tyle, by ponownie wyżywić krzewy manny ale wówczas nie będzie to miało większego znaczenia, gdyż manna wykona już swoje zasadnicze zadanie. Pył, który gromadzi się na spodniej stronie liści, składa się z symbiotycznych mikroorganizmów, odgrywających ważną rolę w procesie zapylania. Spełniają one jeszcze jedną, niezwykle istotną funkcję, a roznoszone przez wiatr, ludzi i szkodniki dotrą w każde miejsce na powierzchni waszej planety.

- Ten biały pył... - szepnęła Tolly. Osiadł jej na palcach, kiedy dotknęła liścia manny.

W gardle Kufla zaczął narastać groźny pomruk. Na razie był tak cichy, że bardziej go wyczuwała, niż słyszała. Haviland Tuf splótł palce na brzuchu.

- Pył ów można uważać za coś w rodzaju organicznego środka antykoncepcyjnego. W bardzo silny i nieodwracalny sposób wpływa on zarówno na płodność mężczyzn, jak i kobiet. Wątpię, aby interesowały panią szczegóły dotyczące zasad jego działania.

Tolly Mune otworzyła usta, zamknęła je i zamrugała raptownie, by powstrzymać napływające jej do oczu łzy. Nie miała pojęcia, czy były to łzy rozpacz, czy łzy wściekłości, ale na pewno nie łzy szczęścia. Nigdy by na to nie pozwoliła.

- Rozłożone w czasie ludobójstwo - wykrztusiła z trudem. Nie poznała swego głosu, taki był głuchy i schrypnięty.

- Skądże znowu - zaprotestował Tuf. - Część pani rodaków okaże się odporna na działanie tego środka. Według moich szacunków od 1,07 do 1,11 procent mieszkańców S'uthlam nie odczuje najmniejszych skutków jego zastosowania i będzie się nadal rozmnażać, przekazując tę odporność następnym pokoleniom. Niemniej jednak jeszcze w tym roku stanie się pani świadkiem gwałtownej implozji demograficznej, gdyż krzywa urodzeń przestanie podążać w górę, by skierować się ostro w dół.

- Nie masz prawa - wycedziła Tolly.

- Od samego początku powtarzałem pani, iż po to, by rozwiązać problem gnębiący mieszkańców S'uthlam, należy zastosować radykalny środek, dający długotrwałe efekty.

- Być może, ale co z tego? Co z wolnością, Tuf? Co z prawem indywidualnego wyboru? Być może moi ludzie są egoistycznymi, krótkowzrocznymi głupcami, ale to w

niczym nie zmienia faktu, że pozostają ludźmi, dokładnie tak samo jak ja albo ty. Mają prawo samodzielnie podejmować decyzję, czy i ile chcą mieć dzieci. Kto cię upoważnił, żebyś decydował o tym za nich? - Czuła, jak z każdym słowem ogarnia ją coraz większa wściekłość.

- Nie jesteś lepszy od nas, bo też jesteś tylko człowiekiem. Cholernie niezwykłym człowiekiem, to prawda, ale niczym mniej i niczym więcej. Jakim prawem odgrywasz przed nami boga i kierujesz naszym życiem?

- Bo mam „Arkę” - odparł spokojnie.

Kufel szarpnął się gwałtownie, więc Tolly pozwoliła mu zeskoczyć na podłogę, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z bladej, nieprzeniknionej twarzy Tufa. Nagle poczuła ogromną ochotę, żeby go uderzyć, sprawić mu ból, zmusić do zrzucenia tej nieruchomej, obojętnej maski.

- Ostrzegałam cię kiedyś, pamiętasz? Władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie.

- Mam wspaniałą pamięć.

- Szkoda, że nie można powiedzieć tego samego o twojej moralności - wycodziła lodowatym tonem Tolly Mune, a Kufel zawtórował jej potępiającym syknięciem. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego pomogłam ci zachować ten przeklęty statek! Ależ ze mnie idiotka! Zbyt długo żyłeś w świecie fantazji, Tuf. Pewnie uważasz, że ktoś mianował cię bogiem?

- Mianuje się urzędników - odparł Haviland Tuf. - Bogowie, naturalnie jeśli założymy, że w ogóle istnieją, są powoływani według odmiennej procedury. Nie zgłaszam żadnych pretensji do boskości w mitologicznym sensie tego słowa, choć przyznaję, że pod wieloma względami istotnie dysponuję boską mocą. Przypuszczam, że pani także zdała sobie z tego sprawę już dawno temu, kiedy po raz pierwszy zwróciła się do mnie z prośbą o rozmnożenie chleba i ryb. - Kobieta otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale on uciszył ją władcym gestem. - Proszę mi nie przerywać. Postaram się, by moje wystąpienie nie trwało zbyt długo. Pani i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni...

- Ja tak nie uważam, do cholery! - wrzasnęła.

- Jesteśmy bardzo podobni - powtórzył Tuf spokojnie, lecz stanowczo. - Kiedyś wyznała pani, że nie należy do osób nadmiernie przywiązanych do religii, a ja także nie czczę mitów. Zaczynałem jako zwykły kupiec, lecz natrafiwszy na „Arkę”, przekonałem się, iż na każdym kroku prześladowają mnie bogowie, prorocy i demony. Noe i potop, Mojżesz i plagi egipskie, chleb i ryby, manna, krzak gorejący, żony zamienione w słupy soli... Musiałem przywyknąć do tego wszystkiego. Zarzuca mi pani, że uważam się za boga, choć ja nigdy tak nie twierdziłem, ale muszę przyznać, iż pierwszą rzeczą, jaką wiele lat temu uczyniłem na

pokładzie tego statku, było wskrzeszenie z martwych. - Wskazał odległe o kilka metrów stanowisko. - Stało się to dokładnie w tym miejscu. Co więcej, istotnie dysponuję czymś w rodzaju boskich możliwości, przynajmniej w odniesieniu do pojedynczych planet, o których życiu lub śmierci mogę decydować. Jednak, rozporządzając taką władzą, czy mam prawo uchylać się od związanej z nią nierozdzielnie odpowiedzialności? Wydaje mi się, że nie.

Tolly próbowała coś powiedzieć, ale słowa nie chciały precyzyjnie przejść jej przez gardło. On jest szalony, pomyślała.

- Kryzys, który dotknął S'uthlam, mógł zostać rozwiązany wyłącznie dzięki boskiej interwencji - ciągnął Tuf. - Załóżmy na chwilę, że przystałem na wasze żądanie i zgodziłem się sprzedać wam „Arkę”. Czy naprawdę przypuszcza pani, że jakkolwiek zespół ekologów i biotechników, choćby byli specjalistami najwyższej klasy, zdołałby znaleźć sposób na długotrwałe rozwiązanie waszych problemów? Z pewnością jest pani na to zbyt inteligentna. Nie mam żadnych wątpliwości, iż dysponując niewyobrażalnymi zasobami statku, ludzie ci - z pewnością geniusze intelektu, dysponujący wiedzą nieporównywalnie większą ode mnie - dokonaliby licznych odkryć, pozwalających S'uthlamczykom rozmnażać się bez żadnych ograniczeń jeszcze przez sto, dwieście, a może nawet trzysta lub czterysta lat. Jednak, w ostatecznym rozrachunku, dostarczone przez nich odpowiedzi także okazałyby się niewystarczające, podobnie jak moje skromne próby sprzed pięciu i dziesięciu lat oraz wszystkie przełomowe odkrycia, dokonywane przez waszych uczonych w ciągu minionych stuleci. Szanowna pani, nie istnieje żadne racjonalne rozwiązanie dylematu, przed którym staje populacja rozmnażająca się w postępie geometrycznym. Ratunek mogą przynieść jedynie cuda: chleb i ryby, manna z nieba i temu podobne. Dwa razy podjąłem próbę jako inżynier ekolog i dwa razy zawiodłem; teraz postanowiłem zachować się jak bóg, którego interwencji S'uthlam pilnie potrzebuje. Gdybym po raz trzeci zmierzył się z problemem jako człowiek, bez wątpienia znowu poniósłbym klęskę, a wówczas rozwiązaniem waszych problemów zajęliby się bogowie znacznie okrutniejsi ode mnie, mianowicie czterej znani z dawnych mitów jeźdźcy dosiadający przedstawicieli dawno wymarłego gatunku ssaków, wyobrażający zarazę, głód, wojnę i śmierć. Dlatego właśnie muszę zapomnieć, że jestem człowiekiem, i zacząć postępować jak bóg.

- O tym, że jesteś człowiekiem, zapomniałeś już cholernie dawno temu, co jednak wcale nie oznacza, że stałeś się bogiem - odparła Tolly Mune. - Co najwyżej demonem, na pewno nieprzeciętnym megalomanem, być może potworem. Tak, nawet na pewno: jesteś potworem, ale nie bogiem.

- Potworem - powtórzył Tuf. - Zaiste. - Mrugnął ze zdziwieniem. - Miałem nadzieję,

iż pani niewątpliwe zalety intelektualne oraz życiowe doświadczenie sprawią, że okaże mi pani więcej zrozumienia. - Zamrugał ponownie, tym razem aż trzy razy. Jego pociągła, blada twarz była równie nieruchoma jak zawsze, jednak w głosie Tufa pojawiło się coś, czego Tolly nigdy do tej pory nie słyszała, a co sprawiło, że ogarnęło ją zdumienie, a nawet niepokój. To coś bardzo przypominało emocję.

- Czyni mi pani ogromną krzywdę - poskarżył się Tuf. Kufel zamiauczał żałośnie.

- Wygląda na to, że pani kot znacznie łatwiej przyswaja sobie wnioski wypływające z chłodnej i beznamiętnej analizy rzeczywistości. Może powinienem wszystko wyjaśnić jeszcze raz od początku?

- Potwór.

- Jak zwykle, moje wysiłki są niedoceniane i ściągają na moją głowę niezасłużone oszczerstwa.

- Potwór! - powtórzyła.

Tuf gwałtownie zacisnął prawą pięść, a następnie, powoli i jakby z ociąganiem, rozprostował palce.

- Wygląda na to, że jakiś tik nerwowy sprawił, iż pani zasób słownictwa uległ drastycznemu ograniczeniu.

-- Wcale nie - odparła. - Po prostu to jedyne określenie, jakie do Ciebie pasuje.

- Zaiste. W takim razie, ponieważ jestem potworem, powinienem zacząć zachowywać się jak potwór. Proszę o tym nie zapominać, kiedy będzie pani rozważać swą decyzję.

Kufel gwałtownie podniósł głowę, przez chwilę przyglądał się Tufowi, jakby dostrzegł coś zdumiewającego w jego bladej, pociągłej twarzy, po czym zasyczał głośno i zaczął powoli cofać się ze zjeżoną sierścią. Kiedy Tolly wzięła go na ręce, przekonała się, że kot drży jak w febrze.

- O co chodzi? - zapytała zmienionym głosem. - Jaką decyzję? Przecież ty podjąłeś już wszystkie cholerne decyzje! O czym mówisz, do diabła?

- Pozwoli pani zwrócić sobie uwagę, że jak do tej pory ani jedno nasiono manny nie spadło na powierzchnię S'uthlam.

- I co z tego? Przecież dobiłeś już targu, a ja nie znam sposobu, żeby cię powstrzymać.

- Zaiste. Godne pożałowania. Kto wie, jeśli się pani zastanowi, może jeden sposób przyjdzie pani na myśl... Tymczasem proponuję, żebyśmy udali się do mojej kwatery. Dax z pewnością czeka już na wieczorny posiłek. Dla nas przygotowałem wyśmienite ciasteczka grzybowe oraz piwo z Moghoun, o smaku, który jest w stanie zadowolić zarówno bogów, jak i potwory. Ma się rozumieć, urządzenia łączności „Arki” są do pani dyspozycji, gdyby nagle

doszła pani do wniosku, że ma coś do przekazania Radzie Planety.

Tolly Mune otworzyła już usta, by udzielić ostrej odpowiedzi, ale natychmiast je zamknęła.

- Czy myślisz o tym, o czym ja myślę, że ty myślisz? - zapytała po dłuższej chwili.

- Zaiste, trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Bądź co bądź, to pani trzyma w objęciach kota obdarzonego zdolnościami telepatycznymi.

Najpierw w milczeniu szli ciągnącym się bez końca korytarzem, a potem w milczeniu zasiedli do ciągnącego się bez końca posiłku.

Jedli w kącie długiego, wąskiego pomieszczenia pełniącego funkcję centrali łączności, otoczeni przez pulpity, monitory i koty. Tuf siedział z Daxem na kolanach i oszczędnymi ruchami metodycznie przenosił kolejne porcje z talerza do ust. Po drugiej stronie stołu Tolly Mune jadła, prawie nie Czując smaku potraw. Nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo stara, kręci jej się w głowie i że coraz bardziej się boi.

Kufel chyba czuł się podobnie, gdyż jego spokój ulotnił się bez śladu. Kocur skulił się na jej kolanach i tylko od czasu do czasu wystawiał głowę nad stół, by posłać Daxowi ostrzegawcze mruknięcie.

Wreszcie nadeszła chwila, o której wiedziała, że musi nadejść: sygnał dźwiękowy oraz migające błękitne światełko obwieściły, że ktoś próbuje nawiązać łączność ze statkiem. Tolly Mune wyprostowała się raptownie i odsunęła od stołu razem z fotelem, a przerażony Kufel dał susa na podłogę. Zrobiła ruch, jakby chciała wstać z fotela, po czym znieruchomiała, niezdolna do podjęcia ostatecznej decyzji.

- Przekazałem komputerowi polecenie, żeby pod żadnym pozorem nie niepokojono mnie podczas posiłku - oświadczył Tuf. - Prosta metoda eliminacji prowadzi zatem nieuchronnie do wniosku, że wiadomość przeznaczona jest dla pani.

Światełko migało w dalszym ciągu.

- Nie jesteś żadnym cholernym bogiem - powiedziała Tolly Mune. - Ja też nim nie jestem, do wszystkich diabłów. Nie chcę tego przeklętego ciężaru, Tuf.

Światełko nie przestawało migać.

- Może to komandor Ober? - zasugerował Tuf. - Chyba powinna pani z nim porozmawiać, zanim znowu zacznie odliczanie.

- Nikt nie ma prawa, Tuf. Ani ty, ani ja. Wzruszył majestatycznie ramionami. Światełko migało.

Kufel miauknął przeraźliwie.

Tolly Mune zrobiła dwa kroki w kierunku pulpitu łączności, zatrzymała się i

odwróciła do Tufa.

- Umiejętność kreacji stanowi atrybut boskości - stwierdziła zaskakująco pewnym głosem. - Ty potrafisz niszczyć, ale nie potrafisz tworzyć. Dlatego właśnie nie jesteś bogiem, tylko potworem.

- Tworzenie życia przez klonowanie jest stałym, całkiem zwyczajnym elementem mojej profesji - odparł Haviland Tuf.

Światelko wciąż zapalało się i gasło.

- Nieprawda. Ty powielasz życie, ale go nie tworzysz. Ono musiało wcześniej zaistnieć gdzieś w przestrzeni i czasie, żebyś mógł wykorzystać choć jedną komórkę, uzyskaną z żywej tkanki albo martwej skamieliny. W przeciwnym razie byłbyś całkowicie bezradny. Tak, do diabła! Och, rzecz jasna, dysponujesz także umiejętnością tworzenia, dokładnie taką samą, jak ja i każdy z mężczyzn i kobiet żyjących w naszych podziemnych miastach. Ta umiejętność to prokreacja, Tuf. Oto jedyny cud, jaki naprawdę istnieje, jedyna cecha, która upodabnia nas do bogów - a ty chcesz odebrać ją dziewięćdziesięciu ośmiu i dziewięciu dziesiątym procentom mieszkańców S'uthlam. Niech cię szlag trafi! Nie jesteś stwórcą, nie jesteś żadnym bogiem!

- Zaiste - odrzekł Tuf z nieruchomą twarzą.

- Dlatego nie masz prawa podejmować boskich decyzji, zresztą tak samo jak ja. - Trzema pewnymi, energicznymi krokami podeszła do pulpitu i wdusiła przycisk. Monitor rozjarzył się różnobarwnymi plamami, które po chwili ułożyły się w obraz przedstawiający błyszczący jak lustro hełm bojowy ozdobiony emblematem Flotyli Planetarnej S'uthlam. Za czarną tarczą wizjera płonęły szkarłatem dwa czujniki.

- Jestem poważnie zaniepokojony, Przewodnicząca Mune - powiedział Wald Ober. - Ambasadorzy sprzymierzonych planet opowiadają reporterom niestworzone historie o traktacie pokojowym, nowym okresie rozkwitu... Czy może je pani potwierdzić? I co się właściwie dzieje? Ma pani jakieś kłopoty?

- Tak - odparła Tolly. - Słuchaj uważnie, Ober, i...

- Tolly Mune.

Odwróciła się gwałtownie w stronę Tufa.

- Czego?

- Jeżeli zdolność prokreacji istotnie stanowi świadectwo boskości, w takim razie koty także są bogami, ponieważ one również się rozmnażają. Pozwolę sobie przypomnieć, że w bardzo krótkim czasie stała się pani posiadaczką stada kotów znacznie liczniejszego niż moje, mimo że zaczęła pani od zaledwie jednej pary.

Skrzywiła się niechętnie i wyłączyła dźwięk, żeby Ober nie słyszał słów Tufa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Haviland Tuf mocno ścisnął dłonie połączone czubkami palców.

- Staram się jedynie zwrócić uwagę, że choć jestem miłośnikiem kotów i troszczę się o nie najlepiej, jak potrafię, to jednak podejmuję pewne kroki w celu kontrolowania tempa, w jakim się rozmnażają. Podjąłem tę decyzję po długim namyśle, rozważywszy uprzednio wszelkie dostępne możliwości. Ostatecznie, jak wkrótce sama się pani przekona, stanąłem wobec prostej alternatywy: albo ograniczę płodność moich kotów - naturalnie bez ich wiedzy i zgody - albo nie zrobię tego, by pewnego dnia stwierdzić, iż muszę wyrzucić w próżnię worek ze świeżo urodzonymi kociętami. Brak decyzji także jest decyzją, szanowna pani. Dokonujemy wyboru nawet wtedy, kiedy się przed nim wstrzymujemy.

- Przestań! -jęknęła rozpaczliwie. - Ja nie chcę, rozumiesz? Nie chcę tej cholernej władzy!

Dax wskoczył na pulpit i utkwiał w niej spojrzenie złocistych oczu.

- Bycie bogiem nastęrcza jeszcze więcej problemów niż bycie ekologiem, choć przecież można powiedzieć, że zdawałem sobie z tego sprawę, podejmując wyzwanie.

- To nie... - zaczęła. - Nie możesz... Kocięta i dzieci to nie... - Znalezienie właściwych słów kosztowało ją wiele wysiłku. - Ludzie mają jeszcze umysły, kierują się uczuciami i rozsądkiem, podejmują decyzje na własną rękę. Oni, nie ja. Nie mogę ich wyręczyć.

- Zaiste - odparł Tuf. - Prawie zapomniałem o tym, jakie decyzje na przestrzeni minionych stuleci podejmowali kierujący się rozsądkiem obywatele S'uthlam. Bez wątpienia teraz, kiedy staną twarzą w twarz z wojną, głodem i chorobami, wszyscy bezzwłocznie zmienią sposób postępowania i bez trudu zażegnają niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad ich planetą i nad nimi samymi. Doprawdy, nie pojmuję, jak mogłem tego od razu nie zrozumieć.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

Wreszcie Dax mruknął cicho, przeskoczył z pulpitu na stół i zabrał się do wylizywania talerza Tufa. Kufel natychmiast ruszył w przeciwny koniec pomieszczenia, nie spuszczaćc czujnego wzroku z ucztującego krewniaka.

Tolly Mune powoli odwróciła się twarzą do monitora. Kosztowało ją to wiele wysiłku i zajęło mnóstwo czasu: tydzień, rok, a może nawet całe życie, nie tylko jej jednej, ale także czterdziestu miliardów innych ludzi. Jednak kiedy wreszcie tego dokonała, reszta okazała się bardzo prosta; tamtych czterdzieści miliardów znikło, jakby ich nigdy nie było.

Spojrzała w milczącą, zimną maskę na ekranie monitora i w lśniacej plastostali wizjera dostrzegła nagle wszystkie okropieństwa wojny, za nimi zaś ponure, rozpalone

gorączką oczu głodu i choroby. Ponownie włączyła dźwięk.

- Co się tam dzieje? - dobiegł z głośników zaniepokojony głos Walda Obera. - Przewodnicząca Mune, nie słyszę pani. Jakie są pani rozkazy?

Tolly Mune uśmiechnęła się szeroko.

- Posłuchaj, Ober...

- Co się stało?

Przełknęła kłęb, który podchodził jej do gardła.

- A co miało się stać? Nic, zupełnie nic. Do diabła, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wojna się skończyła, podobnie jak nasz kryzys, komandorze.

- Czy zastosowano wobec pani przymus fizyczny?

- Nie - odparła szybko. - Dlaczego pytasz?

- Łzy. Pani płacze, Przewodnicząca Mune.

- To z radości, komandorze Ober. Manna, tak to się nazywa. Manna z nieba. - Roześmiała się. - A raczej manna z gwiazd. Ten Tuf to geniusz. Czasem... - Przygryzła mocno wargę. - Czasem nawet wydaje mi się, że on jest...

- Czym?

- Bogiem.

Wcisnęła klawisz i ekran ściemniał.

Nazywała się Tolly Mune, ale wspominając o niej w podręcznikach, używa się wielu różnych określeń.